



Jolanta
WESOŁOWSKA

PIASKI MIŁOŚCI

novae res
MEDYACJA I INNOWACJE

Jolanta Wesołowska

PIASKI MIŁOŚCI

Redakcja: Zuzanna Gościcka-Miotk
Korekta: Monika Pruska
Projekt okładki: Ewelina Sobina
Projekt typograficzny i skład: Krzysztof Szymański

© Jolanta Wesolowska i Novae Res s.c. 2014

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Wydanie pierwsze, Gdynia 2014
ISBN 978-83-7942-180-0

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Anna Reed była szefową kuchni w niewielkim domu wczasowym *Pod Świerkiem*, znajdującym się w górskim miasteczku o nazwie Asheville. W wieku siedemnastu lat została sierotą. Wiadomość o tragicznej śmierci bliskich dotarła do Anny, kiedy odbywała półroczną praktykę w jednym z renomowanych hoteli na południu Francji. W jednej chwili straciła wspaniałych przyjaciół, jakimi byli dla niej rodzice, jak również młodszego, czasem nieznośnego, lecz kochanego braciszka. Jedynym krewnym, jaki jej pozostał, był przyrodni brat ojca, Edgar Patton, nielubiany w rodzinie. To właśnie jemu sąd powierzył opiekę nad sierotą. Stryj niechętnie przygarnął Annę pod swój dach. Nie był pewny, czy poradzi sobie z wychowywaniem nieznanego mu bliżej krewnego. Nastolatce brakowało ciepła rodzinnego. Własne problemy starała się rozwiązywać sama; nie mogła liczyć na pomoc zimnego, egoistycznego człowieka, który nieraz dał jej do zrozumienia, że jej nie lubi. Chłód stryja i brak miłości sprawiały, że Anna stawiała się silna i samodzielna. Chociaż w nowym domu miała przyjaciół w osobach Toma i Sary, dzieci stryja, oraz ciotki Lili, to jednak po każdym skończonym z wyróżnieniem semestrze niechętnie wracała w te strony.

Mijały lata, Anna ukończyła uczelnię jako jedna z najlepszych studentek, uzyskując tytuł kuchmistrza dietetyka, i rozpoczęła pracę w domu wczasowym stryja. Tom i Sara usamodzielnili się, wyjechali do innych stanów, by rozpocząć nowe życie i tym samym oddalić się od oschłego ojca. Wkrótce zmarła ciotka Lili. Stryj po jej nagłej śmierci stał się złośliwy, nieprzyjemny dla pracowników, łatwo wpadał w złość. Często zamykał się w pokoju z butelką brandy, zapominając o swych obowiązkach. W końcu miał go kto zastępować. Anna zajmowała się zaopatrzeniem, układaniem jadłospisów, przygotowywaniem wymyślnych, smakowitych potraw, aby przyciągnąć jak najwięcej turystów. W domu wypoczynkowym *Pod Świerkiem* elita z wielkich miast oraz stali bywalcy rezerwowali pokoje, by po posiłkach udawać się w wyższe partie gór i szusować na nartach. Bratanica ciężko pracowała, a stryj zarabiał, nie bardzo interesując się własnym biznesem.

Minął kolejny rok, a Anna, zgrabna niebieskooka blondynka średniego wzrostu, czuła się coraz bardziej samotna, niepotrzebna, niekochana. Skończyła dwadzieścia sześć lat i jedyne, co miała, to znajomych pracowników i stryja, który nie darzył ją sympatią. Pustkę wypełniała pracą. Chciała wyjechać, zamieszkać gdzie indziej. Udać się na zasłużony urlop, przeżyć niezapomnianą przygodę albo odkryć coś niezwykłego. Większość jej koleżanek ze studiów znalazła swój cel w życiu, wyszła za męża, ma dzieci i swoje miejsce na ziemi. Dla Anny czas stanął w miejscu. Nie spoczywała jednak na laurach. Od trzech lat w tajemnicy przed wszystkimi zbierała pieniądze na wyjazd. Za rok, może dwa zostawi to miejsce, znajdzie pracę w renomowanym hotelu i zacznie nowe, zupełnie inne życie.

Była połowa lutego, sezon narciarski w pełni, a ona już tęskniła za wiosną, zieloną trawą i rabatkami pełnymi wielobarwnych kwiatów, słońcem i piaszczystą plażą.

Trzy dni w tygodniu stołówka była przepelniona. Już w piątek zjeżdżali narciarze, by w niedzielne popołudnie opuścić góry i powrócić do swych domów. W środku tygodnia tylko przygodni turyści wstępowali na posiłek. Właśnie w takie środowe późne popołudnie trzech mężczyzn zaparkowało samochód na zaśnieżonym parkingu przed budynkiem domu wczasowego i weszło do środka, by przeczekać śnieżną burzę. Tego dnia Anna zastępowała chorą kelnerkę.

– Przepraszam – zwrócił się do niej starszy brunet o siwych skroniach. – Czy możemy tu przeczekać śnieżną burzę?

– Ależ proszę – uśmiechnęła się.

– Dziękujemy.

Panowie zdjęli zimowe kurtki i usiedli przy stoliku niedaleko drzwi. Zajęli się rozmową. Anna spojrzała w ich stronę. „Muszą być z wielkiego miasta” – pomyślała. „Tacy eleganccy, gładko ogoleni, oprócz przystojnego szatyna z wąsikiem. Wełniane swetry, markowe sztruksy, drogie skórzane buty. Pewnie dobrze zarabiają”.

– Czy możemy prosić o herbatę z cytryną? – spytał szatyn z wąsikiem.

– Dla wszystkich? – wołała się upewnić.

– Tak, dla wszystkich.

Zniknęła w drzwiach prowadzących na zaplecze i włączyła elektryczny czajnik pełen wody. To miejsce służyło tylko do przygotowywania kawy, herbaty i innych gorących napojów. Kuchnia znajdowała się za zapleczem. Kiedy Anna stawiała filiżanki z wrzątkiem na stoliku, przy którym siedzieli mężczyźni, czuła, że jest obserwowana przez szatyna z wąsikami.

– A czy możemy zjeść coś ciepłego? – spytał. – Jeśli nie sprawiłoby to kłopotu... – spojrzał na zegarek. – Coś szybkiego?

– Może zostało coś z obiadu? – dodał blondyn.

– Pora obiadu dawno minęła – zastanowiła się. – Ale sprawdzę, może coś zostało.

– Byle to było jadalne – roześmiał się brunet.

Kobieta zniknęła na zapleczu. Przeszła do kuchni i zajrzała do garnków. Rozciapane ziemniaki, po rosole zostały tylko tłuszcz i warzywa, personel kończył jeść makaron. „Przygotować coś szybkiego? Szybko to można zrobić kanapki” – pomyślała. Zajrzała do lodówki. Rzuciła okiem na półki pełne puszek. Już miała pomysł na jedno danie, jednak przedtem musiała spytać klientów, co sądzą o takim zestawie. Powróciła na salę.

– Czy panowie lubią parówki i zielony groszek?

– Jadamy takie rzeczy – potwierdził niepewnie brunet.

– Wracam za piętnaście minut – uśmiechnęła się.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, zastanawiając się, co można zrobić w piętnaście minut z groszku i parówek. Czy to będzie jadalne?

Tymczasem Anna zabrała się za gotowanie. Otworzyła puszkę zielonego groszku, pokroiła w talarki cztery wieprzowe parówki, z garnka po rosole wyjęła ugotowaną marchewkę i pietruszkę. Starta warzywa na grubej tarce, całość wymieszała z sosem pomidorowym, zagotowała, doprawiła solą, pieprzem, czosnkiem. Po piętnastu minutach danie było gotowe. „Ciekawe, czy będzie smakować turystom?” – zastanowiła się. Zaniosiła gościom półmisek z chlebem, talerze i sztucce. Kiedy rozkładała je na białym obrusie, panowie nie przerwali swojej rozmowy.

– ...mamy już sprzęt i trzech archeologów – wyliczał brunet. – Moja siostra będzie naszym osobistym lekarzem. Ordynator podpisał zgodę na jej półroczny bezpłatny urlop.

– No to dwudziestego lutego bez przeszkód możemy wyjeżdżać – powiedział szatyn.

Anna wróciła do kuchni po wazę z gorącym daniem.

– Smakowicie pachnie – blondyn pociągnął nosem. – Jak nazywa się to danie?

– Parówki z groszkiem w sosie pomidorowym.

– A krótsza nazwa?

– Krótszej nazwy jeszcze nie wymyśliłam. Życzę smacznego.

Odeszła na bok i usiadła na stołku za barem. Była ciekawa, czy gościom będzie smakować wymyślone na poczekaniu danie. Panowie ostrożnie, po jednej łyżce wazowej, nałożyli gorące danie na talerze. Anna z niecierpliwością czekała na ich reakcje. Pierwsza łyżka do ust, potem następna. Pokiwali głowami z aprobatą. Odetchnęła z ulgą. Danie posmakowało im. Mężczyźni, posilając się, kontynuowali rozmowę.

– Zapomnieliśmy o najważniejszym – przypomniał blondyn. – O kucharzu.

– Faktycznie – zaskoczył brunet. – John złamał nogę.

– Mamy dziesięć dni na zatrudnienie kucharza – szatyn zamyślił się. – Powiedzcie mi, gdzie w tak krótkim czasie znaleźć człowieka, który rzuci wszystko i na pół roku wyjedzie z kraju?

Panowie sięgnęli po dokładkę. Anna była z siebie dumna. Teraz spokojnie mogła wystawić rachunek. Kiedy goście odstawili puste talerze, podeszła do ich stolika.

– Czy smakowało panom? – spytała.

– Wyśmienite danie – pochwalił szatyn. – Proszę podziękować kucharzowi... Albo nie – zastanowił się. – Sam chciałbym mu podziękować i poprosić o przepis. Czy mogłaby pani go tu poprosić?

– Kucharz... to ja – przyznała się.

Panowie najwyraźniej nie zrozumieli tego, co powiedziała, bo patrzyli na nią wyczekująco.

– To ja przygotowałam to danie – potwierdziła.

– Doprawdy? – szatyn uśmiechnął się. – To pani jest tu jednocześnie kelnerem i kucharzem?

– Tak naprawdę jestem tutaj szefem kuchni, ale kiedy zajdzie potrzeba, staję się kelnerką, barmanką, pokojową, zaopatrzeniowcem, a nawet odśnieżam schody.

– Takiej osoby nam potrzeba – powiedział blondyn.
– Do czego? – nie zrozumiała. Popatrzyła na nich. Uśmiechali się tajemniczo. Pomyślała, że żartują z niej albo chcą ją do czegoś wykorzystać.

– Co ty na to, Paul? – brunet zwrócił się do szatyna.

– Spytać nie zaszkodzi.

Kobieta poczuła się nieswojo. Wprawdzie słyszała część ich rozmowy, ale nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

– Czy ma pani chwilę? – spytał brunet.

– Mam – odpowiedziała niepewnie.

– Proszę siadać.

Brunet ustąpił jej miejsca, a sam usiadł na krześle, które zabrał z sąsiedniego stolika. Anna nieśmiało spoczęła na skraju krzesła. Trochę obawiała się nieznanym, ale co szkodzi porozmawiać? Nie wyglądali na przestępców.

– To jest tak – zaczął brunet. – Jesteśmy archeologami, szukamy zaginionych cywilizacji. Wybieramy się na pół roku do Syrii. Mamy już całą grupę, ale nasz kucharz złamał wczoraj nogę. Zachciało mu się przed wyjazdem pojeździć na nartach. Do wyjazdu zostało dziesięć dni. W ciągu tygodnia musimy znaleźć kucharza. Może pani z nami pojedzie?

– Panowie ze mnie żartują...

– Ależ skąd – zaprzeczył brunet. – Chyba że coś stoi na przeszkodzie? Małe dzieci, zazdrosny mąż...

– Nie mam męża.

– No, to dobrze się składa – podchwycił blondyn.

– Ale czy to nie jest trochę dziwne – zaczęła głośno się zastanawiać – żeby proponować wyjazd na tak długi czas przypadkowo poznanej osobie?

– Słuszna uwaga – przyznał szatyn. – Obcy faceci namawiają ładną dziewczynę, żeby wyjechała z nimi do Syrii.

– Jakies kłopoty, Anno? – podszedł do nich starszy łysiejący mężczyzna w granatowym dresie, mający nieprzyjemny wyraz twarzy.

– Nie, stryju – zaprzeczyła. – Wszystko w porządku.

– No to nie gadaj, weź zapłatę, zabierz brudne naczynia i do roboty. Nie płacę ci za flirtowanie z turystami – odszedł dwa kroki. –

Chyba że chcesz złapać męża.

Stryj odszedł. Anna czuła, jak jej policzki robią się czerwone. Została upokorzona. Cały stryj – uwielbiał zawstydząć ją przy gościach.

Podniosła się z krzesła.

– Zdaje się, że stryj nie traktuje pani jak rodziny – zauważył brunet.

– To prawda. Jestem dla niego ciężarem – położyła rachunek na stoliku. – Gdybym wiedziała, że już jutro znajdę dobrą pracę, wyrwałabym się stąd.

– To proszę zostać naszym kucharzem – nalegał blondyn.

– Panowie mówią poważnie, czy robią mnie w balona?

– Ależ skąd – szatyn wstał z krzesła. – Powinniśmy się przedstawić. Jestem – wskazał na siebie – profesor Paul Bateman. To mój asystent – wskazał na młodego blondyna – Steve Harold, z zamiłowania historyk archeologii i architektury starożytnej. I mój przyjaciel Mark Durell, profesor antropologii. Ja i Steve wykładamy na uniwersytecie w Atlancie. A pani, jak usłyszeliśmy, ma na imię Anna.

– Tak, nazywam się Anna Reed.

– No to już się znamy i możemy spokojnie usiąść i dokończyć rozmowę.

Anna spojrzała w stronę zaplecza. Co będzie, jak stryj tu zajrzy? Czeka ją kolejne upokorzenie?

– Proszę nie martwić się o stryja. Jak tu przyjdzie, to z nim też sobie porozmawiamy.

Kobieta wahała się. Spojrzała na profesora Batemana, zerknęła jeszcze raz w stronę zaplecza, po czym usiadła.

– To na czym skończyliśmy? – Bateman zastanowił się. – Ach tak. Mark w jednej ze starych ksiąg znalazł zniszczoną mapę miasta, które jakieś dwieście lat temu znikło z powierzchni ziemi. Chcemy dociec, co tak naprawdę się z nim stało.

– Zaginione miasto? – zastanowiła się.

– Tak – potwierdził profesor. – W porozumieniu z władzami Syrii i tamtejszym muzeum postanowiliśmy odnaleźć ruiny miasta i zbadać przyczynę jego zniknięcia. Miejsce znajduje się niedaleko

granicy syryjsko-tureckiej. Bilety już zarezerwowane. A kucharz jest niezbędny, abyśmy nie pomarli z głodu.

– A ile osób liczy wyprawa? – zaciekawiała się.

– Z kucharzem szesnaście – poinformował Steve.

– Tak mało?

– Drugą grupę utworzą Syryjczycy. Będzie liczyła około dziesięciu osób. Oni jedzą co innego, więc będą mieli swojego kucharza – powiedział Bateman. – I jak? Chce pani z nami jechać?

– To dość kusząca propozycja – przyznała. – Warto się nad nią zastanowić.

– Byle nie za długo – wtrącił Durell.

– Jeszcze leniuchujesz?! – stryj ponownie podszedł do stolika.

– Czy mogę poprosić pana na chwilę? – zaprosił Bateman.

– Nie mam czasu na pogaduszki – burknął i po chwili zniknął na zapleczu.

– Przepraszam za stryja. Odkąd zmarła mu żona, stał się niezdolny.

– W takim razie najwyższa pora uwolnić się od niego i zacząć żyć własnym życiem – poradził Steve.

– Ma pan rację – odparła. – Chyba nadszedł czas, by zmienić swoje życie na co najmniej pół roku.

– No to mamy kucharza – Bateman uniósł szklankę z resztką herbaty. – Wypijmy za to.

– A może wzniesiemy toast czymś mocniejszym? – dał pomysł Durell.

– Herbata wystarczy – Bateman odstawił pustą szklankę.

– A co zabiera się na taką wyprawę? – spytała Anna.

– Przede wszystkim rzeczy bawełniane, lniane, przewiewne. Żadnych ubrań ze sztucznego tworzywa – wyliczał Bateman. – Wygodne buty, tenisówki, adidas. Koniecznie koc. Noce na pustyni bywają zimne.

– A może być śpiwór? – spytała.

– Może być – przytaknął Durell. – Jest cieplejszy niż koc.

– Muszę zrobić zakupy – Anna spojrzała przed siebie. – To się stało tak szybko...

– Jak to się mówi, kujmy żelazo, póki gorące – odparł Bateman.

– Potrzebne są nam pani dane – przypomniał Steve. – Najlepiej te z paszportu.

– To będzie problem. Mam nieważny paszport.

– No tak. Powinniśmy spytać o to na samym początku – powiedział Durell.

Śnieg przestał padać, na ulicy pojawił się pług.

– To żaden problem – pocieszał Steve. – Przedłużę pani ważność paszportu. Mam dojścia.

– No to sprawa załatwiona – ucieszył się Bateman. – Dwudziestego lutego jedzie pani z nami do Syrii – podniósł się z krzesła.

– To się dzieje za szybko – wstała od stolika.

– Jeśli ma pani jakieś wątpliwości – Bateman sięgnął do portfela – to jest moja wizytówka. Sprawdzi pani, czy jesteśmy wiarygodni.

„Nie zaszkodzi się upewnić” – pomyślała, odbierając wizytówkę. Za ladą baru pojawiła się Jessica.

– W takim razie poproszę o paszport – przypomniał Steve.

– Zapraszam do mojego pokoju.

Anna położyła na ladzie zapłatę za posiłek i wizytówkę, którą dostała od Batemana. Jessica schowała pieniądze do kasy, a kartonik został na blacie. Udali się schodami na górę. Pokój Anny znajdował się na pierwszym piętrze po prawej stronie, tuż przy schodach. Nie było tam wiele miejsca. Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu. Było czysto i przytulnie. Pod skośną ścianą stała jednoosobowa kanapa, naprzeciw znajdowała się szeroka komoda. Stał na niej czternastocalowy telewizor. Obok Steve zobaczył fotografie zmarłych rodziców Anny. Pośrodku pokoju stał okrągły stolik, a przy nim dwa fotele. W pomieszczeniu znajdowała się także wbudowana w ścianę dwudrzwiowa szafa. Na parapecie małego okna rosły dwie paprotki.

„Szefowa kuchni, a mieszka w służbówce” – pomyślał. „Stryj nie kocha swojej krewnej”.

Anna wyjęła z szuflady komody kosmetyczkę z dokumentami, sięgnęła po paszport i podała go mężczyźnie.

– Przytulnie tu, ale czy nie za ciasno? – spytał, zaglądając do paszportu.

– Trochę ciasno, ale nie narzekam.

– A czy przychodzi tu jakiś mężczyzna?
– To znaczy? – nie zrozumiała jego pytania.
– Czy ma pani kogoś?
– To tajemnica służbowa – uśmiechnęła się.
– Kobiety... – uśmiechnął się. – Da mi pani swój numer telefonu?
Jutro zadzwonię, żeby zapytać, czy się pani nie rozmyśliła.
– Albo panowie – podała mu wizytówkę domu wczasowego, na której był adres i dwa numery telefonu.
– My raczej się nie rozmyślimy. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik i nie możemy się już wycofać.
Wyszli z pokoju. Na schodach kontynuowali rozmowę.
– Niech się pani zacznie pakować. Za osiem dni przyjadę po panią. Proszę pamiętać. Tylko bawełniane rzeczy. Wełniany sweterek...
– Najlepiej dwa – wtrącił Bateman. – Jakiś dres, polar. Kosmetyki. Kremy z filtrem chroniące przed poparzeniami słonecznymi. Jakby chciała się pani czegoś jeszcze dowiedzieć, proszę dzwonić.
Mężczyźni pożegnali się, po czym opuścili budynek. Odprowadziła ich wzrokiem. Wsiadli do samochodu i odjechali. Kiedy Anna zbierała ze stolika brudne talerze, w stołówce pojawił się stryj.
– I co? Umówiłaś się z którymś z nich? – spytał z ironią w głosie.
– Tak. Z wszystkimi trzema.
– To z którym najpierw pójdziesz do łóżka?
– Stryjowi tylko seks w głowie. Najwyższa pora ożenić się po raz drugi – z talerzami i wazą ruszyła w stronę zaplecza.
– Wystarczy mi tego miodu. Niejedna dziwka chciałaby mnie oskubać z dolarów. A tobie dużo zaproponowali za noc? – czepiał się.
– Wyjazd do Syrii – zniknęła w drzwiach zaplecza.
– Chyba się przesłyszałem. Do Syrii? – poszedł za nią do kuchni.
– Tak, do Syrii – włożyła brudne naczynia do zlewu.
– To nowy burdel?
– To kraj na Półwyspie Arabskim – zabrała się za mycie brudnych naczyń. – Grupa naukowców wyjeżdża na wyprawę archeologiczną. Mają za zadanie odkopać ruiny zaginionego miasta,

gdzieś blisko tureckiej granicy. Ich kucharz złamał nogę, a ja zgodziłam się go zastąpić.

– I ty w to uwierzyłaś? Naiwna dziewczyna.

– Trzeba było podejść do stolika, jak profesor Bateman prosił stryja. Opowiedzieli mi wszystko ze szczegółami. Jadę. Będę im gotować przez pół roku.

– Mnie oni wyglądają na podejrzanych. Może to jakaś sekta. Namącili ci w głowie i tyle. Ciekawy jestem, jak sprawdzisz, kim naprawdę są.

– Zostawili mi wizytówkę.

– Ciekawe... Żeby nie było tak jak z tym twoim kochasiem, który udawał kawalera.

Opuścił kuchnię. Anna wytarła mokre dłonie. Wątpliwości stryja dały jej do myślenia. Musi dokładnie zapoznać się z treścią wizytówki, którą zostawił jej profesor. Ale gdzie zostawiła kartkę? Pamięta, jak odebrała ją od mężczyzny. Potem poszła po paszport. No tak. Położyła wizytówkę na ladzie baru razem z pieniędzmi za posiłek.

Blat był pusty. Jessica robiła drinki dla klientów siedzących przy barze.

– Słuchaj, zostawiłam tu taką małą wizytówkę – zaczęła Anna.

– Leżała tutaj... – dziewczyna wskazała na koniec blatu. – Przed chwilą jeszcze tu była.

– Może ktoś tam siedział? Przypomnij sobie, to ważne.

– Nikogo tam nie było... – zastanowiła się. – Zaraz! Szef zatrzymał się na chwilę, a potem darł na strzępy jakąś małą karteczkę.

– No to koniec – Annie opadły ręce. Jak teraz sprawdzi, czy podający się za odkrywców mężczyźni naprawdę pracują na uniwersytecie w Atlancie?

Tej nocy spała niespokojnie. Rzadko miewała sny, ale tym razem przyśnił jej się koszmar. Widziała Arabów jadących na białych koniach przez pustynię. Był tam czarnowłosa brodaty mężczyzna, ubrany na białą, na głowie chusta opasana czarną opaską ze złotą broszką w kształcie skorpiona, którego tułów był zrobiony z czerwonego rubinu. We śnie biegła, jakby uciekała przed Arabami. Kryła się za pagórkami, krzakami. W oddali między dwoma górami

zobaczyła most zbudowany z grubych lin i desek. Chciała do niego dotrzeć. Szła ciężko, powoli. Po drugiej stronie mostu stała grupka ludzi. Wołali ją, wyciągali dłonie. Weszła na drewniane kładki mostu, ktoś chwycił ją w pasie... Zbudziła się gwałtownie, zrywając się z poduszek. Było jej gorąco i wciąż czuła, że czyjaś ręka oplata jej tułów. Zapaliła lampkę nocną. Odrzuciła kołdrę. Była sama w łóżku. Wytarła mokrą od potu twarz papierową chusteczką. „Pewnie dlatego mi się to wszystko przyśniło, bo nasłuchiwałam się o wyprawie do Syrii. Tam mieszkają sami Arabowie” – pomyślała.

Nie wierzyła w znaczenie snów i po przebudzeniu nigdy nie pamiętała, co jej się śniło, jednak obrazy ścigających ją Arabów towarzyszyły jej cały dzień. Wciąż miała w pamięci most na linach, białe konie i czarnowłosego mężczyznę, którego twarzy nie pamiętała. Może jednak sprawdzi, czy wczorajsi klienci faktycznie są pracownikami uniwersytetu w Atlancie. Tylko którego? Stryj podarł wizytówkę, którą wręczył jej Bateman. Zaczeka z tym do jutra. Steve powiedział, że zadzwoni do niej i spyta, czy się nie rozmyśliła. Nie zrobił tego. Annie pozostało tylko zadzwonić na informację i poprosić o numery telefonów do wyższych uczelni.

Po śniadaniu goście wyruszyli na szlak, by pojeździć na nartach, miała więc wolną chwilę. Postanowiła zadzwonić na informację. Zdobyła trzy numery telefonów. Wykręciła pierwszy z nich.

– Niestety, nie pracuje u nas żaden pan Bateman – usłyszała w słuchawce.

– Pan Bateman? Niestety, taki u nas nie pracuje – odparła rozmówczyni Anny, gdy ta zadała pytanie po wykręceniu drugiego numeru.

– A profesor Durell?

– To nazwisko obito mi się o uszy. Proszę spróbować na uniwersytecie Lincolna.

– A ma pani numer telefonu do tej uczelni?

– Tak. Proszę poczekać. Zajrzę do ściągiawki.

Chwilę później Anna notowała kolejny numer telefonu. Zaczynała wątpić w prawdomówność mężczyzn, którzy dwa dni temu schronili się przed śnieżycą. Wykręciła podany przez sekretarkę numer telefonu. Jeśli na tej uczelni nie będą znać trzech profesorów, da sobie spokój.

– Czy u państwa pracuje profesor Bateman?
– A o co chodzi? – wypytywała kobieta po drugiej stronie słuchawki.

„O Boże, co za ciekawskie babsko” – pomyślała Anna. „Co ją to obchodzi? Muszę skłamać”.

– Chciałabym rozmawiać z profesorem w sprawie korepetycji.
– To będzie trudne. Pan profesor Bateman już u nas nie pracuje.
– A profesor Mark Durell?
– Jest na urlopie.
– A kiedy zamierza wrócić na uczelnię?
– Za jakieś pół roku.
– Czy to ma jakiś związek z wyjazdem do Syrii?
– Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie. Nie jestem upoważniona.

– Dziękuję za pomoc.

Odłożyła słuchawkę. „Cudownie, oni jednak istnieją” – ucieszyła się. „Nie należą do żadnej sekty. Już nie muszę zaprzętać sobie głowy wątpliwościami, mogę zacząć się pakować. Ale czy na pewno dobrze robię? Spakuję walizki, a okaże się, że znaleźli innego kucharza. Nie będę robić z siebie idiotki, poczekam na telefon od Steve’a”.

Doczekała się. W porze obiadowej zadzwoniła jakaś kobieta. Słuchawkę podniósł stryj. Anna w tym czasie segregowała rachunki.

– Słucham – spytał.

– Czy to dom turystyczny *Pod Świerkiem*? – pytała kobieta.

– Tak. Jeśli chce pani zarezerwować pokój, to do końca sezonu nie mamy wolnych miejsc.

– Ależ nie zamierzam rezerwować pokoju, chcę porozmawiać z Anną Reed.

– A kim pani jest?

– Chodziłyśmy razem do szkoły...

– Już ją proszę – wyciągnął ramię. – Jakaś koleżanka do ciebie.

Anna zrobiła zdziwioną minę. „Koleżanka? Któż to może być?”. Odebrała słuchawkę.

– Słucham, Anna.

– Proszę czekać – powiedziała kobieta. – Ktoś chce z panią rozmawiać.

– Dzień dobry – usłyszała męski głos. – Tu Steve. Pamięta mnie pani? Taki jasny blondyn.

– Naturalnie, Stefanie, że cię pamiętam. Jak miło, że zadzwoniłaś – spojrzała na stryja z uśmiechem.

– Nie może pani rozmawiać? Stryj?

– No, niestety.

– Czyli dobrze, że użyłem podstępu i poprosiłem koleżankę, aby poprosiła panią do telefonu?

– To był dobry pomysł.

– Stryj powiedział, że się pani rozmyśliła i że bym już tu nie dzwonił.

– A to ci niespodzianka – znów spojrzała w stronę stryja. – Nikt mi o tym nie powiedział.

– Czyli jedzie pani z nami?

– Oczywiście. To kiedy do mnie przyjedziesz?

– Za pięć dni. Koło południa.

– To świetnie – uśmiechnęła się.

– Zapomniałbym. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, że w krajach arabskich należy ubierać się przyzwoicie. Żadnych sukienek mini, odkrytych ramion, głębokich dekoltów i obcisłych strojów.

– Wiem. Czytam gazety. Mam trochę takich luźnych ciuchów. Są bardzo wygodne.

– To słyszę, że się rozumiemy.

– Oczywiście.

– To do zobaczenia za pięć dni.

– Pa, Stefanie. Do zobaczenia – odłożyła słuchawkę.

– Ona ma tu przyjechać? – zaciekawiał się stryj.

– Tak. Za tydzień. Nie pasuje?

– To nie jedziesz do Syrii?

– Nie dzwonią, więc chyba znaleźli nowego kucharza.

– A ty im uwierzyłaś. Naiwna dziewczyna – wyszedł z biura.

„Podstępny szczur” – pomyślała Anna. „Tak mnie nie lubisz, a jednak nie chcesz, żebym stąd wyjeżdżała. No tak, zapomniałam. Kto zajmie się interesem, jak mnie zabraknie?”

Miała tylko pięć dni, by przygotować się do wyjazdu, uporządkować swoje sprawy. Trzeba zaopatrzyć kuchnię w artykuły

spożywcze, popłacić rachunki i dwa dni przed wyjazdem powiadomić stryja, że Laura, kucharka, została mianowana na szefa kuchni, a Dan będzie jej zastępcą.

W przerwie na telefony do hurtowni, w której zamawiała towar, zajadała się ciasteczkami nadziewanymi orzechami laskowymi, popijając gorącą czekoladę. Nagle ostry ból dolnej szóstki przerwał jej pracę. Złapała się za policzek, dotykając językiem zęba. Wyczuła pęknięcie szkliwa i brak plomb. Połknęła tabletkę przeciwbólową i zadzwoniła do jedyne go w miasteczku stomatologa.

– Pani doktor może przyjąć panią za dziesięć dni – usłyszała w słuchawce głos pielęgniarki.

– Za ile? To niemożliwe. Za pięć dni wyjeżdżam.

– Przykro mi. Tylko z bólem przyjmujemy bez kolejki, o ile zęb trzeba usunąć.

– Mnie właśnie boli. Wzięłam tabletkę.

– To proszę przyjść jutro na ósmą rano. Wytrzyma pani?

– Najwyżej wezmę jeszcze jedną tabletkę.

„No tak. Już zaczynają się problemy” – pomyślała. „Ciekawe, co jeszcze mi wypadnie niespodziewanego? Najlepiej będzie, jeśli zrobię listę rzeczy potrzebnych do wyjazdu”. Otworzyła szafę. Nie znalazła w niej wielu bawełnianych rzeczy. Lubiła ubierać się elegancko. Damskie kostiumy, jedwabne bluzki, garsonki, żakiety, ładne sukienki bez wyzywającego odkrywania ramion. Żadnych spodni wycieruchów, chyba że do sprzątnięcia wokół posesji. Spodnie z eleganckiego materiału i w ostateczności sztruksy. Futra nie posiadała. Zabijanie zwierząt po to, by zdierać z nich skórę, uważała za niehumanitarne. Kurtka czy płaszcz uszyty z ładnego materiału wystarczały, by sztywnie wyglądać.

Wybrała parę rzeczy, które mogły przydać się w arabskim kraju. Pięć jedwabnych bluzek z krótkim i długim rękawem, trzy pary spodni, kolorowe spódnico spodnie, długi czarny żakiet, trzy luźne rozpinane swetry, zakrywające pośladki, bielizna osobista. Musi dokupić bawełnianych koszulek, majtek. Uzupełnić braki w kosmetykach.

Ból zęba dawał się we znaki. Wzięła tabletkę, lecz i tak nie przespalała całej nocy.

Przed ósmą rano zjawiała się u dentysty. Doktor Maan pokręcił głową, oglądając ząb.

– Ja bym go jeszcze nie usuwał. Zastosowałbym leczenie kanałowe, skleił pęknięcie i za trzy tygodnie ząb będzie jak nowy.

– Nie mam tyle czasu. Za tydzień wyjeżdżam.

– To skończymy, jak przyjedziesz.

– Wyjeżdżam na pół roku.

– Ale tam, gdzie się wybierasz, pewnie jest jakiś wolny dentysta.

– Obawiam się, że tam nie ma dentystów. Albo jest ich niewielu i nie mówią po angielsku.

– No trudno. Rwiemy. Siostró, proszę przygotować znieczulenie

– odłożył narzędzia. – Jak ja nie lubię usuwać dobrych zębów. Kiedy go robiłem?

– Leczyłam go we Francji.

– A teraz gdzie jedziesz?

– Na drugą półkulę.

Nie chciała zdradzać, do jakiego kraju wyjeżdża, by nie zostać zasypaną lawiną pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać po otrzymaniu zastrzyku znieczulającego dziąsła. Czekając, aż znieczulenie zacznie działać, zastanawiała się, czy dobrze robi. A jeśli ten wyjazd to niewypał? Szkoda tracić ząb. Jedynym pocieszeniem jest to, że usuwanie zębów kosztuje mniej od leczenia kanałowego.

Dziesięć minut później z tamponem w ustach opuszczała gabinet doktora. W poczekalni czekały trzy osoby. Dzisiaj stryj dał jej wolne. Spokojnie mogła przeprać ubrania, które wczoraj przygotowała na wyjazd. Po południu wybrała się na zakupy. Była zima i do sklepów jeszcze nie sprowadzono letniej odzieży. Ubrania, które wisiały na wieszakach, wyszły z mody i można było kupić je za pół ceny. Anna nabyła tylko pięć białych bawełnianych koszulek na ramiączkach. Będą potrzebne pod kucharski fartuch. Kupiła też pięć sztuk bawełnianych majtek i dziesięć par damskich skarpetek w różnych kolorach. Tyle w jednym sklepie. Ulicę dalej znajdował się dom towarowy. Tutaj był większy wybór odzieży bawełnianej i wełnianej. Na wieszaku z przecenioną odzieżą Anna wypatrzyła sięgającą do połowy łydki błękitną sukienkę z krótkim rękawem, lekko dopasowaną w pasie, przewiązywaną paskiem. Elanobawełna. Nie

trzeba będzie jej prasować. Wzrok dziewczyny przyciągnęła kolejna sukienka. Na białym tle drobne różowe różyczki przyozdobione zielonymi listkami. Mały dekolt, talia lekko dopasowana, od pasa w dół odcinana, szyta z półklosza. Jedwabna, sięgająca tuż za kolana, z rękawem do łokcia. Ładna. Ale czy będzie miała okazję ją włożyć? Uznała, że musi ją kupić; bardzo jej się podobała. Oprócz tego wzięła białe i piaskowe szerokie spodnie rybaczkowe oraz trzy T-shirty: popielaty, niebieski i różowy. Ekspedientka była zaskoczona jej zakupami. Anna nie zdradziła jej swojego sekretu. Przeszła do stoiska z kosmetykami. Nie mogła zapomnieć o środkach higieny osobistej, a przede wszystkim o podpaskach. Pół roku to sześć opakowań. Wzięła osiem. Nigdy nie wiadomo, co się przytrafi. Dziesięć mydeł różanych. Dwa dezodoranty o zapachu czerwonej róży. Litrowy zagęszczany płyn do prania, duży szampon do włosów z odżywką. Nie może zapomnieć o kremie z filtrem. Najlepiej będzie, jak kupi trzy. Do tego balsam do opalania, trzy pasty do zębów, płyn do płukania ust i dwie szczoteczki do zębów. Powinna kupić jeszcze wygodne buty, ale torby z zakupami stały się ciężkie, a i dziąsło po usuniętym zębie zaczęło dawać się we znaki. Zakup butów odłożyła do jutra.

Kiedy wróciła do domu z zakupami, zastanawiała się, co powie stryjowi, jeśli go spotka. Na jej szczęście przebywał w kuchni. Ukradkiem udała się do swojego pokoju. Torby z zakupami postawiła w kącie obok łóżka. Siedząc wieczorem przed lustrem, zastanawiała się, co zrobić z włosami. Obciąć na krótko, a może skrócić do ramion? Bawiła się włosami. Czesła je do góry, robiła kok, plotła w warkocz, w dwa warkocz. Szkoda obcinać. Włosy będzie chować w czepek podczas przygotowywania posiłków bądź pleść w warkocz albo wiązać gumką.

Rzeczy, które miała zabrać na podróż, odkładała na osobną półkę. Mogła od razu pakować je do podróżnych walizek, lecz nie chciała, by stryj coś podejrzewał. Nie ufała mu. Bała się, że może zrobić jej na złość, a wtedy nici z wyjazdu.

Z zakupem wygodnych butów poszło gorzej. W miasteczku był tylko jeden otwarty sklep obuwniczy. Anna chciała kupić wygodne letnie półbuty, z wyciętym czubkiem na przodzie i odkrytymi piętami, zapinane na paseczek. Lecz gdzie znaleźć letnie obuwie w środku

zimy? Zrezygnowana kupiła białe tenisówki i brązowe damskie sandały na niskim, szerokim obcasie. Dokupiła trzy pary białych podkolanówek i pięć sztuk jasnobieżowych cienkich rajstop. Nigdy nie wiadomo, jaka pogoda jest w Syrii. Ostatnią pozycją na wyjazdowej liście były okulary przeciwsłoneczne. Te akurat zawsze miała przy sobie. Wsunęła je do kieszeni kurtki, w której wybierała się w podróż. Teraz wystarczyło spakować przygotowane rzeczy w pięć walizek. Miała tylko dwie na kółkach, jedną torbę podróżną i duży plecak. Dwa dni przed wyjazdem wieczorem zadzwonił Steve. Anna miała dyżur w kawiarence przy stołówce.

– Czy już spakowała pani walizki? – spytał.

– Prawie – odpowiedziała. – Wszystko gotowe, czekałam tylko na telefon od pana lub od profesora Batemana.

– Nie wierzy nam pani?

– Prawdę mówiąc, miałam trochę obiekcji – zawahała się. – To wszystko zdarzyło się trochę za szybko. Sama z obcymi facetami...

– Bez obawy. Zaopiekujemy się panią.

– Wszyscy?

– No... zgłaszam się na ochotnika. W razie czego obronię panią przed Arabami. Ćwiczyłem zapasy, grając w rugby.

– Brzmi pocieszająco.

– Za dwa dni przyjadę po panią.

– A o której?

– Wyjadę o ósmej rano, więc około dziesiątej powinienem być u pani.

– To do zobaczenia.

– No cześć.

Tak, stało się. Wyjeżdża na pół roku do Syrii. Czy dobrze zrobiła, przyjmując pracę kucharza nieznanym jej odkrywcom zaginionego miasta? Już za późno, by się wycofać.

Tej nocy z wrażenia nie mogła zasnąć, więc zaczęła się pakować. Bielizna osobista, cztery piżamy, dwa szlafroki, ręczniki w jednej walizce, w drugiej kosmetyki, podpaski, skarpetki, rajstopy. Śpiwór zwinęła w rulon. Zabrakło miejsca na buty. Otworzyła dużą walizkę i wyjęła z niej jeden z pięciu ręczników. Reklamówka z butami ledwo się zmieściła. Do torebki zapakowała małe pudełeczko, do którego wsadziła białe i czarne nici oraz trzy igły do

szycia. Zapomniała o przyborach do paznokci. Musiała schować je do torebki, bo w walizkach brakowało miejsca nawet na takie maleństwo. Położyła się spać o trzeciej w nocy. Trzy godziny później stryj zrobił jej pobudkę. Przyjechał samochód dostawczy i trzeba było przyjąć towar do magazynu. Ziewając, ubrana w granatowy dres, zeszła do kuchni. Przyjęła towar, po czym zrobiła sobie mocną kawę. Musiała się obudzić. Dzisiaj praca kiepsko jej szła. Nawet Dan, jej pomocnik, zauważył, że jest niewyspana.

– Ciężka noc? – spytał.

– Coś w tym rodzaju.

– To po co zabrałaś się za pieczenie tortu?

– To niespodzianka – uśmiechnęła się tajemniczo.

– Dla nas? – zdziwił się Dan.

– Świętujemy coś? – do rozmowy wtrąciła się Laura.

– Tak. Dowiecie się po południu.

Za wcześnie było mówić, że wyjeżdża na pół roku do Syrii, by gotować naukowcom z Atlanty.

Tego dnia było mało turystów i już o piątej po południu Anna mogła zrobić pożegnalny wieczór. Stryja na szczęście nie było w domu. Pojechał do znajomego mechanika na drugi koniec miasteczka. Anna otworzyła szampana i nałała go pracownikom, mówiąc:

– Kochani – podniosła kieliszek do ust – przez pół roku będziecie pracować beze mnie. Wyjeżdżam do pracy za granicę. A konkretnie do Syrii.

– Jak to? – Laura oniemiała.

– Co tam będziesz robić? – nie dowierzał Dan.

– Dlaczego do Syrii? – zaciekała się Jessica.

– Najpierw wypijmy, żeby moje wyjaśnienia lepiej wchodziły wam do głowy – wypła szampana.

Piątka pracowników opróżniła kieliszki. Anna ponownie je napełniła szampanem. W skrócie opowiedziała personelowi, jak przypadek sprawił, że została kucharzem naukowej wyprawy. Pracownicy życzyły jej bogatego Araba, a najlepiej potentata naftowego za męża. Dan i Robert dodali, że mają nadzieję, iż Anna znajdzie bryłę złota i niezwłocznie im ją prześle. Wtedy mogliby założyć własny dom wczasowy. Nie trzeba by wysłuchiwać narzekań

Pattona. Anna musiała również obiecać, że gdy tylko będzie na miejscu, wyśle kartkę, że bezpiecznie wylądowała. Laura poprosiła ją, by chociaż dwa razy w miesiącu przysyłała listy z wiadomością, jak jej się żyje w obcym kraju.

Nadszedł dzień wyjazdu. Anna ponownie przestudiowała kartkę, na której zapisywała, co jest jej potrzebne do wyjazdu. Odznaczyła wszystkie pozycje na liście, lecz miała wrażenie, że czegoś zapomniała. No tak. Nie zapakowała kucharskiego fartucha i czapki. Z trudem wcisnęła do plecaka dwa białe fartuchy i czapkę kucharską. Dan pomógł jej znieść walizki bliżej drzwi wejściowych. Położyła granatową kurtkę, błękitną apaszkę i białą czapkę na jednej z walizek. Ubrana w biały wełniany golf, czarny żakiet, czarne spodnie i krótkie czarne kozaczki na średnim obcasie czekała w stołówce na pojazd. Steve miał po nią przyjechać o dziesiątej. Pora poszukać stryja, powiedzieć mu o wyjeździe i oznajmić, że od jutra musi sobie radzić sam. Nie zdążyła opuścić stołówki. W drzwiach zaplecza pojawił się Patton.

– A ty się gdzie wybierasz? – spytał zaskoczony.

– Do Syrii. Zapomniał stryj?

– Przecież... – urwał.

– Wiem. Kiedy zadzwonili, odpowiedział im stryj, że zrezygnowałam. Tak się składa, że odezwali się jeszcze raz – następnego dnia. Ironia losu, prawda? – uśmiechnęła się szyderczo.

– Jak wyjedziesz, to nie masz po co wracać.

– Ja też cię kocham – posłała mu wymuszony uśmiech.

Mężczyzna zniknął w drzwiach prowadzących na zaplecze. „Jeszcze śmie mnie szantażować” – pomyślała Anna. „Jak mnie nie chce, to nie muszę tu wracać. Zamieszkać w jakimś cichym, ładnie położonym miasteczku na południu kraju, znajdę pracę i nie będę na niczyjej łasce”.

Minęła dziesiąta, dziesiąta piętnaście, trzydzieści, a Steve’a wciąż nie było. Stryj zaczął dogryzać Annie:

– No widzisz, jak dałaś się nabrać? – uśmiechał się kpiąco. – Masz ten twój wyjazd do Syrii. Trzech chłopów naopowiadało ci bajek, a ty głupia w nie uwierzyłaś.

– Może coś się stało? – odparła. – Jest ślisko.

– A stało się. Nabrali cię i tyle. Chcieli cię zawieźć do burdelu, ale twoje zdjęcie nie spodobało się handlarzowi. Spójrz na zegarek. Już jedenasta, a ich nie ma. Rozpakuj się, zostaniesz tutaj.

Miała dość wywodów stryja. Poszła do ubikacji, a następnie do swojego pokoju po małe tranzystorowe radio ze słuchawkami. Czuła się paskudnie, musiała posłuchać muzyki. Znalazła jakąś stację. Z głośników popłynęły dźwięki piosenki Phila Collinsa. Z radiem w ręku, powoli, nie śpiesząc się, udała się w stronę stołówki.

– Anno, telefon do ciebie – Lisa zakryła dłonią słuchawkę. – Jakiś Durell czy Duwell.

Pośpieszyła w stronę bufetu. Zgasiła radio i odruchowo schowała je do kieszeni żakietu.

– Halo, tu Anna.

– Przepraszam, ale...

– Nie jadę? – weszła mu w słowo.

– Jedzie pani. Wszystko dograne... Miałem kraksę.

– Nic panu nie jest?

– Mnie nie, ale mój samochód jest skasowany. Jakiś gościu wpadł w poślizg i staranował trzy samochody, w tym mój. Droga jest zamknięta na jakieś dwie godziny. Czekają mnie zeznania na policji, odholowanie samochodu. Trochę potrwa, zanim ktoś po panią przyjedzie. Zadzwońię do Paula, żeby załatwił jakiś samochód.

– A Steve? Przecież to on miał po mnie przyjechać...

– To prawda. Są małe problemy z pani paszportem i Steve musi oczarować pewną urzędniczkę, aby dzisiaj bez pani obecności wydała mu dokument.

– Rozumiem.

– Może jest jakiś autobus? Zwrócimy pani koszty przejazdu.

– Tak, jest autobus, lecz nie wiem, czy są wolne miejsca – spojrzała na zegarek. – Za pół godziny wyjeżdża do Atlanty.

– To ma pani mało czasu.

– Właśnie.

– A jak długo trwa podróż?

– W tych warunkach... – zastanowiła się – w Atlancie byłby za jakieś dwie i pół godziny. Dojeżdża do wschodniego dworca.

– Dobrze. Powiadomię Paula, że jedzie pani do nas autobusem.

– A jak się nie zabiorę?

– To proszę dzwonić bezpośrednio do niego.
– Tylko jest problem. Stryj zniszczył wizytówkę profesora.
– Aż tak źle zareagował na wiadomość o pani wyjeździe?
– Niestety.
– To niech pani zapisze numer – Durell podyktował jej domowy numer telefonu profesora Batemana. – Jak się pani nie zabierze autobusem, to Paul za jakieś trzy godziny przyjedzie po panią. Muszę kończyć, bo posterunek, z którego telefonuję, chyba przeze mnie zbankrutuje. To do zobaczenia.
– Do zobaczenia – odłożyła słuchawkę.
– I co? – zaciekawiał się stryj. – Zostawili cię na lodzie?
– Nie. Właśnie dostałam wiadomość, że profesor miał kraknę i nadal na mnie liczą. Liso, poproś Dana, aby się ubrał. Zawiezie mnie na przystanek.
Podeszła do walizek. Stryj oniemiały patrzył, jak wkłada kurtkę.
– Ale... Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę?
– Laura jest od dzisiaj szefem kuchni, Dan jej zastępcą, a stryjowi pozostało pilnowanie interesu – zawiązała apaszkę pod szyją. – Prawda, że niewiele pracy? Do zobaczenia za pół roku.
– Jak wpadniesz, to z brzuchem mi się tu nie pokazuj!
– Ja też cię kocham, stryju.
Zjawił się Dan. Wyniósł bagaże do samochodu. Pracownicy wyszli przed budynek, by pomachać Annie na pożegnanie. Za dwadzieścia minut odjeżdżał autobus. Bała się, że nie będzie wolnych miejsc. Miała rację. Był komplet pasażerów. Na szczęście trafiła na znajomego kierowcę, którego kiedyś uczyła jeździć na nartach. Do bagażnika zapakowała torbę podróżną, walizkę i plecak. Drugą walizkę wniosła do autobusu i usiadła na niej w przejściu przy ostatnich siedzeniach. Zatopiła się w myślach. Zastanawiała się, jak da sobie radę w nowych warunkach wśród obcych ludzi. Gdyby stryj traktował ją po ludzku, nie zdecydowałaby się na ten wyjazd. Lubiła swoją pracę, nawet mogła resztę życia spędzić w tym domu turystycznym, ale jak długo miała znosić docinki, głupie uwagi? Kiedy żyła ciocia, a dzieci przyjeżdżały w odwiedziny, stryj zachowywał się zupełnie inaczej. Był pogodny, zadowolony z życia. Gdy Bóg powołał ciotkę do siebie, Patton zmienił się. Nawet jego dzieci zauważyły tę zmianę i odwiedzają ojca tylko raz w roku, na

święta Bożego Narodzenia. Anna zastanawiała się, czy stryj zapisze jej majątek. Może kiedy wróci z Syrii, zacznie inaczej ją traktować. Liczyła na to, że gdy wyjedzie, stryj wreszcie ją doceni.

Spojrzała w okno. Na polach było mniej śniegu niż w górskich dolinach. Im bardziej oddalali się od górskich terenów, tym cieńsza warstwa białego puchu zaścielała krajobraz.

Po godzinie zwolniły się dwa miejsca. Anna mogła wreszcie wygodnie usiąść i rozprostować nogi. Coś gmiotło ją w biodro. Sięgnęła do kieszeni żakietu i wyciągnęła z niej radio tranzystorowe. Zupełnie o nim zapomniała. Odruchowo schowała je do kieszeni, gdy śpieszyła się do telefonu. Nawet dobrze, że ma je przy sobie. Dokupi ze dwa tuziny baterii paluszków i będzie miała czego słuchać podczas pracy. Ciekawe, czy służby celne pozwolą zawieźć radjko do Syrii?

Po dwupółgodzinnej podróży autobus dotarł do Atlanty. Anna wysiadła na dworcu i rozejrzała się uważnie. Nikt znajomy nie czekał na nią przy drugim stanowisku. Zebrała bagaże, podeszła do kiosku z gazetami i kupiła dwa komplety baterii do swojego radia. Za szybą wystawową zauważyła książkę kucharską zatytułowaną *Dania na upalne dni*. Poprosiła o nią. Dwudziestopięciokartkowa książka zawierała przepisy lekkich, dietetycznych dań, nieobciążających żołądka podczas męczących upałów. Kiedy zabraknie jej pomysłu na obiad, skorzysta ze ściągawki.

Zapłaciła za zakupy, usiadła na ławce i wbiła wzrok w przepisy kulinarne. Gdzieś w oddali usłyszała znajomy głos. Spojrzała w bok. Profesor Bateman pytał strażnika o ładną blondynkę z dużą liczbą walizek. Wstała z ławki, zarzuciła na ramiona plecak, zebrała bagaże i ruszyła w jego kierunku.

– Dzień dobry, profesorze – prawie krzyknęła.

– Anna? – mężczyzna spojrzał w jej stronę. – Nie poznałem pani – zbliżył się do niej, wyciągając rękę na powitanie. – A gdzie bagaże?

– Ze mną.

– To wszystko? Dwie walizki i torba podróżna?

– I plecak.

– To nie za mało?

– Przecież wyjeżdżamy tylko na pół roku.

Mężczyzna roześmiał się w głos. Anna nie rozumiała jego zachowania. O co mu chodzi? Wzięła wszystko, co potrzebne. Przecież nie jedzie na występy, tylko do pracy.

– Przepraszam. Ma pani poczucie humoru. Skoro to wszystko ma wystarczyć na pół roku, to chodźmy do samochodu – wzięł od niej torbę podróżną.

– Czy inni biorą więcej bagażu? – spytała z ciekawości.

– O tak, przynajmniej z osiem walizek.

– Po co aż tyle? Przecież w Syrii jest ciepło.

– Znam kobiety, które wyjeżdżając na dwa dni, pakują trzy olbrzymie walizki, bo nie mogą się zdecydować, co na siebie włożą.

– Nie kupiłam miedniczki – przypomniała sobie.

– Nie trzeba. Parę rzeczy kupimy na miejscu.

Dotarli na parking. Profesor zapakował walizki do bagażnika czerwonej toyoty. Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku peryferii miasta. Profesor Bateman mieszkał w raz z żoną w jednopiętrowej willi z garażem na dwa samochody, dużym ogródkiem, pełnym zimozielonych roślin i podgrzewanym basenem. W salonie zebrali się część uczestników wyprawy.

– Oto nasz kucharz, panna Anna Reed – profesor przedstawił ją pozostałym. – A to nasi uczestnicy wyprawy, studenci ostatniego roku archeologii. To jest Tom – zaczął wskazywać na chłopaków siedzących na kanapie. – Garry, Dan, David. To nasza tłumaczka, Bette – przedstawił szatynkę siedzącą w fotelu. – Jej mąż, Alex Daton – wskazał na mężczyznę siedzącego na oparciu fotela. – Dalej Barry Thomas z lokalnej telewizji – pokazał palcem na brodacza trzymającego w ręku aparat fotograficzny. – Ta blondynka na krześle to doktor Mary Parker. A to moja żona Christie – objął w pasie ładną szatynkę. – Jutro poznasz resztę załogi.

– Miło mi państwa poznać. Nie wiem, czy zdołałam zapamiętać wszystkie imiona. Na początku pewnie będę się mylić...

– Mówmy sobie po imieniu – wtrącił Tom.

– Tak będzie dobrze – powiedziała nieśmiało. – Szybciej przełamie lody i będzie mniej służbowo.

– Czyżbyś się nas bała? – spytał Tom.

– Zastanawiam się, czy podołam zadaniu, które przede mną stoi – przyznała.

– Jeśli będzie pani gotować tak smaczne potrawy jak groszek z parówkami w sosie pomidorowym, to nie ma się czego bać – pocieszał profesor. – A teraz żona pokaże pokój, w którym spędzi pani ostatnią noc w kraju.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Jak sobie życzysz.

Słowa „ostatnia noc w kraju” zabrzmiały złowieszczo. Anna poczuła się, jakby miała już nigdy tu nie wrócić. A może jest przewrażliwiona, bo cóż może jej się stać? Będzie co prawda w obcym kraju, ale w towarzystwie rodaków. Jedzie z całą grupą, jest amerykańską obywatelką, nigdy nie była karana, więc nikt nie ma prawa się do niej przyczepić.

Zajęła jednoosobowy pokój na poddaszu, przypominający lokum, jakie zamieszkiwała u stryja. Odświeżyła się i o trzeciej po południu razem z resztą zjadła spóźniony obiad. Podano rosół z drobnym makaronem, a na drugie danie kurczaka, frytki i surówkę z czerwonej kapusty. Na deser pani domu przygotowała sok pomarańczowy i pączki nadziewane marmoladą.

Mężczyźni cały czas omawiali sprawy wyjazdu. Wyliczali sprzęt potrzebny do odkopywania ruin z piasku. Dan odhaczał w notesie kolejne pozycje. Część sprzętu i urządzenia do odsypywania piasku dostaną od dyrektora muzeum w Damaszku. Na koniec doszli do sprzętu kucharza. Od garnków po plastikowe talerze. Od sztucców po nietłukące kubki. Wspomnieli o maszynce do mięsa, która nie będzie zbyt przydatna. W upale mięso szybko się psuje i lepiej nie ryzykować przetwarzania go w dużych ilościach. Zapomnieli o tarce do jarzyn, co Anna wyłapała w słownej wyliczance. Bateman pochwalił ją za bystrość. Usłyszała o zakupie dużych ilości zup, przypraw i sosów w proszku, które wraz z workami kaszy, makaronu i ryżu wysłano rano transportowym samolotem z pierwszą grupą. Olej do smażenia potraw miała dostarczyć grupa arabska. Annę zmęczyło słuchanie o wyprawie. Podziękowała za posiłek. Spytała panią domu, czy może zadzwonić do koleżanek, by powiadomić je, że dojechała do Atlanty i wszystko jest w porządku. Pani Bateman wskazała jej aparat telefoniczny znajdujący się w korytarzu. Anna rozmawiała krótko, nie chcąc narażać gospodarzy na koszty. Po rozmowie telefonicznej udała się do swojego pokoju. Znowu pojawiły

się wątpliwości. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zgadzając się na tę pracę. Nowe towarzystwo, nieprzyjazny kraj, wyzwanie, któremu musi sprostać bez niczyjej pomocy. Gdzieś w głębi czuła wewnętrzny niepokój, ale było już za późno, aby się wycofać. Zdjęła żakiet i z książką kucharską w ręku usiadła w fotelu. Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła pani doktor.

– Dobrze się czujesz? – spytała, wpatrując się w jej twarz.

– Tak. Czemu pani pyta?

– Skrzywienie zawodowe – usiadła na kanapie. – Przyszłam zapytać, czy masz wszystkie szczepienia. Paul zapomniał ci o nich powiedzieć.

– Przygotowałam się na taką ewentualność – sięgnęła do torebki. – Dwa lata temu byłam we Francji. Zaszczepiłam się na parę chorób – wyjęła z torebki małą książeczkę. – Zawsze noszę ją przy sobie.

– Mogę spojrzeć? – poprosiła pani doktor.

– Ależ tak – podała książeczkę. – Miałam jechać z chłopakiem do Afryki na wycieczkę... ale nie wyszło.

– Masz szczęście – z uwagą przeglądała stroniczki. – Gdybyś się nie zaszczepiła, musiałabym wstawić fikcyjne zaświadczenie. Strasznie tego nie lubię – oddała dokument. – Ale coś mało masz bagaży. Czy na pewno wzięłaś wszystko, co jest potrzebne na tak długą podróż?

– Profesor Durell opowiedział mi w dużym skrócie, co mam ze sobą zabrać.

– Może powiesz mi, co masz. Jeszcze jest czas, żeby coś dokupić. Tam, gdzie jedziemy, nie ma supermarketów.

Anna zaczęła wyliczać zawartość walizek, zastanawiając się, czy czegoś nie pominęła.

– W sumie masz wszystko – przyznała pani doktor. – Przydałby ci się tylko jeszcze koc i dmuchany materac.

– Niestety, nie pomyślałam o tym. Sądziłam, że śpiwór mi wystarczy.

– Teraz tak, ale kiedy przyjdą upały, w śpiworze będzie ci za gorąco.

– Mam przy sobie pieniądze, mogę kupić brakujące rzeczy.

– Nie martw się, mamy zapasowe koce, a materac pożyczymy od Christie. Jednak mam wrażenie, że zabrałaś za mało rzeczy na zmianę.

– Wzięłam środki piorące. Będę prać i suszyć.

– Mam nadzieję, że tam, gdzie jedziemy, nie będzie brakować wody – pani doktor wstała z kanapy. – Zazdroszczę kobietom, którym wystarczy parę ciuchów. Ja spakowałam sześć ogromnych walizek i uważam, że to za mało – podeszła do drzwi. – Chodźmy na kolację.

Anna ruszyła w ślad za nią. Panowie zasiadali do stołu. Wśród nich był Steve. Uśmiechnął się do dziewczyny. Wstał od stołu i gestem dłoni dał znać, by usiadła obok niego.

– Przepraszam, że nie wyjechałem po panią. Mam nadzieję, że bagaże nie okazały się zbyt ciężkie? – podsunął jej krzeselko.

– Nie – usiadła. – Dałam sobie radę z czterema bagażami. Podobno to za mało na półroczny wyjazd.

– To możemy podać sobie ręce – usiadł na krześle. – Ja też mam cztery sztuki bagażu. Plecak, dwie torby podróżne i walizkę.

– Jak to się stało, że to nie pan po mnie wyjechał, tylko profesor Durell?

– Skończmy z tym panem. Mam na imię Steve. Nie wyjechałem po ciebie... Mogę mówić ci po imieniu?

– Proszę.

– Miałem kłopoty z twoim paszportem – prawą dłonią sięgnął do kieszeni czarnej marynarki. – Potrzebny był twój dowód osobisty i podpis na jakimś papierze – podał jej paszport. – Dzięki mojemu urokowi osobistemu przełamałem barierę przepisów i oto paszport jest ważny na następne pięć lat.

– Dziękuję – odebrała dokument. – Panu Durellowi też nie udało się po mnie przyjechać.

– Słyszałem o kraksie, ale jak widzę, doskonale sobie poradziłaś.

– Dobrze, że kierowcą autobusu, którym przyjechałam do Atlanty, był mój znajomy. W przeciwnym razie ktoś musiałby po mnie przyjechać.

– Dobrze, że tylko tak się to skończyło. Durell jest cały, a samochód w warsztacie, nie odwrotnie.

W salonie pojawił się profesor Durell z żoną. Mieli małą niespodziankę. Przynieśli trzy litrowe butelki szampana. Wszyscy wypili za pomyślność wyprawy i o jedenastej wieczorem położyli się spać.

Anna długo nie mogła zasnąć. Po jej głowie tłukły się złe i dobre myśli. Kiedy już zasnęła, powrócił sen o ucieczce kamienistą drogą, zaroślach, moście zawieszonym między dwoma górami. Uczestnicy wyprawy przeszli przez most, wołali do niej, wyciągali dłonie. Stała po drugiej stronie, nie mogąc przejść, jakby nie miała siły albo była chora. Arabowie jechali na koniach. Widziała też czarnowłosego brodacza o śniadej cerze, ubranego na biało, w chuście na głowie przepasanej opaską z broszką w kształcie skorpiona. Mówił do niej: „Nie możesz ode mnie uciec... Nie możesz ode mnie uciec... Jesteś mi przeznaczona...”.

Zerwała się gwałtownie, siadając na łóżku. Czuła, jak jej serce mocniej bije, a pot spływa po ciele. Wciąż słyszała słowa: „Nie możesz ode mnie uciec”, jakby ktoś stał tuż za nią i szeptał jej do ucha te słowa. Zapaliła lampkę nocną, chcąc sprawdzić, czy na pewno jest sama w pokoju. Oprócz niej nikogo tam nie było. Spojrzała na zegarek. Czwarta czterdzieści pięć. Pobudka ma być o piątej trzydzieści, więc nie warto ponownie kłaść się do łóżka. Położyła lewą dłoń na czole. Wciąż miała przed oczami ten dziwny sen. Dlaczego właśnie teraz nawiedzają ją podobne koszmary? Powtarzają się i są bardzo realistyczne. Kim jest brodacz, którego twarzy nie zapamiętała?

„To wszystko przez stres związany z nową sytuacją” – pomyślała. „Skoro już nie śpię, umyję się, zanim reszta wyprawy zacznie oblegać łazienkę”. Wzięła pastę i szczoteczkę do zębów, mydło, ręcznik i wsunęła czepek na głowę. Wyszła na korytarz. Domownicy jeszcze spali, więc bez przeszkód zajęła jedną z dwóch łazienek na końcu korytarza.

O piątej trzydzieści ubrana w czarne spodnie i biały golf zeszła do kuchni. Pani Bateman krzątała się w niebieskim szlafroku. Anna przywitała się.

– Widzę, że jesteś gotowa do drogi – gospodyni była zaskoczona jej widokiem. – Czyżbyś nie mogła spać?

– To prawda. Już od pół godziny nie śpię. Nie mogłam zasnąć. Krótko spałam. To chyba przez ten wyjazd.

– Ja też mało spałam. Mój mąż nie wyjeżdżał jeszcze w tak długą podróż – położyła na stole drewnianą deskę. – Wiem, że mu się nic nie stanie, ale boję się o niego – wzięła do ręki chleb.

– Może pomogę przy śniadaniu?

– Ależ proszę. Nigdy nie robiłam śniadania dla tak licznej grupy – podała Annie nóż. – Do tej pory przygotowywałam je dla czterech osób. Dla nas i dzieci.

Anna zaczęła kroić chleb. Pani Bateman wrzuciła do wrzątku dużą ilość parówek.

– Czy wierzy pani w sny? – spytała Anna.

– W zasadzie nie... – zamyśliła się – ale miałam sny, które się sprawdziły. Czemu pytasz?

– Już po raz drugi powrócił do mnie ten sam sen. Nadal jestem pod jego wrażeniem. Kiedy rodzice zginęli w wypadku, miałam koszmary, a potem nic mi się nie śniło. Aż do dnia, w którym zdecydowałam się na ten wyjazd.

– A można wiedzieć, co ci się śniło? O ile to nie tajemnica...

– To żadna tajemnica... – zamyśliła się. – Śnili mi się Arabowie na koniach... Gonili nas, a raczej mnie... Uciekałam przez zarośla. Były też jakieś góry, kamienista droga. Most zawieszony między dwoma górami. Nie mogłam na niego wejść. Coś mnie powstrzymywało. Wszyscy byli już po drugiej stronie mostu, czekali na mnie, a ja stałam w miejscu. Pojawił się mężczyzna ubrany na biało... Arab czy Hindus... Mocno opalony, czarne włosy, czarny zarost... Nie pamiętam jego twarzy, ale na pewno miał na czole chustę, do której przypięta była broszka w kształcie skorpiona. Za pierwszym razem też mi się to śniło.

– Nie chcę cię straszyć, lecz ten sen wróży jakieś przeszkody. Może poznasz kogoś, kto ma w herbie skorpiona albo jest spod znaku skorpiona.

– Zaczynam się bać. Mam wrażenie, że nie wrócę do kraju.

– To tylko sen. Jak będziesz trzymała się grupy, nic ci się nie stanie. Musisz uważać i nie wdawać się w romanse z Arabami.

– Nie zamierzam tego robić. Arabowie nie są dobrymi ludźmi. Kobiety traktują jak niewolnice, a nie żony. Cenię wolność i swobodę

– rozłożyła pokrojone kromki chleba na dwie tace. – Ich kultura wielce różni się od naszej.

– Widzę, że orientujesz się w ich zwyczajach.

– Czytuję różne czasopisma.

– Zdradzę ci mały sekret. Mój mąż zatrudnił cię, bo przypominasz mu naszą córkę Katie. Poruszasz się jak ona, masz jej uśmiech. Tylko Katie jest wyższa od ciebie, pełniejsza na buzi. Poza tym to brunetka – wyjęła z lodówki keczup i dwa kartony mleka.

– A gdzie jest wasza córka?

– Wyjechała na studia do Anglii. Mam tam ciotkę, której dzieci przyjechały do Stanów, by się tu kształcić. Taka rodzinna wymiana. A co do snu: niczym się nie martw, będziesz pod dobrą opieką.

Gdy wstali studenci, zrobiło się gwaro. Każdy chciał być pierwszy w łazience. Anna zjadła śniadanie w kuchni. Dwie kromki chleba z dwiema parówkami popijała herbatą z cytryną. Barry zabrał się za filmowanie. Chciał utrwalić na taśmie ostatnie chwile przed wyruszeniem na lotnisko. Po śniadaniu zapakowali bagaże do wynajętego autobusu. Pojazd ruszył. Tak oto rozpoczęła się podróż do Syrii i reportaż zatytułowany *Wyprawa do zaginionego miasta*. Na lotnisku zostali sfilmowani po raz drugi, tym razem przez telewizję kanału pierwszego z Atlanty. Profesorowie Bateman i Durell udzielili wywiadu. Anna też znalazła się w kadrze. Bateman zażartował, że ich dalszy los zależy od kucharza. Anna nie udzieliła wywiadu, pomachała jedynie do kamery. Grupowe zdjęcie. Cała wyprawa pomachała do kamery. Odprawę paszportowo-celną przeprowadzono sprawnie i o ósmej trzydzieści wsiadali do samolotu. Steve usiadł obok Anny. Zauważył, że jest spięta.

– Boisz się latać samolotem? – zapytał.

– W zasadzie nie. To nie jest mój pierwszy lot... Gdzieś tam w środku czuję jednak napięcie.

– Wyluzuj się, przecież to nie ty będziesz pilotować ten samolot.

– I całe szczęście. Już na starcie byłaby katastrofa.

Do samolotu wsiadło dwóch spóźnionych pasażerów.

– To kolejni członkowie wyprawy – Steve wskazał ruchem głowy na mężczyzn. – Ten siwy to profesor Wolter Marchol, a ten drugi – antropolog Robert Harmon. Twarda sztuka.

– Skąd wiesz?

– Miał zaszczyt mnie uczyć.

– A nie odwrotnie? To chyba ciebie spotkał zaszczyt uczyć się u niego?

– Nie – zaprzeczył. – Zacytowałem go. Mawiał: „Mam zaszczyt was uczyć”.

– Ciekawe – rozejrzała się. – Ale jeśli dobrze widzę... miało być szesnaście osób, a jest trzynaście.

– Z tobą czternaście. Peter i Harry już wczoraj polecili z częścią sprzętu. Przygotowują teren. Będą czekać na nas na lotnisku.

– Proszę zapiąć pasy – dobiegł ich głos stewardesy. – Startujemy za trzy minuty. Życzę państwu przyjemnego lotu.

Kiedy samolot rozpoczął kołowanie na pas startowy, Anna kurczowo chwyciła się siedzenia. Steve dotknął jej dłoni. Ich spojrzenia spotkały się.

– Nie ma się czego bać – szepnął.

– Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Wróciły smutne wspomnienia.

Mężczyzna wzmocnił uścisk. Przyjemne ciepło jego dłoni sprawiło, że Anna poczuła się bezpieczna. Miała w samolocie swojego opiekuna. A może nie tylko tutaj?

Samolot wzbił się w powietrze i można było odpiąć pasy. Odetchnęła.

– Już lepiej? – spytał.

– Troszkę.

– Najlepszym lekarstwem na stres jest upić się albo pogadać.

– Tej pierwszej metody nie popieram, ale porozmawiać mogę.

Stewardesa przyjmowała zamówienia. Anna zamówiła lampkę białego półsłodkiego wina, Steve szklaneczkę koniaku.

– Powiedz mi – zaczęła – jeśli to nie jest tajemnicą, co was skłoniło do szukania zaginionego miasta?

– Dobre pytanie. Całe to zamieszanie wywołał profesor Bateman. Zaczął robić porządki na strychu uczelni i przez przypadek znalazł stary rękopis...

– To już wiem – wtrąciła.

– Ale nie wiesz – kontynuował – co w nim było napisane. Autor rękopisu jest nieznany. Brakuje też kilku kartek. W piśmie widnieje

data piątego sierpnia 1795 roku. Autor opisywał pobyt w małym arabskim miasteczku niedaleko granicy syryjsko-tureckiej. Pisał o nim w samych superlatywach. Nawet zakochał się w jednej Arabce. Musiał szybko wyjechać, by nie stracić życia. Po latach wrócił do Raju. Tak nazwał to miejsce. Jednak miasteczka już nie było. Wszystko zostało zasypane piaskiem, ocalało tylko źródło. To po nim poznał zaginione miasto. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało, bo wszyscy zginęli.

– To straszne. A kroniki syryjskie? Nie ma w nich ani słowa na ten temat?

– W syryjskich kronikach jest wzmianka o miasteczku, które zostało skreślone z mapy, bo mieszkańcy w tajemniczy sposób opuścili swoje domostwa. Spotkała ich kara Allacha. Z opisu w rękopisie wynika, że mieszkańcy byli samowystarczalni. Żywili się przeważnie kozim i owczym mięsem. Były tam ogrody, bujna trawa, na której pasło się wiele zwierząt, a źródło nigdy nie wysychało. Tak tam jest napisane. Ale ile w tym prawdy? Nie wiem.

Stewardesa przyniosła szklaneczki z zamówionym alkoholem.

– A może źródło wyschło, trawa i drzewa zwiędły, a mieszkańcy się wyprowadzili?

– Wtedy zostałyby choć ruiny. Domów przecież nie zabrali ze sobą.

– Domów nie. Przez lata wiatr nawiewał piasek i zasypywał mury domów, aż utworzył wydmy. Dlatego nic nie widać.

– Otóż to – zamyślił się. – To ciekawa teoria. Minęło dwieście lat... Mogło być tak, jak mówisz.

– A wy teraz chcecie rozwikłać tę zagadkę?

– No właśnie.

– A jeśli to, o czym pisał autor rękopisu, to zwykła pisanina, to co zrobicie?

– No cóż. Okaze się, że paru wariatów zmarnowało pieniądze podatników, bo przeczytało bajkę. Ale nie martw się, miasteczko istniało. Mamy mapę i dokładne wyliczenia. Wystarczy odkopać miasteczko, a raczej to, co z niego zostało, zabezpieczyć ruiny. Może uda nam się rozwikłać tajemnicę jego zniknięcia. Część wydatków pokrywa muzeum w Damaszku. Ono też ma wyłączne prawo do znalezisk.

- A wy macie figę.
 - Nie. Dzielimy się po połowie, ale oni decydują, co zatrzymują dla siebie, a co my możemy podarować muzeum w Stanach. My również mamy wyłączność na nakręcenie filmu o naszych poczynaniach.
 - Będziecie sławni.
 - Ty też.
 - Dlaczego ja? – nie rozumiała.
 - A jak sądzisz? Od kogo ma zależeć nasza siła? Spojrzała mu w twarz, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi.
 - Od kucharza. Jak będziemy dobrze jeść, to szybciej dokopujemy się do ruin, chyba że słońce wysuszy nas na wiór.
 - Schlebiasz mi. Mam nadzieję, że wszystkim będą smakować moje potrawy, bo nie zamierzam gotować dla każdego z osobna.
 - Tak źle to nie będzie.
 - Zastanawiam się nad wystawieniem jadłospisu.
 - Lepiej nie – zaprzeczył.
 - Dlaczego?
 - Niektórzy mogliby zacząć kręcić nosem. Jak zobaczą potrawy w garnkach, będą musieli zjeść to, co im przygotowałam.
 - A czym dostaniemy się do celu podróży? – spytała.
 - Wojskowym samolotem transportowym polecimy do Aleppo, a stamtąd pojedziemy samochodami do Obbia. To taka mała wiejska miejscina. Nasz cel znajduje się osiem mil dalej, a jeszcze dalej, jakieś dwadzieścia mil, jest granica turecka.
- Była tak zajęta rozmową ze Stevem, że nie zauważyła, kiedy znaleźli się nad oceanem. Stewardesa przyjmowała zamówienia na posiłki. Anna zamówiła sałatkę warzywną polaną oliwą z oliwek i smażoną pierś z kurczaka, a do tego kieliszek półwytrawnego białego wina. Steve nie chciał być gorszy. Zażyczył sobie pieczone udko, frytki i kieliszek białego wytrawnego wina. Krótco czekali na zrealizowanie zamówień.
- Jak ja nie lubię dań odgrzewanych w mikrofalówce – przyznała. – W niczym nie przypominają tradycyjnie przygotowywanych potraw. Ich smak jest niewiadomego pochodzenia.
 - Tak? – spojrzał na nią. – To jaki smak ma twój kurczak?

- Tygodniowej cielęciny pachnącej wiatrem.
 - Lepiej było nie pytać – napił się wina. – Znam ten smak. Od dziesięciu lat jadam w stołówkach, barach i tak naprawdę nie znam smaku domowych potraw.
 - Nie jesteś żonaty?
 - Nie mam czasu na randki... To nie znaczy, że nie spotykam się z kimś – znów napił się wina. – Nie jest to nic poważnego. Oboje pracujemy, więc mamy dla siebie niewiele czasu.
- Zapadła krótka cisza. Steve sądził, że Anna będzie chciała dowiedzieć się czegoś więcej, lecz nie doczekał się pytań.
- A ty masz kogoś? – przerwał ciszę.
 - Nie... I pewnie długo nikogo nie będę miała.
 - A to dlaczego? Niespełniona miłość?
 - Coś w tym rodzaju – dopiła wino.
 - W twoim domu wypoczynkowym panuje duży ruch, prawda?
 - No tak, ale ci, którzy przyjeżdżają na wypoczynek, są już zajęci.

*

O trzeciej po południu czasu lokalnego samolot wylądował na lotnisku w Damaszku. Na dworze panował upał, było dwadzieścia osiem stopni. Ciepłe kurtki i golfy nie były potrzebne. Kiedy wysiadali z samolotu, podmuch suchego, gorącego powietrza musnął ich twarze. „Niełatwo będzie żyć w takich warunkach” – pomyślała Anna. „Ale za to wspaniale się opalę”.

Tubylcy z uwagą przyglądali się Amerykanom. Spojrzenia mężczyzn skupiły się na niebieskookiej blondynce. Rozpuszczone długie blond włosy, zgrabna sylwetka, obcisły biały golf podkreślający kształtne piersi pobudziły ich wyobraźnię. Anna nie zwracała uwagi na ludzi znajdujących się w poczekalni lotniska. Skupiła się na odebraniu swoich bagaży.

Całą grupę odprawiało trzech celników i lekarz. Nieważne, że zostali przywitani przez władze muzeum i mieli legalne dokumenty – przepisy dokładnie mówiły, że trzeba sprawdzić każdego turystę. Wszystko szło dobrze, dopóki arabski lekarz nie zajrzał do karty szczepień Anny. Brakowało jednego – przeciw cholerze. Lekarz

oznajmił, że należy poddać kobietę dwutygodniowej kwarantannie, zwłaszcza że będzie mieszkać w Syrii pół roku. Nie pomogły nawet zapewnienia doktor Mary Parker, że Anna przeszła wszystkie szczepienia i tylko z pośpiechu to jedno zostało przeoczone. Wreszcie do akcji wkroczył Steve. Szepnął coś na boku. Celnicy roześmiali się, spoglądając na kobietę. Lekarz machnął ręką i oddał mężczyźnie dokumenty Anny.

- Co ty im takiego powiedziałaś? – spytała dziewczyna.
- Nie pogniewasz się na mnie, jak ci powiem? – spojrzał na nią.
- No, nie wiem... To zależy, co im powiedziałaś.
- Przysięgnij z ręką na sercu, że nie pogniewasz się na mnie.
- No dobra – położyła lewą dłoń na sercu. – Przysięgam.
- Powiedziałem im coś takiego...

Reszta grupy nastawiła uszu.

– Powiedziałem, że jesteś naszym kucharzem i bez ciebie pomrzemy z głodu. Cholera cię bierze, kiedy przypalisz wodę, spalisz mięso, złamiesz paznokieć i kiedy twój mężczyzna zaniemoże w łóżku.

– I to miało być śmieszne? Ja nie widzę w tym nic zabawnego. A wy? – zwróciła się do kolegów.

– To nic śmiesznego... – padły pojedyncze słowa.

– Wystarczy, że im się podobało – skwitował Steve – i oddali twoje dokumenty.

– Trochę to zabawne – przemyślał David. – Moja dziewczyna też się wścieka, kiedy złamie paznokieć.

– To po co je zapuszcza? – podchwycił Dan.

– Żeby mieć na co się wściekać – zażartował Garry.

Studenci zaczęli się śmiać. Zrobiło się weselej i odprawa celna nie była już tak męcząca. Kiedy celnicy skończyli przeglądać bagaże poszczególnych członków załogi, zabrali się za sprawdzanie kontenerów z żywnością. Celnikom towarzyszyli profesor Bateman, Bette i Steve, a reszta grupy udała się do toalety, by przebrać się w coś lżejszego. Anna wyjęła z podręcznej torby cienką kolorową bluzkę z długim rękawem i założyła ją na siebie. Golf i kurtkę wcisnęła do plecaka. Związała włosy gumką, po czym skryła je pod niebieską apaszką. W kiosku kupiła dwie pocztówki, na których skreśliła słowa pozdrowień. Jedną kartkę zaadresowała do stryja,

drugą do personelu domu wczasowego. Niech wiedzą, że szczęśliwie wylądowali w Syrii, a Patton niech się przekona, że wyjazd okazał się prawdą.

Po odprawie celnej ponownie przeszli na płytę lotniska, gdzie czekał na nich wojskowy samolot transportowy. Byli tam też pracownik muzeum i przewodnik. Załadowali bagaże i sprzęt, by pół godziny później odlecieć do Aleppo. Po drodze zaskoczyła ich burza i pilot musiał zmienić kurs. Ciężkie, czarne chmury przysłaniały niebo. Anna znów zaczęła się bać. Właśnie przez załamanie pogody i gwałtowną burzę rozbił się samolot, którym podróżowali jej rodzice i brat.

Późnym wieczorem, z godzinnym opóźnieniem wylądowali w Aleppo, gdzie czekali na nich Peter Fox i Harry Robie. Wynajętym autobusem udali się do hotelu. Wszyscy byli zmęczeni i wyczerpani długą podróżą. Przyjemnie było wziąć prysznic i zjeść ciepły posiłek. Nie wszystkim się to jednak udało. Studenci nie umyli się i nie zjedli kolacji, tylko od razu położyli się spać w ubraniach. Anna dzieliła skromny, lecz czysty pokój z panią doktor i Bette. Nieważne, że ta ostatnia miała męża. W tym hotelu kobiety i mężczyźni spali osobno. Panowie z amerykańskiej grupy archeologów mieli do dyspozycji dwa przejściowe pokoje. W każdym z nich stało sześć łóżek. Było ciasno, ale za to tanio. Nie zdążyli się wyspać, a już trzeba było wstać. Zapomnieli o zmianie czasu, do której musieli się w krótkim czasie przyzwyczaić. Prysznic, lekki posiłek i kolejna podróż do celu.

Ostatnim przystankiem przed rozbiciem obozu, mała wioska Obbia. Bateman miał dla kolegów złą wiadomość. W nocy ktoś włamał się do zamkniętego hangaru na lotnisku i ukradł jeden z pięciu zakupionych transportowych łazików, naruszył paczki ze sprzętem i kontener z żywnością. Przyjechała policja. Właśnie zabezpiecza ślady kradzieży. Profesorowie Bateman, Durell, Steve i Bette musieli udać się na lotnisko, by sprawdzić, co zginęło z ich bagaży. Kolejny zmarnowany dzień. Ale nie wszyscy byli zasmuceni tym faktem. Można było spokojnie odespać różnicę czasu i poleniuchować. Około południa Bateman zrobił zbiórkę całej ekipy. Poinformował wszystkich o stratach. Potwierdziła się wiadomość o skradzeniu jednego z pięciu łazików. Spośród tych, które zostały, jeden zniszczono. Skradziono akumulator, przebito koła

w przyczepie. Skradziono paczkę z mięsnymi konserwami, przyprawami, worek ryżu i cukru oraz najcenniejszą rzecz: ultrasonograf do odszukiwania przedmiotów zakopanych pod ziemią. Bez niego ciężko będzie natrafić na ruiny zaginionego miasta. Czeka ich kopanie na oślep.

Wiść o okradzeniu amerykańskich naukowców dotarła do władz miasta oraz przedstawicieli muzeum. Ku miłemu zaskoczeniu ekipy Amerykanom zaoferowano pomoc w postaci osobowego busu z kierowcą. Podarowano im też dwa worki cukru i sto puszek gulaszu z baraniny. Niestety, ryż był w Syrii zbyt drogi, by się nim dzielić. Przedstawiciel władz miasteczka przeprosił Amerykanów za haniebnny występki, obiecując, że policja postara się szybko złapać sprawcę i surowo go ukarać.

„Kradzież w arabskich krajach jest karana śmiercią bądź ucięciem ręki. Któż mógł dopuścić się takiego czynu, narażając własne życie?” – pomyślała Anna. „A może to sabotaż? Komuś się nie podoba, że Amerykanie będą grzebać w ich świętej ziemi”.

Późnym popołudniem pod eskortą wojska ruszyli do Obbia. Było gorąco, na niebie nie widzieli ani jednej chmurki. Lekko wiejący wschodni wiatr nie przynosił ulgi. Otwarte okna w busie, którym jechali, sprawiały, że czuli się jak w klimatyzowanym pojeździe. Oddychanie również było dużo łatwiejsze. Opuścili wąskie uliczki miasteczka, przyglądając się pożółkłej trawie, na której pały się wychudzone czarne i czarno-białe kozy. Studenci prowadzili krótkie rozmowy, komentując umykające pustynne krajobrazy. „My narzekamy na częste opady deszczu, a zimą – śniegu, z kolei ludzie tutaj pewnie codziennie przeklinają słońce, wypatrując deszczu” – pomyślała Anna. „Mówią, że Arabom nie chce się pracować, ale jak można robić cokolwiek w takim upale, kiedy nawet w nocy jest gorąco, a w tutejszych domach nie ma klimatyzacji?”.

Dwadzieścia mil za miastem zjechali z asfaltowej szosy na wyboistą polną drogę. Było im niewygodnie, samochody musiały zwolnić. Anna wyobrażała sobie, że w wiosce, do której zmierzają, stoi parę glinianych domków przykrytych trzcina, a jej mieszkańcy to biedni, schorowani staruszkowie. Myliła się. Kiedy wjechali na wzgórze, w oddali zza drzew wyłoniły się zbudowane z białego kamienia piętrowe budynki pokryte czerwoną dachówką. Było też

widać stajnie dla kóz i owiec zbudowane z drewna. Gdzieś w oddali musiała być rzeka, gdyż trawa była tu zielona, rosły drzewa pomarańczowe i mandarynkowe oraz palmy. Dziesięć mil dalej rozciągały się pasma gór.

– Nie jest źle – przyznał Bateman. – Jakoś przeżyjemy te pół roku.

– A jak nie, to wywiozą nas nogami do przodu – zażartował Steve.

– A jak zbadacie ruiny miasta za trzy miesiące, to wrócimy wcześniej do kraju? – spytała Anna.

– Wszystko jest możliwe – nie zaprzeczył Bateman.

Kiedy pojazdy zatrzymały się przed okazałym budynkiem, z pobliskich mniejszych domków zaczęli wychodzić ciekawscy gapie. Mężczyźni ubrani w sięgające do kostek czarne stroje, obuci w skórzane brązowe sandały, podchodzili do samochodów. Wśród tubylców nie było kobiet, jedynie dzieci stojące w drzwiach odważyły się wychylić swoje małe główki i z przestachem w oczach wpatrywały się w nieznanym.

– Czy ktoś umarł? – spytała Anna.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwił się Steve.

– Bo wszyscy są ubrani na czarno.

– Nie, nikt nie umarł – zaprzeczył Durell. – Tutejsi ludzie ubierają się w ten sposób.

– Okropność. Biel uchroniłaby ich od słońca – Anna rozejrzała się. – Upięknij się w tej czerni.

– Oni tak piekają się od pokoleń – mówił Steve. – Jak wyjdiesz z samochodu, poczujesz zapach spalonego ciała.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Anna uznała jego wypowiedź za niesmaczny żart.

– Bardzo śmieszne – wzruszyła ramionami.

Z budynku wyszedł starszy mężczyzna ubrany w białą koszulę i czarne bufiaste spodnie. Biały fez na jego głowie przepasany był czarnym plecionym rzemieniem. Posiwały zarost świadczył o tym, że już nie jest młody. Kapitan powitał go i wymienili parę zdań po arabsku. Przewodnik poprosił, by Amerykanie wysiedli z pojazdów.

– To taki wasz odpowiednik burmistrza tej wioski, Abdul Gani – przedstawił przewodnik. – Przez trzy dni będziecie jego gośćmi.

Kobiety zamieszkają w jednym domu – wskazał budynek po przeciwnej stronie podwórka – a mężczyźni w drugim. A teraz przedstawię was burmistrzowi. Mówcie, kim jesteście. Będę tłumaczył.

W pierwszej kolejności przewodnik zaczął przedstawiać mężczyzn. Abdul Gani bacznie przyglądał się każdemu z osobna. Jego twarz rozpromieniła się, gdy przedstawiono mu kobietę lekarza. W wiosce są chore osoby, do miasta daleko, a i z pieniędzmi u nich krucho. Za poradę lekarską mogą zapłacić kozim mięsem lub skórami. Abdul Gani nie pozostał obojętny na widok niebieskookiej jasnowłosej dziewczyny. Szepnął coś w swoim języku i pokiwał głową. Tłumacz uśmiechnął się, nie tłumacząc jego słów. Nie musiał tego robić. Stojąca nieopodal Bette doskonale go zrozumiała.

– Ten stary świntuch ma na ciebie ochotę – szepnęła do Anny.

– Chyba wszyscy tu obecni mają na nas ochotę – zauważyła. – Zaraz oczy wyjdą im z czaszek – poprawiła chustkę, zakrywając włosy.

Po krótkiej prezentacji dwaj wyznaczeni przez burmistrza słudzy zajęli się gośćmi. Jeden z nich poprosił mężczyzn, by poszli z nim do domu swego pana, a drugi poprowadził kobiety do innego budynku. Pokój dla kobiet znajdował się na parterze. Pomieszczenie było skromne, ale czyste, brakowało zastół i firanek. Cztery drewniane łóżka, sienniki wypełnione sianem, a na nich kraciaste szaroczarne koce, poduszki obleczone owczą skórą. Pośrodku pokoju stał wąski stół, a obok niego dwie drewniane ławki bez oparc. Za drewnianą szafą w kącie, do której na linie doczepionej do ściany przywiązana była szara gruba kotara, znajdował się wąski stolik, dwie brązowe emaliowane, lekko obite miednicę i wiaderko. Brakowało umywalki, sedesu. Zamiast prądu do oświetlenia pomieszczeń używano świec lub lamp naftowych. Im trafiła się lampa naftowa.

– Nie jest źle – stwierdziła pani doktor, stawiając walizkę na ławce.

– Może to nie jest pięciogwiazdkowy hotel, ale jakoś wytrzymamy te trzy dni. W namiotach będzie gorzej – podsumowała Bette.

– Gdyby przystroić te ściany pięknymi widoczkami, byłoby przytulniej – powiedziała Anna. – Zamiast koczować w namiotach, mogłybyśmy mieszkać w tym domu przez pół roku.

Za oknami zebrały się dzieci. Z przyklejonymi do szyb twarzyczkami obserwowały poczynania kobiet. Pani doktor i Bette zajęły łóżka stojące pod ścianą. Annie pozostało jedno z posłań pod oknem. Wybrała to znajdujące się bliżej szafy. Młody chłopiec przyniósł im wiadro pełne czystej wody. Bette spytała o ubikację. Chłopiec poprosił, by kobiety wyszły z budynku. Kiedy stały w progu, wyciągnął przed siebie lewe ramię i palcem pokazał stojącą dwadzieścia metrów dalej, wśród ciernistych krzaków, drewnianą budkę, z trzech stron obitą deskami. Drzwi zastąpiła gruba czarna zasłona. Jak powiedział, zbudowano tę budkę specjalnie dla Amerykanów, bo oni używają papieru do wycierania tyłków, a Arabowie posługują się w tym celu wodą, bo tutaj brakuje papieru, poza tym nie mieliby co z nim zrobić. Kiedy goście zza oceanu wyjadą, budka zostanie jako pamiątka i będzie się z czego naśmiewać. To jedno wiadro, które mają, służy do sikania. Nie radził też kobietom wychodzić w nocy do budki, bo mężczyźni wszystko obserwują.

Kiedy Bette przetłumaczyła słowa chłopca, panie nie mogły powstrzymać się od śmiechu.

– No to kupka w dzień, siusiu w nocy – podsumowała Mary.

*

Abdul Gani okazał się gościnnym człowiekiem. Kazał zabić dorodnego barana, rozpalić ognisko, a kiedy mięso było gotowe do spożycia, zaprosił Amerykanów do przygotowanego na dworze stołu. Jego kobiety przyniosły pomarańcze, mandarynki i ananasy. A że Arabowie nie piją mocnych trunków, podano ziołową herbatę. Zapach pieczonego mięsa pobudził soki trawienne. Barry z kamerą w dłoniach filmował biesiadę. Gospodarz domu w towarzystwie rady starszych wypytywał gości o prawdziwy cel wizyty, bo w poszukiwaniu ruin starego miasta nie bardzo wierzył. Tłumacz przełożył słowa Arabów, a Bette poprawiała jego słabą znajomość słów z dziedziny archeologii.

Zbliżała się północ. Zmęczenie dawało się we znaki. Zmiana czasu i ciężki, tłusty posiłek przed snem sprawiły, że Amerykanie marzyli tylko o spoczynku. Nie udało się doprosić o zasłony w oknach, więc jedynym wyjściem było zasłonięcie małych, wąskich okien ręcznikami, by mężczyźni z wioski nie podglądali kobiet, gdy będą przebierać się w piżamy i kłaść spać.

Tej nocy Anna miała piękny sen. Była w ogrodzie pełnym zieleni i kwiatów. Na każdej rabatce rosły kwiaty jednego gatunku, a kolory tworzyły wielobarwny dywan. Pośród kwitnących pnączy i wysokopiennych róż znajdowała się fontanna. Na jej środku widniały trzy figurki w kształcie skorpionów zetkniętych ze sobą brzuchami. Ogony były wzniesione ku górze, a z kolców wytryskiwała woda. Obok fontanny stał czarnowłosy, śniady, przystojny mężczyzna. Jego twarz pokryta była czarnym zarostem. Nieznajomy miał na sobie białą szatę, a jego głowę przykrywała biała chusta przepasana ciemną opaską z broszką w kształcie skorpiona. Oboje przeszli do okazałego pałacu, którego wnętrze przypominało muzeum. Ze snu zbudził ją męski głos:

– A oto, proszę państwa, nasza kucharka, Anna Reed...

Anna obróciła się powoli, podnosząc powieki. Wciąż czuła zapach kwiatów i miała przed oczami wnętrze pałacu. Barry Thomas z kamerą na ramieniu filmował, jak kobieta budzi się ze snu. Uśmiechnęła się. Barry mówił dalej:

– Dzisiaj jest pierwszy dzień pracy naszego kucharza. Anna zasnęła i chce, żebyśmy umarli z głodu.

– To już tak późno? – usiadła na łóżku, odrzucając koc na bok.

– Jaka ładna piżma, a już myślałem, że nasz kucharz śpi w koszuli nocnej i wstając, pokaże mi swoje nogi.

– Wyłącz to – rzuciła w niego poduszką.

– Czyś ty zwariował? – obudziła się pani doktor. – Jest szósta rano.

– Nie przestawilo się zegarka – mężczyzna skierował w jej stronę kamerę. – Ale jakie piękne ujęcie można uchwycić z rana, jakiego kaca ma nasza załoga.

– Oszczędzaj film na lepsze okazje – pani doktor zakryła twarz dłonią.

– To gdzie mam gotować? – ziewnęła Anna.

- Gdziekolwiek – powiedział Barry. – Nawet tutaj.
- A gdzie sprzęt? – spytała Anna.
- Już ci to zorganizowałem – wyłączył kamerę. – À propos, jest ósma rano, nie szósta. Pani doktor źle chodzi zegarek.
- Przecież go przestawiłam – spojrzała na zegarek i przystawiła go do lewego ucha. – No tak, stanął. Zapomniałam go nakręcić.
- Po pięciu minutach pojawił się Barry w towarzystwie Toma i Garry’ego. Przynieśli przenośną kuchenkę gazową. Podłączyli do niej butlę. Garry przyniósł pięciolitrowy czajnik pełen czystej, świeżej wody, a chłopcy chleb, mięsne konserwy, paczkę herbaty, dwa noże i półmiski na kanapki. „Kanapki mogliby zrobić sobie sami” – pomyślała Anna. „Do tego kucharz nie jest potrzebny”. Podpałała palnik z gazem pod stojącym na kuchence czajnikiem, po czym udała się do znajdującej się za zasłoną „łazienki”. W zimnej wodzie umyła zęby i ważniejsze części ciała. Włożyła na siebie czystą bieliznę, czarne spodnie i luźną niebieską koszulkę z bawełny. Była gotowa do przygotowywania kanapek. Kiedy Bette i pani doktor się umyły, pomogły Annie w robieniu śniadania. Przez szpary w oknach zaczęły wlatywać muchy.
- Co wam się śniło dzisiejszej nocy? – spytała Bette.
- A bo ja pamiętam... – ziewnęła pani doktor. – Najpierw nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie się udało, trzeba było wstać.
- Prześni się pani po obiedzie – powiedziała Anna.
- Jak mi te muchy pozwolą – dłońmi odganiała od siebie owady.
- Mówią, że to, co się przyśni w nowym miejscu, na pewno się sprawdzi – odezwała się Bette.
- Coś takiego! – Anna uśmiechnęła się. – Jak mój sen się sprawdzi, to uwierzę we wszystkie następne.
- Tak? A co ci się śniło? – spytała zaciekawiona Bette.
- To był piękny sen – rozmarzyła się Anna. – Tylu kwiatów w życiu nie widziałam. Byłam w pięknym ogrodzie i w pałacu przypominającym muzeum. W ogrodzie była fontanna, na jej środku trzy skorpiony przytulone do siebie brzuchami. Z ich ogonów wytryskiwała woda.
- Czysta czy brudna? – spytała Bette.
- Czysta. Krystaliczna. Było widać dno.
- A jakiś mężczyzna też ci się przyśnił? – spytała pani doktor.

– O tak... Nie pamiętam go dokładnie – próbowała sobie przypomnieć. – Na pewno miał czarne włosy, zarost na twarzy, był ubrany na biało i miał chyba turban na głowie albo chustę, opaskę z broszką w kształcie skorpiona, którego grzbiet był zrobiony z dużego czerwonego rubinu.

– Gdybym ja miała takie sny... – westchnęła pani doktor. – Od dwóch lat jestem rozwódką, mam trzydzieści sześć lat, a jedynie, co mi się śni, to kłótnie z byłym mężem.

– Annę czeka wielka miłość – Bette uśmiechnęła się. – Kto wie, może ślub z mężczyzną, który się jej przyśnił.

– Nie żartuj ze mnie. Przecież to nasz drugi dzień w nowym miejscu, nie pierwszy, więc sen nie ma szans się sprawdzić.

– To nasz drugi dzień w obcym kraju, ale pierwsza noc w nowym miejscu – zauważyła pani doktor. – Będziemy tu mieszkać pół roku.

– Nie wierzę w sny – Anna wzruszyła ramionami. – A tobie, Bette, co się śniło?

– Przyśniło mi się, że zaszłam w ciążę – mówiła z uśmiechem. – Tak bym chciała, żeby to się sprawdziło. Jesteśmy z Alexem już trzy lata po ślubie i nic. Kochamy się od pięciu lat, po ślubie przestałam się zabezpieczać i nic.

– A byłeś z tym u lekarza? – zaciekawiała się Mary.

– Tak. Mówią, że wszystko w porządku, oboje jesteśmy zdrowi. Mój lekarz twierdzi, że trzeba tylko czekać na odpowiedni moment – odegnęła dwie muchy fruujące nad kromkami chleba z pokrojoną w plasterki mięsną konserwą. – Tylko nie mam pojęcia, kiedy ten moment nastąpi.

– Ja też chciałam mieć dziecko – zwierzała się Mary – ale mój mąż uważał, że mamy czas. Kiedy dojrzał do tej decyzji, dostałam lepiej płatną pracę i plany znowu trzeba było przełożyć. Oddaliliśmy się od siebie, więc znalazł sobie młodszą. Rok po ślubie urodziły im się bliźniaki.

– Jeszcze znajdzie pani kogoś odpowiedniego dla siebie – pocieszała ją Anna. – W końcu jest pani wykształconą, atrakcyjną kobietą, za którą oglądają się mężczyźni, tak jak wczoraj na lotnisku i w hotelu.

– Dziękuję – uśmiechnęła się. – Może spodobam się jakiemuś bogatemu Arabowi.

– Wszystko możliwe – przytaknęła Bette. – Przez pół roku wiele może się wydarzyć.

– Nie, dziękuję – zaprotestowała Mary. – Arabowie to psy na ładne kobiety. Mogłabym zostać piątą albo szóstą żoną. Wolę rodaka.

*

Na przygotowanym przez kobiety śniadaniu pojawiło się niewielu panów z amerykańskiej ekipy. Wczorajsza suta uczta zaszkodziła kilku z nich. Profesor Bateman nie mógł patrzeć na jedzenie, wypił tylko kubek gorzkiej kawy. Marchol nie mógł podnieść głowy z poduszki, Steve'a bolał żołądek, Durell, nieprzyzwyczajony do tłustego mięsiwa, miał rozwolnienie i większość dnia spędził w ubikacji. Pani doktor udzielała im pierwszej pomocy. Jedynie studenci czuli się dobrze. Siedzieli z dala od burmistrza i jego świty, jedli mało i uważali, by woda była dobrze zagotowana.

Po śniadaniu zostało sporo kanapek. Aby się nie zepsuły, kobiety rozdały je dzieciom, które bez przerwy obserwowały Amerykanów.

Po lekkim obiedzie, czyli zupie jarzynowej z przywiezionych w puszkach warzyw, profesorowie wraz z przewodnikiem i burmistrzem wioski wyruszyli w poszukiwaniu miejsca na obóz jak najbliżej terenu, na którym, jak wskazywała stara mapa, znajduje się zaginione miasto. Według mapy ruiny zaginionego miasta miały leżeć osiem mil od wioski pod zwałami piasku. Obóz amerykańskiej ekipy powinien stanąć jak najbliżej, czyli jakąś milę od tego miejsca. Burmistrz zaproponował badaczom ładne miejsce na stepie, półtorej mili przed pustynią i pół mili przed niewielką oazą. Rosły tam trzy kokosowe palmy, niskie, cierniste, kwitnące na czerwono krzewy. W kamiennej rozpadlinie, szerokiej na dziesięć i wąskiej na pięć kroków, zbierała się krystalicznie czysta woda. Mieszkańcy wioski nazwali to miejsce „znikającą wodą”, ponieważ każdego dnia w południe wody zaczyna ubywać i tuż przed nocą szczelina jest pusta, jakby słońce wypijało zawartość źródła. Nie wiedzieć czemu tuż po wschodzie szczelina napęla się z powrotem. I tak od zarania dziejów. Czasem woda przelewa się, pojąc rosnące wokół źródła rośliny. Abdul Gani zakazał niszczenia tego miejsca pod

groźbą surowej kary. Wspomnił, że miało tam schadzki dwoje zakochanych ludzi. Pradziadek Saida El Dżajada, pana wielkiej posiadłości, która znajduje się za niewielkimi górami (wskazał na wschód w kierunku niskich pagórków) mówił, że księżę spotkał tutaj swoją przyszłą żonę. Była to Angielka o niebieskich oczach i ciemnoblonde kręconych włosach. Była córką naukowca, który też szukał zaginionego miasta. Spotykali się tutaj przez trzy lata. Co rok Kabir sadził małą palmę, wierząc, że jeśli drzewo uschnie, miłość umrze. Uczucie przetrwało i kiedy ojciec Kabira El Dżajada niespodziewanie zmarł, ukąszony przez czarną kobrę, młodzi pobrali się. Oaza znajduje się tam do dziś.

Burmistrz pozwolił Amerykanom nabierać wody ze źródła, ale tylko czystymi naczyniami.

Tak więc postanowione. Rozbiją obóz pół mili od oazy.

Następnego dnia tuż po śniadaniu samochodami zwieźli cały sprzęt i narzędzia. Studenci zabrali się za ustawianie namiotów. Chłopi z wioski z uwagą przyglądali się domkom ze sztywnego popielatego materiału podtrzymywanego przez metalowe rurki. Zachowywali się tak, jakby nigdy nie widzieli namiotów, a przecież pasterze przemierzający się z kozami po łąkach sypiają tylko w prymitywnych schronieniach z kozich lub owczych skór.

Mężczyźni postawili dwa duże wojskowe namioty z przeznaczeniem na sprzęt i sześć nieco mniejszych dla załogi, jeden obok drugiego, tak że razem utworzyły kształt litery „U”. Jeden dwuosobowy zajmowała Bette z mężem, dwa następne studenci, w czwartym miały zamieszkać Anna i pani doktor, a w piątym panowie profesorowie. Pośrodku stanęła wiatra, której dach stanowił gruby brezentowy materiał. Pod wiatą znajdowały się dwa długie stoły i cztery ławy. Obok namiotu kucharza postawiono kontener na żywność z lodówką zasilaną baterią słoneczną. A słońca tu nie brakowało. Szósty czworokątny namiot przeznaczony był dla kucharza. Składał się z dwóch części. W jednej z nich znajdowały się dwie kuchnie gazowe, obie z piekarnikami. Mała turystyczna kuchenka stała na długiej szafce, w której umieszczono podręczne rzeczy potrzebne kucharzowi. Druga część namiotu przedzielona była zasuwaną kotarą i służyła za zmywak z osobnym wejściem. Cztery zapasowe butle gazowe i beczkę oleju napędowego

umieszczono dziesięć kroków dalej w zacienionym miejscu i zabezpieczono kamieniami, tak aby promienie słoneczne nie ogrzewały metalu. Ciepło mogłoby spowodować wybuch. Kiedy Anna rozpakowywała pudło z garnkami, usłyszała przykrą dla siebie rozmowę pani doktor i jej brata.

– Nie mam zamiaru spać w jednym namiocie z kucharką – protestowała Mary.

– Zrozum. Kobiety muszą trzymać się razem – tłumaczył brat. – To nie Stany, tylko arabski kraj...

– Nie ma mowy. Dla mnie jest kucharzem – pani doktor obstawała przy swoim.

– Ukończyła studia, podobnie jak ty.

– Nie, ja jestem lekarzem, a ona zwykłą kucharką.

– Nie przekonam cię?

– Nic do niej nie mam, ale chcę mieć namiot dla siebie. Muszę mieć wolną przestrzeń, w razie gdyby któreś z was zachorowało.

Zapadła cisza. Jak to możliwe, że pani doktor stała się taką jędzą? Kiedy w wiosce we trzy mieszkały w jednym pokoju, Mary Porter była miła, życzliwa. Pomagała przy posiłkach. Wprawdzie było to przygotowywanie wody na herbatę, ale... Annie zrobiło się przykro i przez króciutką chwilę żałowała, że zgodziła się zostać kucharzem tej wyprawy. Ale co tam, da sobie radę. Zamieszka w namiocie przeznaczonym na kuchnię. Będzie miała blisko do pracy i zacznie spać z patelnią w ręku – tak dla obrony przed nieproszonymi gośćmi.

Do namiotu wszedł Barry z kamerą na ramieniu, a za nim profesor Durell.

– To pani tu jest? – Durell był zaskoczony, widząc ją w namiocie.

– Przyszłam przygotować stanowisko pracy. Wystarczy wstawić łożko. Będę miała blisko do kuchni, poza tym obejdzie się bez budzenia towarzyszkę z namiotu.

– I nie będziesz bała się spać tu sama? – spytał Barry.

– Nie – zaprzeczyła. – Mam wiele patelni do obrony.

– Ale dla bezpieczeństwa lepiej spać w dwie osoby – przyznał Durell.

– No cóż. Przyjechałam tu sama i w samotności będę spędzać noce.

- Ale ma pani spać w namiocie z Mary – kontynuował Durell.
- Będę musiała wcześniej wstawać – przekonywała. Nie chcę niepotrzebnie budzić pani doktor. Pewnie ktoś zachoruje i będzie potrzebne wolne łóżko...
- Jednak nalegam, by...
- Czy to rozkaz? – zażartowała.
- Nie – Durell zmieszał się.
- Jeśli nasz kucharz chce spać osobno, nie należy mu tego zabraniać – w namiocie pojawiła się pani doktor.
- Jak dobrze, że się ze mną pani zgadza.
- Więc postanowione – Mary zrobiła zadowoloną minę.

I tak oto Anna miała swój namiot. Cały dla siebie. Zamieszkała w części przeznaczonej na zmywanie naczyń. Miała swój stół, rozkładane polowe łóżko, dwa taborety, skręcane ze sobą aluminiowe rurki w kształcie „T”, które służyły jej za wieszak. Mogła swobodnie dokonywać codziennej toalety bez czekania w kolejce do prysznicza. Naczynia myła w części przeznaczonej na przygotowywanie posiłków.

Nie zapomniano o ubikacji. Garry z Tomem skręcili trzy plastikowe boki toalet z wyciętymi po bokach małymi dziurkami, przytwierdzili aluminiowy daszek. Budkę postawili dwadzieścia kroków za obozem nad wykopaną w ziemi głęboką, wąską dziurą. Był jeden problem. Zawiasy przy drzwiczkach zostały uszkodzone w czasie transportu, więc zamiast nich zawieszono kawałek koca. Tak miało być, dopóki zawiasy nie zostaną naprawione lub nie przyjadą nowe toalety. Stał też namiot z prysznicami. Dwa stalowe bojlerki umieszczono jeden za drugim na wysokich solidnych drewnianych krzyżakach. Do pierwszego z nich, skierowanego w stronę słońca, przytwierdzona była bateria słoneczna. Dwie plastikowe rurki podłączono do trzech stanowisk prysznicowych osłoniętych matowymi foliowymi zasłonami w kolorze zgniłej zieleni. W namiocie „łaźni” nie było odpływu, ponieważ woda wsiąkała bezpośrednio w piaskowe podłoże. Za podłogę służyły grube gumowe wycieraczki z wyciętymi niewielkimi otworami. Tom sprawdził czystość wody w „znikającym źródle”. Woda nie zawierała szkodliwych dla zdrowia substancji i doskonale nadawała się do mycia, a po przegotowaniu spokojnie można było ją pić.

Przez cały obóz rozciągnięto dwużyłowe kable i podłączono je do dużego prądotwórczego agregatu napędzanego ropą, której w tym kraju nie brakowało. Tak więc w każdym namiocie można było zapalić energooszczędną żarówkę o małej mocy. Pośrodku obozowiska na długim palu umieszczono dwie lampy. Blask bladożółtego światła obejmował wszystkie namioty. Wyłącznik czasowy o północy wyłączał agregat, dzięki czemu oszczędzali na paliwie. Sześć lamp solarnych wbitych w piach przy każdym namiocie rozświetlało mrok. Dla bezpieczeństwa teren obozu został ogrodzony metrową siatką. Wykonano dwie furtki i wjazd. Jedna furtka prowadziła w stronę oazy, druga wychodziła na pustynię i ubikację, zaś wjazd skierowany był w stronę wioski. I tak oto cała ekipa zamieszkała w przygotowanym przez siebie obozie, który przez pół roku miał służyć jej za dom.

Przystosowanie się do prymitywnych warunków nie było wcale łatwe. Uczestnicy wyprawy, przyzwyczajeni do miejskich wygód, z tęsknotą wspominali wygodne, przytulne mieszkania, czyste ubikacje i łazienki z wanną i prysznicem, w których zmywali ze swoich ciał miejski kurz. Brakowało im dużego telewizora, bo ten, który wziął ze sobą profesor Wolter Marchol, był zbyt mały, by wszyscy naraz mogli obejrzeć jakiś ciekawy program. Zazwyczaj arabska stacja nadawała debaty mężczyzn ubranych w arabskie stroje. Amerykanie i tak nie rozumieli ich słów. Czasem udało się uchwycić program rozrywkowy z Turcji. Studenci mlaskali na widok pięknych Turczynek i głośno marzyli, którą którą by akurat przeleciał. Tak było przez pierwszy tydzień, bo kiedy rozpoczęły się prace wykopaliskowe, mieli mniej czasu na oglądanie telewizji, a zmęczenie sprawiało, że po kolacji i prysznicu udawali się do swoich namiotów na zasłużony odpoczynek.

Anna nie narzekała na swój los. Pobyt tutaj traktowała jak długo oczekiwane wakacje, przerywane przygotowaniem posiłków dla piętnastoosobowej załogi. Słuchając radia, wymyślała smakowite potrawy, zapytawszy wcześniej, czy któryś z członków wyprawy nie jest uczulony na składniki. Na szczęście wśród odkrywców nie było alergików. Kiedy Anna była zmęczona, udawała się do oazy, siadała pod palmą na jednym z kamieni, odślaniała ramiona, podwijała rękawy, wystawiała nogi i twarz na słońce i opalała się. Mogła to

robić, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Wiedziała, że odślanianie ciała w arabskim kraju uznawano za prowokację, więc robiła to w miarę dyskretnie.

Niewygodny tryb życia dawał się we znaki także załodze archeologów. Bez ultrasonografu wśród piaszczystych wydmy niełatwo było szukać ruin zaginionego miasta. Według map wytyczono teren prac wykopaliskowych, otaczając go czerwono-żółtą taśmą. Z łopatami w rękach przystąpiono do przerzucania piasku. Amerykanom pomagało dwudziestu Arabów, którzy chcieli zarobić trochę dolarów. Byli to mieszkańcy pobliskiej wioski, których zwerbowali do pomocy trzej arabscy archeolodzy. Zaraz po śniadaniu przyjeżdżali dwoma starymi samochodami i znikali w południe, by powrócić tuż po czwartej. Nie pracowali podczas upału. Po tygodniu Amerykanie wzięli z nich przykład. Świejące przez cały dzień słońce dawało się we znaki. Garry pracował bez koszuli, co przyplacił poparzeniem, Tom dostał lekkiego udaru, a David zemdlął.

Mijały dni, a ruin ani śladu. Znaleziono parę zwierzęcych kości. Był to znak, że kiedyś były tu pastwiska dla kóz i owiec.

Niedziela była dniem odpoczynku. Studenci z nudów, a może i dla zabawy robili niektórym osobom drobne kawały. Upatrzyli sobie swojego kucharza. Młoda, atrakcyjna dziewczyna nie zwracała uwagi na żadnego z chłopców, całe dni spędzała na gotowaniu, czasem rozmawiała ze Steve'em, ale jeszcze nie widzieli, by oboje udali się do jej namiotu. Kiedy Anna się tam udała, znalazła w swoim polowym łóżku szarobrunatną pustynną ropuchę. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Nie bała się płazów, ponieważ podczas praktyki kulinarnej we Francji gotowała żabie udka. Wprawdzie nie takie żaby oglądała, ale była do nich przyzwyczajona. Chłopcy przyczajeni nieopodal namiotu czekali na jej krzyk. Nie doczekali się. Anna rozsunęła drzwi namiotu, podeszła do łóżka i zaczęła uderzać w koc otwartą dłonią, mówiąc:

– Won mi stąd. Myślisz, że jesteś księciem zaklętym w żabę? – ropucha drgnęła. – No, rusz się. Mam cię pocałować? Chcesz przemienić się w księcia? – potrząsnęła łóżkiem. – Sio mi stąd. Nie będę twoją księżniczką.

Ropucha zeskoczyła z koca i w paru susach znalazła się na dworze. Dziewczyna stanęła w drzwiach namiotu, śledząc żabę wzrokiem. Usłyszała stłumiony śmiech. Spojrzała w bok.

– Jak tam twój książę? – Tom próbował zachować powagę.

– A, to wasza sprawka. To wy wsadziliście mi tę ropuchę do namiotu.

– Ale kawał się nie udał – westchnął Garry.

– Myśleliście, że będę krzyczała na jej widok?

– Barry chciał cię sfilmować, jak wybiegasz przerażona z namiotu, a tu nic – Dan był zawiedziony.

– Nie boję się żab, myszy ani innych tego typu stworzeń. Wychowywałam się wśród chłopaków z sąsiedztwa. Robiliśmy sobie różne kawały. Uodporniłam się.

– To wszystko jasne – David wzruszył ramionami. – Złapmy tę żabę, zanim zabrudzi nam wodę.

– Właśnie, złapcie ją, bo inaczej wyląduje w moim garnku jako przystawka – uprzedziła Anna.

– Faj – splunął Garry. – Jak można jeść żaby?

– Zrobiłabyś nam to? – spytał David.

– Jeszcze jeden kawał i kto wie... – pogroziła im palcem.

– No, koledzy, powaga... – Dan zrobił w tył zwrot. – Nie zadzierajmy z naszym kucharzem, bo zrobi nam żabę na śniadanie. Dobrej nocy – podniósł dłoń do góry.

– Słodkich snów... o żabie na stole – dodała cicho.

Zanim położyła się do snu, z latarką w ręku obejrzała wszystkie kąty, obawiając się, że w namiocie może się kryć nie jedna, lecz wiele żab. Wnętrze namiotu było wolne od niespodzianek. Anna bez obaw mogła położyć się do snu. Nad samym ranem miała dziwny sen. Szła przez pustynię przy ładnej słonecznej pogodzie, trzymając w dłoni jakąś kartkę. Nagle piasek rozstał się pod jej stopami i zaczęła spadać. Upadła na bok. Nie mogła oddychać. Wokół panował mrok. Słyszała czyjeś słowa: „Znalazłaś zaginione miasto... Znalazłaś zaginione miasto”.

Zerwała się ze snu. Łapczywie zaczerpywała powietrza. Jej twarz była mokra od potu.

– Lepiej, żeby się nie spełniło – powiedziała cichutko.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się piąta rano. Wstała, umyła się, po czym jak każdego poranka przeszła do kuchni, by przygotować śniadanie.

Kiedy wszyscy zajmowali się przydzielonymi im czynnościami, doktor Mary Parker nie narzekała na brak zajęć. Burmistrz wioski poprosił ją o pomoc. W wiosce chorowało parę osób, do miasta było za daleko, a wiejski znachor niewiele mógł pomóc swoim pacjentom. Po zbadaniu dziesięciu weselnych biesiadników i przetłumaczeniu, co jedli, okazało się, że powodem ich dolegliwości było spożycie ciasta przygotowanego z nieświeżych jajek. Już było wiadomo, że zwykle zioła tu nie pomogą. Jedynym lekarstwem na salmonellę okazały się leki, jakie miała w swojej apteczce pani doktor. Już po trzech dniach dziewięcioro pacjentów poczuło się lepiej. Dziesiąta chora, starsza kobieta, poczuła się gorzej, bo nie wzięła leków, nie ufając amerykańskiej szarlatance. Innych też przestrzegano przed „trucizną”. Czwartego dnia po zatruciu zmarła. Pani doktor obawiała się zemsty ze strony rodziny zmarłej kobiety. Obawy okazały się niesłuszne. Wnuk zmarłej wyzdrowiał jako pierwszy. W podziękowanie za uratowanie mu życia Abdul Hafiz, ojciec dziecka, podarował Mary świeżo zabitego i wypatroszonego młodego baranka. Od innej rodziny pani doktor dostała mleczną czarną kozę o białych nogach, z białą gwiazdką na czole. Zwierzę zostało maskotką załogi, nazwano je Czarka – z uwagi na jej czarny tułów. Amerykanie nie mieli pojęcia, jak doi się kozę. Niektórzy widzieli to na filmach. Próbowali naśladować, lecz koza kopała, wierzgała. Kończyło się na śmiechu. Wreszcie pojawił się młody Arab. Wziął do ręki garnek, przykucnął za zwierzęciem i pokazał wszystkim, jak należy doić kozę. Najpierw jeden sutek, potem drugi, równomiernie zaciskając palce, udowodnił, że mleko będzie płynęło z pełnego wymienia. Kiedy skończył, z dumą w głosie powiedział coś w swoim języku. Anna była ciekawa, co. Bette przetłumaczyła jego słowa.

– Mówi, że Amerykanie nic nie potrafią.

– To mu powiedz, że jak jutro przyjdzie, koza będzie wydojona.

Bette przetłumaczyła słowa Anny. Mężczyzna przecząco pokręcił głową.

– A kto to zrobi? – przetłumaczyła Bette.

– Ja – Anna wskazała na siebie.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem i uśmiechnął się. Powiedział coś do swoich towarzyszy, a ci roześmiali się w głos.

- Co powiedział? – Garry był ciekawy.
- Wolałabym nie tłumaczyć.
- To było obraźliwe, prawda? – domyślała się Anna.
- Powiem to łagodniej – spojrzała na Araba, a potem na Annę. – Wolałby... – wahała się – ...żebyś to ty...
- ...była tą kozą i chciałby mnie doić – domyśliła się.
- Coś w tym rodzaju.
- Dam mu w pysk – obruszył się Tom.
- Chyba nie chcesz wywołać wojny amerykańsko-arabskiej? – powstrzymał go Garry.
- Gdybym znała arabski, życzyłabym mu, by w czasie dojenia koza nasikała mu do mleka – powiedziała Anna.

Chłopcy parsknęli śmiechem. Arabowie spowaźniali. Anna wzięła do ręki powróż i odprowadziła kozę na trawę. Mężczyźni wsiedli do samochodów i wraz z pięcioma arabskimi archeologami odjechali do wioski.

Nazajutrz wczesnym rankiem, tak żeby nikt nie widział, zabrała się za dojenie kozy. Czarka była spokojnym zwierzęciem, cierpliwie znosiła nieudane pociągnięcia za wymię pełne mleka. Anna za słabo ścisnęła „szczyki”, mleko nie chciało lecieć, a po chwili zwierzęciu zachciało się sikać, więc dziewczyna musiała odskakiwać na bok, by nie zostać oblaną moczem. Po trzydziestominutowych męczarniach udało jej się udoić pół litra mleka. Musiała przyznać, że dojenie nie jest wcale takie trudne, jedynie bolą ręce. Dobrze, że trzeba to robić tylko dwa razy dziennie.

Kiedy po śniadaniu pojawili się Arabowie, ten, który kpił z Amerykanów, sprawdził, czy koza została wydojona. Wymię zwierzęcia było puste. Uśmiechnął się, powiedział coś po arabsku, po czym udał się z towarzyszami na wykopaliska. Koza Czarka szybko przyzwyczaiła się do nowej właścicielki, przy popołudniowym doju stała spokojnie, przeżuwając trawę. Ekipa miała przerwę. Barry z kamerą na ramieniu filmował poczynania nieświadomej Anny. Studenci przyczajeni za namiotem kuchni podziwiali jej ukryty talent do dojenia kozy. Mleko ku uciesze gapowiczów wędrowało czasem na ziemię albo na nagie stopy kobiety. Większość płynu trafiała do

miski. Kiedy Anna skończyła, rozległy się gromkie brawa. Rozejrzała się na boki. Jakież było jej zaskoczenie, gdy ujrzała Barry'ego i jego kolegów. Nie może być taka poważna. Uśmiechnęła się i ukłoniła w stronę kamery.

Nie znalazło się wielu chętnych na kozie mleko, a szkoda było je wylewać. Anna zaczęła go używać do przygotowywania potraw. Robiła naleśniki, podprawiała sosy, zupę. Jediną osobą, która systematycznie wypijała dziennie szklankę mleka, był Steve. Pewnego ranka przed śniadaniem przyszedł do namiotu-kuchni. Anna kończyła przygotowywanie kanapek.

– A gdybyśmy dzisiaj wieczorem spotkali się sam na sam w twoim namiocie?

Dziewczyna była zaskoczona jego propozycją. Uznała, że to żart.

– Widać, że upał ci zaszkodził. Praca na pustyni, szukanie ruin w pełnym słońcu podgrzały ci krew.

– Nie tylko słońce podgrzało mi krew. Jak to się mówi... przez żołądek do serca.

– A kiedy wrócimy do Stanów, inna trafi do twojego serca – uśmiechnęła się. – A może już ktoś czeka na twój powrót?

– Można kogoś znać, spotykać się z nim, ale to nie znaczy, że ten ktoś jest mu przeznaczony.

– A ja jestem twoim przeznaczeniem?

– Musimy to sprawdzić.

– A przywozłeś ze sobą prezerwatywy?

– Będę uważał.

– Tak? Niejeden tak mówił.

– I co?

– Został ojcem.

Steve dopił mleko i odstawił pusty kubek na stół.

– Więc nic z tego nie będzie?

– Dzisiaj nie.

– A zatem jest nadzieja na później? – uśmiechnął się tajemniczo.

– Co na później? – w namiocie pojawił się Bateman.

– Znamy się z Anną już czwarty tydzień, a ona wciąż zimna.

– Choć jedna kobieta poznała się na tobie – uśmiechnął się profesor.

– Czyżby Steve był aż takim kobieciarzem? – zaciekała się Anna.

– Wręcz odwrotnie. Nie ma na nic czasu. Ciągłe coś czyta, grzebie w starych papierach, a dziewczyny samotnie zasypiają w jego łóżku.

– Jakby nie było, z wykształcenia jestem historykiem i interesuje mnie wszystko, co się kiedyś zdarzyło – wyznał Steve. – Tutaj mam dużo czasu dla siebie i na miłość.

– I odciski od łopaty – dodał Mark Durell. – Przydałaby się koparka albo czarodziejska różdżka. Kopiemy tyle dni, a ruin ani śladu, tylko szczątki zwierząt.

– Może źle nanieśliśmy dane na mapę? – przypuszczał Steve.

– Właśnie wczoraj zastanawiałem się, czy nie popełniliśmy błędu – powiedział Durell. – Żeby chociaż trafił się jakiś kamień, mur, gliniany garnek, a tu nic...

– Jak do niedzieli nie natrafimy na ruiny, jadę do dyrektora muzeum. Poproszę, by załatwił nam koparkę – postanowił Bateman.

– Wtedy przekroczymy budżet – przypomniał Steve. – A może ta mapa to fikcja i tu nie ma żadnych ruin?

– No to wyjdziemy na głupców i zmarnujemy pieniądze sponsorów.

Do niedzieli pozostały dwa dni, a oni nie znaleźli niczego, co pozwalałoby wierzyć, że w tym miejscu pod grubą warstwą piasku znajdują się ruiny zaginionego miasta, i potwierdzić autentyczność starej mapy.

W poniedziałek tuż po śniadaniu profesor Bateman, Garry i Bahij Udin – arabski archeolog – wraz z kierowcą udali się do Aleppo. Tam spotkali się z dyrektorem muzeum Abu Asadem. Porozmawiali o braku postępów w wykopaliskach i poprosili o koparkę. Gdyby nie skradziono im ultrasonografu, z pewnością już dawno natrafiliby na ruiny miasta. Dyrektor chwycił za słuchawkę i wydał polecenie wynajęcia odpowiedniego sprzętu. Zadzwoił też na policję, by dowiedzieć się, czy coś wiadomo na temat skradzionego ultrasonografu. Niestety, sprawa utknęła w martwym punkcie. Abu Asad obiecał, że jak tylko będą mieć koparkę, każe odtransportować ją na miejsce przeznaczenia.

Bateman nie był zadowolony z wizyty u dyrektora muzeum. Cała czwórka przenocowała w domu Bahija Udina. Następnego dnia mężczyźni powrócili do obozu. Tego dnia panował zbyt duży upał, by prowadzić prace wykopaliskowe. Cała załoga zrobiła sobie jednodniową przerwę.

W środę po wczesnym śniadaniu znów udali się na pustynię, nie przeczuwając, że ten dzień przyniesie przełom w poszukiwaniu ruin zaginionego miasta. Anna tego dnia była sama w obozie. Pani doktor i tłumaczka udały się do wioski, by pomóc rodzącej od kilku godzin młodej kobiecie. Około godziny dziesiątej do obozu przyjechał motocyklem goniec. Wręczył Annie kopertę, mówiąc nieskładnie:

– Dla pana Bateman. Pilne.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, mężczyzna odjechał. Wiedziała, że profesor czeka na tę wiadomość. Nie pozostało jej nic innego, jak osobiście zanieść telegram. Wyłączyła kurki z palącym się pod garnkami gazem, po czym udała się w stronę wykopalisk. Po drodze z ciekawości zajrzała do koperty. List napisany był w języku angielskim.

Koparka załatwiona. Trzeba ją tylko naprawić. Czekam na zgodę. Za parę dni ją podeślę.

W podpisie... Nieważne. Schowała kartkę do koperty. Przed nią kawałek drogi. Musi się śpieszyć, inaczej obiad opóźni się o pół godziny. Wcale niełatwo było iść w klapkach po piaszczystym terenie i przy wiejącym w twarz wietrze. Dobrze, że miała na szyi apaszkę. Zakryła twarz, tak aby kurz suchego piasku nie dostawał się do nosa. Weszła na wysoką piaszczystą wydnię. Na dole zobaczyła mężczyzn pracujących w rozległej dziurze. Nie ma zamiaru tam schodzić. Podniosła lewą rękę, w której trzymała kopertę.

– Profesorze Bateman, telegram – krzyknęła.

Nikt jej nie usłyszał. Zrobiła dwa kroki do przodu i znów zawołała. Poskutkowało. Jako pierwszy usłyszał ją Steve. Szturchnął profesora w ramię. Mężczyzna spojrzął w jej stronę.

– Mam dla pana wiadomość.

– Nie rozumiem! – krzyknął.

– Mam list – odruchowo podskoczyła, wymachując kopertą. – To...

Nie dokończyła. Poczuła, jak piasek pod jej stopami zaczyna się zapadać. Chciała odskoczyć w bok, lecz wszystko działo się zbyt szybko. Krzyknęła z przerażenia. Rozłożyła na boki ramiona. Czuła, jak jakaś niewidzialna siła ciągnie ją w dół. Mężczyźni ruszyli jej z pomocą.

„Boże, co za głupia śmierć” – pomyślała. „Nigdy nie spocznę w grobie obok rodziców, jedynie spotkam się z nimi w niebie. Będę gnić w obcym kraju pod zwałami piasku i nikt nigdy nie zapali świeczki na moim grobie. Pewnie stryj ucieszy się na wieść o mojej śmierci i będzie kpił, że przyjechałam tu po śmierć”.

Apaszka całkowicie zakryła jej twarz, uniemożliwiając dostanie się drobinek piasku do nosa i oczu.

Trzy kroki dzieliły spieszących z pomocą mężczyzn od wystających z piasku dłoni Anny. Steve ruchem ślizgowym rzucił się na piasek. Nie zdążył. Pustynia pochłonęła kobietę. Desperacko odgarniali piasek, mając nadzieję, że ją uratują. Anna uderzyła stopami o twarde podłoże. Czuła, jak brakuje jej powietrza, a kurz drażni gardło. Zaczęła kasłać, co tylko spotęgowało brak tlenu w organizmie. Czuła, jak traci przytomność. „To już koniec” – pomyślała.

Tymczasem na powierzchni zapanował smutek. Mężczyźni z ekipy nie mogli zrozumieć, jak to się stało. Ktoś powiedział, że to ruchome piaski, inny zaprzeczył, ponieważ codziennie tu chodzili i nikomu nic się nie stało. Garry żałował, że nie udało mu się zrobić z Anny swojej dziewczyny. Steve, klęcząc nad zapadliną, uronił łzę. Spod piasku wydobywał się głuchy odgłos kaszlu.

– Ona żyje! – krzyknął Steve.

– Bredzisz – zaprzeczył Bateman.

– Słyszę, jak kaszle.

Zapadła cisza. Durell i Bateman zbliżyli uszy do podłoża. Wkrótce usłyszeli cichy, duszący kaszel.

– Dawać łopaty! – krzyknął Steve.

Rozpoczęła się błyskawiczna akcja ratunkowa. W ruch poszły gołe dłonie. Studenci przynieśli łopaty i pośpiesznie odsypywali piasek na boki. Miejsce, przez które wpadła Anna, znów zaczęło się

usypywać i zapadać jak w klepsydrze. Łopata Garry'ego stuknęła o jakiś kamień. Mężczyźni popatrzyli po sobie. Piasek zapadł się i ujrzeli kwadratową szczelinę oraz zarysy kamiennych brzegów.

- Co to jest? – Tom był ciekawy.
- Chyba... komin... – przypuszczał Dan.
- Ruiny? – nie dowierzał Bateman.
- Nie słyszę Anny – oprzytomniał Steve.

Rozległy się chaotyczne, niezgrane w czasie wołania dziewczyny. Powiew świeżego powietrza sprawił, że kobieta otrzymała niewielką dawkę tlenu, która pozwoliła jej oprzytomnieć.

- Anno, jesteś tam? – usłyszała nad głową cichy głos Batemana.

Powoli otworzyła powieki. Wokół niej panowała ciemność, a zakurzona chustka zakrywająca jej twarz tłumiała dopływ powietrza. Piaskowy pył drażnił gardło. Zaczęła kasłać. Usiadła, ściągając apaszkę z twarzy. Mężczyźni usłyszeli stłumiony, cichy kaszel dziewczyny. Już wiedzieli, że żyje. Zamilkli.

- Anno, nic ci nie jest? – usłyszała zatroskany głos Steve'a.

Chciała odpowiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jej tułów i nogi pokrywała cienka warstwa suchego piasku. Była przerażona i jednocześnie szczęśliwa, że żyje. Powoli podniosła się z twardego podłoża. Kości miała całe, bolały ją tylko kolana i krzyż z powodu twardego lądowania. Było jej duszno, a serce biło jak szalone. Z przestrochu nie mogła się wyprostować.

- Anno, nic ci nie jest? – pytał Steve. – Odezwij się.

– Jestem – wyszeptała. W ustach brakowało śliny i znów zaczęła kasłać.

- Dzięki Bogu, żyje – odetchnął Steve. – Ona żyje! – krzyknął.
- Ale czy jest cała? – wątpił Bateman.
- Przecież pan słyszy, że kaszle.
- A może się dusi? – przypuszczał Durell.
- Niemożliwe – Steve nie dawał za wygraną.
- Trzeba tam zejść – postanowił Garry.
- Przynieście linę.
- Anno, odezwij się! – Steve krzyknął w głąb dziury.
- Jestem cała – wyszeptała trochę głośnie.

Wyciągnęła przed siebie dłonie, szukając jakiegoś punktu oparcia. Dotknęła czegoś twardego, chropowatego.

– Wyciągnijcie mnie stąd! – krzyknęła. – Duszę się!
– Słyszycie? – Steve zrobił gest dłonią. – Nic jej nie jest.
– Czy widzisz światło? – spytał Bateman.
– Nie. Tu jest strasznie ciemno – odpowiedziała.
– Nie ruszaj się stamtąd, już idziemy ci z pomocą – pocieszał ją Steve.

– Ciekawe, dokąd ma iść?

Mężczyźni zabezpieczyli górotwór deskami, aby piasek nie zasypał otworu. Bateman zastanawiał się, dlaczego dziewczyna nie dostrzega blasku światła, skoro oni wyraźnie widzą otwór w ziemi. Nie będą ryzykować zejścia, dopóki nie zbadają terenu.

– Spuszczamy ci latarkę – uprzedził Harry. – Zakryj oczy.

Przywiązał zapaloną latarkę do cienkiej mocnej linki i powoli zaczął ją opuszczać. Anna słyszała cichy szmer. Drobinki piasku znów zaczęły zsuwać się na jej nogi. Odruchowo się cofnęła. Palcami lewej dłoni wyczuła, że podłoże, na którym stoi, nagle się urywa. Zamarła, przymykając powieki. „Boże, kiedy to się skończy?”. Szmer stawał się głośniejszy. Coś uderzyło ją w kolano. Drgnęła, serce znów przyśpieszyło swój rytm. Przez zamknięte powieki ujrziała blask światła. Odetchnęła z ulgą. Szarpnęła za linkę. To był znak, że przesyłka do niej dotarła. Oświetliła miejsce, w którym niefortunnie się znalazła. Ściany wąskiego niskiego pomieszczenia zbudowano z szarego ciosanego kamienia, a dziura, przez którą wpadła, była zasypana piaskiem, dlatego nie widziała blasku dziennego światła.

– Opisz nam, co widzisz – poprosił profesor Bateman.

– Dobrze – odkaslnęła. – Ściany zbudowane są z szarego kamienia. Pomieszczenie jest wąskie i niskie, biegnie ku górze, ale piasek zasypał wejście i jest wąsko. Nie wiem, jak stąd wyjdę.

– Damy radę – pocieszał Garry.

– A widzisz coś? – pytał Bateman. – Może jakiś otwór, do którego usypuje się piasek?

– Tak. Przede mną jest jakieś drugie pomieszczenie – wychyliła głowę. – Jest większe... To chyba pokój.

– Nie słyszymy cię! – zawołał Steve.

– Jest tu drugie pomieszczenie – odwróciła głowę ku górze.

– Czy możesz się w nim ukryć? – spytał Steve. – Nie chcemy cię zasypać, gdy będziemy powiększać otwór.

– Pomieszczenie jest obszerne, ale nie ma czym oddychać.

– A możesz odsypać trochę piasku? – zaproponował Durell.

– Spróbuję.

Uklękała na oba kolana, zakryła twarz apaszką i powoli zaczęła odsypywać piasek. W miarę jak otwór się powiększał, czuła większy napływ powietrza. Wkrótce ujrzała na dłoniach blask światła.

– Widzę światło! – krzyknęła. – Ale jakoś dziwnie wpada. Jakby z ukosa...

– Trzymaj się. Zaraz ktoś po ciebie zejdzie! – zawołał profesor Durell.

Musiła usunąć się na bok. Nie chciała zostać zasypana piaskiem. Ostrożnie, na czworakach, wycofała się z niskiego ciasnego pomieszczenia do większego. Przyświecając sobie latarką, powoli stawiała stopy na piasku. W pomieszczeniu było duszno, ale dało się wytrzymać. Rozejrzała się na boki. Na ścianach zauważyła ręcznie malowane, pokryte warstwą kurzu obrazki, a może to były litery. Nie знаła pisma arabskiego. Spod niezbyt grubej warstwy piasku wystawały poprzewracane drewniane taborety, stół. Szła powoli wzdłuż ściany, zapominając o zaduchu, jaki panował pod ziemią. Ściana niespodziewanie skończyła się. Wychyliła głowę, by zobaczyć, co kryje się za murem. Jej wzrok wędrował za światłem latarki. W głębokiej wnęce oparty plecami o ścianę siedział ludzki szkielet odziany w długą szarą koszulę. Ciarki przeszły jej po całym ciele. Po raz pierwszy w życiu widziała prawdziwy ludzki szkielet.

– Tylko spokojnie – powiedziała do siebie. – On już nie żyje... Nic ci nie zrobi.

Powoli wróciła do miejsca, z którego wyszła. Poczowała falę świeżego powietrza.

– Tu jest jakiś nieboszczyk – powiedziała drżącym głosem.

– Jaki nieboszczyk? – usłyszał ją profesor Bateman.

– Normalny – krzyknęła głośniej. – Ludzki szkielet. Nieboszczyk miałby być żywy?

– Nie straciła poczucia humoru – przyznał Garry. – Czyli jest dobrze.

– Wyciągnijcie mnie stąd.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – prosił Steve. – Musimy odgarnąć piasek, aby nie zasypało dziury.

– Nie możecie kopać szybciej?

– Cierpliwości – odezwał się Barry, który filmował akcję ratowniczą. – Nie pozwolimy ci tam zostać... Kto by nam gotował?

– Wypchaj się. Czuję się jak w grobowcu.

Z dziury posypał się piasek. Anna wycofała się na bezpieczną odległość i przykucnęła w kącie. Zrobiło jej się zimno, więc oplotła się ramionami. Starła się nie myśleć o tym, że obok niej jest ludzki szkielet. „A może jest ich tu więcej?” – pomyślała. „Może to nie dom, tylko grobowiec albo karcer? Zamykano tu ludzi, a oni zapomniani przez wszystkich umierali. Przecież nikt żywcem nie dałby się tu zamknąć i umrzeć... Ale zaraz... Przecież śniło mi się, że idę przez pustynię z kartką w rękę i pochłania mnie piasek. Sen się sprawdził. Czy to znaczy, że pozostałe dwa sny też się spełnią? Znajdę się w rajskim ogrodzie, zobaczę fontannę, a z figurek w kształcie skorpionów będzie tryskała woda? Poznam tajemniczego, przystojnego Araba. Ale dlaczego nie będę mogła przejść przez most? A może załoga mnie nie uratuje, nie odkopie... Wszystko się zawali i trafię do raju. Moje zwłoki zawiozą do Stanów i tam dopiero przejdę przez most na drugą stronę”. Nie przypuszczała, o ilu sprawach można rozmyślać, będąc w potrzasku. Wsparła głowę na kolanach.

Zabezpieczanie ukrytej kamiennej szczeliny dobiegło końca. Kiedy odkopano pół metra piasku, oczom wszystkich ukazał się komin zbudowany z ciemnego kamienia. Spoiny były nienaruszone, więc spokojnie można było spuścić linę do jego wnętrza. Dziewczyna była zdrowa, mogła samodzielnie wydostać się z pułapki.

– Anno, jesteś tam? – zawołał Harry.

– Nie. Poszłam sobie.

– To dobrze. Rzucamy ci linę.

– Najwyższa pora. Ale dajcie mi jakąś łopatę. Nie zmieszczę się w tę szparę u dołu.

Garry przywiązał łopatę na końcówce liny i zaczął powoli ją spuszczać. Anna usłyszała szmer. Podeszła do miejsca, przez które tu wpadła. Lina z łopatą bez przeszkód wślizgnęła się przez szparę

w piasku. Odwiązała ją, zakryła pół twarzy apaszką, po czym klęcząc, powiększała szczelinę. W miarę jak ubywało piasku, snop światła stawał się jaśniejszy, aż wreszcie Anna mogła, trzymając się liny, wyczołgać się na plecach do wnętrza komina. Uniosła głowę. Jej oczom ukazał się zatroskany Steve i uśmiechnięte twarze profesorów Batemana i Durella. Barry pomachał jej znad kamery. W oczach Anny pojawiły się łzy.

– Przywiąż tułów liną, zaraz cię wyciągniemy – powiedział Steve.

Było zbyt ciasno, by opasać linę wokół pasa. Anna mocno chwyciła się liny, oplatając nadgarstki.

– Jestem gotowa! – krzyknęła.

Poczuła lekkie szarpnięcie i uniosła się, ocierając ramionami o kamienne boki komina. Było coraz jaśniej. Trzy metry w górę i już była na powierzchni ziemi. Blask słońca oślepił ją na krótką chwilę. Kiedy wydobyto Annę na powierzchnię, rozległy się brawa.

– Udało się – Steve porwał ją w ramiona, pocałował w policzek i przytulił.

– Czyżbyś się zakochał? – szepnął profesor Bateman, klepiąc go po ramieniu.

– Jak dobrze was widzieć – łzy szczęścia napłynęły jej do oczu.

– A my to co? – upomniał się Garry.

– Dziękuję – Anna uwolniła się z ramion Steve'a. – To był koszmar.

Przed Anną ustawiała się kolejka chętnych do przytulania. Studenci w ten sposób dodawali jej otuchy, domyślając się, jaki koszmar przeżyła, gdy pochłonał ją piasek. W jej głowie z pewnością załęgło się widmo śmierci.

– Coś mi się zdaje, że nasza Anna odkryła ruiny zaginionego miasta – przyznał Marchol.

– I już nie potrzebujemy koparki – zauważył Bateman.

– Ach, zapomniałam – Anna rozejrzała się, jakby czegoś szukała. – Zgubiłam telegram. Nie zabrałam łopaty i latarki.

– Do diabła z latarką i łopatą. Ty jesteś najważniejsza – skwitował Steve.

– Jaki telegram? – spytał Bateman.

– Pisali w nim o koparce – próbowała sobie przypomnieć. – To było tak... Koparka załatwiona, trzeba ją tylko naprawić. Nie

pamiętam, kto podpisał ten telegram.

– Wszystko w porządku. To pewnie telegram od dyrektora muzeum – domyślał się profesor. – Koparka i tak nie jest już nam potrzebna.

– No to chodźmy na obiad – zaproponował Durell.

– Ale... obiad jeszcze nie gotowy.

– Nie szkodzi, poczekamy – machnął ręką. – Musimy odpocząć.

Wykończyła mnie ta historia.

Ekipa ruszyła w stronę obozowiska. Anna szła na końcu, wciąż przeżywając nieprzyjemną przygodę. Steve dodawał jej otuchy, przypominając całą akcję ratunkową.

Tymczasem pani doktor i Bette, powróciwszy z wioski po przyjęciu udanego porodu, były zaskoczone nieobecnością ich kucharki. W piekarniku na brytfance czekały usmażone pulpety, stojące na kuchni garnki z wodą były zimne, na stole czekały paczki z makaronem spaghetti i torebki z sosem pomidorowym. Kobiety przetrząsnęły cały obóz. Po Annie nie było śladu. Musiało się stać coś złego. Nie mogą beczynnie siedzieć w obozie, trzeba powiadomić ekipę, że kucharka zniknęła, najprawdopodobniej została uprowadzona. Zaniepokojone ruszyły w stronę wykopalisk. Uszły z pół mili, kiedy zobaczyły idącą w ich stronę całą ekipę. Wśród nich zauważyły Annę. Dziewczyna miała brudne ubranie, włosy rozczochrane i pełne piasku.

– A cóż ci się stało? – spytała Bette.

– Nasza Anna właśnie odkryła zaginione miasto – poinformował Bateman z dumą w głosie.

– Jak to? – pytała zdezorientowana Mary.

– Wpadła przez komin do jakiegoś pomieszczenia z trupem.

W ten sposób ułatwiła nam poszukiwania – oznajmił Steve.

– Było wcześniej puścić Annę na pustynię, a nie męczyć się bez powodzenia przez prawie miesiąc – zażartował Garry.

– Dziękuję ci – spojrzała na niego ze złością w oczach. – Szkoda, że to nie ty tam wpadłeś. Przekonałbyś się, jak przyjemnie jest zostać pochłoniętym przez piach i mieć najgorsze myśli.

– Przepraszam, żartowałem.

– Ja myślę...

Udała się do namiotu-kuchni. Pierwsze, co zrobiła, to wypła szklanekę zimnej przegotowanej wody. Od razu poczuła się lepiej. Podpaliła kurki z gazem i zanim woda zaczęła się gotować, zdążyła wziąć prysznic i umyć włosy. Włożyła czystą bieliznę i białą bawełnianą sukienkę w różowe drobne różyczki, a na nią zarzuciła fartuch. Z zakręconymi w ręcznik włosami gotowała obiad. Dzisiaj zrobiła jedno danie – pulpety w sosie pomidorowym z makaronem. Na drugie miały być naleśniki z marmoladą, ale nie była w stanie stać przy kuchni. Podała obiad, lecz sama nie mogła nic przełknąć. Poszła do swojej części namiotu, by odreagować dzisiejszą niemiłą przygodę. Zdjęła z głowy ręcznik. Włosy były lekko wilgotne. Kiedy je czesała, ziarenka piasku spadały na podłogę. Usiadła na łóżku. Wciąż przeżywała dzisiejszy koszmar. Co by się stało, gdyby to były ruchome piaski, a nie komin jakiegoś budynku? Nie byłoby jej już wśród żywych. Jak musieli się czuć jej rodzice i brat, wiedząc, że samolot, którym lecieli, spadał, a oni nie mogli temu zapobiec? Pewnie byli równie przerażeni jak ona, kiedy zapadała się pod ziemię. Ona przeżyła, jej rodzinie się to nie udało.

Z zadumy wyrwał ją głos Steve'a:

- Anno, wszystko w porządku?
- Co? – spojrzała w stronę wejścia do namiotu.
- Czy wszystko w porządku?
- Tak.
- Mogę wejść?
- Proszę.

Wszedł do środka. Usiadł na polowym łóżku obok niej. Widząc smutną minę Anny, objął ją ramieniem.

– Już wszyscy zjedli. Spaghetti z sosem pomidorowym wspaniale. Niektórzy brali dodatkę.

– Cieszę się, że wam smakowało.

– A ty też jadłaś?

– Nie chce mi się jeść. Wciąż czuję, jak spadam w przepaść. Nie mogę pozbyć się tego uczucia – łzy napłynęły jej do oczu. – Zdałam sobie sprawę, jak kruche jest życie.

Nie wytrzymała, rozplakała się. Mężczyzna przytulił ją do siebie.

– Nie mogłaś zginąć – szepnął. – Gdzie znaleźlibyśmy tak dobrego i pięknego kucharza?

Do namiotu zajrzał profesor Bateman. Steve zrobił gest ręką. Mężczyzna wycofał się. Dobrą chwilę trwało, zanim Anna przestała płakać. Odsunęła się od Steve'a, musiała opróżnić nos.

– Przepraszam. Zmoczyłam ci koszulę – sięgnęła po ręcznik.

– Nie szkodzi. Wyschnie na słońcu – uśmiechnął się.

– Nie chciałam płakać – wysmarkała nos w ręcznik.

– Musiałaś się rozładować. Przeżyłaś szok.

– Zgubiłam mój kucharski czepek. Nawet nie zauważyłam, kiedy spadł mi z głowy.

– Nie przejmuj się. Pożyczę ci jeden z moich białych kapeluszy. Mam ich aż trzy. A kiedy wrócimy do Stanów, kupisz mi nowy kapelusz. W porządku? – spojrzał jej w oczy.

– W porządku – potrząsnęła głową. – Pora umyć garnki.

Steve miał ochotę ją pocałować, lecz Anna zdążyła wstać z łóżka. Ujęła w dłonie włosy. Kiedy związywała je gumką w koński ogon, mężczyzna pocałował ją w kark.

– Dasz sobie radę? – spytał.

– Tak – uśmiechnęła się. – Dziękuję za troskę.

Steve wyszedł z namiotu. Anna uśmiechnęła się. Pocałunek w kark był przyjemnym gestem ze strony mężczyzny. Jak dobrze wiedzieć, że w obozie jest ktoś, kto bardzo ją lubi i na kogo może liczyć, kiedy będzie w potrzebie. Zabrała się za mycie naczyń. Była tak skupiona na tej czynności, że nie słyszała, jak ktoś zaszedł ją od tyłu i założył jej na głowę biały kapelusz z małym rondem. Wzdrygnęła się.

– Obiecałem ci kapelusz. Jest twój – usłyszała głos Steve'a.

– Dziękuję. Nawet rozmiar pasuje.

– Steve, idziemy! – zawołał go Bateman.

– I koniec randki – uśmiechnął się. – Do zobaczenia wieczorem.

Ekipa odkrywców ruszyła w stronę wykopalisk. Tym razem kopali w odpowiednim miejscu. Ich celem było odkrycie murów budynku, do którego wpadła Anna.

Przez kolejne trzy noce Anna miała koszmarne sny. Wciąż spadała w przepaść. Dusila się, nie miała czym oddychać. Kiedy budziła się z tych koszmarów, do samego rana nie mogła zmrużyć oka. Kolejnej nocy śniło jej się, że błądzi pośród ciemnych korytarzy, nie mogąc znaleźć wyjścia. Mijali ją ludzie, którzy zamieniali się

w szkielety. Uciekała przez mały otwór w ścianie. Trzeciej nocy przeżywała ten sam koszmar. Spadła pod ziemię, a ludzki szkielet, który znalazła w ruinach, przemówił do niej, wskazując kościstym palcem napis na ścianie: „Ten, kto pierwszy odkryje moje szczątki, zostanie na tej ziemi na zawsze”. Anna budziła się, wciąż słysząc te słowa. Ale jak to możliwe, że nieboszczyk zna angielski? Jak tak dalej pójdzie, wróci do kraju w kaftanie bezpieczeństwa.

*

Prace wykopaliskowe nabrały większego rozmachu. Odslonięto mury budynku i bez obaw o zawalenie się drewnianego sufitu odkrywcy weszli do środka odsloniętym otworem okiennym. Dokładnie obejrzeliby pomieszczenie, do którego wpadła Anna. Barry sfotografował napisy na ścianie. Przy kolacji rozszyfrowywali arabskie słowa. Anna w tym czasie roznosiła półmiski z potrawami. Bette czytała napis na głos, zastanawiając się nad każdym słowem.

– Ten, kto pierwszy... odkryje moje... – rozszyfrowywała dalej – szczątki...

– ...zostanie na tej ziemi na zawsze – dokończyła Anna, wypuszczając z ręki talerz.

Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę.

– Jak to możliwe...? – Bette nie dowierzała. – Tu jest tak napisane: „zostanie na tej ziemi na zawsze”.

– Mój Boże – jęknęła Anna.

– Skąd to wiedziałaś? – nie rozumiała Bette.

– We śnie wypowiedział te słowa nieboszczyk.

– Jaki nieboszczyk? – spytał Steve.

– Ten, którego spotkałam, jak siedziałam pod ziemią.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Niektórzy z nich pomyśleli, że Annie odbija na skutek wstrząsu, jaki ostatnio przeżyła.

– Od dzisiaj wierzę w sny – powiedziała.

– Nie przejmuj się jakimś napisem na ścianie – uspokajał ją Steve. – To tylko zwykły napis sprzed dwóch wieków. On nic nie znaczy.

– Nie byłbym taki pewny – szepnął Bateman. – Ci, którzy weszli do grobowca faraona, zapadli na nieznaną chorobę.

Anna podniosła z ziemi talerz i wróciła do namiotu-kuchni. Zmywała w zamyśleniu. Straciła ochotę na jedzenie. Wypiła kawę zabielaną kozim mlekiem. Studenci z naukowcami siedzieli w wykopaliskach aż do zmroku. Zmęczeni, położyli się spać, jedynie Anna nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, w końcu zła na siebie wyszła z namiotu, zakładając na piżamę ciepły sweter. Udała się do oazy. Usiadła pod palmą na płaskim kamieniu. Oparła plecy o drzewo i uniosła głowę ku górze. Na bezchmurnym niebie migotały miliony gwiazd, na horyzoncie pojawił się księżyc w pełni. W głowie Anny wciąż brzmiały słowa: „Ten, kto pierwszy odkryje moje szczątki, na zawsze...”. Jak rozumieć te słowa? Zostanie martwy czy żywy? Na tej ziemi... Ziemia to ten kraj. Syria. Czy ma umrzeć tu w tym kraju? Napis o tym nie mówi. A może ma tu mieszkać? Nie, to niemożliwe. Nikogo tu nie zna i nie zamierza zamieszkać w tym miejscu. Jest katoliczką, nie muzułmanką. Ceni niezależność, a tu kobiety mają ograniczone prawa. Nigdy nie wierzyła w sny, ale teraz będzie musiała je zapamiętywać, bo nie wiadomo, czy któryś z nich przypadkiem się nie spełni. Ale dlaczego tak dosłownie się sprawdzają? Ciekawe, kiedy i gdzie zobaczy ogród pełen kwiatów. Kiedy pozna tajemniczego czarnowłosego mężczyznę? Czy most z jej snu naprawdę istnieje? To zaczyna być nawet ciekawe. Powinna się bać czy czekać cierpliwie na to, co ją spotka? Uśmiechnęła się do swoich myśli, odczuwając pewną ulgę. Księżyc oświetlił swym blaskiem taflę wody. „Pora położyć się spać” – pomyślała, podnosząc się z kamienia.

– Bezsenna noc – wśród ciszy usłyszała głos Steve’a.

Anna znieruchomiała, odruchowo kładąc lewą dłoń na sercu.

– Niech cię diabli – wykrztusiła.

– Ja nie taki straszny jak diabeł – objął ją w pasie. – Najlepszym lekarstwem na bezsenną noc jest seks.

– Doprawdy? – uśmiechnęła się. – Jakoś nie mam ochoty na seks.

– A na pocałunki? – przytulając się, odgarnął włosy z jej karku. – Niczym nie ryzykujemy.

Zaczął całować jej szyję, podbródek, aż dotarł do ust. Delikatnie pieścił wargi Anny. Było to nawet przyjemne, ale czy stać ją na romans z doktorem historii, który skończył studia archeologiczne,

pracuje na uniwersytecie, obraca się w gronie wybitnych naukowców? Przecież ona jest zwykłą kucharką. Wprawdzie skończyła studia gastronomiczne i jest z wykształcenia dietetykiem, ale czy to wystarczy, by być szanowaną przez jego przyjaciół? Pewnie brakuje mu kobiety i ich relacja to tylko przelotna miłość na pół roku.

Steve zaczął rozpinąć guziki jej piżamy.

– To nie ma sensu – szepnęła.

– Co nie ma sensu? – lewą dłonią dotknął jej nagiej piersi.

– Ty i ja.

– Dlaczego? – spojrzał jej w oczy. – Nie podobam ci się?

– To nie o to chodzi. Podobasz mi się.

– To w czym problem?

– Nie jestem gotowa na romans z panem profesorem.

– A kiedy będziesz gotowa? – ustami musnął jej prawy policzek.

– Jesteś miły – delikatnie pocałowała go w usta. – Chcę czegoś trwałego.

– A, czyli o to chodzi?

– Właśnie – uśmiechnęła się. – Jestem zmęczona. Ostatnio źle sypiam. Muszę się położyć.

– Do usług.

– Sama – powiedziała stanowczym tonem.

– W porządku. Nic na siłę.

Odprowadził ją pod namiot.

– Dobranoc – pożegnała się.

– Dobranoc – pocałował ją w policzek. – Poczekam, aż się wyśpisz, i umówię się z tobą na randkę.

Uśmiechnęła się. Jej wzrok powędrował na wschód. Znad niskich pagórków wyłaniał się niewielki świetlny punkt. Anna widziała go kilka razy, ale teraz dopiero miała kogo spytać, co się znajduje za tamtymi górami.

– Widzisz te światła? – wskazała ręką na wschód.

Steve odwrócił się i spojrzał w tamtym kierunku.

– To pewnie światło z pałacu jakiegoś księcia.

– Skąd wiesz?

– Abdul Gani wspomniał nam o nim.

– Pewnie ma z pięć żon i kopę dzieci – zażartowała. – Do jutra.

Weszła do namiotu i zasunęła suwak. Kiedy kładła się do łóżka, przez chwilę przypominała sobie pieścizny. Wciąż czuła na ustach pocałunek Steve'a. Po raz pierwszy od pięciu dni zasnęła spokojnym snem.

Wiść o odkryciu pierwszych fragmentów murów w zaginionym mieście rozeszła się po okolicy. To Arabowie z pobliskiej wioski rozpowiedzieli swoim rodakom o znalezisku. Podkreślano, że do odkrycia przyczyniła się kobieta, którą pochłonął piasek, a mimo to przeżyła. Pasterze kóz opowiedzieli o tym pasterzom owiec i tak wieść dotarła do granicy Syrii z Turcją. Dziesięciu konnych jeźdźców ubranych w jasnobezowe wojskowe mundury przybyło do obozu, by obejrzeć znalezisko. Ich dowódca zażądał okazania dokumentów zezwalających na prowadzenie prac wykopaliskowych, a następnie zadawał mnóstwo pytań. Bette nie nadążała z tłumaczeniem jego słów. Profesor Bateman dyplomatycznie odpowiadał na pytania, pomijając szczegóły. Żołnierze obejrzeli odkryty, dobrze zachowany budynek, by dwie godziny później opuścić obozowisko. Nazajutrz Amerykanom złożył wizytę kapitan straży granicznej Said El Dżajad. Towarzyszyło mu trzech żołnierzy. Kapitan był wysoki, dobrze zbudowany i miał starannie przycięty czarny zarost na śniadej twarzy. Pagony na jego naramiennikach wskazywały, że jest arabskim oficerem. Mężczyzna doskonale znał język angielski. Historię zniknięcia małego miasta usłyszał od starego służącego swojego dziadka. Nikt nie wiedział, co było przyczyną nagłego zapadnięcia się pod ziemię tego pasterskiego miasteczka. Mówiono, że Allah zesłał na nich karę za grzechy.

Anna nawet nie zwróciła uwagi na arabskich gości. Kiedy widziała powracającą z wykopalisk załogę, jak zwykle wyniosła przygotowane potrawy na stoły. Dzisiaj była zupa grochowa, a na drugie danie gulasz z kaszą. Do picia podała kompot z suszonych owoców. Tego dnia nie usiadła z pozostałymi przy stole, źle się czuła – miała kobiece dolegliwości. Połknęła dwie tabletki przeciwbólowe i na chwilę położyła się do łóżka.

Profesor Durell zaprosił dostojnego gościa i jego żołnierzy do stołu. Mężczyzna wahał się przez chwilę, zasłaniając się obowiązkami. Uroczy uśmiech pani doktor sprawił, że zmienił

zdanie. Bette weszła do namiotu po dodatkowe talerze. Zaniepokoiła się, widząc leżącą na łożku pobladłą Annę.

– Co z tobą? – spytała z troską w głosie. – Jesteś chora?

– Nie – zaprzeczyła. – Brzuch mnie boli.

– Wezwać panią doktor?

– Nie. To okres. Przez tę całą historię ze spadaniem pod ziemię dostałam parę dni wcześniej, stąd ten ostry ból. Wzięłam dwie tabletki. Zaraz powinno mi przejść.

– Co za ulga. Myślałam, że to coś poważnego.

– Nie mów nikomu, że źle się czuję. Nie chcę, by Steve niepokoił się o moje zdrowie.

– W porządku.

Bette wyszła z namiotu z talerzami i kompletem sztućców. Said El Dżajad zza swych ciemnych przeciwsłonecznych okularów uważnie przyglądał się dwóm kobietom znajdującym się w obozie. „Młodsza zajęta, ma obrączkę na palcu” – zauważył. „Druga trochę starsza, o ładnych piwnych oczach, uroczym uśmiechu, z krótkimi farbowanymi kasztanowymi włosami, jest chyba wolna. Nie ma na palcu obrączki ani pierścionka. Wolna czy zajęta? Godna zainteresowania. Mam dużo czasu, by dowiedzieć się, czy ta kobieta jest czyjąś własnością”.

– Wasz kucharz dobrze gotuje – przyznał El Dżajad. – Chciałbym pogratulować mu smaku i spytać, jak udaje mu się w tak trudnych warunkach gotować wyśmienite potrawy.

– Nasz kucharz trochę źle się czuje – Bette usprawiedliwiała Annę. – To wszystko przez ten upał.

– To proszę mu podziękować za poczęstunek i uprzedzić, że któregoś dnia znów was odwiedzę i wproszę się na posiłek.

– Ależ proszę odwiedzać nas, kiedy tylko znajdzie pan wolną chwilę – zapraszał Bateman. – Obiad jemy zawsze o tej samej porze.

– W niedzielę mamy nawet ciasto na deser – zachęciła pani doktor.

– Dziękuję – wstał od stołu. – Pewnie wkrótce państwa odwiedzę.

El Dżajad pożegnał się, dosiadł konia i wraz ze swoją eskortą udał się na wschód w stronę wzgórz. Pani doktor przez chwilę

patrzyła, jak oddala się od obozu. Bette zauważyła zachwyty w jej oczach. Czyżby ten przystojny, inteligentny Arab spodobał się jej? Ona chyba też wpadła mu w oko, bo kiedy mówiła, przyglądał się jej z uwagą.

Bette zniosła brudne talerze do namiotu-kuchni. Nie omieszkała przekazać Annie słów podziękowania od muzułmanina. Tabletki przeciwbólowe zaczęły działać. Anna poczuła się trochę lepiej i mogła zmywać brudne naczynia.

– Masz podziękowania za wspaniały posiłek od Saida El Dżajada – powiedziała Bette, wchodząc do namiotu-kuchni.

– A któż to taki? – spytała.

– Kapitan straży granicznej – pojawiła się pani doktor. – Arab, ale ma coś z urody Europejczyka.

– Spodobał się naszej pani doktor – skwitowała Bette. – Nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy oddalał się od naszego obozu.

– Nie powiem – odparła Mary. – Wart jest grzechu... Nie za wysoki... Zgrabna, wysportowana sylwetka. Wspaniale opalony... I te kruczoczarne włosy i zarost... Biały fez podkreślał jego urodę. Tylko nie wiem, jaki ma kolor oczu.

– Czyżby się pani zakochała? – spytała żartobliwie Anna.

– Chciałabym, ale on pewnie jest żonaty – westchnęła. – Gadam głupstwa – roześmiała się w głos. – Nie bierzcie tego na poważnie.

– Może kiedyś będzie potrzebował osobistego lekarza. Wtedy poprosi panią o pomoc i dowie się pani o nim wszystkiego – powiedziała Anna.

– Może.

Zapadła cisza, słychać było plusk talerzy wkładanych do miski z wodą.

– Ale zaraz – zastanawiała się Mary. – A może to mężczyzna z twojego snu? – zwróciła się do Anny.

– Właśnie – potwierdziła Bette. – Mówiłaś, że śnił ci się czarnowłosy mężczyzna z zarostem.

– Nawet gdybym go zobaczyła, pewnie bym go nie poznała.

– Poznasz go – uprzedziła Bette. – Wprosił się na obiad. Powiedział, że wpadnie, jak tylko znajdzie czas.

– Aż tak smakował mu dzisiejszy obiad? – nie wierzyła. – Albo udawał, albo musi mieć źle gotującego kucharza... Albo...

Zapadła cisza.

– Albo co? – Bette spojrzała jej w twarz.

– Albo jest szpiegiem – przypuszczała Anna.

Kobiety spojrzały na nią ze zdziwieniem. Nie wierzyły w to, co przed chwilą powiedziała. Jak taki mężczyzna jak El Dżajad może być szpiegiem? Nonsens.

– Jest żołnierzem. Ma prawo kontrolować stan prac wykopaliskowych – mówiła pani doktor. – Interesują go takie sprawy, tym bardziej że mieszka jakieś osiem mil stąd.

– I jego pradziadek poznał tu żonę.

– Coś takiego – Anna uśmiechnęła się.

– To prawda. To pradziadek El Dżajada posadził te trzy palmy w oazie – dodała Bette.

– Ciekawy człowiek – przyznała Anna.

– Bardzo ciekawy – podsumowała Mary.

Do namiotu zajrzał Steve.

– Podobno nasz kucharz źle się czuje.

– Już mi lepiej.

– A co się dzieje, o ile to nie tajemnica?

– Głowa mnie boli – skłamała.

– To przez ten upał – sprostowała Bette.

– Myślałem, że to coś poważniejszego.

– Bałeś się, że nie będzie miał kto przygotować kolacji? – pani doktor spojrzała mu w twarz.

– No... – uśmiechnął się. – To na razie – wyszedł z namiotu.

– Co to miało znaczyć? – nie rozumiała Mary.

– Anna to jego sympatia – zdradziła Bette.

– Gratuluję. Ciekawe, czy uda ci się go usidlić... – zastanawiała się pani doktor.

– Nie zamierzam tego robić. Czas pokaże, czy jesteśmy sobie przeznaczeni.

Zmęczona całym dniem wcześniej niż zwykle położyła się do łóżka, blokując końcówki suwaków specjalnymi haczykami, tak aby nikt nie wszedł do namiotu. We śnie odwiedził ją czarnowłosa brodaty mężczyzna. Ujrzała go ubranego w białą długą szatę.

Jechał na pięknym czarnym koniu. Upadła, jakby zemdląca, a kiedy otworzyła oczy, muzułmanin pochylał się nad nią. Wyraźnie widziała jego twarz. Śniada cera, duże brązowe oczy, czarny zarost. Był tak przystojny, że mogłaby się w nim zakochać od pierwszego wejrzenia. Mężczyzna przedstawił się: „Jestem księżę Said El Dżajad, a ty jesteś moim przeznaczeniem”. Nagle wyrósł przed nimi okazały pałac z trzema ogromnymi wieżami. Weszła przez otwartą bramę i znalazła się na dziedzińcu, pośrodku którego pod okazałym drzewem figowym znajdowały się drewniane ławki skierowane w cztery strony świata. Mężczyzna wręczył jej bukiet czerwonych goździków. Budząc się, czuła słodki zapach kwiatów. Spojrzała na zegarek. Piąta piętnaście. Pora wstawać. Trzeba się umyć i wydoić kozę.

Kiedy przygotowywała śniadanie, wciąż była pod wrażeniem snu. Tego dnia jadła w towarzystwie załogi.

Od strony wioski zajechały cztery samochody. Wśród stałych arabskich kopaczy było pięciu nowych mężczyzn. Bateman podszedł do nich i spytał, co tu robią. Bette tłumaczyła. Muzułmanin powiedział, że rodziny tych mężczyzn głodują. Poprosili, by zatrudnić ich do kopania. Mówili, że nie są złodziejami i nie ukradną niczego, co odkopią. Mają swój namiot i nie będą nikomu przeszkadzać.

Załodze amerykańskich badaczy nie spodobali się nowi przybysze. Bateman kazał patrzeć im na ręce. Cudzoziemcy rozbili okrągły namiot ze starego szarego materiału trzydzieści kroków za obozem. Trzymali się razem, wspólnie spożywali posiłki. Ich świdrujące oczka obserwowały każdy krok Amerykanów. Anna już nie czuła się bezpieczna, zostając sama w obozie. Szczególnie musiała uważać na chudego, zezowatego Araba bez dwóch zębów w górnej szczęce. Kiedy ekipa wyruszała do pracy, mężczyzna ukradkiem kręcił się po obozie. Jak złodziej przemykał pośród namiotów, sprawdzając, czy któryś z nich jest otwarty. Trzeciego dnia wyłamał kłódkę z kontenera z żywnością i ukradł pięciokilowy worek z ryżem. Anna nie słyszała, kiedy to zrobił. Zbyt głośno słuchała radia, bo akurat śpiewał jej ulubiony piosenkarz Phil Collins. Do jej uszu dobiegło beczenie wystraszonej kozy. Anna z rondelkiem w ręku wyszła przed namiot. Miała akurat roztopić

tluszcz. Zwierzę szarpało się na sznurku, beczało. Zrobiła dwa kroki i kontem oka zobaczyła uchylone drzwi kontenera z żywnością i odchodzącego ukradkiem chudego Araba z workiem pod pachą. O nie, tego nie zdzierży.

– Ty złodzieju – syknęła, robiąc krok do przodu. – Łapać złodzieja! – krzyknęła, widząc, że Arab przyśpiesza.

Dziewczyna, nie bacząc na nic, ruszyła w jego kierunku. Pani doktor i Bette wybiegły ze swoich namiotów. Złodziej okazał się zwinniejszy i szybszy, niż wskazywała jego wąła postura. Choćby Anna bardzo się starała, i tak go nie dogoni. W nerwach z całej siły cisnęła rondelkiem za uciekinierem. Lecący w stronę mężczyzny przedmiot zafalował w powietrzu i trafił ofiarę w tył głowy. Arab zachwiał się, wypuścił worek z ręki i jak długi runął na ziemię. Anna oniemiała. Nie spodziewała się, że rzut okaże się tak celny.

– Trafiłam go – nie dowierzała swoim oczom. – Niesamowite – zaczęła się śmiać. – Trafiłam go.

Kobiety z obozu podbiegły do niej.

– Jak to zrobiłaś? – spytała z niedowierzaniem pani doktor.

– Nie wiem – ruszyła w stronę leżącego na ziemi Araba. – Po prostu z nerwów rzuciłam za nim rondlem.

– I to w dziesiątkę – śmiała się Bette.

Pojawili się czterej towarzysze złodzieja. Anna podniosła rondelkę z ziemi, zaciskając na nim palce. Gdyby któryś z nich próbował ją zaatakować, była gotowa do obrony. Jej mina była pełna nienawiści. Bette podniosła głos. Powiedziała parę zdań po arabsku. Dwóch robotników podniosło z ziemi mamroczonego coś pod nosem kompana i ruszyło do swojego legowiska. Anna chwyciła z ziemi worek z ryżem.

– Co im powiedziałaś? – spytała Mary.

– Kazałam im zabrać złodzieja i wynieść się z obozu, jeśli nie chcą stracić rąk za złodziejstwo.

– Czy ta groźba coś pomoże?

– Nie wiem. Jeśli mnie nie posłuchają, powiadomimy żołnierzy. Już oni zajmą się dłońmi złodziei.

– Jak można obciąć komuś rękę za kradzież? Okropność – obruszyła się Anna.

Podczas obiadu Bette opowiadała o dzisiejszym zdarzeniu kolegom. Ci głośno wyrazili słowa uznania pod adresem swojego kucharza. Steve wymyślił na poczekaniu żartobliwą rymowanąkę.

– Nie wybrzydź, gdy coś się przypali, bo Anna rondelkiem z ławki cię zwali.

– A ty będziesz pierwszy – podsumowała.

– Och, jak ona mnie kocha – westchnął Steve, przykładając dłonie do piersi.

To wyznanie wprawiło załogę w jeszcze lepszy humor.

– Żarty żartami, ale coś trzeba z nimi zrobić – zastanawiał się profesor Bateman.

– Kazałam się im wynosić, ale widocznie nie słuchają rozkazów kobiety – oznajmiła Bette.

– Mnie będą musieli posłuchać.

Profesor mylił się. Bette przetłumaczyła robotnikom, że zostali zwolnieni i muszą opuścić obóz. Piątka muzułmanów nie miała zamiaru ruszać się z tego miejsca. Najstarszy z nich oznajmił, że tylko człowiek, który ich zatrudnił, może ich zwolnić. Nawet słowa arabskich archeologów nie zrobiły wrażenia na intruzach. Pozostało tylko skontaktować się z dyrektorem muzeum i poinformować go, jakich robotników przysłał do obozu.

Kiedy Amerykanie jedli kolację, niespodziewanie odwiedził ich Said El Dżajad w eskorcie pięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Miał dla nich złą wiadomość. Przez granicę turecko-syryjską przedostało się trzech niebezpiecznych bandytów. Jeden z nich zabił strażnika. Mają ze sobą broń. Bateman pomyślał o pięciu nowych kopaczach. Wskazał żołnierzom ich namiot. Muzułmanie musieli mieć coś na sumieniu, bo w czasie legitymowania byli niespokojni. Wśród nich nie było zbiegłych przestępców.

Anna z daleka widziała całe zdarzenie, lecz nie zwróciła uwagi na przywódcę żołnierzy. Była zajęta roznoszeniem waz z fasolką po bretońsku. Bette rozstawiała koszyczki z chlebem na stołach. Pani doktor towarzyszyła profesorowi. Chciała być blisko księcia.

Anna postawiła na stole dwa ostatnie dzbanki z herbatą i usiadła na końcu stołu w towarzystwie studentów. Lubiła słuchać o postępie prac wykopaliskowych. Założyła przyciemnione okulary, ponieważ słońce świeciło jej prosto w twarz.

Pani doktor zaprosiła gościa do stołu. Z przyjemnością przyjął zaproszenie na kolację. Swoich żołnierzy wysłał na patrol, a sam usiadł przy stole z naukowcami, plecami do studentów. Anna rzuciła krótkie spojrzenie w stronę kapitana. Niestety, nie widziała jego twarzy, jedynie tył głowy skryty za białym fezem.

– Ciekawe, czy tym razem będzie mu smakowało? – szepnął Tom.

– Czy to ten sam, o którym mówiła Bette? – spytała Anna.

– Tak – przytaknął Garry. – Jakiś tam Dżajad.

– Popatrzcie, poprosił o dokładkę – zauważył Dan.

Osoby siedzące przy stole skierowały wzrok w stronę siedzącego przy pierwszym stole kapitana.

– Wasz kucharz wspaniale gotuje w tych polowych warunkach – przyznał gość.

– Stara się – przyznał profesor Marchol.

– A skąd macie chleb? – zaciekawiał się El Dżajad.

– Nasz kucharz go piecze – pochwaliła się Mary.

– Będąc na studiach w Anglii, poznałem smak chleba, ale ten jest lepszy. Chciałbym spytać kucharza, jak to robi, że wypieki wychodzą mu takie smaczne.

– Nic prostszego – Mary odwróciła się. – Siedzi przy drugim stole. Ma biały kapelusz i ciemne okulary.

El Dżajad podniósł się z ławki. Skierował wzrok w stronę siedzącej przy końcu stołu postaci. Nie rozpoznał w Annie kobiety, ponieważ włosy miała skryte pod kapeluszem mocno nasuniętym na czoło, a oczy schowane za dużymi ciemnymi okularami. Z kształtu wyłaniającego się znad stołu tułowia odzianego w luźny biały fartuch wywnioskował, że kucharzem jest młody chłopak.

– Chciałbym podziękować kucharzowi za tak wspaniały posiłek...
– zaczął głośno.

Anna spojrzała w jego kierunku. Blask słońca odbijający się od ciemnych okularów sprawił, że widziała księcia niewyraźnie.

– Taki kucharz na tym pustkowi to skarb.

– Dziękuję za uznanie – skinęła głową. – Moja kuchnia jest otwarta dla wszystkich.

Kiedy wypowiadała te słowa, nadszedli żołnierze. W gwarze męczyzna nie rozpoznał, że te słowa wypowiada kobieta. Kapitan

pożegnał gospodarzy, dosiadł konia i wraz z podwładnymi udał się na wschód.

– I jak? Czy to mężczyzna z twojego snu? – spytała Bette, pomagając Annie zbierać brudne talerze.

– Nie wiem. – wzruszyła ramionami – Niewiele widziałam. Oślepiła mnie słońce. Chusta Araba zakrywała połowę twarzy.

– Szkoda – pani doktor była zawiedziona. – A taka byłam ciekawa, czy to twoje przeznaczenie.

– Przeznaczenie? – Anna nie zrozumiała.

– Zapomniałaś? Bette wspomniała, że to, co przyśni się pierwszej nocy w nowym miejscu, musi się spełnić – przypomniała Mary.

– Ostatnio sprawdził się sen, w którym wpadłam do dziury i o mało się nie udusiłam.

– Doprawdy? – zainteresowała się Bette. – Nie mówiłaś nam o tym śnie.

– A czym się miałam chwalić? To nie był przyjemny sen.

– Ale się sprawdził – zauważyła Bette. – Skoro twoje sny się spełniają, to może i ja wreszcie będę miała dziecko.

– Daj Boże – skwitowała Mary.

Po wiadomości o zbiegłych bandytach pani doktor bała się spać sama w namiocie, lecz nie chciała, by Anna przeniosła się do niej. Woląa towarzystwo swojego brata. Tak też się stało. Steve chciał zamieszkać w namiocie Anny. Odmówiła.

– Boisz się, że będę się do ciebie dobierał?

– Tak – odpowiedziała, odważnie patrząc mu w oczy.

– Nie brakuje ci mężczyzny?

– Brakuje.

– To czemu mnie nie chcesz?

– Bo zapomniałaś przywieźć ze sobą zabezpieczenia.

– Są przecież dni, kiedy można kochać się bez zabezpieczenia.

– Tak. Ale ty wtedy jesteś zmęczony.

– Czyli masz na mnie ochotę.

– Czasem mam.

Ta rozmowa zakończyła się na namiętnych pocałunkach i niewinnych pieszczotach. Wprawdzie Anna i Steve spędzili ze sobą noc, jednak nie doszło do zbliżenia.

Do rana w obozie było spokojnie. Miłą niespodziankę sprawił im brak namiotu pięciu nieproszonych muzułmanów. Najpierw była radość, następnie sprawdzanie, czy nic nie zginęło. Po półgodzinnej penetracji całego obozu stwierdzono brak jednej butli z gazem. Na szczęście była to niewielka strata; spodziewano się ubytku zapasów żywności. Kłódka przy drzwiach kontenera z żywnością była nietknięta. Ekipa szykowała się do wymarszu w stronę wykopalisk, kiedy na wielbłądach nadjechali żołnierze. Ci sami, którymi dowodził Said El Dżajad. Poinformowali zebranych, że kapitan zlecił im pilnowanie obozu, ponieważ niedaleko wioski Obbia, a więc blisko obozu Amerykanów, widziano zbiegłych bandytów. Żołnierze ukryli swoje wielbłądy w oazie, a sami zajęli miejsca pośród namiotów. Anna czuła się nieswojo, wiedząc, że jest obserwowana przez Syryjczyków. Młoda, jasnowłosa dziewczyna ubrana w luźną bawełnianą bluzkę z krótkim rękawem i beżowe spodnie do kolan przyciągała ich wzrok. Dobrze, że nie ubierała się jak pani doktor – w obcisłe cienkie getry i minispódniczkę – bo wtedy któryś z nich pewnie by się na nią rzucił. Strażnicy zostali na noc. Spali pod gołym niebem, przykryci kocami. Mieli ze sobą zapas żywności, więc pomimo zaproszenia na kolację skusili się tylko na herbatę. Steve obiecał, że i tę noc spędzi w namiocie Anny, lecz kiedy po prysznicu poszedł do swojego namiotu, by się przebrać, zasnął ze zmęczenia. Randka nie udała się.

W sobotnie popołudnie goniec księcia Saida El Dżajada przywiózł zaproszenie na niedzielną wieczerzę. Obejmowało ono panią doktor, profesorów Batemana, Durella, Marchola oraz tłumaczkę Bette Daton. Zapomniano o dwóch pozostałych naukowcach, Stevie Haroldzie i Robercie Harmonie. Ten ostatni był zadowolony, że go pominięto, ponieważ był zmęczony po całym dniu spędzonym na pracach wykopaliskowych, zjadł posiłek, wziął prysznic i jako pierwszy z całej załogi położył się spać. Po wczesnej kolacji studenci udali się od swoich namiotów, a zaproszeni przez księcia członkowie załogi wsiedli do wysłanego po nich pojazdu i odjechali w stronę pałacu. Anna przysiadła się do samotnie siedzącego przy stole Steve'a.

– Zapomnieli o tobie.

– No cóż – westchnął. – Nie jestem aż tak ważny jak moi profesorowie. Za mało mam doświadczenia i jestem zbyt młody.

– Biedactwo – pocałowała go w czoło.

– Przepraszam, że wczoraj do ciebie nie przyszedłem.

– Nic się nie stało. Jakoś to przeżyłam.

– Tę noc na pewno spędzimy razem – objął ją za szyję.

– Wiesz, na co mam ochotę? – spojrzała na niego.

– Na mnie – patrzył jej w oczy.

– To też... – uśmiechnęła się. – Ale... tak naprawdę chciałabym zobaczyć ruiny. Po tamtej niemiłej przygodzie nie chciałam ich oglądać, ale ciągle siedzę przy kuchni i nie widzę niczego oprócz garów i kozy. Co ty na to?

– Myślałem o czymś innym, ale co tam – dopił kawę. – Teraz?

– Za pół godziny. Skończę myć talerze i możemy iść.

Zebrała ze stołów resztę naczyń, zaniosiła je do namiotu i włożyła do miski z wodą. Mycie naczyń poszło jej błyskawicznie. Umyła się, przebrała w bawełnianą sukienkę z krótkim rękawem, na gołe stopy założyła sandały, zarzuciła na ramiona żakiet i była gotowa na randkę ze Steve'em. Jeszcze tylko zasunąć suwak w drzwiach namiotu i mogła iść na spacer. Steve czekał na nią z latarką w ręku. Nie wiedzieć kiedy pojawili się Garry, Tom i Dan. Chłopcy, widząc ich razem, zaczęli klaskać w dłonie.

– Zazdroście?

– No pewnie – westchnął Garry.

– Z wami jada przy stole, a ze mną umawia się na randki – dociął im Steve.

– To niesprawiedliwe – zażartował Dan.

– A gdzie koc? – spytał Tom. – Piasek wchodzi w ciało i może być niemiło.

– Damy sobie radę – Steve pokazał kciuk.

Powoli oddalali się od obozu, ku niezadowoleniu żołnierzy. Ci jednak nie mieli rozkazu nikogo zatrzymywać. W grupie Amerykanie byli bezpieczni. Samotnie oddalając się od obozu, są łatwym celem dla niespodziewanych gości. Po drodze Steve opowiadał, jak odślaniali z piasku poszczególne fragmenty muru i natrafili na kolejny niski budynek. Znaleźli dobrze zachowane ludzkie szczątki przysypane grubą warstwą piasku. Były tam kości nie tylko

dorosłych, lecz też małych dzieci. Barry klatka po klatce filmował ich dokonania. Wszystko, o czym opowiadał Steve, było bardzo interesujące i tajemnicze.

Stanęli na piaszczystej wydmie. Anna spojrzała w dół. Z bliska mogła zobaczyć ruiny odkopanych dwóch budowli z białego kamienia. Parter domu, do którego wpadła, był w dobrym stanie. Prowadził do niego tunel wykopany w piasku. Steve przypuszczał, że część domu zawaliła się, a ten drugi budynek był z nim połączony. Droga w tunelu była wyłożona drobnym kolorowym kamieniem.

– Nie zanudzam cię? – spytał.

– Ależ nie – zaprzeczyła. – To, o czym mówisz, jest bardzo ciekawe. Co tu się mogło wydarzyć?

– Z zapisków wynika, że nad tym rejonem przeszła gwałtowna burza piaskowa. To zjawisko było tak niespodziewane, gwałtowne, że zaskoczyło mieszkańców.

– Skoro zaskoczyła ich burza piaskowa, to dlaczego są tylko trzy szkielety?

– Nie wiem. Może zaczęli się ewakuować. Chorzy i starzy zostali tutaj, a młodzi uciekli.

– Wątpię, by wiedzieli o takim zagrożeniu. Ja, widząc chmurę piasku, schowałabym się do domu. Tu czułabym się bezpieczniej, nie na zewnątrz. Skąd mogłabym wiedzieć, że zostanę zasypana?

Steve zastanowił się. To, co mówiła, miało sens. Zapalił latarkę. Weszli do wnętrza znaleźiska.

– Można by przypuszczać – mówił w zamyśleniu – że pasterze byli ze swoimi stadami na pastwisku. To tłumaczy mniejszą liczbę ofiar.

– A dzieci? Znaleźliście ich ciała?

– Spokojnie. Dopiero zaczęliśmy odkopywać ruiny, a ty chcesz odkrywać same trupy. Już jednego widziałaś.

– O jednego za dużo.

– No widzisz. Nam też jest nieprzyjemnie odkopywać czyjś grób.

– A przez co wpadłam do tego pomieszczenia?

– Przez komin – oświetlił miejsce, przez które wpadła do wnętrza ruin.

– Komin? – przyjrzała się uważnie. – Taki szeroki?

– Całe szczęście, że taki szeroki. Gdybyś w nim utkwiała, byłoby po tobie. Wpadłaś przez niego do pieca.

– Pieca? – przyglądała się kamiennym kształtom. – Nie widzę otworu, przez który wyszłam.

– Jest tu z boku. Pokażę ci – skierował snop światła w tamtym kierunku, obchodząc piec. – Wyleciałaś luftem. Tutaj – pokazywał – było pełno piasku. Znaleźliśmy niedopalone polana.

Zajrzała do wnętrza pieca. Był oczyszczony z piasku i mogła zobaczyć blask światła wpadający przez komin. Przeszli do drugiego pomieszczenia, gdzie na ścianie widniał napis: „Ten, kto pierwszy odkryje moje szczątki, zostanie na tej ziemi na zawsze”. Anna zastygła w bezruchu. Przypomniała sobie sen, a potem Bette tłumaczącą ten tekst. Spojrzała w stronę wnęki, lecz nie ujrzała szkieletu.

– Wszystko w porządku? – spytał Steve.

– Tak – skłamała. – Zamyśliłam się. A gdzie nieboszczyk?

– Wszystkie szkielety zapakowaliśmy w worki foliowe i wsadziliśmy do skrzyni. Jutro zostaną odtransportowane do muzeum. Tam zajmą się nimi arabscy antropolodzy.

Przeszli do drugiego, mniejszego pomieszczenia. W kolejnej drewnianej wnęce znajdowała się szeroka drewniana ława, a może było to łóżko. Steve stanął za plecami Anny i objął ją delikatnie, kładąc dłonie na jej jędrnych piersiach.

– Nawet nie wiesz, jaką mam na ciebie ochotę – szepnął, przywierając do jej pleców. – Masz piękne piersi.

– Widziałeś je? – zaczęła się przekomarzać.

– Wyczuwam, jakie są smakowite – musnął ustami jej kark. – Czy nadal nie masz ochoty na romans z panem profesorem?

Obróciła się do niego twarzą. Chciała coś powiedzieć. Przywarł do jej ust. Był tak napalony, że poczuła, jak jego spodnie unoszą się. Całował ją długo i namiętnie. Najpierw w usta, następnie w szyję, a potem odsłonił ramiona. Delikatne muśnięcia sprawiły, że czuła, jak mięknie. Miała ochotę kochać się z nim tu i teraz, lecz rozsądek tego zabraniał.

– Zróbmy to tutaj... teraz – szepnął.

– Bez zabezpieczenia nic z tego nie będzie. Mam płodnie dni.

– Niech to diabli – spojrzał jej w oczy. – Czemu nie wziąłem kondomu?

– Bo nie sądziłeś, że będziesz miał tutaj dziewczynę do kochania. W końcu przyjechałeś odkrywać ruiny zaginionego miasta, a nie moje ciało.

– Jedno i drugie jest bardzo interesujące – cmoknął jej nagie ramię. – Jutro jedziemy z nieboszczykami do miasta. Znajdę jakiś sklep z medykamentami, a potem będziemy mogli się kochać bez przeszkód.

Zsunął z jej ramion sukienkę, odsłaniając jej nagie piersi. Tysiące namiętnych pocałunków, pieśczośliwych dotknięć. Nawet nie zauważyła, kiedy rozpięła mu koszulę i została w samych majtkach, przytulona do jego nagiego torsu. Czowała gorące wargi Steve'a na swoich ustach. Do ich uszu dobiegły głosy dwóch mężczyzn. Zamarli w bezruchu.

– To Turcy – szepnął.

– Jesteś pewny?

– Tak. Dwa lata temu byłem w Turcji. Przez dwa tygodnie tak nasłuchiwałem się tego języka, że nigdy nie zapomnę specyficznego akcentu.

– Może to ci tureccy bandyci? – podciągnęła ku górze sukienkę, zasłaniając nagie piersi.

Głosy stawały się coraz bardziej donośne.

– Cicho – nasłuchiwał. – Idą tu.

Steve chwycił Annę za rękę i pociągnął w stronę wgłębienia w ścianie. Szybkim ruchem podniosła z ziemi żakiet. Przytuleni przodem do siebie, skryli się w zagłębieniu. Nie zdążyła wsunąć rąk w rękawki sukienki, a on nie zapiął guzików u koszuli. Do środka weszło trzech mężczyzn ubranych w długie ciemne stroje. Wzrok Steve'a zatrzymał się na leżącej na kamiennej posadzce latarce, którą zapomniał podnieść. Dobrze, że ją zgasił. W panującym półmroku Anna zauważyła niepokój w jego spojrzeniu. Spojrzała w bok.

– O Boże – szepnęła.

– Ci... – przylgnął wargami do jej ust.

Przymknęła powieki. Tak bardzo się bała. Miała wrażenie, że intruzi słyszą przyśpieszone bicie jej serca. „Boże, spraw, by nie

zobaczyli latarki” – modliła się. Oparła czoło o ramię mężczyzny. Czuła, jak strużki potu spływają po jej plecach i zatrzymują się na majtkach. Nawet nie chciała myśleć, co się stanie, kiedy Arabowie ich tu znajdą. Steve pewnie będzie chciał ją obronić, lecz nie da rady trzem mężczyznom. Jego pobiją, a ją zgwałcą wszyscy trzej, być może zamordują. W ten sposób zostanie na tej ziemi na zawsze.

Jeden z muzułmanów ostrożnie zajrzał do drugiego pomieszczenia. Niewiele widział w panującym półmroku. Powiedział coś do swoich towarzyszy, tamci odpowiedzieli i podeszli do niego. Steve widział zarysy ich postaci. Rozległo się wołanie. Na zewnątrz był jeszcze jeden mężczyzna. Turcy zawrócili. Szybkie, krótkie zdania, odgłos szybkich kroków. Cisza. Steve ostrożnie wychylił się zza kamiennego muru.

– Poszli? – spytała Anna szeptem.

– Chyba tak – potwierdził. – Zaczekaj tu – podniósł z ziemi latarkę.

– Bądź ostrożny.

Mężczyzna, kryjąc się za ścianą, powoli sunął do przodu. Po drodze zapinał guziki u koszuli. Anna wsunęła ramiona w rękawki sukienki. Założyła żakiet. Po intruzach nie było śladu. Steve skinął na dziewczynę. Niepewnym krokiem wyszła z ukrycia.

– Ciekawe, co ich wystraszyło? – była ciekawa.

– Wiem co – wskazał drewnianą skrzynię z ludzkimi szczątkami. Była otwarta. – Szukali skarbów, a znaleźli kości – uśmiechnął się.

– Musimy powiadomić żołnierzy.

Ostrożnie, rozglądając się na boki, opuszczali kamienne mury budynku. Obawiali się, że intruzi nadal są w pobliżu. Teren był czysty, ale nadal czuli się nieswojo. Kiedy opuścili teren wykopalisk, biegiem ruszyli do obozu. Stawianie szybkich kroków w suchym piasku przypomina film puszczony w zwolnionym tempie. Zmęczeni, nie mogąc złapać tchu, dobiegli do ogrodzenia. Jeden z żołnierzy, siedzący przy ognisku, zauważył ich szybkie ruchy. Uniósł się z piasku i podeszedł kilka kroków. Zatrzymali się i zrobili kilka głębokich wdechów. Pierwszy zaczął mówić Steve:

– Tam w ruinach... – wskazał palcem na zachód – byli Turcy... – znów głęboki wdech. – Może to są ci sami, których szukacie...

Arabski żołnierz nie rozumiał jego słów. Zrobił gest dłonią, wzruszył ramionami. Podeszli do niego koledzy.

– Turcy w ruinach – powtórzył Steve.

Niestety, żaden z żołnierzy nie znał języka angielskiego.

– To bez sensu – Steve dał za wygraną. – Tu potrzebna jest Bette.

– Czy któryś z was mówi po francusku? – bez przekonania, biorąc głęboki oddech, zapytała Anna w języku francuskim.

– Tak – odpowiedział jeden z nich.

– W ruinach – wskazała w tamtym kierunku – spotkaliśmy czterech Turków.

– Turków? Na pewno? Skąd pani to wie?

– Mój kolega – wskazała na Steve'a – zna ich język.

Muzułmanin przetłumaczył jej słowa. Żołnierze podbiegli do koni, dosiedli ich i ruszyli na patrol.

– Znasz francuski?

– Trochę – oddychała już spokojnie. – Cztery lata uczyłam się tego języka. Pół roku byłam na praktyce we Francji. Tam porozumiewaliśmy się tylko po francusku.

– Coś takiego – Steve był pełen uznania dla swojej dziewczyny.

– A ty nie znasz żadnego obcego języka? – ruszyła w stronę namiotu.

– Znam włoski, hiszpański, niemiecki, łacinę i grekę.

– Nie mylą ci się te wszystkie języki?

– Jeszcze nie, ale za to wyszło mi w gardle. Muszę się napić.

– Został kompot. Zapraszam.

– A nie masz czegoś mocniejszego? – zażartował.

– Mocnych wrażeń już mi wystarczy dzisiejszego wieczoru.

Grający w karty przy jadalnym stole studenci zauważyli ich powrót i nie omieszkali zażartować.

– Co ta randka taka krótka? – zagadnął Garry. – Czyżby duchy z przeszłości wam przeszkodziły?

– Wiesz, Garry, że czasem wystarczą trzy minuty na randkę – odparł Steve.

– Tak, wiem, panie profesorze – westchnął. – Wypróbowałem. Żadna przyjemność.

– Bo słabo się starałeś.

- Oooo... jednak coś było – podchwycił Dan.
- A gdzie wysłaliście naszych strażników? – pojawił się Peter Fox.
- W ruinach spotkaliśmy Turków – poinformował profesor. – To pewnie tamci poszukiwani bandyci. Musicie być czujni dzisiejszej nocy.
- Anna zniknęła w namiocie kuchni.
- Mamy arabskich strażników – zauważył Tom.
- A widzisz ich tutaj? – Dan zrobił gest ręką. – Wiadomo, kiedy wrócą?
- Przydałaby się broń – podsunął pomysł Garry.
- Arabowie nam jej nie dadzą – zaprzeczył Peter.
- Ale mamy patelnie – Garry przypomniał sobie akcję Anny.
- Chcesz jedną? – pojawiła się z dwoma kubkami pełnymi kompotu z suszonych owoców. Jeden z nich podała Steve’owi.
- Ba. Przydałaby się.
- To co, przynieść jedną z nich? – spytała z powagą w głosie.
- Może lepiej, żebyś miała je przy sobie – mówił niepewnym głosem Garry. – My mamy czym się obronić...
- Mówisz o swoich mięśniach czy uroku osobistym? – Dan wszedł mu w słowo.
- O mięśniach, osiłku, o mięśniach.
- Już ma ją kto bronić – Steve objął ją ramieniem.
- Takiemu to dobrze – westchnął Garry. – A mogłem być pierwszy.
- No ładnie. Jak wrócimy do Stanów, to nakabluję o tobie do Susan – Dan wstał od stołu.
- Ja ci dam – Garry poderwał się z ławki. – Spróbuj coś pisnąć, to zakopię cię tu w piachu.
- Chłopcy zaczęli ganiać się wokół stołu. Gra w karty zakończyła się i studenci wrócili do swojego namiotu. Steve i Anna weszli do namiotu kuchni. Dziewczyna umyła kubki.
- Musimy to kiedyś powtórzyć – powiedział Steve.
- Pieszczoty czy zwiedzanie ruin? – spytała żartobliwie.
- Jedno i drugie.
- Dopóki nie znajdą tych bandytów, nie ruszam się wieczorem z obozu.

- To będziemy się spotykać w twoim namiocie – objął ją w pasie.
- No, nie wiem – uśmiechnęła się.
- Wezmę prysznic, zabiorę śpiwór i zaraz do ciebie przyjdę – cmoknął ją w usta. – Nie możesz spać sama, kiedy na zewnątrz grasują bandyci.
- Nie śpiesz się. Ja też muszę się umyć.
- Za dziesięć minut – ruszył do wyjścia.
- Pół godziny.

Nie poszła pod prysznic. Na kuchni gazowej w garnku zagrzała wodę, zmyła z siebie pot i włożyła piżamę. Położyła się na łóżku-polowym. Dobrze, że Steve będzie spał z nią w jednym namiocie. Po dzisiejszym zajściu boi się zostać sama.

Zapaliła lampkę. Spojrzała na zegarek. Pół godziny już dawno minęło, a Steve'a wciąż nie było.

- Anno! – zawołała Bette. – Śpisz już?
- Śpię – usiadła na łóżku. – Co się stało?
- Możesz nas wpuścić? To nie powinno czekać do rana.

Niechętnie zeszła z łóżka i rozsunęła suwak w wejściu namiotu. Kobiety weszły do środka i zajęły dwa wolne taborety. Chciały podzielić się wrażeniami z pobytu u księcia.

– Nie uwierzysz – zaczęła Bette. – Pałac jest taki sam jak ten z twojego snu. Średniowieczny zabytek. Wnętrza jak w muzeum. Kilimy, obrazy. Jest tam ogród pełen kwiatów i fontanna z trzema skorpionami pośrodku, z których tryska woda. Raj.

– Tak jak nam mówiłaś – wtrąciła Mary. – Masz prorocze sny. Aż trudno uwierzyć, że właśnie tobie się to przyśniło, a nie którejs z nas.

Anna z otwartymi ustami słuchała relacji z prozowanej kolacji. Nie mogła uwierzyć, że ten pałac istnieje, że jest tam ogród, fontanna.

– A ten El Dżajad nosi na fezie opaskę, do której jest przyczepiona złota brosza w kształcie skorpiona? – spytała Anna.

– Tak – potwierdziła Bette. – A tułów tego skorpiona jest zrobiony z rubinu. W życiu nie widziałam tak dużego rubinu. Książę jest cholernie bogaty. Rozmawiał z profesorami, a ciągle gapił się na naszą panią doktor.

– Przesadzasz – machnęła ręką. – Jest dość inteligentny, przystojny, ale to muzułmanin.

– Niezupełnie – zaprzeczyła Bette. – Jest wymieszany. Jego babka była Angielką, matka jest Hinduską. Studiował w Anglii, mieszkał u swojej ciotki ze strony babki.

– Światowy człowiek – przyznała Anna.

– Tak, światowy – powiedziała w zamyśleniu Mary. – Interesuje się sztuką. Ma dużo książek. Nie pasuje mi na Araba.

– A żona? Poznałyście ją.

– Nie – powiedziała pani doktor.

– U muzułmanów kobiety nie mają prawa pokazywać się na spotkaniach towarzyskich bez zgody męża – oznajmiła Bette.

– Dziwny obyczaj. Nie mogłabym tak żyć – Anna pokręciła głową.

– Takie mają zwyczaje – rzekła Bette. – Chociaż Syryjczycy są znacznie bardziej postępowi niż Irakijczycy czy Irańczycy, bardziej otwarci na różne kultury czy inną wiarę.

– Zaprosił nas na urodziny swojej matki – wtrąciła Mary.

– To oni obchodzą urodziny? – Anna była zaskoczona.

– Mnie też to zdziwiło – Bette zastanowiła się.

– Jest inny, postępowy. Mówiłam, że nie pasuje na muzułmanina – powiedziała Mary.

– To już wszystkie nowinki? – spytała Anna.

– Tak – powiedziała Bette.

– W takim razie życzę dobrej zabawy urodzinowej.

– To za tydzień – sprostowała Mary.

– Szkoda, że nie możesz z nami jechać – westchnęła Bette, wstając z taboretu. – Zobaczyłabyś, czy to, co dzisiaj pokazał nam El Dżajad, widziałas w swoim śnie.

– No właśnie – podchwyciła Mary. – Chyba nie będę mogła zasnąć. Wciąż czuję zapach kwiatów.

– A propos snów – zatrzymała je Anna. – W ruinach grasowali Turcy. Uważajcie na siebie.

– Jacy Turcy? – Bette zatrzymała się przy drzwiach namiotu.

– Nie wiem. Nasi strażnicy pojechali na rekonesans.

– Tak – Mary zastanowiła się. – Zdawało mi się, że siedzieli przy ognisku.

– Pewnie wrócili, by nas pilnować – Anna wyjrzała z namiotu.

Na dworze panował mrok, żołnierze siedzieli przy ognisku. Rozejrzała się, wypatrując Steve'a. Mężczyzny nie było w pobliżu. Kobiety pożegnały się i poszły do swoich namiotów, by położyć się do snu. Anna zasunęła suwak. Czekwała dłuższą chwilę, lecz jej chłopak się nie pojawił. Zablokowała suwak, żeby nikt z zewnątrz nie mógł go rozsunać, po czym położyła się spać. Długo nie mogła zasnąć. Nasłuchiwała, czy nikt nie kręci się wokół namiotu. Zmęczona czuwaniem usnęła w środku nocy. We śnie znalazła się w pałacu księcia. W sali bankietowej było pełno ludzi. Mężczyźni ubrani w ciemne garnitury, kobiety w suknie z długimi rękawami, z włosami ukrytymi w chustkach. Nie była sama. Towarzyszyli jej Steve, profesorowie Bateman, Durell i Marchol, Bette i pani doktor. Była ubrana w sukienkę w różyczki i czarny żakiet. Na stopach miała sandały niepasujące do reszty stroju. Na lewym nadgarstku widniało coś białego, przypominającego bandaż. Przywitał ją czarnowłose brodaty mężczyzna w białym stroju. Poprowadził Annę do siedzącej w stylowym fotelu drobnej starszej kobiety, mówiąc: „Przedstawiam ci moją matkę Aydę. Mówisz po francusku, moja matka też zna ten język. Chcę, byś z nią porozmawiała. Jest taka samotna”.

Kiedy się obudziła, na dworze było już jasno. Wciąż była pod wrażeniem snu. Nadal miała przed oczami salę balową i pamiętała twarz starszej kobiety. Uśmiechnęła się do siebie. Pewnie to wszystko przyśniło jej się, bo Bette zdała jej relację z wczorajszej wizyty w pałacu Saida El Dżajada.

Umyła się i ubrała, po czym poszła wydoić kozę. Padał deszcz. Pierwszy raz, odkąd przyjechali do Syrii. Dobrze, niech pada. Ziemi potrzebna jest woda. Trawa stała się szara i niedługo całkiem wyschnie.

Wprowadziła kozę pod wiatę, powrózek przywiązała do nogi ławki. Wciąż wspominała swój sen. Co robiła na przyjęciu? Przecież nie została na nie zaproszona i raczej nic się w tej kwestii nie zmieni, bo dlaczego księżę ma zapraszać na bal kucharza? Ale co z jej ręką? Czy to był bandaż? Pewnie coś jej się stanie w czasie gotowania. Może się poparzy albo skaleczy przy otwieraniu konserw. Kiedy szła do namiotu, dołączył do niej Steve.

- Przepraszam, że nie przyszedłem do ciebie – był zakłopotany.
- Nic się nie stało. Żyję.

– Wybierałem się do ciebie, kiedy Bette i pani doktor wchodziły do twojego namiotu. Usłyszałem, że to dłuższa rozmowa, i zawróciłem.

– A jak już zawróciłeś, to zasnąłeś – postawiła na stole garnek z mlekiem.

– Skąd wiesz? – spojrzał jej w twarz.

– Szybko zasypiasz.

– Masz rację. Kiedy jestem zmęczony, zasypiam w ciągu pięciu minut. Obiecuję, że dzisiaj wypiję mocną kawę i będę cię pilnował całą noc.

– Aha – uśmiechnęła się. – Już to widzę – ujęła jego dłonie. – Jest noc, mija pół godziny i nasz pan profesor smacznie chrapie w swoim śpiworku.

– Chciałabyś.

– Pożyjemy, zobaczymy – odsunęła się do niego. – Koniec amorów.

Mężczyzna przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Do ich uszu dobiegły rozmowy Durella i Batemana. Przygotowywali się do wyjazdu do Aleppo. Anna delikatnie odsunęła się od Steve'a.

– Muszę przygotować śniadanie. Jak chcesz mi pomóc, przynieś wody ze źródła. Nie będę miała w czym umyć naczyń po śniadaniu.

– Tak jest, moja słodka.

Wziął puste wiadro.

– Jak już jedziecie do miasteczka, to weźcie puste butle na gaz. Została tylko jedna zapasowa.

– Dobrze, że mi przypomniałaś. Bateman kazał o to spytać, a ja zapomniałem.

Tuż przed ósmą przyjechała ciężarówka. Załadowano na nią drewnianą skrzynię z kośćmi i odkopanymi naczyniami oraz cztery puste butle na gaz. Czwórka naukowców zajęła ławkę znajdującą się w ciężarówce. Bette usiadła w szoferce obok kierowcy i arabskiego archeologa Abdur Rahima. W obozie została tylko pani doktor, Anna i dwóch żołnierzy. Studenci i operator kamery oraz pozostali czterej Syryjscy naukowcy i ich pomocnicy udali się do ruin.

Okolo dziesiątej deszcz przestał padać, a zza chmur wyszło słońce. Zrobiło się parno i gorąco. Pani doktor nudziła się, więc dołączyła do pracujących w ruinach studentów. Na obiedzie miało brakować pięciu osób, więc Anna mogła upiec chleb. Starczy dla wszystkich. Przygotowała rozczyń, zagniotła ciasto i rozdzieliła je na dwie foremki. Żeby ciasto szybciej wyrosło, wyniosła foremki na słońce. Wyszła przed namiot. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby ulatniał się gaz. „To pewnie efekt parującej ziemi” – pomyślała.

Nie zauważyła, że do obozu zbliżał się jeździec. Zrobiła parę kroków. Za jej plecami rozległ się wybuch. Silny podmuch powietrza zachwiał nią. Foremki z ciastem wyleciały Annie z rąk, a sama runęła na mokrą ziemię. Ciężarem ciała przygniotła lewą rękę, a prawą stroną czoła uderzyła o grudkę stwardniałego piaskowca. Biały kapelusz spadł jej z głowy, uwalniając zwinięte pod nim włosy. Przez chwilę leżała oszołomiona eksplozją i uderzeniem głową o twarde podłoże. Nie wiedziała, kim jest, co tu robi i gdzie się znajduje. Spróbowała wstać. Silne męskie ramiona pomogły usiąść jej na ziemi. Mężczyzna spojrzał w jej twarz. Delikatne rysy twarzy, pozbawione makijażu, ciemne, wąskie brwi, mały, zgrabny nosek, wyraziste, różowe usta, aksamitna, lekko opalona skóra i jasne włosy sprawiły, że jego serce забиło mocniej. Czuł się, jakby zobaczył anioła.

Pośród szumu do uszu Anny dotarł męski głos:

– Wszystko w porządku?

W przyciemnionym blasku słońca ujrzała twarz opalonego mężczyzny z krótko przyciętym zarostem. Czarne włosy były skryte pod białym fezem. Kolor oczu mężczyzny nie był czarny, lecz szaroniebieski. Szerokie, wyraziste usta, nie za duży, zgrabny nos, krzaczaste czarne brwi. Rozpoznała w nim mężczyznę ze snów. Nie była pewna, czy to sen, czy jawa.

– Arab o niebieskich oczach – wyksztusiła.

Mężczyzna uśmiechnął się. Zobaczyła jego białe, prawie perłowe zęby. „Boże, jaki on ma ładny uśmiech” – pomyślała. „I tak pięknie pachnie goździkami i wanilią”. Zrozumiała, że to jednak nie sen.

– Widzę, że z panią wszystko w porządku – powiedział.

– Chyba tak – wstała, bojąc się ponownie spojrzeć mu w oczy.

Ciasto na chleb leżało obok foremek, zabrudzone ziemią.

– Mój chleb.

Schyliła się, by podnieść ciasto z ziemi. Kiedy próbowała dotknąć foremki, poczuła ostry ból lewego nadgarstka. Jęknęła, odruchowo chwytając drugą ręką bolące miejsce.

– Moja ręka – syknęła.

– Mogę zobaczyć? – spytał niepewnym głosem.

Nie wiedzieć czemu pozwoliła, by mężczyzna z jej snu obejrzał kontuzjowaną rękę. Dotyk nieznanego był tak delikatny, a muśnięcie palców przyjemne, że nawet nie czuła bólu.

– Na szczęście to tylko lekkie zwichnięcie. Kości i ścięgna są całe.

– Jak ja będę teraz gotować? – przyciągnęła do siebie chorą rękę. – Kto wydoi kozę?

– A kucharz?

– Kucharz? – spojrzała mu w twarz, nie rozumiejąc pytania. – Ja tu jestem kucharzem.

– Pani? – spojrzał w stronę pustych stołów. – A ja... – urwał i roześmiał się w głos. Jego cichy, krótki śmiech był przyjemny dla uszu. Anna musiała przyznać, że ten mężczyzna był ładniejszy od Steve'a, wyższy, lepiej zbudowany i bardziej męski. W takim mężczyźnie mogłaby się zakochać. „Niestety, nie jest przeznaczony dla mnie” – pomyślała.

Do obozu biegli studenci.

– Wtedy wziął mnie pan za mężczyznę? – kontynuowała rozmowę.

– Tak – patrzył jej w twarz. – Pomyliłem się, tym bardziej jestem mile zaskoczony, że kucharzem okazała się tak piękna kobieta.

Dziewczyna zawstydziała się. Jej policzki zabarwiły się lekką czerwienią. Taka reakcja spodobała się mężczyźnie. Kobieta, która się rumieni, nie jest wulgarna i wyzywająca. Pierwszy dobiegł do nich Garry.

– Co się stało? – spytał zdyszany.

– Nie wiem – przyznała. – Coś wybuchło za namiotem – wskazała zdrową ręką w tamtym kierunku.

– To pewnie butla z gazem – przypuszczał Dan.

Udali się za namiot. W piasku widniała głęboka dziura, a wokół leżały szczątki rozerwanego wybuchem metalu.

– To nasza ostatnia zapasowa butla – oznajmiła Anna.
– To pewnie ci Turcy, o których wczoraj mówiłaś – przypuszczał Garry.

– To pani powiedziała o nich moim żołnierzom? – spytał nieznajomy.

– Tak – przyznała się.

– A skąd pani tak dobrze zna język francuski?

– Uczyłam się go w szkole.

Spojrzała na bolący nadgarstek. Na ręce pojawił się obrzęk. Postanowiła przejść do chłodni, żeby obłożyć lodem kontuzjowane miejsce i bolący ślad na czole. Skierowała się w stronę kontenera. Z daleka ujrzeli zbliżającą się do obozu panią doktor. Gość mówił dalej:

– Przyjechałem poinformować, że ci bandyci zostali ujęci i już wam nie zagrażają.

– To wspaniale. Mogę spać spokojnie, tylko jak dam sobie radę z chorą ręką? – odruchowo pomasaowała bolący nadgarstek.

– Proszę się nie martwić – uspokajał ją. – Przyślę pani swojego kucharza.

– A panu kto będzie gotował? Żona? – zażartowała.

– Mam trzech kucharzy.

– Pełny komfort – przyznała, zatrzymując się przed kontenerem chłodnią.

– O tak – przyznał.

Pani doktor z lekką zadyszką podeszła do nich. Przybysz skłonił się. Mary odwzajemniła jego powitanie lekkim uśmiechem, pytając, co tu zaszło.

– Chyba wybuchła butla z gazem. Przewróciłam się, upadłam na rękę – powiedziała Anna w wielkim skrócie, pokazując kontuzjowaną rękę.

Pani doktor dotknęła opuchlizny. Anna syknęła. Dłoń nieznajomego była delikatniejsza niż Mary podczas badania.

– Kość cała – palcami macała rękę. – Ściągna nie zostały zerwane. To zwykłe skręcenie. Nie musimy jechać do szpitala. Wystarczy przyłożyć zimny kompres, a kiedy opuchlizna zniknie, unieruchomimy rękę na jakieś dwa tygodnie.

– Aż dwa tygodnie? – nie dowierzała.

– Tak trzeba. Ale nie martw się. Pomożemy ci z Bette przy posiłkach.

– Ten pan zaproponował nam swojego kucharza.

– To miło z pana strony, księżę, że z taką troską zajął się pan naszą Anną.

– Księżę... – urwała. – To pan jest... – dotarło do niej, że mężczyzna ze snów to księżę Said El Dżajad.

– Przepraszam... Gdzie moje maniery... Nie przedstawiłem się. Said El Dżajad – skinął głową.

– Mój Boże – wyszeptała, przytykając zdrową dłoń do ust.

– Czy coś nie tak? – mężczyzna nie rozumiał jej reakcji.

Przecież nie mogła mu powiedzieć: „Chociaż nigdy wcześniej pana nie widziałam, przyśnił mi się pan po raz kolejny i nie rozumiem, dlaczego”.

– Wszystko w porządku – Mary próbowała pomóc jej wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Anna po raz pierwszy w życiu poznała księcia. Stąd jej zaskoczenie, prawda?

– Tak... Właśnie tak... – skłamała.

El Dżajad wiedział, że przyczyna zachowania Anny jest inna, nie wiedział tylko jaka. Dlaczego pani doktor odpowiedziała za tę śliczną dziewczynę? Czy kobiety mają jakąś tajemnicę? A może plotkowały o nim po wczorajszej wizycie w pałacu? Ale o czym mogły mówić? Musi się dowiedzieć. Teraz częściej będzie odwiedzał obóz Amerykanów, tym bardziej że poznana dzisiaj młoda kobieta nie ma na palcu obrączki. Czyżby była wolna?

Pojawili się studenci.

– Mam nadzieję, że starczy ci gazu? – przerwał ciszę Garry.

– Tak. Na dzisiaj mi starczy – powiedziała w zamyśleniu. – Już nie będę piec chleba.

– To dobrze – przytaknął Dan. – Po butli gazowej zostały tylko szczątki.

– To upieczesz chleb, jak przywiozą nowy zapas butli – skwitował Garry.

– I jak wyleczę rękę – uniosła ku górze dłoń.

– Czy pana kucharz umie piec chleb? – zaciekawiała się pani doktor.

– Nie – zaprzeczył El Dżajad. – Mam od tego piekarza.

Studenci udali się do swojego namiotu.

– To ja idę po apteczkę, a wy usiądźcie przy stole – Mary zwróciła się do gościa i Anny.

Usiedli przy stole. „Kucharze, piekarze, służący” – pomyślała Anna – „Pełen komfort. Jak się jest bogatym księciem, to żyje się ponad stan”.

Mężczyzna wpatrywał się w nią jak w obrazek. Krępowwała się, chciała, by już pojechał. Pani doktor powróciła z torbą lekarską w rękę. Postawiła ją na stole, wyjęła małą butelkę z płynem o zapachu octu, wlała go na gazik i przyłożyła na spuchnięte miejsce.

– Za pół godziny obrzęk powinien się zmniejszyć – oznajmiła.

– To obiad będzie opóźniony... – westchnęła Anna.

– Obiad będzie na czas – ksiązę wstał z ławki. – Każę przygotować potrawę, którą lubicie.

– A cóż to takiego? – zaciekawiła się Mary.

– To będzie niespodzianka – uśmiechnął się. – Za jakąś godzinę... – zastanowił się – no, półtorej, powinien pojawić się mój kucharz. Zna angielski, więc bez problemu się dogadacie.

– Ciekawe, kto lepiej gotuje? – zastanawiała się głośno pani doktor. – Pański kucharz czy nasza Anna?

– Wkrótce się panie o tym przekonają. Przyjadę za dwa dni spytać, kto jest lepszym kucharzem.

– Będziemy czekać – zaprosiła Mary z uśmiechem.

– Drogie panie... – skłonił się, kierując spojrzenie w stronę Anny.

Skinęła głową, spuszczać wzrok. Kiedy już siedział na koniu, jeszcze raz rzucił krótkie spojrzenie w stronę siedzących przy stole kobiet. Zauważył, że jasnowłosa – tak nazwał ją w myślach – patrzy w jego kierunku. Uśmiechnął się. Podjechał do swoich żołnierzy, chwilę z nimi rozmawiał, po czym spiął konia i odjechał.

– Czy to ten facet z twoich snów? – pani doktor nie mogła się doczekać, kiedy zada to pytanie.

– Tak. Ten sam – Anna patrzyła, jak ksiązę oddala się od obozowiska. – Ta sama twarz, ta sama sylwetka. Czarne włosy.

– A może on jest twoim przeznaczeniem?

– Nie sędzę – zamyśliła się.

– Szkoda, że nie ma tu Bette. Jak on na ciebie patrzył...

– Podobno na panią też... wczoraj... – przypomniła.

– Bette tak twierdzi – odparła. – Ja tam nie wiem...

Jak obiecał Said El Dżajad, w samo południe pojawił się kucharz. Przyjechał na motocyklu z dużym metalowym pudłem przypiętym do bagażnika. Był to niski, przygarbiony Chińczyk o drobnej budowie ciała, w wieku około czterdziestu lat. Nazywał się Lee Jang. W pudle przywiózł gotowy obiad: pieczoną jagnięcinę, frytki, zieloną sałatę, świeże ogórki, pomidory oraz świeżo zerwane pomarańcze. Księżę wiedział, że ten zestaw wszystkim przypadnie do gustu. A że studenci byli w ruinach, Anna z ręką na temblaku zapoznała Janga z rozkładem kuchni, porą posiłków, pokazała mu miejsce, w którym trzymają zapasy żywności, i powiedziała mu, co zazwyczaj gotuje. Był bardzo pojętnym kucharzem. W mig zapamiętał, o czym mówiła. Po swojemu musiał przygotować stanowisko pracy, więc poprosił, by Anna opuściła namiot kuchni. Jak powiedział:

– Lubię, jak kobieta wychowuje dzieci, a nie kręci się chora przy kuchni.

– Ale jest jeszcze jeden problem – powiedziała.

– Dla mnie nie ma problemu – Jang zaprzeczył nieskładną angielszczyzną.

– Trzeba doić kozę – posłała mu wymuszony uśmiech. – Dwa razy dziennie.

– Doilem krowa, wydoję koza – zrobił gest dłonią, jakby coś wymiatał. – Dwa razy.

Poczuła się niepotrzebna, więc opuściła namiot kuchni i udała się w stronę wykopalisk, by zawołać ekipę na posiłek. Obiad, jaki przywiózł chiński kucharz, przypadł wszystkim do gustu. Marzyli o frytkach, a pani doktor o zielonej sałacie. Panowie wykorzystali fakt, że na obiedzie nie było pięciu osób, i zrobili sobie dokładkę, dzieląc porcje nieobecnych na równe części. Do picia ziołowa herbatka. Nikt nie wiedział, z czego została zrobiona, ale wszystkim smakowała. Na deser pomarańcze.

– Tego było mi trzeba – wyprężył się Garry, odsuwając na bok talerz.

– Marzyłem o frytkach – przyznał Dan. – Ty nigdy ich nie robisz – zwrócił się do Anny.

– Bo nie mam kartofli, tylko piure – przypomniała Anna. – Z niego nie da się zrobić frytek.

– Zjadłbym hamburgera – westchnął Tom. – Już prawie nie pamiętam, jak smakuje...

– Ja mogę zrobić na kolację hamburger – Jang usłyszał jego zachciankę.

– Może pan zrobić? – spytał Alex z niedowierzaniem.

– Ja mogę zrobić – potwierdził. – Tylko ile?

– Dla mnie dwa – zaproponował Garry.

– A dla mnie trzy – przebił Alex. – Tu nie ma żony, mogę poszaleć.

– Panowie, spokojnie – wtrąciła pani doktor. – Każdemu wystarczą dwa...

– E tam – Dan był niezadowolony. – Dwa to dla tych, co się odchudzają.

– Zapomniałeś, że Arabowie nie jedzą wieprzowiny ani wołowiny – przypomniała pani doktor. – Z jakiego mięsa będzie kotlet?

– Z baraniny – usłyszał Jang. – Będzie wam smakować.

Wszyscy musieli przyznać, że ich nowy kucharz ma dobry słuch, więc trzeba uważać na słowa. A nuż obrażą go i nie będzie chciał im gotować tego, o czym zamarzą.

Po obiedzie pan Jang opuścił teren obozu, by przed kolacją znów się w nim pojawić. Robił tak każdego dnia. Przygotowywał część produktów w pałacowej kuchni i kończył gotowanie na miejscu.

Po dwóch dniach nieobecności, we wtorkowe popołudnie, z miasta powrócili profesorowie na czele z tłumaczką Bette. Kierowca wyładował z ciężarówki butle z gazem. Anna wstała od stołu, wypatrując Steve'a. Widząc ją, uśmiechnął się. Jego wzrok zatrzymał się na ręce zawieszanej na temblaku. Pośpieszył ku dziewczynie.

– Co ci się stało w rękę? – spytał z troską w głosie.

– Zwichnęłam. Wybuchła zapasowa butla z gazem i przewróciłam się.

– Jak to? – nie rozumiał. – Namiot jest cały.

– Nie w namiocie. Wybuchła butla zapasowa stojąca na dworze. Pewnie ktoś przy niej majstrował.

– To kto gotuje?

Pozostali profesorowie, słysząc ich rozmowę, dołączyli do Steve'a.

– Kucharz księcia Saida El Dżajada.

– Tego, co był u nas, a nasi u niego... – nie dowierzał.

– Tak, ten sam – Anna potwierdziła.

– A kto mu powiedział, że masz chorą rękę i potrzebny jest kucharz? – dociekał Steve.

– Był tutaj, kiedy nastąpił wybuch.

– A co on tu robił? – nie dawał za wygraną.

– Przyniósł dobrą wiadomość. Złapali tych tureckich bandytów. Możemy spać spokojnie.

– To faktycznie dobra wiadomość – przyznał Paul Bateman. – Ale dlaczego przysłał swojego kucharza?

– Widocznie Anna przemówiła do jego serca przez żołądek – dołączyła do nich Mary. – Mnie też zaskoczył jego miły gest.

– Ciekawe – Bateman zastanowił się.

– Za to mamy posiłki gotowane na zamówienie – oznajmiła Mary. – Palce lizać.

– Tak? – nie dowierzał profesor Marchol. – A soczysty stek i szklaneczka whisky wchodzi w grę?

– Ja mogę zrobić stek barani – pojawił się pan Jang – ale alkoholu nie będzie.

– To ja się zastanowię – Marchol był zaskoczony nagłym pojawieniem się kucharza.

– Jak sobie pan życzy – Chińczyk zniknął w namiocie kuchni.

Marchol zrobił znaczący gest dłońmi.

– On wszystko słyszy – szepnęła Mary.

– Trzeba uważać, co się mówi – uprzedziła Anna. – Sprawdzę, czy jest dla was coś do jedzenia.

Weszła do namiotu kuchni. Pan Jang smażył na patelni ciasto naleśnikowe.

– Panowie pewnie głodni – odezwał się pierwszy. – Najszybciej robię naleśniki z dżemem. Kozie mleko dobre do ciasta.

– Ja też czasem robię naleśniki na deser – powiedziała powoli.

– Trochę słaba potrawa jak dla panów, ale zawsze coś.

– Musi pan bardzo lubić swoją pracę.

– Lubić – machnął ręką. – Ja ją kochać. Tyle można przygotować z warzyw, owoców, mięsa, przetworzonych zbóż. Ho. Ty pani nie lubić gotować?

– Lubię, ale nie w takich warunkach – przyznała. – Tutaj nie można przygotować tego, co się chce. Brakuje świeżych warzyw, przypraw.

– To trzeba posiać.

– Tutaj? Na pustyni?

– Nie na piasku – zaprzeczył. – Na ziemi. Przekopać parę grządek przy oazie. Tam mało piasku i blisko woda. Jest czym podlewać.

– Wiadomo, ile jeszcze będziemy gościć na tej ziemi?

– Tu ciepło. Nasiona szybko wschodzą i szybko rosną. Pani chce, to przywiozę nasion.

– Nie, dziękuję. Będę gotować z tego, co mam.

– Pani wybór.

Kucharz Jang nasmażył z pięćdziesiąt naleśników, zużywając duży słoik dżemu truskawkowego. Kiedy skończył, znów udał się do pałacu swego pana. Wrócił przed kolacją. Przyjechał samochodem terenowym prowadzonym przez Saida El Dżajada. Ekipa odkrywców zgromadziła się wokół stołu w jadalni. Wszyscy oglądali ostatnie bogate znaleziska. Książę dołączył do nich. Na blacie stołu ujrzał skrzynię, a w niej złote monety, sznur pereł, dwa złote pierścienie, obrączkę. Obok leżały dwie złote figurki Buddy i dwie wąskie złote bransoletki wysadzone rubinami. Steve w towarzystwie Kamala Malika sporządzał protokół, w którym wymieniał znajdujące się w skrzyni cenne przedmioty. Dostojny gość ukradkiem spoglądał to na stół, to na jasnowłosą dziewczynę. Anna czuła na sobie jego spojrzenie. Miała ochotę opuścić wszystkich i ukryć się w namiocie, ale czy El Dżajad nie podąży za nią? Wśród swoich będzie bezpieczniejsza.

– Trzeba to wszystko zawieźć do muzeum – powiedział Abdur Rahim. – Najlepiej jutro.

– Pomyślałem o tym samym – profesor Bateman podchwycił jego myśl. – Kopacze mogą się wygadać i zaraz zjadą się tu rabusie.

– To jutro po śniadaniu jedziemy do muzeum – zdecydował Durell.

- Szkoda, że nie mogę z wami jechać – wyrwało się Annie.
- Dlaczego miałyby pani nie jechać do muzeum? – El Dżajad skierował wzrok w jej stronę.
- Nie wiem – zmieszła się. – Nie jestem naukowcem? – brnęła dalej. – Nie mam samochodu?
- „Co ona kombinuje?” – zastanawiał się Steve.
- Oczy załogi skierowały się w jej stronę. „Ale się wygłupiłam” – pomyślała. „Co też mi się wyrwało? Jaki wstyd...”.
- Służę kierowcą i samochodem. Panowie profesorowie i panie też mogą nim jechać do miasta. Mojego samochodu nikt nie zatrzyma.
- Jest pan bardzo hojny – przyznał Bateman. – Mamy samochód.
- Może i macie – potwierdził książę – ale mój będzie prowadził żołnierz w towarzystwie uzbrojonego kolegi. Tak cenne znalezisko musi być odpowiednio zabezpieczone.
- Tak. Zgadzam się – przytaknął Abdur Rahim. – Nie wiadomo, co może przytrafić się po drodze.
- No to sprawa załatwiona – El Dżajad uśmiechnął się. – Jutro po śniadaniu podjedzie wojskowy samochód. Nie będę mógł państwu towarzyszyć – położył lewą dłoń na klatce piersiowej. – Mam inne obowiązki.
- Steve nie omieszkał zwrócić Annie uwagi, kiedy przed snem odprowadzał ją do namiotu.
- Co tak wyskoczyłaś z tym wyjazdem do miasta? – spytał.
- Tak mi się powiedziało – wzruszyła ramionami. – Nie wiem, dlaczego.
- To następnym razem uważaj na swoje słowa.
- Coś ci nie na rączkę? – spojrzała mu w twarz. – Będziecie mieć obstawę. Czy to źle?
- Wiesz, że nie ma nic za darmo – w jego oczach dostrzegła niezadowolenie.
- Wiem – poczuła się urażona. – Nie musisz mnie pilnować.
- To nie mogę spać w twoim namiocie?
- Sam powiedziałaś, że nic nie ma za darmo. Dobranoc – przymknęła poły namiotu.
- Anno... ja...

– Dobranoc – powiedziała stanowczym tonem.

Zasunęła suwak, blokując jego dolną część. Wiedziała, że źle zrobiła, wyskakując z tym miastem, ale nie potrafiła tego wytłumaczyć. Nie potrzebowała, by ktoś ją za to krytykował.

*

Następnego dnia po śniadaniu udali się do Aleppo. Auto, które przysłał im El Dżajad, przypominało raczej bus niż wojskowy samochód. W przedziale dla pasażerów znajdowało się osiem miejsc siedzących, o dwa za dużo, ponieważ do muzeum wybrali się profesor Paul Bateman, Steve Harland, Abdur Rahid, pani doktor, Anna i Bette. Panie, znając obyczaje panujące w arabskich krajach, założyły długie sukienki. Miały ze sobą cienkie żakiety z długim rękawem i chustki, aby przed wyjściem z samochodu zakryć włosy.

Dojazd do Aleppo zajął dwie i pół godziny. Podjechali prosto pod muzeum, które można było wziąć za halę sportową, gdyby nie olbrzymie granitowe posągi stojące przed wejściem – pozostałość po stropie pałacowo-świątynnym z IX wieku przed naszą erą. A raczej jego imitacja. Abdur Rahid pokazał przepustkę i cała szóstka mogła wejść do budynku. Kiedy panowie przedstawiali znalezisko, panie oglądały wystawione zabytkowe eksponaty. Na ścianach wisiały stare kilimy, arrasy, w oszklonych gablotach znajdowała się biżuteria wykonana ze srebra, miedzi, złota i brązu. Były tam też różnej wielkości figurki, puchary, narzędzia, którymi posługiwali się dawni osadnicy. W jednej z komnat stały manekiny ubrane w dawne arabskie stroje bogaczy i biedaków. Wszystko to było bardzo interesujące.

Panie godzinę spędziły na oglądaniu eksponatów, a naukowców wciąż nie było. Anna podeszła do frontowych drzwi. Była ciekawa, jak wygląda ulica, przy której znajdowało się muzeum. Bette zauważyła, jak koleżanka wychodzi z budynku. Wzrokiem odszukała panią doktor. Kobieta rozmawiała z dwójką turystów. Anna wyszła na schody i stanęła z boku, by nie przeszkadzać wychodzącym z muzeum ludziom. Siedząca w cieniu kobieta chwyciła jej prawą rękę. Dziewczyna przestraszyła się, chciała uwolnić się z uścisku, lecz staruszka była silniejsza. Zmusiła Annę do rozłożenia dłoni.

Staruszka przejechała chudym palcem po linii życia i zaczęła coś mówić.

– Daj spokój, babciu. I tak cię nie rozumiem.

– Ona ci wróży – Bette stanęła za jej plecami.

– I tak nie rozumiem, co mówi.

– Poczekaj. Przetłumaczę – uśmiechnęła się. – To nawet ciekawe.

Bette powiedziała do kobiety kilka słów po arabsku. Ta uśmiechnęła się i zaczęła od początku.

– Czeka cię wielkie szczęście, bogactwo – Bette zaczęła tłumaczyć słowa staruszki. – Przy tobie dwóch mężczyzn... ich imiona zaczynają się na tę samą literę... Będą o ciebie rywalizować. Jeden mądry, lecz biedny... nie... – zastanowiła się. – Ubogi... drugi mądry i bogaty... bez żony... Widzi łyzy, strach przed nieznanym... Potem przyjdzie wielkie szczęście. Ty zostaniesz na tej ziemi... Ty już nasza? – Bette była zdziwiona wypowiedzią staruszki. – To znaczy Arabów... – poprawiła się. – Ty będziesz wielką damą...

– To jakieś bzdury – Anna parsknęła śmiechem.

Staruszka spojrzała w jej twarz. Przecząco pokręciła głową. Znow zaczęła mówić:

– Ty nie wierzysz w moje słowa – Bette dalej tłumaczyła przepowiednię. – W twoich rękach los twoich przyjaciół...? – wzruszyła ramionami. – Nic nie rozumiem.

– Ja też – przytaknęła Anna.

– Ty mądra... – Bette tłumaczyła dalej. – Uratujesz ich.

– Czy ty na pewno dobrze tłumaczysz jej słowa? – Anna nie wierzyła w to, co usłyszała.

– Tak.

– Nic z tego nie rozumiem.

Chciała zabrać dłoń, lecz kobieta mocniej ją przytrzymała. Znow zaczęła coś mówić.

– Ja też nie wiem, o co jej chodzi. Ale to nawet ciekawe. Mówi, że masz prorocze sny, których się boisz. Czy nadal jej nie wierzysz?

– Skąd ona o tym wie? – zastanowiła się. – Jak taka mądra, to spytaj, czy pokocham tego bogatego.

Bette przetłumaczyła słowa Anny. Kobieta uśmiechnęła się. W drzwiach pojawiła się pani doktor. Staruszka spojrzała na nią,

a potem na Annę. Pokręciła przecząco głową i znów zaczęła mówić. Pierwsze zdanie Bette przemilczała. Staruszka powiedziała: „Przyszła konkurentka, ale on pokocha jasnowłosą”. Tłumaczka zachowała dla siebie te słowa, a następne przetłumaczyła:

– Ty będziesz się go bać. On bardzo cię pokocha, ty go poskromisz... Zapanujesz nad nim...

– Co się dzieje? – Mary nie rozumiała całego zajścia.

– Cicho – Bette gestem nakazała pani doktor ciszę. – Ty będziesz z nim szczęśliwa. Znajdziesz upragnioną nową rodzinę, którą przed laty straciłaś. Oni spadli z nieba, lecieli wielkim ptakiem...

Pojawili się żandarmi. Staruszka puściła dłoń dziewczyny. Powiedziała coś, zasłoniła twarz chustą i oddaliła się pośpiesznie. Anna była zszokowana ostatnimi słowami na temat rodziny. Skąd staruszka wiedziała, że rodzice i brat dziewczyny zginęli w katastrofie lotniczej?

– Czy ta staruszka ci wróżyła? – spytała pani doktor.

– Tak – Bette odpowiedziała za Annę. – Szkoda, że uciekła. Chciałam się dowiedzieć, czy kiedyś urodzę dziecko.

– Opowiedzcie mi, co mówiła – Mary była ciekawa. – Z kim Anna będzie szczęśliwa? Mogę się dowiedzieć?

– To jakieś bzdury – dziewczyna wzięła sobie do serca całą przepowiednię. – Wymyśliła to wszystko po to, aby zarobić trochę forsy.

– Czyżby? – Bette spojrzała jej w twarz. – A skąd wiedziała, że masz prorocze sny? I że straciłaś rodzinę?

– No właśnie... – zastanowiła się pani doktor. – Nie słyszałam wszystkiego, ale pewnie wróżba się sprawdzi.

– Jaka wróżba? – pojawił się Steve.

– Żebyś słyszał, co powiedziała pewna wróżka naszej Annie – Bette pokręciła głową. – Aż miło było tłumaczyć.

– Jaka znowu wróżka? – nic nie rozumiał. – Tu nie wolno wróżyć.

– Zapomnij – wtrąciła Anna. – To była zwykła nawiedzona turystka z bujną wyobraźnią. Mówiła o szczęściu i bogactwie. Pewnie chciała zarobić parę dolarów.

Mówiąc te słowa, wcale tak nie myślała. Przestraszyła się wróżby. Na początku w nią nie wierzyła, ale po ostatnich słowach

staruszki zmieniła zdanie. Najpierw napis na ścianie, że zostanie na tej ziemi, teraz wróżba. Wcale nie było jej do śmiechu. Ale dlaczego staruszka zaczęła właśnie ją? Tyle kobiet wychodziło z muzeum, a ona wybrała akurat Annę... Mogła zacząć Bette czy panią doktor, ale wybrała ją. Ale czym się martwi? Przecież wróży się z lewej dłoni, nie z prawej. Tylko skąd wiedziała, że Anna ma prorocze sny? „Wierzyć, nie wierzyć?” – zastanawiała się. Albo to: imiona dwóch mężczyzn, których zna, zaczynają się na tę samą literę. Nie zna takich. W obozie są Dan i David, ale ona nie jest nimi zainteresowana. A więc to tylko wymysły starej szalonej kobiety. Czas pokaże, czy przepowiednia się spełni.

To nie była jedyna przygoda, jaka spotkała ją tego dnia. Kiedy wieczorem wrócili z wycieczki, Anna od razu udała się do swojego namiotu. Ruszyła w stronę łóżka i zamarła. Na kocu ujrzała zwiniętego w kłębek czarnego węża w wąskie żółte prążki. Pomyślała, że studenci znów zrobili jej kawał. Była tak wściekła, że chwyciła największą patelnię, nie zastanawiając się nad tym, co może ją spotkać, i z całej siły uderzyła podnoszącego łeb gada. Wąż nie zdążył zaatakować kobiety. Uderzenie było tak silne i niespodziewane, że gad opadł na koc, zwijając się i rozciągając. Zadała mu drugi, tym razem śmiertelny cios. Z łba gada wypłynęła krew. Kiedy wąż przestał się ruszać, Anna palcami prawej dłoni ujęła go wpół i z wyciągniętą przed siebie ręką poniosła go do siedzących przy stole studentów.

– Który mi to położył na łóżku? – krzyknęła. – Mam dosyć tych głupich kawałów.

Studenci odskoczyli od stołu. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

– Rzuć to! – krzyknął Dan. – To bardzo jadowity wąż.

Anna z obrzydzeniem odrzuciła martwego gada z dala od siebie. Ciarki przeszły jej po ciele, na skórę wystąpiła gęsia skórka.

– Nie ukąsił cię? – spytał Tom.

– Nie. Zabiłam go patelnią.

– Nie bałaś się? – Tom był zaskoczony.

– To bardzo jadowita żmija pustynna – poinformował Garry. – Jej jad zabija w ciągu pięciu minut.

– Odważna kobieta – pojawił się pan Jang. – Mięso ze żmii bardzo smakowite. Mogę ugotować.

– O nie! – Anna zrobiła grymas obrzydzenia. – Nie dość, że się wystraszyłam, to jeszcze mam to jeść?

– My też dziękujemy – skrzywił się David.

Miała dość dzisiejszego dnia. I nie tylko. Od poniedziałku przesładuje ją pech. Nie dość, że zwichnęła rękę, to jakieś pustynne żmije wpełzają do jej namiotu, to znowu jakaś nawiedzona stara baba gada jakieś bzdury o wielkim szczęściu i bogactwie. Miała wielką ochotę uciec z tego miejsca, schować się w mysiej dziurze i przez tydzień z niej nie wychodzić. Jedyne, co mogła zrobić, to udać się do oazy, usiąść na kamieniu, oprzeć plecy o palmę i patrzeć w rozgwieżdżone niebo. Tak też zrobiła. Myśli kotłowały się w jej głowie. Miała ochotę się upić, lecz skąd weźmie alkohol? W pobliżu nie było sklepu, w którym można by kupić dobry trunek. Przymknęła powieki. Myślami powróciła do wizyty w muzeum. Przypomniała sobie staruszkę w szarej, zniszczonej, sięgającej do ziemi sukience. W uszach brzmiały słowa przepowiedni: „Czeka cię wielkie szczęście i bogactwo...”. „Bzdura! Któż nie chciałby być szczęśliwy i bogaty? Każda cyganka zaczyna swoją wróżbę od zapewnień o bogactwie i szczęściu. Jeszcze wielka miłość. Każdy marzy o wielkiej miłości, więc trzeba wróżącemu dać taką nadzieję. Kiedyś pewnie wróżba się spełni. Dwóch mężczyzn wokół mnie. Jak dotąd jest jeden, drugi dopiero się pojawił i wcale nie jestem nim zainteresowana. Jeden jest mądry, ale ubogi, drugi mądry i bogaty. To się staruszce udało. Ale że mam drugiego ujarzmić czy poskromić, to babcia lepiej nie mogła wymyślić” – śmiała się sama do siebie. „Amerykanka ma poskromić Araba? Prędzej on zrobi z kobiety niewolnicę i zamknie w haremie, niż ona go ujarzmi. Kompletne bzdury. A to, że mam uratować przyjaciół... to już przesadziła. Czy ja wyglądam na bohaterkę? Chyba że chodziło jej o dzisiejszego węża...”.

– A, tu jesteś...

Wzdrygnęła się. Spojrzała w bok. To był Steve.

– Słyszałem, co ci się przytrafiło – usiadł na kamieniu obok, obejmując Annę ramieniem. – Zabiłaś jadowitego węża. Naprawdę jesteś odważna.

– Nie jestem odważna – przytuliła policzek do jego głowy. – Myślałam, że któryś z chłopaków zrobił mi kawał.

– A wiesz, że jedno ukąszenie tego węża powoduje śmierć?

– Nie dobijaj mnie i ty – odsunęła głowę. – Chłopcy już mi zrobili wykład. Mam dość dzisiejszego dnia. Co złe, to od poniedziałku spotyka tylko mnie – powiedziała wierszem.

– Ja też? – ujął jej prawą dłoń.

– Sama nie wiem. Wypiłabym dobrego drinka.

– O, to coś nowego – był zaskoczony jej zachcianką.

– Mam dzisiaj chandrę. Dobrze, że jest ktoś, kto przyszedł mnie przytulić.

– Jednak troszkę mnie lubisz – spojrzał na nią.

– No, może... – skierowała ku niemu twarz. – Może więcej niż troszkę.

Mężczyzna uśmiechnął się. Spojrzeli sobie w oczy i zaczęli się całować. Zbyt mocno przytulili się do siebie, dziewczyna przycisnęła kontuzjowaną rękę. Syknęła z bólu. Odsunęła się od Steve'a i prawą dłonią ujęła nadgarstek.

– Przepraszam. Bardzo boli?

– Troszkę – spojrzała w górę. – Piękna noc.

Steve powędrował za jej wzrokiem. Zapadła cisza. Przez chwilę siedzieli, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

– Wiesz – Steve przerwał ciszę. – Jesteś wyjątkową dziewczyną. Inną niż te, które znałem.

– A wiele ich znałeś? – zaciekawiła się.

– Nie wiem, czy powinienem o tym mówić.

– Spokojnie. Nie jestem zazdrosna. Też kogoś miałam.

– Ja miałem trzy, może cztery spragnione seksu dziewczyny, gotowe po drugim spotkaniu iść ze mną do łóżka – i to bez zabezpieczenia. Gdy brakowało mi dla nich czasu, znudzone odchodziły. Ty jesteś inna. Ostrożna, rozważna, pełna dystansu. To mi się w tobie podoba.

– Czyli też nie lubisz pośpiechu?

– Nie lubię. Może pora się ustatkować...

– A ile masz lat?

– Jestem stary. Mam już trzydzieści jeden lat.

– To jesteś tylko pięć lat starszy ode mnie – szybko przeliczyła. – Nie tak dużo.

– A czy taki staruszek jak ja może dożyć setki przy twoim boku?

– Mówisz poważnie, czy tylko próbujesz mnie pocieszyć?

– A, tu jesteście – przerwała im rozmowę pani doktor. – To ja dowiaduję się, że zabiłaś jadowitą żmiję, już biegnę z lekami, żeby cię ratować, a namiot jest pusty. Myślę sobie, że konasz gdzieś na piasku, a tu widzę, że jesteś w dobrych rękach.

– W lepszych już być nie może – Steve uśmiechnął się.

– No, nie wiem – uśmiechnęła się tajemniczo. – Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

– Niby co? – Steve spojrzał w twarz pani doktor.

– Czas pokaże – nadal się uśmiechała. – Mój brat nie może znaleźć protokołu z przekazania skarbu. Jesteś potrzebny.

To był koniec randki. Nie zdążyli dokończyć tej rozmowy. Steve zniknął w namiocie profesorów Bateman i Durella, a Anna położyła się spać. Była tak zmęczona, że zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Nie było jej dane spokojnie wypocząć. Miała kolejny przerażający sen. Przyśniła jej się tragedia, jaka spotkała mieszkańców zaginionego miasteczka. Był słoneczny, spokojny dzień, ludzie spacerowali po ulicach. Kobiety ubrane w długie szare suknie, pasterze wyprowadzający kozy na zieloną trawę, biegające dzieci. Nagle zerwał się wiatr. Wiał znad pustyni, niosąc ze sobą bałwany z piasku. Czarne chmury spowiły niebo. Ludzie w panice biegli do swoich domów. Z ciężkich czarnych chmur lunął deszcz. Był tak rześisty i gwałtowny, że ulice zamieniły się w rwące potoki, porywając znad pustyni rzekę mokrego piasku. Ci, którzy nie zdążyli ukryć się w domach, zostali porwani przez wodę. Nawałnica trwała godzinę. Masy piasku spłynęły doliną, zalewały miasteczko, grzebiąc żywcem mieszkańców i cały ich dobytek. Na końcu doliny znajdowało się niewielkie wzgórze. Błotnista maź uderzyła o jego zbocze. Anna widziała we śnie krzyczących, tonących w błocie ludzi. Stała na wzgórzu przed namiotem-kuchnią i nie mogła im pomóc.

Ze snu wyrwał ją przeraźliwy krzyk. Usiadła na łóżku. To pani doktor wołała o pomoc. W obozie zapanował ruch. Anna wyjrzała z namiotu. W półmroku zobaczyła rozbłyśki latarek. Profesorowie

Bateman i Durell podbiegali do namiotu pani doktor. Pojawili się studenci.

- W moim namiocie był jakiś mężczyzna – histeryzowała.
- Może ci się przywidziało? – uspakajał ją brat.
- Widziałam go. Widziałam go tak, jak ciebie teraz.
- Uspokój się. Weź głęboki oddech.

Pani doktor wzięła parę głębokich oddechów. Kiedy się uspokoiła, Bateman spytał:

- Powiedz, jak ten człowiek wyglądał...
- Nie wiem, jak wyglądał – powiedziała drżącym głosem.
- To skąd wiesz, że to był mężczyzna? – spytał brat.
- Po prostu wiem. Był ubrany na czarno, jak japoński wojownik.

Nie widziałam jego twarzy.

- Zrobił ci coś? – spytał brat.
- Nie – zaprzeczyła. – Tylko patrzył.
- A mówiłem, żebyście z Anną spały w jednym namiocie, toś się uparła, że nie!

– To pewnie jakiś zboczony wieśniak – ziewnął Garry.

– Mark – odezwał się Bateman. – Nie ma innego wyjścia, musisz spać w namiocie z siostrą.

- Znów będziesz mi chrapał za uszami? – zapytała Mary.
- A chcesz spać sama? – spytał brat.
- Nie, Boże broń! – prawie krzyknęła. – Nie chcę być sama!
- Zatkasz uszy watą i nie będziesz słyszeć, jak chrapię.

Studenci powstrzymywali się od śmiechu.

– Tom, Garry, będziecie czuwać przez resztę nocy – postanowił Bateman.

– O nie, znowu? – Tom był niezadowolony.

– Skoro nie ma żołnierzy, ktoś musi pilnować obozu – oznajmił Durell. – Jutro będą czuwać Dan i David.

– Wyśpicie się rano – dodał Bateman.

Steve podszedł pod namiot Anny.

– A ciebie nikt nie odwiedził?

– Nie – odpowiedziała zasnana.

– Może spać u ciebie?

– Nie – zaprzeczyła.

– Na pewno? – Steve chciał się upewnić.

– Na pewno – potwierdziła. – Pewnie pani doktor miała koszmary sen, a kiedy się obudziła, zobaczyła cień jakiegoś przedmiotu i myślała, że ktoś jest w namiocie.

– Pewnie tak – przyznał jej rację. – Ale na wszelki wypadek dobrze zamknij namiot, żeby nikt niepożądany do niego nie wszedł. Dobranoc.

– Nie ma obaw. Śpię z patelnią pod łóżkiem.

– Niebezpieczna jesteś – uśmiechnął się.

– A jak – puściła do niego oczko.

Wszyscy powrócili do swoich namiotów. Tom i Garry włożyli ciepłe stroje. Pełnili wartę przy jadalnym stole. Po jakiejś godzinie znudzeni zasnęli. Druga część nocy minęła spokojnie. Po przebudzeniu wszyscy doszli do wniosku, że nocny przybysz to zwykłe przywidzenie.

*

Kolejny dzień upłynął spokojnie. Odkrywcy odstłonili kolejne mury zaszypanego przez piasek domu. Kobiety siedziały na piaszczystej wydmie, podziwiając poczynania mężczyzn. Chłopcy pracowali bez koszul, w spodniach do kolan, a ich głowy zasłaniały jasne kapelusze. Znużone niewiasty zaczęły porównywać, który z chłopaków jest przystojniejszy, lepiej zbudowany. Komu przydałoby się więcej mięśni, który ma ich tyle, ile trzeba. Po godzinie obserwacji Bette źle się poczuła. Pani doktor stwierdziła, że to pewnie przez upał, więc kobiety wróciły do obozu i usiadły przy jadalnym stole. Anna zrobiła wszystkim herbatę z listkiem mięty. Pani doktor przyniosła karty do gry i we trzy zagrały w tysiaka.

Dzień szybko minął. Nadeszła pora snu. Steve obiecał, że przyjdzie do namiotu Anny, by dokończyć wczorajszą rozmowę, lecz jak zwykle zasnął. Dziewczyna nie zabezpieczyła suwaka przy połach namiotu. Znużona czekaniem na ukochanego, w końcu zasnęła. W nocy tajemnicza postać odwiedziła jej namiot. Przez sen usłyszała szmer powoli rozsuwanego suwaka. Nie była pewna, czy to złudzenie, czy może Steve przypomniał sobie o obiecany spotkaniu. W powietrzu roznosił się zapach kwiatów. Poczła aromat goździków i wanilii. Obróciła się powoli i uniosła głowę,

spoglądając w stronę wyjścia. W półmroku zauważyła zgiętą wpół czarną postać. Zamarła. Nie wiedziała, czy ma krzyczeć, czy uciekać. Czy już teraz wołać o pomoc, czy poczekać, aż czarna postać ruszy w jej kierunku. Serce zabiło mocniej, krew pulsowała w skroniach, gorąco oblało jej ciało. Postać zrobiła dziwny gest dłonią, skinęła głową, po czym tyłem wycofała się z namiotu, zasuwając suwak aż do samej ziemi. Anna odetchnęła z ulgą. Czuła, jak robi jej się słabo. Położyła się na wznak, odrzucając koc na bok, by się ochłodzić.

– Tylko spokojnie – szeptała do siebie. – Tylko spokojnie... Już sobie poszedł... Nic ci nie zrobił... Tylko spokojnie. Już po wszystkim.

Kiedy ochłonęła, nie zapalając latarki, zeszła z łóżka i zabezpieczyła koniec suwaka, tak aby nikt nie dostał się do środka, chyba że przetnie materiał nożem. Usiadła pośrodku łóżka, zarzucając koc na plecy. „To musiał być ten sam mężczyzna, który ubiegłej nocy wtargnął do namiotu pani doktor” – pomyślała. „Ale kim on jest? Czego chciał? Czy nie bał się, że zostanie przyłapany na buszowaniu po obozie? Nie jest gwałcicielem, bo gdyby chciał ją skrzywdzić, zrobiłby to. Zacisnąłby dłoń na jej ustach, położył na niej swe cielsko i nawet nie mogłaby się obronić patelnią leżącą pod łóżkiem. Gdzie David i Dan? Mieli pełnić wartę tej nocy. Pewnie zasnęli”.

Do rana nie zmrużyła oka. Nastawiła cichutko radio i czuwała przy muzyce, bijąc się z myślami. Kiedy nastał świt, musiała iść do ubikacji. Bała się, lecz są potrzeby fizjologiczne, których nie można długo powstrzymywać. Wychodząc z namiotu, zauważyła leżącą na ziemi gałązkę kwiatostanu królewskiego storczyka. Duże czerwone kwiaty w delikatne białe kropeczki przyciągały wzrok. Rozejrzała się. Nie podniosła kwiatu, udała się do ubikacji. Po drodze umyła ręce i przemyła twarz w chłodnej wodzie. Obóz budził się ze snu. Kiedy wróciła, kwiat wciąż leżał pod jej namiotem. Ponownie się rozejrzała, nieśmiało podniosła storczyka z ziemi i zniknęła w namiocie, zachwycając się jego słodkim zapachem. Przeszła do części kuchennej i postawiła czajnik z wodą na jednym z palników kuchni gazowej. Brak snu dawał się we znaki. Szeroko otworzyła poły namiotu, wpuszczając do wnętrza jasne promienie słońca. W dużym

kubku zaparzyła sobie prawdziwej kawy, usiadła przed namiotem na turystycznym taborecie, kładąc kwiat na kolanach. Trzy łyki mocnej kawy i już poczuła się lepiej.

Pan Lee Jang przyjechał na swoim niezawodnym motocyklu. Skłonił się na powitanie. Widząc kwiat na kolanach Anny, uśmiechnął się tajemniczo.

– Jakiś tajemniczy mężczyzna panią kocha – powiedział.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytała z ciekawości.

– Widzę storczyk królewski. To wyznanie miłości.

– Tak? – uśmiechnęła się, nie wierząc jego słowom. – Tylko nie wiem, kim jest ten wielbiciel.

– Ktoś bardzo nieśmiały. Mój pan, Said El Dżajad, ma ogród pełen kwiatów. Rośnie w nim mnóstwo odmian storczyków, a ten jest jego ulubionym kwiatem. Drugim jest goździk. Mój pan lubi wody toaletowe o zapachu goździków i wanilii.

Anna zakrztusiła się. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny kaszel i część kawy wylała się na spodnie od piżamy. Wstała, palcami chorej ręki powstrzymując kwiat przed upadnięciem na ziemię. Pan Jang poklepał ją po plecach. „Więc mężczyzną, który odwiedził ją w środku nocy, był El Dżajad? Wczoraj przyszedł do namiotu pani doktor, a dzisiaj do mojego? Ale dlaczego to mnie podarował kwiat? Dziwny sposób okazywania uczuć” – myślała.

– Tak to jest, jak się weźmie duży łyk – pan Jang podsumował jej zachłyśnięcie się kawą. – Trzeba pić powoli.

– Ma pan rację – wyksztusiła.

– Wczoraj opowiedziałem mojemu panu jak panienka zabiła jadowitego węża. Był pełen podziwu. Mój pan lubi odważne kobiety. Szczególnie panny.

– Skąd to przypuszczenie, że jestem panienką?

– Bo żaden żonaty mężczyzna nie puszcza ładnej kobiety do obcego kraju, nie pozwala jej spać samej w namiocie. Chyba że jest głupcem. Ale pani nie ma męża – spojrzał jej w twarz. – Jednak już niedługo będzie go pani mieć. Moje oczy nigdy się nie mylą.

Przemilczała jego słowa. Najpierw staruszka, teraz on. Czy to jakaś zмова?

– Trzeba zrobić pranie, inaczej zostanie plama – powiedział.

– Im szybciej, tym lepiej – dodała cicho.

Przeszła do swojej części namiotu, żeby przebrać się w spodnie i bawełnianą bluzkę. Wstawiła kwiat storczyka do słoika z wodą. Wrzuciła obie części piżamy do wody z płynem do prania i dopiła kawę. „Dziwy ten El Dżajad” – pomyślała. „Włamywać się do namiotu w środku nocy, ryzykując zdemaskowanie i utratę dobrego imienia. Przyglądać się śpiącej kobiecie, a potem pozostawić pod jej namiotem kwiat. Albo jest nienormalny, albo, jak powiedział Lee Jang, zakochany. Ale jak można się zakochać po dwóch spotkaniach? Właściwie dwóch wizytach w obozie, bo tak naprawdę wcale się nie spotykamy. Może powinnam powiedzieć o tym Steve’owi? A jeśli mi nie uwierzy? Powie, że to pewnie tylko sen. I zapyta, dlaczego nie wołałam o pomoc, jak to zrobiła pani doktor...”. Coś podpowiadało jej, żeby nocną wizytę mężczyzny w czerni zachować dla siebie.

Po śniadaniu wybrała się z całą ekipą do wykopalisk. Nie chciała zostać sama w obozie. Z bliska przyglądała się, jak odkrywcy kawałek po kawałku odsłaniają warstwy piasku, ziemi i zaschniętego brunatnego mulistego nanosu oraz zdrewniałych kawałków drzew, jak przypuszczano, palm kokosowych, cytrusów i drzew oliwnych. Właśnie to dziwne połączenie trzech warstw najbardziej zastanawiało archeologów. Podjęli głośną dyskusję na ten temat podczas obiadu, przy rozłożonych na stole dwóch mapach. Barry jak zwykle filmował całe spotkanie.

– Skoro to była dolina – mówił profesor Marchol – to musiała być zalana wodą. Po długiej suszy przyszły ulewne deszcze, wylała rzeka, zalała miasto. Część ludzi zdołała uciec na pustynię, dzięki czemu się uratowała. Zostali chorzy, starzy.

– Ja tam obstaję przy trąbie powietrznej – upierał się Bateman. – Porwała tony piasku i nocą zasypała uśpione miasteczko.

– W tym rejonie nie występują trąby powietrzne, a i huragany czy burze piaskowe są tu rzadkością – przypomniał Steve.

– A jak wytłumaczycie trzy różne warstwy ziemi pod piaskiem? – spytał Robert Harmon. – Ziemia jest pod spodem. Na jednej z warstw znajduje się muł, jakby zaschnięte błoto, a na nim znów piasek.

– Potop? – podsumował Bateman.

– Musiałoby padać czterdzieści dni, jak napisano w Biblii. Ludzie mieli czas, by przenieść się na wyższe tereny, lecz w żadnej z ksiąg nie odnotowano potopu.

– Wylała rzeka? – przypuszczał Steve.

– Kara boska – wtrącił Garry.

– Chyba zemsta diabła – zażartował Tom. – Nieznany autor napisał, że to było rajske miasteczko.

Anna miała swoją wersję tragicznych wydarzeń, lecz czy może powiedzieć, że ta tragedia się jej przyśniła? Wyśmiej ją. Jeśli będą chcieli jej posłuchać, powie, jak wszystko się odbyło, opuści tylko słowa: „miałam sen”.

– Ja też mam swoją wersję wydarzeń – powiedziała od niechcienia.

– Doprawdy? – Steve spojrzał w jej stronę. – To jak, panowie? Posłuchamy nowej wersji wydarzeń naszej pani kucharz? – w jego głosie słychać było kpinę.

– Zamieniamy się w słuch – Bateman zrobił gest dłonią.

– Było to tak – wstała od stołu. – Wstał piękny, słoneczny dzień – gestykulowała. – Mieszkańcy zajęci swoimi codziennymi obowiązkami i ładną pogodą nie spodziewali się, że tego dnia spotka ich zagłada. Nagle zerwał się wiatr. Wiał znad pustyni. Był tak silny, że porywał ze sobą bałwany z piasku. Czarne chmury spowiły niebo. Ludzie w panice biegli do swoich domów. Z ciężkich, czarnych chmur lunął deszcz. Był tak rześisty i gwałtowny, że ulice zamieniły się w rwące błotniste potoki. Strumienie wody porwały ze sobą piaszczyste czubki wydm, tworząc rzekę mokrego, gęstego piasku. Ci, którzy nie zdążyli ukryć się w domach, zostali porwani przez wodę. Nawałnica trwała około godziny. Masy piasku spłynęły doliną, zalewały miasteczko, grzebiąc żywcem mieszkańców i cały ich dobytek. Na końcu doliny znajdowało się niewielkie wzgórze. Tu, gdzie teraz jesteśmy – wskazała pod nogi – błotnista maź uderzyła o jego zbocze, zatrzymując zwały wody. Cała ta breja nie miała ujścia. Miasteczko zostało doszczętnie zalane aż po czubki dachów. Przestało istnieć. Nie wylała rzeka, bo rzeka jest tam – gestem dłoni wskazała w stronę gór. – Między dwoma górami, gdzie znajduje się most...

Zamilkła. Spojrzała w stronę stołu. Chyba powiedziała o jedno zdanie za dużo, bo oczy wszystkich obecnych były skierowane w jej stronę. Nawet pan Jang przyszedł jej posłuchać.

– To dość interesujące – przyznał Steve. – Jestem pod wrażeniem.

– Jesteś pewna, że nikt ci tego nie opowiedział? – zaciekał się profesor Bateman.

– Przecież nie znam arabskiego, a o zaginionym mieście dowiedziałam się od was.

Gdyby powiedziała, że to wszystko jej się przyśniło, wyśmialiby ją.

– A skąd wiesz, że rzeka jest w górach? – zaciekał się profesor Harmon.

– A to nie jest rzeka? – pokazała palcem na mapie.

– Nie, to rysa po zgięciu papieru.

Czuła, że wszyscy na nią patrzą. Wyglupiała się z tą rzeką zaznaczoną na mapie. Co ma teraz robić? Opuścić obóz i ukryć się w oazie czy pobiec do namiotu?

– Na starej mapie jest zaznaczona rzeka – pokazał palcem Durell. – Anna się nie pomyliła.

– No, jest – Bateman przyjrzał się uważnie starej mapie.

– Może i był tam jakiś most – Durell był zamyślony. – Ale nie zaznaczono go na mapie.

Honor Anny został uratowany. Ale to nie był koniec dociekliwych pytań.

– A dlaczego sądzisz, że miasto leżało w dolinie, a ciała zostały porwane przez wodę i leżą pod nami?

– Ukształtowanie terenu na to wskazuje – próbowała wybrnąć z trudnej sytuacji. – Znajdujemy się wyżej niż ruiny. Tu jest twarda ziemia, rośnie trawa, są pagórki... – pokazywała zdrową ręką. – Błoto musiało się na czymś zatrzymać. Gdyby miało ujście, miasto nie zostałoby całkowicie zalane.

– Czy nie minęłaś się z powołaniem? – spytał Durell.

– Nie wiem. Nie sprawdzałam.

– To całkiem ciekawe, co powiedziała Anna – Bateman zamyślił się. – Zdarzają się gwałtowne ulewę, które potrafią zalać całe miasta. I nie potrzeba do tego rzeki. Warto wprowadzić do

komputera dane i przeprowadzić taką symulację. Sprawdzimy, kto jest bliżej prawdy.

Mężczyźni zaczęli oddalać się od stołu, by w cieniu swoich namiotów odpocząć po obfitym obiedzie. Steve zatrzymał Annę, ujmując w swoją dłoń jej zdrową rękę.

– Zaimponowałaś mi – przyznał bez kpiny w głosie. – Coraz bardziej mi się podobasz i chciałbym się z tobą kochać dziś wieczorem.

– Mamy czas – szepnęła. – Jeszcze parę dni i ręka przestanie mnie boleć...

– Do tego nie potrzeba dwóch zdrowych rąk, ważna jest reszta.

– Lubię cię, ale seks w taki upał? – pocałowała go w policzek. – Zapalić się można. Nie dzisiaj, mamy czas.

– Mam zabezpieczenie od Garry'ego – wyszeptał.

– To brzmi kusząco... Może któregoś wieczoru, kiedy będzie chłodniej, po prostu przyjdiesz do mnie...

– Trzymam cię za słowo.

Panowie udali się do swoich namiotów. Na zewnątrz zostały tylko kobiety.

– Słuchaj – zagadnęła Bette. – Czy ty...

– Skąd wiedziałaś, że rzeka jest między dwoma górami? – wyprzedziła ją pani doktor.

– Przed przyjazdem tutaj przeglądałam stary atlas, sprawdzałam, jak daleko jest Syria – zmyślała. – Musiałam ją wtedy wypatrzeć.

– Aha – Bette była zawiedziona. – A ja myślałam, że miałaś proroczy sen.

– A ta powódź? – pani doktor była ciekawa. – Nie przyśniła ci się czasem?

– Nie – skłamała. – Wszystko zmyśliłam.

– Jak przyśni ci się coś ważnego, to nam opowiesz? – spytała Bette.

– Tak. Opowiem – uśmiechnęła się.

Nie miała zamiaru zdradzać sekretu, że tragedia, jaka spotkała mieszkańców zaginionego miasta, przyśniła się jej. Zachowa to dla siebie.

Kiedy słońce zatoczyło koło ku zachodowi, ekipa odkrywców znów udała się do wykopalisk. Anna wyprowadziła kozę na trawę.

Przycisnęła koniec powrózka dużym głazem i usiadła w oazie na kamieniu pod palmą, pogłaśniając radio. Kiedy nadawali jej ulubione piosenki, śpiewała cichutko, przypominając sobie pewne wydarzenia. Zateęskniła za krajem. Miała nieciekawe życie, ale była wśród swoich, w swoim miasteczku. Mogła udać się na zakupy, poplotkować, wypić z koleżankami lampkę wina. Wieczorem usiąść przed telewizorem z kawą i ciastkiem z kremem, obejrzeć tkliwy film. Gdyby nie miała chorej ręki, zajęłaby się przygotowywaniem posiłków. Poczucia się tak bardzo samotna, że aż łzy napłynęły jej do oczu. Koza zabeczwała nerwowo. Spojrzała w jej stronę. Kątem oka zobaczyła zarys jeźdźca zatrzymującego się przed oazą. Wzdrygnęła się. Wstała. Serce przyśpieszyło swój rytm. Nie wiedziała, co ma robić. Uciekać? Zostać? Jest sama na pustkowiu i w razie niebezpieczeństwa nikt nie przyjdzie jej z pomocą. W ubranym na czarno jeźdźcu rozpoznała księcia Saida El Dżajada. Ściszyła radio. Przybysz uklonił się. Odpowiedziała mu skinieniem głowy. Zrobiła to odruchowo; nie wiedziała, jak powinna zachować się kobieta w arabskim kraju.

– Jak pani ręka? – spytał.

– Lepiej – odpowiedziała nieśmiało.

– A jak sprawuje się mój kucharz? – pytał, patrząc jej w twarz.

– Jest doskonały – kryła wzrok. – Nie pozwala sobie pomóc.

– Może usiadźmy – zaproponował. – Odpoczywała pani, prawda?

– Pasę kozę – poprawiła okulary przeciwsłoneczne. Ponownie usiadła na kamieniu, El Dżajad zajął miejsce nieopodal niej.

– Lee Jang nie lubi, gdy ktoś kręci się po kuchni i zagląda w garnki – książkę nie odrywał od niej wzroku.

– To jak toleruje innych kucharzy w swojej kuchni? – spytała, patrząc w bok.

– Ma własną kuchnię.

– To interesujące. A pozostali dwaj kucharze też mają osobne kuchnie?

– Wspólną. To małżeństwo – zdradził. – Ale nie o tym chciałem mówić.

– A o czym? – rzuciła krótkie spojrzenie w jego stronę.

– Przywiozłem dla pani zaproszenie – wyjął zza pazuchy białą długą kopertę. Podając ją, powiedział: – Proszę otworzyć. Czekam na odpowiedź.

Powoli, niepewnym ruchem zdrowej ręki odebrała od niego kopertę. Krępowało ją uważne spojrzenie księcia, jakby zapisywał w pamięci każdy jej gest, wyraz twarzy. „Czego może ode mnie chcieć?” – w myślach zadała sobie pytanie. Powoli, nie śpiesząc się, otworzyła kopertę. Wyjęła złożony na pół czerpany biały papier z wytłoczonym kwiatem czerwonej róży przyozdobionej zielonymi połączanymi liśćmi. Rozłożyła kartę i przeczytała po cichu treść listu. Było to zaproszenie na uroczystą kolację.

Mam zaszczyt zaprosić pannę Annę Reed na uroczystą kolację w dniu osiemnastego maja na godzinę piątą po południu.

W podpisie jakieś bohomazy...

Zastygła w bezruchu. Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć. Zdumiało ją nie tyle samo zaproszenie, co widniejące w nim jej nazwisko. Przecież się nie przedstawiała. Kto zdradził temu człowiekowi, jak się nazywa? Spojrzała mu w twarz. El Dżajad ciągle się na nią gapił.

– Czy zaszczyca pani mój dom swoją obecnością?

– No... nie wiem... – wahała się.

– Nie wie pani?

– Jestem zaskoczona – złożyła kartkę.

Książę uśmiechnął się.

– Będzie mi ogromnie miło gościć panią u siebie, Anno.

– No... ale ja... – miotła się. – Ja nie pasuję do takiego towarzystwa – wstała z miejsca.

– Jakiego towarzystwa? – podniósł się z kamienia.

– No... – nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Nie należę do ekipy. To znaczy nie jestem tak wykształcona jak oni. Nic tu nie znaczę – plątała się.

– To nieważne – powiedział ze spokojem w głosie. – Proszę się zgodzić.

„Co robić?” – zastanawiała się. „Zgodzić się? Mogę skłamać, znaleźć jakąś wymówkę. Tylko jaką? Ale jeśli się nie zgodzę, nie będę miała okazji sprawdzić, czy ogród, który mi się przyśnił, jest

naprawdę tak piękny, jak mówiły Bette i pani doktor, a pałac ze snu jest w rzeczywistości tak okazały”.

– A czy obowiązują abaja i kefa? – spytała nieśmiało.

– Widzę, że zna pani tradycyjne stroje naszych kobiet. To zamknięte przyjęcie. Zaproszeni goście przychodzą w strojach wieczorowych swojego kraju. Pani też może się tak ubrać.

– To będzie problem – uśmiechnęła się nieśmiało. – Moja wieczorowa suknia została w domu.

– Myślę, że przywiozła pani coś stosownego.

„Czyli co?” – pomyślała. Nie przewidziała, że któregoś dnia będzie zaproszona na przyjęcie do kogokolwiek, a tym bardziej do arabskiego księcia.

– A z jakiej okazji jest to przyjęcie?

– To urodziny mojej matki.

„Czy Arabowie hucznie obchodzą urodziny? Dziewczyny wspomniały, że zostały zaproszone na uroczystą kolację, ale urodziny? Dlaczego mi się tak przygląda? Nie wytrzymała jego spojrzenia”.

– Czy musi mi się pan tak przyglądać?

– Lubię patrzeć na piękne kobiety – uśmiechnął się.

– Znam ładniejsze ode mnie.

– Tu ich nie ma – mówił łagodnie, z czułością w głosie. – Jest tylko jedna. Pani.

– Zawstydzam pan, księżę.

– Czekam na odpowiedź. Mam dużo czasu i jestem bardzo cierpliwy – ponownie się uśmiechnął.

– A czy mogę przyjść z osobą towarzyszącą?

– Z osobą towarzyszącą? – zastanowił się. – Zaprosiłem już pięćdziesięciu pani znajomych.

– Tak, wiem. Wśród nich nie ma tej osoby.

– Jeśli to zdecyduje o pani przybyciu na przyjęcie, to zgadzam się. Proszę przyjść z tą osobą.

– Dziękuję.

– Wnioskuje, że się pani zgadza.

– Tak – schowała kopertę do kieszeni spodni.

Said El Dżajad uśmiechnął się, lecz w głębi duszy zastanawiał się, z kim ta urocza dziewczyna przyjdzie na uroczystą kolację. Ten

ktoś na pewno nie jest jej mężem. Może to kochanek? W namiocie spała sama. Rywał? Warto mieć oko na jej towarzysza.

– Widzę, że lubi pani zwierzęta – wskazał na kozę. – To pozytywna cecha u kobiety. Ten, kto lubi zwierzęta, lubi też ludzi.

– Doprawdy? Znam ludzi, którzy bardziej cenią towarzystwo zwierząt niż ludzi. Zwierzęta mniej ranią.

– To zależy od charakteru człowieka.

– Pewnie tak – uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że pani mnie nie zawiedzie.

– Jeśli nie spotka mnie jakiś pech, jak z tą ręką, to przybędę.

– Zabiła pani jadowitą żmiję, nie spotka już pani pech.

Podszedł do konia i posłał Annie pożegnalne spojrzenie.

– Będę czekał – skinął głową.

Dosiadł konia. Kozą zrobiła się niespokojna, zaczęła uciekać. Anna prawym butem przyłapała koniec powrózka, który wymknął się spod kamienia.

– Ale... – zastanowiła się głośno.

– Tak – spojrzał w jej stronę.

– Ale ja nie mam żadnego prezentu dla pana matki.

– Pani przybycie będzie dla mojej matki najmiłym prezentem.

Dobrej nocy.

Pognał konia. Nie zrozumiała jego ostatnich słów. Dlaczego ona ma być najmiłym prezentem dla jego matki? Co chciał przez to powiedzieć? Chyba nie podaruje jej swojej matce? Spojrzała za nim. Musiał wyczuć jej spojrzenie, bo zatrzymał konia i obejrzał się. Z daleka widziała białe zęby w szeroko rozchylonych w uśmiechu ustach. Spiał konia, po czym odjechał w kierunku swojego pałacu.

Została zaproszona na przyjęcie. Sen sprawdził się, będzie w pałacu z bandażem na ręce. Musi pokazać zaproszenie towarzyszkom z obozu, nie może czekać z taką tajemnicą aż do niedzieli.

– Jakie to śliczne! – zachwyciła się pani doktor, oglądając zaproszenie. – Połączone litery. Ale cię wyróżnił – zazdrościła.

– To niesprawiedliwe – oburzyła się Bette. – Tobie dał oficjalne zaproszenie na czerpanym papierze, a nas zaprosił ustnie.

– Widocznie Anna wpadła mu w oko – przypuszczała pani doktor.

– Coś mi się wydaje, że wróżba się spełni – uśmiechnęła się Bette.

– Zaproszenie na kolację jeszcze niczego nie wróży – zaprzeczyła Anna. – Tylko kto mu powiedział, jak się nazywam?

– Nie przedstawiałaś mu się? – pani doktor spojrzała jej w twarz.

– Nie – zaprzeczyła. – Znał tylko moje imię.

– Ciekawe... – zastanowiła się pani doktor.

– Mogę iść z osobą towarzyszącą – pochwaliła się Anna.

– Kogo weźmiesz? – Bette była ciekawa.

– Steve'a – odparła.

– To zrozumiałe – przytaknęła pani doktor. – On bardzo cię lubi. Chłopaki plotkują, że pan historyk wreszcie się ustatkuje.

– A on co na to? – zaciekawiła się Anna.

– Powiedział... w sekrecie... że nie spotkał dotąd rozsądnej dziewczyny jak ty.

– To miłe – uśmiechnęła się. – Tylko jak mu powiem, że zostałem oficjalnie zaproszony na uroczystą kolację do Saida El Dżajada jako mój towarzysz?

– Już ty coś wymyślisz – pani doktor machnęła ręką.

– Najgorsze jest to, że nie wiem, jak się ubrać na to przyjęcie.

– My też mamy z tym problem – przyznała pani doktor.

– Byle nie mini, nie odkrywać ramion, żadnych dekoltów – uprzedziła Bette.

– Zabrałyście więcej ciuchów niż ja – przyznała Anna. – Mam tylko trzy sukienki, z czego jedna nadaje się na bankiet. Żadnych czółenek na obcasie. Czy wypada iść na przyjęcie w sandałkach na niskim obcasie?

– To zależy, kto tam będzie – zastanawiała się pani doktor. – Dobrze, że zabrałam buty na obcasie.

– Co się będziemy przejmować strojami? W końcu idziemy na kolację, a nie na podryw – podsumowała Bette.

– A jak Alex? Idziecie razem? – Anna była ciekawa.

– Jeszcze nie wiem. Powiedział, że da mi odpowiedź w niedzielę.

A co Steve odpowie Annie, kiedy dziewczyna pokaże mu zaproszenie? Czekala na odpowiednią chwilę. Gdy po kolacji sami zostali przy jadalnym stole, pokazała mu zaproszenie.

– I mam iść z tobą na to przyjęcie? – odpowiedział, czytając treść zaproszenia.

– Tak – potwierdziła. – Chcę, żebyś ze mną poszedł.

– Ciekawostka przyrodnicza – roześmiał się w głos. – A czy pan El Dżajad wie, z kim zjawisz się na przyjęciu?

– Powiedziałam mu, że mogę przyjść tylko z osobą towarzyszącą. Czy nie interesuje cię, jak żyje się bogatemu księciu w okazałym pałacu? Ja jestem ciekawa.

– Zastanowię się – złożył zaproszenie. – Tu widnieje twoje nazwisko. Nie jest napisane, że możesz przyjść z osobą towarzyszącą.

– Czyżbyś mnie już nie lubił?

– Poddaję się – ujął ją za szyję i przyciągnął do siebie. – Niedzielę chciałbym spędzić tylko z tobą.

Chciał ją pocałować, lecz przycisnął bokiem jej kontuzjowaną rękę. Syknęła z bólu.

– Przepraszam – odsunął się od niej. – Odłóżmy to na potem – ujął jej prawą dłoń i ucałował.

– Kiedyś mówiłeś inaczej – patrzyła mu w twarz.

– Tak, wiem – przytaknął. – Jestem trochę zmęczony tymi wykopaliskami w pełnym słońcu. Dzisiaj strasznie boli mnie głowa. Idę do pani doktor po jakąś tabletkę – wstał od stołu. – Obiecuję, że wkrótce wszystko nadrobię.

Na dobranoc pocałował ją w policzek. Po raz kolejny rozłożyła kartkę z zaproszeniem i przeczytała całą treść od początku do końca. Kiedy wróci do kraju, będzie mogła pochwalić się zaproszeniem otrzymanym od samego arabskiego księcia.

Profesorowie, zajęci pracą, zapomnieli o prezencie dla pani Aydy El Dżajad. Gdyby to były Stany Zjednoczone, udaliby się w niedzielę do jakiegoś marketu, kupili kosztowny prezent i kłopot z głowy. Pani doktor miała w swym bagażu nieużywany jeszcze różowy jedwabny szal. Została nawet metka. To za mało na prezent od siedmiu osób. Profesor Bateman wpadł na pomysł, by podarowali jubilatce znaną figurkę słonia z kości słoniowej. Wysoka na dwadzieścia centymetrów postać z podniesioną ku górze trąbą prezentowała się dość bogato. Tym bardziej że kość słoniowa zawsze była w cenie. Jedynym problemem był fakt, że wszystko, co znajdą, ma wartość

muzealną i nie wolno niczego sobie przywłaszczyć ani komuś podarować. O figurce słonia wiedzieli tylko profesorowie Marchol, Bateman, Steve i pani doktor. Postanowili zachować tę tajemnicę dla siebie. Wierzyli, że podarowanie komuś figurki słonia przyniesie obdarowanej osobie szczęście. Znając pasję księcia – zbieranie wartościowych przedmiotów – mieli nadzieję, że nie będzie miał im za złe, iż pozbawili muzeum cennego znaleziska.

Nadeszło niedzielne popołudnie. Zaproszeni na przyjęcie Amerykanie wypoczęci i wykąpani szykowali się na przyjęcie. Anna nie wiedziała, w co się ubrać. Przejrzała swoje rzeczy. Tylko jedwabna, sięgająca za kolano sukienka w różowe różyczki pasowała na to przyjęcie. To jedyny ciuch, którego nie musi prasować. Do tego biały pasek. Ale co zrobić z włosami? Ma je związać, upiąć w kok, czy iść w rozpuszczonych? Po obejrzeniu siebie w lustrze doszła do wniosku, że najlepiej wygląda z rozpuszczonymi włosami, na które i tak musi założyć chustkę, by uszanować panujące w kraju zwyczaje. Na nogi wsunęła cienutkie cieliste rajstopy. Nie wypadało iść na przyjęcie z gołymi nogami, nawet jeśli był upał. Na stopy wsunęła kozaczki do kostek. Wiedziała, że będzie jej za gorąco, ale nie chciała – jak we śnie – przyjść w sandałach. Zrobiła lekki makijaż podkreślający oczy. Czarny tusz na rzęsy, różowa pomadka na usta i gotowe. Wychodząc z namiotu, zabrała czarny żakiet. Steve, ubrany w czarne spodnie, białą koszulę i jasnobieżową marynarkę, zbliżał się do jej namiotu.

– Wyglądasz seksownie – był zachwycony jej widokiem. – Ten makijaż na opaloną twarz – przytulił się do niej. – Jesteś pewna, że nie chcesz spędzić tego wieczoru ze mną?

– Chcę, ale nie dzisiaj – cmoknęła go w policzek, brudząc szminką. – Jak wrócimy do Stanów, dla ciebie codziennie będę wyglądać seksownie – wierzchem dłoni starła ślad pomadki z jego policzka. – Ty też ładnie wyglądasz, brakuje tylko krawata.

– Niestety, nie zabrałem.

– Idę do pani doktor, niech zmieni mi bandaż. Nie mogę iść z brudnym.

Anna udała się do namiotu pani doktor. Kobieta ubrana w obcisłą różową bawełnianą bluzkę z krótkim rękawem i sięgającą do kolan

białą, wąską spódnicę, stojąc, czesała swoje krótkie włosy. Gołe nogi, na stopach czółenka na średnim obcasie. Na twarzy lekki makijaż. Bładozielony cień na powiekach, rzęsy pociągnięte czarnym tuszem, usta pomalowane ciemnobrązową pomadką.

– Mówiłaś, że nie masz w co się ubrać, a wyglądasz lepiej ode mnie – przyznała pani doktor.

– To jedyny porządny ciuch, jaki ze sobą przywiozłam – zaczęła odwijać bandaż.

– Chustka chyba nie jest ci potrzebna?

– A czy w tym kraju kobiety pokazują włosy? – przypomniała Anna.

– W zasadzie nie, ale my jesteśmy z innego kraju.

Kiedy odwinęła brudny bandaż, pani doktor zdjęła drewniane szpatułki usztywniające nadgarstek. Poruszyła dłonią w lewo i w prawo. Anna poczuła ból, syknęła.

– Boli, jak poruszam? – spytała pani doktor.

– Mniej niż przedtem, ale czuję blokadę w stawie – krzywiła się z bólu.

– Jak wrócimy z przyjęcia, zrobię ci okład z maści. Przydałoby się zrobić prześwietlenie, tylko nie ma gdzie.

Kiedy pani doktor bandażowała chorą rękę Anny, do namiotu weszła Bette. Tłumaczka miała na sobie jasnożółtą, dopasowaną, sięgającą do kostek sukienkę z krótkim rękawem. Na ramiona zarzuciła cienki, krótki biały żakiet z długim rękawem. Założyła białe klapki na niskim obcasie; bez rajstop. Na twarzy makijaż. Powieki pomalowane na niebiesko, czarny tusz na rzęsach, a na ustach czerwona pomadka.

– Jak trzeba, to wyglądamy ładnie – przyznała Bette. – A dlaczego włożyłaś rajstopy? – zwróciła się do Anny. – Czy nie jest ci gorąco?

– Gorąco czy nie, uczono mnie, że na przyjęcia nie chodzi się z gołymi nogami.

– Uważasz, że jak mamy gołe nogi, to faceci się podniecają? – spytała Bette.

– Nie wiem. Nie sprawdzałam. Ale to muzułmański kraj i trzeba uszanować jego tradycje.

– Widzisz, znawczyni islamu – w głosie pani doktor wyczuwało się odrobinę kpiny. – Wzięłaś chustkę na głowę, by zakryć włosy?

– Nie – zaprzeczyła tłumaczka. – Jesteśmy gośćmi z innego kraju. Gospodarz powiedział, że to zamknięte przyjęcie. Każdy przychodzi ubrany w takim stroju, w jakim pokazuje się na imprezach we własnym kraju.

Anna była innego zdania. To, że jest turystką, nie znaczy, że ma nie szanować tradycji danego kraju.

Kobiety wyszły z namiotu. Studenci zaczęli gwizdać.

– Proszę, proszę – zaczął Tom. – Jak trzeba, to nasze panie wyglądają seksowniej niż zwykle.

– Przyjęcie u księcia zdarza się raz w życiu – odparła pani doktor. – Gdybym wiedziała, że spotka mnie zaszczyt bycia proszoną na wystawne przyjęcie, przywozłabym ze sobą suknię wieczorową, a wtedy gwizdalibyście jeszcze głośniej.

– Barry, kamera! – zawołał Garry.

– Już się robi.

Pojawili się profesorowie Bateman i Durell. Obaj mieli na sobie czarne spodnie, czarne półbuty i białe koszule; różnili się tylko marynarkami. Bateman miał marynarkę w kolorze pustynnego piasku, a Durell – jasnozieloną. Dołączył do nich Steve.

– Jedyne kobiety, która wie, jak się ubrać – powiedział Bateman.

– A która? – spytała Mary.

– Nie widzisz, kto? Anna – gestem dłoni wskazał na dziewczynę.

– To muzułmański kraj. Tu wkłada się rajstopy i chustkę na głowę.

– W taki upał? – Mary nie dowierzała jego słowom.

– W taki upał – przytaknął Durell. – Jak nie chcecie włożyć rajstop, to chociaż zabierzcie ze sobą chustki czy szale. Co tam macie.

– Książę powiedział, że możemy się ubrać, jak nam się podoba – odparła Mary.

– Ale nie wulgarnie – przypomniał Durell.

Barry z kamerą na ramieniu utrwalił całe towarzystwo w galowych strojach. Kobiety wróciły do swoich namiotów, by włożyć na nogi rajstopy i zabrać ze sobą apaszki. Byli gotowi do drogi, lecz nie mieli czym udać się do pałacu księcia, ponieważ Marchol i Harmon wraz z Alexem tuż po obiedzie udali się na przejażdżkę do

pobliskiej wioski. Bateman spojrział na zegarek. Czwarta trzydzieści pięć, najwyższa pora wyjechać z obozu. Nie wypadało się spóźnić, to lekceważenie pana domu. Zaczęli się denerwować. Czwarta czterdzieści pięć. Na horyzoncie pojawił się dżip. Unosiły się za nim tumany kurzu. Panowie nie mieli czasu na kąpiel i przebranie się w czystą odzież, więc zostali w obozie. Tak więc Amerykanie w szóstkę pojechali do pałacu Saida El Dżajada.

Samochód prowadził Durell. Kiedy minęli wzgórza, na horyzoncie ukazały się zarysy okazałego pałacu. Anna z przyśpieszonym biciem serca patrzyła w tamtym kierunku. Jasne mury budowli stawały się coraz większe, okazalsze. Trzy okrągłe wieże zakończone spiczastym dachem górowały nad dachem pałacu. Oddalone były od siebie w równych odstępach, tworząc trójkąt. Wjechali na drogę wybrukowaną kamiennymi płytami z ciemnogrnatowego marmuru. Pół mili przed bramą po bokach drogi wybudowany był gruby mur z żółtego piaskowca. Okazała, wysoka brama, wykonana z płaskich metalowych kątowników, stała otworem, czekając na gości. Po obu jej stronach widniały strażnicze budki. Strażnik ubrany w wojskowy mundur z notesem w dłoni zatrzymał ich pojazd. W języku angielskim poprosił o nazwiska. Anna odruchowo wyjęła z kieszeni żakietu kopertę z zaproszeniem. Durell już zaczął wszystkich przedstawiać, gdy strażnik wziął od kobiety kopertę i zajrzał do środka. Jedno spojrzenie na treść i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wsunął zaproszenie do koperty, mówiąc:

- Proszę jechać – oddał kobiecie zaproszenie.
 - Nie sprawdzi pan nazwisk? – spytał Bateman.
 - Nie ma takiej potrzeby – gestem dłoni wskazał kierunek jazdy.
- Proszę jechać.

Durell zwolnił hamulec. Anna czuła, jak palą ją policzki. Nikt nic nie mówi. Dlaczego? Zamurowało ich czy mają zbyt dużo pytań i nie wiedzą, od czego zacząć?

O piątej pięć wjechali na dziedziniec. Kiedy Durell zaparkował dżipa wśród luksusowych limuzyn, stwierdził, że są „najbogatszymi” Amerykanami wśród zaproszonych gości. Wysiedli z samochodu. I tak oto Anna oniemiała stała przed okazałym pałacem, zbudowanym z żółtego, poszarzałego ze starości kamienia. Po

ścianach wspinały się pędy zielonego bluszczu. Małe kwadratowe okna, zakończone półkoliście, balkony przedzielone filarami. Wszystko takie znajome, jakby już tu była. A przecież przebywała tu we śnie. Kiedy patrzyła w górę, chusteczka zsunęła jej się z głowy. Bette zatrzymała się, podnosząc tkaninę z kamiennego bruku.

– I jak? – oddała zgubę. – Poznajesz to wszystko?

– To niesamowite – była oszołomiona. – Wszystko takie znajome... – założyła chustkę na głowę.

Kolejny strażnik wskazał im przejście pod murami pałacu, które prowadziło na mniejszy dziedziniec, pośrodku którego rosło olbrzymie drzewo otoczone pojedynczymi, połączonymi ze sobą ławkami. Pod murami rosły krzewy pnących róż. Anna była tak zachwycona tym widokiem, że zapomniała, po co tu przyjechała. W otwartych drzwiach prowadzących do salonu stanął El Dżajad. Gdy wśród zaproszonych gości ujrzął Annę, jego twarz rozpromieniała. Nie zauważyła go. Była zajęta oglądaniem zewnętrznej strony budynku. Steve sprowadził ją na ziemię lekkim szturchnięciem łokciem w bok.

– Gospodarz już na nas czeka – szepnął.

– Co? – spojrzała na Steve'a.

– Gospodarz czeka – syknął.

Odwróciła się i spojrzała w stronę schodów. El Dżajad ubrany w białe spodnie, białą, dopasowaną, zapiętą aż pod samą szyję marynarkę, w białym turbanie na głowie, ozdobionym broszką w kształcie skorpiona, cierpliwie czekał na Amerykanów. Zamarła. Był tak samo ubrany, jak w jej śnie. Steve zauważył jej minę.

– Czy wszystko w porządku? – spytał. – Jakoś dziwnie się zachowujesz.

– Nie widziałam jeszcze takiej budowli – skłamała.

– Możemy iść czy nadal będziesz podziwiał?

– Idziemy – zdecydowała.

Ich towarzysze zdążyli podejść do gospodarza, by przeprosić za spóźnienie, a Anna nadal się ociągała. Książę witał każdego z osobna, nie śpiesząc się, podawał rękę. Było to powitanie europejskie, nie arabskie. Ten muzułmanin był postępowym, nowoczesnym człowiekiem, otwartym na obcą kulturę i obyczaje.

Witając Annę, przytrzymał jej dłoń i patrząc dziewczynie w twarz, powiedział:

– Cieszę się, że pani przyszła – uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

Towarzysze Anny byli zaskoczeni tym, jak czule przywitał ją księżę. Popatrzyli po sobie. Mary i Bette nie zostały w taki sposób wyróżnione.

– Jestem tu tylko dlatego, że mój... – próbowała znaleźć odpowiednie słowo – towarzysz zgodził się przyjść ze mną.

– A gdyby się nie zgodził? – księżę spojrział na Steve'a.

– Nie byłoby mnie tutaj.

Mary i Bette spojrzały po sobie.

– Cieszę się, że pan się zgodził.

Księżę uściśnął dłoń towarzysza Anny. W tym geście wyczuwało się chłód ze strony obu mężczyzn. Steve był zazdrosny o swoją dziewczynę. Gdyby byli w Stanach, poprosiłby Araba na stronę i dał mu w pysk.

– A teraz proszę ze mną. Przedstawię państwa jubilatce.

Minęli kolejnego strażnika i weszli w głąb salonu. W pomieszczeniu znajdowało się ze trzydzieści osób. Zaproszeni goście stali w grupkach z pełnymi kieliszkami w dłoniach, dyskutując między sobą. Anna i Steve rozejrzeli się na boki. Ich wzrok przykuły wiszące na ścianach kolorowe arras, przedstawiające parki pełne drzew i kwiatów, sceny batalistyczne, jeźdźców na koniach. W pomieszczeniu stały drewniane stylowe meble koloru jasnego mahoni. Pośrodku salonu na jasnej drewnianej podłodze leżał duży dywan w odcieniach brązu, beżu, żółci. Na komodach i stolikach stały wazony pełne kolorowych kwiatów.

– Gdy byliśmy tu pierwszy raz, też nie mogliśmy oderwać wzroku – szepnęła Bette.

– Jak w moim śnie – wykrztusiła Anna.

Podeszli do starszej pani siedzącej w dużym, wyściełanym białym kozim futrem fotelu. Kobieta miała na sobie delikatną, kwiecistą ciemnobordową suknię do kostek, z długim rękawem zakończonym wąskim mankietem. Jej siwo-czarne, upięte z tyłu głowy włosy skrywał długi bordowy przeźroczysty szal. Otaczał szyję, przerzucony na tył pleców. Rysy jej twarzy zdradzały, że w młodości była piękną kobietą. Goście skłonili się, robiąc gest

głową. Said El Dżajad przedstawił Annę i jej towarzysza w języku arabskim. Pozostałych gości księżna już знаła, więc nie musiał wymieniać ich imion. Życzenia jubilatce złożył w imieniu całej amerykańskiej ekipy profesor Bateman. Mary podała zrobione przez siebie tekturowe białe pudełko z prezentem, przewiązane jedwabnym szalem. Jubilatka podziękowała Amerykanom w ich ojczystym języku. Nadjechali ostatni spóźnieni goście. Księżę skinął na służącego. Wydał polecenie, by poczęstować Amerykanów czymś do picia, a sam poszedł przywitać spóźnionych, jak się później okazało, francuskich dyplomatów. Podeszedł do nich służący z tacą kieliszków pełnych białego i czerwonego wina oraz soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy.

– Alkohol? Tutaj? – Mary była zaskoczona.

– Muzułmanie nie muszą pić, ale ich goście mogą – Steve ochoczo wziął do ręki kieliszek z białym winem.

Mary i jej brat woleli czerwone wino, Bette i Anna białe. Rozejrzeli się po sali. Wśród zaproszonych gości przeważali mężczyźni. Anna doliczyła się tylko dziesięciu kobiet, w sumie trzynaście. Były to żony ważnych osobistości. „Dlaczego wszyscy są tak ponuro ubrani?” – pomyślała Anna. „Mają na sobie czarne i granatowe stroje, jakby przybyli na pogrzeb, a nie na urodziny. Może tu panuje taka tradycja? Nie znam się na tym”.

Wśród tłumu gości zauważyli arabskich archeologów, Kamala Malika i Abdura Rahima.

– Ale cię księżę wyróżnił – szepnęła Bette. – Ten czuły pocałunek w dłoń...

– Sama jestem zaskoczona – przyznała Anna.

– Coś mi się wydaje, że wróżba zaczyna się spełniać – powiedziała głośniej.

– Jak wróżba? – zapytał Steve.

– Nic takiego – odparła Anna, chcąc uciąć temat.

– Jak to nic? – wtrąciła Mary. – Wróżba o szczęściu i bogactwie to nic?

– Ale przyznacie, że jest bardzo bogaty – Bette zmieniła temat.

– Czuję się, jakbym był w muzeum – przyznał Steve.

– Ciekawe, z czego ten sukinsyn się utrzymuje? – zastanawiał się Bateman. – Jego broszka jest warta z pięćdziesiąt tysięcy.

– Mnie wystarczyłby sam rubin – zażartował Durell. – Forsa z jego sprzedaży wystarczyłaby mi na podatki do końca życia.

– A ile zamierzasz jeszcze żyć? – spytał Bateman.

– Jeszcze troszkę. Jakieś dwadzieścia lat.

– To musisz zwinąć te arrasy – zrobił gest w stronę ścian. – No i może meble, to wystarczy ci na życie i podatki na jakieś dwadzieścia lat.

Roześmiali się w głos. Francuzi okazali się ostatnimi zaproszonymi na kolację gośćmi. Jubilatka podniosła się z fotela. Syn podał jej ramię i zaprosił wszystkich zebranych do sali bankietowej. Anna zauważyła, że starsza pani ma kłopoty z chodzeniem. Lekko utykała na prawą nogę. Powoli przeszli do drugiego, równie dużego pomieszczenia, pośrodku którego stał długi stół przykryty białym aksamitnym obrusem. Srebrne sztucce, droga biała porcelana i kryształowe kieliszki przyciągały wzrok. Na kryształowych paterach poukładano kiwi, pomarańcze, mandarynki, białe i czerwone winogrona. Pośrodku stołu stał duży kryształowy flakon wypełniony czerwonymi storczykami. Słudzy pomogli gościom odnaleźć przeznaczone im miejsca przy długim stole. Obok talerzy ustawione były wizytówki z nazwiskami. Amerykanom trafiły się miejsca po lewej stronie obok jubilatki. Kiedy Anna ujrzała swoje imię tuż przy pani El Dżajad, zmieszana się. Tym bardziej była zaskoczona, zobaczywszy naprzeciwko siebie Saida. Skinął nieznacznie głową, jakby chciał potwierdzić, że to nie pomyłka. Poczuli się zakłopotana. Czuli, jak jej policzki zaczynają się czerwienić. Usiadła na przeznaczonym dla siebie miejscu. Nie jest nikim ważnym ani nie należy do arabskiej rodziny księcia, więc skąd tak wielkie wyróżnienie? Dobrze, że Steve siedzi obok niej.

– Nie wiem, czym sobie zasłużyłaś na takie wyróżnienie, ale to mi się nie podoba – szepnął.

– Mnie też, ale to nie moja wina... – przyznała.

– Chciałaś tu przyjść, to masz za swoje – skwitował.

– Tego nie przewidziałam.

Gospodarz domu wstał, rozejrzał się po sali, wziął do ręki kieliszek z winem, po czym zaczął mówić w języku angielskim:

– Wznieśmy toast za naszą jubilatkę. Wiem, że nie wszyscy piją alkohol, więc niechaj wzniosą toast sokiem z pomarańczy. Mamo,

twoje zdrowie – dodał w swym ojczystym języku.

Wszyscy powstali i unieśli w górę kieliszki, wnosząc toast. Jubilatka podziękowała i wzniosła toast kieliszkiem wypełnionym sokiem z pomarańczy. Księżę poprosił, by wszyscy usiedli. Odszedł od stołu i po kolei zaczął przedstawiać swoich gości tym, którzy się nie znali. Na końcu przedstawił Amerykanów. To właśnie ich wszyscy chcieli poznać i usłyszeć o prowadzonych przez nich pracach wykopaliskowych. Ale to mogło poczekać, aż spożyją dwa pierwsze dania, bo przy pełnym brzuchu lepiej się słucha ciekawych opowieści. Słudzy przynieśli wazy z zupą. Zaczęli rozlewać ją do talerzy, począwszy od księżnej, a następnie Anny i Saida El Dżajada. I tak po kolei aż do końca stołu. Dziewczyna unikała spojrzenia gospodarza. Gdyby mogła, uciekłaby z dala od tego miejsca i ukryła się w mysiej dziurze. Wszyscy w milczeniu spożywali pierwsze danie. Zupa krem z przetartych warzyw o nieco pikantnym smaku zrobiła na gościach wrażenie. Smaczna, lekkostrawna. Pierwszy raz jedli taką potrawę. Drugie danie było bardziej pożywne. Pieczona baranina w sosie własnym, do tego pocięte w grube plastry, lekko podsmażone kartofle, gotowane warzywa: marchew, brokuły, kalafior, szparagi. Do wyboru, do koloru.

Kiedy byli w połowie dania, księżna zadała pytanie na temat prowadzonych prac wykopaliskowych. Bateman odpowiadał, a Said tłumaczył matce jego słowa, rzucając krótkie spojrzenia w stronę jasnowłosej. Goście zebrani przy stole z uwagą słuchali historii na temat zaginionego miasta. Anna starała się nie zwracać uwagi na księcia, krępowała się. Zastanawiała się nad ciemnymi strojami, w jakie ubrani byli mężczyźni i kobiety znajdujący się w tym salonie. Pewnie i oni zastanawiali się nad ich ubiorem. Mężczyźni w czarnych spodniach i jasnych marynarkach, kobiety w jasnych sukienkach. Dobrze, że Bateman zwrócił Mary i Bette uwagę, by zabrały ze sobą szale. Żadna kobieta siedząca przy tym stole nie miała odkrytych włosów.

Zamyślona Anna nagle usłyszała, że profesor Bateman wypowiada jej imię. Spojrzała w jego stronę. Mówił, jak dzięki niej zlokalizowali ruiny zasypanego miasta.

– Nie bała się pani, że zostanie pogrzebana żywcem w piasku? – spytał El Dżajad.

– Bardzo się bałam – powiedziała nieśmiało.

– Jak to się stało, że pani przeżyła? – zaciekawiał się jeden z gości.

– No właśnie – podchwycił inny. – Nie udusiła się pani piaskiem.

– To dzięki apaszcze – zdradziła. – Miałam ją na twarzy, kiedy wpadałam do dziury.

– Co pani zrobiła, kiedy już wpadła do dziury i stwierdziła, że żyje? – spytała jedna z kobiet.

– Podziękowałam Bogu za życie.

To była trafiona wypowiedź. W tym kraju religię i Boga stawiało się na pierwszym miejscu. Steve uśmiechnął się. Niech nie myślą, że Amerykanie to bezbożnicy. Jubilatka była pełna podziwu dla młodej dziewczyny. Profesor Bateman opowiadał dalej o tym, jak odkrywali mury kawałek po kawałku, co znaleźli w odkopanym dobrze zachowanym budynku. W pewnym momencie padło pytanie, co mogło być przyczyną zaspiania miasta. Tym razem Bateman dopuścił do głosu swojego kolegę Marka Durella. Ten opowiedział zebrany historię wymyśloną przez Annę, lecz nie wspomniał, kto jest jej autorem. Kiedy badacze wprowadzili do komputera symulację gwałtownej burzy, okazało się, że właśnie ta wersja wydarzeń wydaje się najbardziej prawdopodobna.

– Nie wspomniałeś, że miałam rację – Anna zwróciła się do Steve’a.

– Tak jakoś wyszło – odparł od niechcienia.

– Jednak gwałtowna burza, która nadciągnęła z nad pustyni, była przyczyną zatopienia miasteczka? – chciała się upewnić.

– Tak – potwierdził. – Burza z huraganowym wiatrem i ulewnym deszczem.

Said usłyszał słowa Anny. Zwrócił się do niej ściszym głosem:

– To pani odkryła przyczynę zagłady miasteczka?

– Tak – potwierdziła Anna.

– Dlaczego nie po...

– Proszę o dyskrecję – weszła mu w słowo. – Nie jestem naukowcem. Moje zdanie się tu nie liczy.

Pojawili się słudzy, niosący na srebrnych tacach szklane pucharki z bitą śmietaną, w której znajdowały się pokrojone w kostkę owoce kiwi, bananów i ananasa. Zapomniano o białym półsłodkim winie. Said wezwał jednego ze swoich sług na krótką rozmowę. Anna ujrzała na twarzy księcia niezadowolenie. Służący pobladał, skłonił się i wycofał tyłem. El Dżajad przeprosił gości za brak wina w kieliszkach. Jego sługa zgubił klucze do piwnicy.

– Pewnie sam się upił i śpi za jakąś beczką – zażartował Steve, rozbawiając całe towarzystwo.

Kiedy goście zjedli deser i opróżnili kieliszki, gospodarz poprosił wszystkich do pierwszego salonu, gdzie czekał zespół muzyków i sześć skąpo odzianych ciemnoskórych tancerek. Panie miały na sobie błękitne majtki i staniki, a na twarzach i biodrach przezroczyste błękitne jedwabne woalki. Ich szyje przyozdobione były sznurami pereł. W salonie wystawiono piętnaście krzeseł przeznaczonych dla pana domu, jego matki i zaproszonych kobiet. Panowie mieli do dyspozycji kanapy lub miejsca stojące. Said El Dżajad poprosił, by Anna usiadła obok niego i matki na środkowym krześle. Steve poczuł się zazdrosny. Bette i Mary zajęły miejsca obok Anny. Pozostałe panie również usiadły. Rozległa się muzyka i tancerki rozpoczęły przygotowany na tę okazję taniec brzucha. Goście byli zachwyceni płynnymi ruchami ciemnoskórych kobiet. Cicho wyrażali swój zachwyt. Bette usłyszała rozmowę po arabsku na temat Anny. Muzułmańscy archeolodzy szeptali, że to pewnie przyszła nałożnica księcia, a kto wie, może i żona.

Said przybliżył się do Anny. Poczula przyjemny zapach goździków i wanilii.

- Czy widziała pani kiedyś taki taniec?
- Tylko w telewizji – odpowiedziała.
- Jak się pani podoba na żywo? – dociekał.
- To raczej taniec dla mężczyzn niż dla kobiet – przyznała. – Ja wolałabym ujrzeć tancerzy.
- Będą też tancerze – uśmiechnął się.
- Czy tak skąpo odziani? – zażartowała.
- Raczej nie. Któż chciałby oglądać półnagiego mężczyznę?
- Kobiety.
- W moim kraju kobiety tańczą dla mężczyzn.

– W moim kraju również kobiety tańczą dla mężczyzn, ale są też kluby, w których mężczyźni tańczą dla kobiet – odparła.

– To głupie – podsumował. – Mężczyźni tańczący dla kobiet...

– Nie, to nowoczesne – odparła.

Muzykanci przestali grać, tancerki ukłoniły się i wybiegły na dwór. Ich miejsce zajęli ubrani w luźne kremowe koszule i czarne spodnie czarnowłosi, gładko ogoleni mężczyźni z szablami w prawych dłoniach. Odtanńczyli coś w rodzaju tańca z szablami przypominającego raczej walkę niż taniec. Następnie pojawili się trzej cyrkowcy. Jeden z nich pokazał trik z połknięciem szabli, noża i szpady. Dwaj pozostali z płonącymi pochodniami tryskali ogniem. Na koniec zgasili pochodnie w ustach. Pojawił się też fakir, który zaklinał jadowitą kobrę. Całe przedstawienie trwało około czterdziestu minut. Goście nie spodziewali się takich atrakcji. Powróciły tancerki. Książę zaproponował, by goście włączyli się do zabawy i razem z tancerkami pobrali lekcję tańca brzucha. Sam zniknął w drzwiach prowadzących na taras. Pani El Dżajad również się oddaliła. Służący pojawili się z tacami, na których stały kieliszki z winem i sokiem. Goście częstowali się trunkami, co odważniejsze kobiety spróbowały włączyć się do zabawy, ucząc się egzotycznego tańca. Steve z kieliszkiem w dłoni podszedł do przyglądającej się tancerkom Anny.

– Nasz gospodarz aż prosi się, by dać mu w zęby.

– Dlaczego? – zaciekawiała się.

– Nie udawaj głupiej – spojrzał zazdrosnym wzrokiem.

Jego słowa dotknęły ją.

– Zachowujesz się nie w porządku – powiedziała.

– A jak ty się zachowujesz? – zwrócił jej uwagę. – Przyszłaś ze mną, a ciągnie cię do tego Araba. Jeśli uważasz, że ciągle gapienie się na ciebie i wyróżnianie jest w porządku, to ja wychodzę.

– Nie możesz wyjść – zaprotestowała. – Byłoby mi przykro zostać tu bez ciebie.

– Książę z chęcią mnie zastąpi – Steve był oburzony.

– Nie żartuj. Parę spojrzeń jeszcze nic nie znaczy.

– Parę spojrzeń – roześmiał się kpiąco. – Gapił się na ciebie przez cały czas. Wprost rozbierał cię wzrokiem.

– Nie zauważyłam – skłamała.

- Nie udawaj. Każdy to zauważył.
 - Tak? Ja nie – próbowała wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. – Rozpracowywałam, co to była za zupa i jakie mięso jedliśmy.
 - Tak? – opróżnił kieliszek. – To co jedliśmy? – spojrzał jej w oczy.
 - Zupę krem z miksowanych warzyw. Na drugie była pieczona baranina z młodego baranka. Doskonale przyprawiona.
 - Jesteś pewna, że to była baranina, a nie wieprzowina albo młody cielak?
 - Arabowie nie jedzą wieprzowiny. Dla nich to brudne zwierzę. Cielęciny też nie ruszą. Zapomniałeś? Dla nich przysmakiem jest mięso kóz i owiec, których mają tu pod dostatkiem.
 - Dałbym się nabrać, że jedliśmy wieprzowinę – odstawił pusty kieliszek na parapet.
 - I co? Darujesz mi?
 - Co mam ci darować? – nadal był wzburzony.
 - Jesteś o mnie zazdrosny? – spojrzała mu w twarz.
 - Tak, jestem – przyznał.
 - To miłe – uśmiechnęła się. – Jednak ci na mnie zależy?
 - Owszem.
- Profesor Bateman przerwał ich sprzeczkę. Paru gości miało pytania, na które tylko Steve, jako profesor historii, mógł odpowiedzieć. Anna została sama. Szukała wzrokiem koleżanek. Bette stała wśród arabskich kobiet, a pani doktor uczyła się tańca egzotycznego. Anna porwała z tacy przechodzącego obok niej sługi kieliszek białego wina. Podeszła do okna, za którym rozciągał się widok murów otaczających pałac. Napita się wina.
- Czy dobrze się pani bawi? – z zadumy wyrwał ją głos El Dżajada.
 - O tak – odwróciła się twarzą do niego. – Dla mnie to wszystko jest takie nowe...
 - A jak się pani u mnie podoba? – gestem dłoni wskazał na otaczające ich ściany.
 - Tu jest pięknie – przyznała. – Ale to wszystko wymaga tylu zabiegów, żeby utrzymać czystość, porządek. Jeślibym miała wybierać między zamieszkaniem w takim pałacu i w domku jednorodzinny, wybrałabym domek.

– A od czego jest służba? – przypomniał.
– Jeśli jest się bogatym, tak jak pan, to można pozwolić sobie i na pałac, i na służbę.

– Czy lubi pani ogrody, kwiaty?

– Każda kobieta lubi kwiaty.

– Znam taką, która nie lubi.

– To pewnie nie jest kobietą.

Said roześmiał się w głos, na tyle głośno, że usłyszał go Steve. Spojrzał w stronę Anny i księcia. Krew zagotowała się w jego żyłach, jednak nie mógł opuścić swoich rozmówców. Byłby to duży nietakt.

– Zapraszam do mojego ogrodu – zaproponował El Dżajad.

– Czy to daleko? – Anna poczuła się nieswojo.

– Boi się pani iść tam ze mną?

– Tak – rzuciła mu krótkie spojrzenie, lecz widząc szare oczy wpatrujące się w jej twarz, spuściła wzrok, zatrzymując go na kieliszku. Wyczuł, że naprawdę się go boi.

– Przysięgam – położył prawą dłoń na sercu – że z mojej strony nic pani nie grozi.

Wahała się. Widziała ogród we śnie, więc czemu się boi? Może zawołać panią doktor, by poszły razem? Nie. Mary dobrze się bawi, nawet nie zauważyła, że Anna rozmawia z El Dżajadem. Bette mogłaby jej towarzyszyć, ale zniknęła w tłumie gości. Co robić? Aby dodać sobie odwagi, dopiła wino.

– Nie wiem, dlaczego się mnie pani boi. Przysięgam po raz drugi na głowę mojej matki, że nie uczynię nic, co splamiłoby pani i mój honor.

– To brzmi przekonująco – odstawiła pusty kieliszek na stojącą obok nich komodę. – Trzymam pana za słowo.

Said rozsunął szklane drzwi i gestem dłoni wskazał jej drogę. Wyszli na taras, którego podłoga wyłożona była jasnobeżowym marmurem. Dało się zauważyć wtopione mozaiki przypominające motywy kwiatów, wykonane z ciemnych płaskich kwadratowych kamiennych kostek. Schodami wyłożonymi jasnozielonym marmurem zeszli dziesięć metrów. Za wysokim zielonym żywopłotem z bukszpanu wśród palm widniał wielobarwny dywan kwitnących roślin. Zielone krzewy, kwitnące wielobarwne różaneczniki, azalie, oleandry i hibiskusy tworzyły coś w rodzaju

labiryntu, w którym różne gatunki kwiatów były posegregowane. Nieznane Annie gatunki zielonych tui, wyrzeźbione ręką ogrodnika, przedstawiały bryły geometryczne: kule, trójkąty, ósemki. Ścieżki wybrukowane kamienną kostką z kolorowego granitu prowadziły przez cały ogród. Każde wejście wykonano z cienkiego drewna wygiętego w kształcie półkolistego łuku. Przy drewnianych drabinkach wiły się pnące róże, powojniki, bluszcze, których liście miały inną barwę. Nad rabatkami fruwały kolorowe motyle i dzienne ćmy. Twarz Anny rozpromieniała z zachwytu, w jej oczach pojawiły się łzy szczęścia. Poczła się, jakby bramy raju otworzyły się dla niej, a wielobarwny dywan z kwiatów swoim zapachem zapraszał do środka.

– O Boże. Jak tu pięknie – wciągnęła powietrze nosem. – Co za zapach.

Księżę zauważył łzy w jej oczach. Tylu ludziom pokazywał swój ogród, lecz po raz pierwszy zauważył tyle szczęścia na twarzy kobiety. „To wrażliwa delikatna kobieta, kochająca piękno natury” – pomyślał. „Z nią chciałbym podzielić się swoim bogactwem, obdarować ją miłością i spędzić z nią resztę życia. Tylko z nią”.

Poczła się taka szczęśliwa, taka lekka, że chciała zatańczyć pośród kwiatów, wirować, aż zabraknie jej sił. Potem upaść pośrodku kwitnących czerwonych maków i poczekać, aż wszędzie księżyc i niebo rozbłyśnie milionem gwiazd. Zachwycona czarem kolorów i słodkim zapachem, bezwiednie ruszyła przed siebie. Weszła w pierwszą alejkę. Pęd róży zaczął o czubek jej głowy i jedwabna chusteczka zawisała na kolcu. Chciała ją zdjąć, lecz Said uprzedził ją.

– Zapomniałam schylić głowę – usprawiedliwiła się. – Co sobie pomyślą goście?

– Przy mnie nie musi pani zakrywać włosów.

– Ale zwyczaj... – wyciągnęła prawą dłoń, by odebrać apaszkę.

– Nikt nas nie widzi – przerwał jej w pół słowa.

Odruchowo spojrzała w stronę pałacu. Ujrzała wysoki zielony parkan przysłaniający mury pałacu.

– Jest pani moim gościem i nikt nie ma prawa przypominać mi, że łamię pani tradycje naszego kraju.

Krótką wymianę spojrzeń. Anna palcami prawej dłoni nieśmiało odebrała chustkę. Nie założyła jej na głowę. Trzymając materiał w dłoni, ruszyła alejkami pośród goździków, frezji, tulipanów, żonkili, gerber, lili, storczyków, rumianków, maków i oleandrów. Kolory czerwieni, różu, bieli i oranżu konkurowały z fioletem i błękitem. Co parę kroków pośród pnączy kryły się kamienne ławeczki. Jeśli tak wygląda raj, mogłaby tu zastać na wieki i upajać się widokiem i zapachem kwiatów. Było piękniej niż we śnie. Szkoda, że nie zabrała ze sobą aparatu fotograficznego, mogłaby wykonać kilka zdjęć, a po powrocie do kraju pochwalić się, że była w raju na ziemi. Kiedy opowie o tym miejscu, nikt jej nie uwierzy.

– Czuję się jak w raju... – wyszeptwała. – Cóż za cudowne zestawienie barw. Można się zgubić.

Zatrzymała się przed zielonym krzewem kwitnącego na różowo oleandra.

– Ze mną pani nie zabłądzi – powiedział łagodnie.

– Dobrze, że mam przewodnika – uśmiechnęła się. – A gdzie fontanna ze skorpionami?

– Wie pani o niej?

– Śnił mi się ogród pełen kwiatów i fontanna... – zamilkła, spoglądając na księcia.

– Słucham...? – wbił w nią wzrok.

– Nie, nic – spieszyła się. – Dziewczyny mi mówiły.

– Śniły się pani ogród i fontanna?

– To nieważne – odruchowo machnęła ręką. – Taki tam sen.

– Dla mnie ważne. Znaczący sny mówią, że sny, które czujemy po przebudzeniu, zazwyczaj się sprawdzają. Chciałbym znać pani sen – zaszedł jej drogę. – Proszę mi go opowiedzieć.

Wahała się. Palnęła głupstwo, a teraz nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Wszystko przez to miejsce. Zapomniała się. I to jego spojrzenie. Zachowuje się, jakby był agentem służb specjalnych i przesłuchując więźnia, czekał na zeznania. Chciała zawrócić, lecz znalazła się w potrzasku. Za nią rosły krzewy pnących kolczastych czerwonych róż, a przed nią stał El Dżajad. Pora się wypowiadać. Bała się spojrzeć mu w oczy, więc patrzyła na zielony parkan.

– No dobrze – zaczęła nieśmiało. – Śnił mi się pana pałac, ten ogród – gestem dłoni wskazała na rośliny. – Ogród jest

w rzeczywistości piękniejszy niż we śnie. Gdzieś pośrodku wśród pnących róż, bluszczy i powojników stała fontanna, a w niej trzy skorpiony ustawione brzuchami do siebie. Z ich kolców wytryskiwała woda.

– Więc chodźmy sprawdzić, czy to fontanna z pani snu.

Zszedł na bok. Odetchnęła z ulgą. Skierowali się do wyjścia.

– Czy pani wierzy w sny?

– Kiedyś nie wierzyłam, teraz chyba zacznę...

– A w przeznaczenie?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Nie spotkałam się z przeznaczeniem, więc nie wiem, czy istnieje.

Kierowali się alejką w stronę pałacu. Said skręcił w bok. Za parkanem pnących róż, palm, bluszczy i powojników stała okrągła fontanna pełna wody, a w niej widniały wyrzeźbione w czarnym marmurze trzy skorpiony ustawione brzuchami do siebie. Z ich odwłoków wytryskiwała przejrzysta woda.

– Czy to fontanna z pani snu? – wskazał gestem dłoni.

– O tak – była zachwycona. – Niesamowite – podeszła bliżej i położyła dłonie na marmurowym brzegu. Kamienna fontanna sięgała jej do bioder. – Taka sama jak we śnie, a może piękniejsza.

– A czy ja byłem w tym śnie? – stanął na przeciwnym brzegu.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Tak – spuściła wzrok. – To znaczy był w nim jakiś mężczyzna podobny do pana.

„Mój Boże, dlaczego kłamię? To był ten sam mężczyzna. Miał taki sam zarost, ten sam turban na głowie, broszkę w kształcie skorpiona, czerwony rubin. Był ubrany na biało, tak jak dzisiaj. Jedyne, czego nie było we śnie, to okazały złoty sygnet z wygrawerowanym skorpionem”. Zauważyła pierścień, kiedy położył dłonie na krawędzi muru fontanny.

– Może usiądziemy? – zaproponował, wskazując drewnianą ławeczkę.

– Dziękuję, ale obawiam się, że koledzy już zauważyli, że zniknęłam, a mój towarzysz nie będzie zachwycony moją długą nieobecnością.

– Czy kocha go pani?

– Pozwoli pan, że nie odpowiem na to pytanie.

– Uszanuję brak odpowiedzi.

Założyła na głowę apaszkę na znak, że pora wracać do pałacu. Said prawidłowo go odczytał. Zrobił gest dłonią, jakby zezwalał na wyjście z alejki. Skierowali się w stronę pałacu.

– A czy odpowie mi pani na pytanie, jakie lubi kwiaty?

– Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Lubię wszystkie kwiaty, które mają przyjemny zapach: frezje i róże. Mam sentyment do goździków. Moja mama je kochała. Są trwałe, długo stoją we flakonie.

Wzrokiem szukała ścieżki prowadzącej w stronę pałacu. Wyszli z zielonego labiryntu. W dali ujrzała kamienne mury pałacu.

– Jak udaje się to panu wszystko nawodnić? – zapytała.

– Mam dobrych ogrodników. Pośrodku każdej rabaty znajdują się zraszacze.

– A skąd bierze pan wodę?

– Mam tu podziemne źródło. Pod zwałami piasku umieściłem zbiorniki na wodę. Kiedy pada deszcz, napełniają się. Nie zmarnuje się ani kropla wody.

Chwila milczenia. Anna miała kolejne pytanie, ale nie wiedziała, czy wypada je zadać. Jeśli jednak tego nie zrobi, nie zaspokoi swojej ciekawości.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zaczęła nieśmiało.

– Proszę pytać, odpowiem.

– Czy... właściwie... – nie wiedziała, czy nie będzie się z niej śmiał.

– Śmiało – uśmiechem dodał jej otuchy.

– O ile wiem, Arabowie nie chodzą w turbanach, tylko w chustach na głowie...

– To prawda – nie dał jej dokończyć. – My Arabowie zakładamy na głowę fezy, a Hindusi turbany. Moja matka jest Hinduską. Pochodzi z Indii. Ojciec jest po części Arabem, po części Anglikiem... po mojej prababce. Krew naszego rodu została wymieszana. Aby sprawić radość matce i przypomnieć rodzinny kraj, ubrałem się jak Hindus.

– Teraz wszystko rozumiem.

– Cieszę się, że zaspokoilem pani ciekawość. Proszę śmiało pytać. Odpowiem na każde pytanie.

W alejce pojawił się starszy mężczyzna z sekatorem w ręku. Said powiedział do niego parę zdań w ich języku. Staruszek przytaknął skinieniem głowy, po czym odszedł.

Opuścili rajski ogród i schodami weszli na taras, by po chwili pojawić się w salonie. Właśnie mijał ich służący z tacą. Anna w locie przechwyciła kieliszek z białym winem.

– Czy nie za dużo pani pije? – Said był niezadowolony.

– To z nerwów – uśmiechnęła się.

– Kobieta nie powinna pić trunków. To jej nie przystoi.

Pojawił się kolejny służący. Powiedział coś po arabsku.

– Proszę mi wybaczyć, że panią opuszczę. Obowiązki.

Skinął głową, oddalając się. Spojrzała jak odchodzi. Zerknęła na kieliszek. „Nie przystoi” – pomyślała. „A właśnie, że się napiję”. Wzięła duży łyk trunku. „Nie jestem muzułmanką, żebym nie mogła pić”.

– Gdzie byłaś? – pojawił się Steve.

– Oglądałam ogród pełen rajskich kwiatów.

– Przez pół godziny?

– To tak krótko trwało? – spojrzała na zegarek. – Myślałam, że dłużej.

– Jeszcze śmiesz mówić, że krótko! Czy nic nie zdarzyło się między tobą a tym księciem?

– Co? – była zaskoczona wybuchem jego zazdrości. – Czy mam pogniecione ubranie, potargane włosy albo rozmazany makijaż?

– Masz zaciągniętą apaszkę – zauważył.

– Zahaczyłam nią o krzak róży.

– Na pewno? – nie dowierzał.

– Nie ufasz mi? – spojrzała mu w twarz.

– Jestem o ciebie zazdrosny.

– To miłe – uśmiechnęła się. – Jednak troszkę ci na mnie zależy.

– Więcej niż troszkę.

– Cieszę się – pocałowała go w policzek, zapominając, że w tym kraju nie wypada się tak zachowywać. – Potrzymaj – podała mu kieliszek z winem. – Muszę iść do toalety.

Said El Dżajad widział, jak jasnowłosa całuje swego towarzysza w policzek. Jej zachowanie wysoce mu się nie spodobało. Poczuli się o nią zazdrosny. W jego oczach pojawił się gniew, a palce u obu

dłoni zacisnęły się w pięści. Jubilatka zauważyła reakcję syna. Czyżby zapalał uczuciem do młodej Amerykanki?

Anna w tłumie gości odnalazła Bette i poprosiła ją o pomoc w znalezieniu toalety. Kobiety udały się tam razem. Gdy po zaspokojeniu potrzeb fizjologicznych myły ręce w porcelanowej umywalce, Bette zagadnęła:

– Coś mi się wydaje, że strasznie podobasz się księciu. Myślałam, że pożre cię wzrokiem.

– Ty też to zauważyłaś? – wtarła ręce w bawełniany różowy ręcznik.

– Wszyscy to zauważyli, tylko nie ty.

– Masz rację – przyznała. – Zauważyłam parę jego spojrzeń. Bardzo mnie krępowały. Steve stał się zazdrosny.

– Wróżba się spełnia. Dwóch mężczyzn wokół ciebie.

– Daj spokój. Przeraza mnie to wszystko.

– Dlaczego? – wyszły z toalety. – Nie jesteś ciekawa, czy wróżba się spełni?

– Ona już się spełnia. Widziałam ogród, fontannę. Wszystko takie samo jak we śnie, tylko jeszcze piękniejsze. Czułam się, jakbym była w raju.

– Ja też byłam zachwycona, widząc rajski ogród.

Weszły do salonu. Mijając dwóch starszych mężczyzn, Anna usłyszała ich rozmowę po francusku. Mówili o niej.

– Ta mała Amerykanka jest taka smakowita – mówił Francuz. – Zdarłbym z niej te ciuszki i schrupałbym ją tu na miejscu.

– To uważaj, żebyś nie połamał sobie zębów, dziadku – docięła mu w jego rodzimym języku.

Stojąca nieopodal nich jubilatka usłyszała ciętą ripostę Anny i uśmiechnęła się. Starsi panowie zmieszani odeszli w głąb sali.

– Słyszę, że mówisz po francusku – zwróciła się do niej księżna.

– Tak, trochę mówię – przystanęła.

Bette puściła do niej oczko. Oddaliła się dyskretnie. Nie chciała im przeszkadzać.

– Usiądźmy na kanapie – poprosiła starsza pani. – Chciałam z tobą porozmawiać.

Wskazała mebel stojący pod oknem. Kobiety usiadły.

– Chciałbym wiedzieć, ile masz lat?

– Pod koniec czerwca skończę dwadzieścia sześć – Anna zdradziła swój wiek.

– I jeszcze nie masz męża? A może ten młody mężczyzna, z którym tu przybyłaś, to twój narzeczony?

– Nie, to jeszcze nie narzeczony. Może już wkrótce. Czemu pani pyta?

– Zastanawiam się, dlaczego taka młoda, ładna kobieta jak ty jest panienką... Dlaczego sama wybrałaś się do naszego kraju?

Właśnie? Dlaczego wybrałaś się do obcego kraju? Nie umie tego powiedzieć po francusku. To jej prywatna sprawa i nie musi o tym mówić z obcą kobietą.

– Czym się zajmujesz w swoim kraju?

– Jestem... – zapomniała, jak mówi się po francusku „dietetyczka”. – Jestem kucharzem. Układam jadłospisy, wymyślam różne potrawy.

– Czemu nie poszłaś na studia?

– Byłam na studiach. Ukończyłam je z wyróżnieniem.

– To czemu jesteś kucharzem? – dociekała pani El Dżajad.

– Długo by opowiadać...

– Mamy czas. Baran jeszcze nieupieczony, musimy poczekać.

– Baran? – nie zrozumiała.

– Tak. Na dworze piecze się baran. To będzie ostatni posiłek przed wyjazdem gości.

– Ach tak – odruchowo spojrzała w stronę okna.

– Opowiadaj. Dlaczego gotujesz dla ludzi, a nie dla męża i dzieci?

Anna zrozumiała, że tak szybko nie uwolni się z rąk jubilatki. „Skoro chce wiedzieć, kim jestem, to proszę”. O dziwo, z każdym wypowiedzianym słowem mówiła coraz lepiej, jakby od lat posługiwała się językiem francuskim.

– W wieku siedemnastu lat zostałam sierotą. Moi rodzice i młodszy brat zginęli w katastrofie lotniczej. Była mgła, pilot nie zauważył zbocza góry, samolot zawadził o nie skrzydłem. Zginęło trzynastu pasażerów. Dziesięć osób przeżyło.

– To przykre. A krewni?

– Mam tylko stryja, ale on mnie nie lubi. Wybrałam zawód, który pozwolił mi przetrwać i nie być głodnym.

- A gdzie pracujesz?
- U stryja. Ma dom wypoczynkowy w górach.
- Ja, mając siedemnaście lat, wyszłam za mąż za ojca Saida. Kiedy miałam osiemnaście lat, urodziłam pierwsze dziecko. Syna. Dwa lata później przyszła na świat moja córka. Said jest najmłodszy. Pragnęliśmy więcej dzieci, ale Allah zdecydował inaczej.
- Nie widzę tu pani dzieci.
- Są daleko. Moja córka Nemezis wyjechała na studia do Anglii. Jest lekarzem. Tam wyszła za mąż. Z Adamem mają dwoje dzieci. Mój pierworodny – westchnęła – tak jak Said był żołnierzem. Zabili go bandyci. Został mi tylko Said.
- Czy ma jakąś żonę, której nam nie przedstawił?
- Biedny Said – znów westchnęła. – Miał dwie żony. Pierwsza z nich, Anisa, śliczna drobniutka, delikatna... zmarła przy porodzie. Dziecko było tak słabe, że nie przeżyło. Druga żona była Turczynką. Miała na imię Afra. Zdrowa, silna dziewczyna. Said był taki szczęśliwy. Spadła z konia, złamała kręgosłup. Said kazał zabić konia, który ją zrzucił. Dwa lata leżała sparaliżowana. Pewnego dnia zachorowała. Dostała zapalenia płuc, a tydzień później zmarła w szpitalu. Mój syn ciężko to zniósł. Minęły dwa lata, a on nadal nie ma kobiety. Ale – uśmiechnęła się – nasz astrolog powiedział, że czeka go wielka miłość. Powiedział, że stanie się to w tym roku – poklepała Annę po dłoni.
- To interesujące – przyznała. – Własny astrolog? Pani syn jest tak znaną osobą, że pewnie niejedna kobieta chciałaby zostać jego żoną.
- Nie każda mu się podoba. Ale widzę, że któraś już wpadła mu w oko – spojrzała Annie w twarz i uśmiechnęła się.
- „Tylko nie ja” – pomyślała dziewczyna. „Niech sobie nie robi nadziei, że zostanę jej synową. Wykluczone. Teraz wiem, dlaczego wypytywała mnie, ile mam lat, z czego żyję... A ja głupia powiedziałam jej całe swoje życie”.
- Proszę o uwagę – rozległ się doniosły głos Saida. – Zapraszam wszystkich państwa na tył mojego pałacu. W pomarańczowym ogrodzie czeka pieczony baran. Są też szaszłyki.
- Czy mogę się wesprzeć na twoim ramieniu? – spytała księżna.

– Proszę.

Anna pomogła jubilatce podnieść się z kanapy, nadstawiając prawe ramię. Goście cierpliwie czekali, aż starsza pani jako pierwsza wyjdzie z salonu. Said z uśmiechem zwycięzcy patrzył, jak jasnowłosa prowadzi jego matkę. Dołączył do kobiet.

– Nie mogę dobrze chodzić – szepnęła do Anny. – Trzy lata temu spadłam z konia i złamałam nogę. Kość źle się zrosła i teraz utykam.

– To przykre.

– Dobrze, że żyję. Moja synowa miała mniej szczęścia. Szkoda mi tylko konia. Said go zastrzelił. Co koń był winny? Zwierzę tylko przestraszyło się jaszczurki.

„Podobno to człowiek lubiący zwierzęta, a mści się na nich, kiedy skrzywdzą jego bliskich” – pomyślała Anna. Rzuciła krótkie spojrzenie w stronę Saida. Wymienił kilka słów z matką w ich ojczystym języku. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. To, co powiedziała matka, musiało dotyczyć rozmowy, jaką staruszka przed chwilą przeprowadziła z Anną. Amerykanka czuła, jak palą ją policzki, dzwoni jej w uszach. Pewnie wszyscy zaproszeni goście plotkują o niej. Idzie w pierwszej parze, jakby już była narzeczoną księcia. Pewnie Steve czuje się wystawiony do wiatru i żałuje, że przyjechał jako jej towarzysz. Co za upokorzenie!

Wyszli na powietrze. Słońce chyliło się ku zachodowi, powoli zapadał zmrok. W drugiej części ogrodu, oddzielonej niskim kamiennym murem, z dala od kwiatów paliły się dwa ogniska. Nad jednym z nich piekł się dorodny, wypatroszony, obrany ze skóry baran, na drugim ułożone na metalowym ruszcie przypominającym siatkę grzały się szaszłyki. Sześć kroków od ognia ustawione były dwa stoły przykryte niebieskimi atlasowymi obrusami. Przy stołach ustawiono drewniane ławki z oparciami. Dla jubilatki przygotowano osobny okrągły stolik, a przy nim trzy fotele wyściełane kozimi skórą. Anna podprowadziła kobietę pod przygotowane dla niej miejsce, sądząc, że będzie mogła oddalić się do swoich przyjaciół, lecz myliła się.

– Proszę, usiądź obok mnie – poprosiła księżna.

– Ja też proszę – Said wskazał fotel obok matki.

Anna zawahała się. Krótkie spojrzenie na kobietę i Saida. Czy wypada odmówić? Czy nie urazi gospodarza i jego matki? Nie zna obyczajów tego kraju, nie chce popełnić nietaktu. Krótkie spojrzenie w stronę gości. Nie widzi Steve'a ani profesora Batemana, ale wśród syryjskich archeologów dostrzegła Bette i panią doktor.

Pojawił się sługa. Usiadła. Said zwrócił się do matki w swoim języku. Uśmiechnęła się. Anna bardzo chciałaby wiedzieć, o czym rozmawiają.

– Co pani podać – zwrócił się do niej Said. – Baranina, szaszłyk?

– Szaszłyk – powiedziała niepewnym głosem.

– Jeden, dwa?

– Jeden.

Księżę wydał polecenie, sługa skłonił się i udał w kierunku ogniska z szaszłykami. Said usiadł obok matki, po jej lewej ręce.

– Boi się pani, że jej towarzysze odjadą bez pani? – spytał.

– Tak – potwierdziła. – Przyjechałam tu z nimi, a ciągle towarzyszę panu i jego matce.

– Inna kobieta byłaby zaszczycona, że siedzi obok mnie i mojej matki. Czy dla pani to ujma?

– Cenię sobie to, że właśnie mnie pan tak... – nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa – wyróżnia. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam.

Pojawił się sługa w tacą w ręku. Zdjął z niej trzy talerze, na których leżało po jednym szaszłyku i małe widelczyki z dwoma ząbkami. Pieczone plasterki jagnięciny nabite na długie wykałaczki przedzielone były papryką, oliwkami i cebulą. Wszyscy troje mieli taki sam gust, czy to Said dostosował potrawę pod zamówienie Anny?

– Ja zawsze wszystko ściągam z patyczka, a potem jem – szepnęła kobieta. – Zrób tak samo, w ten sposób nie ubrudzisz twarzy.

– Śmiało – zachęcił Said. – Nikt nie patrzy.

Chwila zastanowienia. Starsza pani widelczykiem zsunęła zawartość patyczka. Said zrobił to samo. Nie zaszkodzi spróbować i iść w ich ślady. Jedząc, Anna spojrzała w stronę ogniska. Nad ogniem piekł się baran. Steve patrzył w ich stronę. Jego oczy pałały nienawiścią. Profesor Bateman próbował rozładować jego

niezadowolenie, podając mu talerz z plastrem mięsa. Mężczyzna machnął ręką, odmawiając poczęstunku. Said podążył za wzrokiem jasnowłosej.

– Gdyby pani towarzysze chcieli odjechać bez pani, udzielię jej gościny.

– Dziękuję, książę, lecz wierzę, że nie zapomną o mnie.

– Pani towarzysz chyba chciałby już jechać do obozu.

– Ja też... – wyrwało się jej. – Jestem już trochę zmęczona.

– Jeszcze tylko tort i mała niespodzianka – uśmiechnął się.

Słońce zaszło za horyzont i pierwsze gwiazdy pojawiły się na bezchmurnym niebie. Słudzy zapalili pochodnie. Na jednym ze stołów postawiono piętrowy tort polany ciemną czekoladą i przystrojony czerwonymi różyczkami. We trójkę wstali z foteli i podeszli do stołu. Pierwszy kawałek tortu otrzymała jubilatka, drugi Anna, a trzeci Said. Następny kawałek podano osobie, która stała w ich pobliżu – i tak aż do ostatniego gościa. Był to biszkopt przełożony dwoma warstwami kremu: żółtym o smaku waniliowym oraz białym, pomarańczowym. Nie za słodki, delikatny, rozplywający się w ustach jak lody. Na niebie rozbłysły wielobarwne fajerwerki.

Anna, korzystając z nieuwagi jubilatki, oddaliła się od niej. Po chwili pojawił się obok niej Steve. Nie trzymał w dłoni talerzyka z tortem. Pogardził poczęstunkiem.

– Widzę, że zaczyna ci się to podobać – szepnął. – Może zostaniesz tu na noc?

– Steve, proszę cię... – uspokajała go. – Sama głupio się czuję. Już wszyscy o mnie mówią... – rozejrzała się na boki.

– O tak, faworyta księcia. Może już kochanka.

– Ranisz mnie.

– Ty mnie też!

Odwrócił się i przeciskając się przez tłum, zniknął w ciemnościach. Odstawiła na drugi stół talerz z niedokończonym kawałkiem tortu. Chciała iść za Steve'em, lecz pojawiła się starsza pani. Ujęła dłoń dziewczyny i patrząc jej w twarz, powiedziała:

– Odwiedź mnie w wolnej chwili. Jestem tu taka samotna.

– A pani syn? – spytała niepewnym głosem.

– Rozmowa z mężczyzną to nie to samo, co rozmowa z kobietą.

– Nie wiem, czy znajdę czas – wahała się. – Kiedy ręka mi się wyleczy, wrócę do gotowania.

– Jak chcesz, to nasz kucharz może cię zastępować jeszcze przez wiele, wiele dni.

– No, nie wiem – spojrzała w ciemność, wypatrując Steve'a. – Tutaj decyduje profesor Bateman.

– Nie jest twoim mężem.

– Ale jest tu szefem.

– Kim? – nie zrozumiała jej słów.

Pojawili się profesor Bateman, Bette, pani doktor i profesor Durell. Wśród nich nie było Steve'a.

– Pora na nas – zaczął. – Dziękujemy za wspaniałe przyjęcie.

Położył dłoń na sercu, skinął głową. Bette tłumaczyła jego słowa.

– Życzymy pani dużo zdrowia. Życzymy dobrej nocy.

Jubilatka podziękowała w swoim języku, Bette przetłumaczyła jej słowa. Anna w głębi duszy była im bardzo wdzięczna, że przyszli się pożegnać. Wreszcie uwolni się od El Dżajad i jej syna. Chciała odnaleźć Steve'a i porozmawiać z nim. Przeprosić. Księżna jeszcze raz poprosiła Annę, by ją odwiedziła. Ruszyli w stronę samochodu.

– Dziękuję panu – Anna zwróciła się do profesora Batemana – że wyrwał mnie pan z rąk księżnej. Taki wstyd.

– Wstyd? – zdziwił się. – Raczej spotkał cię wielki zaszczyt towarzyszenia księżnej w czasie jej przyjęcia urodzinowego. Nie każdy może się do niej zbliżyć tak jak ty.

– Właśnie – dodał Durell. – Zostałaś wyróżniona. Wszyscy o tym mówili.

– Dziękuję. Pocieszył mnie pan.

Spojrzała przed siebie. Steve siedział na przednim siedzeniu samochodu. Jego chmurna twarz nie wróżyła nic dobrego. Pojawienie się Saida El Dżajada z dwoma sługami trzymającymi w dłoniach bukiety kwiatów jeszcze bardziej go wzburzyło.

– Przepraszam – Said stanął przed nimi. – Zanim państwo odjadą, chciałbym obdarować panie kwiatami z mojego ogrodu – odebrał od sługi bukiet czerwonych goździków. – To dla pani – podał Annie bukiet.

– Ależ... – odebrała kwiaty, ukradkiem spoglądając w stronę Steve'a. – Dziękuję.

„Niech to się już skończy” – pomyślała. „Biedny Steve, musi okropnie się czuć, patrząc na to wszystko”.

Książę odebrał od sługi bukiet różnobarwnych tulipanów i wręczył je pani doktor, mówiąc:

– Oto pani ulubione tulipany.

– Pamiętał pan. Dziękuję – Mary była zachwycona.

– Dla pani – zwrócił się do Bette – mam bukiet frezji. Pasują do pani charakteru: ciepłego i delikatnego.

– To miłe. Dziękuję – Bette ukradkiem spojrzała na Annę.

– Wierzę, że państwo jeszcze mnie odwiedzą i opowiedzą o pracach wykopaliskowych.

– Jeśli czas pozwoli – powiedział Durell.

– A pani znajdzie czas i odwiedzi moją matkę? – zwrócił się do Anny. – Jest taka samotna...

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie wiem, czy znajdę czas. Dobranoc – skinęła głową.

Wsiedli do samochodu. Said patrzył, jak odjeżdżają. Dopiero kiedy auto zniknęło za bramą, powrócił do pałacu. Przez całą drogę Steve był milczący i wściekły, za to kobiety rozbawione. Pani doktor nie mogła wyjść z zachwyty.

– Niesamowite, książę zapamiętał, że lubię tulipany – upajała się zapachem kwiatów. – Jak one pachną!

– Jestem delikatna jak frezja – rozmarzyła się Bette. – Gdyby Alex to widział...

– A już się bałem, że dla nas też ma kwiaty – zażartował Durell.

Wszyscy się śmiali – oprócz Steve'a.

– Co z tobą, Steve? – zaczął Bateman. – Czyżbyś był zazdrosny o naszą Annę?

Mężczyzna milczał.

– Jesteś zazdrosny o bukiet kwiatów? – spytała pani doktor. – My też dostałyśmy kwiaty, gdybyś nie zauważył.

– Muzułmanie nie dają kobietom kwiatów – odparł.

– To nowoczesny człowiek, otwarty dla ludzi – skwitował Durell.

– Gdybym był u siebie, dałbym mu w zęby za ciągłe faworyzowanie Anny.

– A czy ona nie wygląda dzisiaj pociągająco? – spytał żartem Durell.

- Bo poskarżę żonie, jak wrócimy do Stanów – rzuciła Mary.
- Musicie przyznać, że nasza Anna była za bardzo wyróżniana, i to na każdym kroku – przypomniała Bette.
- Aż do przesady – przyznała dziewczyna. – Czułam się głupio.
- Przecież ci to odpowiadało – zakpił Steve.
- A co miałam zrobić, kiedy księżna poprosiła mnie, bym jej towarzyszyła? Miałam zachować się jak prostytutka i powiedzieć, że nie mam ochoty z nią rozmawiać?
- A w jakim języku się porozumiewałaś, po arabsku czy angielsku?
- Po francusku.
- Skąd znasz ten język?
- Mówiłam ci. Uczyłam się go w szkole. Czyżbyś zapomniał?
- Nie psujcie zakończenia wieczoru – przerwała im Mary. – Ty też byłeś zajęty rozmowami z gośćmi El Dżajada.
- To nie to samo – podniósł głos. – Nie zalecałem się do żadnej kobiety...
- Dosyc tych pretensji – nie wytrzymał Bateman. – Kto chciał, dobrze się bawił. Takie przyjęcie zdarza się raz w życiu, szczególnie w takim kraju. Jak wrócimy do Stanów, nikt nam nie uwierzy, że dostojny arabski książę gościł nas w swoim pałacu.
- Nawet o tym nie wspomnę – burknął Steve. – To najgorsze przyjęcie, na jakim byłem.
- Przepraszam, że tak to wszystko wyszło – odezwała się Anna.
- No to jesteśmy na miejscu – profesor Durell zatrzymał samochód przed zamkniętą bramą obozowiska. Pojawił się Alex i wpuścił ich do środka. Wysiedli z samochodu.
- Jak było na przyjęciu u księcia? – spytał Alex.
- Trzeba było jechać ze mną – Bette wzruszyła ramionami.
- Czy to moja wina, że złapaliśmy gumę i nie zdążyłem przyjechać na czas do obozu?
- Mogłeś nie jechać do wioski. Nic by się nie stało, gdyby sprawa poczekała do jutra.
- Przepraszam, to nie mogło czekać – bronił się Alex.
- To ja idę spać. Dobranoc – Durell pożegnał wszystkich. Obozowisko pustoszało, na dworze zostali Anna i Steve.
- Wyrzuć te kwiaty! – rozkazał.

- Dlaczego miałabym to zrobić? – spojrzała mu w twarz.
- Jeśli ci na mnie zależy, to je wyrzuć!
- Steve, nie poznaję cię. Nie chcę się z tobą kłócić – ruszyła w stronę swojego namiotu. – Idę spać.
- Kocham cię – zaszedł jej drogę. – Czy tego nie widzisz?
- Steve, ty... – była zaskoczona jego wyznaniem. – Zaskoczyłeś mnie. Nie chciałabym, żeby bukiet kwiatów nas poróżnił, ale one przypominają mi rodziców. Moja mam kochała goździki.
- Więc je zatrzymasz?
- Tak, chociaż na...
- Więc... dobranoc – był wściekły. Odszedł kilka kroków. – Z nami koniec! – krzyknął.
- Świetnie! – odparła. – Dobranoc!

Ta część obozu, która jeszcze nie spała, słyszała ich kłótnię, a już na pewno ostatnie słowa, te o zerwaniu. To była pierwsza kłótnia Anny i Steve'a i pewnie jedyna.

Anna weszła do namiotu i zapaliła latarkę. Zasuwała suwak, blokując jego koniec. „Nadęty bufon” – pomyślała o Stevie. „Zazdrosny o kwiaty, które dostałam od El Dżajada. Steve wyznał, że mnie kocha. To miłe. I co mam teraz zrobić? Pamiętam, jak tato obdarowywał mamę bukietami goździków. Ot tak, bez okazji. Kiedy szli na tańce, mama wpinała tacie do butonierki czerwonego goździka. Kiedy wracali, kwiat, chociaż przywiedły, wciąż tam tkwił. Byli tacy szczęśliwi”. Przypomniała sobie słowa wróżby: „Dwaj mężczyźni wokół ciebie. Ich imiona zaczynają się na tę samą literę”. Stara wiedźma mówiła prawdę. Teraz już wiadomo, kim jest ten drugi mężczyzna, jego imię zaczyna się na literę „S”. Rywal. Nie może zachęcać Saida, by ją adorował, bo straci Steve'a. No tak, przecież już go straciła.

Poszukała wolnego słoika, nalała do niego wody i umieściła w nim bukiet. Policzyła czerwone łebki kwiatów. Dwadzieścia sześć. Tyle, ile miała lat. Ale skąd on o tym wie? Ach, prawda. Powiedziała jego matce, ile ma lat. El Dżajad zna jej cały życiorys. Czemu była taka swobodna w rozmowie, taka szczera? Przy księżnej poczuła się jak przy matce, której tak bardzo jej brakuje.

Zdjęła buty i żakiet. Nie zdjęwszy sukienki, położyła się na łóżko. Wtuliła się w koc. Słodki zapach kwiatów ukoił jej zmysły.

*

Przez trzy kolejne dni Steve unikał rozmowy z Anną. Przy stole siadał w taki sposób, by nie było przy nim wolnego miejsca. Zrozumiała, że już jej nie chce, więc przestała jadać na świeżym powietrzu, robiła to w zaciszu swojego namiotu. Znalazła czas, by napisać list do koleżanek z kraju. W wielkim skrócie opisała, jak jej się tu żyje, jak idą postępy przy wykopaliskach. Wspomniała też o uroczystej kolacji w pałacu arabskiego księcia.

Jej brak przy jadalnym stole poruszył Bette. Nawet studenci szepotali o zerwaniu Anny i Steve'a.

– Co z tobą i Steve'em? – spytała, Bette kiedy zostały same w obozie.

– Pytasz, bo nie wiesz, co się stało, czy dlatego, że nie wierzysz w to, co nas o mówią?

– Bo nie wierzę w to, co się stało.

– To uwierz – potwierdziła Anna. – Poróżnił nas bukiet kwiatów.

– To dlatego, że Steve cię kocha – podsumowała Bette. – Wyrzucić kwiaty, a może wszystko wróci do normy.

– Ja wiem? – dziewczyna zastanawiała się. – Lubię goździki. Przypominają mi rodzinny dom. Mama często dostawała goździki od taty. Tęsknię za nimi. Odeszli tak młodo. Brakuje mi ich. Szczególnie mamy – łzy napłynęły jej do oczu. – Nie mam kogo prosić o radę.

– Powiedz mu to.

– On nie chce mnie słuchać.

– Wyczuł w księciu konkurenta.

– Przecież dla takiego człowieka jak El Dżajad byłabym tylko zabawką, którą się wyrzuca, gdy już się znudzi.

– Pewnie masz rację – otarła twarz dłonią. – Jakoś dziwnie się czuję.

Anna spojrzała nią. Twarz tłumaczki robiła się blada, a jej oczy zmętniały. Bette przechyliła się na bok i tylko szybka reakcja Anny uchroniła ją od upadku z ławki. Ale jak utrzymać w jednej pozycji bezwładne ciało? Wspierając na brzuchu omdlałą Bette, zawołała o pomoc. Jako pierwszy pojawił się Steve.

– Co się dzieje? – krzyknął.

– Bette źle się poczuła... zemdląca... Potrzebna pani doktor.

Dziewczyna poruszyła się, jęknęła.

– Co się stało? – spytała półprzytomna.

– Zemdlałaś – przypomniała Anna. – Co się z tobą dzieje?

– Nie wiem. Tak jakoś niedobrze mi się zrobiło.

– Obiad ci zaszkodził? – zaciekawiał się Steve.

– Nie wiem. A wy czujecie się dobrze?

– Tak – potwierdził Steve.

– Mnie nic nie jest – dodała Anna.

– To pewnie przez ten upał.

Pojawiła się pani doktor. Zmierzyła Bette puls, ciśnienie. Poprosiła Steve'a, aby zaniósł kobietę do namiotu medycznego. Mary Parker musiała dokładnie zbadać swoją pacjentkę oraz przeprowadzić wywiad. Anna z niecierpliwością kręciła się nieopodal namiotu. Steve stanął nieopodal niej.

– Czy sądzisz, że to coś poważnego? – zagadnął.

– Może to z upału? – kombinowała Anna. – W cieniu jest trzydzieści pięć stopni. Nie ma czym oddychać.

– Mnie też dokucza ten skwar. Czasem mam dosyć tego kopania. Jestem już zmęczony.

– Jak my wszyscy – przyznała.

– Jeszcze dwa, trzy miesiące i koniec. Nasza umowa wygaśnie i powrócimy do domu.

– To bardzo długo. Gdybym mogła, już jutro wróciłabym do kraju. Najbardziej brakuje mi klimatyzacji.

– Mnie też – uśmiechnął się. – Czasem mam ochotę godzinę stać pod zimnym prysznicem.

– Albo wejść do wanny wypełnionej po brzegi letnią wodą z obfitą pianą.

Z namiotu wyszła pani doktor z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

– Mam dla was dobrą nowinę... Chociaż to Alex powinien pierwszy o tym usłyszeć. Bette spodziewa się dziecka.

– To cudownie! – wykrzyknęła Anna.

Z radości chciała uścisnąć Steve'a. Już wyciągnęła przed siebie dłonie, lecz przypomniała sobie słowa zerwania. Cofnęła ręce. Spoważniała, dodając:

– Bette tak bardzo pragnęła tego dziecka.

– Tak jak w jej śnie. Pamiętasz, jak nam go opowiedziała? – przypomniała Mary.

– Tak, pamiętam – Anna zamyśliła się. – Musi się teraz oszczędzać.

– Dobrze by było, żeby wróciła do kraju – zaproponował Steve.

– Teraz nie może wyjechać. Jeśli dobrze obliczyłam, to szósty tydzień. Aby ciąża dobrze się rozwinęła i organizm nie doznał szoku, może wyjechać za jakieś dwa miesiące. Dziecko urośnie i ciąża nie będzie zagrożona. Wracam do Bette – uśmiechnęła się.

Pani doktor wróciła do namiotu. Anna ukradkiem spojrzała na Steve'a. Nic tu po niej. Ruszyła w stronę swojego namiotu. Mężczyzna szedł krok za nią.

– Przepraszam za to, co powiedziałem po przyjęciu – zagadnął. – Wcale nie chcę, żebyśmy się rozstawali.

– Ja też tego nie chcę – przyznała.

– Wybaczysz mi... moje zachowanie?

– Wybaczam – stanęła twarzą do niego. – Mogę wyrzucić kwiaty, jeśli ci tak bardzo przeszkadzają.

– Mogą zostać – objął ją w pól. – To tylko kwiaty.

Delikatnie pocałował ją w usta. Nie był pewny, czy ona wciąż tego chce. Odwzajemniła pocałunek, obejmując go. Trwało to jakąś chwilę. Oderwał się od jej ust, szepcząc:

– Chcę się z tobą kochać.

– Ja też – spojrzała mu w oczy.

– Jest mały problem – spuścił wzrok. – Wyrzuciłem prezerwatywę.

– I po co się pośpieszyłeś?

– Bo byłem na ciebie wściekły.

– O... widzę, że już po burzy – Durell przerwał im amory.

– Już – przyznał Steve.

– To teraz wiem, czemu przyniesienie latarki zajęło ci tyle czasu.

– Przepraszam. Zapomniałem.

– To chodźcie do wykopalisk, chyba trafiliśmy na skarbiec.

We trójkę udali się do ruin. Studenci natrafili na fragment na w pół zawalonego budynku z dobrze zachowanymi kamiennymi schodami prowadzącymi w dół. Drzwi do piwnicy obite były miedzianą blachą. Zawiasy zardzewiały i trzeba było użyć kilofa, aby je rozbić. Kolejną

przeszkodą była założona od wewnątrz metalowa sztaba. Nie pozostało nic innego, jak wybić parę kamieni, uwolnić futrynę i w ten sposób dostać się do piwnicy. Tak też zrobili. Po czterdziestu minutach drzwi wraz z drewnianą masywną futryną runęły na kamienną płytę. Poczuli nieprzyjemny, stęchły zapach. Barry z kamerą na ramieniu filmował ich poczynania. Poczekano, aż powietrze oczyści się z toksyn. Zapalono pochodnie, latarki. Powoli, nie śpiesząc się, schodek po schodku Durell schodził w dół. Musiał sprawdzić, czy stropy mocno się trzymają, czy nie ma zagrożenia, że sufit się zawali. Było bezpiecznie. Piwnica była wolna od piasku i bez przeszkód można było do niej wejść. Schodzili grupkami. Profesorowie Bateman, Marchol i Harmon, Kamal Malik, Abdur Rahim i oczywiście kamerzysta Barry. Jak się okazało, w podziemiach wydarzyła się inna tragedia. W dziesięciu małych, zamkniętych na kłódki celach leżały odziane w strzępki szarej tkaniny pojedyncze ludzkie szkielety. To nie był skarbiec, lecz więzienie. Odnaleziono salę tortur, przywiązane do łańcuchów, wiszące u sufitu trzy kolejne szkielety. Łańcuchy, kajdany, topory, różne rodzaje noży, szpad, młotków, obcęgow. Oto, jaki skarb odnaleźli. Nie zabrakło pieca i rusztu, różnej wielkości pogrzebaczy. Naliczono dwadzieścia ciał. Barry dokładnie sfilmował pomieszczenie. Każdy chciał zobaczyć, co mieści się w nowo odkrytym pomieszczeniu; wszyscy oprócz muzułmańskich najemników. Wierzyli, że oglądanie zwłok zmarłych przynosi nieszczęście.

Ekipa była tak zajęta liczeniem i opisywaniem znalezionych przedmiotów, że spóźniła się na kolację. Kucharz był bardzo niezadowolony. Nie lubił odgrzewać potraw, bo jak powiedział, tracą nie tylko smak, ale i wartość odżywczą. Anna usiadła przy stole ze studentami obok Toma. Kiedy Lee Jang rozniósł wazy z zupą kremem, taką samą, jaką jedli na przyjęciu u księcia, wręczył dziewczynie zaadresowaną do niej białą kopertę. Zaskoczona zajrzała do środka. Wyjęła małą karteczkę. Słowa były napisane tym samym charakterem pisma, co na zaproszeniu, jakie otrzymała od księcia.

Mam zaszczyt zaprosić Panią na wieczerzę dwudziestego drugiego w czwartek. Godzina szósta trzydzieści. Przyślę po Panią

pojazd.

W podpisie: Said El Dżajad.

Schowała karteczkę do koperty. Siedzący przy pierwszym stole Steve zauważył kopertę w jej dłoni. Zastanawiał się, czy Anna zdradzi mu sekret, czy zatai otrzymanie liściku.

– Co to? – zaciekawiał się Tom.

– Nic ważnego – schowała kartkę do kieszeni spodni.

– Nasza Anna ma cichego wielbiciela – wtrącił Dan.

– I niech to zostanie tajemnicą – poprosiła.

– Za późno – Tom zrobił gest głową. – Ktoś już wie.

Spojrzała w stronę pierwszego stołu. Steve miał pochmurną minę. Kiedy już się pogodzili i wydawało się, że między nimi znów zacznie się układać, Said przysłała Annie zaproszenie na kolację. Ironia losu. Jeśli dziewczyna chce uratować ten związek, pokaże mu zaproszenie, nie będzie robiła z tego sekretu.

Anna poczekała, aż wszyscy zjedzą kolację. Kiedy odchodzili od stołu, przysiadła się do pijącego herbatę Steve'a.

– Co to za list? – uprzedził jej słowa.

– Proszę, przeczytaj – położyła na blacie stołu kopertę.

– Naprawdę mogę? – nie wierzył.

– Tak – potwierdziła. – To żadna tajemnica.

Mężczyzna spojrzał jej w twarz, a potem przeniósł wzrok na kopertę. Chwila zastanowienia. Powoli wziął do ręki kopertę i patrząc dziewczynie w oczy, wyjął ze środka karteczkę. Treść listu podniosła mu ciśnienie. Zmarszczył brwi, zacisnął palce na kartce.

– Pójdiesz? – spojrzał jej w oczy.

– Nie – ze spokojem odwzajemniła jego spojrzenie.

Nie odrywając od niej wzroku, powoli uniósł ku górze prawą dłoń, w której trzymał zaproszenie, i za pomocą lewej dłoni przedał kartkę na pół. Chciał się przekonać, jak Anna zareaguje na to, co właśnie robi. Była spokojna, uśmiechnięta, jej oczy nie zdradzały żadnych odczuć.

– Naprawdę nie zależy ci na spotkaniu z tym Arabem?

– Nie – zbliżyła ku niemu głowę. – Nie sądzę, bym była mu przeznaczona. Moje miejsce jest w Ameryce.

Delikatnie ucałowała jego usta. Chciała odejść, lecz przytrzymał jej głowę. Musiał sprawdzić, czy mówiła prawdę, czy myślami była

przy innym mężczyźnie. Objęła go za szyję. Usłyszeli chrząknięcie. Odsunęli się od siebie.

– To ja już jadę – oznajmił Lee Jang.

– To dobranoc – pożegnał go Steve.

– Mam słowo do pani Anny.

– Mów pan – poprosił Steve. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Zbiłem wazę na zupę.

– Jedna waza mniej, jedna więcej – machnęła ręką. – Mamy jeszcze dwie. A jak stłuką się wszystkie, będę podawać zupę w garnkach.

– Pani dobra. Mój pan złości się, kiedy coś się zniszczy.

– Jest taki bogaty, że może sobie kupić nowe rzeczy, a nie wściekać się na służbę – skwitował Steve.

– No tak, no tak... – powtórzył. – Dobranoc.

Lee Jang oddalił się.

– To na czym skończyliśmy? – spytała zachęcająco.

– Na tym – pocałował ją w usta.

– To gdzie wyrzuciłeś tę prezerwatywę? – spytała, patrząc mu w oczy.

– Do kibla.

– To już nie miałeś gdzie? A kieszeń u spodni?

– No wiesz... – Steve poczuł się niezręcznie. – Byłem na ciebie wściekły.

– Żałuj, bo chciałam się z tobą kochać – cmoknęła go w usta. – Dzisiaj.

– Wybacz – palcami prawej ręki dotknął jej podbródka. – Może jutro. Dzisiaj jestem bez formy. Muszę odespać dwie bezsenne noce.

– Przeze mnie nie spałeś?

– Można tak powiedzieć – wstał. – Czuję, że dzisiaj będę spać spokojnie. Dobranoc.

– Pa.

Przez chwilę patrzyła, jak odchodzi. Zebrała ze stołu przedartą kartkę, wsunęła ją do koperty, po czym udała się do swojego namiotu. Wzięła ręcznik i udała się pod prysznic. Kabiny były puste. Schowała włosy w gumowy czepek i w majtkach i biustonoszu wzięła prysznic. Nie przeszkadzała jej letnia woda, najważniejsze,

że znów zdobyła zaufanie swojego chłopaka. Okręcona w ręcznik wróciła do namiotu. Spojrzała na bukiet kwiatów. Zastanawiała się przez chwilę, po czym wystawiła stoik z goździkami przed namiot.

Gdy wczesnym rankiem Steve idący do toalety zauważył bukiet goździków przed jej namiotem, uśmiechnął się. „Jednak jej na mnie zależy” – pomyślał. „Kocha mnie”.

Kiedy jak zwykle po śniadaniu udali się na miejsce wykopalisk, przyjechała pięcioosobowa ekipa telewizyjna z Aleppo, by nakręcić reportaż o prowadzonych pracach wykopaliskowych. W obozie były same kobiety i kucharz. Mary opiekowała się Bette, więc Anna zaprowadziła gości na teren wykopalisk i została z nimi aż do obiadu. Syryjski reporter przeprowadzał rozmowy, a kamerzysta utrwał wszystko na taśmie. Kiedy padło pytanie, kto pierwszy odkopał fragment murów, profesor Bateman wskazał na Annę. „O nie” – pomyślała – „Tylko nie wywiad!”. Nie miała ochoty przeżywać wszystkiego od początku. Po co miała wspominać wpadnięcie do dziury w piasku i godzenie się ze śmiercią? Dlaczego profesor to zrobił? Odpowiedziała na pytania przystojnego reportera z wąsem, unikając patrzenia w kamerę. Dwie godziny spędzone na słońcu bez kapelusza wywołały u niej ból głowy. Postanowiła wrócić do obozu. Kiedy dochodziła do pierwszych namiotów, zrobiło jej się niedobrze. Położyła się na ławce pod wiatą jadalni.

– Pani chora? – pojawił się Lee Jang.

– To przez to słońce. Zapomniałam włożyć kapelusz.

– To niedobrze – pokręcił głową. – Niedobrze. A dzisiaj wieczera... Niedobrze.

– Twój pan zje kolację sam albo ze swoją matką.

– Mój pan wydał takie polecenie... – załamał dłonie w uścisk. – To niedobrze. Pan chce z panią zjeść tę kolację.

– Nie sądzę, bym do wieczora wyzdrowiała.

– Niedobrze – kucharz oddalił się. Zniknął w namiocie kuchni.

Pani doktor zauważyła Annę leżącą na ławce. Podeszła do stołów.

– A co z tobą?

– Zapomniałam o kapeluszu i teraz boli mnie głowa. Jest mi niedobrze.

Mary przytknęła dłoń do jej czoła.

– Przegrzałaś się. Zrób sobie zimny okład, bo dostaniesz udaru.

Zimny okład i tabletki przeciwbólowe sprawiły, że Anna poczuła ulgę. Nie zjadła obiadu, tylko położyła się do łóżka. Dwie godziny snu sprawiły, że poczuła się trochę lepiej. Wstała z łóżka i spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta po południu. Za pół godziny miał po nią przyjechać pojazd od księcia. Wypadałoby odpowiedzieć, dlaczego nie może skorzystać z jego zaproszenia. Wyjęła z torebki długopis, wyrwała kartkę ze swojego małego notatnika i skreśliła kilka słów.

Dziękuję za zaproszenie, lecz nie mogę przybyć na wieczerzę...

Jaki podać powód? Musi coś napisać.

...z powodu złego samopoczucia.

W podpisie: Anna Reed.

Jak przeczyta, że jest chora, odczepi się od niej. Mężczyzna taki jak on potrzebuje przecież zdrowej kobiety.

Kiedy pojawiła się dwuosobowa bryczka zaprzęzona w czarnego konia ze stangretem na koźle, Anna podeszła do niego. Chciała wręczyć mężczyźnie liścik, lecz on nic nie rozumiał. Potrzebna była Bette. Anna poprosiła ją, by przetłumaczyła sługom księcia, co ma do powiedzenia.

– Powiedz, by wręczył tę kartkę swemu panu.

Bette przetłumaczyła stangretowi słowa Anny, ten jednak nie chciał odjechać.

– Pyta, co to za karteczka.

– Powiedz, że ode mnie dla jego pana, El Dżajada.

Bette przetłumaczyła. Służący był niezadowolony. Powiedział coś pośpiesznie.

– Powiedział, że bez ciebie nie może odjechać.

– Tu jest wyjaśnione – machnęła kartką – dlaczego nie mogę pojechać do pałacu – odruchowo położyła rękę na czole.

Bette przetłumaczyła jej słowa. Służący przyłożył palce do skroni, zaczął coś mówić, jakby się modlił czy żalił. Wziął kartkę, cmoknął na konia i ruszył w drogę powrotną do pałacu.

– Biedny człowiek – pożałowała go Bette. – Chyba mu się dostanie od pana.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Powiedział coś takiego... że jak przyjedzie bez pani, to on go zatłucze.

– To niedorzeczne – patrzyła w dal za oddalającą się bryczką.

– A co tu robił służący El Dżajada? – pojawiła się pani doktor.

– Księżę zaprosił mnie na kolację, a ja odmówiłam.

– Jak to? – nie mogła uwierzyć. – Nie skorzystałaś z jego zaproszenia?

– Zależy mi na Stevie. Nie mogę robić mu na złość, kiedy znów jesteśmy ze sobą.

– Coś ty. Ja bym mu nie odmówiła.

– Jak chce ze mną zjeść kolację, to niech zaprosi całą grupę – powiedziała Anna. – Prawda, Bette?

– Na mnie nie licz – zaprzeczyła gestem dłoni. – Muszę się oszczędzać.

– Twój sen się spełnił i zaszłaś w ciążę na obcej ziemi – przypomniała Anna. – Ja zobaczyłam rajski ogród z mego snu.

– Że też mnie się nic nie przyśniło – westchnęła Mary.

– Może to i lepiej – podsumowała Anna.

– A jak tam twoja głowa? – spytała pani doktor.

– Boli. Trochę mniej, ale boli i jest mi niedobrze.

– A jadłaś obiad? – zaciekawiała się pani doktor. – Nie widziałam cię przy stole.

– Nie byłam głodna, zamiast jeść, poszłam spać.

– To dobrze, że się przespałaś. Zjedz coś, a jutro unikaj słońca.

Kobiety udały się do swoich namiotów. Anna poszła do namiotokuchni. Lee Jang popatrzył na nią z niezadowoloną miną.

– Nie pojechała pani – pokręcił głową. – Niedobrze...

– Za bardzo boli mnie głowa.

– No... – przyjrzał się jej uważnie. – Źle pani wygląda... Trochę blada. Pani nie jadła obiadu?

– Spałam.

– Pani zje naleśnika ze śmietaną i owocami. Na udar trzeba dużo pić soku ze świeżych pomarańczy.

– Wybacz, panie Lee, ale nie mamy świeżych pomarańczy.

– Mój pan ma. Pani by pojechała i się napiła.

Kiedy Said El Dżajad przeczytał liścik od Anny, z wściekłością ciał batem sługę, raniąc jego twarz i czoło do krwi, jakby ten biedny człowiek był winien jej odmowy. Książę zmiął kartkę, zaciskając prawą dłoń w pięść. Jedna odmowa nie zniechęci go do ponownej próby spotkania się z nią. Znow będzie z nią rozmawiać, spojrzy jej w twarz, będą tak blisko, poczuje zapach jej migdałowego mydła i dezodorantu o zapachu róży. Ma dużo czasu, by ją zdobyć. Jest cierpliwy, wytrwały w postanowieniach. Postanowił obserwować amerykański obóz z wieży górującej nad pałacem przez najmocniejszą lunetę, jaką miał. Teraz zamiast tysiąca gwiazd na bezchmurnym niebie będzie oglądał jasnowłosą jutrzenkę spacerującą po ziemi. Następnego dnia tuż po śniadaniu udał się na samą górę wieży i zaczął obserwację obozu. Mężczyźni szykowali się do pracy, w namiotach pozostały kobiety. Minęło pół godziny, zanim między pojemnikiem z wodą a prymitywnym namiotem z prysznicami zauważył Annę w białym kapelusiku na głowie, ubraną w piaskowe spodnie i białą bawełnianą luźną bluzkę z krótkim rękawem. Kobieta szła z miską w stronę oazy. Jest sama, a więc nadarza się okazja, by z nią porozmawiać.

Książę wydał rozkaz osiodłania konia i po chwili szarżował w stronę jasnowłosej. Anna doszła do oazy, ze szczeliny nabrała wody do miski, wypłukała swoje trzy bawełniane koszulki, kolorową bluzkę koszulową, lecz nie wylała wody w pobliżu źródła. Zrobiła to parę kroków dalej. Kiedy ponownie nabrała wody, by wypłukać pranie, usłyszała odgłos końskich kopyt. Spojrzała w dal. Od strony wzgórz zbliżał się jeździec w czarnym stroju. Złękła się. Serce przyspieszyło swój rytm. Z miską pełną namoczonych koszulek ruszyła w stronę obozu. Jeździec zatrzymał konia. Bała się spojrzeć w jego stronę, wiedziała, że to Said El Dżajad.

– Dzień dobry – zsiadł z konia.

Odpowiedziała, lecz nadal bała się spojrzeć mu w twarz. Powoli szła dalej.

– Widzę, że pani ręka zdrowsza.

– Jest lepiej – powiedziała cicho.

– Wczoraj nie mogła pani zaszczyścić mego pałacu swoją obecnością, więc przybyłem dowiedzieć się, co było tego powodem – prowadził za sobą konia.

- Źle się poczułam... Wspomniałam o tym w liście.
- A dzisiaj jest pani zdrowsza?
- Troszkę. Za długo przebywałam na słońcu z odkrytą głową.
- Czy na pewno?

Spojrzeniem próbował dotrzeć do jej oczu, by sprawdzić, czy mówi prawdę, lecz tak bardzo kryła wzrok, że musiał wierzyć jej na słowo. Zatrzymali się przed metalowymi rurkami, do których przywiązane były sznurki do suszenia upranej odzieży.

– Proszę spytać panią doktor. Badała mnie wczoraj. Ratowała tabletkami.

– Mam nadzieję, że w niedzielę będzie się pani czuła dobrze i przybędzie do mnie na obiad...

– Kobiecie nie wypada samej przybywać do domu mężczyzny – postawiła na ziemi miskę z praniem.

– A czy u was, w Ameryce, tak właśnie nie jest?

– Może i jest, lecz nie jesteśmy w Ameryce, a gdyby nawet, to ja mimo wszystko nie przychodzę do domu mężczyzny... sama – powiesiła bluzkę na sznurku.

– Więc kogo mam zaprosić, by pani towarzyszył? Panią doktor, a może tłumaczkę?

Milczała. Nie miała ochoty wybierać się do niego na żadne obiady, kolacje czy Bóg wie, na co jeszcze. Najlepiej by było, gdyby zostawił ją w spokoju.

Wyjęła z miski następną bawełnianą koszulkę, lekko ją wykręcając.

– A może zaproszę obie panie?

– Mogę iść z moim chłopakiem. Jak ostatnio.

– On z panią nie przyjdzie.

– Doprawdy? – unikała jego spojrzenia.

– On mnie nie lubi. Skąd wiem? – uśmiechnął się. – Jest o panią zazdrosny.

– Więc już pan wie, że jestem zajęta – spojrzała mu w twarz. – Nie mogę być pana gościem.

Sięgnęła po kolejną wypraną bluzeczkę.

– Może pani być moim gościem o każdej porze. W dzień i w nocy.

– Chyba wziął mnie pan za kogoś innego – roześmiała się. – Nie chadzam po nocach do mężczyzn. To nie mój zawód.

– Przepraszam, źle to ująłem. Chciałem, by była pani częstym gościem w moim pałacu. Niewygody tego obozu muszą być dla pani męczące.

– Nie jest źle. Jeszcze trzy miesiące i wracamy do kraju.

– Trzy miesiące? – zastanowił się. – Więc zrobmy tak. Zaproszę panią doktor i tłumaczkę. Będzie się pani czuła bezpieczna wśród znajomych kobiet.

– Przykro mi, lecz Bette nie może teraz opuszczać obozu i jeździć trzęsącą się bryczką.

– Z powodu?

– Jest mężatką. Zresztą mąż pewnie chciałby jej towarzyszyć. Ostatnio nie mógł tego zrobić – powiesiła na sznurku ostatnią koszulkę.

– Więc będę gościł panią i panią doktor. Jeszcze dzisiaj przyślę gońca z dwoma zaproszeniami.

– A tak szczerze – spojrzała w jego stronę. – Dlaczego tak bardzo zależy panu na tym, bym była jego gościem?

– Jest jeden ważny powód.

Stał krok przed Anną. Jego twarz spoważniała. Chwycił prawą dłoń dziewczyny i przytknął ją do swej piersi. Anna wzdygnęła się. Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji księcia. Chciała zabrać rękę, lecz on mocno ją trzymał. Spojrzeli sobie w oczy.

– Czujesz, jak moje serce raduje się, widząc ciebie?

Nie tylko czuła przyśpieszony rytm jego serca, lecz również ciepło jego ciała przenikające przez czarną koszulkę. Można powiedzieć, że był rozpalony do czterdziestu stopni w cieniu.

– Nie wiem, dlaczego się mnie boisz, ale to ja jestem ci przeznaczony, nie Steve.

Puścił jej dłoń. Odeszła na bok, dwa kroki od niego.

– Skąd pewność, że to pan jest mi przeznaczony? – spytała z niepewnością w głosie.

– Jeśli chcesz poznać swoją przyszłość, przybądź w niedzielę do mojego pałacu. Mój astrolog nigdy się nie pomylił, przepowiadając komuś przyszłość.

– A jeśli nie będę mogła przybyć? – wylała z miski resztkę wody.

- Nie przyjmuję odmowy.
- Czy nigdy nie rezygnuje pan z postanowień?
- Nigdy. Mam dużo czasu i jestem wytrwały w moim postanowieniu.

Dobiegł do nich odgłos samochodu zbliżającego się do obozu. Oboje spojrzeli w stronę drogi.

– Ma pani gości z telewizji. Nie będę zajmował cennego czasu – ujął cugle w lewą dłoń. – Czekam w niedzielę.

Zrobił pożegnalny gest ręką. Dosiadł konia i pognął w stronę swojej posiadłości. Anna była oszołomiona tym, co przed chwilą zaszło. Wciąż czuła na dłoni ciepło ciała księcia, czuła jego zapach, a słowa „jesteś mi przeznaczona” brzmiały jej w głowie. Jak uwolnić się od tego natręta? Gdzie się ukryć, by jej nie nachodził? Co ma robić? Kogo poprosić o radę?

Nagle usłyszała swoje imię. Spojrzała w stronę namiotów. To wołała ją Bette. Obok niej stało trzech mężczyzn z telewizji w Aleppo. Anna podeszła do nich z pustą miską w prawej dłoni. Okazało się, że film, który wczoraj nakręcili, nie udał się i muszą powtórzyć zdjęcia. Nie była zachwycona, że po raz kolejny będzie musiała mówić o traumatycznej przygodzie zapadnięcia się pod piasek. Reporter zadawał pytania, ekipa odpowiadała na te same pytania, które zadawano poprzedniego dnia. Anna, pamiętając złe doświadczenie ze słońcem, tym razem ukryła się cieniu. Usiadła na kamiennym murku, przypominając sobie dzisiejsze spotkanie z księciem i staruszkę, która przepowiedziała jej przyszłość. Nie podobało jej się to wszystko. Co ma robić? Poprosić Steve'a o pomoc? Podzielić się z nim swoim problemem? Zachować sekret? Zaczęła żałować, że tu przyjechała, że zgodziła się zostać kucharzem amerykańskiej ekipy badawczej. Chciała zmian w swoim nudnym życiu, no to je ma. Mogła spokojnie siedzieć w domu wypoczynkowym, gotować dla turystów i znosić upokorzenia stryja kierowane pod jej adresem. Które zło jest lepsze? Nie rozumie tylko jednego. Skoro, zanim tu przyjechała, nikt z bliskich nie ostrzegł jej w snach, że może ją spotkać coś złego, to dlaczego tu ma prorocze sny?

- Dobrze się czujesz? – spytał Steve.
- Co? – spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

– Jak twoja głowa?
– Jeszcze mnie boli.
– To czemu tu przyszłaś, zamiast odpoczywać?
– Bo oni chcieli powtórzyć wywiad – wskazała na reportera. – W obozie jest tak samo gorąco, jak tutaj. Za to jest jeden plus: jestem blisko ciebie.
– Tęsknisz za mną – usiadł obok niej i objął ją ramieniem.
– Czasami – cmoknęła go w policzek. – Do twarzy ci z tą opalenizną. Wyglądacie jak Arabowie.
– Tylko nie Arabowie – spojrzał jej głęboko w oczy. – Znam o jednego za dużo.
Zbliżył usta do jej ust.
– Ja bym nie radził tego robić – powstrzymał ich Bateman.
– Dlaczego? – Steve spojrzał w jego stronę.
– Jak chcecie się całować, to w namiocie. Inaczej muzułmanie zrobią Annie krzywdę.
– Zapomniałem – zabrał rękę. – Tutaj kamieniuje się rozwiązłe kobiety.
– Ja nie jestem rozwiązła.
– Dla nich niewiasta całująca się publicznie z mężczyzną to bezbożnica. Takie kobiety się kamieniuje.
– Zacořany kraj.
Będzie musiała wystrzegać się publicznego okazywania uczuć. Ceni sobie życie i nie ma ochoty zostać ukamienowaną przez obcych ludzi.
Nakręćanie filmu potrwało dłużej, niż przypuszczali. Spóźnili się na obiad o całą godzinę. Filmowcy zostali na posiłku. Lee Jang był niezadowolony. Musiał odgrzewać zupę pomidorową z ryżem oraz klopsy w sosie cebulowym przyprawione kwaśną śmietaną. Kasza wciąż była ciepła.
– Już drugi raz się spóźniacie – postawił na stole wazę. – To ja się męczę w tym upale, a oni nic sobie z tego nie robią.
– Za trzy dni będziesz gotować swojemu panu – oznajmiła.
– Trzy dni? – spojrzał na nią. – Jak jeszcze raz się spóźnicie, to odjeżdżam. Nawet jutro.
– Nie złość się – poprosił profesor Bateman. – Co będzie na drugie?

– Klops w sosie cebulowym z kaszą. Kaszy wam nie odgrzeję. Wystarczy, jak poleję ją gorącym sosem. Wymieszacie se.

– To nawet dobrze – zawołał głośno Garry. – W taki upał lepsze są chłodne dania.

Kucharz zniknął w namiocie-kuchni.

– Wspomniałaś, że za trzy dni Lee już nie będzie dla nas gotować... – zaciekawił się Tom. – Dlaczego?

– Czyżby twoja ręka była już zdrowa? – przypuszczał Garry.

– Tak jakby – skłamała.

– Co to znaczy? – zaciekawił się Dan. – Masz jakąś tajemnicę?

– Tak. Nudzi mi się. Najwyższa pora zająć się konkretną pracą.

– Na pewno dasz radę? – Tom nie wierzył.

– Skoro mogę wykręcać pranie, to i dam radę gotować.

– Jak chcesz – przytaknął Garry. – Ja bym tam korzystał z okazji i dalej leniuchował.

– Ileż można leniuchować?

Po obiedzie Anna poszła zebrać pranie. Słońce spowodowało, że kolorowa bluzka straciła wyraziste kolory. Bette podeszła do dziewczyny i dyskretnie wręczyła jej białą kopertę.

– Twój księżę przesłał ci ją przez gońca.

– Nie jest moim księciem, a my nie występujemy w bajce – obruszyła się.

– Pani doktor też otrzymała zaproszenie.

– Tak. I kto jeszcze?

– Nikt. Tylko ty i pani doktor. Czy tym razem pójdziesz?

– Chyba nie.

– Mary powiedziała, że z rozkoszą wybierze się do pałacu.

– Rozmawiałaś z nią?

– Tak. Powiedziała, że brakuje jej życia towarzyskiego. Zastanawia się, dlaczego tu przyjechała, bo strasznie się nudzi. Przyda się jej trochę rozrywki.

– Pasuje do księcia, on też się nudzi – zdjęła ostatnią koszulkę ze sznurka.

– Powiesz Steve'owi o zaproszeniu?

– Nie wiem. Jeśli mu powiem, będzie wściekły – zastanowiła się.

– W sumie... Skoro nie idę, nie muszę mu mówić o zaproszeniu. Nie będzie zazdrosny.

– Jest zazdrosny, bo cię kocha.
– Wiesz... Ja chyba też go Kocham – wyznała.
– Chyba?
– Zastanawiam się, czy kiedy wrócimy do kraju, pan profesor nadal będzie mnie kochał. A może wpadnie w wir pracy i będzie miał dla mnie coraz mniej czasu, aż w końcu zapomni o mnie.
– Wróżba mówi coś innego – przypomniała Bette.
– Nawet mi tego nie przypominaj – weszły do namiotu. – Kiedy przypomnę sobie słowa tej wiedźmy, ogarnia mnie strach – położyła koszulki na stoliku. – Nawet boję się pójść na ten proszony obiad.
– Obiad? – zdziwiła się Bette. – Pani doktor powiedziała, że to kolacja – usiadła na składanym krzeselku. – Znów miałaś proroczy sen?
– Nie. Miał być obiad – sięgnęła po kopertę z zaproszeniem.
Do namiotu weszła pani doktor. Jej twarz promieniała ze szczęścia.
– Jak tam twoje zaproszenie? – spytała prosto od progu. – Jedziesz?
– A pani?
– Z chęcią. Brakuje mi spotkań towarzyskich. Tym bardziej że w Stanach nie znałam tak bogatego faceta, a już na pewno nie księcia – usiadła na łóżku.
– Ja chyba nie pojedę. Nie chcę, by Steve się dowiedział.
– On już wie. Powiedziałam mu, że będziesz mi towarzyszyć i nie zamierzam spuszczać cię z oczu.
– Tylko czekam, aż przyjdzie się ze mną kłócić – otworzyła kopertę i zajrzała do środka.
– Jeszcze nie czytałaś? – zdziwiła się Mary. – O piątej po południu przyśle po nas bryczkę.
„To drań. Mówił, że zaprasza mnie na obiad” – odłożyła kopertę na stolik. „Czyżby liczył na to, że zostanę u niego na noc? Jego niedoczekanie. Jak pani doktor jest taka napalona, to niech sama uda się do pałacu księcia. Skoro potrzebuje towarzystwa, wcale nie jestem jej potrzebna. Mam swojego Steve’a. Zostanę z nim”.

Anna z niecierpliwością czekała na kolację. Zastanawiała się, czy Steve spyta ją o zaproszenie, czy będzie czekać, aż sama mu o wszystkim powie. Nie spytał. W milczeniu spożywał posiłek, nawet

nie patrząc w jej stronę. Oboje czekali, aż ekipa uda się na spoczynek. Anna usiadła przy stole naprzeciw Steve'a.

– Znów dostałam zaproszenie na kolację – przyznała się. – Co mam robić?

– Nie mogę zmuszać cię, byś nie poszła na tę kolację. Nie mam prawa ci tego zakazać – mówił spokojnie. – To twoje życie... Decyzja należy do ciebie.

– Mam zamiar... nie iść.

– To twoja sprawa – mówił z obojętnością w głosie.

– Nie będziesz się gniewał, jeśli zmienię zdanie?

– Czas pokaże, kto jest tobie przeznaczony: ja czy ten Arab.

Nie otrzymała oczekiwanej odpowiedzi. Pomocy. Po tej chłodniej rozmowie czuła, że traci Steve'a. Ma dwa dni na podjęcie właściwej decyzji. Jeśli pójdzie na kolację do pałacu, straci Steve'a. Jeżeli nie odwiedzi księcia, będzie ją nachodził w nieskończoność, aż kontrakt dobiegnie końca. Tyle pytań i żadnej porady.

Umyła się przed snem. Siadając na łóżku, ubrana w piżamę, wzięła do rąk kopertę. Nawet nie przeczytała treści zaproszenia. Kiedy wyjmowała liścik z koperty, na jej kolana upadł płatek czerwonej róży. Uśmiechnęła się, kręcąc głową. Spojrzała na treść zaproszenia.

Przepraszam, ale moje plany zaproszenia pani na obiad uległy zmianie. Zatem zjemy razem kolację. Przyślę pojazd o piątej po południu. Tym razem nie przyjmę odmowy.

Pod spodem jego podpis.

– Drań – powiedziała cicho. – Nie przyjmie odmowy. Właśnie, że ci odmawiam – wrzuciła kopertę z zaproszeniem pod łóżko.

Długo nie mogła zasnąć.

Nadeszło niedzielne popołudnie, a ona nadal była ubrana w białe rybaczki i bladoniebieską, wyblakłą od słońca, szeroką bawełnianą koszulkę z rękawem do łokcia. Na stopach miała klapki. Punktualnie o piątej po południu pojawiła się dwuosobowa bryczka zaprzężona w białego konia. Pani doktor ubrana w sięgającą do kolan różową sukienkę z krótkim rękawem, z cienkim szalem na głowie podeszła do pojazdu, a Anny wciąż nie było. Dziewczyna wyszła z namiotu, trzymając w prawej ręce ledwo co wyprany biały kapelusz.

– Jeszcze nie gotowa? – zdziwiła się pani doktor.

– Nie jadę – odpowiedziała. – Tracę Steve’a.
– Nie masz się czego bać, jedziesz ze mną.
– To nie o to chodzi – powiesiła mokry kapelusz na sznurku od namiotu, przyczepiając go spinaczem do bielizny.

– Jestem jak przyzwoitka.
– Niech pani jedzie sama...

Spojrzała w stronę siedzącego na koźle służącego księcia. Jej wzrok zatrzymał się na jego twarzy. Wyglądał jakoś inaczej. Podeszła bliżej. Na jego prawym policzku zobaczyła gojącą się grubą krwawą pręgę. Zaczynała się na brodzie, a kończyła na czole tuż przy skroni. Trzy dni temu miał gładką twarz. Pani doktor wzruszyła ramionami, nie rozumiała zachowania dziewczyny. Pół obozu stawiało zakłady, czy Anna pojedzie, czy zostanie.

– Co się panu stało? – spytała zapominając, że nie zna angielskiego.

– Co ty wyprawiasz? – nie rozumiała Mary.
– Trzy dni temu nie miał śladu na twarzy.
– Zastanawiasz się, czy jechać? – dołączyła do nich Bette.
– Nie. Spytaj, co mu się stało w twarz.

Bette zadała pytanie, lecz on nie chciał zdradzić pochodzenia tajemniczych ran na twarzy.

– Powiedz mu, że jedzie z jedną panią. Ja zostaję.

Kiedy Bette przetłumaczyła jej słowa, służący wniósł ręce ku górze, skłonił się jak do modlitwy i zaczął lamentować.

– Powiedział, że jak nie przyjedzie z jasnowłosą, to znów dostanie od pana batem.

– A to drań – krew w niej zawrzała. – Jak można zrobić coś tak podłego? Już jasnowłosa powie mu, co o tym myśli. Nikt nie będzie za mnie cierpieł.

Cała w nerwach wsiadła do bryczki. Niektórzy stracili parę dolarów, a mogli się nie zakładać. Steve westchnął. Wygrał zakład.

– Jedziesz w takim stroju? – Mary była niezadowolona. – Nie przebierzesz się?

– Nie będę się stroić dla kogoś, kto nie szanuje swoich sług! – powiedziała to tak głośno, że wszyscy ją usłyszeli.

– Ale te spodnie, wyblakła koszulka...

– Nie jadę na randkę! – Anna była zdenerwowana.

– Brawo. Tak trzymaj – Steve wystawił kciuk.

Dopiero teraz zauważyła, że są obserwowane przez połowę obozowiczów. Uśmiechnęła się. Reakcja Steve’a dodała jej otuchy. Pani doktor wzruszyła ramionami, wsiadła do bryczki i zajęła miejsce obok Anny.

– Nie wiem, jak goście księcia zareagują na twój widok. Na przyjęciu urodzinowym ubrana jak dama, a teraz... – próbowała dobrać odpowiednie słowa.

– Jak biedaczka – wtrąciła. – Do pani wiadomości: nie chcę, by ten człowiek zapraszał mnie do siebie. Nie mam ochoty go widzieć.

– A co on ci przeszkadza?

– Jest natrętny. Spodobał mi się Steve i chcę z nim być, kiedy wrócimy do kraju.

– Będiesz, będziesz – zapewniała. – Księżę lubi damskie towarzystwo. Ot co.

Czy nie zna zwyczajów tego kraju? Czy o tym wszystkim wie tylko pani doktor, wykształcona idiotka? Skoro księżę tak bardzo jej się podoba, to niech mu nadskakuje, a potem ulegnie. Miała już męża, więc czymże jest dla niej kolejny związek?

Said El Dżajad przywitał swoich gości z uśmiechem na twarzy. Nie był ubrany w tradycyjny arabski stój. Niebieska koszula z krótkim rękawem luźno spływała po czarnych spodniach do kostek. Na stopach miał czarne skórzane plecione półbuty.

*

– Cieszę się, że znalazły panie chwilkę czasu, by przybyć do mojego pałacu na wieczerzę.

– A czy będzie dużo gości? – spytała pani doktor.

– Tylko cztery osoby.

– To dobrze – dodała cicho Mary.

– O co chodzi? – Said nie do końca zrozumiał jej wypowiedź. – Czemu pani pyta?

– Chodzi o mój strój – Anna uprzedziła jej słowa. – Nie przyjechałam tu, by się bawić. Mam inną sprawę.

– Tak się cieszę, że do nas przyjechałaś – pojawiła się matka księcia. Była ubrana w elegancką długą granatową suknię. – Będę

miała z kim porozmawiać – wzięła ją pod rękę. – Tak bardzo brakuje mi córki. Usiądźmy – księżna wskazała miejsce na kanapie.

Mary była zaskoczona reakcją starszej pani, jej ciepłym przywitaniem Anny i rozmową w języku francuskim. „Jak one się dogadają?” – nie rozumiała. „Przecież ta kucharka nie zna języka francuskiego. Ale będzie ubaw. Said będzie wszystko tłumaczył jak na przyjęciu”.

Gospodarz domu podprowadził Mary pod fotel stojący za stolikiem naprzeciwko kanapy, a sam stanął obok. Ubawu nie było, lekarke spotkało wielkie zaskoczenie. Anna mówiła po francusku. „Jak to możliwe? Kiedy ona się go nauczyła?”. El Dżajad nie musiał niczego tłumaczyć, mimo to ciągle był przy swojej matce i Annie. Pani doktor próbowała go zagadywać, lecz rozmowa się nie kleiła. Mężczyzna odpowiadał na pytania pani doktor, lecz patrzył na jasnowłosą. Wcale nie przeszkadzało mu, że Anna była ubrana po sportowemu ani że nie miała związanych, ukrytych pod szalem włosów. Dla niego liczyła się sama jej obecność.

Pojawił się służyący i poprosił wszystkich do sali jadalnej, gdzie czekał na nich przygotowany stół, a przy nim cztery krzesła. Na białym atlasowym obrusie porcelanowa zastawa stołowa, patera z owocami: mandarynkami, pomarańczami oraz białymi winogronami. Starsza pani i jej syn zasiedli na końcach stołu, kobiety po bokach. Anna po prawej stronie, pani doktor naprzeciw niej. Służyący przyniósł wazę z zupą i rozlał ją do głębokich talerzy. Wszyscy zaczęli jeść. Była to zupa krem z warzyw, taka sama jak na przyjęciu urodzinowym księżnej. Panowała taka cisza i skupienie, że słychać było latające w pomieszczeniu trzmiele, które dostały się do pomieszczenia przez otwarte drzwi balkonowe. Podano drugie danie – roladę baranią nadziewaną gotowanym jajkiem, ryż w lekko pikantnym sosie o smaku musztardowym, a do tego gotowane warzywa: marchew, brokuły i szparagi. Said wyczuł chłód w zachowaniu Anny.

– Chciała mi pani coś powiedzieć na samym początku wizyty – zaczęła rozmowę. – Co to za pytanie?

– To nie pytanie – rzuciła krótkie spojrzenie w stronę Mary, a ta dyskretnie zaprzeczyła głową.

– Tak, słucham – wpatrywał się w nią szaroniebieskimi oczami.

Przez otwarte drzwi balkonu wbiegł podpalany owczarek niemiecki. Merdając ogonem, podbiegł do swego pana. Said krzyknął na psa i palcem wskazał mu drzwi. Pies podkuł ogon i wyszedł za drzwi, by po chwili wrócić i stanąć pół kroku za nimi.

– Przepraszam za Abu – usprawiedliwił się. – Musiał uwolnić się z klatki. Razem chodzimy na patrole.

Mary wyciągnęła przed siebie prawą rękę i zawołała psa. Owczarek postawił uszy i zawarczał.

– A wydawał się taki miły – złękła się.

Said ponownie kazał psu wyjść. Abu obrócił się, stanął w drzwiach, smutnymi dużymi ślepiami spojrzał na swojego pana i opuścił salon.

– Czy to pan go tresował? – zaciekawiała się pani doktor.

– Tak, ale dzisiaj najwyraźniej mnie nie słucha.

Pies, czołgając się, powrócił do salonu. Zbliżał się od strony Anny, co rozbawiło dziewczynę. Wzięła z talerza ostatni kawałek baraniny i podała psu. Abu wyprostował się.

– Może jesteś głodny? – zwróciła się do psa po francusku. – To ode mnie. Jedz, na zdrowie.

Pies obwąchał dłoń nieznajomej i spojrzał na nią. Wszyscy zamarli w bezruchu. Nawet Said zaniemówił. Już widział, jak Abu łapie kobietę za rękę i mocno ją rani. Tak się jednak nie stało. Pies delikatnie zdjął mięso z otwartej dłoni Anny, nie robiąc jej krzywdy.

– Mam nadzieję, że twój pan – spojrzała Saidowi w oczy – nie dzieli cię batem, jak swojego niewinnego sługę za nieposłuszeństwo. A podobno ten, kto kocha zwierzęta, lubi i ludzi – wytarła palce w serwetkę.

– Teraz rozumiem pani chłód – pokiwał głową, wpatrując się w jej twarz. – Nie dzielę go batem. Abu dowiódł, że jest pani dobrą kobietą.

– Doprawdy? – odpowiedziała chłodnym głosem. – A tamten sługa, którego dzielił pan batem, jest złym człowiekiem?

– Poskarżył się?

– Nie musiał – Anna zaprzeczyła. – Jego twarz mówi sama za siebie.

W powietrzu wyczuwało się napięcie. Do rozmowy wtrąciła się pani doktor:

– A czy ja nie jestem dobrym człowiekiem, bo pies na mnie nawarczał?

– Abu nie lubi obcych – powiedział.

– Bałam się, że cię ugryzie – księżna odzyskała mowę. – Należysz do rodziny.

– Nie rozumiem – odpowiedziała po francusku.

– Abu obdarzył cię zaufaniem i od pierwszej chwili polubił – wskazała na podłogę.

Anna podążyła wzrokiem za jej ręką. Pies leżał obok jej krzesła, tak jakby od dawna należała do rodziny. Było mu gorąco, jego język raz wychylał się z pyska, raz chował.

– Mój syn też cię polubił – szepnęła.

– Powiedział to pani?

– Tak – uśmiechnęła się tajemniczo. – Zaraz po przyjęciu zwierzył mi się, że bardzo mu się podobasz.

– A pani nie przeszkadza, że spodobała mu się Amerykanka?

– O nie. W tej rodzinie od dawna krew jest wymieszana. Ja jestem Hinduską, babka Saida była Angielką, a jego stryj ożenił się z Greczynką. Moja córka wyszła za Anglika.

– To dla was żaden... jak się to mówi po francusku? Zapomniałam... Kłopot, przeszkoda?

– Afront – odpowiedział Said.

– No właśnie...

Spojrzała w jego stronę. Rozmawia z panią doktor, a jednocześnie słucha, o czym obie rozmawiają. Jak on to robi? Podzielność uwagi?

– Jestem tolerancyjna. Said stracił dwie żony. Gdybym protestowała, straciłabym i jego – spojrzała w stronę syna. – Nie słuchaj nas, zabawiaj drugą panią. Nudzi się.

– Mnie też ona nudzi – powiedział po francusku, by Anna go zrozumiała.

Pojawił się służący, niosąc kolejne danie – omlet z dodatkiem pomidorów i cienko pokrojonej gotowanej jagnięciny. Anna musiała przyznać, że to dość ciekawy zestaw. Przyniesiono filiżanki z zieloną herbatą, by wspomóc organizm w trawieniu ciężkich potraw.

– Tu przydałoby się białe półwytrawne wino – zasugerowała pani doktor.

– Nie przewidziałem podawania wina podczas dzisiejszej wieszery, ale skoro pani ma na nie ochotę, wydam polecenie, by przyniesiono jedną butelkę z mojej piwnicy.

– Proszę nie robić sobie kłopotu.

– To żaden kłopot.

– Zielona herbata też ułatwia trawienie tłustych potraw. Jest zdrowsza od wina – przypomniała Anna.

– O tak – Mary poprawiła się. – Ja jednak wolę wino.

Do salonu wbiegł zdyszany kucharz. Mówił w pośpiechu. Said musiał go uspokoić, by zrozumieć, o co mu chodzi. Po wysłuchaniu swego sługi wstał od stołu.

– Pomocnik kucharza poparzył się wrzątkiem. Czy mogłaby pani mu pomóc? – zwrócił się do pani doktor.

– Ależ oczywiście – wstała od stołu. – Tylko nie wiem, czy dam sobie radę bez mojej torby lekarskiej.

– W kuchni jest apteczka. Chodźmy zobaczyć, co się stało.

Pies podniósł się z podłogi. Said wydał mu rozkaz pozostania na miejscu. Księżna roześmiała się. Pies zawrócił, usiadł na zadzie tuż przy krześle, na którym siedziała Anna, i spojrzał w górę.

– Mój syn nazwał swego pupila zdrajcą. Kazał cię pilnować.

– A gdybym chciała odejść?

– Nie wypuści cię.

– Czy nie ugryzie mnie, jak będę chciała go pogłaskać?

– Nie wiem. Ja bym nie ryzykowała.

A jednak nieodparta chęć pogłaskania zwierzęcia przeczyła zdrowemu rozsądkowi. Jako dziecko Anna miała małego pieska, którego bardzo kochała. Gdy była smutna, przybiegał do niej, wskakiwał na łóżko i zły nastrój mijał. Zaryzykuje i pogłaszcze tego psa. Jeśli zawarczy, w porę zabierze palce. Powoli, bez gwałtownych ruchów obniżyła lewą rękę w stronę psa. Abu obwąchał jej dłoń. Delikatnie musnęła go po karku. Pies spojrzał na nią i pozwolił się głaskać.

– To niesamowite – księżna nie wierzyła własnym oczom. – Ostatnią narzeczoną Saida ugryzł dotkliwie w rękę.

– Ja nie jestem jego narzeczoną. Toleruje mnie, bo nie czuje zagrożenia.

– Nie. To coś innego.

W salonie pojawił się Said. Anna odsunęła rękę od psa. Matka w języku arabskim powiedziała synowi, że Abu dał się pogłaskać jasnowłosej.

– To już drugi znak – powiedział po angielsku, patrząc na dziewczynę.

– A był pierwszy? – zaciekała się.

– Tak – usiadł przy stole. – Było to pewnej nocy.

– Nocy? – zastanowiła się. – Pamiętam. Jakiś mężczyzna zakradł się do mojego namiotu jak złodziej.

– Jakie mocne słowo – przecząco pokręcił głową.

– A jak można nazwać człowieka, który jednej nocy zakrada się do namiotu pani doktor, a drugiej nocy do mojego? I gdzie ten pierwszy znak? – patrzyła mu w oczy.

– Nie krzyknęła pani na mój widok... – nie spuszczał z niej wzroku. – W przeciwieństwie do pani doktor.

– A gdybym się przestraszyła i krzyczała?

– Nie byłabyś mi przeznaczona.

– To szkoda, że nie krzyczałam – spuściła wzrok.

– Za późno.

Do rozmowy wtrąciła się księżna. Tym razem rozmawiała z synem w ich języku. Chwilę potem uniosła się z krzesła. Anna też wstała.

– Zostań – poprosiła. – Pójdę zobaczyć, co z naszym kucharzem, a ty porozmawiaj z moim synem.

„Wcale nie chcę z nim rozmawiać. Wolę nie zostawać z nim sama. Gdzie pani doktor?” – Anna wpadła w panikę. „Dlaczego to tak długo trwa?”. Miała ochotę wybiec z salonu i ruszyć w stronę obozu. Szkoda, że nie poprosiły o wino, teraz wypiłaby jeden kieliszek, by dodać sobie odwagi.

– Zapraszam panią do ogrodu – usłyszała za plecami głos Saida. Wzdrygnęła się. Nawet nie zauważyła, jak stanął obok niej.

– Nie zaczekamy na panią doktor?

– To trochę potrwa.

Czekał aż wstanie, by odsunąć krzesło.

– A jeśli zobaczy, że mnie tu nie ma? – broniła się przed udaniem się do ogrodu.

– Wie, że będziemy w ogrodzie.

Wstała niechętnie. Odsunął krzesło, by mogła swobodnie odejść od stołu.

– Czy Abu pójdzie z nami?

– Dla pani wszystko.

Zawołał psa. Schodami zeszli do ogrodu. Bała się go. Próbowwała zachować zimną krew.

– Czy kucharz bardzo się poparzył? – zagadnęła.

– Potrącił rondel z wrzątkiem i woda wylała się na jego rękę – wskazał swoją dłoń.

– To okropne. Znam ten ból.

– Czy często... – szukał słów – zdarzają się pani oparzenia podczas pracy?

– Na szczęście nie, ale skaleczenia owszem.

Said zerwał pęd czerwonego storczyka, pełnego rozkwitniętych kwiatów, i podał Annie, mówiąc:

– To dla pani za to, że przybyła do mojego pałacu, choć nie chciała tego uczynić.

– To prawda – wzięła od niego kwiat. – Nie chciałam tu przyjechać.

– Dlaczego? – dociekał.

– Jest powód, o którym nie mogę powiedzieć.

– Czy ten powód ma na imię Steve? On pani zakazał?

– Jestem dorosła i to ja decyduję o swoim życiu, nie Steve.

Zatrzymała się przed krzewem dwóch gatunków pnących róż posadzonych obok siebie: białej i czerwonej. Ich pędy były splątane, tworząc ciekawą kompozycję. Pąki kwiatów były słabo rozwinięte, mimo to Anna wyczuła ich słodki zapach.

– One pachną tak samo jak pani kosmetyki – przyznał. – Zapach róż pasuje do pani.

– A zapach goździków pasuje do mężczyzny?

– Jeśli się go lubi, to tak.

– Czy w pobliżu jest most zawieszony między dwiema górami? – zmieniła temat.

– Tak – zastanowił się. – Jest taki most.

– Czy to daleko stąd? – znów ruszyła przed siebie.

– Znajduje się osiem mil stąd. Niewiele osób o nim wie. Kto powiedział pani o moście?

- Nikt – patrzyła w dal.
- Więc ten most był w pani śnie.

Milczała. Nie może mu zdradzać wszystkich sekretów. Niecierpliwie przekładała łydżkę storczyka między palcami prawej ręki. Zastanawiała się, czy jednak nie zdradzić treści snu. Chciała sprawdzić, czy to most ze snu.

– A może chce pani go zobaczyć? – zapytał, zanim zdążyła się odezwać. – Sprawdzi pani, czy to most ze snu...

Milczała. Wyprzedził ją o krok.

– Więc jak będzie? – spojrzał na nią.

– Chciałabym zobaczyć most, ale nie możemy pozwolić, by pani doktor została tu sama. Ona też została zaproszona na kolację.

– Pani doktor została zaproszona tylko dlatego, że nie wypadało, byś przybyła sama do mężczyzny.

– I tak jesteśmy sami... – powiedziała nieśmiało. – Tak jak pan pragnął.

– Jedno twoje słowo, a do końca życia będziemy tylko we dwoje.

– Proszę ze mnie nie żartować – odparła z kpiną w głosie.

– Mówię poważnie – zastąpił jej drogę. – Jedno twoje słowo...

– Drogi książę – spojrzała mu w twarz. – Żyjemy w dwudziestym wieku... Znamy się zbyt krótko... – spojrzała w bok. – Zresztą to nie jest bajka ani film, w którym romans z bogatym księciem kończy się ślubem, a na końcu widnieje napis: „żyli długo i szczęśliwie”.

Chciała go ominąć, lecz Abu stanął jej na drodze i wpatrywał się w nią swymi dużymi czarnymi ślepiami, jakby na coś czekał. Zawróciła.

– A czy życia nie można zamienić w bajkę? – książę obstawał przy swoim.

– Zbyt twardo stoję na ziemi, by uwierzyć w pana szczere zamiary.

Abu znów stanął jej na drodze. Zatrzymała się i zrobiła krok w bok. Tym razem Said zaszedł jej drogę. Poczowała się, jakby była w potrzasku.

– To uwierz mi – ujął jej lewą dłoń. – Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Odruchowo chciała ją zabrać, lecz poczuła lekki ból w nadgarstku. Jej ręka nie była jeszcze zdrowa. Przewyciężyła ból,

nie dając nic po sobie poznać. Uniósł jej dłoń do swoich ust i ucałował koniuszki palców wyłaniających się spod bandaża. Delikatny dreszcz przeszył jej ciało. Ich spojrzenia spotkały się. Oczy księcia były przepelnione szczęściem. Błyszczały jak dwie gwiazdy na bezchmurnym niebie.

– Ty znasz swoje przeznaczenie – powiedział łagodnie.

– Nikt nie zna swojego przeznaczenia – spuściła wzrok.

– Ty je znasz. Twoje oczy mi to powiedziały.

Kolejna próba wyszarpięcia dłoni z jego ręki przyniosła efekt. Anna odsunęła się o krok. „Jak on to robi, że patrząc komuś w oczy, czyta jego myśli?” – zastanowiła się. „A może jej oczy naprawdę zdradzają tajemnicę, że ten mężczyzna mi się podoba?”. Chciała odejść, lecz nie mogła wydostać się z potrzasku. Z boku stał Said, przed nią pies, a za plecami rosły kłujące krzaki róż.

– Miałaś proroczy sen. Czy ktoś wywróżył ci przyszłość? – dociekał Said.

– Czy to ważne? – spojrzała w dal.

– Dlaczego bronisz się przed tym, co przeznaczone jest ci przez Boga?

– Nie sędzę, by tak chciał.

– To Bóg decyduje o naszym życiu.

– Tak? – krótkie spojrzenie w jego stronę. – To dlaczego nie zwróci mi rodziców i brata, choć wielokrotnie go o to prosiłam?

Abu zawarczał. Sierść na jego karku zjeżyła się. Said uspokoił psa.

– A, tu jesteście! – zawołała pani doktor. – Można zgubić się w tych alejkach – zatrzymała się. – Gdybym nie usłyszała, jak rozmawiacie, długo bym was szukała.

Anna odetchnęła z ulgą. Jak dobrze, że pani doktor nadeszła. Wreszcie uwolni się od księcia i obie będą mogły powrócić do obozu.

– Jak tam chory? – zaciekawiała się.

– Ma poparzenie drugiego stopnia. Przyłożyłam do rany lód, kazałam zrobić kompres z tartymi ziemniakami. To domowy sposób mojej babci. Przydałaby się pianka na oparzenia. W obozie mam tylko preparat na oparzenia słoneczne. Jest słabszy, ale mogłabym po niego pojechać.

- Jadę z panią – powiedziała pośpiesznie Anna.
- Czyżby moje towarzystwo panią znudziło? – Said zwrócił się do niej.
- Jestem trochę zmęczona. To przez te upały – kłamała. – Nie sądziłam, że w pana kraju jest tak gorąco.
- Ruszyli alejką prowadzącą w stronę pałacu.
- Rozumiem – nie wierzył jej. – Przywiezie pani piankę jutro.
- To dobry pomysł – przytaknęła. – Zbadam chorego, obejrzę ranę.
- To o której mam przysłać powóz po panie?
- Na mnie proszę nie liczyć – wymówiła się Anna.
- Dlaczego? – spojrzał w jej twarz.
- Wracam do gotowania. Moja ręka jest na tyle sprawna, że dam sobie radę...
- Nie sądzę – zaprzeczył ściszym głosem.
- Pomocnik kucharza jest chory, Lee Jang będzie musiał go zastąpić – obstawała przy swoim.
- Czy Lee źle gotuje? – zaciekawił się Said.
- O nie – zaprzeczyła Mary. – To wspaniały kucharz. Niektóre potrawy tak bardzo mi smakowały, że robiłam sobie dokładkę. Inni też prosili o repetę.
- Czy pani Anna źle gotuje?
- O nie, Anna również jest dobrym kucharzem. Najlepiej smakuje mi chleb, który sama piecze.
- A więc wracam do gotowania – potwierdziła Anna.
- Czy nie chce pani zobaczyć mostu? – przypomniał.
- Jakiego mostu? – zaciekawiła się pani doktor.
- Zawieszono go między górami – oznajmił Said.
- To interesujące, ja też chciałabym go zobaczyć. Czy to daleko?
- Osiem mil stąd. Część drogi można pokonać samochodem, resztę trzeba przejść pieszo.
- Pieszko? – Mary spojrzała na swoje stopy. – To nic z tego. W tych szpilekach daleko nie zajdę. Szkoda.
- Możemy przełożyć tę wycieczkę na jutro – zaproponował Said.
- Pojedziemy tam o czwartej po południu.
- Dla mnie może być – zaakceptowała Mary. – Włożę coś stosownego do wyprawy w góry. Zbadam chorego i będziemy mogli

pojechać na wycieczkę.

– A pani, Anno?

– Nie wiem, czy zdążę wrócić z wycieczki i przygotować kolację – chciała się wykręcić.

– Mój kucharz może gotować jeszcze przez parę dni.

– Parę dni to za dużo.

– Więc jeden? – wpatrywał się w nią uporczywie.

– Wystarczy.

„Ja bym zgodziła się na parę dni” – pomyślała pani doktor. „Miałabym dla siebie więcej czasu. Co jest takiego pociągającego w gotowaniu dla tylu osób? Wolę dobrą restaurację. Nie muszę gotować”.

Powiał wiatr. Anna poczuła napływ chłodnego wilgotnego powietrza.

– Gdzieś pada deszcz – powiedziała.

– Tak – Said nosem wciągnął powietrze. – W górach pada deszcz.

– Jaki deszcz? – Mary rozejrzała się po niebie. – Nie widzę ani jednej chmurki.

– Powiew wiatru niesie zapach deszczu – Anna wciągnęła nosem powietrze. – Jest blisko.

Pani doktor wciągała w płuca powietrze, wyciągając twarz do przodu.

– Nie wiem, jak to robicie. Ja tam nic nie czuję – wzruszyła ramionami. – Oprócz zapachu kwiatów.

– To proszę sobie urwać parę tulipanów – pozwolił Said.

– Naprawdę mogę?

– Ależ proszę. Za parę dni przekwitną i stracą swój urok. Anno, niech pani również zrobi sobie bukiet z kwiatów, które się pani podobają.

– Dziękuję. Goździki, które od pana dostałam, wciąż dobrze się trzymają.

– Nawet kiedy stoją za pani namiotem?

– Mają przewiew – uśmiechnęła się.

„Skąd wie, że wyniosłam słoik z kwiatami na zewnątrz? Nie było go w obozie. A jeśli się mylę i Said przyjeżdża nocami? Dobrze, że zabezpieczam suwak przy namiocie, żeby nikt niepożądany go nie

rozsunął. A może El Dżajad obserwuje nas przez lornetkę ze wzgórz? Czy ogląda mnie, kiedy biorę prysznic? Jak dobrze, że kąpię się w majtkach i biustonoszu...”.

Pani doktor powróciła z naręczem różnobarwnych tulipanów.

– A ty nie narwałaś sobie kwiatów? – spytała zdziwiona.

– Wystarczy ten kwiat – Anna uniosła ku górze pęd storczyka.

– Chyba że tak.

Wyszli z ogrodu i skierowali się w stronę schodów. Matka księcia stała uśmiechnięta na samym ich szczycie.

– Pora się pożegnać – powiedziała do niej Anna.

– Nie zjadłyście deseru – przypomniała staruszka.

– Nie wszystko idzie po naszej myśli. Mimo to dziękujemy za gościnę.

– Może jednak zakończymy kolację deserem? – zaproponował w języku francuskim Said.

– Nadciąga deszcz – przypomniała Anna.

– Mam wolne pokoje – spojrzał w stronę pani doktor.

– O czym mówicie? – Mary czuła się pominięta. – Rozmawiajcie po angielsku.

– Żegnamy się – skłamała Anna.

– A, rozumiem.

Księcia rozbawiło kłamstwo Anny. Postanowił nie nalegać na zakończenie tego wieczoru deserem.

– Dziękuję za gościnę w imieniu moim i pani doktor – Anna skłoniła głowę.

– Ja też się cieszę, że przybyłaś do pałacu. Tak dobrze mi się z tobą rozmawia. Odwiedź mnie jutro. Pokażę ci cały pałac – odezwała się matka księcia.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę nadużywać pani gościnności. Dobranoc.

– Dobranoc.

Mary pożegnała się w języku angielskim. Said poprowadził panie w stronę drzwi.

– Nie bój się mojego syna – powiedziała księżna. – On cię nie skrzywdzi.

Dziewczyna przystanęła i odwróciła się. Jedno spojrzenie w stronę pani El Dżajad, a drugie w stronę Saida. Twarz księżnej

była promienna, jej syna – poważna, jakby chciał potwierdzić słowa matki.

– Co się dzieje? – zaciekała się pani doktor.

– Nie, nic – powiedziała w zamyśleniu Anna.

Ruszyli do wyjścia. Mary wyczuła, że coś jest nie tak, ale nie może pytać o to Anny w obecności gospodarza domu.

– To był miły wieczór – zagadnęła lekarka. – Szkoda, że kolacja tak przykro się zakończyła.

– Ja też żałuję – przyznał Said. – Jutro będzie inaczej.

Wyszli na dziedziniec, gdzie czekała ta sama bryczka, która przywoziła obie panie do pałacu. Anna zauważyła, że na koźle siedzi inny stangret.

– Mam nadzieję, że... – zaczęła w języku francuskim – ...kiedy jutro nie będę mogła przyjechać, nie ukarze pan za to swojego sługi.

– To zależy od ciebie – powiedział spokojnym, cichym głosem.

– Brutalność drugiego człowieka zniechęca mnie do niego. Wręcz odpycha. Cenię dobro, nie zło. Dobranoc – pożegnała się w języku angielskim.

– Dobranoc – odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

Kobiety wsiadły do bryczki. Stangret cmoknął na konia. Ruszyli z miejsca. El Dżajad patrzył za bryczką. Począł, aż pojazd zniknie za bramą, i dopiero wtedy powrócił do pałacu.

– Czemu mówiliście po francusku? – pani doktor była niezadowolona. – Macie jakieś sekrety?

– Są słowa przeznaczone tylko dla jednych uszu.

– Mówiliście o mnie?

– Nie. O słudze, którego ukarał.

– Ja też mogłam posłuchać.

– Tych słów nie.

– Aaaa... rozumiem... A właściwie nic nie rozumiem. Jak to się stało, że znasz francuski?

– Nauczyłam się go, będąc w szkole, a potem we Francji. To żadna tajemnica.

– Dla mnie to była tajemnica... Do dzisiaj. Myślałam, że wtedy na przyjęciu księżę był waszym, jego matki i twoim, tłumaczem... Gdybym wiedziała, że tak nie jest...

– To co by pani zrobiła? – Anna była ciekawa.

Zapadła cisza. Anna była ciekawa odpowiedzi lekarki.

Do ich uszu dotarł odgłos cichego grzmotu. Dobiegał z za gór.

– Miałaś rację, idzie deszcz.

– Chciała mi pani coś powiedzieć. Coś o przyjęciu.

– To już nieważne. Ciekawa jestem, o czym rozmawialiście w ogrodzie...

– O wszystkim i o niczym. Kwiatach, pogodzie – zmyślała. – O życiu tutaj...

– Czy księżę przypadkiem cię nie uwodził?

– Może. Staralam się unikać jego dociekliwych pytań. Zmieniałam tematy rozmów.

– Rozumiem, nie chcesz o tym mówić.

– Właśnie.

Powiał silniejszy wiatr, znów zagrzmiało. W oddali zamajaczyły dachy namiotów. Anna wzięła w palce prawej dłoni kwiat storczyka i wyciągnęła ją w bok. Sprawdziła, czy pani doktor nie patrzy na nią, i rozluźniła palce. Powiew wiatru sprawił, że kwiat wyleciał z jej ręki. Uśmiechnęła się. Właśnie o to jej chodziło. Chciała się pozbyć prezentu od wielbiciela.

Bryczka zatrzymała się przed bramą obozu. Steve wyszedł im naprzeciw. Kiedy kobiety wysiadały z pojazdu, zauważył bukiet kwiatów tylko w dłoni pani doktor.

– A gdzie twój bukiet? – zwrócił się do Anny.

– Nie mam.

– A twój storczyk? – zdradziła Mary.

– Storczyk? – rozglądając się na boki, udawała, że go szuka. – Chyba go zgubiłam.

Jasna błyskawica rozbłysła na niebie i cichy grzmot zakłócił ich rozmowę. Od strony gór nadciągały ciężkie deszczowe chmury. Stangret zawrócił bryczkę, strzelił batem, zmuszając konia do galopu, i pognął w stronę pałacu.

– Nareszcie deszcz – ucieszył się Steve. – Będzie chłodniej.

– Idę do waszego namiotu – Mary minęła mężczyznę. – Strasznie boję się burzy, nie lubię być wtedy sama.

– A ty nie boisz się być sama, kiedy grzmi? – spytał Steve, patrząc na Annę.

– Nie... kiedy jestem pod dachem.

O ile namiot można nazwać dachem. To tylko kawałek materiału, który nie zatrzyma piorunu.

– To dobranoc – Steve pożegnał ją. – Miłych snów... o księciu.

Wyczuła kpinę w jego głosie. Zrobiło jej się przykro.

Odpięła ze sznurka namiotu suchy już kapelusz i wsunęła go na głowę. Zanim weszła do namiotu, uwiązała kozę przy ławce pod wiatą jadalni. Tutaj przynajmniej nie zmoknie.

Powiał silniejszy wiatr i pierwsze krople deszczu uderzyły o ziemię. Nie przebrawszy się w piżamę, Anna w ubraniu położyła się do łóżka i przykryła kocem. Odblask błyskawic rozjaśniał mrok panujący w jej namiocie. Leżąc, rozmyślała o dzisiejszym spotkaniu, rozmowie z Saidem, gdy byli sam na sam w ogrodzie. Kiedy przymykała powieki, widziała jego twarz. Przypomniała sobie, jak pocałował koniuszki jej palców lewej dłoni. Dlaczego przeszedł ją dreszcz? Kiedy Steve ją dotyka czy całuje, nie odczuwa niczego podobnego. Znow nie mogła zasnąć. Nad głową burza, w głowie kłębiące się myśli.

Burza okazała się łagodna, nie narobiła żadnych szkód. Rano powietrze było rześkie, przyjemnie i lekko się oddychało.

Anna zbudziła się, kiedy wszyscy jedli śniadanie. Nieumyta, nieuczesana, ubrana we wczorajszą odzież, usiadła przy stole jadalnym w namiocie-kuchni. Pojawił się Lee Jang.

– O... coś pani źle wygląda – przyjrzał się jej z uwagą. – Czyżby nie mogła pani spać?

– Burza nie pozwoliła mi zasnąć – zabrała się do rozwijania bandażu z nadgarstka lewej ręki. – Udało się dopiero nad ranem, kiedy zrobiło się chłodniej.

– Jest dużo chłodniej niż wczoraj. Mamy czym oddychać. Zrobię pani kawę i zaraz się pani obudzi.

– Za chwilę wrócę – podniosła się z krzesła. – Muszę na stronę.

Ubikacja nie była zajęta, obozowicze dopiero budzili się ze snu. W drodze powrotnej umyła ręce, przemyła zasnęłą twarz. Wchodząc do namiotu-kuchni, na tacy obok kubka z kawą i dwoma maślanymi bułeczkami zauważyła czerwonego storczyka. Tego samego, którego dostała od Saida. Ale co on tu robi? Przecież specjalnie się go pozbyła. Widząc Annę, Jang wziął do ręki kwiat, mówiąc:

– To dla pani – wręczył jej storczyk. – Leżał sobie na trawie. Pewnie ktoś chciał pani podarować, lecz zgubił.

– Pewnie tak – powiedziała w zamyśleniu.

Położyła kwiat na tacy i zaniósła śniadanie do swojej części namiotu, by w spokoju zjeść posiłek. Usiadła na krześle. Łyk świeżej kawy, kęs bułki. „Jednak kwiat jest przeznaczony dla mnie” – pomyślała. „Specjalnie go upuściłam, mając nadzieję, że ulewa go zabierze i pogrzebie w piasku, a mimo to Lee Jang go znalazł”. Czuła, jak robi jej się gorąco. Musi wziąć kąpiel, ochłodzić się. Najlepiej będzie, jak zrobi to w oazie. Wśród krzaków nikt nawet jej nie zauważy.

Wzięła ze sobą gąbkę, miskę, ręcznik i udała się do oazy. Najpierw sprawdziła, czy nie jest obserwowana, a następnie nabrała wody do miski i ukryła się między zielonymi ciernistymi krzewami. Zdjęła koszulkę i spodnie. Będąc w samej bieliźnie, gąbką moczoną w zimnej wodzie schładzała swoje ciało. Zaczęła od nóg, a skończyła na ramionach.

– Czy chcesz dostać zapalenia płuc? – usłyszała głos pani doktor.

– Ale mnie pani wystraszyła – odruchowo zakryła się ręcznikiem.

– Właśnie Said oglądał cię przez lornetkę?

– Gdzie? – spojrzała w stronę wzgórz.

– Żartuję – roześmiała się. – Nikt cię nie obserwuje. Zauważyłam, jak idziesz w stronę oazy z miską. Byłam ciekawa, co tu robisz, skoro mamy pod dostatkiem wody. Nie przypuszczałam, że idziesz się umyć. Myć się w zimnej wodzie? Czy to nie lekka przesada?

– Muszę się obudzić. Zimna woda dobrze mi zrobiła – okręciła się ręcznikiem.

– Przyszłam się dowiedzieć, dlaczego nie było cię na śniadaniu. Wszyscy się zastanawiali, czy przypadkiem nie jesteś chora.

– A Steve pytał o mnie?

– Niestety, nie. Kiedy wczoraj wypaplałam, że pomocnik kucharza poparzył się i poszłam go zbadać, zrozumiał, że zostawiłam cię samą z El Dżajadem. Jeśli Steve nie będzie się do ciebie odzywał, to przeze mnie. Przepraszam.

Pani doktor miała rację. Steve nie odezwał się do Anny przy obiedzie. W jego spojrzeniu gościł smutek. Zawiodła go po raz drugi. Stracił do niej zaufanie, a przecież go nie zdradziła. Wyczuła, że teraz naprawdę go traci i nic nie może tego zmienić. Trudno. Nie będzie siłą wchodziła w jego życie.

Zbliżała się czwarta po południu. Anna ubrana w kolorową jedwabną bluzkę, długie czarne spodnie i w adidasach na stopach siedziała przed lustrem, zaplatając włosy w luźny warkocz. Wystarczy związać koniec gumką i gotowe. Wzięła do ręki okulary przeciwsłoneczne i biały kapelusz. Pani doktor czekała na nią na ławce pod namiotem-jadalnią. Rozmawiała z Bette. Tego dnia Mary miała na sobie żółtą minisukienkę i białe obcisłe getry, sięgające lekko za kolana, a na nogach białe sandały. Na głowę założyła słomkowy kapelusz, a przez ramię przewiesiła dużą żółtą torebkę.

– No. Dzisiaj to wyglądasz elegancko – pochwaliła ją Mary. – Ale nie za gorąco ci w tych czarnych spodniach? Białe chyba lepiej by pasowały.

– A pani nie zapomniała włożyć spódnicy? Majtki pani widać.

– Gdzie? – powstała z miejsca, oglądając się na boki. – Mam wszystko na miejscu.

– Ja też – wsunęła okulary na nos.

Bette parsknęła śmiechem. Zrozumiała docinkę Anny.

– No tak, nie powinnam nikogo krytykować za strój – przyznała Mary. – A z tymi majtkami to ci się udało. Myślałam, że getry mi pękły i majtki wyszły na wierzch.

Teraz wszystkie trzy kobiety śmiały się w głos. Nawet nie zauważyły, gdy do obozu podjechała czteroosobowa bryczka zaprzężona w dwa białe konie. Dopiero Lee Jang sprowadził je na ziemię.

– Jak wam zazdrozczę – przyznała Bette. – Gdybym nie była w ciąży, pojechałabym z wami.

– Opowiemy ci, jak było – dała słowo Mary. – Teraz najważniejsze jest dziecko. Nie możesz się trząść na nierównościach.

– Jeśli nie wrócimy na kolację, to powiedz, że choremu się pogorszyło – poprosiła Anna.

– Jeśli masz na myśli Steve’a, to on wie o dzisiejszej wycieczce – uprzedziła Mary.

– To też się pani wyrwało? – Anna była niezadowolona.

– Niechcący – wsiadła do bryczki. – Przepraszam, ale nie umiem utrzymać w tajemnicy czegoś, co bardzo mnie cieszy.

– Teraz rozumiem, dlaczego Steve się na mnie boczy – usiadła obok niej.

Stangret schował schodki do środka, zamknął drzwiczki, wsiadł na kozła i pojechali w stronę pałacu.

– Czuję się jak brytyjska królowa – przyznała Mary. – Taka wyróżniona, pożądana.

– Dobrze się pani czuje? – Anna nie dowierzała jej zachwytowi.

– O tak – przyznała. – Cieszę się każdą chwilą, jaką tu przeżywam. Będę miała co wspominać, kiedy wrócimy do kraju. Moje koleżanki pękną z zazdrości, jak im powiem o przystojnym arabskim księciu. Szkoda, że nie wzięłam aparatu fotograficznego. Narobiłabym mnóstwo zdjęć.

Bryczka nie jechała do pałacu, tuż za wzgórzem stangret pokierował konie na boczną drogę prowadzącą w stronę gór. Anna obejrzała się za siebie. Za nimi jechał odkryty wojskowy terenowy samochód, który prowadził ubrany w wojskowy mundur El Dżajad. Obok niego siedział młody chłopak w szarej koszuli i białych spodniach. Na głowie miał fez. Konie zatrzymały się na poboczu.

– Co się dzieje? – Mary złękła się.

– Nie wiem – Anna spojrzała w bok. – Też się boję.

Samochód zatrzymał się. El Dżajad gestem dłoni powitał Amerykanki.

– Cieszę się, że obie panie dotrzymały słowa. Zmieniamy pojazd. Zapraszam.

Wskazał miejsca na tylnym siedzeniu samochodu.

– O ile sobie przypominam – zaczęła Anna – pani doktor miała zbadać chorego, a dopiero potem planowaliśmy jechać na wycieczkę.

– Ma pani wspaniałą pamięć – przyznał z uśmiechem na twarzy.

– Pani doktor zbada chorego, jak wrócimy z wycieczki. Zapraszam.

Kobiety przesiadły się do samochodu. Kiedy pojazd ruszył, Mary spytała:

– A jak się czuje poparzony?
– Dobrze, chociaż musiałem podać mu proszki na sen.
– To dobrze – pochwaliła go pani doktor. – Kiedy człowieka coś boli, najlepszym lekarstwem jest długi sen. Poparzony człowiek bardzo cierpi. W szpitalu, w którym pracuję, usypiamy cierpiących. Wprowadzamy ich w stan śpiączki farmakologicznej. Kiedy nastąpi poprawa, wybudzamy ich. Najgorsze są poparzenia tłuszczem i mlekiem.

– Mlekiem? – spytał Said.

– Tak – potwierdziła pani doktor. – Mleko przykleja się do ciała i ciężko je zmyć. Zrywa się je razem ze skórą. Najlepiej schłodzić takie miejsce.

– Przyłożyć lód – odezwał się chłopak siedzący obok Saida.

– O tak. Właśnie to zrobiłam wczoraj.

– Zapomniałem przedstawić wam mojego kuzyna Omara. Przypilnuje samochodu, jak będziemy zwiedzać most.

– Jak Omar Szarif, aktor? – zapytała Mary.

– Omar Dżamal – obruszył się Omar. – I nie jestem aktorem. Będę agentem, tak jak mój kuzyn El Dżajad.

– Agentem? – pani doktor była zaskoczona.

– Miał na myśli to, że jestem żołnierzem – sprostował Said.

– Jak większość mężczyzn w tym kraju – dodała Anna.

– Właśnie – podsumował Omar.

Stepowa droga skończyła się, otoczył ich pas zieleni. Były tam niskie palmy, cierniste krzaki, dziko rosnące oleandry oraz rośliny, których gatunków kobiety nie znały. Anna rozglądała się na boki, jakby chciała zapamiętać drogę, którą jechali, i porównać ją z drogą ze snu.

– Czemu pani taka milcząca, Anno?

– Podziwiam widoki.

– A nie można tego robić, rozmawiając?

– Nie – zaprzeczyła. – Wtedy nie zapamiętam, co podziwiałam, a o czym rozmawiałam.

Said roześmiał się w głos i zatrzymał samochód na poboczu.

– A jednak ma pani poczucie humoru – przyznał. – Chodźmy zobaczyć ten most.

Ze skrytki w samochodzie wyjął czarny pas, do którego przypięta była kabura z pistoletem. Kobiety wysiadły z samochodu.

– Broń? – zdziwiła się Mary.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda – zapiął klamrę przy pasku. – Teraz możemy iść.

Said poprowadził kobiety ścieżką prowadzącą łagodnie pod górę.

– Czy cały czas będziemy się wspinać? – spytała pani doktor.

– Nie. Za chwilę będziemy szli po płaskim terenie, potem w dół i znów pod górę.

– A daleko jest ten most? – dociekała pani doktor.

– Jakies dwie i pół mili stąd.

– Tak daleko? – pani doktor przystanęła.

– Ja bym powiedziała, że bardzo blisko – powiedziała Anna. – Z pałacu jest osiem mil. Stąd dwa i pół. Damy radę.

Wejście na łagodne wzgórze zajęło im piętnaście minut. „Gdyby jechać konno, byłibyśmy na miejscu po pięciu” – rozważała Anna. Kiedy stanęli na szczycie, Said wskazał majaczący w oddali most zwieszony między dwiema górami.

– Czy to chciała pani zobaczyć? – spojrzał na Annę.

– Jest za daleko, by cokolwiek o tym powiedzieć.

– Czy idziemy dalej? – Said był ciekawy.

– Tak – potwierdziła. – Chcę zobaczyć go z bliska.

– Więc chodźmy.

Mężczyzna ruszył pierwszy. Teraz schodzili ścieżką prowadzącą w dół. Im bardziej zbliżali się do mostu, tym bardziej znajoma wydawała się okolica. Anna przystanęła i rozejrzała się. Said zaczął ją obserwować.

– Co ty tak się rozglądasz? – spytała Mary.

– Podziwiam widoki – skłamała.

– A może porównuje je pani ze snem? – przypuszczał Said.

– A właśnie – przypomniała sobie Mary. – Mówiłaś, że śnił ci się most zawieszony między górami.

– Czyli zgadłem – powiedział niepewnie.

„No i po tajemnicy” – pomyślała Anna. „Co za papla z tej doktor. Już nie opowiem nikomu o moich snach. To moja tajemnica i nikt nie ma prawa zdradzać jej obcemu człowiekowi”. Powoli ruszyła dalej.

Mijali olbrzymi rudy głaz. We śnie siedziała na nim, jakby odpoczywała. Było tam też zwalone drzewo. Doszli do przepaści. Anna spojrzała w dół. Stroma ściana góry biegła dwieście metrów w przepaść. W skalnych szczelinach rosły drobne cierniste krzewy. Szli ścieżką wzdłuż przepaści. Po dwudziestu krokach skręcili w bok, ciągle kierując się w stronę mostu. Droga stała się bezpieczniejsza, a widok przypominał ten ze snu. Znowu wspinali się w górę. Droga stawała się kamienista i trzeba było uważać, by nie zawadzić o nierówności.

Lekko zdyszani dotarli do niewielkiej polany, za którą między dwoma górami w najwyższym miejscu wisiał okazały most linowy, ten sam, który Anna widziała we śnie. Te same grube plecione liny, służące za poręcze, i grube, szerokie deski, po których się chodziło. Całość przymocowana do betonowych słupów.

– Czy to ten sam most? – spytał Said.

– A czy jest tu jeszcze jeden? – spytała wymijająco.

– Jest pani bardzo tajemnicza. Ale to zbyteczne.

– Co jest po drugiej stronie? – zaciekała się pani doktor.

– Pięć mil za tą górą w dolinie znajduje się mała wioska. Dalej jest Turcja.

– Czy widać granicę za tamtą górą? – zaciekała się Mary.

– Jeśli nie ma mgły znad rzeki, to tak.

– Chciałabym to zobaczyć. A ty, Anno?

– Dlaczego nie? – zawahała się – Może to jedyna okazja, by zobaczyć, jaki widok rozciąga się po drugiej stronie.

– Nigdy nie przechodziłam po takim moście – przyznała Mary. – Trochę się boję.

– Najważniejsze to nie patrzeć w dół – pouczał El Dżajad. – Trzeba iść powoli, nie wykonywać gwałtownych ruchów i trzymać się poręczy. No i patrzeć przed siebie.

– To może pan pójdzie przodem? – poprosiła Mary. – Pokaże, jak to się robi.

El Dżajad poszedł przodem. Szedł w miarę szybko, płynnie. Widać było, że nie po raz pierwszy jest na tym moście. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, gestem dłoni zaprosił panie do siebie. Pani doktor wzięła głęboki oddech i powoli, z wielką ostrożnością weszła na drewnianą kładkę. Najpierw jedna, druga, trzecia... i kolejna.

Anna porównała ten widok ze snem. To nie była ta scena. Kiedy znalazła się w tym miejscu, nie była z panią doktor i księciem, lecz z całą grupą. Wszyscy przeszli na drugą stronę, a ona została. Wśród Amerykanów brakowało profesora Marchola i Toma, był za to wysoki, barczysty blondyn. Cała grupa pokona most, a ona zostanie po tej stronie. Ale dlaczego nie będzie mogła przejść na drugą stronę? Czeka ją jeszcze jedna wyprawa w te strony.

Była tak zamyślona, że nie zauważyła, kiedy pani doktor znalazła się po drugiej stronie i razem z księciem czekała, aż do nich dołączy.

– Czy pani się boi? – z transu wyrwał ją głos Saida. Spojrzała w ich stronę. Oboje gestem dłoni zapraszali ją do siebie. Już kiedyś to widziała. Niepewnym krokiem weszła na kładkę. Spojrzała w dół. Pod nią znajdowała się kamienista przepaść, na której dnie w płytkiej wodzie odbijało się błękitne niebo. Spojrzała przed siebie, tak jak uczył Said. Lecz jak mogła patrzeć na wprost, kiedy on wbił w nią swój przenikliwy wzrok? Kiedy znów spuściła oczy, ujrzała dno przepaści. Poczula lekki zawrót głowy. Przymknęła powieki i na oślep pokonała resztę drogi. Kiedy dotknęła stopami twardego gruntu, odetchnęła z ulgą.

– Moje panie – Said przecząco pokręcił głową. – Gdyby was ktoś gonił, nawet przy dużej przewadze czasowej, to w takim tempie nie zdołalibyście uciec.

– Na szczęście jesteśmy w dobrych rękach – czarowała Mary. – Gdyby ktoś nas gonił, obroniłby nas pan, prawda?

– To zależy, ilu byłoby napastników. Czyż nie tak, pani Anno?

– Nie wiem. Nie jestem mężczyzną – spojrzała na przeciwną stronę mostu.

– Ale nie ma w tej okolicy bandytów? – spytała Mary z niepokojem w głosie.

– Nigdy nic nie wiadomo – przyznał. – Odpoczywamy czy idziemy dalej?

– Idziemy – zdecydowała Anna.

– Więc chodźmy.

Wejście na kolejną górę okazało się trudniejsze, niż przypuszczały kobiety. Zbocze bywało strome i trzeba było mocno się natrudzić, by nie zsunąć się ze ścieżki prowadzącej w górę.

Z dołu wyglądało to zupełnie inaczej. Pani doktor zawadziła o kamień, gubiąc but.

– Kto to widział zabierać na wycieczkę w góry sandałki? – powiedziała Anna.

– To najwygodniejsze buty, jakie przywiozłam – usiadła na zeschniętej trawie. – Nie planowałam wycieczki po górach.

El Dżajad zszedł parę kroków niżej w poszukiwaniu zaginionego buta.

– Czy tu są węże? – spytała głośno Mary.

– Tak. Są – oznajmił. – Jadowite żmije.

Kobietom przeszły ciarki po plecach. Anna przypomniała sobie przygodę z czarnym wężem śpiącym na jej łóżku w namiocie.

– Anna nie boi się węży! – zawołała Mary. – Zabiła jednego patelnią w swoim namiocie. Takiego czarnego z żółtymi prążkami.

– To cud, że pani nie ukąsił. Jad tego węża zabija w ciągu paru minut.

– Najwyraźniej ktoś nie chciał, bym umarła.

– Przeznaczenie! – zawołał.

Zapadła krótka cisza. Anna włączyła się do poszukiwań.

– Jak nie znajdziemy pani buta, to zrobię go z liści palmy.

– A da się w tym chodzić?

– Będzie trochę niewygodnie, ale za to nie porani sobie pani stopy.

Na szczęście wśród liści górskiej paproci El Dżajad wypatrył sandał kobiety.

Usiedli na rozgrzanych przez słońce kamieniach. Powietrze było ciężkie i gorące. Coraz trudniej się oddychało. Said usiadł obok Anny. Na jego twarzy nie było widać wielkiego zmęczenia, był zaprawiony w sztuce wspinaczki.

– Czy wam też się chce pić tak jak mnie? – Mary ocierała chusteczką spoconą twarz.

– To kwestia przyzwyczajenia – zaczęła Anna. – Wystarczy pomyśleć o cytrynie, a ślina sama napłynie do ust.

– Czy to pomaga? – spytał książę.

– Owszem. Mnie pomaga. Trzeba pomyśleć, że trzyma się w dłoni obraną cytrynę, zacisnąć dłoń i przytknąć ją do ust.

Przyjemny kwaśny sok spływa na usta, język. Jest go coraz więcej i więcej...

– Przestań – Mary machnęła ręką. – Ślinię się.

– A na pana podziałało? – Anna spojrzała w bok.

– Jest ktoś, kto działa na mnie bardziej niż cytryna.

– A któż to taki? – podpuściła go Mary.

– To moja słodka tajemnica – uśmiechnął się.

– A, to przepraszam – Mary poddała się. – Chyba zrezygnuję z dalszej wspinaczki. Jestem wykończona.

– Zostało nam tylko dwieście metrów – pocieszył.

– Dwieście? To chodźmy – Mary podniosła się z kamienia. – Na tyle to jeszcze mam siły.

Ruszyli w dalszą drogę. Po pokonaniu dwustu metrów byli na szczycie góry. Stanęli na płaskiej kamiennej półce, z której rozciągał się przepiękny widok. Niewielkie wzniesienia porośnięte palmami, za którymi majaczyły dachy małych domków. A jeszcze dalej widać było poruszające się maluteńkie punkciki, najprawdopodobniej samochody. Kobiety były zachwycone widokiem. Said zauważył w oczach Anny taką samą fascynację, kiedy po raz pierwszy ujrzała jego ogród.

– Chociaż przez chwilę można popatrzeć na znajome obrazy – westchnęła. – Ten widok przypomni mi okolicę, w której mieszkam. Gdy tak ciągle patrzy się na step i piasek, tęskni się za takimi krajobrazami.

– Już niedługo będziesz oglądać znajome widoki.

– Czy pani wyjeżdża? – zaciekawiał się.

– Kiedy skończy się kontrakt, wszyscy wyjedziemy z tego kraju.

Gdy skończyła mówić, świat zawirował jej przed oczami i poczuła, jakby krew odpływała jej skroni. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Chwyliła panią doktor za rękę, przymykając powieki.

– Jak mi się kręci w głowie – szepnęła.

Mary spojrzała na Annę. Twarz dziewczyny pobladła, a uścisk dłoni słabł.

– Co się dzieje? – pani doktor chwyciła ją pod ramię. – Jakaś ty blada.

– To przez wysokość – powiedział Said. – Lepiej odsunąć się od krawędzi, nie chcę mieć was na sumieniu.

Odeszli parę kroków dalej. Anna czuła, jak słabną jej nogi.

– Lepiej niech pani usiądzie – powiedział książę z troską w głosie. – Tu niedaleko rośnie dzika pomarańcza. Przyniosę parę owoców. Wzmocni się pani.

Anna usiadła na kamiennej płycie, opierając plecy o skalne wybrzuszenie. Tak dobrze się czuła. Nic nie wskazywało, na to że jej samopoczucie gwałtownie się pogorszy. To stało się po słowach, że wszyscy wyjadą z tego kraju. Spojrzał na nią takim przenikliwym wzrokiem...

– Proszę na długo nie zostawiać nas samych! – zawołała Mary.

– Niech się pani nie boi, tu nic wam nie grozi.

El Dżajad zniknął za blokiem skalnym. Pani doktor ujęła rękę Anny i zbadła jej puls.

– Ale ci serce wali.

– To trochę dziwne – zaczęła Anna słabym głosem. – Tak dobrze się czułam... Kiedy wspomniałam, że wszyscy wyjedziemy do kraju, zakręciło mi się w głowie. Poczułam się tak, jakby jakaś niewidzialna siła... pętla zaciskała się na moim ciele.

– Co ty bredzisz? – pani doktor jej nie rozumiała. – Pętla zaciskała ci się na ciele? To zmiana ciśnienia, nie pętla.

– Wiem, że pani mi nie wierzy, zresztą sama tego nie rozumiem...

– To fizyka, moja droga. Tu ciśnienie jest inne, a powietrze rzadkie. Poza tym jest gorąco – usiadła obok.

– To nie to – Anna odetchnęła głęboko.

– Zauważyłaś, jak książę przejął się tym, że zasłabłaś?

– Nie zauważyłam – przyznała. – Zrobiło mi się niedobrze.

– No tak. Ale przyznasz, że to czuły, troskliwy mężczyzna. Stuprocentowy samiec. Poszedł po pomarańcze dla ciebie – mówiła z zachwytem w głosie. – Czy tobie też się on podoba?

– Nie rozumiem, o co pani chodzi?

– Nie żartuj. Dobrze wiesz, o czym mówię. Jest cholernie przystojny, za takim facetem poszłabym w ogień... gdyby mnie tylko chciał.

– To niech pani umizguje się do niego. Może coś z tego wyjdzie. A najlepiej niech mu to pani powie.

– Nic z tego. To ty mu się podobasz, nie ja. Jak on na ciebie patrzy! – gestykulowała obiema rękami. – Nawet mój mąż nie patrzył na mnie tak, jak El Dżajad na ciebie.

Usłyszały szelest toczących się drobnych kamyków. To El Dżajad powrócił, trzymając w dłoniach małe pomarańcze. Wręczył kobietom po dwa owoce.

– Czy już lepiej się pani czuje? – spytał, siadając na kamieniu naprzeciw Anny.

– Lepiej – rozerwała skórkę owocu.

– Co za zapach – Mary wahała pomarańczę. – I po co ja się męczyłam z cytryną, skoro tutaj mam tyle witamin?

– Uprzedzam, że sok jest gorzkawy. To dziko rosnąca pomarańcza.

Anna zatopiła zęby w owocu. Rzeczywiście, sok był gorzkawy, lecz wspaniale gasił pragnienie i nawet jej smakował. Mary krzywiła się, rozrywała owoc na ćwiartki, wsadzała do ust, wypijała sok, a miąższ wypluwała. Anna zjadała ćwiartki owocu w całości. Tak samo robił Said.

– Fajnie tak iść do ogrodu, stanąć pod drzewem, zerwać sobie pomarańczę, kiwi czy mandarynkę – rozmarzyła się Anna. – Szkoda, że u mnie w górach nie można posadzić takich drzew, tylko trzeba iść po owoce do sklepu.

– Jeśli chcesz, pani, możesz to wszystko mieć.

– Tak, wiem... – rozerwała drugi owoc. – Wystarczy jedno moje słowo.

– Jakie słowo? – zaciekawiała się pani doktor.

– Zakłęcie – włożyła do ust ćwiartkę owocu. – Abrakadabra – mówiła powoli, aby nie zadławić się sokiem. – Spraw, magiku, bym do samej starości żyła w szczęściu, dostatku i miłości – połknęła miąższ. – A przy mym boku...

Spojrzała w stronę Saida. Jego twarz stała się poważna. Ze spojrzenia mężczyzny wyczytała, że nie wolno z niego żartować. Ani z niego, ani z jego uczuć. On naprawdę czekał na takie właśnie słowa. Popelniła głupstwo, wypowiadając je. Teraz musiała wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Dodrze, że nie ma takiego magika – szukała słów – bo mógłby spełnić to życzenie i życie stałoby się bajką – chyba źle to zakończyła.

– A jeśli ten magik tu jest? – powiedział z powagą.

– To mógłby spełnić i moje życzenie – wtrąciła Mary.

– A jakie? – Said zwrócił się do niej.

– Abym jeszcze w tym roku wyszła za mąż.

– A w którym miesiącu?

– Najlepiej na Boże Narodzenie lub w sylwestra – zastanowiła się. – Tak, w sylwestra.

– To prośba została spełniona.

– Czyżby był pan wróżbitą?

– Ja nie – zaprzeczył. – Mam własnego astrologa, który trafnie przepowiada przyszłość.

– A czy mógłby mi powróżyć? – Mary podnieciła się. – Przepowiedzieć przyszłość?

– Może to zrobić jeszcze dziś.

– Świetnie – pani doktor była zachwycona.

– Czy nie za późno na wróżby? – Anna spojrzała na zegarek. – Dochodzi szósta. Za jakieś dwie godziny będziemy z powrotem...

– Każda pora jest dobra na przepowiedzenie przyszłości – Said wszedł jej w słowo.

– O tak – Mary wstała z kamienia. – Tak bardzo chciałabym poznać moją przyszłość. Jeśli ten astrolog zgadnie, jaką miałam przeszłość, uwierzę w to, co przepowie mi na przyszłość. Przepraszam, muszę na stronę.

Pani doktor zniknęła za szeroką skalną półką i skryła się za spiczastymi głazami. Anna nie miała ochoty opuścić tego miejsca. Tu, na szczycie góry, czuła się jak w domu, w swojej małej turystycznej miejscowości. Said podniósł się z miejsca.

– A pani nie idzie? – spytał.

– Tak mi tu dobrze – westchnęła. – Czuję się, jakbym była w swoim kraju w moim miasteczku. Tam też są takie wysokie góry – wstała.

– Czy bardzo tęskni pani za krajem?

– Tak.

– Wczoraj wspomniała pani, że Bóg powołał do siebie pani rodziców i brata. Do czego pani tęskni w swoim kraju?

– Do... przyjaciół... domu...

– Przecież mieszka pani u stryja. To nie pani dom – przypomniał.

– Tak, to prawda.

– Więc za czym tu tęsknić, skoro w kraju nie czeka ukochana rodzina, nie ma domu, do którego z chęcią się wraca?

– Tam czuję się u siebie. Mam dokąd iść, wrócić. Nikt nie nakazuje mi, co mam robić.

– A gotując tu mężczyznom, nie robi pani tego z nakazu?

– To moja praca. Tam też pracuję – na siebie i dla siebie.

– To możemy iść – pojawiła się pani doktor.

– A pani też tęskni za krajem? – Said spytał Mary.

– O tak, tęsknię. Tu jest trochę strasznie, nie ma sklepów, nie można iść na kawę. No, może gdybym spotkała wspaniałego Syryjczyka i zakochałabym się w nim, myślałabym inaczej. Kto wie, możliwe, że zdecydowałabym się tu zamieszkać.

– Sprawdźmy, co los pani przyniesie.

Zejście z góry okazało się łatwiejsze niż wejście na szczyt. Nie trzeba było robić przystanków, by odpocząć. Po godzinie dotarli na kamienisty występ skalny i zatrzymali się przed mostem. Ponowne przejście przez niego poszło im lepiej niż za pierwszym razem. Pani doktor ruszyła przodem. Następnie przeprowił się El Dżajad. Anna szła na końcu. Miała przed sobą trzy kroki. Blask słońca oślepił ją na chwilę. Odruchowo zasłoniła twarz dłonią, zachwiała się. Przypomniała sobie scenę ze snu. Przestraszyła się. Mocno chwyciła się poręczy.

– Czy coś się stało? – Said zauważył jej odruch.

– Nie, nic. Słońce mnie oślepiło.

– Przez okulary? – zdziwiła się Mary.

– Okulary nie zatrzymują całkowicie promieni słonecznych – powiedziała.

Ominęła kobietę, oglądając się za siebie. Była pewna, że kiedyś tu powróci, ale nie przejdzie na drugą stronę mostu. Said wyczuł w jej zachowaniu skrywaną tajemnicę, związaną z tym właśnie mostem. Nie bez powodu chciała go zobaczyć. Wie, że nie zdradzi

mu sekretu. Prędzej pani doktor opowiedziałaby mu o swoich tajemnicach niż jasnowłosa.

Powrót na polanę, gdzie czekał samochód, zajął im dwadzieścia pięć minut. Omar siedział w aucie. Głośno słuchając radia, kołysał się w takt muzyki. W tylnym lusterku zauważył trzy postacie i pośpiesznie zgasił radio. Udawał, że nie robił nic złego. El Dżajad najwyraźniej skarcił go za złe zachowanie, gdyż chłopak skłonił głowę, jakby go przeproszał. Wsiedli do samochodu. Said zawrócił pojazd. Wśród zarośli Anna wypatrzyła wydeptaną ścieżkę i fragment drogi.

– Co jest za tymi drzewami? – spytała z ciekawości.

– Moja posiadłość, a raczej jej koniec.

„Więc ta ścieżka to skrót do jego posiadłości” – pomyślała. „Pewnie tędy przechadza się ze swoim psem po górach. Dobra droga ucieczki”.

– Mam dwie propozycje – zaczął El Dżajad. – Możemy zjeść posiłek, a potem iść do astrologa. Albo najpierw wybrać się do astrologa, a potem udać się na kolację.

– Najpierw wróżba – zaproponowała Mary.

– A poparzony pomocnik kucharza? – przypomniała Anna.

– Zapomniałam. Książę tak zawrócił mi w głowie, że straciłam poczucie rzeczywistości.

– Chociaż jedna kobieta traci głowę z mojego powodu – uśmiechnął się.

– Wolałby pan, żeby obie za panem szalały? – powiedziała cicho Anna.

– Jedna wystarczy – szepnął. – Właściwa.

„Weź sobie panią doktor” – pomyślała. „Będzie ci posłuszna do grobowej deski. Na mnie nie licz”.

Samochód wjechał na dziedziniec, by za chwilę zatrzymać się przed schodami prowadzącymi do pałacu. Kobiety wysiadły. Książę zdjął wojskową czapkę i poprowadził panie do salonu. Anna musiała udać się za potrzebą do łazienki. Służący wskazał jej drogę. Świeża woda, czysta muszla klozetowa. Czyste białe bawełniane ręczniki. Tak bardzo brakuje jej tego komfortu. Załatwiła potrzebę, umyła dłonie pachnącym mydłem, nie śpiesząc się, przemyła twarz i szyję w czystej wodzie, przyglądając swojemu odbiciu w lustrze. Spędziła

w łazience z dziesięć minut. W tym samym czasie Mary udała się do poparzonego pomocnika kucharza. Said czekał na panie w salonie. Siedział na kanapie przy stoliku, na którym stały trzy szklanki świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Kiedy dziewczyna pojawiła się w drzwiach salonu, wstał.

– Zapraszam na sok – wskazał stolik. – Z pewnością jest pani spragniona.

W milczeniu podeszła do stolika i wzięła szklankę do ręki, lecz nie usiadła na kanapie, tylko na fotelu stojącym dwa kroki dalej. Said uśmiechnął się. Chciał, by zajęła miejsce obok niego. „Chęci to nie wszystko” – pomyślał.

– Czy jest pani zadowolona z wycieczki? – spytał.

– Tak – napiła się soku. – Chciałam zobaczyć most i zobaczyłam.

– Czy jest taki sam jak ten ze snu?

– Skąd pan wie, że widziałam go we śnie?

– Od pani doktor.

– A... zapomniałam.

– Masz prorocze sny – wpatrywał się w nią. – To dar od Boga. We śnie widziałas mój pałac, mój ogród, most... mnie. Czy jeszcze coś ci się śniło, o czym nie wiem, a chciałabyś to sprawdzić?

– A czy ja kiedykolwiek się panu przyśniłam? Nie teraz... kiedy mnie pan nie znał? – Anna była ciekawa.

– Rozczaruję panią. Nie mam proroczych snów. Czasem mi się coś śni, ale budzę się gwałtownie i nic nie pamiętam.

– To dobrze – powiedziała w zamyśleniu.

– Dlaczego? – nie rozumiał.

– Nie budzą pana koszmary, a tym samym ma pan spokojne noce. Najgorszy jest powtarzający się koszmar. Wtedy nie śpi się przez pół nocy. W domu nie miałam żadnych snów, ale kiedy tu przyjechałam... – pokręciła głową.

W salonie pojawiła się pani doktor. Said gestem dłoni zaprosił ją na sok. Pani doktor usiadła obok niego na kanapie, biorąc szklankę do ręki. Tyle starań, tyle słów, zachęcających gestów. Czy El Dżajad jeszcze nie zauważył, że Mary go podrywa?

– Jak mi się chce pić – zamoczała usta w szklance z sokiem.

– Jak tam pacjent? – zaciekawiała się Anna.

– Nie jest dobrze – zaczęła. – Jeśli za trzy dni rana nie zaschnie, trzeba będzie udać się z nim do chirurga.

– To aż tak poważnie wygląda? – spytał Said.

– Gdyby wczoraj, jak prosiłam, potrzywał utartą papkę z ziemniaków na ranie, to by przyschła. Zdarł bąble i rany krwawią. Spryskałam chore miejsce pianką, a on zaraz ją wytarł. Co za uparty człowiek! Nie uznaje nowoczesnej medycyny?

– On nie lubi Amerykanów. Jego ojciec został zabity przez amerykańskiego najemnika.

– Teraz rozumiem jego niechęć do mnie – dopiła sok. – To możemy iść do tego astrologa.

– Zaczekam tu na was – postanowiła Anna.

– Nie chce pani poznać swojej przyszłości? – spytał Said.

– Ona już ją zna – Mary podniosła się z kanapy.

– Czasami za dużo pani gada, pani doktor – Anna była niezadowolona.

– To chodź z nami, żebym się nie wygadała.

Anna z wściekłością spojrzała na panią doktor. Said zauważył jej wzrok. „Obie panie zaczynają się nie lubić” – pomyślał. „Ale jeśli chcę się czegoś dowiedzieć o tajemniczej Annie, wystarczy spytać panią doktor. Najlepiej, kiedy będę z nią sam na sam”.

El Dżajad poprowadził kobiety bocznym korytarzem na tył pałacu, gdzie wśród palm stał niewielki okrągły budynek, pokryty szpiczastym ceramicznym dachem koloru wypalanej ciemnobrązowej cegły.

– Tu właśnie mieszka mój astrolog – gestem dłoni wskazał na budynek. – Nie tyle mój, co mojej matki.

– Jest mały, siwy i sięga mi do ramion, bo jest lekko garbaty – powiedziała Anna bez zastanowienia.

– Czy on też się pani śnił?

– Nie – Anna zaprzeczyła. – Tym razem Lee Jang mi o nim wspomniał.

Stanęli przed masywnymi drewnianymi drzwiami. Na wysokości ramion zobaczyli namalowany znak skorpiona. Czarne odnóża, czerwony tułów, granatowe oczy z białymi kropkami przyciągały wzrok. Z boku drewnianej futryny wisiał stalowy łańcuch o drobnych

oczkach. Na jego końcu znajdowała się drewniana figurka skorpiona.

– Co oznacza ten znak? – Mary wskazała rysunek na drzwiach.

– Skorpion. Mój znak rozpoznawczy.

El Dżajad pociągnął za łańcuch. Drzwi powoli otworzyły się i ujrzeli małego jasnowłosego chłopca o niebieskich oczach. Młodzienc miał na sobie długą niebieską koszulę, spod której wyłaniały się czubki palców jego drobnych dziecięcych stóp. Chłopiec skinął głową, uśmiechnął się i odchodząc na bok, gestem dłoni zaprosił gości do środka. W powietrzu unosił się zapach palących się kadzideł z suszonych ziół i kwiatów. Gdy weszli do środka, drzwi zamknęły się. Wzrok całej trójki zatrzymał się na niskiej, drobnej postaci ubranej w długie błękitne kimono w żółte gwiazdy. Na siwej głowie staruszka widniała czapka w kształcie trójkąta. Mężczyzna zapalał świece na małym ołtarzyku. W tym momencie nie wolno było mu przeszkadzać. W milczeniu czekali, aż staruszek zakończy tę czynność. Kobiety rozejrzały się po pomieszczeniu. Ściany pomalowano na błękitny kolor. Księżyc i gwiazdy na jednej ścianie, naprzeciw słońce i białe obłoczki, na suficie planety. Staruszek odwrócił się do nich twarzą. To nie był rdzenny muzułmanin, lecz Hindus. Uśmiechnął się, ukłonił, przywitał po arabsku. El Dżajad przetłumaczył kobietom jego słowa. Staruszek podszedł do księcia i spojrzał na Mary Parker. Wychylił się zza swojego pana i teraz dopiero zauważył stojącą trzy kroki za nimi jasnowłosą kobietę patrzącą w sufit. Gwałtownym ruchem ręki zdjął z głowy czapkę.

– Nasza pani! – zawołał w języku francuskim. – To dla mnie zaszczyt – upadł na kolana, chwycił ją za obie dłonie i przytknął je do swojego czoła. – Nie jestem godzien przyjmować cię w takich skromnych warunkach.

Anna przestraszyła się. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Jaka nasza pani? Czy ten człowiek oszalał? A może to kolejna sztuczka El Dżajada, mająca przekonać ją do myśli, że jest mu przeznaczona? Pani doktor stała nieruchomo, również zaskoczona dziwnym zachowaniem astrologa.

– O co mu chodzi? – Anna wyrwała dłonie z uścisku staruszka, cofając się.

– Wita cię – Said mówił w języku francuskim. – Cieszy się, że może gościć twoją osobę w swych ubogich progach.

Staruszek złożył dłonie jak do modlitwy, uśmiechał się, kołysał głową to w przód, to w tył, mówił coś po arabsku.

– To jakiś żart? – Anna była oburzona.

– Nie – powiedział spokojnym głosem Said. – To przeznaczenie.

– Co się dzieje? – pani doktor była zdezorientowana. – To jakaś rodzima forma powitania?

– Nie wiem – Anna cofnęła się do drzwi. – To jakiś spisek. Najpierw tamta starucha, teraz to. Ja stąd wychodzę.

– Uspokój się – Mary chwyciła ją za rękę. – Jaki spisek? Niech pan coś zrobi – zwróciła się do gospodarza.

El Dżajad położył dłoń na ramieniu staruszka i powiedział mu parę słów. Astrolog uspokoił się. Wstał z podłogi i założył czapkę na głowę. Ukłonił się w stronę przestraszonej Anny.

– Ja was przepraszam, słabo znać angielski – wycofywał się powoli. – Ja nie chciałem przestraszyć. Taki zaszczyt. Nasza pani u mnie.

Staruszek zniknął za zasłoną. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Anna chciała opuścić to dziwne miejsce. Całe przedstawienie zmąciło spokój jej umysłu.

El Dżajad poprosił, by panie usiadły w fotelach. Anna z oporami zajęła miejsce przy oknie. Pani doktor usiadła na krześle przy okrągłym stoliku przykrytym białym obrusem. Po chwili pojawił się staruszek z małym drewnianym pudełkiem w rękach. Spojrzał na jasnowłosą, a następnie na swego pana i uśmiechnął się. Powoli usiadł przy stole. Postawił pudełko na białym obrusie i wyjął z niego karty do tarota.

– Czy nie powinnam wyjść, kiedy zacznie się wróżba? – spytała Anna.

– No właśnie – podchwyciła Mary. – Czy nie powinnam być tu sama?

– Hady nie mówi po angielsku – oznajmił El Dżajad. – Pani Anna pomoże mi tłumaczyć.

– Nie znam arabskiego – przypomniała Anna.

– Ale zna pani francuski.

Staruszek potasował karty, w powietrzu zatoczył trzy koła, rozłożył na stole trzy równe kupki kart i kazał kobiecie wybrać jedną z nich. Kiedy to zrobiła, włożył wybraną kupkę kart w środek i pomału zaczął odsłaniać pojedyncze karty. Ułożył je w jakiś dziwny układ. Półkole, pod nim następny pas kart. Trwało chwilę, zanim zaczął mówić. Said tłumaczył słowa astrologa:

– Jesteś mądrą kobietą, wykształconą. Twoja praca jest odpowiedzialna, w twoich rękach los i życie ludzi. Pracujesz w dużym budynku... to szpital... Masz za sobą małżeństwo, z którego nie ma dzieci. To twoja wina. Twój mężczyzna odszedł do młodej kobiety... Daleka podróż... wyjazd do obcego kraju, pełnego słońca...

– Pani przyjechała do nas – staruszek powiedział w języku francuskim.

El Dżajad spojrział na Annę. To był znak, by przetłumaczyła słowa wróżbity. Tak też zrobiła. Pani doktor chyba nie była zadowolona z faktu, że oboje poznali jej przeszłość.

– To znam – Mary niecierpliwiła się. – Chcę poznać przyszłość.

El Dżajad przetłumaczył jej słowa. Wróżbita zrobił gest dłońmi, jakby mówił: „Powoli, wszystko w swoim czasie”. Po krótkiej przerwie staruszek znów zaczął mówić. Księżę tłumaczył.

– Widzę domy z materiału, namioty... Niebezpieczeństwo. Żli ludzie... Młoda kobieta o jasnych włosach uratuje cię od hańby.

– Hańby? – przerwała mu Mary.

– On tak powiedział – El Dżajad rozłożył ręce.

Znów zapadła cisza. Staruszek rozłożył resztę kart. Zastanowił się i znów zaczął mówić.

– Co cię czeka...

– Nareszcie – westchnęła.

– Co za niecierpliwa kobieta – wróżbita powiedział po francusku.

Anna uśmiechnęła się, rzucając krótkie spojrzenie w stronę Saida. On też był rozbawiony. Staruszek mówił dalej:

– Powrót do kraju... Sława. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, którego wcześniej nie zauważałaś, pojawi się na twojej drodze. Mądry, wykształcony, bogaty... Wielka miłość... wielka radość, święto w rodzinie, biała suknia, ślub. Wyjazd do innego miasta. Są dzieci... dwoje... bliźniaki. Śmierć bliskiej osoby... brata...

– Dosyc – przerwała.
– Nie chce pani wiedzieć? – łamaną angielszczyzną spytał wróżbita.

– To nie wszystko?
– Hady może przepowiedzieć przyszłość aż do śmierci.
– Śmierć bliskiej osoby... To mi wystarczy – wstała z krzesła. –
Wiem, że wyjdę za mąż i urodzę dzieci.

Wróżbita nie rozumiał, dlaczego wstała. El Dżajad wytłumaczył, że ta kobieta poznała swoją przyszłość i dziękuje za nią.

– Jak chce – staruszek wzruszył ramionami.
– Teraz ty, Anno – zachęcała pani doktor. – Ciekawe, czy powie ci to samo, co ta staruszka przy muzeum.

– Dziękuję za dyskrecję – wstała z fotela.
– Jaka staruszka? – zaciekawił się El Dżajad.
– Przepraszam, ale jestem zmęczona. Chcę wrócić do obozu –
powiedziała Anna.

– Zostańmy – nalegała Mary. – Ty znasz moją przyszłość, chcę usłyszeć o twojej.

– Bette pani nie powiedziała, co mnie czeka?
– Nie – wyznała. – Już tyle razy ją o to prosiłam...
– Może jednak pani sobie powróży? – zachęcił Said. – Sprawdzi pani, czy... jak to powiedziała pani doktor, Hady powie z kart to samo, co tamta staruszka.

Anna nie odezwała się. Spojrzała w stronę wróżbity, skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

– Kiedy urodzą się wasze dzieci, też im powróżę – powiedział w języku francuskim.

– Dzieci? – Anna spojrzała w kierunku staruszka, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Trzech synów i dwie córki – wyznał z lekkim uśmiechem.

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Spojrzała Saidowi w twarz. Był poważny, a jego oczy mówiły: „To prawda...”. „Nie, to nie może być prawda” – zaprzeczyła w myślach. „To wszystko zostało z góry uknute. Muszę przerwać ten koszmar i wyjechać z tego kraju. A może to wszystko mi się śni, a kiedy otworzę oczy, będę leżeć na swoim łóżku, w swoim namiocie...”. Dyskretnie uszczypnęła się w nadgarstek. Poczuła ból. Jednak to

nie był sen. Czują zapach kadzideł, zapach perfum pani doktor i wyraźnie widziała El Dżajada. Pośpiesznie otworzyła drzwi i nie czekając na „tych” dwoje, ruszyła przed siebie.

– Wracam do domu – powiedziała bez zastanowienia.

– Zaczekaj! – zawołała Mary.

– Pani Anno! – zawołał Said.

– Mieliśmy zjeść kolację – przypomniała Mary.

– Beze mnie – machnęła ręką. – Życzę dobrej zabawy, ale nie moim kosztem.

Nie słuchała ich, chciała uciec stąd jak najdalej, a najlepiej wsiąść w samolot i wrócić do kraju. Kiedy szli korytarzem, pani doktor zawadziła stopą o najwyższy schodek. Klamra u sandałka urwała się i but wylądował dziesięć stopni niżej. Mary przystanęła, a El Dżajad zawrócił po jej but.

– Może pani mi zdradzi, o jakiej staruszce mowa? – zapytał lekarzę.

– A, takiej tam. Niewiele wiem, bo kiedy wyszłam z muzeum, Bette tłumaczyła coś o miłości, bogactwie, że zostanie w tym kraju... O Boże... znów się wygadałam.

– Więc Anna zna swoją przyszłość? – oddał but.

– Tak, zna, ale się jej boi.

– Przeznaczenia nie można zmienić – uśmiechnął się tajemniczo. – Choćby się przed nim uciekało – dodał w zamyśleniu.

– Co? – nie dosłyszała ostatnich słów.

– Proszę poczekać na tarasie, przekonam Annę, by została i zjadła z nami kolację.

Pani doktor usiadła na krześle. Pojawił się służący. Księżę polecił mu przynieść kobiecie szklanę z sokiem pomarańczowym, sam zaś pośpieszył za jasnowłosą. Była tuż za bramą. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, od tego mężczyzny. Całe to przedstawienie u wróżbity wytrąciło ją z równowagi. Co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego ten starzec ukląkł, twierdząc, że jest jego panią? I jeszcze te dzieci... Lepiej nie mógł wymyślić. Trzech synów i dwie córki. Nawet nie postawił jej kart, a mówił o... Co to za gra? – przystanęła, nie wiedząc, w którą stronę powinna się udać. Prosto, a może w lewo? Nawet nie zauważyła, kiedy Said zatrzymał się przed nią na drodze.

– Anno, zaczekaj – poprosił łagodnym głosem.
– Niech pan mnie zostawi w spokoju – próbowała go ominąć.
– Nie uciekniesz od przeznaczenia – zaszedł jej drogę. – Nie uciekniesz ode mnie.

Przystanęła.

– Niech się pan zajmie panią doktor. Uwielbia pana.
– Ona chce mojego majątku, nie mnie. Zresztą słyszałaś wróżbę – mówił spokojnie. – Nie jest mi przeznaczona.

– Przeznaczona? A co naprawdę mówił ten staruszek, kiedy składał dłonie jak do modlitwy?

– To był znak. Trzeci znak. Kiedy przepowiadał mi przyszłość, opisał jasnowłosą dziewczynę, która przyleci wielkim ptakiem z dalekiego kraju i mnie uszczęśliwi. Gdy cię zobaczył, powiedział, że jesteś kobietą z wróżby – nie odrywał od niej wzroku. – Tak, modlił się, że mógł cię poznać i złożyć ci hołd. On nie wiedział, że właśnie dzisiaj go odwiedzisz. Był zaskoczony twoją wizytą, a jednocześnie szczęśliwy. Czy teraz mi wierzysz? Czy przekonałem cię, że jesteś moim przeznaczeniem?

– Przeznaczona czy nie... – plątała się – proszę znaleźć sobie jakąś Arabkę, bo ja w życiu nie przejdę na islam. Wasza wiara nie do końca mi się podoba. I te prymitywne tradycje... Bez urazy – położyła dłoń na sercu. – Cenię wolność...

Mocno chwycił ją za przedramiona, aż się złękła. Znieruchomiała. Spojrzeli sobie w oczy.

– Nie proszę, abysь zmieniła wiarę i przeszła na islam – mówił spokojnie. – Jestem tolerancyjny. Moja prababka była protestantką, pradziadek nie kazał jej przejść na islam ani wyzbyć się dotychczasowej wiary. Ojciec też nie wymagał tego od matki.

– Nie, książę – wyszeptała. – Każdy mężczyzna jest dobry przed ślubem, wiele obiecuje, a potem staje się bestią.

– Jak mam cię przekonać, że moja miłość do ciebie płynie z serca, nie z chęci zniewolenia cię czy wykorzystania? Nie chcę brać cię siłą, ale... – gwałtownie przyciągnął ją do siebie i jak pijawka spragniona krwi przywarł do jej ust, wciskając język w rozchylone usta zaskoczonej dziewczyny. Poczowała, jakby prąd przebiegł wzdłuż jej ciała, a przyjemne ciepło rozeszło się wokół serca i spłynęło do łona. Nie czuła niczego podobnego, kiedy to

Steve ją całował. Przyjemne ciepło ciała księcia przylegające do jej piersi sprawiło, że poczuła się słaba i bezbronna, posłuszna woli Saida. Trwało to dłuższą chwilę, nawet strażnik czuwający w budce przy bramie do pałacu wyrzał na drogę. Pozazdrościł swojemu panu. To kobieta jest warta grzechu.

Książę przestał całować Annę. Jego policzek przytulał się do jej czoła.

– Jednak darzysz mnie odrobiną uczucia – szepnął. – Nie odpychasz mnie, nie protestujesz.

– Pozwól mi odejść – wyszeptała. Jej oddech był gorący, przyspieszony.

– Chciałbym, abyś zjadła ze mną wieczerzę – zwolnił uścisk.

– Nie mogę – odsunęła się od niego. – Ta... – szukała słów – wycieczka zmęczyła mnie. I jeszcze to... u wróżbity – wskazała pałac. – Nie jestem głodna, chcę odpocząć – odeszła krok od niego.

– Czy chcesz wracać do niewygodnego łóżka, ciemnego, zimnego namiotu?

– Tak. Nie przeszkadzają mi niewygody – patrzyła w ziemię. – Wracam do domu, choćby i na piechotę.

– Więc spełnię twoją prośbę i odstawię cię do domu. Jeśli obóz można nazwać domem. Nie mogę pozwolić, by tak piękna kobieta sama szła do obozu i narażała się na niebezpieczeństwo.

– Zaczekam przy bramie.

– Wróc ze mną. Tu naprawdę jest niebezpiecznie dla tak pięknej kobiety.

– Widzę strażnika. Obroni mnie, prawda?

– Jesteś uparta – uśmiechnął się.

Koniuszkami palców pogłaskał jej podbródek. Jego dotyk sprawił, że znów poczuła ciepło wokół serca. Nie było wątpliwości, że działał na jej zmysły i sprawiał, że mięknie. Powiedział coś do strażnika, a ten zrobił gest, jakby zasalutował. Powrócił do budki po broń.

– Nie tak miał się zakończyć ten wieczór – powiedział Said. – Zaczekaj przy stróżówce, uparta kobieto.

Zawróciła i usiadła na kamiennym bloku tuż przy murze. Przez chwilę patrzyła, jak El Dżajad pośpiesznie odchodzi w stronę pałacu. Powiał wiatr. Poczowała chłód. Odruchowo objęła się ramionami.

Strażnik nawet nie drgnął. Zamyśliła się. Musi wrócić do kraju, i to jak najszybciej. Spyta profesora Batemana, czy nie mogłaby wcześniej polecieć do domu. Przed wyprawą mieli umówionego kucharza, czy nie mógłby jej zastąpić? Kiedy się okaże, że znajdzie się taki ktoś, wróci do Stanów, do stryja. Znow zajmie się sporządzaniem jadłospisów, przygotowywaniem posiłków. Będzie zastępowała chore kelnerki. To takie nudne. Żadnego prywatnego życia. Praca od rana do wieczora. Czy naprawdę tego chce? A może, jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, Steve poprosi ją o rękę? Wyjdzie za męża, urodzi dwoje dzieci, bo tyle chce mieć, a nie pięcioro. A jeśli Steve po powrocie do kraju nie będzie chciał utrzymywać z nią kontaktów? Miałby do tego prawo po tym, co zrobiła, a właściwie co zrobił książę. Wcale nie pchała się w jego ramiona. Pewnie zostanie u stryja. Nie! Musi się usamodzielnic, stanąć na własnych nogach! A jeśli naprawdę jej przeznaczeniem jest zostać żoną El Dżajada? Zrobi z niej niewolnicę. Nie będzie mogła zabierać głosu przy stole, kiedy przyjdą goście. W tym kraju kobiety chyba nie siedzą przy stole z gośćmi mężów. Żadnych podróży, zakupów. Żadnych spotkań z koleżankami w ulubionej kawiarni. Nie będzie mogła iść na tańce. A tak lubi tańczyć. Urodzi dzieci, przytyje ze dwadzieścia kilo i kiedy znudzi się mężowi, weźmie sobie młodszą, a ona pójdzie w odstawkę. Dotknęła ust palcami prawej dłoni. „Muszę wrócić do Stanów. Nie mogę tu zostać. Nie wolno mi się zakochać! Do diabła z przeznaczeniem!”.

Jej uszu dobiegł stukot końskich kopyt uderzających o wybrukowaną kostką drogę. Spojrzała w bok. Wstała z kamiennego bloczka. Zbliżała się dwuosobowa bryczka zaprzężona w czarnego konia. El Dżajad i pani doktor siedzieli obok siebie. Dla niej brakowało miejsca.

– Proszę wsiadać – Said zaprosił gestem dłoni. – Zmieścimy się – przesunął się na bok, robiąc miejsce pośrodku.

Jak ma usiąść między panią doktor a księciem? Będą ściśnięci, przytuleni o siebie. On właśnie tego chce: by jej ciało dotykało jego boku. Pragnie jej. Nie, nie robi tego.

– Dla mnie za ciasno – skwitowała. – Siadam obok stangreta.

– W tym kraju kobiecie nie wolno siadać obok kierowcy, a co dopiero na koźle obok stangreta! Usiąść można tylko z tyłu.

- To idę pieszo – wzruszyła ramionami. – Dobranoc.
- Co za przekorna kobieta – pośpiesznie wysiadł z bryczki.
- Uparta – przyznała pani doktor.
- Lubię takie kobiety, są nieodgadnione i mają gorącą krew.

Proszę wsiadać.

Wymienili spojrzenia. Jego twarz była pogodna, a oczy zdradzały pożądanie. Anna usiadła obok pani doktor, a El Dżajad zajął miejsce obok swojego sługi. Bryczka ruszyła.

- Popsułaś wieczór – szepnęła Mary.
- To nie moja wina, że ktoś mi go popsuł – powiedziała cicho.
- Czy chodzi o mnie? – El Dżajad usłyszał jej słowa.
- O człowieka w kimonie.
- O co ci chodzi? O to dziwne powitanie? – Mary nie rozumiała jej niezadowolona. – Wprawdzie nie wiem, co do ciebie mówił, ale przyznasz, że przywitał cię po królewsku.
- No właśnie – powiedziała. – Chyba mnie z kimś pomylił.
- Ale jestem głodna – przyznała się Mary.
- Chciałem, abyście, panie, zjadły ze mną wieczerzę, ale szanuję wolę gości i nie zatrzymuje ich na siłę.
- A co miało być do jedzenia? – zaciekała się pani doktor.
- Nazywa się to chyba zapiekanka – zastanawiał się. – Tak. Dokładnie nie wiem, z jakich składników byłaby przyrządzona. Zawsze polegam na swoich kucharach. Na deser arbuzy i ananasy.
- Tak dawno nie jadłam arbułów – rozmarzyła się pani doktor. – Muszę powiedzieć bratu, by następnym razem, jak będą w mieście, kupili trochę owoców.

– Po co kupować? – zaprzeczył Said. – Jutro przyślę do obozu... powiedzmy... dziesięć arbułów. Czy to wystarczy?

- Będzie na dwa dni. Jaki pan hojny!

Dojechali do obozowiska. Brama była zamknięta, a obóz opustoszały. Przy jadalnym stole z kubkiem w dłoni siedziała Bette. Po chwili pojawił się Lee Jang. Otworzył bramę.

– Znów ich nie ma – bezradnie rozkładał ręce. – Już po raz trzeci mi to robią. Jak przyjdą, będą jedli zimną kolację. Nie będę im odgrzewał.

- Lee Jang, rozpuściłeś się – El Dżajad zwrócił mu uwagę.
- Pewnie wykopali coś ciekawego – wtrąciła Mary.

– Panie, wybacz, że się skarżę. Już trzeci raz mi to robią.
– Ja też spóźniam się na posiłki – przypomniał El Dżajad.
– Panie – położył prawą dłoń na sercu. – Ale w pałacu mogę wsadzić jedzenie do piecyka. Dużego piecyka. Tu nie ma takich warunków. Tu trzeba oszczędzać gaz.
– Ja nie czekam – postanowiła Mary. – Da nam pan coś zjeść?
– A kolacja? – Lee Jang popatrzył na ich twarze.
– Nie wyszła – El Dżajad puścił oczko do kucharza.
– Kiepska? – Jang nie zrozumiał swego pana. – Nie wiem, czy moja będzie smakować.
– A co ugotowałaś? – zaciekawiał się.
– Ryż ze śmietaną i cynamonem, krokiety.
– Coś kiepsko gotujesz. Nie najedzą się ryżem po tak ciężkiej pracy.
– Z obiadu został gulasz. Jak będą głodni, to jego też zjedzą.
Anna miała zrezygnować z kolacji, lecz usłyszawszy o swoim ulubionym daniu, postanowiła usiąść przy stole i dzielnie znosić spojrzenia Saida. Kucharz przyniósł trzy talerze gotowanego ryżu posypanego cynamonem i polanego słodką śmietaną.
– Śmietana? – Mary spróbowała. – To z proszku?
– Nie, to od kozy – powiedział Lee Jang z urazą w głosie. – Tak dobra koza, taka tłusta śmietana, a pani mówi: z proszku.
Zniknął w namiocie-kuchni. Pani doktor delikatnie wzięła do ust kolejną łyżkę, jakby siedziały na niej robaki. El Dżajad popatrzył na kobiety. Anna ze smakiem degustowała dietetyczną potrawę. Spojrzał na siedzącą w milczeniu Bette.
– A pani już jadła?
– Tak – potwierdziła.
– Chyba mało, bo jest pani blada.
– Nasza Bette spodziewa się dziecka – zdradziła Mary. – To początek ciąży.
– Gratuluję. Z pewnością będzie to syn.
– Skąd ta pewność? – wyrwało się Annie.
– Poczęty na tej ziemi, więc to musi być syn.
Mężczyzna patrzył, jak jasnowłosa wkłada do ust łyżkę z ryżem i brudzi się śmietaną. Gdyby byli sami, zlizalby znad jej ust tę białą smużkę. Nabrała kolejną łyżkę ryżu. Poczowała dziwne ciepło wokół

ust, jakby Said znów ją całował. Spojrzała w jego stronę. Wpatrywał się w nią, zastygła twarz i uniesiona ręka z łyżką ryżu zdradzały jego myśli. Mary i Bette zauważyły, z jakim pożądaniem mężczyzna obserwuje Annę. Czowała, jak palą ją policzki.

– Czy nie smakuje panu ryż? – spytała, kierując wzrok na swój talerz.

– Jest wyśmienity – przyznał.

– Ubrudziłaś się śmietaną – szepnęła Bette i wskazała miejsce nad ustami.

Anna uśmiechnęła się i wytarła usta w papierową serwetkę. Odczytała grzeszne myśli księcia. Pojawił się Lee Jang z odgrzаныmi krokietami nadziewanymi gotowaną kaszą, mielonym mięsem baranim, doprawione czosnkiem i cebulą. Bette podziękowała i odeszła od stołu. Zrobiło jej się niedobrze od zapachu przyniesionej potrawy.

– Ja odchodzę – zaprotestował. – Zaraz zajdzie słońce, a ich wciąż nie ma. Pani Anna zdrowa, może gotować. Ja wracać do pałacu.

– Niech się pan nie denerwuje – poprosiła Anna. – Jest pan wspaniałym kucharzem. Wszystkie potrawy są takie smaczne. Dziękuję za pomoc.

– Mnie mój pan nie dziękuje za posiłki. Pochwała z pani ust zastąpi mi brak pochwały od mojego pana.

– Mam nadzieję, że twój pan nie sprawi ci lania, panie Jang, za te słowa – spojrzała w stronę El Dżajada. – Prawda, księżę?

– Tym razem mu daruję.

– Miło mi to słyszeć. Gdyby było inaczej... to panie Lee Jang, wracaj do nas.

– Dziękuję. Jesteś, pani, łaskawa dla mnie. Takiej kobiety brakuje w pałacu mego pana.

– A chciałbyś, Lee, mieć taką panią w pałacu? – spytał Said.

– Tak panie – kucharz skierował wzrok w jej stronę. – Pani Anna pasuje do pana pałacu. Jest taka dobra.

– Nie – Anna wstała od stołu. – Mam dość.

El Dżajad podniósł się z ławki.

– A pani co się stało? – wskazał na niedokończony kawałek kroieta. – Nie smakuje pani?

– Smakuje – Anna była zdenerwowana.

– To czemu pani odchodzi?

Niezadowolona usiadła z powrotem na ławce. W milczeniu dokończyli posiłek. Kucharz przyniósł kubki z zieloną herbatą.

– Coś za długo nie przychodzą – zaniepokoiła się Mary. – Zmienię buty i pójdę sprawdzić, co się dzieje.

– Pójdę z panią – Anna wstała od stołu.

– Więc i na mnie pora – Lee Jang obszedł stół. – Życzę dobrej nocy.

Pani doktor ruszyła do swojego namiotu, by zmienić obuwie. Zostali sami. Anna nie wiedziała, czy już ma iść w stronę wykopalisk, czy czekać na panią doktor. Bała się zostawać sam na sam z El Dżajadem.

– Spotkajmy się, powiedzmy, w czwartek – zastanowił się. – Dla pewności przyślę gońca z zaproszeniem.

– Proszę tego nie robić – zaprotestowała.

– Dlaczego? – nie rozumiał.

– Wracam do gotowania i nie będę miała czasu na spotkania – unikała jego spojrzenia.

– Więc dobrze – wpatrywał się w jej twarz. – Będę panią odwiedzał.

– Panie, jestem gotowy – kucharz przerwał im rozmowę. – Życzę pani dobrej nocy. Gulasz jest szafie w chłodniczej. Nie chciałem, by muchy do niego wleciały.

– Dziękuję za pomoc, panie Lee – powiedziała Anna.

Kucharz wydobył z cienia namiotu swój sfatygowany motor.

– Pamiętaj, panie Lee! – zawołała na odchodnym. Jakby co, wracaj do nas.

– Będę pamiętać.

– To możemy iść – pojawiła się pani doktor.

– Dobrej nocy – El Dżajad pożegnał kobiety.

Z niechęcią wsiadł do bryczki. Kucharz odpalił silnik motocykla i ruszył tuż za bryczką. Kobiety skierowały się w stronę wykopalisk.

– Boże, jak on na ciebie patrzy – zaczęła pani doktor. – On się w tobie kocha.

– Nie chcę jego miłości – odparła.

– Daj spokój. Jest taki przystojny, bogaty...

– Jest... – Anna szukała słów – nie dla mnie. Ten kraj, te obyczaje są mi obce.

– Coś ty. Własna służba, lenistwo. Własna niańka do dzieci. Nie musisz pracować, on cię utrzyma.

– To niech pani wskoczy mu do łóżka.

– Słyszałaś, że czeka mnie inny los. Szkoda, że nie dałaś sobie powróżyć. Bette nie chce mi powiedzieć, co ta kobieta ci przepowiedziała.

– I niech tak zostanie.

Nie uszły daleko. Ekipa wracała do obozu. Coś było nie tak. Wszyscy zmęczeni, umorusani. Profesor Marchol wspierał się na ramieniu Durella, a arabscy wieśniacy nieśli na noszach Toma.

– Co wam się stało? – Anna wyprzedziła słowa Mary.

– Mieliliśmy wypadek – informował Durell. – Zasypało nas. Marchol jest niedotleniony.

– Czy wszyscy cali? – zaniepokoiła się pani doktor.

– Tom ma coś z ręką, nogami.

– A reszta? – Anna miała na myśli Steve'a.

– Jestem cały – zauważył jej troskliwe spojrzenie.

Kiedy znaleźli się w obozie, zapadał zmrok. Pani doktor zbadała poszkodowanych. Profesor Marchol miał lekką arytmieję, Tom stłuczenie kręgosłupa w okolicy lędźwi i – jak podejrzewała – pęknięty obojczyk. Rano trzeba była jechać do szpitala zrobić prześwietlenie. Pozostali mężczyźni zanim zasiedli do stołu, wzięli kąpiel i przebrali się w czystą odzież. Anna odgrzała kolację. Zjedli po dwa krokiety, wypili po litrze herbaty i udali się na spoczynek. Następnego dnia wstali później niż zwykle. Zasiedli do stołu, nie zauważając, że śniadanie roznosi Anna. Dopiero Steve dostrzegł tę zmianę.

– A co ty tu robisz? – spytał. – Gdzie Lee Jang?

– Zakończył swoją misję – postawiła przed nim kubek z herbatą.

– Mój urlop się skończył.

– No i dobrze – bąknął pod nosem.

Wiedziała, o co mu chodzi. Teraz, kiedy powróciła do gotowania, nie będzie miała czasu odwiedzać El Dżajada. „Gdybyś wiedział, że chcę wyjechać, nie dąsałbyś się” – pomyślała. „Kto inny będzie wam gotował. Już nie będziesz o mnie zazdrosny. Po śniadaniu

porozmawiam z profesorem Batemanem i być może za parę dni opuszczę ten kraj”.

Tom nie pojawił się na śniadaniu. Gorzej się czuł. Nie mógł siedzieć ani ruszać ręką. Garry zaniósł mu posiłek do namiotu i pomógł jeść. Nie było innego wyjścia, jak udać się z chorym do szpitala. Pani doktor przygotowała się do wyjazdu. Kiedy profesor Bateman odchodził od stołu, Anna pośpieszyła za nim.

– Chciałabym porozmawiać z panem bez świadków.

– Czy to coś ważnego? – przystanął.

– Mam mały problem... – wahała się. – Osobisty problem.

– Toma trzeba jak najszybciej zawieźć do szpitala – przerwała im pani doktor. – Podejrzewam, że pęknięcie obojczyka jest dość poważne. Trzeba zrobić prześwietlenie, założyć gips. I te jego nogi...

– To fatalnie – powiedział Bateman. – Już organizuję wyjazd. Zabierz stosowne dokumenty – był zakłopotany. – A o czym chciałaś mówić? – zwrócił się do Anny.

– To może poczekać. Tom jest ważniejszy – posłała mu wymuszony uśmiech.

Wróciła pod namiot-jadalnię i w zamyśleniu zbierała brudne talerze. Czy po raz drugi zbierze się na odwagę i powie profesorowi o swoim problemie? Czy ją zrozumie? Gdy była tak blisko wyjawienia, co ją gryzie, jak zwykle pojawiła się pani doktor. Zawsze wchodzi jej w drogę w najmniej oczekiwanym momencie.

Pojawił się samochód z arabskimi wieśniakami. Abdur Rahim, zapoznawszy się z zaistniałą sytuacją, postanowił jechać do szpitala jako tłumacz. Pacjent będzie lepiej traktowany, jeśli wśród nich będzie dostojny, znany Syryjczyk. zaproponował swój większy samochód. Tom mógł swobodnie leżeć na trzech złożonych na pół kocach, nie odczuwając większych wstrząsów. I tak oto w pięć osób pojechali do Aleppo. Pani doktor przez całą drogę doglądała pacjenta.

Reszta załogi udała się do ruin. W obozie został profesor Marchol. Po wczorajszej nieprzyjemnej przygodzie jego stan pogorszył się. Narzekał na bóle w okolicach klatki piersiowej, ciężko mu się oddychało. Nie był to jednak początek zawału, lecz skutek traumatycznego przeżycia. Po zażyciu odpowiedniej dawki leku

Marchol odpoczywał w swoim namiocie. Miał zakaz wykonywania ciężkiej pracy przynajmniej przez pięć dni.

Pojawił się Lee Jang. Przywiózł pięć dorodnych dojrzałych arbuzów. Był to prezent od jego pana. Wspaniały poobiedni deser.

Kiedy Anna przygotowywała obiad, Bette przyszła do namiotu--kuchni. Usiadła na taborecie i zapytała o wczorajszą wycieczkę. Była ciekawa, czy most ze snu wygląda tak samo. Anna w skrócie opowiedziała o wyprawie w góry, przejściu przez most i o tym, jak pani doktor zgubiła sandał.

– A dlaczego kolacja wypadła kiepsko? – Bette przypomniała sobie słowa Saida.

– Widzisz... – zamyśliła się. – El Dżajad ma wróżbitę. Pani doktor zachciało się, by jej powróżył – usiadła na drugim taborecie. – Stało się coś, czego nie rozumiem... Co mnie wystraszyło...

Zapadła cisza. Niełatwo było znów przeżywać wszystko to, co wydarzyło się w okrągłym domku astrologa.

– Co się wydarzyło? Mów.

– To trochę dziwne. Ten staruszek... wróżbita... przywitał mnie w języku francuskim. Upadł na kolana... jakbym była królową. To nedorzeczne. Nazwał mnie jego panią czy naszą panią. Jakoś tak, cokolwiek to znaczy. Chciałam uciec. Najpierw myślałam, że to sprawka El Dżajada, że to on wszystko uknuł, by mnie przekonać, że jestem mu przeznaczona... Bym w to wszystko uwierzyła. Ale Said nie wiedział, że pani doktor będzie chciała sobie powróżyć. A może chciał nam to powiedzieć przy kolacji. Wiesz, co mi powiedział, jak już wychodziłam?

– Że tobie też chce powróżyć? – odpowiedziała Bette pytaniem.

– To też, ale Mary się wygadała, że znam swoją przyszłość, że jakaś kobieta przepowiedziała mi szczęście i bogactwo. Chyba nie powiedziałaś jej, co gadała mi ta starucha?

– Nie – zaprzeczyła Bette. – Okłamałam ją, że to trwało krótko i na nic się nie spóźniła. Ona zaraz by wszystko wypaplała, a nie chcę, by ty i Steve...

– Wiesz, chyba straciłam Steve'a. Może kiedy wrócę do kraju, zaczniemy wszystko od początku.

– A wróżba? – przypomniała.

– Właśnie, wróżba... – Anna zastanowiła się. – Mam nadzieję, że tak naprawdę się nie spełni. Że uda mi się przerwać to... – szukała słów. – Ja tego nie chcę. Boję się – zacisnęła palce w pięści. – I jeszcze na wychodnym staruszek powiedział, że urodzę jego panu trzech synów i dwie córki.

– Nie mów! – Bette była zaskoczona. – Co na to nasza Mary?

– Ona nie wie, co mówił ten wróżbita. Na szczęście powiedział to po francusku.

– Boże – Bette odruchowo przyłożyła palce prawej dłoni do czoła.

– Co ci jest? – Anna wstała z miejsca.

– Mnie nic – spojrzała na koleżankę. – Ale ty... Jak chcesz z tego wybrnąć? Od tego nie ma ucieczki. Przeznaczenie wypełnia się.

– Mam jeszcze jedno wyjście. Powiem ci, jak uda mi się to załatwić.

– Co chcesz zrobić?

– Wrócić do kraju.

– To dobry pomysł. Mówiłaś o tym ze Steve'em?

– Nie. Nic nie mów ani jemu, ani pani doktor. Porozmawiam z profesorem Batemanem.

Poczuła przyjemne ciepło w okolicy serca, dotyk gorących warg Saida na jej ustach. Jęknęła i usiadła na taborecie, przykładając dłoń do ust. Marzył o niej podczas wczorajszej kolacji, gdy jedząc ryż, ubrudziła się śmietaną. Czuła, jak trzyma ją w ramionach, ciepło jego ciała rozlewała się po jej piersiach.

– Co się stało? – Bette zaniepokoiła się.

– Nie, nic – powiedziała cicho. – Muszę stąd wyjechać.

– Na pewno nic ci nie jest? Spaliście ze Steve'em?

– No coś ty? – roześmiała się. – Myślisz, że jestem w ciąży? Nie, coś mi się przypomniało. Jak wyjadę, pani doktor będzie mogła bez końca umizgiwać się do El Dżajada. Ciekawe, czy jej przyszłość z wróżby pozostanie ta sama, czy los tej kobiety jednak się odmieni.

– A, to o to chodzi.

Annie udało się oszukać koleżankę, zmieniając temat rozmowy. Przecież nie mogła powiedzieć, że Said ją pocałował i czuła się przy nim słaba, bezradna. Że jego pocałunek był miłszy niż pocałunek Steve'a. Ze poczuła coś dziwnego. Inni słyszą dzwony, a ona

poczuła przeszywający prąd i przyjemne ciepło wokół serca. Nigdy przedtem nie doświadczyła niczego podobnego. To będzie jej tajemnica, której nikomu nie zdradzi. Ciekawe, czy kiedy wyjedzie, nadal będzie odczuwać bliskość Saida?

Nie mogła doczekać się przyjazdu profesora Batemana z miasta. Chciała porozmawiać z nim o powrocie do kraju. Pewnie są kłopoty w szpitalu i nikt nie ma czasu dla amerykańskiego pacjenta. Nie myliła się. Kiedy tuż przed kolacją cała piątka powróciła z Aleppo, Mary nie kryła niezadowolenia. Gdyby nie interwencja Abdur Rahima i dyrektora muzeum, siedzieliby do rana, czekając na pomoc. Po wykonaniu prześwietlenia okazało się, że Tom ma pęknięty obojczyk w dwóch miejscach oraz stłuczoną kość ogonową. Chcieli zostawić go w szpitalu, lecz zaprotestował. Lepszą opiekę będzie miał w obozie niż w nieprzyjaznym dla turystów muzułmańskim szpitalu. Założono mu gips i tak oto udało im się powrócić do domu na kolację. Tak już nazywano teren obozu: „nasz dom”.

Minął dzień. Anna nie porozmawiała z profesorem o powrocie do kraju. Zrobi to jutro, najlepiej przed śniadaniem. Jednak następnego dnia to ona nie miała czasu porozmawiać z profesorem. Zmarnowała rano pół godziny na szukanie kozy. Zwierzę urwało się ze sznurka, wyskoczyło z ogrodzenia i uciekło na step. Dojenie, przygotowywanie śniadania, powracający ból nadgarstka sprawiły, że Anna miała dwudziestominutowe opóźnienie. Postanowiła, że porozmawia z profesorem po obiedzie. Minął kolejny dzień, a ona zostawała sama ze swoim problemem. Znowu nie mogła spać w nocy. Czowała bliskość Saida, jego pocałunek, ciepło ciała tego mężczyzny. Muzyka płynąca z tranzystorowego radia pozwalała jej przetrwać kryzys.

Jakby miała mało trosk, trzeciego dnia zaraz po śniadaniu odwiedził ją El Dżajad. Wyrabiała akurat ciasto na chleb. Miała nadzieję, że tym razem nie spotka ją niemiła niespodzianka, jak w dniu, kiedy wybuchła zapasowa butla z gazem. Ujrzała go z daleka. Jechał na swym czarnym koniu, ubrany w beżową koszulę i beżowe spodnie. Na głowie miał fez. Serce Anny zaczęło szybciej bić. Starła się nie patrzeć, jak książę zsiada z konia i podchodzi do

namiotu-kuchni. Powitał ją jednym słowem. Odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– To dla ciebie – zbliżył do jej twarzy bukiet złożony z trzech białych lili. – To symbol niewinności. Pasują do ciebie.

– Dziękuję – była zakłopotana. – Proszę położyć na stole.

– Potrzymam. Są tak delikatne, że kwiaty mogłyby się połamać, gdybym położył je na twardym stole. Czy mogę usiąść? – wskazał taboret.

– Proszę.

– Dziękuję – usiadł, trzymając bukiet. – Kiedy ostatnim razem zamierzałaś upiec chleb, miałaś drobny wypadek. Dla ciebie było to cierpienie, dla mnie radość.

– Radość z cudzego nieszczęścia?

– Radość poznania ciebie.

– A gdyby się to nie wydarzyło, czy nadal przyjeżdżałby pan do naszego obozu?

– Tak – przyglądał się, jak wyrabia chleb. – Husam powiedział, że w obozie są trzy kobiety. Ja wciąż widziałem dwie. Nie sądziłem, że kucharz może być kobietą.

– Wcześniej byłam dla pana mężczyzną?

– Tak. Młodym, ładnym mężczyzną – uśmiechnął się, pokazując swoje białe zęby. – Nie mów mi „pan”. Znasz moje imię.

Ciasto przestało kleić się do rąk. Anna rozdzieliła je na cztery równe części i włożyła do przygotowanych foremek.

– Nie przystoi ci gotować dla innych.

– A dla kogo?

– To tobie powinni usługiwać.

To, co powiedział, rozbawiło ją. Roześmiała się bezgłośnie.

– Drogą księżę, nie urodziłam się księżniczką. Na wszystko, co mam, musiałam sama zapracować.

Tak naprawdę nic nie miała. Nic, czym mogła się pochwalić: własnej rodziny, domu i życia.

– Nie musisz pracować. Przybądź do mojego pałacu, a twoje życie całkowicie się odmieni.

– I co? – spojrzała na niego. – Zostanę pana nałożnicą?

– Nie, moją żoną – jego twarz była poważna.

– A...? – odwróciła od niego wzrok. – To już tak daleko zaszliśmy z tą znajomością?

– Mówię poważnie, wyznaję ci swoje uczucia, a ty traktujesz to jak zabawę.

– Dla mnie to nie zabawa – powiedziała z powagą w głosie.

– To dlaczego nie wierzysz w szczerą moich zamiarów?

Chciała odsunąć foremkę z ciastem chlebowym na bok, gdy poczuła ostry ból w lewym nadgarstku. Syknęła, prawą dłońią łapiąc się za bolące miejsce. Mężczyzna wstał. Odruchowo chciał jej pomóc. Odsunęła się na bok.

– Jednak twoja ręka nie jest zdrowa.

– Nie szkodzi... wytrzymam. Nie taki ból przetrwałam.

– Jesteś upartą kobietą. Jeśli chcesz, przyślę Lee Janga.

– Dziękuję, dam sobie radę. Drugą rękę mam zdrową.

W namiocie pojawiła się Bette. Na widok El Dżajada nie wiedziała, jak się zachować. Mężczyzna przywitał ją, odpowiedziała mu tym samym.

– Przyszłam po wodę. Tom chciał popić tabletkę.

– Jest już kompot – Anna wskazała garnek stojący na końcu stołu.

– Czy ktoś zachorował? – zaciekawiał się Said.

– Tak – oznajmiła Bette. – W ruinach był wypadek. Jeden ze studentów został ranny.

– Czy to coś poważnego?

– Raczej tak – Bette mówiła dalej. – Tom ma pęknięty obojczyk i stłuczony kręgosłup.

– Czy nie powinien leżeć w szpitalu? – zasugerował El Dżajad.

– W waszym szpital nikt nie był skory szybko zbadać Amerykanina. – Anna powiedziała z naciskiem w głosie.

Bette spojrzała na nią znacząco i wyszła z namiotu z kubkiem kompotu w ręce.

– Nie lubisz nas? – wpatrywał się w jej twarz.

– Nie mnie osądzać postępowanie waszych lekarzy.

Jej wymijająca odpowiedź bardzo mu się spodobała. Mądra kobieta.

– Ranny powinien wrócić do kraju – podpowiedział.

– Jak znów zacznie chodzić, pewnie profesor Bateman wyśle go do Stanów. Tutaj już się nie przyda.

– To aż tak z nim źle? Może na czas niedyspozycji zamieszka w lepszych warunkach?

– U pana?

– Mam wiele pokoi.

– To miłe, ale obawiam się, że Tom woli być wśród swoich.

Do jej uszu dobiegło ciche pikanie. Spojrzała w stronę Saida. Sięgnęła do kieszeni spodni i wyjął z niej małe urządzenie namierzające.

– Ten kraj nie jest tak zacofany, jak myślisz – wręczył jej bukiet. – Wzywają mnie obowiązki – skłonił głowę. – Do zobaczenia.

Podszedł do konia. Zanim wsiadł na jego grzbiet, sprawdził, czy jasnowłosa patrzy, jak odchodzi. Spoglądała na niego z bukietem lili przytkniętym do twarzy. Zastanawiała się, jak długo książkę będzie ją nachodził. Miała nadzieję, że nie przybędzie do obozu w dniu wyjazdu, o ile uda się jej porozmawiać na ten temat z profesorem.

Wstawiła kwiaty do słoika z wodą. Umyła ręce, pozbywając się resztek ciasta. Udała się do namiotu pani doktor, by ta unieruchomiła jej nadgarstek elastycznym bandażem. Kiedy była blisko namiotu, usłyszała, jak Mary z kimś rozmawia.

– Ona to ma szczęście – mówiła pani doktor. – Zakochał się w niej bogaty książkę, a ona go odtrąca. Gdyby to mnie wybrał, nie zastanawiałabym się nawet minuty.

– Anna jest rozsądna – odezwała się Bette.

– Rozsądna? Niemądra. Pomyśl: własny kucharz, własna służba. Nie musiałyby gotować, sprzątać, pracować. Byłaby ustawiona na całe życie.

– Ona inaczej na to patrzy.

– Taki mężczyzna, samiec... silny... zgrabny... Te jego uda – w jej głosie brzmiał zachwyt. – Musi być wspaniałym kochankiem. Szkoda, że nie mnie jest przeznaczony. Byłabym wielką panią. Pewnie ma tony złota, biżuterii. Ciekawe, kiedy podaruje Annie pierścionek?

Dziewczyna nie chciała tego słuchać. Zawróciła do namiotu, znalazła stary, trochę zabrudzony bandaż, uprała go i mokrym materiałem obwiązała bolący nadgarstek. Zapach lili był tak ostry,

że musiała wynieść kwiaty z namiotu. Ale gdzie je postawić, żeby nie rzucały się w oczy? Chwila zastanowienia. Spojrzała w dal. Jej wzrok zatrzymał się na czubkach palm rosnących w oazie. Tak, tam będzie im dobrze. Zaniósła słoik z kwiatami do oazy i umieściła go w cieniu ciernistych krzewów. Obłożyła szkło kamieniami, by wiatr go nie przewrócił. Jeszcze raz nacieszyła się słodkim zapachem kwiatów, po czym powróciła do namiotu-kuchni. Ciasto na chleb było wyrośnięte, pora je upiec. Zabrała się za gotowanie obiadu. Zaczęła od drugiego dania. Do ryżu, którego wczoraj ekipa nie zjadła, dodała mielonego mięsa, doprawiła do smaku i zrobiła pulpety w sosie pomidorowym. Do tego makaron spaghetti. Na pierwsze danie zupa gulaszowa. Wszyscy prosili o dokładkę i jakoś nikt nie zauważył, że znów ma na ręce bandaż. Pewnie dlatego, że chodziła w nim przez ostatnie dwa tygodnie. Zauważyła go wieczorem pani doktor, gdy Anna roznosiła kubki z herbatą.

– Co z twoją ręką? – zaciekawiała się. – Znów cię boli?

– Boli – przyznała się.

– Lee Jang za wcześnie od nas odszedł – stwierdziła Mary.

– No właśnie – potwierdził Bateman. – To o nim chciałaś mówić czy o ręce?

– O czymś innym. Na osobności.

– Ooo... Nasza Anna ma sekrety – Durell spojrzał na dziewczynę.

– To chodźmy – Bateman podniósł się z ławki.

– Proszę zjeść – powstrzymała go Anna. – To może poczekać.

To nie tak miało wyglądać. Chciała zrobić to dyskretniej, ale skoro już się stało, poczeka, aż profesor zje kolację i zostaną sami. Tym razem Bateman przyszedł do namiotu-kuchni.

– To o czym chciałaś porozmawiać? – spytał.

– Powiem wprost – spojrzała mu w twarz. – Chcę wrócić do kraju.

– A to dlaczego? – nie rozumiejąc decyzji Anny, spojrzał w jej oczy. – Czy źle ci z nami?

– Nie – uśmiechnęła się. – Jest mi tu dobrze, prawie jak w rodzinie, którą dawno temu straciłam. Mam pewien problem, którego tutaj nie rozwiążę.

– Jesteś w ciąży ze Steve'em? – przypuszczał.

- Broń Boże – zaśmiała się. – Nawet nie spaliśmy ze sobą.
- Nie? – był zaskoczony. – A wszyscy o tym mówią... Cholera, wygadałem się.
- W porządku. Tak to wygląda, ale jest zupełnie inaczej.
- Więc czemu chcesz wyjechać?
- Powodem jest Said El Dżajad. Boję się go. Narzuca mi się, a ja go nie chcę.
- To czemu odpowiadasz na jego zaproszenia? Czemu go odwiedzasz? Kusisz go.
- Ja go kuszę? – przecząco pokręciła głową. – Pocieszył mnie pan. Jak mam mu odmówić, skoro sam mnie odwiedza? A jak mu odmawiam, mści się na swoich sługach – zaczęła nerwowo kręcić się po kuchni. – Boję się, że jak będę go unikać, zacznie wyładowywać się na was, na załodze.
- Dlaczego miałby to robić?
- Nie wiem. Mam przeczucie, że może to robić. To żołnierz... jest u siebie. Skoro może bezszelestnie wchodzić nocą do namiotu, to co dopiero zrobiłby w dzień...
- Raz się zdarzyło i nie ma pewności, że to był El Dżajad.
- U mnie był innej nocy – umilkła. Niechcący się wygadała.
- A to nowina – nie dowierzał. – Był w twoim namiocie i nic nam nie powiedziałaś? Nie krzyczałaś?
- Ciekawe, czy pan by krzyczał, kiedy nie wiadomo, czy to nie sen, czy człowiek się obudził, czy jeszcze śni – miotła się.
- Jesteś pewna, że to był on?
- Tak. Czułam zapach kwiatów. Zresztą powiedział mi o tym. To niby jakiś znak, że nie krzyczałam. Ale...
- Nic ci nie zrobił?
- Nie. Przez chwilę na mnie patrzył, a potem wyszedł.
- Wierzę ci – profesor zamyślił się. – Pan El Dżajad był bardzo zainteresowany twoją osobą na przyjęciu urodzinowym. Dostłownie gwałcił cię wzrokiem.
- Bez przesady, profesorze.
- Szkoda, że nie powiedziałaś mi o tym, jak jechaliśmy z Tomem do szpitala.
- Chciałam... Nie było czasu.

– To prawda. Dobrze, pojedę z Markiem do miasta i zadzwonię do Stanów... Może John będzie mógł cię wymienić.

– Dziękuję.

– Podziękujesz mi, jak wszystko uda się załatwić – zrobił dwa kroki do wyjścia. – Może do tego czasu zamieszkas w namiocie z Mary.

– Nie. Tu mi dobrze.

– Ale dla ciebie niebezpiecznie. Sama mówiłaś, że El Dżajad nocą zakradł się do twojego namiotu.

– Nie weźmie mnie bez mojej zgody.

– Jesteś pewna? – spojrzał jej w twarz.

– Tak. Jestem pewna.

– Jak uważasz. Jesteś kobietą... Ładną kobietą. Licho nie śpi.

Profesor opuścił namiot. Odetchnęła z ulgą. Ucieszyła się, że poważnie potraktował jej problem. Jest nadzieja, że jeszcze w tym miesiącu opuści ten kraj i Said El Dżajad będzie tylko miłym wspomnieniem.

Był jeszcze ktoś, kto znał część rozmowy Anny z profesorem. To wścibska pani doktor podsłuchiwała, o czym rozmawiają. Miała to być tajemnica do momentu przybycia nowego kucharza. Po dwóch dniach wiadomość o planowanym wyjeździe Anny dotarła do uszu Steve'a. Po kolacji poszedł do namiotu-kuchni. Dziewczyna myła naczynia.

– Słyszałem, że chcesz wyjechać.

– Kto ci powiedział? – była zaskoczona.

– Nieważne. Czy to z mojego powodu?

– Nie. Po prostu nie chcę dłużej tu przebywać. Męczą mnie upały.

– Jesteś wytrzymała – Steve usiadł na taborecie. – A tak naprawdę, jaki jest powód twojej decyzji? Mnie możesz powiedzieć.

– Po co mam mówić, skoro już dawno odsunąłeś się ode mnie?

– A jednak wyjeżdżasz z mojego powodu – wstał.

– Kto powiedział ci o wyjeździe?

– Czy to ważne?

– Owszem. Ty mi powiesz, kto ci o tym powiedział, a ja zdradzę powód wyjazdu.

Steve wahał się przez chwilę.

- Mary słyszała, jak rozmawiałaś z Batemanem.
- Cała pani doktor – pokręciła głową.
- Teraz ty. Ja zdradziłem ci, kto mi powiedział.
- Powodem wyjazdu jest Said El Dżajad – dostawiła ostatni talerz na suszarkę.
- Skrzywdził cię? – usiadł ponownie.
- Nie. Boję się go. Boję się, że może zrobić coś złego, kiedy... – zawahała się. – Kiedy mnie tu nie będzie, przestanie odwiedzać obóz. Będziecie mieć spokój.
- Czy po powrocie do kraju będziesz o mnie pamiętać?
- Nie mogłabym cię zapomnieć – spojrzała na niego z uśmiechem.
- A czy kiedy już wrócimy z wyprawy... chcesz, żebyśmy spotykali się w Stanach?
- Powiedziałeś to tak, jakbym była dla ciebie przelotną miłostką. Dobrze, że wyjeżdżam – zabrała się za mycie kubków.
- Nieprawda. Nie jesteś dla mnie przelotną miłostką – wstał i podszedł do niej. – Bardzo mi na tobie zależy, ale wszystko się pogmatwało i potrzebuję czasu, by to poukładać... przemyśleć.
- To masz na to przeszło dwa miesiące. Kiedy skończy się kontrakt, wrócisz do kraju, do codziennych obowiązków i dojdiesz do wniosku, że tak naprawdę mnie nie potrzebujesz.
- Nie mów tak.
- Tak będzie. Rozgłos, sława, wywiady. Przy takim tempie życia uda ci się o mnie zapomnieć. A jak będzie naprawdę, czas pokaże.
- Właśnie – zastanowił się. – Czas pokaże. Dobranoc.
- Steve wyszedł z namiotu-kuchni. Anna umyła resztę kubków. Kiedy szła wylać wodę z miski, spojrzała w stronę wzgórz. W oddali majaczyły trzy wieże pałacu.
- Już niedługo, drogi panie El Dżajad, nie będę oglądać twojej postaci – powiedziała do siebie.

*

Upłynęły cztery dni od rozmowy Anny z profesorem o jej powrocie do kraju. Cztery spokojne dni, bez wizyt Saida El Dżajada. Właśnie o takich marzyła. Bateman znalazł czas, by pojechać do miasta po

paliwo do agregatów prądotwórczych, a przy okazji zadzwonić do mieszkającego w Atlancie Johna. Anna modliła się w duchu, by nowy kucharz był w domu i zgodził się zastąpić ją w Syrii. Już widziała siedzącą siebie w samolocie i szczęśliwe lądowanie. Miłe powitanie przez personel pensjonatu stryja. Długie rozmowy, przyjęcie na jej cześć. Poczła ciepło w okolicy serca, czuła się, jakby ktoś ją obejmował. Znów to uczucie, jakby Said wargami dotykał jej ust. Rozejrzała się nerwowo, jakby chciała się upewnić, czy El Dżajad nie zbliża się do obozu. Czy nie czai się wśród pagórków i patrzy przez lornetkę, sprawdzając, czy jest sama w obozie. Kiedy wszyscy udadzą się do wykopalisk, przyjedzie na swym czarnym koniu...

Otarła pot z czoła.

– Dobrze się czujesz? – Steve zauważył jej niepokój.

– Tak, dobrze – skłamała. – Trochę tylko mi duszno.

– Zbladłaś. Zawołać panią doktor?

– Tak? To pewnie z upału. I ta ręka mi dokucza.

– Po powrocie do kraju odpoczniesz od upałów – podszedł do niej. – I od garów.

– Będę je miło wspominać, kiedy przyjdzie zima i spadnie śnieg.

– A mnie? – stanął pół kroku przed nią.

– Szkoda, że chcesz być tylko wspomnieniem – uśmiechnęła się.

– A ty chcesz, żeby to dłużej trwało?

– A ty? – spojrzała mu w oczy.

– Chciałbym przedłużyć naszą znajomość o jakieś... – zatrzymał wzrok na jej ustach – pięćdziesiąt lat.

– Mówisz poważnie? – wytarła mokre ręce w fartuch, nie spuszczać wzroku ze Steve'a.

– Tak – zbliżył się bardziej. – Przemyślałem wszystko.

Prawą ręką objął ją w pasie, lewą potrzywał głowę, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Nie czuła przyjemnego ciepła wokół serca, prądu przeszywającego jej ciało. Niczego, co działałoby na jej zmysły. Dlaczego to wszystko poczuła, kiedy to Said ją całował? Czy gdyby książkę ponownie ją pocałował, powróciłoby ciepło, przeszyłby ją dziwny prąd? Nie może tego sprawdzić. Musi jak najszybciej stąd uciec. Rozległy się brawa. Odsunęli się od siebie. Spojrzeli w bok.

– Brawo! – zawołał Garry. – Jak miło widzieć was razem.

– Weźcie się do roboty, chłopcy – zaproponował Steve.
– Nic z tego. Dzisiejsze popołudnie jest wolne. Wieśniacy mają święto.

– To idźcie na spacer.

– Brak nam odrobiny uczucia i kobiet – wtrącił Dan.

– Tak? No to patrzcie dalej.

Steve zaczął całować Annę po brodzie, szyi.

– Co ty wyprawiasz? – zawstydziała się.

– Cicho. Robię im kawał. Nie ruszaj się.

Przesunął usta na jej policzek, ukradkiem zerkając na wpatrzonych w nich studentów. Powoli zaczął rozpinąć jej bluzkę. Najpierw jeden guzik, potem drugi, trzeci. Spojrzał w jej dekolt i na chwilę zastygł w bezruchu. Nie miała biustonosza. Annie zrobiło się głupio. Steve spojrzał w stronę chłopaków.

– Koniec części pierwszej – powiedział głośno.

Rozległ się okrzyk niezadowolenia. Steve odsunął się od Anny. Zapięła bluzkę.

– Nie mogłeś, profesorze, pokazać choć rąbka stanika? – David był zawiedziony.

– Niestety – uśmiechnął się. – Nie ma go na sobie.

– Ooo, zdrajca – Anna klepnęła go w ramię.

– Chciałbym to zobaczyć – zażartował Garry.

– Idźcie lepiej do ruin – zaproponował Steve.

– Właśnie, chodźcie – Dan zachęcił gestem dłoni.

– Znowu? – westchnął Garry. – Już mi się one śnią po nocach.

Anna nie zdawała sobie sprawy, że tam w oddali Said, będąc w swojej wieży, obserwuje obóz Amerykanów. Był wściekły, widząc, jak Steve całuje jego kobietę, a ona przyjmuje jego pieszczoty z radością – i to na oczach innych mężczyzn. Gdyby miał czas, pojechałby do obozu, zabił konkurenta, a Annę porwał do swego pałacu i wychłostał pejczem. Tylko innowierca tak bezwstydnie okazuje swoje pożądanie wobec kobiety. Anna nigdy nie będzie kobietą Amerykanina, tylko jego. Sprawি, że sama przyjdzie do jego pałacu – i to bez zaproszenia.

Kiedy profesor Paul Bateman powrócił z miasta, miał dla Anny dobrą wiadomość.

– Jak dobrze pójdzie, już za tydzień wrócisz do kraju – powiedział.

– Cudownie – odruchowo rzuciła mu się na szyję i uściskała go z radości.

– Chwileczkę. Nie uduś mnie.

– Przepraszam – zawstydzona odsunęła się od niego. – Tak się cieszę.

– Za trzy dni John będzie mógł przylecieć do Syrii, o ile uda mu się załatwić wszystkie formalności. Kiedy do nas dotrze, będziesz mogła wrócić do kraju.

– To już bliżej niż dalej – powiedziała bez składu. – Czy ten John był bardzo zaskoczony telefonem od pana?

– Prawdę mówiąc, tak. Nawet się ucieszył, że o nim pamiętałem. Kiedy mu powiedziałem, że jest potrzebny zmiennik, powiedział, że wreszcie się opali, odpocznie od miasta i spalin.

– Jest problem – zawahała się. – Nie mam pieniędzy na bilet.

– Tym się nie martw. Wrócisz do kraju razem z Tomem. Zaopiekujesz się nim na lotnisku. Z jedną zdrową ręką nie poradzi sobie z torbami. Pasuje?

– Tak, dziękuję.

Radość rozpieła jej serce. Już za tydzień wróci do kraju. Wróżba się nie spełni i Anna wreszcie uwolni się od Saida El Dżajada.

Szczęśliwa z takiego obrotu spraw, położyła się do snu. „Dom, kochany dom” – uśmiechała się do swoich myśli. „Wprawdzie nie mój, tylko stryja, ale za to cichy, bezpieczny, a co najważniejsze – we własnym kraju. Pierwsze, co zrobię, to urządzę przyjęcie z tańcami i alkoholem. Tak dawno nie tańczyłam”. Przyłożyła głowę do poduszki, mając nadzieję na pomyślny proroczy sen. Pojawił się proroczy sen, lecz nie o powrocie do kraju. Śniła, że jest na lotnisku, w poczekalni pełno ludzi żegnało się z całą grupą. Samolot kołował na pas startowy. Siedziała w samolocie obok Toma i profesora Woltera Marchola. Przez okrągłe okienko zobaczyła wojskowego dżipa. Nagle Said pojawił się w przejściu. Uśmiechnął się do niej, mówiąc: „Nie możesz ode mnie uciec... jesteś mi przeznaczona”. Chciała uciec, siedzenie przed nią zamieniło się w staruszkę, która przepowiedziała jej przyszłość. Mówiła do niej po angielsku: „Ty

nasza, ty zostaniesz tu, na tej ziemi. Ty nie wierzysz w miłość księcia. On nie pozwoli ci wyjechać, jesteś mu przeznaczona”. Nagle siedzenie zapadło się, a ona wylądowała w pomieszczeniu ruin zaginionego miasta, a przed oczami miała napis: „Kto pierwszy...”.

Obudziła się gwałtownie. Jej oddech był przyśpieszony, a serce biło jak szalone. Usiadła na łóżku i zapaliła latarkę. Odruchowo spojrzała na zegarek. Pierwsza trzydzieści pięć. Wstała z łóżka, zmoczyła ręcznik, przyłożyła go do mokrej od potu twarzy. Już nie była pewna, że bez przeszkód opuści Syrię i spokojnie wróci do ojczyzny. Bezskutecznie próbowała ponownie zasnąć. Włączyła radio i cichutko słuchała muzyki. O czwartej nad ranem wstała i umyła się. Wyszła przed namiot, by powiesić na sznurku do bielizny mokre ręczniki. Bezwiednie spojrzała na wschód. Olbrzymia czerwona kula otoczona białymi obłoczkami wytoczyła się na błękitne niebo. Anna była tu tak długo, a po raz pierwszy oglądała wschód słońca. Jak to możliwe, że nigdy przedtem nie dane jej było obserwować tak piękne zjawisko? Musiała się czymś zająć. Postanowiła upiec kruche rogaliki z dżemem truskawkowym. Zanim nadeszła pora śniadania, zdążyła zrobić ciasto, uformować trójkąty, nadziać je dżemem i upiec sześćdziesiąt trzy rogaliki.

– Kiedy je upiekłaś? – zaciekawiała się Bette.

– Dzisiaj rano.

– Znów nie mogłaś spać?

– Owszem – przyznała się.

– Miałaś zły sen?

– Kto tu mówi o złym śnie? – zaprzeczyła kłamstwem. – To z radości, że wracam do kraju.

– To może zrobimy pożegnalne ognisko? – zaproponował profesor Bateman.

– A możemy? – Anna podchwyciła jego propozycję.

– Owszem. Jak przyjedzie John, zrobimy powitanie i pożegnanie.

Zgadźcie się, chłopaki?

– Świetnie – przytaknął Garry.

– A piwo będzie? – spytał Dan.

– To przyjęcie bezalkoholowe – przypomniał Bateman. – Takie zwyczajne.

- Szkoda – odparł zawiedziony.
- Odbijecie sobie w kraju – powiedziała Anna.
- Kiedy to będzie? – westchnął Garry.
- Zrób listę, czego John będzie potrzebował, kiedy cię zabraknie
- Bateman pokręcił głową. – Jak to brzmi: „kiedy cię zabraknie”...
- Smutno – przyznała Bette.
- Właśnie – potwierdził.
- Odwiedźcie mnie w kraju. Albo ja was odwiedzę... Jak mnie nie zapomnicie.
- Gdzieżbym miał cię zapomnieć? – zawołał Garry. – Pierwsi do ciebie przyjedziemy na narty. Nie, chłopaki?
- Pewnie. Nawet jak profesor Steve Harold nam zabroni – powiedział z powagą Dan.

Wszyscy roześmiali się w głos. Anna wymusiła uśmiech, nie chciała pokazywać, że stanie się coś złego i nie wróci do kraju. Miała cichą nadzieję, że sen się nie sprawdzi.

Po śniadaniu zrobiła inwentaryzację. Za dwa tygodnie trzeba będzie dokupić worek ryżu, kaszy, cukru. Przydałby się olej, jajka w proszku. Lee Jang zużył miesięczny zapas do swoich wyszukanych potraw. Przydałoby się świeże mięso, bo to z puszek nie nadaje się na szaszłyki. Potrzebna była papryka, cebula. I najważniejsze: kupić gaz.

Tej nocy koszmarne sen powrócił. Nastąpił jego dalszy ciąg. Anna znalazła się w samolocie. Siedziała obok Toma i profesora Marchola. Stewardesa wskazała palcem w jej kierunku. Żandarm podszedł do Anny. Wsiadła z samolotu. W towarzystwie żołnierzy wróciła do obozu. Said siedzący na czarnym koniu przemówił do niej: „Nie możesz opuścić tego kraju, jesteś mi przeznaczona”. We śnie pojawiła się pani doktor. Przepraszała Annę. Ona zaś uciekała dalej i dalej, aż wpadła do dziury w kominie i stanęła przed napisem: „Kto pierwszy ujrzy moje szczątki...”.

Anna obudziła się gwałtownie. Zapaliła latarkę i spojrzała na zegarek. Była pierwsza trzydzieści pięć. Już wiedziała, że nie opuści tego kraju. Said El Dżajad pokrzyżuje jej plany wyjazdowe. Ale jak się o nich dowie? No tak. Przy wykopaliskach pracują arabscy archeolodzy, to pewnie oni poinformują go o zmianie kucharza. A kto

im wypaplał? Pani doktor? Radość, która trwała parę dni, wypaliła się jak kartka papieru podpalona zapalką.

Anna włączyła radio i położyła je przy głowie. Gdzieś w oddali słyhać było warkot silnika helikoptera. Dźwięk był coraz głośniejszy. Maszyna przeleciała nad ich obozowiskiem, budząc ze snu śpiącą ekipę. Coś zastukało o dach namiotu Anny. Spojrzała w górę, sprawdzając, co jest tego przyczyną. Materiał nie rozerwał się. To pewnie podmuch powietrza ze śmigła helikoptera wywołał ten dźwięk. Słyhać było krótkie rozmowy, przekleństwa. Helikopter nie powrócił.

Anna znów nie mogła zasnąć, rozmyślała, jak przyjęła tę pracę, jak przed wyjazdem robiła zakupy. Przypominała sobie nieżyjących rodziców, brata. Wstała z bólem głowy. Kiedy wychodziła z namiotu, by wydoić kozę, nadepnęła na coś miękkiego. Spojrzała pod nogi. Rozdeptała kwiat goździka. Lecz nie był to jedyny goździk leżący na ziemi przy jej namiocie, było ich dwadzieścia, może więcej. Odruchowo spojrzała w stronę pałacu El Dżajada. Dzisiejszej nocy to on przelatywał śmigłowcem nad ich obozowiskiem tylko po to, by przypomnieć jej o sobie. Nikt nie może znać prawdziwego powodu przelotu śmigłowca nad obozem. Pośpiesznie zbierała kwiaty, rozglądając się wokół, by nie przeoczyć żadnego z nich. Ale co ma z nimi zrobić? Zostawić w namiocie? A jeśli ktoś wejdzie? Może lepiej zanieść je do oazy? Tak robi. Jednak było za późno – ktoś już rozsuwał suwak namiotu. Pośpiesznie wróciła do namiotu kuchni. Po chwili zastanowienia bukiet składający się z dwudziestu sześciu goździków wylądował pod łóżkiem Anny.

Umyła ręce. Najwyższa pora wydoić kozę. Kiedy z garnkiem w ręku podchodziła do zwierzęcia, z ubikacji wyszła Bette. Jedno spojrzenie i tłumaczka wiedziała, że Anna nie przespała kolejnej nocy.

– Znowu nie spałaś?

– To przez ten helikopter – skłamała.

– Mnie też zbudził, ale potem zasnęłam.

Anna zabrała się za dojenie kozy. Bette uważnie przyjrzała się koleżance.

– Źle wyglądasz. To nie przez helikopter. Masz podkrążone, przekrwione oczy. Co się dzieje? Znowu masz koszmary?

– Tak jakby. Boję się, że ten wyjazd nie wypali i nie wyjadę z tego kraju. El Dżajad mi nie pozwoli.

– Dlaczego on... ma ci na to nie pozwolić? – nie rozumiała. – Przecież o niczym nie wie.

– Nie jestem tego pewna. Boję się, że ktoś mnie zdradzi. Jak Arabscy archeolodzy zobaczą nowego kucharza, będą zadawać pytania i wszystko się wyda. Nie mów nikomu o moich przeczuciach.

– Mam nadzieję, że się mylisz – odeszła dwa kroki. – Załóż ciemne okulary, nikt nie zauważy, że nie śpisz po nocach.

Posłuchała koleżanki i założyła okulary przeciwsłoneczne. Nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż ciągle świeciło tu słońce i wszyscy nosili przy sobie ciemne okulary. Kiedy przyjechali arabscy archeolodzy z wieśniakami, Abdur Rahim poinformował profesora Batemana, że dzisiaj przyjeżdża do Aleppo nowy członek załogi i w południe należy odebrać go z lotniska. To była wiadomość, z której Anna powinna się ucieszyć, lecz było inaczej. Udawała zadowoloną, choć przeczuwała, że jej plany nie zostaną zrealizowane.

Tuż po śniadaniu profesor Bateman, Durell i Garry pojechali do Aleppo, by odebrać z lotniska nowego kucharza oraz kupić trzy bilety na najbliższy lot do Turcji. Stamtąd Amerykanie mieli polecieć do Stanów. Dlaczego trzy? Jeden dla Anny, drugi dla Toma, trzeci dla Woltera Marchola, który po ostatniej traumatycznej przygodzie w ruinach narzekał na serce. Mieli szczęście. W kasie lotniska czekały na nich trzy ostatnie bilety na poniedziałkowy lot do Ankary. Bateman zadzwonił do swojego kolegi mieszkającego w Ankarze, by sprawdził, jaka jest szansa na przelot z jego kraju do Stanów w najbliższym tygodniu. Wszystko szło po myśli profesora. Najbliższy samolot do Waszyngtonu odlatywał w środę i były w nim wolne miejsca. Wprawdzie nie trafią do samej Atlanty, ale za to będą w kraju. Bateman poprosił kolegę, by zarezerwował trzy bilety.

Późnym popołudniem powrócili do obozu. Kiedy Bateman przedstawiał Annie jej zmiennika, Johna Filera, musiała przyznać, że atletyczny blondyn o krótko przyciętych włosach był przystojniejszy od Steve'a. Wzrost metr osiemdziesiąt, niebieskie oczy, trapezowa twarz, nie za duży nos. Mogłaby powiedzieć: czysty aryjczyk.

– Może lepiej będzie, jak zostaniesz – zaproponował, witając się z Anną. – Będę potrzebował asystentki.

– John, ona jest już zajęta – oznajmił Steve.

– Kurde, ja to mam szczęście – uśmiechnął się. – Szkoda.

„Jeszcze jeden wariat” – pomyślała. „Cale szczęście, że ta starucha nie wspomniała o trzech mężczyznach wokół mnie. Przyszłoby mi zwariować”.

– To, Anno, pakuj się – powiedział profesor. – Za dwa dni odlatujesz do kraju.

– To już... – zastanowiła się – w poniedziałek?

– Tak, w poniedziałek – potwierdził profesor. – Polecicie do Ankary. Tam zajmie się wami mój dobry przyjaciel Nadim Muti. Przenocujecie u niego, a w środę polecicie do Waszyngtonu.

– Jak dobrze – powiedziała cicho.

– Coś nie widzę na twojej twarzy radości, jak ostatnio – zauważył Bateman. – Nie chcesz wracać?

– Chcę – wymusiła uśmiech. – Nie wiem, czy zdążę przygotować coś na pożegnalne ognisko – skłamała.

– Nie martw się o nic. We dwoje coś wymyślimy – pocieszał ją John. – Dwie butelki brandy już mamy.

– Słyszę: brandy? – nadszedł Garry.

– A ty kto? – John poprawił okulary.

– Wiem, stary, że słońce dodało mi urody, ale nie widziałem, że aż do tego stopnia, że kumpel z celi mnie nie poznaje.

Koledzy uściskali się serdecznie.

– Anna kombinuje, dlaczego kumple z celi? – Garry rzucił jej krótkie spojrzenie.

– Właśnie – nie rozumiała, o co im chodzi.

– Kiedyś w szkole zrobiliśmy taką balangę, że wylądowaliśmy w jednej celi.

– Ale że nie byliśmy pełnoletni, skończyło się na ostrzeżeniu – dodał John.

– I teraz jesteśmy kumplami z celi.

– I gdzie ta kuchnia? – spytał John.

Anna zaprowadziła go do namiotu-kuchni. Garry poszedł z nimi. Druga część namiotu, w której spała Anna, była odsłonięta. Mężczyzna pociągnął nosem.

- Czy czuję goździki?
- To moje perfumy – skłamała.
- Ty masz perfumy o zapachu goździków? – spytał Garry.
- Mam.
- To czemu nigdy ich od ciebie nie czułem?
- Bo to Steve mnie wacha, nie ty – odpowiedziała wymijająco, zasuwając przegrodę namiotu.
- Aha... – zastanowił się.
- No widzisz. Ty nie wachasz, więc nie poczułeś – zażartował John.
- Jak wyjadę, zajmiesz miejsce w drugiej części namiotu – wskazała zasłonę przedzielającą namiot.
- Przez cały ten czas spałaś tu sama? – zaciekawiał się John.
- Miała czasem Steve'a – wtrącił półgębkiem Garry.
- Mimo wszystko. Nie bałaś się?
- Nie.
- Boże. Gdybym był kobietą, w życiu nie spałbym sam w namiocie w arabskim kraju. Wiesz, ilu tu jest napalonych facetów?
- John robił jej kazanie. – Dostają małego rozumu, widząc blondynkę. Dobrze, że nic ci się nie stało.
- „Znam jednego, który na mój widok postradał zmysły” – pomyślała. „Dlatego stąd uciekam”.
- Do ich uszu dobiegło beczenie kozy.
- Czy dobrze słyszę? – John nastawił uszu. – Macie kozę?
- Tak – przytaknęła Garry. – To nasza żywicielka.
- Umiesz doić kozę? – spytała Anna.
- Nie. W życiu nie będę doił kozy. Ale za to mogę zrobić wspaniałą pieczeń.
- No to masz jeden dzień, by nauczyć się doić – w namiocie pojawił się Steve.
- Dlaczego mam jeden dzień? – nie rozumiał John.
- Bo my tu wszyscy pijemy mleko. Do kawy, na deser. Anna używa go do naleśników – Steve objął ją ramieniem. – Jak coś zrobisz tej kozie, to wracasz do Stanów, a Anna zostaje.
- Poważnie? – popatrzył po zebranych. – Mam nauczyć się doić kozę?

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. John nie miał zadowolonej miny.

– Cholera – zaklął. – Boję się żywych zwierząt.

Tym stwierdzeniem wszystkich rozbroił. Nawet Anna roześmiała się w głos.

– Taki duży facet, a boi się takiej małej kózki – nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Ja też nie umiałam, ale się nauczyłam.

– Wierz mi. Barry ma to wszystko na taśmie – potwierdził Garry.

– Ciebie też utrwali, jak trzymasz za cycki. Wiesz, to jak piersi kobiety, tylko trochę inne.

– Gadanie – John był przerażony.

Nowy kucharz wniósł bagaże do namiotu, który zajmowała Anna, lecz dwie noce miał spędzić w namiocie studentów.

Jeszcze tego samego wieczoru zorganizowano pożegnalne ognisko. John jakby przewidział, jaki czeka go wieczór, gdyż oprócz alkoholu przywiózł ze sobą trzy puszki łososia, pięć małych puszczek kawioru, chleb tostowy i pięć paczek słonych krakersów. Razem z Anną zrobili kanapki, do tego gulasz, racuchy nadziewane ananasem z puszki i owocowo-warzywno-mięsne szaszłyki. Zapobiegliwy John zabrał ze sobą mały magnetofon i trzy kasety z muzyką country. Jedli, pili, opowiadali nowemu kucharzowi, co działo się w tym miejscu przez niespełna cztery miesiące. Nie bali się, że ognisko zgaśnie. Mieli pod dostatkiem drewna znalezione w miejscu prowadzonych prac wykopaliskowych. Nie stanowiło ono żadnej wartości historycznej, więc bez obawy rzucali wysuszone szczapy do ognia.

Wspaniała zabawa trwała do trzeciej w nocy. Anna wreszcie mogła potańczyć i choć na chwilę zapomnieć o dręczących ją koszmarach. Steve chciał spędzić ostatnią noc w jej namiocie, lecz delikatnie odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem i bólem głowy. Miała coś ważnego do zrobienia. Musiała wykopać w piasku dołek i wrzucić tam bukiet goździków. Kiedy pozbyła się powodu nocnej wizyty helikoptera w obozie, samotnie położyła się do snu, bojąc się zasnąć. Nie chciała znów przeżywać koszmaru z nieudanym powrotem do kraju. Zmęczona zasnęła. Tym razem zły sen nie powrócił.

O ósmej rano zbudziło ją ciche wołanie Johna. Miał przygotować śniadanie, a namiot wciąż był zamknięty na kłódki zatrzaskowe. Nie wypadało przecinać materiału nożem, by dostać się do środka. Anna w piżamie asystowała zmiennikowi w czasie przygotowywania śniadania, ale zanim to zrobiła, pokazała mu, jak doi się kozę. Nie szło mu najlepiej. Zwierzę było nieufne wobec nowego właściciela. Kiedy mężczyzna próbował złapać kozę za wymię, ta kręciła się na boki, obserwując intruza nieufnym wzrokiem.

– Nie dam rady – John zrezygnował.

– Dasz – dodawała mu otuchy. – Dobrze, że nie masz gapiów. Mnie pozbawiono tego komfortu. Barry musiał wszystko nagrać. A jaki mieli ubaw, jak mleko leciało mi na buty!

– Ona mnie zaraz kopnie – znieruchomiał.

– To ją przekup. Lubi chleb.

– Może jednak zostaniesz? – zaproponował.

– Nie – zaprotestowała. – To już postanowione. Wyjeżdżam.

Przekupstwo kozy chlebem przyniosło pozytywny efekt. Zwierzę stało spokojnie i John mógł zabawić się w farmera.

Około dziewiątej obóz budził się do życia. Wszyscy zjedli późne śniadanie i dalej leniuchowali. Anna miała czas, by się spakować. Wprawdzie nie była pewna, czy wyjazd dojdzie do skutku, ale zawsze warto spróbować oszukać przeznaczenie. Po obiedzie udała się do oazy. Usiadła na swym ulubionym kamieniu pod palmą. Przymknęła powieki. Poczowała przyjemne ciepło wokół serca i bliskość El Dżajada. „Pewnie znów o mnie marzy” – pomyślała. „Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Prawda. Przeznaczenie”.

Usłyszała szelest. Przestraszona otworzyła powieki i spojrzała w bok. Na szczęście to był Steve. Usiadł obok niej na kamieniu.

– Jesteś strasznie smutna – zauważył. – Nie cieszysz się z powrotu do kraju?

– Nie tak sobie to wszystko wyobrażałam. Miałam być tu pół roku, a teraz uciekam jak tchórz.

– To zostań – zaproponował.

– Przecież wiesz, że nie mogę. Może gdyby było tu spokojniej i żaden Arab nie wtrąciłby się do mojego życia, zostałabym. Jesteście dla mnie lepszą rodziną niż stryj.

– Wiesz, czego żałuję najbardziej? – spojrzał na nią.

– Czego? – spojrzała w jego niebieskie oczy.
– Że tak mało czasu spędziliśmy sam na sam – przyznał. – A tak chciałem się z tobą kochać.
– Jeśli tylko będziesz chciał się ze mną kochać po powrocie do Stanów, to wiesz, gdzie mieszkam.
– Tak, wiem.
Ujął podbródek Anny i delikatnie ustami dotknął jej ust. Nie miała na to ochoty, nie odwzajemniła pieszczoty, lecz nie odtrąciła Steve’a. Może to ich ostatni pocałunek.

*

Noc upłynęła spokojnie, bez koszmarnych snów. Anna zbudziła się tuż po piątej. Rozejrzała się po namiocie. Wszystkie rzeczy spakowane, radio w podręcznej torbie. Sprawdziła, czy ma przy sobie paszport. Postawiła czajnik z wodą na największym palniku kuchenki gazowej. Wykonała poranną toaletę. Zanim w kuchni pojawił się John, zdążyła usmażyć trzy duże omlety i zrobić kawę. Przygotowała śniadanie dla siebie, Toma, Woltera Marchola i osób, które miały odwiedzić ich na lotnisko, a więc profesorów Batemana i Durella. Ubrała się w tę samą odzież, w której tu przyjechała: szerokie czarne spodnie, czarny żakiet, kolorową jedwabną bluzkę koszulową, a na bose stopy wsunęła krótkie czarne kozaczki. Włosy upięła z tyłu głowy. Poszła pożegnać się z kozą. Pewnie uznano by to za głupie, ale bardzo polubiła Czarnuszkę. Tutaj miała się kim opiekować. Ostatnie spojrzenie na oazę, pożegnalne uściski. Gorący pocałunek od Steve’a. O siódmej trzydzieści wyjazd do Aleppo. Tom w połowie drogi zaczął marudzić. Był zawiedziony, rozgoryczony. Przez głupi wypadek musiał wracać do kraju. Profesor Marchol co jakiś czas sprowadzał go na ziemię. Bez przeszkód godzinę przed odlotem dojechali do lotniska. Paul Bateman i Marc Durell pomogli Tomowi nieść bagaże. Odprawa paszportowa przebiegła sprawnie. Ostatnie pożegnanie z profesorami i wsiedli do samolotu. Anna była spięta. Kiedy stała na szczycie schodów, rozejrzała się, wypatrując Saida El Dżajada. Nie zauważyła żadnego zamieszania na płycie lotniska ani za szybami budynku poczekalni. Oddała stewardesie paszport. Kobieta sprawdziła nazwisko na liście

zapisanych pasażerów, po czym oddała Annie dokument. Cała trójka miała miejsca obok siebie. Fotel Anny wypadł w środku i miał numer trzynaście. Zawahała się. To zły znak.

– Chcesz się zamienić? – Tom zauważył, że jest przesadna.

– Tak, wolę siedzieć przy samym wejściu – przyznała.

– Nie ma sprawy.

– Ja tam wolę przy oknie – zdecydował Wolter Marchol.

Usiedli w fotelach. Anna zacisnęła palce lewej dłoni w pięść. W myślach prosiła Boga, by jej senny koszmar się nie spełnił. Drzwi samolotu zamknęły się. Stewardesa w dwóch językach poprosiła o zapięcie pasów. Samolot ruszył powoli na pas startowy. Anna odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że jej nocny koszmar jednak się nie spełni.

– Jak dobrze wrócić do kraju – westchnęła Anna.

– Ja wiem, czy dobrze – Tom był niezadowolony. – Będę się nudził w domu. Ile można czytać książki i oglądać telewizję? W dodatku matka będzie mi pomagała się ubierać.

– Nawet w ubikacji? – spytał profesor Marchol.

– Jeszcze daję radę wciągnąć majtki jedną ręką.

– A zdjąć? – zażartował profesor.

– Szybciej zdejmuję, niż wkładam.

Maszyna zaczęła zwalniać. Po trzech minutach zatrzymała się. W samolocie rozległ się szmer niepewności, przestrachu. Profesor Marchol spojrzął w okienko.

– Patrzcie, żołnierze – zauważył. – Chyba nic się nie stało?

– Pewnie kogoś szukają – powiedział Tom.

– O pierwszej trzydzieści pięć – powiedziała Anna.

Tom spojrzął na zegarek.

– Tak – potwierdził. – Jest pierwsza trzydzieści pięć. Jak zgadłaś, nie patrząc na zegarek?

– Jadą schodki – zauważył profesor. – Będzie przeszukanie.

– To po mnie – Anna złożyła dłonie jak do modlitwy i przyłożyła do ust koniuszki palców.

– Co? – powiedzieli jednocześnie, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– To po mnie – przymknęła powieki. Serce biło jej tak mocno, że miała wrażenie, iż zaraz zemdleje.

– Nie żartuj – Tom spojrzał na jej blednącą twarz. – Dlaczego po ciebie? Przecież nic nie zrobiłaś.

– Właśnie – nie rozumiał profesor. – Skąd to przypuszczenie, że zrobiłaś coś złego?

– Bo zrobiłam – spojrzała w ich stronę. – Uciekam od Saida El Dżajada... Ale nie mogę...

– Czego nie możesz? – profesor nadal nic nie rozumiał. – Co mu takiego zrobiłaś?

– Spodobałam mu się – powiedziała cicho.

Drzwi samolotu otworzyły się. Do środka weszło trzech żołnierzy i starszy stopniem oficer. Pasażerowie szeptali między sobą, zastanawiając się, co się dzieje. Profesor Marchol i Tom nadal nie rozumieli, o co chodzi Annie. Oficer rozmawiał przez chwilę ze stewardesą i sprawdził listę pasażerów. Anna zacisnęła palce na rączkach podręcznej torby, przymknęła powieki. Próbowwała wyrównać oddech.

– Panna Anna Reed? – usłyszała łamaną angielszczyznę.

Nie odpowiedziała. Czują, jak jakaś pętla zaciska się na jej szyi, a ona nie może wydobyć z siebie głosu. Mężczyzna zniecierpliwił się, powtórzył pytanie.

– O co chodzi? – nie wytrzymał Tom.

– Nie pana pytam, tylko panią. Pytam ostatni raz: Anna Reed?

– Tak – wyszeptała.

– Pani pozwoli paszport.

– Czego od niej chcecie? – spokojnym głosem spytał profesor Marchol.

– Nie pana sprawa – powiedział z naciskiem w głosie. – Proszę pokazać paszport.

Drażącymi palcami prawej dłoni sięgnęła do torby.

– Jesteśmy amerykańskimi obywatelami, archeologami. Wracamy do kraju – tłumaczył profesor. – Nie możecie...

– Proszę nam nie utrudniać – oficer był nieustępliwy.

– Jesteśmy razem i mamy prawo wiedzieć, co się dzieje – profesor obstawał przy swoim.

– Właśnie, czego się nas czepiacie? – nie wytrzymał Tom.

– Bo wyprowadzimy was troje.

– To nie ma sensu – Anna ze łzami w oczach podała paszport oficerowi. – Chodzi wam o mnie. Moich przyjaciół zostawcie w spokoju.

Mężczyzna spojrział na nazwisko w paszporcie i porównał twarz kobiety ze zdjęciem.

– Proszę wstać, zdjąć chustkę i rozpuścić włosy.

– To jakiś absurd – nie dowierzał Tom.

– Nie rób tego – zakazał profesor. – Nie mają prawa ci tego kazać.

– Bo pan też nie wróci do kraju – oficer wskazał palcem w jego stronę.

Anna podniosła się z miejsca i stanęła w przejściu. „Co za upokorzenie” – pomyślała. „Co pasażerowie sobie o niej pomyślą?”. Zdjęła chustkę i rozpuściła włosy. Na twarzy muzułmanina pojawiło się zadowolenie. Teraz był pewny, że kobieta podająca się za Annę Reed jest tą samą kobietą, którą mieli zatrzymać na lotnisku.

– Pani pozwoli z nami – schował paszport do kieszeni.

– Nie możecie tego zrobić – zaprotestował profesor.

– Jak śmiecie... – Tom chciał wstać.

– W porządku – położyła mu dłoń na ramieniu. – Takie moje przeznaczenie. Kto pierwszy zobaczy moje szczątki... – głos ugrzązł jej w gardle.

– To nie może być prawda – profesor Marchol przypomniał sobie napis na ścianie w odkrytym przez nich domu. – To tylko... napis – dodał cichym głosem.

– Idziemy – powiedział oficer stanowczym tonem.

– Odwołam się do naszej ambasady – profesor podniósł się z siedzenia.

– To nic nie pomoże – powiedziała Anna pełnym goryczy, cichym głosem. – Niech pan uważa na serce. Mnie pan nie pomoże, a sobie zaszkodzi.

– Idziemy – oficer dotknął jej łokcia.

– Żegnajcie – głos jej drżał. – Szczęśliwego powrotu do kraju.

Jej towarzysze chcieli iść za nią, lecz pokręciła głową i powoli, krok za krokiem ruszyła w stronę drzwi. Czuła się jak niewinny skazaniec. Upokorzona, znieśławiona. Te szepty, te spojrzenia. Brakowało tylko kajdanek na rękach. Weszła na schody. Chciało jej

się płakać, lecz powiedziała sobie, że nie pokaże słabości, musi być silna, wytrwa. Wsiadając do wojskowego samochodu, po raz ostatni spojrzała w stronę samolotu. Tam i profesor Marchol patrzyli przez okienko, nie rozumiejąc, co przed chwilą zaszło. Samochód podjechał pod budynek poczekalni, a samolot zaczął kołować na swój pas. Żołnierze zaprowadzili Annę do pokoju znajdującego się na tyłach budynku i zostawili ją samą na piętnaście minut. Stojąc przy oknie, ze łzami w oczach patrzyła na startujący samolot – ten sam, który był drogą do wolności, a stał się sceną przykrego teatralnego przedstawienia z nią w roli głównej. Usłyszała, jak ktoś łapie za klamkę. Otarła mokre policzki. Wyciągnęła z kieszeni zakietu chusteczkę higieniczną i wydmuchała nos. Do pokoju wszedł czarnowłosy starszy mężczyzna o gładko ogolonej twarzy, ubrany w czarny garnitur i błękitną koszulę.

– Przepraszam, że musiała pani tak długo czekać – powiedział.

– Dlaczego mnie zatrzymaliście? – spytała cichym, spokojnym głosem.

– Proszę usiąść – wskazał krzesło stojące przy drewnianym stole.

Odeszła od okna. Czują, jak jej nogi stały się miękkie. Usiadła, opierając się plecami o drewniane oparcie. Mężczyzna wolał stać.

– Jest pani uczestnikiem wyprawy archeologicznej – zaczął.

– I co z tego? – spytała cichym głosem.

– Nie może pani opuścić Syrii sama.

– Nie byłam sama. Było ze mną dwoje przyjaciół.

– Źle się wyraziłem. Nie może pani opuścić naszego kraju sama, tylko z całą grupą.

– Bzdura! – podniosła głos. – Właśnie dwoje członków ekipy odleciało do kraju. Mojego kraju – spojrzała w jego stronę.

– To przeoczenie z naszej strony – uciekał wzrokiem, kłamał.

– A tak naprawdę kto kazał mnie zatrzymać? – spytała odważnie.

– Nie wiem. Kiedy dostaję rozkaz, wykonuję go – rozłożył ręce.

– Ja panu powiem, kto dał wam taki rozkaz. Said El Dżajad, prawda?

– Nie wiem. Ja tylko wykonuję rozkaz.

– Tak, wykonuje pan rozkaz Saida El Dżajada i nie śmie pan powiedzieć mi tego wprost – wstała z krzesła.

– Jest pani zdenerwowana. Rozumiem. Snuje pani przypuszczenia.

– Znam prawdę. Nie musi pan kłamać. Zastanawiam się tylko, kto powiedział mu, że dzisiaj odlatuję do swojego kraju.

Mężczyzna milczał. Cóż mógł dodać, skoro ta piękna, zdawałoby się głupiutka Amerykanka zna prawdę.

– Żołnierze odwiozą panią z powrotem do obozu.

– A moje bagaże? W co mam się ubierać, w czym spać?

– Za parę dni odzyska pani swój bagaż.

– Za parę dni? – powiedziała z kpiną w głosie.

– Takie są przepisy. Pani bagaż odleciał do Turcji. Zanim go sprowadzimy, miną trzy, może cztery dni.

– To przekażcie go od razu do pałacu El Dżajada. Będzie bliżej.

– Żołnierze odwiozą panią bezpiecznie do obozu – otworzył drzwi.

– Bezpiecznie – westchnęła. – A znają drogę?

– Znąją. Proszę się niczego nie obawiać. I niech pani założy chustkę.

– No tak. Jedno upokorzenie już przeżyłam, po co mi drugie – założyła chustkę. – W moim kraju czuję się bezpieczniejsza niż tu w towarzystwie żandarmów – zrobiła dwa kroki do przodu. – A mogę wysłać pozdrowienia do mojej rodziny?

Mężczyzna zawahał się. Widać było, że nie wie, co ma robić. Nie dostał takiego rozkazu.

– Dam panu przeczytać. Zna pan angielski.

– Dobrze, ale tylko pocztówkę.

– Jest tylko jeden problem – stanęła krok przed nim. – Nie mam pieniędzy – ściszyła głos. – Czy może mi pan pożyczyć albo kupić pocztówkę i znaczek? Książę El Dżajad odda panu pieniądze.

Zauważyła, że mężczyzna się zdenerwował. Jak kobieta śmie odzywać się w ten sposób do niego? Gdyby mógł, zdzieliłby ją w twarz i kazał się ukorzyć. Skinął ręką na jednego z żołnierzy i powiedział parę słów w języku arabskim. Następnie pozwolił Annie pójść z nim wybrać pocztówki. Podeszli do stoiska przypominającego kiosk z pamiątkami. Żołnierz powiedział coś po arabsku kioskarzowi, a ten skinął głową i pokazał kobiecie kilka kolorowych pocztówek. Wybrała dwie. Jedną z zachodem słońca na

pustyni, drugą z samotną palmą na tle wzgórz. Poprosiła o znaczki i długopis. Obie kartki zaadresowała na adres pensjonatu. Kartkę z zachodem słońca przeznaczyła dla stryja, pisząc: „Pozdrowienia z dalekiego dzikiego kraju, Anna”. Na drugiej ta sama treść z dopiskiem: „Niech Bóg ma Was w swojej opiece”. Nakleiła znaczki. Powróciła do pokoju przesłuchań i położyła kartki na stoliku. Urzędnik przeczytał treść obu pocztówek. Pokiwał głową.

– Wyślę je za panią.

– O nie – szybkim ruchem zebrała pocztówki z blatu stolika. – Wyślę je sama. Nie ufam panu. Czy mogę odejść?

– Tak.

– A mój paszport?

– Otrzyma go pani w odpowiednim czasie. Salam malejkum.

W towarzystwie żołnierzy wyszła z pokoju przesłuchań. Urzędnik musiał przyznać, że jasnowłosa Amerykanka ma gorącą krew. Anna, wychodząc z poczekalni, wrzuciła do małej skrzynki pocztowej pocztówki, nie wierząc, że trafią do rąk adresatów. Opuściła budynek lotniska i wsiadła na tylne siedzenie wojskowej furgonetki, tyłem do kierowcy i oficera, który aresztował ją w samolocie. Na bocznych ławkach usiadło po trzech żołnierzy. Każdy z nich wiózł karabin, którym podpierał się w czasie całej podróży do obozu. Miała ochotę wyrwać jednemu z nich broń z ręki i wszystkich zastrzelić. Postawiła podręczną torbę na kolana i tuląc ją do tułowia, ze spuszczoną głową i zamkniętymi powiekami, biła się myślami. Jak teraz będzie funkcjonować – bez bagażu, odzieży, bielizny na zmianę? Za jakieś cztery dni będą jej potrzebne podpaski. Jak dobrze, że kosmetyczkę schowała do podręcznej torby. Będzie mogła myć zęby swoją szczoteczką, własną pastą do zębów. Nawilżać twarz swoim kremem, używać własnych kosmetyków. W co się będzie wycierać? Weźmie prysznic w samo południe i wysuszy się na słońcu – i tak każdego dnia, dopóki nie przywiozą jej bagażu. Tak bardzo chciało się jej płakać. Przypomniała sobie słowa staruszki, a raczej tłumaczenie jej słów przez Bette: „Widzę łzy, a potem wielkie szczęście...”. Jak po takich upokorzeniach, strachu, niechcianej miłości może przyjść szczęście? Raczej zniewolenie, niewolnictwo i...

W duchu przeklinała dzień, w którym trzech profesorów zatrzymało się w pensjonacie stryja. Dlaczego tak łatwo zgodziła się przyjąć tę pracę? Dlaczego będąc w domu, nie miała proroczego snu, który ostrzegłby ją przed wyjazdem do Syrii? Czemu właśnie tu zaczęła śnić? Te i inne pytania kołatały się w jej głowie przez całą powrotną drogę do obozu.

O szóstej trzydzieści po południu dotarli do celu podróży. Furgonetka zatrzymała się przed zamkniętą bramą. Ekipa odkrywców czekała na kolację, nie przypuszczając, kto do nich dołączy. Drzwi furgonetki otworzyły się.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszała głos oficera. – Proszę wysiąść.

Anna powoli powstała z twardego siedzenia. Przez chwilę miała trudności z poruszaniem się. Bezruch, siedzenie w jednej pozycji spowodowały lekkie przykurcze mięśni nóg i ramion. Żołnierze patrzyli, jak wysiada z pojazdu. Wymieniali znaczące spojrzenia. Na miękkich nogach stanęła na twardej ziemi.

– Ma pani zakaz samowolnego oddalania się od obozu! – powiedział oficer stanowczym głosem. – Żegnam.

– A mój paszport? – spytała.

– Odbierze go pani przy wyjeździe.

– U kogo? – spojrzała mu w twarz.

– Ręczę pani, że paszport będzie w bezpiecznym miejscu.

– Drań! – syknęła. – Nie może pan tego zrobić!

– Mogę – uśmiechnął się. – Żegnam.

Oficer wsiadł do furgonetki. Kierowca odjechał drogą prowadzącą w stronę pałacu. Teraz Anna była pewna, że Said El Dżajad stoi za jej powrotem do obozu.

– A co ty tu robisz? – usłyszała za sobą głos zaskoczonego jej widokiem profesora Batemana.

Odwróciła się. Za bramą zebrała się cała trzynastoosobowa ekipa.

– Nie wolno mi opuszczać Syrii – powiedziała z rezygnacją w głosie.

– Jak to? – nie rozumiał Durell.

– Dlaczego? – spytał Steve.

– Bo ktoś nie chce, żebym wyjechała – w jej głosie wyczuwało się gorycz.

– To jakieś bzdury – nie dowierzał Bateman. – Co ci powiedzieli?

– Że nie mogę wylecieć z kraju sama, tylko z całą grupą.

– A Tom, profesor Marchol? – Garry był ciekaw.

– Odlecieli.

Steve otworzył bramkę. Anna weszła do środka.

– Oni mogli odlecieć, a ty nie? – Bateman nie mógł tego zrozumieć.

– Wiem, czyja to sprawka. Said El Dżajad nie chce, żebym wyjechała z jego kraju. Tylko zastanawiam się, kto mu powiedział, że dzisiaj odlatuję do Stanów. Musi mieć tu swojego szpiega.

– Szpiega? Niemożliwe – zaprzeczył Steve. – Tylko my wiedzieliśmy o twoim wyjeździe.

– A ci arabscy archeolodzy?

– Wiedzieli, że przyjeżdża nowy członek załogi – oznajmił Bateman.

– Gdyby nawet był tu szpieg księcia, to wczoraj była niedziela. Nikt nie wiedział, dlaczego świętujemy.

– Księcia też już dawno nie było – zauważył Durell.

– Ale dzisiaj był – wtrąciła Bette.

– Kiedy? – Bateman spojrzał w jej stronę.

– Około południa. Rozmawiał z panią doktor.

Wszyscy spojrzeli w stronę Mary Parker. Anna przypomniała sobie scenę ze snu. Pani doktor stała obok księcia i coś do niego mówiła.

– Co tak na mnie patrzycie? – nie rozumiała Mary. – Myślicie, że to przeze mnie?

– Rozmawiałaś z El Dżajadem – brat poszedł do niej. – Co mu powiedziałaś?!

– No co? Pytał o Annę – mówiła powoli, uciekając wzrokiem. – Chciał z nią porozmawiać... więc powiedziałam mu, że to niemożliwe, bo o pierwszej odlatuje do Stanów.

W Annie zagotowała się krew. Miała ochotę złapać Mary za szyję i dusić, aż ta przestanie oddychać.

– Bardzo dziękuję za pani niewyparzoną mordę – zacisnęła palce na uszach torby. – Przez ciebie już nigdy nie opuszczę tego

pieprzonego kraju – wycofała się bokiem, robiąc krok w tył.

Wszyscy oniemieli, usłyszawszy jej słowa wypowiedziane w gniewie.

– Przepraszam – Mary usprawiedliwiała się. – Nie wiedziałam, że to taka poważna sprawa.

– Cholerna idiotka! – Anna prawie krzyczała. – Wszystko jak w moim śnie – zaczęła wycofywać się w stronę bramki. – Jak tak ci się podoba książkę, to załóż abaję, kefę i skocz mu do łóżka. Zostaniesz księżną – wyszła za bramkę. – Nienawidzę cię!

Cisnęła w stronę pani doktor torbę, której zawartość wysypała się na jej buty. Pośpiesznie ruszyła w stronę oazy.

– Anno, zaczekaj! – zawołał Steve.

– Zostawcie mnie w spokoju – krzyknęła.

– Ale nie możesz... – Steve chciał iść za nią.

– Zostaw – powstrzymał go Bateman. – Ona potrzebuje się wypłakać.

– Ale...

– W samotności – powiedział z naciskiem.

– O jakim śnie mówiła Anna? – zaciekawiał się Durell.

– Odkąd tu przyjechała, ma prorocze sny – zdradziła tajemnicę Bette. – Musiała wcześniej coś przeczuwać, bo ostatnio chodziła niewyspana.

– Dlaczego nic o tym nie wiem? – upomniał się Bateman.

– Bo tylko nam o nich mówiła – powiedziała Mary.

– A ty, znając jej sny, wypaplałaś Dżajadowi, że Anna wraca do kraju? – Durell zwrócił się do siostry ze złością.

– Ale ostatniego snu nam nie zdradziła – Mary broniła się.

– Tak – potwierdziła Bette. – Ostatnio nie zdradzała swoich snów.

– Nie wiedziałam, że ten człowiek jest do tego zdolny... – tłumaczyła się Mary. – Że ją zatrzyma, jest...

– Przestań się tłumaczyć – Durell przerwał jej. – Choć jedna kobieta myśli rozsądnie i żadne kwiaty ani wystawne kolacje nie zawróciły jej w głowie. Przez twoje gadulstwo ta dziewczyna cierpi. Gdybyś trzymała język za zębami, Anna byłaby już w Turcji, a w środę odlatywałyby do kraju.

– Ale ja nie wiedziałam, że on każe ją zatrzymać. Wygląda na rozsądnego człowieka.

– A ta znowu swoje – Bateman złapał się za głowę. – Kobieto. Omamił cię, mimo że masz za sobą nieudane małżeństwo. Nie rozumiesz, że ten kraj wielce różni się od naszego? Anna jest młodsza od ciebie o dziesięć lat, gorzej wykształcona, a lepiej rozumie, co tu się dzieje niż ty, odczytana pani doktor – dodał z naciskiem. – Teraz żałuję, że wcześniej jej nie wysłuchałem – spojrzął w dal. – Gdybym wcześniej zareagował, załatwił bilety...

– No cóż, stało się – Durell poklepał go po ramieniu.

– Źle się stało – Bateman spojrzął w twarz pani doktor.

– Przepraszam – Mary korzyła się.

– Przepraszaj Annę, nie mnie – dodał Bateman.

*

Wszyscy myśleli, że Anna udała się do oazy i tam w samotności odreagowuje przykre przeżycia. Tymczasem ona minęła to miejsce i biegła przed siebie, gdzie ją nogi poniosą. Ze łzami w oczach pędziła na oślep wzdłuż granicy stepu z pustynią. Poczowała ostry ból w klatce piersiowej. Zatrzymała się i upadła na kolana, przysiadając na piętach. Jej oddech był nierówny, spazmatyczny, a twarz mokra od łez. Z rozgoryczenia nerwowo zaciskała palce na rąbkach zakietu. Wysmarkała nos w chusteczkę higieniczną. Usiadła na ziemi, przysuwając kolana pod brodę, i zaczęła się lekko kołysać. Było jej źle, bardzo źle. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Położyła się na boku, przymykając powieki. Już nie płakała, nie miała czym. Coś czarnego mignęło w zeschłej trawie. Usiadła, spojrziała w tamtym kierunku. Do jej stóp zbliżał się mały czarny jadowity skorpion z podniesionym ku górze odwłokiem. Zdjęła prawy but, skupiła się, poczekała, aż pajęczak podejdzie bliżej, po czym z całej siły cisnęła kozaczką przed siebie. Skorpion zwinął się, lecz nadal żył. Zdjęła drugi but i dobiła nim go. Sprawilo jej to wielką przyjemność. Zabijając skorpiona, myślała o Saidzie. Włożyła buty, usiadła, podciągając kolana pod brodę. Objęła nogi rękoma. Wsparała czoło na kolanach. Zaczęła rozmyślać o tym, co przed chwilą wydarzyło się w obozie. Znienawidziła doktor Mary Parker. Gdyby tamta nie wypaplała El Dżajadowi o jej powrocie do kraju, byłaby w Turcji, zjadła kolację, potem wzięła kąpiel, noc spędziła

pod dachem jakiegoś domu w porządnym łóżku i nie obchodziłby ją jakiś książę Said El Dżajad. W środę wróciłyby do kraju. Tymczasem była w punkcie wyjścia. Said El Dżajad musi być wpływowym, potężnym człowiekiem. Pewnie zadzwonił na lotnisko, spytał, czy niejaka Anna Reed odlatuje do Stanów. Powiedzieli mu, że taka osoba jest wpisana na listę pasażerów, i zdradzili godzinę odlotu. Wtedy wydał rozkaz zatrzymania Anny. A gdzie tajemnica służbowa? Jak można zdradzać osobom postronnym dane osób obecnych na pokładzie samolotu? Jeśli ma taką władzę, nie ucieknie od niego. Nawet nie może oddalić się z obozu, bo przecież zabrano jej paszport.

Zaczęła przypominać sobie pierwsze dni po przyjeździe do tego kraju. Ciężko było jej przestawić się na obozowe warunki. Przypomniała sobie, jak studenci robili jej psikusy. Jak po raz pierwszy Steve ją pocałował. Żyła tak spokojnie i mogło tak być przez pół roku, gdyby...

Pogrążona w myślach nie zdawała sobie sprawy z upływającego czasu. Słońce chyliło się ku zachodowi, a ona nawet tego nie zauważyła. Poczuła ciepło rozchodzące się wokół serca i dotknięcie ust Saida. Uniosła głowę znad kolan i rozejrzała się mętным wzrokiem. Gdzieś w oddali słychać było odgłos końskich kopyt. Powoli podniosła się z ziemi i nerwowo spoglądała we wszystkie strony. Przed nią rozciągała się pustynia, z boku step, za nią niewielkie piaszczyste pagórki. Nie wiedziała, co to za miejsce, gdzie znajduje się obóz i dlaczego oaza jest tak daleko od niej. I jeszcze ten jeździec w jasnym stroju. Wpadła w panikę, serce z przestraszu przyspieszyło swój rytm. Szybkim krokiem ruszyła w stronę oazy, do jedyne go znajomego miejsca. Jeździec był coraz bliżej, rozpoznała w nim El Dżajada. Miał na sobie wojskowy brązowo-zielony mundur, a zamiast czapki na głowie – fez. Przy pasie kabura z bronią. Anna zastanawiała się, czy ma iść spokojnie, a może biec, gdzie ją nogi poniosą. Ale dlaczego ma uciekać? I tak ją dogoni, a ona niepotrzebnie się zmęczy. Mężczyzna zwolnił konia i zajechał jej drogę. Nie patrząc mu w twarz, przystanęła.

– Witaj, Anno – jego głos był łagodny.

– Przyjechał pan sprawdzić, czy pana sługusom udało się zatrzymać mnie na lotnisku? – próbowała zachować spokój. – Czy

wyciągnęli z samolotu właściwą osobę?

– Nie możesz ode mnie uciec – zsiadł z konia. – Jesteś mi przeznaczona.

– Skoro jestem ci przeznaczona, to dlaczego cię nie chcesz? – patrzyła w ziemię. – Dlaczego chcesz od ciebie uciec, księżę?

– Bo boisz się nieznanego – wpatrywał się w nią. – Boisz się utracić wolność amerykańskiej kobiety.

– I tu masz rację – spojrzała na niego smutnym, pełnym żalu wzrokiem. – Nie chcę być twoją niewolnicą – mówiła powoli. – Nie mów mi, że jestem ci przeznaczona. To ty tak chcesz.

– Mój astrolog przewidział twoje przybycie.

– A czy wierzysz swojemu wróżbicie? A może... – szukała słów – opowiedział ci bajkę, w którą uwierzyłeś.

– Po co miałby to robić? – nadal był spokojny.

– Żeby zrobić ci przyjemność, by nie posmakować twojego gniewu – patrzyła w bok.

– Nie mógł mnie okłamać. On nie drwi z kart tarota. To przynosi nieszczęście.

– Skąd ta pewność?

– Trzy znaki z wróżby sprawdziły się. Nie mógł ich wymyślić żaden wróżbita. A czy twoje sny się nie sprawdziły? Nigdy wcześniej nie byłaś w moim ogrodzie, a wiedziałaś, że jest w nim fontanna. Spytałaś o most, a przecież nikt o nim nie wspominał. Z kolei mój pies, nieufny wobec obcych, tresowany, nigdy cię nie widział, a wziął od ciebie mięso. Uczyłem go, by nigdy tego nie robił. Dał ci się pogłaskać. Na inne kobiety warczał. Moją narzeczoną ugryzł, chociaż znał ją dłużej niż ciebie. A Hady, który nigdy cię nie widział, miał przed sobą dwie kobiety i to tobie oddał hołd, nie pani doktor. Powiedz, czy to wszystko można było wymyślić?

Anna milczała. Wszystko układało się w logiczną całość, tylko dlaczego ta prawda tak bolała?

– Milczysz – Said mówił dalej. – Jeszcze jeden znak. Nasze pierwsze spotkanie, a raczej drugie, nocą w twoim namiocie. Hady powiedział, czytając z kart: „Ta kobieta jest ci przeznaczona, która nie będzie krzyżeć ciemnej nocy”. Czy nadal masz wątpliwości?

Tak, miała wątpliwości. Nie chciała utracić wolności, dlatego nie pasował jej ten związek.

– Może to wszystko prawda – zaczęła łagodnie. – Ale kto panu dał prawo decydowania o ludzkim losie? – spojrzała mu w twarz. – Jak można było potraktować mnie jak przestępcę i w asyście żandarmów wyprowadzić z samolotu? Odebrać paszport, zakazać oddalania się od obozu. Kim jestem? – podniosła głos. – Więźniem?

– Czy źle cię traktowano? – jego twarz zrobiła się poważna.

– Tak. Traktowano mnie jak więźnia. I jeszcze te kłamstwa, że mogę opuścić Syrię tylko z całą grupą. Ja i tak wiedziałam, kto mi to zrobił – wskazała na niego palcem. – Kto kazał mnie zatrzymać i tutaj przywieźć.

– Anno – chwycił jej lewą rękę i przytulił do swego serca.

Chciała ją wyrwać, lecz niedawna kontuzja znów się odezwała. Poczula lekki ból nadgarstka i dała sobie spokój. Ciepło jego ciała przenikające przez koszulę przyjemnie ogrzewało jej otwartą dłoń.

– Me serce bije dla ciebie i tylko dla ciebie. Przyjmij moją miłość. Bądź moją żoną.

– Ja nie chcę twojej miłości – pokręciła głową. – Pozwól mi odejść, wrócić do kraju. Proszę cię.

– Dlaczego chcesz wracać do kraju, w którym nie masz własnego domu, rodziny? Mój pałac będzie twoim domem, a ogród rajem, w którym razem stworzymy wspaniałą rodzinę.

W jej oczach pojawiły się łzy. Uwolnił jej dłoń. Jeszcze nie widział Anny takiej smutnej. Nie mógł znieść, że z jego powodu jasnowłosa cierpi. Nie chciał jej skrzywdzić, a jednak to zrobił. Postanowił przytulić ją i pozwolić jej wypłakać się na swoim ramieniu.

– Proszę cię. Zostaw mnie w spokoju – powiedziała cicho. – Nie chcę twojego pałacu, ogrodu...

W tej samej chwili pojawił się Steve. Szarpnął El Dżajada, wymierzając mu cios pięścią w podbródek. Mężczyzna zachwiał się i uderzył plecami o bok konia. Zwierzę uchroniło go od upadku.

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknął Steve, wyciągając ku Saidowi palec wskazujący. – Już dość narozrabiałeś!

Dłoń księcia zatrzymała się na kaburze pistoletu, odruchowo odpiął zatrask. Anna znieruchomiała, przyłożyła do ust palce złożone jak do modlitwy. Jej przerażone spojrzenie powstrzymało El Dżajada przed użyciem broni wobec konkurenta.

– Wybaczam ci tę zniewagę – jego oczy pały nienawiścią. – Nie skalam tego munduru, oddając cios – dosiadł konia. – Ta kobieta nie jest ci przeznaczona.

– Tobie też nie! – Steve był pełen gniewu. – Znajdź sobie inną ofiarę i nad nią znęcaj się psychicznie, ty arabski kundlu. Zaczynaj się leczyć!

Anna była zszokowana słowami Steve'a. Zakryła twarz dłońmi. Nie chciała patrzeć, jak na twarzy El Dżajada rośnie napięcie. Bała się, że za chwilę stanie się coś złego. Said zachował zimną krew.

– Dobrej nocy, Anno – pożegnał się i pognął konia.

– Boże, Steve. Coś ty zrobił? – spojrzała na niego.

– Od dawna mu się należało – powiedział podniesionym głosem.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że mógł cię zastrzelić?

– Nic mi nie robi! – Steve był dumny z siebie.

– Czy jesteś tego pewien?

– Tak. To tchórz.

– Nie zrobił tego z uwagi na mnie. Gdyby cię skrzywdził, straciłby mnie – spojrzała za oddalającym się jeźdźcem.

– Wracajmy – objął ją ramieniem. – Wszyscy już skończyli jeść kolację, a ciebie wciąż nie ma.

– To już tak późno? – spojrzała na zachód.

Słońce chyliło się ku horyzontowi. Nie śpiesząc się, ruszyli w stronę obozu. El Dżajad zatrzymał konia i obejrzał się. Bliskość Steve'a i Anny jeszcze bardziej go rozwścieczyła. Już nie będzie taki łagodny, miły, grzeczny. Jest na swojej ziemi, tu może działać bez przeszkód. Żaden Amerykanin nie odbierze mu ukochanej kobiety. Gdyby pozbył się konkurenta, Anna byłaby już jego.

– Wiesz, że przesiedziałaś tu przeszło godzinę?

– Doprawdy?

– Tylko co cię podkusiło, by odejść od obozu na półtorej mili? Myślałem, że jesteś w oazie.

Anna milczała. Nie wiedziała, że tak daleko pobiegła.

– Gdybym w porę nie nadszedł, kto wie, co zrobiłby ci ten kundel. Nie możesz teraz oddalać się od naszego obozu. Z nami jesteś bezpieczna.

– Bezpieczna? A czy mam jakieś miejsce w obozie? Nie mam nic. Ani namiotu, ani bagażu.

- Mary zaproponowała, żebyś zamieszkała z nią w namiocie.
- Co? – przystanęła. – Po tym, co ta suka mi zrobiła, ma czelność zapraszać mnie do swojego namiotu? Po moim trupie.
- Ona nie wiedziała...
- To ty z nią śpój! Teraz proponuje mi swój namiot? Jak przyjechaliśmy tutaj, powiedziała, że nie chce spać w jednym namiocie z kucharką. A teraz, jak zrobiła mi świństwo, to zaprasza... Już wolę pałac Saida – przyłożyła dłoń do ust.
- Co powiedziałaś? – spojrzał jej w twarz.
- Nie wiem – ruszyła przed siebie. – Co powiedziałam?
- Pałac Saida? Ty się dobrze czujesz?
- Nie – zaprzeczyła. – Mam mętlik w głowie. Nie wiem, co robić... co myśleć. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię i została tam na zawsze.
- Nie wygłupiaj się. Znajdziemy jakieś rozwiązanie tej popieprzonej sytuacji. Mam dwa koce, dam ci jeden. Uprałem piżamę, pożyczę ci ją, a sam będę spał w spodenkach. Zostało łóżko polowe po Tomie, będziesz miała na czym spać.
- O wszystkim pomyślałeś.
- Nie tylko ja. Rozmawialiśmy o tobie z całą grupą. Jesteśmy za ciebie odpowiedzialni, jak trzej muszkieterowie.
- To miłe – na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Jeden za wszystkich...
- ...wszyscy za jednego – dokończył.
- Szkoda, że to niczego nie zmieni.
- Dlaczego ma nie zmienić?
- Ja wciąż tu jestem, a tam... – wskazała na pałac.
- I z nim sobie poradzimy.

To były puste słowa. Z Saidem El Dżajadem nie da się wygrać. Nie po tym, jak się jej oświadczył, chociaż nie podarował pierścionka. Czowała, że nie przestanie jej nachodzić. Będzie ją dręczył, aż zmięknie.

Kiedy doszli do obozu, ekipa odkrywców siedziała przy pustym stole, jakby na coś czekali. Wszystkie oczy skierowały się w ich stronę. Anna uciekała wzrokiem, jakby chciała ukryć dzisiejsze przykre przeżycia. Bateman poprosił, by usiadła przy ich stole, nawet profesor Durell przesunął się o jedno miejsce. Nie zrobiła

tego. Widok pani doktor sprawił, że znów zawrzała w niej krew. Usiadła przy stole studentów. Steve zajął miejsce obok niej. John przyniósł wazę z zupą mleczną, łyżkę i głęboki talerz.

– Wiem od Steve’a, że lubisz makaron z mlekiem.

– Dziękuję, ale nie chce mi się jeść.

– Nakarmili cię na lotnisku? – zaciekał się Bateman.

– Nie – zaprzeczyła.

– Czyli jak mniemam – zastanawiał się Steve – od śniadania nic nie jadłaś.

Tak, to prawda. Rano zjadła omlet i wypła kawe. To był jej jedyny posiłek tego dnia. John nalał do talerza łyżkę wazową zupy mlecznej. Podziękowała.

– Dobrze, że wróciłaś, bo jak widzisz, John pomylił śniadanie z kolacją i zaserwował nam zupę mleczną.

Garry stuknął go łokciem w bok, rzucając mu znaczące spojrzenie.

– Przepraszam – Dan zrozumiał swój nietakt. – Nie chciałem cię urazić.

– W porządku, Dan – wymusiła na twarzy uśmiech. – To nie twoja wina.

Jedzenie z trudem przechodziło jej przez gardło. Przez chwilę patrzyli, jak się męczy. Bette przerwała ciszę:

– Zanim przyjdą twoje bagaże, pożyczę ci trochę swoich rzeczy. Mamy taką samą figurę, będą się na ciebie nadawać.

– Dziękuję, może trochę potrwać, zanim ci je zwrócę.

– Nie szkodzi – Bette starała się ją pocieszyć. – Jest ciepło. Można chodzić półnago.

– Ja pożyczę ci piżamę – zaproponował David. – Wziąłem dwie, a matka wcisnęła mi do plecaka jeszcze jedną. Nawet jest metka. Mojej mamusi się coś pomyliło, bo piżama jest w motylki.

– Żartujesz – zaśmiał się Dan.

– Nie, nie żartuję. Błękitna w różowe motylki. Nawet nie wiedziałem, że mam ją w plecaku.

– Ty? – zastanowił się Garry. – A ona ma rozporek?

– Ma – potwierdził David. – Chyba kupiona w gejowskim sklepie.

– Każdy ma coś dla ciebie – powiedział Steve.

– A gdzie mam spać? – rzuciła od niechcienia.

– Najlepiej, żebyś nie spała sama – rozważył Bateman. – Wiem, że masz żal do Mary, ale dla twojego bezpieczeństwa powinnaś zamieszkać w jej namiocie.

– O nie. Po moim trupie – odstawiła talerz. – Po tym, co mi zrobiła?

– Przepraszam. Nie wiedziałam – Mary przepraszała po raz kolejny.

– Nie odzywaj się do mnie! Nie będę mieszkać pod jednym dachem ze zdrajczynią! Wolę spać tutaj, na ławce.

– Chciałaś wracać do kraju, bo mówiłaś, że boisz się El Dżajada – zaczął Bateman. – Teraz chcesz spać sama. Nie rozumiem cię. Już się go nie boisz?

– Zgadza się – wstała od stołu. – Już się go nie boję – spojrzała w stronę wzgórz.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Steve pokręcił głową.

– Dobra – John uniósł ku górze ręce. – Ja będę spał z chłopakami, a Anna wraca do swojego namiotu. Pasuje?

– Pasuje – przytaknęła z rezygnacją. – Dzięki – oddaliła się od stołów.

– A ty dokąd? – spytał Steve.

– Za potrzebą.

Anna przez dzisiejsze przeżycia tylko dwa razy była w toalecie, rano w obozie i przed odlotem samolotu. Kiedy użyła papieru, zauważyła, że miesiączka, która miała przyjść za cztery, pięć dni, pojawiła się wcześniej. Na skutek stresu jej organizm tak niespodziewanie się rozregulował. Wyszła z toalety. Bette i Alex szli w stronę swojego namiotu. Pospieszyła ku nim. Wstydząc się mówić o takich rzeczach przy mężu tłumaczki, szeptem poprosiła o podpaski. Weszli do środka. Anna chciała zachować dyskrecję, ale Bette, jak to zamężna kobieta, niemająca przed mężem sekretów, wręczyła jej pudełeczko, mówiąc:

– Dobrze, że już nie są mi potrzebne. Przynajmniej nie będę musiała wieźć ich z powrotem do domu.

– Bette ma jeszcze tampony – zaproponował Alex. – Nie chcesz?

– Podpaski wystarczą – Anna zaczerwieniła się.

– Poczekaj – powstrzymała ją Bette. – Dam ci parę moich rzeczy.

Bette wyjęła z torby podróżnej, służącej nadal za szafkę, dwie pary czystych jedwabnych różowych majtek, bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem, białe getry i świeżo uprane popielate skarpetki Alexa. Anna podziękowała i wyszła z ich namiotu. Pod namiotem--kuchnią stali Dan i John. Każdy z chłopców miał dla Anny jakiś prezent. John otworzył przed nią szeroko namiot. Weszła do środka. Położyła rzeczy od Bette na łóżku polowym. Pierwszy wszedł Dan z obiecaną błękitną piżamą w różowe motylki. Przyniósł też kolorową koszulkę z krótkim rękawem. Na żółtym tle zielone palmy, niebieskie niebo, białe obłoki.

– Dziękuję – rozłożyła koszulkę. – Jaka ładna.

– A to ode mnie – John wręczył jej błękitny ręcznik w granatowe pasy. – Jest czysty, nieużywany. W końcu musisz się czymś wycierać.

Do środka weszli David, Garry, a za nim Barry. Każdy miał dla Anny prezent.

– Żebyś nie przegrzała głowy – David założył jej czapkę z daszkiem.

– Dzisiaj robiłem pranie i możesz spokojnie chodzić w moim podkoszulku – Garry wręczył Annie cienki bawełniany podkoszulek z długim rękawem. – Komary nie będą cię gryźć.

– A to, żebyś miała w czym chodzić – Barry podał jej ciemnobrązowe skórzane plecione klapki. – Podobno mam babskie stópkki. Nie da się w tym chodzić po piasku. Tobie lepiej będą służyć.

– Dziękuję – łzy napłynęły jej do oczu. – Jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nawet stryj nie zadbał o mnie po śmierci rodziców tak jak wy teraz. Aż chce się was ucałować.

– W końcu jesteśmy jednością – powiedział Dan. – Musimy sobie pomagać.

– A całusa mogłabyś... – Garry nadstawił policzek.

Anna dla żartu cmoknęła go w policzek. Studenci poszli za jego przykładem, nadstawili policzki. Dostali słodkie podziękowanie od jasnowłosej. John nachylił się i nic. Anna zawahała się, ponieważ mężczyzna dla żartu nastawił do pocałunku usta. Odsunęła się od niego.

– Czuję się pokrzywdzony.

– No wiesz... trochę krótko się znamy.

- W porządku, wybaczam pominięcie mojej osoby.
- Było nastawić policzek – powiedział Garry.
- Więcej was nie było? – w namiocie pojawił się Steve. W jednej ręce trzymał podręczną torbę Anny, w drugiej koc w czerwono-czarną kratkę.
- No, właśnie nam pana brakowało – zreflektował się Garry.
- To może poszlibyście spać? – zaproponował.
- No, chyba moglibyśmy – powiedział cicho David.
- Dobrej nocy, Anno – pożegnał się Garry. – Jakby co, to krzycz.
- Pa, chłopaki – uśmiechnęła się. – Dziękuję za prezenty. Namiot opustoszał. Anna została sama ze Steve'em.
- I jak? – spytał. – W porządku?
- Tak. Mam w czym spać i chodzić – wskazała prezenty leżące na łóżku. – Kochane chłopaki.
- A ja? – objął ją w pól.
- Dobry z ciebie przyjaciel – spojrzała mu w oczy.
- Przyniosę śpiwór do twojego namiotu i będziemy spać razem.
- Dziękuję za troskę, ale chcę być sama.
- Naprawdę nie będziesz się bała spać sama?
- Nie.
- A jak pojawi się Said? Co wtedy?
- On mnie nie skrzywdzi.
- Jesteś pewna?
- Tak – spuściła wzrok. – Jestem pewna.
- Jak uważasz – odsunął się od niej. – Ja na twoim miejscu bym nie ryzykował.
- Postawię garnuszki pod drzwiami namiotu. Jak ktoś wejdzie, obudzi mnie hałas.
- No nie wiem. Dobranoc.
- Dobranoc.

Została sama. Zasuwała namiot, zabezpieczyła suwak, zatraskując jego końce kłódeczką. „Jakie miłe zakończenie dnia” – pomyślała. „Tyle życzliwości, prezenty”. Umyła się, założyła piżamę w różowe motylki i dość szybko zasnęła. Miała nawet przyjemny sen. Śniło jej się, że jest ubrana w długą białą jedwabną suknię ślubną z długim rękawem, spod której przebijała długa atłasowa halka. Na głowie sięgający ziemi koronkowy welon, na twarzy cienka

biała woalka, diadem, mała złota korona wysadzana diamentami. Gościnny salon w pałacu księcia przystrojony kwiatami. Pani El Dżajad wręcza jej bukiet z krótko przyciętych czerwonych goździków, przystrojonych szerokimi zielonymi listeczkami rośliny, której we śnie nie rozpoznała; całość przewiązana szeroką białą wstążką. Pojawia się Said El Dżajad ubrany w wojskowy jasnobezowy mundur, bez czapki na głowie. Uśmiecha się, podchodzi do niej, mówiąc: „Moje serce bije tylko dla ciebie. Mój pałac należy do ciebie, tutaj stworzymy wspólną rodzinę...”.

Zbudził ją hałas dobiegający z drugiej części namiotu. Otworzyła oczy. Słońce już dawno wzeszło, na dworze było jasno, a John przygotowywał śniadanie. Odetchnęła z ulgą. Bała się, że ktoś włamuje się do namiotu. Przymknęła powieki. Wciąż była pod wrażeniem snu. Wiedziała, że wkrótce się spełni i nic na to nie poradzi.

Wstała z łóżka i przez część kuchenną wyszła do ubikacji. Obóz budził się do snu. Studenci witali ją z rana głośnym „cześć” i uśmiechami. Cieszyła się, że jest z nimi, a jednocześnie czekała na rozwój wydarzeń.

Kolejne dwa dni upłynęły spokojnie. Anna pomagała Johnowi w przygotowywaniu posiłków. Upiekła chleb, rogaliki na kruchym cieście nadziewane marmoladą. Opowiadała nowemu kucharzowi o pierwszych dniach gotowania w trudnych warunkach. Przy smażeniu ciasta naleśnikowego mówiła o zabawnych sytuacjach, jakie miały tu miejsce. W pewnym momencie John zadał trochę niedyskretne pytanie, które kiedyś musiało paść:

– Wiem, że jesteś tu przez pewnego człowieka... – wahał się. – Jakiegoś Dżajada. Kto to właściwie jest?

– Kto? – westchnęła. – Wielki arabski książę – mówiła w zamyśleniu. – Zakochany we mnie.

– A ile już ma żon?

– Miał dwie, ale zmarły. Jest sam. Właściwie nie jest pełnokrwistym Arabem. Jego prababka była Angielką, babka Greczynką, matka jest Hinduską. Dziadek był Arabem.

– Mieszaniec.

– Właśnie – zastanowiła się. – Studiował w Anglii. Zna francuski.

– Światowy człowiek.

– Wiesz, trochę mi go żal. Stracił dwie ukochane osoby, a właściwie trzy. Żona zmarła przy porodzie, a wkrótce i dziecko. Ja też straciłam trzy ukochane osoby: rodziców i brata. Ja cierpiałam raz, on dwukrotnie. Może gdyby to był inny kraj, inne miejsce, coś by z tego wyszło.

Tak się zamyśliła, że zapomniała o cieście na patelni. John wyczuł, że coś się przypala. Odwrócił się do niej twarzą. Znad patelni unosił się czarny dym.

– Chcesz nas spalić?! – powiedział głośno.

– Niech to diabli!

Anna chwyciła patelnię i wybiegła przed namiot. Zapomniała użyć rękawiczek. Rączka patelni była gorąca, poparzyła jej prawą dłoń. Anna odrzuciła naczynie z dala od siebie i zakląła. John pospieszył ku niej. Podmuchem z ust chciała ochłodzić poparzone miejsce. Mężczyzna ujął jej dłoń, by zobaczyć, jak wygląda zranione miejsce. Wyrwała ją z jego dłoni.

– Lepiej mnie nie dotykaj. Tam gdzieś – wskazała w stronę wzgórz – może być Said. Kto wie, czy mnie nie obserwuje. Nie chcę, żebyś ucierpiał.

– Dlaczego mam ucierpieć? – spojrzał w stronę wzgórz.

– Jestem przeznaczona Saidowi i nikt nie może mnie dotykać, tylko on.

– Gdzie tak jest napisane? – John nie rozumiał jej słów.

– W przepowiedni – machała dłonią, próbując osłabić piekący ból.

– Może idź do pani doktor...

– Nie ma mowy. Idę do oazy. Tam woda jest tak zimna, że nie potrzeba lepszego lekarstwa na oparzenie.

– Nie radziłbym – powstrzymał ją.

– Dlaczego? – spojrzała mu w twarz. – Boisz się, że El Dżajad się tam zjawi?

– Niewykluczone. Właśnie zauważyłem błysk światła, jakby słońce odbiło się od lornetki.

– Jednak zgadłam. Jestem obserwowana. Idę przyłożyć lód do dłoni.

John zajął się przypaloną patelnią, a Anna weszła do chłodni, zebrała garstkę szronu i przyłożyła do rany. Poczowała ulgę. Kiedy lód

rozpuścił się, na dłoni zostały dwa wodniste bąble, każdy o średnicy centymetra. Dobrze byłoby je przekłuć, lecz nie poprosi o to pani doktor. Zrobiła to sama czubkiem noża. Owinęła dłoń w chusteczkę, zakazując Johnowi poproszenia Mary o jakikolwiek opatrunek. Kiedy ekipa przyszła na obiad, Anna nie pokazywała się, by nie zwracać na siebie uwagi.

*

W czwartek tuż przed południem w obozie pojawił się pies. John akurat wynosił śmieci. Przestraszony wrócił do namiotu-kuchni. Anna zauważyła jego dziwne zachowanie.

– Co się dzieje? – spytała.

– W naszym obozie jest pies – oznajmił ściszym głosem.

– Pies? – nie dowierzała.

– Taki wilczur, duży wilczur – wszedł w głąb namiotu i sięgnął po nóż.

Spojrzała w stronę wyjścia. Do środka wszedł pies Saida. Anna uśmiechnęła się.

– Abu. Co ty tutaj robisz, piesku? – mówiła po francusku, powoli podchodząc do psa. – Pamiętasz mnie?

– Co ty robisz? – John nie rozumiał jej zachowania.

– To pies El Dżajada. Pewnie i on zaraz tu będzie.

Abu zawarczał, sierść na jego karku zjeżyła się. Pies przybrał pozycję do ataku. Anna wyprostowała się. John nie był zadowolony z takiego obrotu spraw.

– Abu. Co z tobą, piesku? – mówiła łagodnym głosem. Powoli wyciągnęła ku niemu lewą dłoń. – Spokój. Nie wolno straszyć mojego kolegi.

– Czarno to widzę – John był wystraszony.

– To odłóż nóż. On jest tresowany, widzi zagrożenie, może cię zaatakować.

– Dobra. Wierzę ci na słowo.

Powoli położył nóż na blacie stołu. Pies uważnie przyglądał się jego czynności. Nie widząc zagrożenia, uspokoił się. Spojrzał na kobietę i pozwolił jej pogłaskać się po karku. John stał nieruchomo, nie wierząc własnym oczom.

Usłyszeli zbliżających się jeźdźców i pojedynczy gwizd. Pies wybiegł z namiotu. Serce Anny zaczęło bić mocniej. Wiedziała, że za chwilę spotka się z Saidem. Odetchnęła głęboko. Wyszła przed namiot, a za nią ruszył John. Said El Dżajad, ubrany w cętkowany zielono-brązowy mundur, w czarnym berecie na głowie podjechał na swym czarnym koniu i zatrzymał się pięć kroków przed namiotem--kuchnią. Obok niego stanął Abu. Tuż przy bramie na wierzchołkach czekało sześciu uzbrojonych żołnierzy w jasnobrązowych mundurach. Anna zauważyła, że mają ze sobą luźnego konia.

– Czego sobie panowie życzą? – spytał John.

– My do profesora Batemana – oznajmił Said. – Czy jest w obozie? – wpatrywał się w jasnowłosą.

– A czego od niego chcecie? – pytał John.

– Podejrzewamy, że wśród kopaczy ukrywa się zbieg. Mój pies wyczuł jego zapach i doprowadził nas tutaj.

– Profesor jest z innymi w ruinach – poinformował John.

Ze swego namiotu wyszła pani doktor, tuż za nią Bette, lecz nie podeszły do niespodziewanego gościa. Said przekazał rozkazy swoim żołnierzom. Mężczyźni odjechali w stronę wykopalisk.

– Czy mogę z panią porozmawiać, Anno, przeprosić...? – zwrócił się do niej Said.

– Chcesz rozmawiać z tym panem? – spytał John.

– W porządku, John. O ile ten pan nie zsiądzie z konia.

– Nie przywykłem rozmawiać z kobietą, siedząc na koniu. To nietakt... ale skoro tego sobie pani życzy, nie zsiądę.

John spojrzał na dziewczynę. Skinęła głową na znak, że wszystko w porządku. Wrócił do namiotu-kuchni. Abu poszedł za nim. Anna zawołała go, pies zawrócił. Był jej posłuszny. Said, wpatrując się w jej smutną twarz, zaczął mówić:

– Przepraszam, że zadałem ci tyle bólu. Nie chciałem, byś cierpiała. Czy wybaczysz mi?

Kobiety skryły się w namiocie. Z niedowierzaniem słuchały jego słów pełnych pokory. Były ciekawe, co się wydarzy.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, a nie zadawać mi cierpienie – wbiła wzrok w ziemię.

– Moja miłość do ciebie jest silniejsza ode mnie. Nie mogę cię stracić.

– A gdyby udało mi się odlecieć tym samolotem? Co wtedy? – spojrzała mu w twarz.

– Odnalazłbym cię, gdziekolwiek byś była.

Anna uśmiechnęła się. „To nie może być prawda. On powinien się leczyć. Czy naprawdę można tak mocno kochać?”. Kobiety w ukryciu popatrzyły po sobie. John podszedł bliżej wyjścia namiotu, aby lepiej słyszeć.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę – spoważniała. – Skoro udało się panu powstrzymać mnie od wyjazdu z Syrii, to pewnie użyłby pan swoich wpływów w moim kraju, by mnie odszukać. Czy to nie jest szalone?

– Nie, jeśli się kogoś kocha.

– Proszę tak nie mówić. Pana słowa niczego nie zmieniają.

– Twoje uczucie zmieniłoby się, gdyby nie było tu Steve’a, prawda?

Złękła się jego słów. Ponownie spojrzała mu w twarz. Jego spojrzenie było zimne, jak wtedy, gdy Steve go uderzył.

– Mam prawo do swoich uczuć – powiedziała cicho.

– Tak, masz prawo – ściągnął cugle. – Ale pamiętaj, mam tu władzę.

– Nie zapomniałam.

– Widzę, że znów coś sobie zrobiłaś w rękę.

– Taki mały wypadek w kuchni – spojrzała na dłoń owiniętą w chusteczkę.

– Gdybyś... – urwał, wziął głęboki oddech. Wiedział, że jego słowa niczego nie zmieniają.

Abu podniósł się z ziemi. Said spojrzał na zbliżających się żołnierzy. Anna popatrzyła przed siebie. Jeźdźcy mieli ze sobą więźnia.

– Przepraszam, obowiązki – skinął głową. – Życzę miłego dnia.

Cmoknął na konia i wyjechał za ogrodzenie obozu. Nie obejrzał się, jak to miał w zwyczaju. Pani doktor i Bette wyszły z ukrycia. John podszedł do Anny.

– To jest ten Dżajad? – John chciał się upewnić.

– Tak, to on – powiedziała cicho.

– Skubany. Jak sprytnie cię zaszantażował.

Anna spojrzała na niego. W tym czasie podeszła do nich Bette.

– Przepraszam, nie dało się nie słyszeć rozmowy – John odruchowo uniósł ku górze rękę.

– On naprawdę jest w tobie zakochany – zauważyła Bette.

– Ty też...? – Anna spojrzała w jej stronę.

– Przepraszam, ale jak mówi John, nie dało się nie usłyszeć waszej rozmowy – Bette przyznała się. – Co teraz zrobisz?

– Nic. Przeznaczenie się dopełnia – powiedziała z rezygnacją w głosie.

– Co wy z tym przeznaczeniem? – nie rozumiał John.

– Wkrótce zobaczysz – Anna uśmiechnęła się.

Kucharz nadal nic nie rozumiał.

– Ale z tym psem to mnie zaskoczyłaś – przyznał.

– No właśnie – podchwyciła Bette. – Dlaczego mówiłaś do niego po francusku?

– Bo na ten język reaguje. Matka Saida mówi po francusku, może dlatego był mi posłuszny. Wybaczcie, muszę coś przemyśleć.

Poszła do swojej części namiotu, włożyła na głowę czapkę z daszkiem, wzięła radio i udała się do oazy. Usiadła na kamieniu pod ulubioną palmą. Wciąż widziała zimne spojrzenie Saida, kiedy mówił o Stevie. Spojrzenie, którego należało się bać. Musi unikać spotkań ze Steve'em, nie może pozwolić, by ją obejmował, dotykał poza namiotem. Najlepiej będzie, jak o nim zapomni. Sen wskazał jej mężczyznę, z którym będzie mieszkać do końca życia.

John powiedział profesorowi Batemanowi o wizycie El Dżajada i szantażowaniu Anny. Profesor zdenerwował się. Przy kolacji powiedział:

– Od jutra będziesz chodzić z nami do ruin. Nie chcę, by pan Dżajad cię nachodził.

– Sądzi pan, że to go powstrzyma? – nie wierzyła.

– Nie wiem, ale spróbować można.

– A jeśli nadal będzie mnie nachodził?

– Zwrócę się o pomoc do władz.

– Obawiam się, że pan Dżajad ma tu większą władzę, niż pan przypuszcza.

Kolejna nieprzespana noc, burza myśli, złe samopoczucie. Niewyspana, tuż po śniadaniu udała się z całą grupą do wykopalisk. Był piątek, tego dnia muzułmanie mieli święto, więc amerykańska

ekipa pracowała sama. Anna dawno tam nie była. Zobaczyła odsłoniętą część dwóch budynków. Z nudów chodziła wśród kamiennych murów i zaglądała do odsłoniętych pomieszczeń. W niektórych z nich stały dobrze zachowane drewniane stoły, taborety. Zmęczona usiadła na płaskim kamieniu w zacienionej niszy. Oparła plecy o ścianę i zaczęła ziewać. Postanowiła posiedzieć i odpocząć. Zaraz poczuje się lepiej. Zasnęła. Barry przesunął obiektyw kamery w jej stronę. Zauważył, że śpi, lecz nie śmiał jej budzić.

Wystarczyła godzina snu, by wyśnić to, co miało wkrótce ich spotkać. Ciemna noc, silny wiatr znad pustyni. Tumany kurzu i piasku unoszące się w powietrzu. Błyskawice przecinające granatowe, nisko zawieszony na niebie deszczowe chmury. Gwałtowna ulewa. Porwane namioty. Zniszczony agregat prądotwórczy, niedziałająca po uderzeniu pioruna chłodnia. Wykopaliska zalane przez masy mokrego piasku. Cała praca poszła na marne, jedyne, co ocalało, to taśmy, z których powstanie film dokumentujący wyprawę do zaginionego miasta.

Zbudził ją dźwięk eksplodującego dżipa. Wzdrygnęła się, otworzyła oczy. Na dworze świeciło słońce, a ona nadal przebywała w ruinach miasta. Odetchnęła z ulgą. Odruchowo spojrzała na zegarek. Jedenasta trzydzieści pięć. Zdrętwiało jej siedzenie, chciała wstać. Przyjemne ciepło rozgrzało jej serce, a na ustach poczuła pocałunek Saida. Przymknęła powieki. „Boże, czy to się nigdy nie skończy?” – zadała sobie pytanie. „A może się poddać, nie walczyć z niechcianym uczuciem? A może czekać, aż coś się wydarzy, i uwolnić się od tego człowieka?”. Już nie wiedziała, co robić.

Zbliżało się południe. Amerykanie zmęczeni upałem powrócili do obozu.

– Ten Syryjczyk tu był – poinformował John. – Pytał o Annę. A wcześniej o panią doktor. Pojechała z nim do pałacu.

– Jednej kobiety mu mało? – Durell zdenerwował się. – Jadę po nią.

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem mówić – powstrzymał go John. – Zachorowała jego matka. Dostała ostrych boleści, potrzebny był lekarz.

– A o której to było? – spytał Bateman.
– O jedenastej trzydzieści pięć – wyrwało się Annie.
– Tak – John był zaskoczony. – Około wpół do dwunastej.
– Skąd wiedziałaś? – Steve nie dowierzał, że zgadła.
– Czuję go na odległość – roześmiała się. – Jak nie zwariuję, to będzie dobrze.

– Jak możesz kogoś czuć na odległość? – zaciekawiał się John.
– To moja tajemnica.

Zniknęła w namiocie-kuchni. Panowie nie rozumieli jej zachowania. Tajemnica? Jaka tajemnica?

Wszyscy zjedli obiad, a Mary Parker wciąż nie było. Durell denerwował się nieobecnością siostry. Zbliżała się czwarta po południu, a jej wciąż nie było. Już miał poprosić Alexa, by pojechał z nim do pałacu El Dżajada, gdy Bette zobaczyła zbliżającą się dwuosobową bryczkę zaprzęzoną w czarnego konia. Pani doktor była sama, na kolanach trzymała bukiet czerwonych lili azjatyckich. Stangret zatrzymał konia przed bramką obozu. Mary z uśmiechem na twarzy wysiadła z bryczki. Widać wizyta w pałacu księcia była bardzo przyjemna.

– Gdzie tak długo byłaś? – spytał ją brat.
– John ci nie powiedział?
– Powiedział, ale chcę usłyszeć to od ciebie.
– Matka El Dżajada zachorowała. Dostała lekkiego ataku woreczka żółciowego. Said poprosił mnie o pomoc.
– Said? Jesteście na ty?
– Tak jakby – uśmiechnęła się.
– Mogłaś odmówić i nie pojechać.
– Mark, jestem lekarzem. Nie mogę odmawiać pomocy medycznej nawet wrogowi.

– A księżna jak się czuje? – pojawił się Bateman.
– Lepiej. Podałam jej leki rozkurczowe. Powiedziałam Saidowi, jakie powinien kupić lekarstwa.
– Operacja nie była potrzebna? – spytał Durell.
– Nie – zaprzeczyła pani doktor. – Przyznała się, że zjadła za dużo ciasta. Jednak nie chciała ze mną rozmawiać przez syna. Chciała, by była przy niej Anna.

– Wykluczone. Anna nie będzie jeździć do pałacu tego człowieka
– zdecydował Bateman.

– Właśnie powiedziałam jej, że Anna nie będzie mogła jej odwiedzić.

– Dobrze zrobiłaś – poparł Durell.

– Słuchajcie. Said naprawdę kocha Annę. Powiedział, że nie rozumie, dlaczego kobieta, której chce wszystko podarować, nie chce go...

– Bo Anna jest rozsądną kobietą – podsumował Bateman.

– On z niej nie zrezygnuje – Mary pokręciła głową. – Tak bardzo żałuję, że wygadałam się z tym wyjazdem.

– O parę dni za późno, siostró, by żałować. O parę dni za późno.

Anna słyszała ich rozmowę. Czy ma wybaczyć pani doktor, skoro okazała skruchę? Nie, jeszcze na to za wcześnie. Nadal czuje do niej żal.

Przed snem Anna znów poczuła bliskość Saida. Ukradkiem wystawiła głowę z namiotu, obawiając się, że jest gdzieś blisko. Nie dostrzegła żadnych podejrzanych ruchów ani skradającej się postaci. Wszyscy już spali w swoich namiotach; pora, by i ona ułożyła się do snu. Spojrzała w niebo. Było czyste, przejrzyste, pozbawione chmur. Na horyzoncie pojawiła się żółtoczerwona kula. Dzisiaj zapowiadała się pełnia księżyca. Ciekawe, kiedy przyjdzie wichura, która jej się przyśniła? Aż strach pomyśleć, co będzie się działo. Ciarki przeszły jej po plecach.

Zasunęła suwaki i zatrzasnęła kłódkę. Znów nie mogła zasnąć. Włączyła radio. Usłyszała tylko szum, nie mogła nastawić żadnej znajomej stacji radiowej, tylko jakąś arabską muzykę. Właśnie przy niej zasnęła. Nie spała jednak długo. Około północy zbudził ją podejrzany hałas, jakby ktoś przeciął materiał namiotu. Poczła zapach męskiego potu. Zdażyła tylko przekręcić się na wznak i unieść głowę, by sprawdzić, co się dzieje, gdy czyjaś ręka spadła jej na twarz. Próbowwała odepchnąć rękę intruza, lecz dziwny słodki zapach pozbawił ją przytomności.

Kiedy otworzyła oczy, raziło ją światło wpadające przez trzy wąskie półkoliste okna. Przymknęła powieki. Było jej niedobrze i dziwnie się czuła. Ponownie otworzyła powieki. Obraz przed nią był zamazany, niewyraźny. Pomruwała powiekami, próbowała się

podnieść. Ostry ból głowy i mdłości przykuły ją z powrotem do pościeli. Rozłożyła ramiona, dłońmi sprawdzała, na czym leży. Nie było to jej łóżko, lecz szerokie łożo z jedwabną pościelą. Spojrzała w górę. Obraz stawał się wyraźniejszy. Zobaczyła biały sufit. Spojrzała na boki. Znajdowała się w jakimś pomieszczeniu. Ściany pomalowane na bladożółty kolor, stylowe drewniane meble w kolorze ciemnego mahoni. Na podłodze brązowo-żółto-beżowy dywan. Łoże, na którym leżała, miało rzeźbiony w trójkąt zagłówek wykonany z drewna. Mogło pomieścić trzy osoby. „Czy ja zostałam porwana do pałacu Saida?” – zadała sobie pytanie.

Gwałtownie podniosła pościel, chcąc sprawdzić, czy nie jest naga. Odetchnęła z ulgą. Wciąż miała no sobie piżamę w motylki, a spod jej rękawa coś wyglądało. Odrzuciła pościel na bok, usiadła na łożku. Na przegubach obu jej rąk widniały złote bransoletki, na lewej przeplatane brylantami, na prawej rubinami. Na serdecznym palcu lewej ręki okazały pierścień w kształcie rozkwitłej róży z rubinowym czerwonym oczkiem, wart jakieś sześć tysięcy dolarów. Coś ciążyło jej na szyi. Lewą dłonią dotknęła kamieni. Zauważyła okazałą brylantową kolię. Poczowała lekki piekący ból przedramienia. Odstłoniła ramię i ku swojemu przerażeniu ujrzała tatuaż w kształcie skorpiona. Chciała zetrzeć malunek, lecz on wciąż tam był. Im mocniej go pocierała, tym większy czuła ból. Rozpięła piżamę i odstłoniła ramię aż do łokcia. Dokładnie przyjrzała się rysunkowi. Skorpion miał około sześciu centymetrów długości, czarne odnóża i odwłok. Kolec na jego ogonie był koloru czerwonego. Na grzbiecie owada zobaczyła jakieś niebieskie litery.

– Oznaczył mnie jak konia – powiedziała cicho. – A co to, ja jestem zwierzęciem?

Odruchowo dotknęła dołu brzucha. Chciała sprawdzić, czy nie została wykorzystana podczas snu. Nie czuła bólu ani dyskomfortu, który wskazywałby na odbyty stosunek. „Boże, co robić? Oznakował mnie jak zwierzę. Nie daruję mu tego. A co z ekipą? Czy nic im nie zrobił? Nie mogę tu zostać. Będą się o mnie martwić”.

Zdjęła kolię i bransoletki. Pierścionek był zbyt ciasny, by go zsunąć. Naśliniła skórę. Pierścionek ani drgnął. Boso podeszła do jednego z okien. Nie dało się go otworzyć. Podeszła do drugiego. Nawet nie drgnęło. Zrezygnowana podeszła do trzeciego okna.

Udało się je otworzyć. Chłód poranka ochłodził ciało Anny. Rozejrzała się. Była na wysokości drugiego piętra. Żadnego balkonu, rynny, po której dałoby się zejść. Postanowiła związać końce pościeli i prześcieradło i zsunąć się w dół. Widziała to na filmach. Przydałyby się buty.

Zobaczyła coś przypominającego drzwi szafy. Zajrzała do środka. Na wieszakach wisiały jej ubrania.

– To drań – powiedziała cicho. – Dobrze to sobie wykombinowałeś, panie El Dżajad. Ale ja i tak ci ucieknę.

Nie miała w co zapakować swoich rzeczy, więc założyła na piżamę błękitną bawełnianą sukienkę i polar, na nogi białe spodnie rybaczkowe, na stopy beżowe skarpetki. Do kieszeni polaru wcisnęła cztery pary majtek i biały stanik, zasunęła suwaki. Znalazła swoje półbuty. Wśród ubrań brakowało jej ulubionej sukienki w różyczki. Nie potrzebowała więcej ubrań, pewnie i tak nie uda jej się niepostrzeżenie opuścić pałacu. Związała końce pościeli z prześcieradłem, do tego poszewki z dwóch poduszek. Tylko do czego przywiązać jego koniec? W głębi ujrzała masywne drewniane krzesło. Jest na tyle duże, że nie wyleci przez okna, kiedy ona zawiśnie na prześcieradle. Wyrzała przez okno i upewniwszy się, że na dole nikogo nie ma, wyrzuciła na zewnątrz powiazaną pościel. Powoli zaczęła zsuwać się w dół. Serce waliło jej jak młot, a ciałem targał dreszcz strachu. Czubkami butów dotknęła twardego podłoża, puściła prześcieradło, plecami przywarła do muru. Próbowana wyrównać oddech, lecz kiepsko jej to szło. Nie bardzo orientowała się, w której części pałacu ją umieszczono. Zaczęła przypominać sobie, gdzie świeciło słońce, kiedy jechali obejrzyć most. Na wschodzie, zachodzie czy południu? Słońce mieli za plecami. Teraz było na wschodzie.

Ruszyła na wyczucie prosto przed siebie. Minęła kwitnące krzewy, następnie niski mur, za którym rozciągał się ogród pełen drzew mandarynkowych i pomarańczowych. Zielone kule wisiały u gałązek. Niektóre z owoców zaczynały dojrzewać.

Przyśpieszyła kroku. Nie wiedziała, dokąd idzie, ale nie zatrzymywała się. Chciało jej się pić, więc urwała dojrzały owoc pomarańczy. Paznokciem rozcięła skórkę, sok popłynął po jej palcach. Wspaniały świeży sok, nie to co kupiony w kartonie,

przypominający pomarańcze. Usłyszała za sobą szmer. Przystanęła. „Koniec, złapali mnie” – pomyślała. Nie usłyszawszy głosu, obejrzała się za siebie. Dwa kroki za nią stał Abu. Nie była pewna, jak pies zareaguje na jej widok. Cichutko, łagodnym głosem odezwała się do niego. Ogon zwierzęcia poruszył się. Pies poznał ją, podszedł bliżej. Pogłaskała go po karku pachnącą sokiem pomarańczy lewą dłonią.

– Gdybyś mnie stąd wyprowadził, dobrze byś zrobił – powiedziała po francusku. – Tylko mnie nie zdradź.

Zrobiła krok. Abu nie zareagował. Zrobiła następny krok. Pies zaczął iść obok niej, co jakiś czas wpatrując się w nią swoimi czarnymi ślepiami. Ogród ciągnął się jakąś milę. Anna doszła do kamiennego ogrodzenia. Wśród zarośli ujrzała wysoką metalową furtkę, a za nią szeroką ścieżkę. Chwyciła za klamkę. Furtka była zamknięta. Nie pozostało nic innego, jak przejść górą. Zaczęła wspinać się po kratkach. Pies zaszczekał kilka razy. Zatrzymała się w pół drogi.

– Cicho, Abu. Siad.

Pies posłuchał jej, przestał szczeleć. Przeszła na drugą stronę i zsunęła się po metalowych poręczach. Pies zapiszczał niecierpliwie. On też chciał wyjść. Uspokoila go. Zwierzę przysiadło na zadzie. Jego duże czarne ślepie patrzyły za Annę. Ruszyła przed siebie wydeptaną ścieżką. Wszystko było takie obce i straszne. Zaczęła żałować, że uciekła z pałacu. Co będzie, gdy napotka bandytów? Może zawrócić? Nie, nie zrobi tego. Zaszła zbyt daleko, nie może teraz zawrócić.

Przeszła z ćwierć mili i weszła na ubitą szeroką drogę. Po jej drugiej stronie znajdowała się niewielka polana. Otoczenie wydało się znajome. Już wiedziała, gdzie jest. To na tej polanie Said zaparkował samochód, a potem zaprowadził ich w stronę mostu. Odetchnęła z ulgą. Teraz wie, jak dojść do obozu. Ale czy zdąży tam dotrzeć, zanim wszyscy się obudzą? Pobiegła przed siebie. Z każdą milą czuła się coraz słabsza. Przystanęła, by odpocząć. Przed oczami miała step. Po lewej stronie droga do pałacu Saida, po prawej ścieżka do obozu. Pochyliła się. Oparła dłonie na udach. Pierścionek z rubinem rzucał się w oczy. Co powie, kiedy koledzy zobaczą go na jej dłoni? Będzie musiała wymyślić małe kłamstewko, w które wszyscy uwierzą.

Odpoczęła chwilę i znów zaczęła biec. Po jakichś dwudziestu minutach ujrzała zielone palmy w oazie, a za nimi dachy namiotów. Dotarła do oazy i uklękła nad brzegiem bajorka. Obmyła twarz w lodowatej wodzie. Skoro woda jest taka zimna, to jak zanurzy rękę z pierścionkiem, palce trochę skurczą się z zimna i będzie mogła go zdjąć. Niestety, złoty krążek zaklinował się na kostce, nie zszedł z palca. Powie, że znalazła go w oazie, chciała tylko przymierzyć, a teraz nie może go zdjąć.

Po drodze do namiotu skorzystała z ubikacji. Kiedy z niej wychodziła, napotkała Johna.

– O? Już wstałaś – był zaskoczony jej widokiem.

– Tak. Musiałam – gestem dłoni wskazała ubikację.

– No jasne. Głupio pytam – przyjrzał jej się uważnie. – Coś źle wyglądasz. Czyżbyś znów kiepsko spała?

– Tak.

– Może weź coś na sen. Pani doktor pewnie coś ma.

– Nie chcę od niej żadnych prochów. Chyba znów się położę. Powiedz wszystkim, że dzisiaj nie pójdę z nimi do ruin.

– W porządku. Śpij spokojnie, będę się cicho zachowywał.

Odetchnęła z ulgą. Dobrze, że John nie wie, jakie nosiła stroje, zanim przyjechał do obozu. Nikt nie pozna jej tajemnicy.

Weszła do namiotu. Materiał tuż przy złączce trzech suwaków był przecięty, a zatrzaskowa kłódka popsuta. Jak wytłumaczy, skąd wzięła się dziura? Będzie musiała ją zacerować, może nikt nie zauważy. Nie poprosi o nową kłódkę, będzie wiązać końce suwaków sznurkiem.

Usiadła na łóżku. Radio nie grało, wyczerpały się baterie. Anna była tak zmęczona, że położyła się w ubraniu. Nie słyszała, jak John krząta się w drugiej części namiotu ani jak ekipa wyruszyła do ruin. Nie słyszała, bo była niedziela, dzień wolny, wszyscy mogli dłużej pospać. Trzy godziny snu wystarczyły, by wypocząć i wstać na posiłek. Unikała spotkania z całą grupą, a kiedy już to nastąpiło, chowała lewą dłoń do kieszeni spodni. Ale jak długo można ukrywać tajemnicę? Po południu profesorowie siedzieli przy stole jadalni z rozłożoną na stole mapą. Zastanawiali się, w którym miejscu znajduje się skarbiec, o którym nieznany autor wspomniał w swoim podróży dzienniku. Anna przysłuchiwała się ich rozmowie.

Antropolog Robert Harmon zwrócił się do niej z nietypowym pytaniem:

– Skoro masz prorocze sny, może przyśniło ci się miejsce, w którym znajduje się skarbiec?

Anna była zaskoczona. Odpowiedziała zgodnie z prawdą:

– Niestety, nie przyśniło mi się to miejsce.

– Szkoda. Mielibyśmy mniej kopania.

– Jedynie, co mi się przyśniło, to... – zawahała się. – W dwusetną rocznicę tragedii powróci taka sama potężna burza piaskowa i zasypie ruiny.

– Aleś wymyśliła – powiedział kpiącym głosem Steve. – W tej okolicy nie zdarzają się burze piaskowe tak potężne, jak mówisz.

– Ja tam nie wiem – rozłożyła ręce. – Mnie się tylko śniło.

Wzrok Steve'a zatrzymał się na jej lewej dłoni.

– Kto ci dał ten pierścionek? – spytał.

Oczy wszystkich zebranych przy stole osób spojrzały w jej kierunku.

– Nikt, znalazłam – ukryła za siebie dłoń.

– Znalazłaś? – Steve chwycił jej dłoń i podniósł ku górze. – A może dostałaś od tego Araba? Był tu, prawda?

– Kiedy mógł być? Przecież cały czas jesteście w obozie.

– Był rano... kiedy jeszcze spaliśmy – Steve spekulował. – Tak?

– Daj spokój – zabrała rękę. – Znalazłam go w oazie. Spytaj Johna... On wstał najwcześniej. Powie ci, że nikogo nie było w obozie.

– No, to prawda. Widziałbym kogoś obcego.

– Pokaż – Bette podeszła do Anny. – Jaki piękny. Boże. Wart z pięć, sześć tysięcy.

– Lepiej go zdejmij – zaproponował Bateman. – Jeśli znajdzie się właścicielka, możesz mieć kłopoty.

– Jest mały problem – posłała mu wymuszony uśmiech. – Nie chce zejść.

– Może nie chcesz go zdjąć? – Steve był zazdrosny. – Ten kundel specjalnie zostawił go w oazie, bo wiedział, że tam przesiadujesz.

– To musi być prezent od Saida – szepnęła Mary do brata.

– A zostawił go w oazie, bo pewnie to ty mu powiedziałaś, że Anna lubi tam przesiadywać – powiedział Durell.

– Ja mu tego nie powiedziałam – pani doktor obruszyła się.

„I kłopot z głowy” – pomyślała Anna. Małe kłamstwo, a wszyscy w nie uwierzyli. Dobrze, że nie wiedzą o tatuażu. Z tego już nie umiałyby się wytłumaczyć.

Spojrzała w stronę pałacu. Wśród pagórków rozbłysło światło. Blask słońca odbił się od lornetki. Uśmiechnęła się, unosząc ku górze dłoń z pierścionkiem. Wiedziała, że Said ją obserwuje. Niech wie, że nie ma do niego żalu za nocne uprowadzenie z namiotu.

Noc upłynęła spokojnie. Po śniadaniu Anna udała się z całą ekipą do ruin. Nie chciała być sama w obozie. Bała się wizyty Saida. Obawiała się, że przyjedzie i poprosi ją, żeby pojechała z nim do pałacu. Zgodzi się ze strachu o życie Steve’a. Nie chce, by ktokolwiek przez nią cierpiał. Wprawdzie nie było tu dla niej pracy i nudziła się, jednak jeśli będzie z całą grupą, Said nie odważy się tu zawitać.

Przyglądała się, jak studenci specjalnymi pędzelkami odsypują wyłaniającą się spod piasku ludzką czaszkę.

– Właściwie to po co tak delikatnie to robicie? – nie rozumiała ich czynności. – Znaleźliście mnóstwo ludzkich kości, wiecie, co tu się stało. Po co ta ostrożność?

– Bo tak się postępuje przy wykopaliskach – poinformował ją Garry.

– Strata czasu. Zostawiłabym tego nieboszczyka w spokoju. Najlepiej by było, gdybyście zrobili mu grobowiec z kamieni. Bardziej by się z tego ucieszył niż z odgrzebywania z piasku.

– Jemu i tak jest wszystko jedno – zażartował Dan.

– My odgrzebujemy, a nie zagrzebujemy – powiedział Steve.

– Według mnie powinniście zwinąć ten cały interes i zakończyć prace wykopaliskowe na tym etapie.

– A to dlaczego? – ich rozmowę usłyszał profesor Bateman.

– Znaleźliście miasto. Udowodniliście, że naprawdę istniało. Wiecie, co tu się wydarzyło. Czego jeszcze szukać?

– To logiczne pytanie – dołączył do nich Robert Harmon.

– Gdzieś tutaj jest skarbiec bogatego kupca – Bateman gestem dłoni wskazał otoczenie.

– A jak nie znajdziecie go za dwa miesiące, to co zrobicie?
– Za dwa miesiące kończy się nam kontrakt. Może do tego czasu z boską pomocą uda nam się znaleźć dom kupca.
– Nie macie tyle czasu – uśmiechnęła się tajemniczo.
– To znaczy? – Steve stanął obok niej.
– Jeśli mój sen się spełni, za parę dni nie będzie tego miejsca.
Zniknie pod zwałami piasku.

– Czy ty się dobrze czujesz? – spytał Steve.
– Tak. Bardzo dobrze.

Jednak nie czuła się dobrze. Miała na głowie czapkę z daszkiem, a nie wiedzieć czemu rozboleła ją głowa. Musiała zejść ze słońca i usiąść w cieniu. Wybrała miejsce pod ścianą jednego z odkrytych budynków. Antropolog Robert Harmon dołączył do niej. Usiadł na bloku skalnym krok dalej.

– Nigdy nie miałem sposobności z tobą porozmawiać. Interesuje się magią, snami. To wszystko jest jak nie z tego świata. Niektórzy uznają mnie za wariata, więc nie wszystkim mówię, że mam takie hobby. Do czego zmierzam... Mary opowiedziała mi o twoim śnie z mostem zwieszonym pomiędzy dwiema górami. Czy jak go zobaczyłaś, był dokładnie taki sam?

– Tak – potwierdziła. – Taki sam.

– Możesz go opisać?

– To zbyt trudne. Już niebawem go pan zobaczy.

– Ale ja się tam nie wybieram, mam lęk wysokości.

– To niedobrze. Jeśli sen się spełni, będzie pan musiał przejść po nim na drugą stronę.

– Po co? – profesor Harmon nie rozumiał jej.

– Dokładnie nie wiem. Sen mi tego nie powiedział.

– A sen o rajskim ogrodzie? Mary powiedziała, że jak zobaczyła ogród El Dżajada, nie mogła uwierzyć, że właśnie tobie się przyśnił. A to ona i Bette pierwsze go zwiedziły.

– Mary jeszcze coś wypaplała?

– Niestety, tak. Mówiła, że jakaś kobieta wywróżyła ci przyszłość, tylko Bette nie chciała powiedzieć jej wszystkiego.

– Cała pani doktor. I pewnie wszyscy to słyszeli?

– Niestety, tak.

– To chyba już wszyscy wiedzą, że nie opuszczę tego kraju.

– A miałaś sen o powrocie do domu?

– Nie – odparła ze smutkiem. – Ale niech pan nie mówi o tym nikomu.

– Słowo skauta – uniósł rękę ku górze. – Nikomu nie powiem.

Zapadła cisza. Ta papla wszystko wygadała. Jak dobrze, że wróżbita El Dżajada mówił do niej po francusku, bo inaczej już wszyscy by wiedzieli, że urodzi Saidowi pięcioro dzieci. Boże, pięcioro dzieci. Jak stąd uciec, żeby sen się nie spełnił?

– A ta historia z tragedią miasta, którą nam opowiedziałaś?

– Też mi się przyśniła.

– To ty medium jesteś.

– Chyba raczej ma wybujałą wyobraźnię – zakpił Steve. – Medium?

– Ranisz mnie, bo jesteś zły na Saida?

Steve spojrzał na doktora Harmona. Wymienili spojrzenia. Spojrzał na Annę, jej lewą dłoń i pierścień zatknięty na jej palcu. Tak, to prawda. Steve był wściekły na El Dżajada, a wyżywał się na Annie. Zrozumiał swój nietakt, oddalił się i dołączył do studentów. Garry odkrył z piasku część kości. Na szyi szkieletu widniał gruby złoty łańcuch, którego koniec utkwiał pod żebrami.

– Złoto, znalazłem złoto! – zawołał. – Kto chce?

Jego wesołe usposobienie nie zawsze szło w parze z charakterem wykonywanej pracy. Zbiegła się cała ekipa. Anna stanęła obok Steve'a.

– A mówiłaś o odgrzebywaniu kości... – przypomniał Steve. – Strata czasu? A tu takie znalezisko.

– Nie jestem wróżką – powiedziała spokojnym głosem.

– Jesteś medium – Steve przypomniał słowa Harmona.

Anna poczuła się jakoś dziwnie. Poczuła lekki ból głowy, taki nienaturalny.

Garry próbował wyjąć koniec złotego łańcucha spod żeber nieboszczyka, lecz order zaklinował się. Im dłużej Anna stała w grupie, tym silniejszy stawał się ból głowy. Zrobiła jej się słabo. Otarła pot z czoła.

– Coś ci jest? – Steve spojrzał na nią.

– Nie, nic – zaprzeczyła. – To przez ten upał.

– A może na widok nieboszczyka tak zbladłaś? – zauważył Durell.

– Rozboliła mnie głowa – dotknęła czoła palcami prawej ręki.

– Lepiej idź do cienia. Słońce ostatnio ci nie służy – zauważył Steve.

– Chyba tak.

Odeszła od grupy i usiadła w cieniu. Po piętnastu minutach ból głowy ustąpił. Kiedy znów rozmawiała ze Steve'em, ból głowy powrócił. Postanowiła wrócić do obozu, położyć się na łóżku i odpocząć. Ból głowy ustąpił. Pomogła Johnowi przy obiedzie. Kiedy Steve spytał ją o zdrowie, ból głowy powrócił. Nie mogła znieść złego samopoczucia, położyła się spać. John zbudził ją na kolację. Zjadła w namiocie-kuchni. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wstrzyknięto jej jakiegoś narkotyku, który po zetknięciu z promieniami słonecznymi uwalnia się, powodując ból głowy. Pewnie tylko Said ma odtrutkę. Czeka, aż zmęczona dolegliwościami przyjdzie do niego, a on każe jej zostać.

Tej nocy miała erotyczny sen. Znajdowała się w tym samym pomieszczeniu, z którego uciekła. Leżała nago pod jedwabnym białym prześcieradłem. Said obcałowywał jej ciało. On również był nagi. Widziała go od pasa w górę. Jego opalony nagi brzuch i klatka piersiowa oraz ręce były obrosnięte krótkimi czarnymi włoskami. Kiedy się zbudziła, wciąż czuła jego dotyk, pocałunki. Tak jakby naprawdę się z nim kochała. Zamyślona, rozmarzona pomagała kucharzowi przy śniadaniu. Jak zwykle usiadła do stołu ze studentami. Steve dosiadł się do niej.

– Jak się czujesz? – spytał z troską w głosie.

– Dobrze. Ból powraca, to znów znika.

– Może cię zbadam? – zaproponowała pani doktor.

– Nie, dziękuję – Anna zaprotestowała. – Nie mam chęci zostać pani pacjentką. Zaraz wszyscy by wiedzieli, co mi dolega.

– Przecież cię przeprosiłam.

– Nigdy pani nie wybaczę. Skoro książę tak bardzo się pani podobał, trzeba było zostać w jego pałacu już pierwszego dnia odwiedzin.

Mary Parker poczuła się dotknięta jej słowami. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała odejść od stołu, lecz Anna zrobiła to pierwsza, bo

ból głowy powrócił. Zauważyła łzy w oczach Mary. Nie żałowała słów, które wypowiedziała. Niech i ona sobie popłacze. Zobaczy, jak to jest, gdy się cierpi.

Nie poszła z ekipą do ruin. Unikała słońca, nie wiedząc, że przyczyna bólu głowy tkwi gdzie indziej. Pomogła Johnowi przy obiedzie. Zrobiła mielone kotlety. Do nich był sos cebulowy i kasza jęczmienna. Nie czekając na ekipę, zjadła obiad, po czym postanowiła popaść kozę. Najładniejsza trawa rosła przy oazie. Nie bała się, że Said może ją odwiedzić. Po dzisiejszym śnie wiedziała, że wkrótce będą razem.

Prowadząc zwierzę na powrozie, zastanawiała się, jakim to narkotykiem została poczęstowana. Ból powracał tylko wtedy, gdy rozmawia ze Steve'em. Tak, tylko wtedy. Ale jak to możliwe? Może kiedy leżała uśpiona, odprawiono nad nią jakieś czary? Kiedy rozmawia ze Steve'em magia zaczyna działać, wywołując ból? Ale czy to możliwe? Nie, na pewno nie. To jej chora wyobraźnia płata takie figle. A może ten tatuaż jest magicznym znakiem? Jak się go pozbyć? Ma wyciąć kawał skóry – i to tak, by nikt nie widział? A może przestać rozmawiać ze Steve'em? Tak, to najlepszy sposób, by uniknąć bólu głowy. A jeśli to nie pomoże, co ma zrobić?

Do jej uszu dobiegły jakieś krzyki, warkot silników terenowych samochodów. Spojrzała w stronę obozu. Z daleka ujrzała zbliżające się do obozowiska cztery auta. Nie wiedziała, co ma robić, ukryć się w zaroślach oazy czy powrócić do obozu. Pojazdy zatrzymały się i z każdego z nich wyskoczyło po czterech uzbrojonych mężczyzn ubranych w długie czarne stroje. Ich głowy i twarze były szczelnie zasłonięte, Anna widziała tylko ciemne oczy. Bandyci wymachując bronią, zebrali wszystkich w jednym miejscu. Anna przystanęła. Jeden z mężczyzn zauważył ją. Zaczął biec w jej kierunku, wymachując bronią. Coś krzyczał. Cofnęła się, padł strzał. Stała nieruchomo. Stojące dwa kroki przed nią zwierzę upadło na ziemię. Przykucnęła i położyła dłonie na szyi kozy. Z łba zwierzęcia popłynęła krew. Anna patrzyła, jak Czarnuszka wydaje ostatnie tchnienie, wierzgając nóżkami. Łzy napłynęły jej do oczu. Poczła silne szarpnięcie. Wyprostowała się, z nienawiścią patrząc bandycie w oczy. Szturchnął ją lufą karabinu i mówiąc coś w swoim języku, wskazał ręką obozowisko. Ciekawe, czy El Dżajad teraz ją

obserwuje i przyjdzie im z pomocą? A może to on nasłał bandytów, aby przstraszyć Amerykanów. To dobry szantaż, pewnie liczy na to, że zgodzi się z nim zamieszkać.

Bandyta był bardzo nerwowy, dotknięciem lufy karabinu zmuszał Annę, aby szła szybciej. Dołączyła do grupy, która zebrała się przy stole. Steve zasłonił ją swoją osobą, jakby chciał obronić dziewczynę przed bandytami. A jednak nadal czuł do niej sympatię. Szkoda, że nigdy nie będą razem.

– Oni chcą skarbów, które znaleźliśmy w ruinach – tłumaczyła Bette.

– Powiedz im, że nie ma żadnych skarbów. Wszystkie odwieźliśmy do muzeum w Aleppo – powiedział Bateman.

Bette przetłumaczyła słowa profesora. Przywódca bandy nie uwierzył im. Zaczął krzyczeć, wymachiwać bronią.

– On mówi, że to nieprawda. Oglądał program w telewizji. Mówiono tam, że odkryto skarby.

– Powiedz mu, że te skarby to gliniane naczynia, figurki – tłumaczył Bateman. – Meble i takie tam... Sama widziałas, co odkryliśmy, więc mów.

Bette pośpiesznie tłumaczyła słowa profesora. Siedzący przy stole Garry niechcący potrącił kubek z kompotem. W stronę stołu padły trzy strzały. Jedna z kul raniła chłopaka w ramię, druga przeszła uniesioną dłoń Dana, trzecia przeleciała nad ich głowami. To nie byli ludzie nasłani przez El Dżajada, on nie wydał rozkazu zabicia przyjaciół Anny. Przywódca bandy znów zaczął krzyczeć. Bette zbladła, zaczęła tłumaczyć.

– Powiedział, że jak ktoś się ruszy, to go zabije. Jeśli nie pokażemy mu, gdzie ukryliśmy skarby, zaczną gwałcić... – urwała i odruchowo dotknęła brzucha.

– Do cholery – Bateman zdenerwował się. – Tu nie ma żadnych skarbów. Możecie przeszukać namioty.

Bette przetłumaczyła słowa profesora.

Anna spojrzała w stronę wzgórz. „Gdzie jest Said?” – zadała sobie pytanie. „Jak nie trzeba, to mnie obserwuje, a kiedy jest potrzebny ze swoimi ludźmi, to go nie ma”.

Przywódca bandy roześmiał się w głos. Znów zaczął mówić. Bette tłumaczyła jego słowa.

– Słyszał, że wczoraj znaleźliśmy złoty łańcuch. Chce go mieć.
– Dobrze, dostaną złoty łańcuch i niech dadzą nam spokój – zgodził się Durell.

Bette przetłumaczyła. Przywódca skinął na jednego ze swoich ludzi, by poszedł z Amerykaninem po złoty łańcuch. Durell w towarzystwie bandyty udał się do namiotu. Anna unikała wzroku przywódcy bandy. Wpatrywał się w nią i szeptał coś stojącemu obok mężczyźnie. Najwyraźniej jasnowłosa dziewczyna wpadła mu w oko. Bandyta wyszedł z namiotu profesorów z podniesionym złotym łańcuchem, wykrzykując słowa radości. Jego koledzy również zaczęli się cieszyć ze zdobyczy. Ale to było za mało, by zaspokoić ich chciwość.

– Skoro mamy złoty łańcuch, to mamy i resztę skarbów – przetłumaczyła Bette.

– Powiedz mu, że nie ma więcej złota. To jedyny prawdziwy skarb, jaki znaleźliśmy – Bateman zaczął się denerwować.

Przywódca bandy nie uwierzył w jego słowa. Dał znak. Dwaj jego ludzie, stojący za siedzącą przy stole panią doktor, doskoczyli do niej i wyciągnęli przez ławkę ku sobie. Kobieta zaczęła krzyczeć. Durell chciał pomóc siostrze, lecz silny cios zadany kolbą w tył głowy pozbawił go przytomności. Profesor upadł na ziemię. Stojący obok niego Paul Bateman chciał pomóc koledze, lecz uderzenie w lewy bok lufą karabinu ostudziło jego zapał. Nikt nie był w stanie uchronić Mary przed gwałtem. Anna spojrzała w stronę wzgórz. Przypomniała sobie słowa: „jasnowłosa dziewczyna uratuje cię od hańby”. Tak powiedział wróżbita, przepowiadając Mary przyszłość. Czy to właśnie dzisiaj jest ten dzień?

Mężczyźni zaciągnęli krzyczącą kobietę do namiotu studentów. Anna wzięła głęboki wdech i wystąpiła dwa kroki przed Steve'a.

– Bette, powiedz, że jestem narzeczoną Saida El Dżajada.

Oczy wszystkich skierowały się w jej stronę. Przywódca bandy zainteresował się jej słowami, gdyż zrozumiał, jakie padło nazwisko.

– Ale... – Bette zawahała się.

Przywódca sam spytał, o co chodzi. Bette przetłumaczyła mu słowa Anny. Mężczyzna roześmiał się w głos. Powiedział coś do swoich ludzi, oni też zaczęli się śmiać.

– Jak możesz to udowodnić? – przetłumaczyła Bette.

– Tym – wyciągnęła przed siebie dłoń z pierścionkiem.

Mężczyzna przyjrzał się błyskotce i znów coś powiedział.

– To za mało, chociaż bardzo kosztowne. Przyda się mu dla narzeczonej. Czy masz coś, co go przypomina?

– Tak.

Chciała podwinąć rękaw, lecz mężczyzna złapał ją za przegub dłoni. Spojrzeli sobie w oczy.

– Jak mam udowodnić mu, że mówię prawdę, skoro trzyma mnie za rękę?! – zdenerwowała się.

Bette przetłumaczyła jej słowa. Mężczyzna uwolnił dłoń Anny. Pośpiesznie podwinęła lewy rękaw bluzki. Stała bokiem do bandytów. Ich oczom ukazał się wytatuowany skorpion. Bette dotknęła ust prawą dłonią. Widok tatuażu na przedramieniu koleżanki zupełnie ją zaskoczył.

– Czy to wystarczy? – spojrzała bandycie w twarz. – Poznaje znak Saida El Dżajada?

Bette odebrało mowę.

– Kobieto, tłumacz, nie ma czasu! – syknęła Anna.

Bette zaczęła tłumaczyć, lecz mężczyzna nie potrzebował słów. Widok skorpiona na jej ręce był wyraźnym dowodem, że mówiła prawdę.

– Niech puszczą kobietę i to szybko – opuściła rękaw.

Bette przekazała bandycie polecenie Anny. Wydał rozkaz. Stojący najbliżej namiotu studentów bandyta wbiegł do środka. Krzyczał coś. Wszyscy czekali w napięciu, co się stanie. Dwaj napastnicy wybiegli z namiotu, poprawiając długie czarne koszule. „Mój Boże, za późno” – pomyśleli Amerykanie. Jak Mary ma żyć z piętnem hańby?

Anna spojrzała przywódcy w oczy. Skłonił się, zaczął mówić. Bette tłumaczyła jego słowa:

– Przepraszam cię i wszystkich za to, co się stało. Darzy wielkim szacunkiem Saida El Dżajada i prosi o przebaczenie.

– Powiedz, że jeśli jego ludzie zhańbili kobietę, nie wybaczę mu i spotka się z gniewem El Dżajada.

Z niecierpliwością czekała na odpowiedź przywódcy bandy. Krzyczał na swoich ludzi, a ci tłumaczyli się. Wymachiwali rękami.

– Nie zdążali jej skrzywdzić. To silna kobieta, dzielnie się broniła.

– Ja mu dam dzielnie – Anna zdenerwowała się. – Miała się poddać? Powiedz mu – podniosła głos – że jeśli jeszcze raz będą nas niepokoić, spotkają się z gniewem El Dżajada.

Bette przetłumaczyła jej słowa. Przywódca bandy wyjął z za pasa złoty łańcuch i wręczył go jasnowłosej dziewczynie. Wykonał pożegnalny gest dłonią. Kazał swoim ludziom wsiadać do samochodów. Anna, trzymając złoty łańcuch w dłoni, obróciła się w stronę grupy. Steve siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Zrobiło jej się żal niedawnego chłopaka. Ufał jej, pomagał, a ona po raz kolejny go zawiodła. Okłamała nie tylko jego, ale i całą grupę. No cóż, nawet jeśli przestaną ją lubić, nieważne. Uratowała od hańby panią doktor, chociaż po tym wszystkim powinna pozwolić na gwałt.

Samochody w pośpiechu oddalały się od obozowiska. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Bateman zajął się leżącym na ziemi Durellem. Barry z Davidem pobiegli do namiotu, by sprawdzić, co z panią doktor. Bette tuliła się do Alexa, Robert Harmon zajął się rannymi. Na szczęście Garry miał tylko powierzchowną ranę ramienia, a David przestreloną na wylot lewą dłoń. Kula nie uszkodziła kości. Żartował, że na tę dziurę będzie podrywał dziewczyny. Anna stała nieruchomo ze złotym łańcuchem w lewej dłoni, czekając na reakcję pozostałych. Pani doktor w towarzystwie studentów wyszła z namiotu. Płakała. Durell odzyskał przytomność. Usiadł na ziemi, podpierając głowę palcami rąk lewej dłoni.

– Co się stało? – był oszołomiony.

– Dostałeś cios w głowę.

– A Mary? Co z moją siostrą?

– Wszystko w porządku – Bateman spojrzał w stronę Anny. – Jasnowłosa dziewczyna nas uratowała.

– Jasnowłosa? – Durell wstał i usiadł na ławce.

– To pewnie ten Arab ich nasłał – przypuszczał Steve.

– To nie on – zaprzeczyła Anna.

– To pokaż nam, co masz na ręce – Bateman podszedł do niej.

– Ja też jestem ciekaw – Harmon wstał z ławki. – Co też tam masz, że tak zmiękli?

Przekazała złoty łańcuch Johnowi i podwinęła rękaw. Teraz wszyscy mogli z bliska zobaczyć tatuaż na jej przedramieniu. Nawet

Steve.

– A niech mnie – Bateman nie mógł uwierzyć.

– Nietykalna – tłumaczył Harmon. – Przeznaczona skorpionowi. Nikt nie ma do ciebie prawa, tylko mężczyzna mający skorpiona w herbie.

– Kiedy ci to zrobił? – dociekał Bateman.

– Czy to ważne? Stało się, nikt tego nie zmieni – spuściła rękaw bluzki.

– Oznakował cię jak konia – zakpił Steve. – A ty jeszcze go bronisz i nie wierzysz, że to on nasłał tych drani, by nas nastraszyli.

– Tak, bronię go – dotknęła palcami skroni. – Nie mógł nasłać na obóz zbirów, wiedząc, że tu jestem – ból głowy nasilał się. – To nie ty cierpisz, tylko ja – podniosła głos. – To nie ciebie porwano w nocy, tylko mnie.

– Porwano? – Bette była zaskoczona. – Kiedy?

– W niedzielę w nocy. Boże, moja głowa...

– Teraz już wiem, dlaczego tak wcześnie wracałaś z ubikacji, a wcale nie widziałem, jak wychodziłaś z namiotu – wygadał John.

– Porwano cię i o niczym nam nie powiedziałaś? – Bateman nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Bałam się. Nie chcę was narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo? – Steve stanął krok od niej. – To raczej ty jesteś niebezpieczna.

– Jak znalazłaś się tu z powrotem? – Bette była ciekawa.

– Uciekłam z jego pałacu. Przepraszam wszystkich... tak mnie boli głowa – zrobiła krok w tył.

– Poczekaj – Steve chwycił ją za lewą rękę.

Dziewczyna osunęła się na ziemię. Dotknięcie Steve'a sprawiło, że straciła przytomność. Nie wiedział, co robić. Wszyscy byli zaskoczeni zasłabnięciem Anny. Jedynie Barry zachował zimną krew, przystąpił do cucenia zemdłonej dziewczyny. Ułożył Annę na ziemi i odchylił do tyłu jej głowę, umożliwiając lepszy przepływ powietrza z ust do płuc. Poklepał dziewczynę po twarzy. Jęknęła, poruszyła głowę, otworzyła powieki.

– Co się stało? – spytała cichym, słabym głosem.

– Zemdlałaś.

- Tak? – przysiadła na ziemi. – To przez ten ból głowy.
- Czy ty nie jesteś przypadkiem w ciąży? – Bateman wskazał na jej brzuch.
- Nie jestem w ciąży – zaprzeczyła.
- Na pewno?
- Nie jest w ciąży – zaprzeczył Alex. – Pożyczała podpaski od mojej żony.
- Dziękuję za dyskrecję – usiadła.
- No co? – rozłożył ręce. – To normalne u kobiety, a ty używasz podpasek, nie tamponów.

Anna skryła twarz w dłoniach. A zawsze uważała, że o tak intymnych sprawach nie mówi się głośno, szczególnie przy mężczyznach. Przy mężu, owszem, ale nie przy kolegach. Pojawiła się pani doktor. Na jej twarzy malowało się cierpienie.

- Dziękuję, że dla mnie wyjawiałaś swoją tajemnicę – zaczęła drżącym głosem. – Teraz rozumiem słowa wróżbity.
- Jakie słowa? – zaciekawiał się Durell.
- Że dziewczyna o jasnych włosach uratuje mnie od hańby. Nie rozumiałam tego – jej głos załamał się. – Gwałt jest hańbą.
- Ale nic pani nie zrobili? – spytała Anna.
- Nie. Dziękuję i przepraszam.
- W porządku – Anna podniosła się z ziemi. – Podziękujcie El Dżajadowi.

Nie rozumieli, o co jej chodzi.

- Dlaczego jemu? – spytał Barry.
- Gdyby nie wpadł na pomysł oznakowania mnie jak zwierzęcia i bandyci nie ujrzeliby skorpiona, rozegrałaby się tu tragedia. Kto wie, co by się z nami stało. Chwała Allahowi, że natchnął Saida – popatrzyła po zaskoczonych jej słowami twarzach. – Kto pomoże mi zakopać kozę? Zabili ją.

– Zakopać? – John był zdziwiony. – Wiesz, ile żarcia będziemy z niej mieć?

– Fajnie, ale ja Czarnuszki jeść nie będę – zaprzeczyła Anna.

Pani doktor z trudem dawała sobie radę przy opatrywaniu rannych. Jodyną zdezynfekowała skórę Garry'ego. Rana Dana wyglądała poważniej, trzeba było nie tylko ją oczyścić, ale i zaszyć skórę po obu stronach dłoni oraz podać antybiotyk w zastrzyku. Ale

jak można wykonać mały chirurgiczny zabieg, kiedy trzęsą się ręce? Antropolog Robert Harmon nie miał z tym problemu. Zazwyczaj operacje robił na nieboszczykach, zaszyte rany na żywym człowieku nie sprawiło mu żadnych trudności. Znieczulony Dan cały czas przyglądał się małej operacji i nie zemdlał.

Kiedy John na tyłach obozu patroszył zabitą kozę, Anna zajęła się kolacją. Od strony wioski nadjechał sierżant mówiący po francusku. Towarzyszyło mu dziesięciu uzbrojonych żołnierzy. Pasterze powiadomili ich, że słyszeli strzały z karabinu. Bateman poprosił Bette, by tłumaczyła słowa sierżanta, lecz Anna wyprzedziła go.

– Czy ktoś tu strzelał? – spytał sierżant.

– Tak – nie chciała kłamać ani powiedzieć prawdy. – Było tu paru pijanych mężczyzn. Zabili kozę i ranili dwóch chłopaków.

– Jak wyglądali?

– Byli ubrani na czarno. Długie koszule i zakryte twarze, chusty na głowach. Mieli broń.

– Czy chcecie ochrony?

Anna przetłumaczyła Batemanowi słowa żołnierza. Nie mogła podjąć tak poważnej decyzji. Profesor zastanowił się.

– Jeśli wrócą, damy znać – powiedział.

Anna przekazała sierżantowi, co powiedział Bateman. Skinął głową.

– Mówi, że codziennie będą patrolować tę okolicę – przetłumaczyła słowa żołnierza.

– To dobrze – przytaknął Bateman. – Będziemy czuć się bezpieczniej.

Przekazała sierżantowi słowa profesora. Żołnierze odjechali. Dlaczego skłamała? Mogła powiedzieć, że ich napadnięto. A co będzie, jeśli bandyci powrócą? Profesor mógł poprosić o ochronę, a jednak tego nie zrobił.

Tej nocy znów miała erotyczny sen. Leżała na tym samym łóżku w białej jedwabnej pościeli i kochała się z Saidem. Gdy miało dojść do zbliżenia, obudziła się gwałtownie. Wokół panowała ciemność i słychać było chrapanie Durella dobiegające z sąsiedniego namiotu. Odetchnęła z ulgą. Już myślała, że naprawdę kocha się z Saidem.

Długo nie mogła zasnąć. Odruchowo dotknęła pierścionka. Czyżby to naprawdę był znak zaręczyn? Czy to z jego powodu już drugą noc śni o Saidzie? Jak się go pozbyć? Jak zdjąć z palca?

Zasnęła. Zbudził ją ruch w drugiej części namiotu. John szykował dla wszystkich śniadanie. Pora wydoić kozę. Obmyła się, włożyła rybaczki i podkoszulek, który dostała w prezencie. Przeszła do kuchni i wzięła do ręki garnek, do którego zawsze zlewała mleko. John spojrzał na nią zdziwiony.

– Co ty robisz? – spytał.

– Idę wydoić kozę – oznajmiła.

– Dobrze się czujesz? – z uwagą spojrzał jej w twarz.

– Tak – spojrzała na niego. – Bo co?

– Przecież wczoraj zastrzelili kozę. Zapomniałaś?

– Boże – usiadła na taborecie. – Zapomniałam. Przez ten ból głowy zaczynam tracić rozum. Biedna Czarnuszka. Szkoda, że nie zabrałam ze sobą aparatu. Narobiłabym zdjęć i miałabym się czym chwalić po powrocie do kraju... – przerwała i smutnym wzrokiem spojrzała na Johna. – I tak nigdy nie wrócę do Stanów. Said mi nie pozwoli.

– Skąd wiesz? Mówił ci o tym?

– Tak. To kwestia czasu.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Nikt nie może mi pomóc.

Wstała i wyszła na powietrze. Usiadła przy jadalnym stole. Tutaj wiązała na noc kozę. Takie małe zwierzę, a tak go brak. Chciała, by ktoś ją przytulił. Pomyślała nie o Stevie, lecz o Saidzie.

Podczas śniadania była milcząca, zamyślona. Zjadła w namiocie--kuchni, nie miała ochoty siedzieć przy stole z całą ekipą. Steve przyszedł zapytać, czy idzie do ruin.

– Sama nie wiem – odpowiedziała niedbale.

– Jak chcesz – powiedział. – W grupie jesteś bezpieczniejsza.

– Jest mi wszystko jedno, gdzie jestem, tu czy tam. Żadna różnica.

– Miałem nie pytać... Czy kiedy El Dżajad dawał ci ten pierścionek, poprosił cię o rękę?

– Kiedy zbudziłam się z narkozy, już miałam go na palcu – dotknęła palcami skroni. – Ten cholerny ból znowu powrócił.

- Jak to... byłaś w narkozie? – Steve nie dowierzał.
 - Tak. Myślisz, że dałabym sobie zrobić tatuaż na żywca? – masowała skronie.
 - To ciekawe – Steve zastanowił się. – Zawsze kiedy rozmawiasz ze mną, dostajesz bólu głowy.
 - Masz rację. Nie wiem, o co chodzi, ale kiedy rozmawiam z innymi, czuję się dobrze, a gdy ty się zjawiasz, ból wraca. Teraz pali mnie palec, jakby ktoś przykładał do niego ogień.
 - Czy wiesz, co mówisz? – w jego głosie wyczuwało się kpinę. – A może po prostu nie chcesz rozmawiać ze mną, bo ten kundel poprosił cię o rękę i nie zamierzasz mi o tym powiedzieć?
 - Mówię prawdę – chwyciła za pierścionek. – Muszę go zdjąć.
 - Tobie już całkiem padło na mózg – zrobił krok do tyłu. – Medium.
- Profesor Bateman usłyszał ich rozmowę. Wszedł do namiotu. Anna siedziała na taborecie. Jej twarz była blada jak kreda.
- Przestań jej dokuczać! – Bateman zdenerwował się.
 - Czy słyszy pan, co ona mówi? – Steve gestem dłoni wskazał na kobietę. – Pierścionek powodem bólu głowy? Czy to logiczne?
 - Tak, jeśli spotkało się z czarną magią.
 - Pan też w to wierzy? Taki uczony człowiek?
 - Trzeba zdjąć ten pierścionek, wtedy wszystko się wyjaśni – w namiocie pojawił się Harmon.
 - Ale jak mam go zdjąć? – pociągała pierścionek. – Próbowałam wszystkiego. Mydło, olej, nawet lód i nic.
 - Potrzebny będzie jubiler – zdecydował doktor Harmon.
 - Ale mnie nie wolno opuszczać obozu – przypomniała.
 - Tym się nie martw – uspokoił ją Bateman.
 - Ale ja nie mam paszportu. Co będzie, kiedy spotka nas patrol?
 - Będiesz ze mną i Markiem. W razie czego wytłumaczmy cię. Powiedz tak szczerze: naprawdę chcesz pozbyć się tego pierścionka?
 - Tak. Ten ból głowy mnie dobija i myślę, że to pierścionek jest tego przyczyną.
 - Nie chcę cię straszyć, ale to może być trochę niebezpieczne – zaczął Harmon, podnosząc lewą dłoń Anny. – Nie wiem, w jaki

sposób ta magia działa – z uwagą przyglądał się pierścionkowi. – Czy to zaklęcie nie jest wyryte na wewnętrznej części obrączki.

– Panie profesorze – Steve spojrzał na niego z kpina. – Jest pan mądrym człowiekiem, ale jak można wierzyć, że ten Arab działa przez pierścionek? Przecież to bzdury!

– A kiedy zaczęły się te bóle głowy? – zapytał Bateman.

– Kiedy Anna wróciła z pałacu z pierścionkiem na palcu – dokończył Harmon.

– I z tatuażem – przypomniał Steve.

– Właśnie – Harmon spojrzał na Batemana. – A jeśli to tatuaż jest przyczyną bólu głowy? Mogli użyć farb z jakimś narkotykiem, który uwalnia się pod wpływem promieni słonecznych.

– Ale jak jestem sama na słońcu, to nic mi się nie dzieje – powiedziała Anna.

– A kiedy ze mną rozmawiasz, boli cię głowa? – Steve nie wierzył jej.

– Tak.

– Bujdy. Powiedz... po prostu... że nie chcesz mnie widzieć.

– Oj, Steve – Bateman uspokajał go. – Będąc w Afryce z tu obecnym Robertem, spotkałem się z czarną magią i wierzę, że jedna z dwóch rzeczy działa na Annę. Teraz pytanie – co? Pierścionek czy tatuaż?

– O nie, skóry to ja nie dam sobie wyciąć – uprzedziła.

– To zaczniemy od pierścionka – zaproponował Bateman. – A ty, Steve, nie zbliżaj się dzisiaj do Anny, dobrze?

– Wariaci – wymachiwał rękami. – Obu wam odbiło, drodzy naukowcy. Słyszałeś, John? Czarna magia...

– A ja w nią wierzę – odparł kucharz.

Steve nie wierzył w magię, a to, że miał przez cały dzień nie zbliżać się do Anny, nawet mu odpowiadało. Stracił do niej zaufanie. Uznał, że najwyższa pora wyrzucić ją z serca, przestać myśleć o niej jak o ukochanej, wymarzonej kobiecie. Od dziś będzie traktował ją jak powietrze.

Tego dnia John postanowił ugotować na obiad potrawkę z koziego mięsa z kaszą. Dla Anny było to traumatyczne przeżycie. Gdy tylko zobaczyła płat mięsa, przypomniała sobie, jak wyprowadziła Czarnuszkę na trawę, jak uczyła się ją doić. Zjadła

tylko kaszę z zupą jarzynową. Ekipa zajadała się przygotowaną przez Johna potrawką. Anna skryła się w swoim namiocie. Leżąc na łóżku, zastanawiała się, dlaczego Said jej nie odwiedził. Uciekła z jego pałacu i nie zareagował? Może jest na nią wściekły i knuje jakąś zemstę? Ale czy mógłby skrzywdzić jej przyjaciół? Obserwował ich obóz, widział ją, a mimo to nie przyjechał.

El Dżajad nie odwiedził ją w dzień, ale przyśnił jej się w nocy. Wybrał się na patrol z grupą swoich żołnierzy. Granicę turecko-syryjską nielegalnie przekroczyła grupka przemytników. Szybka jazda, strzały. Ranni żołnierze i przemytnicy. Krew na ziemi. El Dżajad jadący za przywódcą bandy. Seria wystrzałów z karabinu. Księżę został ranny, spadł z konia.

Anna obudziła się gwałtownie, usiadła na łóżku i zapaliła latarkę. „Said ranny?” – pomyślała. „A może zabity?”. Odruchowo spojrzała na zegarek. Obie wskazówki wskazywały północ. „Zabity czy ranny?” – zastanowiła się. Jeśli sen się spełni, może uwolni się od niego, wróci do kraju.

Zgasiła latarkę i położyła się do łóżka. Może jest szansa, że powróci do kraju. Jednak Anna nie chciała, by Said został zabity. Co z jego matką? Zostanie sama w dużym pałacu, bez opieki? Biedna kobieta, umrze samotnie z rozpacz. Straciła już jednego syna.

Długo nie mogła zasnąć. Jak zwykle zbudziła ją krzątająca Johna w drugiej części namiotu-kuchni. Codzienne czynności: mycie, pomoc przy śniadaniu i pytanie profesora Batemana:

– Czy naprawdę chcesz pozbyć się tego pierścionka?

– Tak – była zdecydowana. – Jeśli magia zemści się na mnie i umrę, Said już mnie nie dostanie.

– Czasem cię nie rozumiem – westchnął. – Ale to twoja decyzja. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– I znajdziecie jubilera, który podejmie się ryzyka przecięcia pierścionka – dodał Harmon. – A jest dość szeroki.

– I znajdziemy jubilera, który mówi po angielsku – przypomniał Bateman. – Bette nie może z nami jechać.

– A co się dzieje? – zaciekał się Harmon.

– Źle się czuje.

– Czy to coś poważnego? – Anna zaniepokoiła się.

– To reakcja na wczorajszą wizytę bandytów.

- Mam nadzieję, że nie straci dziecka – powiedziała cicho Anna.
- Mary dała jej leki uspakajające. Musi wypoczywać.
- To przebierz się, zakryj włosy i jedziemy – zdecydował Durell.

Anna włożyła bawełnianą sukienkę, a na nią zarzuciła czarny żakiet. Włosy spięła z tyłu głowy, założyła szal pożyczony od Bette.

– Podesłali ci bagaż? – spytała tłumaczka, widząc na niej sukienkę.

– Nie – szepnęła. – Said ma mój bagaż. Zabrałam te sukienkę, kiedy uciekałam z pałacu.

– Jak ja ci współczuję. Tyle cierpienia, tajemnic...

– Już niedługo. Nie martw się o mnie, pamiętaj o dziecku.

Wsiadła do auta. Panowie z przodu, ona na tylnym siedzeniu, zamyślona, milcząca, kryjąca twarz za czarnym szalem. Około dziesiątej dotarli do miasta. Z mapą w rękę, unikając patroli, szukali lokalu przypominającego sklepik jubilera. Błądzili po ulicach miasta, aż dotarli do chrześcijańskiej dzielnicy. Tam na końcu wąskiej uliczki znaleźli mały zakład jubilerski. Fadi Husam znał dwa obce języki: angielski i francuski. Bateman przedstawił mu problem. Mężczyzna był bardzo zdziwiony, że kobieta chce pozbyć się tak drogiego pierścionka w brutalny sposób.

– To najdroższy i najpiękniejszy pierścionek, jaki widziałem – mówił łamaną angielszczyzną. – Szkoda ciąć. To czyste złoto, bez skazy. I ten rubin. Bogaty narzeczony...

– Niech pan robi to, co do pana należy – Anna niecierpliwiła się. – Jest ciasny, boli mnie palec.

– Było go nie zakładać.

– U nas jest chłodniej, pierścionek pasował – kłamał Durell. – Zamiast stracić palec, lepiej przeciąć pierścionek i go powiększyć.

– To grzech niszczyć takie cacko. Jak się go powiększy, będzie miał skazę.

– Może pan zacząć? – Anna niecierpliwiła się.

– Dobrze – odparł – ale to grzech. Proszę włożyć ten piękny paluszek w imadełko. Może zabołec.

– Wytrzymam.

Usiadła przy małym drewnianym stoliku, do którego przytwierdzono imadełko. Jubiler przekręcił pierścionek obrączką do góry i unieruchomił palec Anny. Włączył malutką elektryczną

szlifierkę, na której końcu przytwierdzona była ząbkowana tarcza. Po dwóch obrotach tarcza złamała się na pół.

– Ajajaj, to nie może być – jubiler nie wierzył w to, co się stało. – Tyle lat tnę złoto i nic takiego się nie stało.

– Zużyła się i pękła – przypuszczał Bateman.

Niezadowolony jubiler założył drugą malutką tarczę. Po trzech obrotach silnik spalił się.

– To chyba jakieś czary – rozłożył ręce. – To będzie was drogo kosztować.

– Dostanie pan mój pierścionek. Pasuje?

– O tak – jubiler uśmiechnął się szeroko. – To bardzo dużo. Za dużo jak za taką usługę. A narzeczony? Co powie?

– Tym się niech pan nie martwi.

– Skoro tak...

Chciwość popchnęła go do bardziej drastycznych działań. Z zaplecza przyniósł sprzęt, jakiego używają dentyści do borowania zębów. Na końcu boru przykręcił kolejną, tym razem grubszą tarczę. Włączył urządzenie, po czym przytknął je do złotej obrączki. Tarcza powoli, z oporem zaczęła wgłębiać się w metal. Dziewczyna palcami prawej ręki dotknęła skroni. Powrócił ból głowy i czuła się dziwnie. Profesor Bateman zauważył, że zbladła. Wstał z krzesła, podszedł do niej.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Powrócił ból – wyszeptała.

– Może przerwiemy to wszystko?

– Nie. Muszę pozbyć się tego pierścionka – powiedziała słabym głosem.

Profesor przytulił jej głowę do boku i podtrzymywał Annę za ramię. Obawiał się, że dziewczyna straci przytomność i upadając, zrobi sobie krzywdę.

– Źle się pani czuje? – spytał jubiler.

– Tak. To z upału. Pośpiesz się pan.

– Jeszcze chwilę – kiedy wypowiedział te słowa, bor złamał się. – A tak niewiele zostało. Stracę przez was cały sprzęt.

Wysunął spod stołu szufladkę. Pogrzebał w rupieciach, po czym wyjął zwykłą ręczną piłkę do cięcia metalu.

– Jak to zawiedzie, to nie wiem, co dalej... Mogę zranić – uprzedził. – Niech pani nie rusza ręką.

Ból głowy narastał. Stawał się ostrzejszy z każdym dotknięciem szlachetnego metalu przez piłę. Annie zrobiło się słabo, przymknęła powieki. Stała się nieobecna, jakby na chwilę przeniosła się w miejsce snu. Strzały, żołnierze, uciekający przemytnicy, Said spadający z konia. Na lewym udzie i ramieniu pojawia się krew.

Do jej uszu dobiegło bicie zegara. Dwanaście uderzeń. Właśnie zegar wybił południe. Poczowała lekkie szarpnięcie za ramiona.

– Anno, Anno – dobiegł ją głos profesora Batemana. – Już po wszystkim.

– Co? – spojrzała nieprzytomnym wzrokiem.

– Już po wszystkim – oznajmił profesor Durell.

Spojrzała na lewą dłoń. Pierścionka nie było, na palcu pojawiła się strużka krwi.

– Mówiłem, że mogę zranić – tłumaczył się jubiler.

– Wreszcie się go pozbyłam – powiedziała Anna słabym głosem.

Przyłożyła chusteczkę higieniczną do rany. Fadi Husam obmył pierścionek z opiłków. Już cieszył się z posiadania błyskotki, gdy ujrzał napis po wewnętrznej stronie obrączki. Założył na oko powiększające szkło jubilerskie i zamarł w bezruchu, czytając napis. Z otwartymi ustami spojrzał na kobietę.

– Wiedziałem, że to czary. Ta siła nie pozwalała zdjąć tego pierścienia. To pierścionek na wieki... O ja przeklęty! – wcisnął w dłoń Anny pierścionek. – Co ja narobiłem? – złapał się za głowę. – Klątwa. Klątwa. Idźcie stąd. Sprowadzicie na mnie nieszczęście.

Zaczął wypychać Durella, potem Batemana. Anna wstała z krzesła i skierowała się w stronę drzwi.

– Jaka klątwa? – nie rozumiała.

– Idźcie stąd. Ty nietykalna. Ty zaślubiona skorpionowi. Ja mam żonę, dzieci.

– A zapłata? – profesor chciał coś powiedzieć.

Jubiler wypchnął ich za drzwi. Usłyszeli trzask zasuw i odgłos zamykanych dwóch zamków. Na szybie pojawiła się roleta.

– To jakiś koszmar – powiedział Anna.

– To rzeczywistość – potwierdził Bateman.

– Ale żeby nie wziąć zapłaty za swoją robotę? – Durell był zaskoczony.

– Zaślubiona skorpionowi? – Bateman zastanowił się. – Brałaś jakiś ślub?

– Nie – zastanowiła się. – Właściwie nie wiem. Byłam nieprzytomna, uśpiona.

– Pozbądź się tego pierścionka, magia pewnie jeszcze działa.

– Ale co mam z nim zrobić?

Jakaś kobieta ubrana na czarno otarła się o Annę. Dziewczyna spojrzała w bok. Kobieta miała odsłoniętą twarz, uśmiechała się do niej. Poznała ją. To była ta sama staruszka, która wywróżyła jej przyszłość. Kobieta kiwała głową, mówiła coś do Anny. Chwila zastanowienia. Dziewczyna wiedziała, co zrobić. Ruszyła w stronę kobiety i wcisnęła pierścionek w jej lewą dłoń.

– Masz. To twoja zapłata za wróżbę.

– Ja podziękować – kobieta zaśmiała się. – Ja podziękować.

Spojrzała na pierścionek, zacisnęła dłoń i śmiejąc się w głos, pośpiesznie się oddaliła. Po chwili zniknęła w tłumie ludzi.

– Co to za kobieta? – zaniepokoił się Bateman.

– Moja wróżka.

– Wróżka? – nie rozumiał.

– To ona przepowiedziała mi przyszłość.

– Ciekawe, jak teraz czuje się El Dżajad? – Durell był ciekawy. – Skoro to magia, przerwanie zaklęcia jakoś musiało na niego zadziałać.

– On chyba jest ranny – powiedziała, szukając wzrokiem staruszki.

– Co? – Bateman nie dosłyszał.

– Wracajmy do domu – odparła głośnie.

– Dobrze – zgodził się Bateman – ale przedtem wstąpimy do muzeum, żeby oddać parę naczyń i ten nieszczęsny złoty łańcuch.

– Chwileczkę – powstrzymał ich Durell. – Powiedziałaś, że Said chyba jest ranny.

– Nie, mówiłam coś innego – wykręciła się.

– Dobrze usłyszałem – nie dawał za wygraną. – Miałaś proroczy sen, tak?

– Tak – westchnęła. – Śniło mi się, że w południe zostanie ranny. Najgorsze jest to, że moje sny się spełniają.

– Mówisz: w południe... – Bateman zastanowił się i spojrzął na zegarek.

– Właśnie w południe jubiler przeciął obrączkę pierścionka – przypomniał Durell. – Klątwa zemściła się na nim?

– Panowie, dajcie spokój – Anna niecierpliwiła się. – Możemy już iść? Jest mi niedobrze.

– Chodźmy – zdecydował Bateman.

Ruszyli wąską uliczką w stronę samochodu.

– Gdyby cię zahipnotyzować – zaczął Durell – byłabyś dobrym medium.

– Bardzo śmieszne – jego żart nie ubawił Anny.

Wsiedli do samochodu i pojechali w stronę muzeum.

– Anno, mam pytanie – zwrócił się do niej Bateman. – Czy powinienem powiadomić naszą ambasadę, że jesteś prześladowała przez El Dżajada?

– Nie wiem. Boję się, że to może wam zaszkodzić.

– Dlaczego nam? – nie rozumiał Durell. – Przecież to ciebie nachodzi, a my chcemy ci pomóc.

– No tak, ale... – nie wiedziała, co robić. – Pan jest tu szefem. Niech pan sam zdecyduje. Ja wiem, że to nic nie da.

– Dlaczego? – nie rozumiał Bateman.

– Powiem tak: on ma władzę, a my jesteśmy tu tylko gośćmi.

– Dobrze powiedziane – poparł ją Durell. – Jesteśmy tylko gośćmi.

– Wstąpimy do muzeum, przemyślisz sprawę i będzie czas, by udać się do naszej ambasady i poprosić o interwencję. Dobrze?

– Dobrze – zgodziła się bez przekonania.

Wiedziała, że same dobre chęci nie wystarczą.

Bateman zatrzymał samochód na parkingu tuż przy muzeum. W budynku spędzili półtorej godziny. Dyrektora muzeum nie było, a kustosz nie chciał przyjąć znaleziska. Wszyscy oczekiwali na zapleczu na pojawienie się dyrektora. Anna, wbita w miękkie fotel, zastanawiała się nad napisem wewnątrz pierścionka. Czy tatuaż i obrączka nie szły w parze z zaklęciem? Dlaczego jubiler powiedział, że jest zaślubiona skorpionowi? Chyba nie wzięli ślubu

w noc porwania? Nie. Gdyby tak było, już na drugi dzień po jej ucieczce Said przyjechałby do obozu i siłą zabrał ją do swojego pałacu. Kiedy ten koszmar wreszcie się skończy?

Późnym popołudniem powrócili do obozu. Steve jak zwykle musiał rzucić kpinę pod adresem Anny.

– Jak tam twój czarodziejski pierścień? – spytał.

– Już go nie mam – wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Coś kiepski był ten jubiler, bo cię pociął.

– Jest doskonały – potwierdziła z naciskiem w głosie. – Wprawdzie zepsuł trochę sprzętu, ale za to uwolnił mnie od pierścionka.

– Dużo wziął?

– Nic. Jak przeczytał napis na wewnętrznej stronie obrączki, wypchnął nas za drzwi. Przestraszył się kłątwy.

– Chciałbym zobaczyć ten napis. Bette pewnie będzie umiała go przetłumaczyć.

– Przykro mi, ale Bette nie przetłumaczy napisu. Pozbyłam się pierścionka, podobnie jak bólu głowy.

Pocałowała go w policzek. Steve był zaskoczony jej reakcją.

– A to za co? – spytał.

– Ze szczęścia – wytłumaczyła się. – Już nie boli mnie głowa, kiedy z tobą rozmawiam.

– Czyżby pozbycie się pierścionka pomogło? – zaciekawiał się Durell.

– Tak – Anna przytaknęła. – Już mogę swobodnie rozmawiać ze Steve'em.

Była szczęśliwa. Pozbyła się jednego kłopotu, lecz tatuaż będzie musiała nosić na ramieniu do końca życia. Pośpieszyła do Bette, by oddać szal i poprosić o jodynę. Bała się, że od rany na palcu może dostać zakażenia. Tłumaczka przyniosła środek dezynfekcyjny od Mary. Anna przetarła ranę.

– A co zrobiłaś z pierścionkiem? – Bette była ciekawa.

– Dałam go tej staruszce, która przepowiedziała mi przyszłość. Trochę to dziwne, że właśnie ją spotkałam pod sklepem jubilera. Jakby wiedziała, że tam będę...

– Skoro umie przepowiadać przyszłość, to może wiedziała, że będziesz chciała pozbyć się pierścionka. Wspomniała o nim

w swojej wróżbie.

- Nie mówiłaś mi o tym.
- Wtedy nadeszła Mary.
- Czy powiedziałaś mi wszystko? – spojrzała jej w twarz.
- Nie – Bette uciekała wzrokiem.
- To co jeszcze ma mnie spotkać?

Bette wahała się. Było widać, że nie chciała zdradzać sekretów przepowiedni.

– W porządku. Pewnie wkrótce się okaże. Dzięki za pomoc – odparła drwiąco Anna.

Ruszyła do wyjścia.

- Zaczekaj – Bette chciała ją zatrzymać.
- Nic nie mów. Może lepiej nie wiedzieć.

Anna opuściła jej namiot. Pani doktor, zaczajona za bokiem namiotu, słyszała ich rozmowę. Była ciekawa, co ukrywa tłumaczka. Kiedy Anna zniknęła w namiocie kuchni, Mary dołączyła do Bette.

- Co jeszcze ma się wydarzyć? – zapytała.
- Nie mogę powiedzieć. Za dużo już wygadałaś sekretów.
- Przysięgam, że nic nie powiem.
- Słowo honoru?
- Słowo tajemnicy lekarskiej.
- Ta kobieta powiedziała, że Anna wyjdzie za mąż w swoje urodziny.

- O matko, ona urodziła się jakoś pod koniec czerwca.
- Tak, chyba trzydziestego.
- To już niedługo.

Anna pozbyła się pierścionka i bólu głowy. Mogła spać spokojnie. W środku nocy przez sen poczuła nieświeży męski pot i smród owczego łajna. Właśnie ten fetor połechtął jej zmysł węchu, dotarł do podświadomości i kazał się obudzić. Poczowała, że ktoś dobiera się do dolnej części jej pizamy. Powoli uniosła powieki. W półmroku majaczyła postać nachylająca się nad jej łóżkiem. Chciała krzyknąć, lecz osobnik jedną ręką chwycił ją za szyję i zaczął dusić, a drugą próbował zdjąć dolną część pizamy. Poczowała, jak brakuje jej powietrza. Lewą ręką wymacała leżące przy poduszce radio tranzystorowe i zadała nim cios w skroń napastnika. Zluzował uścisk na jej szyi. Wymierzyła drugi cios, trafiając mężczyznę w oko. Jęknął

z bólu. Złapał się za twarz. Chciała wezwać pomoc, lecz jej głos był chrapliwy i niewyraźny. Zaczęła kasłać. Zadała napastnikowi jeszcze jeden cios w czubek głowy i zeskoczyła z łóżka. Radio rozleciało się na dwie części. Mężczyzna wybiegł z namiotu. Anna wciągnęła spodnie piżamy na biodra, zapaliła latarkę. Kaszając, łapczywie zaczerpywała powietrze. Do namiotu z latarkami w dłoniach wbiegli Steve, Garry i David.

– Co się stało? – Steve oświetlił jej postać.

– Ktoś... – próbowała mówić – tu... był...

– Może miałaś zły sen? – przypuszczał David.

– Nie – szeptała. – Ktoś mnie dusił, próbował... – drżącymi dłońmi złapała się za szyję.

– To nie zostawiaj otwartego namiotu – zaproponował Steve.

– Zamknęłam – mówiła cicho. – Zawsze go sznuruję.

Garry poświecił w stronę drzwi namiotu. Materiał przy górnym suwaku był przecięty. Anna chciała napić się wody, którą zawsze miała przygotowaną na stoliku przy łóżku, lecz zakrztusiła się. Zaczęła kasłać. Steve latarką poświecił na jej szyję. Wszyscy ujrzeli dwie czerwone pręgi, ślad po palcach napastnika.

– To pewnie ten arabski kundel cię odwiedził – przypuszczał Steve.

– Nie – zaprzeczyła. – To nie był on.

– Coś taka pewna?

– Said pachnie kwiatami, a ten ktoś śmierdział.

– Owcami – Garry pociągnął nosem.

– Faktycznie, coś tu śmierdzi – potwierdził David. – Jakby gówno.

– To musiał być któryś z kopaczy. Dzisiaj doszło dwóch nowych – przypomniał Garry. – Jeden z nich widział jak Anna cię całuje, Steve.

– O cholera – zaklął Steve. – Tu nie wolno się tak zachowywać. Zobaczył, że całujesz mnie w policzek, i pomyślał, że jesteś kobietą... – urwał.

– Dziwką? – szepnęła.

– Tak... jakby – powiedział nieśmiało Garry.

– Pięknie – poczuła się niezręcznie. – To już nie można kogoś pocałować z radości... w policzek?

– Nie możesz spać sama, w dodatku z uszkodzonym suwakiem w namiocie – rzekł David.

– Idziesz do naszego namiotu – postanowił Garry.

– Wiecie, chłopaki – zaczął Steve – wy idźcie do siebie, a ja zostanę tu z Anną.

– Boi się profesor, że ją zbałamucimy? – zażartował Garry.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Steve.

– A już myślałem, że się do niej przytulę – żartował Garry.

– A tu nici – dokończył David.

Steve poszedł po śpiwór. Tę noc spędził w namiocie Anny. Nie rozmawiali ze sobą. Nie było o czym. Oboje wiedzieli, że to, co zaczęło między nimi rozkwitać, już zgasło. Mimo to Steve chciał ją chronić. Nie spali najlepiej. Ich sen był czuwaniem, nie wypoczynkiem. Kiedy rano Bateman i Harmon ujrzeli Steve'a wychodzącego z namiotu-kuchni, przystanęli.

– A wy, co robiliście razem? – spytał Harmon.

– Ktoś napadł na Annę – wytłumaczył Steve. – Pilnowałem jej.

– Aby na pewno? – Bateman nie wierzył jego słowom.

– To prawda – pojawił się Garry. – Byłem tu w nocy z Davidem.

Anna wyszła przed namiot z polarem założonym na pizamę.

– Czy to prawda? – Bateman spojrzał na nią. – Ktoś cię napadł?

– Tak – szepnęła. Nadal nie mogła mówić.

– Jak jej mówię, że to ten Arab, zaprzecza – Steve obstawał przy swoim.

– Czy widziałaś, kto to był? – spytał Harmon.

– Nie. Było ciemno. Chciał... – odruchowo dotknęła dołu brzucha.

– Uderzyłam go ramię w głowę, oko. Uciekł.

– Przeciął materiał przy suwaku – wtrącił Garry.

– To wszystko mi się nie podoba – Bateman zdenerwował się. – Będę musiał porozmawiać sobie z tym księciem. Za dużo sobie pozwala.

– To nie był on – próbowała podnieść głos, lecz zaczęła kasłać.

– Bronisz go? – Bateman był zaskoczony. – A porwanie? Tatuż i zaklęty pierścionek?

– To nie był Said – broniła go. – On pachnie kwiatami, a ten śmierdzał łajnem.

– No, to prawda – potwierdził Garry. – Jak weszliśmy do namiotu, śmierdziało owczym gównem.

– O ile sen Anny sprawdził się i El Dżajad jest ranny, to nie mógł być w jej namiocie – pojawił się Durell.

– Masz rację – Bateman zamyślił się. – El Dżajad dba o czystość.

– Gdyby chciał wykorzystać Annę, zrobiłby to w noc porwania – uświadomił ich Harmon. – I nie wypuściłby jej z pałacu.

– A może sobie dogodził i już nie chce zadawać się z naszą Anną? – skwitował Steve.

Przez całą noc był przy niej, pilnował, by nikt jej nie skrzywdził. I nagle takie przykre słowa. Przemilczała zadany słownie ból. Nie będzie się z niczego tłumaczyć.

– A ja chyba wiem, kto to był – przypomniał sobie Harmon. – Mówisz, że uderzyłaś go w oko?

– Tak – potwierdziła. – W oko, skroń.

– Jeśli go dzisiaj nie będzie, to moje przypuszczenie się sprawdzi.

– Który to? – Durell był ciekawy.

– Wczoraj doszło dwóch nowych. Cały czas mieli zasłonięte twarze – gestykulował. – No tak, byliście w mieście. Jest niski, chudy. Ma lekkiego zezą. Cały czas przyglądał się naszym paniom.

– Przekonamy się, czy się nie mylisz.

Doktor Harmon miał rację. Z wioski przyjechało o jednego kopacza mniej – właśnie tego, którego podejrzewano o napaść na Annę. Kiedy spytano robotników, dlaczego dzisiaj nie przyszedł do pracy, powiedzieli, że Nazim jest chory na głowę i długo nie będzie mógł im pomagać. Steve przyznał Annie rację, lecz nie wspomniał jej o tym, nie przeprosił.

Zszyła brzegi przeciętego materiału namiotu zwykłą czarną nitką. Czy to powstrzyma kolejnego napalonego samca?

Pani doktor, dowiedziawszy się o niemiłej nocnej wizycie, zaniepokoiła się stanem gardła Anny. Czerwony ślad na szyi jasnowłosej rzucał się w oczy. Anna szeptała i miała problemy z połykaniem większych kawałków pokarmu. Robiła sobie papki, przeciery. I tak przez dwa dni.

– Chciałabym zbadać twoje gardło – zaproponowała pani doktor.

- Dziękuję – wyszeptała. – Samo przejdzie.
- Chciałabym sprawdzić, czy nie masz uszkodzonej krtani. I ten szept...
- Z moją krtanią wszystko w porządku. Swobodnie mi się oddycha.
- Wiem, że nadal masz do mnie żal... Nie przyjęłaś moich przeprosin. Wiesz dobrze, że żałuję, że się wtedy wygadałam. Każdy człowiek ma prawo popełnić błąd – tłumaczyła się skruszona.
- Gdyby choć przez myśl mi przeszło, że księżę...
- Było, minęło. Takie moje przeznaczenie.
- Tak. To było przeznaczenie.
- Miałam panią uratować od hańby i uratowałam.
- Ale to był twój sekret. Jesteś bardzo odważna, w przeciwieństwie do mnie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może mnie to spotkać. I ten wróżbita – pani doktor miotła się. – Mówił, że dziewczyna o jasnych włosach uratuje mnie od hańby. I ocaliłaś mnie.
- Nie tylko panią. Inni też byli w niebezpieczeństwie.
- Niech ci będzie. Chcę cię zbadać. Nie jako Mary Parker, ale jako lekarz.
- Samo przejdzie.
- To chociaż zrób sobie zimny okład na szyję. Obrzęk powinien do jutra ustąpić i znów będziesz normalnie mówić.

Anna posłuchała pani doktor. Ukradkiem udała się do oazy, zamoczyła chustkę w zimnej wodzie i owinęła nią szyję. Poczowała się lepiej, połykanie pokarmów stało się mniej męczące. Profesor Bateman chciał, by spała w ich namiocie. Twierdził, że wśród męskiej załogi będzie czuć się bezpieczniej. Było wolne miejsce, gdyż Durell od dawna spał w jednym namiocie z siostrą. Anna odmówiła, przeniosła łóżko do części kuchennej namiotu. Przy wejściu ułożyła piramidę z pięciu garnków. Tak robiła przez kolejne noce. Jeśli jakiś intruz będzie próbował wejść do środka, spotka go niemiła niespodzianka. Obudzi nie tylko ją, ale i cały obóz. Kładła się spać z lękiem. To nie był zdrowy sen, lecz czuwanie. Dopiero po trzech dniach od przykrego zdarzenia przespała całą noc, lecz nadal nie odzyskała głosu.

Nadeszły trudne dni dla ekipy poszukiwaczy. W środowy ranek, kiedy badacze jak zwykle udali się do ruin, pośrodku kamiennego placu zauważyli leżące trzy martwe czarne kury ułożone w trójkąt i śmierdzące wnętrzności zwierzęcia, najprawdopodobniej kozła, którego czarny łeb nasadzono na drewniany kołek wbity w ziemię. Wokół martwych zwierząt usypano z piasku jakieś znaki, słowa. Wieśniacy, którzy do tej pory pomagali Amerykanom, przestraszyli się. Mówili, że to klątwa, że zmarli tu ludzie upomną się o swoje. Syryjski archeolog Kamal Malik odczytał usypany z piasku napis: „Pokój zmarłym, niepokój dla żywych”, cokolwiek miało to znaczyć. Barry wszystko sfilmował. Wieśniacy uciekli do wioski, nie wzięwszy zapłaty. Tego dnia przerwano prace wykopaliskowe. Niezadowoleni powrócili do obozu.

– Co się stało? – spytała Bette.

– Ktoś odprawiał czary w ruinach – poinformował Harmon. – Zostawili trzy czarne kury i łeb czarnego kozła.

– I wieśniacy uciekli – dokończył Bateman.

– Ale dlaczego ktoś to zrobił? – nie rozumiała Mary.

– Żebyśmy zostawili zmarłych w spokoju – powiedział Durell. – Ostrzeżono nas przed zemstą zmarłych.

– Raczej klątwą – wtrącił Harmon.

– I co zrobicie? – zaciekała się Bette.

– Będziemy kopać dalej – Bateman nie poddawał się. – Chyba zlokalizowaliśmy dom bogatego kupca. Nie zrezygnujemy z kopania tylko dlatego, że ktoś chce nas przestraszyć.

– I po co się męczyć? – do rozmowy przyłączyła się Anna. Mówiła lepiej, lecz nadal cicho. – Burza piaskowa wkrótce zasypie ruiny.

– Nasze medium miało proroczy sen – zakpił Steve. – Prawda?

Wzruszyła ramionami. Po co ma tłumaczyć, i tak jej nie wierzą.

Od strony wioski nadleciał helikopter. Wszyscy spojrzeli w górę. Tylko Anna nie podniosła głowy. Skryła się w namiocie-kuchni. Helikopter poleciał w stronę ruin, zawrócił, okrążył obóz, a następnie skierował się w stronę pałacu El Dżajada.

– Dlaczego uciekłaś? – zawołał Steve. – Twój księżę chciał cię zobaczyć z lotu ptaka.

– Daj spokój, Steve – Bateman zdenerwował się. – Zachowuj się jak dorosły, a nie jak gówniarz.

– Właśnie – wtrącił Harmon. – Anna jest wystarczająco wystraszona. Potrzebuje naszego wsparcia, nie przykrości.

Panowie udali się do namiotu po paszport, a następnie we czwórkę pojechali do miasta, by powiadomić dyrekcję muzeum o całym zajściu. Nie minęło pół godziny, a odwiedził ich patrol. Przyjechał sierżant znający język francuski i dziesięciu jego żołnierzy. Od wieśniaków dowiedzieli się o incydencie w ruinach. Studenci pokazali wojskowym miejsce z martwymi zwierzętami. Bette tłumaczyła, co tam zaszło. Sierżant zwrócił uwagę na czerwonosiny ślad na szyi jasnowłosej dziewczyny wyłaniający się spod luźnej chusty.

– Czy ktoś panią napadł? – spytał po francusku.

Odruchowo zakryła ślad na szyi.

– Dusił panią? – dociekał.

– To mały wypadek – powiedziała cicho.

– Nie. Pani kłamie – nie odrywał od niej wzroku. – Znam takie ślady. Ktoś panią dusił.

– Obroniłam się – poprawiła chustę, zakrywając siny ślad.

– Swój?

– Nie – zaprzeczyła. – Obcy. Z waszego kraju.

– Pozna go pani?

– Nie. Było ciemno... Zresztą... miał zasłoniętą twarz.

Sierżant pokiwał głową. Nie miał więcej pytań. Musiał powiadomić swego dowódcę, co się wydarzyło. Żołnierze odjechali w stronę pałacu El Dżajada. Anna wiedziała, co to oznacza. Kiedy Said dowie się, że ktoś próbował skrzywdzić jego ukochaną, znów zacznie ją nachodzić, a nawet zleci jej porwanie. Że też chustka odłoniła ślad na szyi!

Godzinę później ten sam sierżant przywiózł Annie list od księcia. W zaciszu namiotu drżącymi palcami prawej dłoni otworzyła kopertę. Wyjęła z niej zaproszenie i list. El Dżajad chciał, by w piątek przybyła do jego pałacu na obiad na godzinę czwartą po południu. Jak zwykle miał podesać po nią bryczkę. Położyła zaproszenie na łóżku i zabrała się za czytanie listu.

Pani. Myślę, że nie odmówisz mi i przybędziesz do mojego pałacu w piątkowe popołudnie. Twoja ucieczka z wieży mojego pałacu wzbudziła mój wielki szacunek do Twojej osoby, jednak wiem, jak zatrzymać Cię przy sobie. Nie chciałbym czynić zła Twojemu towarzyszowi, ale jeśli mi odmówisz, nic nie powstrzyma mnie od tego. Ucierpi osoba, którą darzysz uczuciem. Kiedy już nie będzie Steve'a i znów mi odmówisz... Pamiętaj o przeznaczeniu. Należysz tylko do mnie.

W podpisie arabskie litery.

Z wściekłością cisnęła kartkę pod łóżko. „Jak śmie mnie szantażować? Jak śmie mi grozić? Oj, panie El Dżajad, źle zrobiłeś. W ten sposób nie zdobędziesz mojej sympatii. Ale mam dowód na to, że mnie szantażujesz. Teraz mogę zwrócić się do naszej ambasady o pomoc. Urzędnicy przeczytają ten list i pomogą mi wyjechać do Stanów. Grożąc mi, sam sobie zaszkodziłeś. Jak dobrze, że popełniłeś błąd. Pokażę list profesorowi Batemanowi i będę cię mieć z głowy”. Jej radość trwała króciutką chwilę. Kiedy podniosła zmiętą kartę, aby wygładzić ją w dłoniach, kartka była czysta. Niemożliwe. Wyszła przed namiot. Kartka nie zawierała treści. Litery zniknęły. „A to drań” – syknęła. „Sprytne”. Wróciła do namiotu. „Grozi, lecz ubezpiecza się, abym tylko ja znała treść listu. Nie ulegnę szantażowi. Napiszę do niego list w równie złym tonie. Muszę tylko zebrać myśli i napisać coś, co da mu do myślenia”.

Tuż po kolacji usiadła na łóżku, położyła na kolanach drewnianą deskę do krojenia warzyw, a na niej kartkę, i zaczęła pisać:

Panie, dziękuję za zaproszenie, lecz nie zaszczycę moją osobą Twego pałacu z obawy, że już nigdy nie zobaczę swoich towarzyszy. Drugi powód to zniewaga, jaka spotkała mnie pewnej nocy. Ktoś, nie wiem kto, chciał mnie zhańbić. Broniłam się, napastnik uciekł. Broniłam Twego dobrego imienia przed moimi kolegami, gdyż przypuszczali, że to Ty zakradłeś się do mojego namiotu. List, w którym grozisz mi i moim przyjaciółom, sprawił, że zaufanie, jakim zaczynałam Cię obdarzać, zostało zburzone. Groźby nie otworzą drzwi do mojego serca i nigdy się do niego nie dostaniesz.

Chwila zastanowienia. Jak jeszcze mu dokuczyć? Co napisać, by zastanowił się nad swoim postępowaniem? Już wiedziała:

Mówisz o przeznaczeniu? Jest coś, co może to zmienić. Nie kuś mnie, bym to zrobiła.

Anna.

Na odwrocie koperty napisała:

Nie karz swojego sługi. Jest człowiekiem z krwi i kości, czuje ból, podobnie jak Ty i ja.

Była ciekawa, jak Said zareaguje na jej list. Chce słownej wojny, to będzie ją miał. Nie da się szantażować. Jest wolną, niezależną obywatelką amerykańską. Nie da się zastraszać jakiemuś zakochanemu w niej Syryjczykowi.

W piątkowe popołudnie pod obozowisko zajechała bryczka zaprzężona w białego konia. Anna poprosiła Bette, by przetłumaczyła jej słowa stangretowi.

– Daj panu ten list – mówiła cicho. – Poproś, aby go przeczytał, zanim zechce cię ukarać.

Służący odebrał od niej kopertę. Powiedział coś. Bette przetłumaczyła jego słowa.

– On pyta, dlaczego szepczesz. Czy boisz się, że ktoś cię usłyszy?

Anna uśmiechnęła się. Pokręciła głową.

– Powiedz mu, że boli mnie gardło.

Bette przetłumaczyła. Służący był bardzo niezadowolony, że sam wraca do zamku. Nie takie miał wykonać zadanie. Cmoknął na konia i powoli ruszył w drogę powrotną do pałacu.

– Czy to po ciebie? – zaskoczył je Steve.

– Tak – Anna nie chciała kłamać.

– Nie pojechałaś?

– Nie mam się w co ubrać.

– Kiedyś ci to nie przeszkadzało, prawda? – przypomniał.

– Przejmujesz się tym?

– No tak – mówił z kpiną w głosie. – Nasze medium zna swoją przyszłość.

– Wiesz, Steve. A kiedyś cię kochałam – z pogardą patrzyła mu w twarz. – Dobrze, że mi przeszło.

Bette przytknęła lewą dłoń do ust. Była zaskoczona jej wyznaniem. Steve poczuł się nieswojo, słysząc, że kiedyś go kochała. Tak naprawdę nigdy dotąd nie wyznali sobie miłości.

- Anno, zaczekaj – ruszył w ślad za nią.
- Daj mi spokój. Z nami koniec!

Wróciła do namiotu i zasunęła suwaki. Nie miała ochoty rozmawiać ze Steve'em. Potrzebowała wsparcia, a on tylko ją ranił. Miała go dość. Może jednak trzeba było pojechać do pałacu. Tak bardzo chciała, by ktoś ją objął i przytulił. Poczowała się samotna. Wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się.

Nie zjadła kolacji w towarzystwie ekipy. Posiliła się w ukryciu, pod dachem namiotu-kuchni. John zauważył, że płakała.

- Wszystko w porządku? – spytał, kiedy myła naczynia.
- Nie – wyszeptała.
- Mogę ci jakoś pomóc?
- Nie.
- A powiesz mi, co się dzieje?
- Nie.
- OK.

– Nie mów nikomu, że coś mnie gnębi, bo i tak mi nikt nie pomoże.

- W porządku.

John zachował dla siebie sekret jej przygnębienia. Widział, że cierpi. Z chęcią zaopiekowałby się nią, lecz wiedział, że nie ma u niej szans.

Said El Dżajad przeczytał list i nie ukarał swojego sługi. Treść korespondencji zaniepokoiła go. Ktoś chciał skrzywdzić jego ukochaną? A może zmyśliła to wszystko, by uniknąć spotkania? Sierżant wspomniał, że widział na jej szyi siny ślad, a sługa powiedział, że jasnowłosa pani szeptała, kiedy podawała mu list. Będzie musiał to sprawdzić.

Noc upłynęła spokojnie. Nazajutrz Anna nudziła się. Około dziesiątej dołączyła do ekipy buszującej w ruinach zaginionego miasta. Odkryto kolejny fragment domu. Jego ściany były popękane, przy silnym wietrze istniała groźba zawalenia budynku. Bez pomocy wieśniaków odkopywanie kolejnych fragmentów murów szło wolniej. Anna zaczęła uczestniczyć w pracach. Pod murem w niszy odkryto kolejne ludzkie szczątki. Steve wziął się za ich odkopywanie.

Od strony pałacu nadleciał helikopter. Zrobił dwa okrążenia i zniżył lot. Anna dokładnie widziała Saida siedzącego obok pilota.

Zrobił powitalny gest prawą dłonią. Skinęła głową. Zauważyła, że jego lewa ręka jest zawieszona na temblaku. Więc to prawda, on jest ranny.

Odeszła na bok, zasłaniając oczy przed piaskiem, który wzbił się z powietrzem spod śmigła helikoptera. Pojazd poszybował wyżej, po czym odleciał. Anna spojrzała przed siebie. Chciała sprawdzić, jak Steve zareagował na pojawienie się konkurenta. Kątem oka zauważyła, jak ściana zaczyna się rozpadać. Zdążyła krzyknąć, ostrzegając go przed niebezpieczeństwem. Jej głos był głośny i wyraźny, a jeszcze przy śniadaniu ledwo się odzywała. Kamienne bloki z łoskotem zaczęły spadać na ziemię. Steve uskoczył w niszę, a po chwili zniknął zasypywany przez gruz. Anna zamarła, przykładając dłonie do ust, jakby się modliła. Kiedy kamienne bloki opadły, nastąpiła błyskawiczna akcja ratunkowa. Wszyscy ruszyli do odkopywania swego kolegi.

– Boże, to moja wina – łzy napłynęły jej do oczu.

– Jaka tam twoja – zaprzeczył Barry. – To ten cholerny helikopter.

„Gdybyś wiedział to, co ja...” – pomyślała. „Tak, to ten cholerny helikopter i jego właściciel. To odpowiedź na zignorowanie zaproszenia. To groźba, abym mu uległa”. Odeszła na bok i przykucnęła pod niskim murem. Przymknęła powieki. „Boże, nie pozwól mu umrzeć. Jak spełnisz moją prośbę, ulegnę Saidowi. Zostanę z nim, tylko nie karz śmiercią Steve’a”.

Błyskawiczna akcja ratunkowa zakończyła się sukcesem. Steve żył. Dzięki ostrzeżeniu Anny i ucieczce w niszę obrażenia na ciele badacza nie zagrażały jego życiu. Kilka siniaków, zadrapań, stłuczona prawa noga wyeliminowały go na parę dni z pracy przy wykopaliskach. David i Barry wyciągnęli brudnego, zakrwawionego profesora historii spod gruzu i zanieśli go parę kroków dalej. Anna pośpieszyła ku niemu. Pierwsze, co zrobiła, to pocałowała go w usta. Stojący wokół niego mężczyźni byli zaskoczeni spontaniczną reakcją dziewczyny. Wymieniali znaczące spojrzenia.

– Dzięki Bogu żyjesz – jej głos drżał, łzy płynęły po policzkach.

– Gdyby nie ty... – też był wzruszony. – Dziękuję, że mnie ostrzegłaś. Przepraszam za wszystko.

– Cicho, nie mów nic.

– Może później sobie pogadacie? – Bateman przerwał amory. – Steve potrzebuje lekarza.

Przerwano prace wykopaliskowe. W jednym z odkrytych pomieszczeń schowano cały sprzęt. Wiedziano, że nikt go nie ukradnie. Po co komu łopaty, kilofy czy taczki? Barry z Davidem zanieśli rannego do namiotu pani doktor. Ta zbadała Steve'a. Na szczęście jego kości były całe. Mary obmyła powierzchowne rany płynem dezynfekcyjnym i przyłożyła okład na stłuczoną łydkę.

W nocy nad pustynią przeszła niegroźna burza piaskowa, zasypując część odkopanych budynków i pomieszczenie, w którym Amerykanie schowali cały sprzęt.

– Wieśniacy mieli rację, że uciekli – przyznał Bateman. – Klątwa działa.

– Sądysz, że to magia? – spytał Harmon.

– Anna miała rację, mówiąc, że nie ma sensu kopać, bo piasek i tak wszystko zasypie – przypomniał Durell.

– Wszystko zaczęło się trzynastego.

– A może ktoś to robi specjalnie, bo chce nas przestraszyć? – Steve spojrzał w stronę Anny. – Ma powód, aby nam dokuczać.

– Dlaczego głośno nie powiesz, że to ja zaczynam być przyczyną tych kłopotów?

– Daj spokój. Nie myślałem o tobie – zaprzeczył.

– Przecież niektóre waśnie i wojny zaczynały się przez kobietę. Znasz to z historii, prawda, panie profesorze – podniosła głos. – Jak wrócisz do kraju, wydasz książkę o całej wyprawie, w której napiszesz, że niejaka Anna Reed stała się przyczyną waszych kłopotów.

Minęła namioty i pośpieszyła w stronę oazy.

– Nie rozumiem cię Steve – zaczął Bateman. – Ona jest za tobą, a ty cały czas jej dokuczasz. Może byś wreszcie dorósł?

– Właśnie – dodał Durell. – Kiedy zostałeś zasypany, płakała.

– Zapomniałeś, z jaką radością cię powitała, kiedy powstałeś... można powiedzieć... z grobu? – przypomniał Harmon.

– Okłamała mnie – Steve spuścił głowę.

– Nas też, ale to nie powód, by jej dokuczać – pouczył go Bateman.

– Nie okłamała nas – sprostował Durell. – Nie powiedziała nam prawdy.

– Mogła to zrobić! – Steve był zły.

– I co byś zrobił, dowiedziawszy się, że została uprowadzona do pałacu księcia? – Bateman był ciekawy.

– Pojechałbym tam i własnoręcznie zabiłbym tego drania.

– No właśnie – Bateman pokiwał głową. – Straż El Dżajada by cię powstrzymała i narobiłbyś sobie kłopotów, a Annie i tak byś nie pomógł.

Anna ukryła się w zaroślach oazy, by dać upust emocjom. Znow płakała. Miała dość przykrości, jakie sprawiał jej Steve. Dostyc jego docinek, głupich uwag. Złożyła przysięgę, zamieszka w pałacu El Dżajada. Tylko dlaczego tak trudno pogodzić się zmysłą, że już nigdy nie wróci do swojego kraju?

Była tak pogrążona w myślach, że zapomniała o obiedzie. Wszyscy zjedli, a jej wciąż nie było. John przyszedł po nią do oazy. Kiedy podchodzili do namiotów, od strony wioski nadjechało ośmiu żołnierzy. Dowódca otrzymał rozkaz ochrania Amerykanów.

– Bez pozwolenia nikomu nie wolno oddalać się od obozu – Bette tłumaczyła słowa dowódcy.

– Dlaczego? – Bateman był zaskoczony. – Czy jesteśmy więźniami?

Bette przełożyła wypowiedź profesora, a następnie dowódcy.

– Nie jesteśmy więźniami. Dla naszego dobra nie wolno nam ruszać się z obozu.

– Spytaj, jak długo to będzie trwać? – odezwał się Durell.

Tłumaczka po chwili rzekła:

– Nie wie. Ktoś powiedział, że znacie pozycję domu kupca i ktoś może wykraść skarby, jakie tam znajdziecie.

– Bzdura! – Bateman zdenerwował się. – Powiedz mu, że nasz sprzęt został zasypany w jednym z pomieszczeń, więc i tak nie mamy czym kopać. Musimy jechać po nowe urządzenia.

Wyjaśnienie dowódcy żołnierzy, jak się mają ich sprawy, nie zadowoliły go.

– Powiedział, że nikt nie może opuścić obozu – tłumaczyła Bette.

– Musi pan oddać kluczyki od samochodu.

– To niedorzeczne – Bateman nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał.

– Czy to rozkaz Saida El Dżajada? – Anna spytała po francusku.

– Nie mogę powiedzieć, z czyjego to rozkazu – odpowiedział w tym samym języku.

– W moim kraju, jeśli ktoś zostaje zatrzymany, dowiaduje się, z jakiego powodu. A pan kłamie.

Na twarzy dowódcy odmalował się gniew. Jak kobieta śmie go obrażać?

– Ten, kto wydał rozkaz, pracuje w muzeum w Aleppo.

– No proszę. Jak pan chce, to potrafi być pan miły. A domu kupca jeszcze nie odkopali. Pokój z tobą – Anna skinęła głową.

– O czym mówicie? – do rozmowy wtrącił się Bateman.

– Podobno nasłali ich ktoś z muzeum – powiedziała po angielsku.

– On nalega, by oddał pan kluczyki od samochodu – przypomniała Bette.

– Niech go szlag! Musimy jechać po jakieś łopaty – Bateman był wściekły. – Dobra, oddajcie mu kluczyki.

– Chcę pojechać do księcia – Anna ponownie zwróciła się do dowódcy.

– Mam rozkaz nie wypuszczać nikogo z obozu.

– Zobaczymy.

Żołnierze rozbili dwa namioty dwadzieścia metrów od obozu, spętali koniom przednie nogi i puścili na trawę, gdzie niedawno Anna pasła kozę.

Ekipa była uziemiona. Amerykanie nie mogli pojechać po najprostszy sprzęt, a bez łopaty nie dadzą rady dostać się do pomieszczenia z narzędziami. Anna wpadła na pomysł, by spróbowali zastąpić łopaty stalowymi patelniami. Do momentu, kiedy nie dostaną się do sprzętu, będą smażyć kotlety na jednej patelni. To było jakieś wyjście z trudnej sytuacji.

Kiedy po obiedzie udali się w towarzystwie pięciu żołnierzy na teren ruin, spróbowali odsypać wejście. Po dwóch godzinach dotarli do sprzętu. Kiedy Garry wyciągał taczki, został przysypany piaskiem. Błyskawiczna akcja kolegów oraz pilnujących ich strażników uratowała mu życie.

Anna tej nocy spała niespokojnie. Nasłuchiwała, czy ktoś nie kręci się wokół jej namiotu. Zmęczona, niewyspana pomagała Johnowi w przygotowywaniu śniadania. Zastanawiała się, jak wymknąć się z obozu, pojechać do pałacu El Dżajada i upomnieć się o prawa swoje i jej przyjaciół.

Kiedy żołnierze odpoczywali po sutym obiedzie w cieniu swojego namiotu, Anna ukradkiem podeszła do pasących się koni. Zwierzęta były przywiązane luźno do liny przeciągniętej przez cugle. Na ich grzbietach nie było siodeł. Anna nożem przecięła linę i skoczyła na grzbiet pierwszego z koni. Rozganiając pozostałą siódmkę pognała w stronę pałacu. Żołnierze zerwali się z miejsc i pobiegli za uciekającymi końmi. Ekipa z niedowierzaniem przyglądała się wyczynowi Anny.

– Gdzie ona nauczyła się jeździć konno? – Durell nie wierzył własnym oczom.

– Jeszcze o wielu sekretach naszej Annie nie mamy pojęcia – Bateman zamyślił się.

– A gdzie ona jedzie? – Mary była ciekawa.

– Ty nie wiesz? – Durell spojrzał na siostrę.

– Pojechała do księcia, żeby wstawić się za nami – przypuszczał Bateman.

– A ja myślałam, że się go boi – powiedziała cicho Mary.

– Jej jest wszystko jedno – oznajmiła Bette. – Już pogodziła się ze swoim losem.

Anna, nie zastanawiając się nad swym szalonym, podstępnyim uczynkiem, gnała konia w kierunku pałacu El Dżajada. Umiała jeździć konno. Dziesięć lat temu, kiedy po raz ostatni spędzała wakacje z rodzicami i bratem, bywała w stadninie. Wzięła osiem lekcji jeździectwa i wszystko wskazywało na to, że polubi tę formę wypoczynku, lecz głupi żart brata sprawił, że spadła z konia, dotkliwie raniąc plecy. Obiecała sobie, że już nigdy nie wsiądzie na koński grzbiet. Dzisiaj złamała przysięgę.

Kiedy dojeżdżała do zamkniętej bramy pałacu, ściągnęła cugle. Koń zwolnił. Bez siodła źle się jej jechało i zaczęło boleć ją siedzenie. Ze stróżówki wychyliła się głowa znudzonego strażnika. Głowa schowała się, by po chwili ponownie się wychylić. Był to ten sam strażnik, który widział, jak księżę całuje Annę. Mężczyzna

wyskoczył z budki i pośpiesznie otworzył jedną część bramy. Uśmiechnął się i gestem dłoni zaprosił Annę dalej. Cmoknęła na konia. Z każdym krokiem przybliżającym ją do pałacu jej serce przyśpieszało swój rytm, a rozum podpowiadał, by zawróciła. Poczwała na sobie czyjś wzrok. Spojrzała w górę. Said El Dżajad stał na balkonie pierwszego piętra. Na jego twarzy malował się zwycięski uśmiech. Spuściła wzrok i odetchnęła głęboko. Zatrzymała konia na placu dziedzińca i zeskoczyła z jego grzbietu. Pojawił się służący. Podała mu cugle. Zrobiła parę kroków. Łapała powietrze nosem, a wypuszczała ustami, próbując się uspokoić, wyrównać oddech i rytm serca. Znajomy służący otworzył drzwi i poprowadził Annę do drugiego salonu. Pani El Dżajad przywitała ją z uśmiechem na twarzy.

– Anno, jak miło cię widzieć – podniosła się z kanapy. – Tak dawno nas nie odwiedzałaś...

– Przyszłam poskarżyć się na pani syna – próbowała mówić spokojnym głosem.

– Saida? – zaniepokoiła się. – Co złego zrobił?

– Kazał nas pilnować.

– Czy to coś złego?

– Tak, nie możemy opuszczać obozu. Jesteśmy więźniami.

– Mój syn nie mógł wydać takiego rozkazu. Jest impulsywny, ale to dobry człowiek – broniła Saida. – Nie mógłby nikogo skrzywdzić.

– Czy jest pani pewna swych słów? Aż tak pani ufa swojemu synowi?

– Co jeszcze uczynił, iż sądzisz, że jest złym człowiekiem?

– Są sekrety, o których nie śmiem pani powiedzieć.

– Mój syn cię kocha – kobieta uśmiechała się dobrodusznie. – Nie skrzywdzi cię.

– Mnie może nie, ale niech nie krzywdzi innych.

– Witaj, Anno – Said przywitał ją.

Odwróciła się. Stał w drzwiach salonu, ubrany w białą koszulę z krótkim rękawem i beżowe spodnie do kolan. Na gołych stopach miał brązowe skórzane sandały, a w prawej ręce trzymał drewnianą laskę. Spod lewej nogawki jego spodni wystawał bandaż, a pod rozpiętą do połowy torsu koszulą tuż przy lewym obojczyku Anna ujrzała opatrunek. Utykając, powoli zbliżał się w stronę kobiet. Poły

koszuli poruszały się, odsłaniając porośniętą krótkimi czarnymi włosami klatkę piersiową. Kiedy Anna w swoim śnie widziała go nago, na jego klatce piersiowej, rękach i brzuchu widziała właśnie takie włosy. A więc w kolejnej przepowiedni jest ziarnko prawdy. Said tak seksownie wygląda. Miała mu tyle do wygarnięcia i zapomniała, po co tu przyjechała. Dlaczego tak skąpo się ubrał?

– Przyznam, że sprawiłaś mi miłą niespodziankę – uśmiechał się.
– Nie spodziewałem się, że właśnie dzisiaj do mnie przybędziesz.

– Zostawiam was samych – księżna poklepała ją po ramieniu.

– Proszę zostać – Anna wpadła w panikę.

– O nie – zaprzeczyła ruchem głowy. – Porozmawiajcie sobie.

Anna patrzyła, jak kobieta znika za drzwiami. Przeniósła wzrok na Saida.

– Usiądź, proszę – wskazał jej fotel.

– Dziękuję – odmówiła. – Nie przyszłam tu siedzieć.

– Pozwolisz, że ja usiądę.

– Proszę. Rana postrzałowa musi jeszcze boleć.

– Skąd wiesz, że to rana postrzałowa? – usiadł na kanapie, wyciągając przed siebie ranną nogę.

– Jest pan żołnierzem, pilnuje pan przejścia granicznego – czarowała. – Gonił pan przemytników, była strzelanina i został pan ranny.

– To prawda. A kiedy to się stało? – wpatrywał się w jej twarz.

– W środę około południa... – wygadała się.

– Tak, to było w środę w samo południe. Kto ci o tym powiedział?

– Nikt – podeszła do wolnego fotela.

– Miałaś proroczy sen, prawda?

Ich spojrzenia spotkały się. Zauważył jej zakłopotanie. Nie chciała kłamać.

– Tak, miałam sen – spuściła wzrok.

– Wolałabyś, żebym zginął, prawda?

Anna milczała. Tak, to była prawda. Zostałby zastrzelony przez bandytów, a ona uwolniłaby się od niego. Said mówił dalej:

– Gdybym zginął, uwolniłabyś się ode mnie. Widzisz, Allah chciał inaczej. Moim przeznaczeniem jest żyć przy tobie i z tobą. Więc jak, chciałaś mojej śmierci?

– Nie – skłamała. – Pana matka już straciła jednego syna, w bólu, z żalu... – z trudem dobierała słowa – nie pożyłaby długo samotnie po tak bolesnej stracie.

Jej słowa bardzo mu się spodobały. Uśmiechnął się.

– Przybyłaś, by mnie o coś poprosić?

– Poprosić? – położyła dłonie na oparciu fotela. – Nie przyjechałam o nic prosić, tylko pokłócić się, wykrzyczeć swoje żale – powiedziała spokojnie.

– Więc słucham – zrobił gest dłonią, jakby chciał ją zachęcić do wyrzucenia z siebie złości.

– A czy to coś pomoże? – odeszła od fotela.

– Właściwie nic – powiedział ze spokojem. – Może zostawiłbym twoich przyjaciół w spokoju, gdybyś nie uciekła z pałacu. Muszę przyznać, że jesteś odważna. Nie spodziewałem się, że to zrobisz. Jesteś sprytna.

– A porwanie kobiety to dobry sposób, by ją przy sobie zatrzymać?

– Skoro obdarowywanie kobiety kwiatami, zasypywanie ją zaproszeniami, wyznawanie jej miłości, prośzenie o rękę nie pomaga, to trzeba użyć mocniejszego argumentu.

– Wybacz, ale nie wierzę, że bogaty książę obsypie mnie złotem, klejnotami i każe sobie kochać przez pięćdziesiąt najbliższych lat.

– A jeśli tak będzie?

– Którą twoją żoną mam być? – położyła ręce na oparciu fotela.

– Pierwszą, a później ostatnią, bo moje miejsce zajmie młodsza kobieta?

– Ja nie chcę zakładać haremu – roześmiał się, pokazując ładne, białe zęby. – Nie jestem sułtanem, który ma wiele żon. Chcę mieć jedną. Ciebie – jego wzrok zatrzymał się na dłoniach Anny. Spoważniał. – Co zrobiłaś z pierścieniem?

– Wyrzuciłam – schowała dłonie za siebie.

– Kłamiesz – wstał z kanapy, podpierając się laską. – Jego nie można było zdjąć – podniósł głos. – On był ci przeznaczony na wieki...

Przestraszyła się. Jego spojrzenie było zimne. Utykając, ruszył w jej kierunku. Cofnęła się, dłonią potrącając stojącą na brzegu komody zabytkową wazę. Szybki ruch i waza wpadła w jej otwarte

dłonie. Postawiła ją z powrotem na miejscu i zanim się obejrzała, Said stał krok przed nią. Cofnęła się i dotknęła plecami ściany. Spojrzała w bok. Mężczyzna wyciągnął przed siebie laskę, blokując drogę ucieczki. Bała się spojrzeć mu w oczy. Widziała tylko jego zarośnięty, półnagi tors.

– Gdzie jest pierścionek? – spytał łagodnym, choć stanowczym głosem.

– Nie mam – wyszeptała.

– Jak zdjęłaś go z palca?

– Jubiler mi w tym pomógł.

– On go ma?

– Nie. Podarowałam go staruszce, która wywróżyła mi niechcianą przyszłość.

Położył laskę na komodzie i odgarnął włosy z jej twarzy, odsłaniając szyję. Odruchowo chciała odepchnąć go od siebie. Otwartymi dłońmi dotknęła jego brzucha. Przez koszulę poczuła przyjemne ciepło ciała Saida. Schylił głowę i delikatnie dotknął ustami jej ust. Prąd przeszył ciało Anny od serca aż po łono. Poczuli się słabi i bezbronni. Bliskość Saida i zapach goździków, który tak lubiła, sprawiły, że nie miała siły bronić się przed jego pocałunkiem. Przesunął usta na jej brodę, szyję, ramię.

– Nie... – szepnęła. – Nie po to tu przyjechałam. Zostaw nas w spokoju.

– Nie mogę – spojrzał jej w oczy. – Zostań ze mną, a twoi przyjaciele odzyskają spokój.

– Nie jestem gotowa na zmianę życia.

– Tu znajdziesz czas.

Znów zaczął ją całować. Jeden pocałunek, potem drugi. Zapomniała się i odwzajemniła pieśczętę. Przesunął swoją dłoń po jej boku, biodrze i zatrzymał na prawym pośladku. Poczuli, jak miękła jej kolana, cichutko westchnęła. Gdyby teraz wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, byłaby jego.

W drzwiach salonu stanął służący. Chrząknął. Said był niezadowolony, że ktoś przerywa mu czułości z ukochaną. Popatrzył w bok, rzucając niezadowolone spojrzenie. Służący powiedział parę słów po arabsku, a księżę odpowiedział. Spojrzał na rozmarzoną twarz dziewczyny.

– Zaczekaj tu na mnie. Odbiorę tylko telefon i wracam do ciebie.

Said na wychodnym powiedział coś swojemu słudze, a po chwili zniknął za drzwiami. Przyłożyła lewą dłoń do ust. Co robić? Zostać czy uciec? Jak zostanie, nie będzie wiedziała, co z jej przyjaciółmi. Oni czekają na nią. Są ciekawi, czy to z rozkazu księcia nie mogą opuszczać pałacu. Nie. Nie będzie na niego czekać. Jeszcze nie jest gotowa.

Ruszyła w stronę drzwi. Służący zaszedł jej drogę, mówił coś, lecz i tak go nie rozumiała. Spróbowała obejść go z drugiej strony. Blokował jej wyjście. Przystanęła i spojrzała mu w twarz. Uśmiechnęła się, po czym zadała mu kolaniem cios w krocze. Mężczyzna zgiął się wpół, wydając syk. Wybiegła na dziedziniec. Na szczęście koń stał na dworze, pilnowany przez drugiego sługę księcia. Gdyby i on chciał jej przeszkodzić w opuszczeniu pałacu, wiedziała, co ma robić. Na szczęście ten sługa bez przeszkód oddał jej cugle. Wsiadła na konia i pognęła prosto przed siebie. Już sobie nie wierzyła. Said bardziej ją pociągał niż Steve. Czy warto bronić się przed tą miłością? Czy uciekanie, odmawianie ma sens? Gdyby spotkała Saida w Stanach jako zwykłego chłopaka, który byłby nią zainteresowany, chciałaby się z nim spotykać. Podobał jej się. Był męski, silny. Czy to miłość? Już nie ma siły bronić się przed tym uczuciem. Te jego pocałunki...

Zatrzymała konia. Zdała sobie sprawę, że pojechała w złym kierunku. Jeszcze pół mili i dojedzie do polany, za którą znajduje się droga prowadząca w stronę mostu. Zawróciła. Z daleka ujrzała sierżanta i trzech jego ludzi. Jechali w jej stronę. „To się pościgamy” – pomyślała. Galopem ruszyła w ich stronę. Odbiła w bok. Zawrócili, ruszyli za nią.

Kiedy Said powrócił do salonu i ujrzał zgiętego wpół, trzymającego się za krocze służącego, roześmiał się w głos. To nieważne, że Anna znów uciekła. Jest już jego i nic tego nie zmieni. Nie kocha Steve’a, pragnie tylko jego. Kocha go i niepotrzebnie broni się przed tą miłością. Wkrótce wróci do niego, bo będzie tęsknić za jego ustami.

Anna dojechała do namiotów przed żołnierzami. Zeskoczyła z konia i puściła go wolno.

– Czyś ty zwariowała? – zapytał Steve.

– Tak – uśmiechała się. – Ale jazda – weszła do namiotu-kuchni.
– John masz coś do picia?

– Został kompot.

Anna naląła sobie do kubka zimnego napoju. W namiocie pojawili się profesor Bateman i Durell. Dziewczyna ugasiła pragnienie.

– I jak tam nasza sprawa? – Bateman był ciekawy.

– Said nie miał dla mnie wiele czasu – skłamała. – Nic nie załatwiłam.

– Niemożliwe – nie dowierzał Steve. – Już cię nie chce?

– Chce. I to bardzo – patrzyła na niego z lekkim uśmiechem. – Jeśli zostanę z nim, odzyskacie spokój.

– A to łądak – Durell był wściekły. – Na co on sobie pozwala?

– I tak bez przeszkód pozwolił ci odjechać? – Steve był ciekawy.

– Uciekłam, gdy tylko wyszedł z salonu. Poszedł odebrać telefon.

– Podziwiam cię – zaczął Bateman. – Trzeba dużej odwagi, by jechać do człowieka, którego należy się bać.

– I ulegniesz mu? – spytał Steve.

– Nie wiem. Muszę to wszystko przemyśleć.

– Szkoda, że nie powiadomiłem naszej ambasady, że ten człowiek cię prześladuje – przyznał Bateman. – Wróciłabyś do kraju i nie doszłoby do takiej sytuacji. A tak czujesz się winna, zastraszona. Nie musisz poświęcać się dla nas. Coś wymyślimy.

– Nic pan nie wskóra. Przepraszam. Muszę się położyć. Tak dawno nie jeździłam konno – zrobiła dwa kroki. – Miałam rację. Said jest ranny. Dostał kulę w ramię i nogę.

Mężczyźni znacząco popatrzyli po sobie. Wiedzieli, o czym mówi, tylko Steve nic nie rozumiał. Profesorowie nie mieli zamiaru zdradzać mu proroczego snu Anny.

Przeszła do swojej części namiotu i położyła się na łóżku. Dotknęła ust palcami lewej dłoni. „Dobrze, że nie znacie całej prawdy” – pomyślała. „Nawet gdybym wyjechała, on i tak odnajdzie mnie i siłą sprowadzi do swojego pałacu. Po co mam komplikować sobie życie? Kiedyś zapytał, po co chcę wracać do kraju, w którym nie mam domu i nie czeka na mnie rodzina. Ma rację. W kraju nie czeka na mnie żadna rodzina. Nie kocham już Steve’a, nie chcę z nim być. Przy kolacji powiem wszystkim, że zamieszkałam u Saida”.

- Czy mogę wejść? – usłyszała głos Bette.
- Tak – podniosła się z łóżka i zaraz usiadła.
- Tłumaczka weszła do środka i spoczęła na taborecie.
- Gdzie nauczyłaś się tak dobrze jeździć konno? – spytała.
- Na ostatnich wakacjach z rodzicami. Wzięłam osiem lekcji i może polubiłabym ten sport, gdyby nie wygłup brata. Rzucił małą petardę, koń wystraszył się, a ja wylądowałam na plecach. Przez tydzień nie mogłam wstać z łóżka. Przysięgłam sobie, że już nigdy nie wsiądę na konia.
- Aż do dzisiaj.
- Tak. Aż do dzisiaj. Świetnie było – mówiła z zachwytem. – Ten pęd, powiew wiatru we włosach. Inaczej niż w szkółce konnej.
- Czy to El Dżajad kazał nas więzić?
- Powiedział, że to dla naszego dobra. Ale tak naprawdę chce mnie złamać – opuszkami prawej dłoni bezwiednie dotknęła ust.
- Czy coś między wami zaszło?
- Nie. Nic.
- Na pewno? Rano byłaś smutna, teraz promieniejesz i oczy ci jakoś tak błyszczą. Prawie tak samo jak mi, kiedy zakochałam się w Aleksie.
- Anna uśmiechnęła się do swoich myśli.
- Pocałował cię?
- Tak – spojrzała na Bette z uśmiechem. – To było niesamowite uczucie – westchnęła. – Całuje tak delikatnie, tak namiętnie, że chcę z nim być.
- Kochasz go? – Bette była ciekawa.
- Tak... nie – miotła się. – Sama nie wiem.
- Bette nie wierzyła w to, co słyszy. Z otwartymi ustami wpatrywała się w Annę.
- Jutro pojedę do niego i zostanę w jego pałacu. Już nie mam siły się bronić. Jestem tym wszystkim zmęczona.
- Czy na pewno tego chcesz?
- Bette, przepowiednia się wypełnia. Cokolwiek bym zrobiła, zawsze wracam do punktu wyjścia. Czy jest sens dłużej to przeciągać?
- Boisz się?
- Może trochę. Skoro chce mnie za żonę, to niech tak będzie.

– Oświadczył ci się?

– Tak – zastanowiła się. – W zasadzie powiedział mi, że bym została jego żoną. Nie spytał mnie, czy tego chcę.

– To prawie oświadczyły.

– Przy kolacji powiem wszystkim, że od jutra będę mieszkać u Saida.

Tak też zrobiła.

– Czyś ty zwariowała? – Steve prawie krzyczał. – Chcesz mu ulec?

– Nie mogę dłużej narażać was na niebezpieczeństwo czy kłopoty.

– Czy na pewno to przemyślałaś? – spytał Bateman.

– Tak – przyznała.

– Nie musisz tego dla nas robić – zaprzeczył Garry.

– Nie musisz się poświęcać – dodał Dan.

– Nie rozumiecie, że żołnierze będą nas pilnować, dopóki nie zamieszkać w pałacu? Nie możemy nigdzie się ruszyć. Żywności starczy nam na jakieś dwa tygodnie. A wody?

– Pitnej wody starczy nam na tydzień – poinformował John. – Chyba że będziemy czerpać wodę ze źródła w oazie.

Zapadła cisza. Anna skryła twarz w dłoniach. Nikt nie miał pomysłu na wyjście z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Profesor Bateman przerwał ciszę:

– Dobra panowie, zwijamy ten cały interes i wracamy do domu.

– A kontrakt? – przypomniał doktor Harmon.

– Do diabła z kontraktem – zaklął Bateman. – Po tym incydencie z martwymi kurami nawet tutejsi archeolodzy nie pojawili się, by kontynuować prace wykopaliskowe. Udowodniliśmy światu, że miasteczko istniało. Po co nam więcej dowodów?

– A dom kupca? – przypomniał Steve.

– Chcesz bogactwa? – Bateman rzucił mu krótkie spojrzenie. – Jak wrócisz do kraju, będziesz sławny i może bogaty. Wszystko zależy od ciebie.

Zapadła cisza. Z oddali dobiegł ich cichy grzmot. Anna spojrzała ku górze. Nad ich głowami niebo było bezchmurne, lecz na zachodnim horyzoncie wisiały ciężkie granatowe chmury. Znad

pustyni nadciągała burza, tak samo niebezpieczna jak w dniu zatopienia miasteczka.

– Zabezpieczcie dobrze namioty, w nocy rozpęta się piekło – powiedziała Anna, wstając od stołu.

Steve popukał się w czoło, robiąc gest w jej stronę.

– Piekło? – zakpił. – Widzisz tu jakąś chmurkę?

– Spójrz na zachód. Jutro minie dwieście lat od zatopienia miasta przez zwały mokrego piasku.

– Znów miałaś proroczy sen? – zaciekawiał się doktor Harmon.

– Tak – Anna przyznała się.

– Nasze medium miało proroczy sen – zakpił Steve.

– Nie chcesz, to nie wierz – doktor Harmon wstał od stołu. – Ja tam idę się pakować.

Alex dobił śledzie namiotu do samej ziemi. Anna zrobiła to samo przy namiocie-kuchni. Nie przebrawszy się w piżamę, położyła się na łóżku. Godzina snu. Wewnętrzny niepokój kazał jej wstać. Spojrzała na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Wstała i do pierwszej w nocy pakowała naczynia i garnki do skrzyń. Następnie przebrała się w ten sam strój, w którym tu przyjechała: czarne spodnie, czarny żakiet i kolorową bluzkę. Na nogi założyła krótkie czarne kozaczki. Włosy splotła w warkocz.

Ciszę przerwał szmer wiatru. Namiot zakołysał się z lekka. Gdzieś w oddali słyhać było ciche grzmoty. Wiatr wzmógł się. Ściany namiotu rozkołysały się jeszcze bardziej. Anna spojrzała na zegarek. Była druga trzydzieści pięć. Położyła się na łóżku, podkurczyła nogi i przykryła się kocem. Burza nacierała z każdą minutą, błyskawice oświetlały mrok. Pierwsze krople deszczu uderzyły o materiał. Najpierw pojedyncze, ciche, następnie głośniejsze. Było ich coraz więcej i więcej. Błyskawice przecinały czarne zachmurzone niebo, a grzmoty następowały jeden po drugim i stawały się coraz głośniejsze. Konie, przestraszone błyskiem światła i grzmotami, zerwały linę i pobiegły na oślep przez step. Silny podmuch wiatru poderwał wysoko w powietrze prymitywne namioty żołnierzy. Przestraszeni strażnicy rzucili się do ucieczki. Chcieli jak najszybciej schronić się przed nawałnicą w pałacowych murach El Dżajada.

Anna bardzo się bała. Jej myśli powędrowały do pałacu Saida. Gdyby się nie opierała i zamieszkała u niego, nie przeżywałaby tego całego koszmaru tu, w namiocie. Tam czułaby się bezpieczna. Ale dlaczego tak bardzo się boi? Przecież nic się jej nie stanie. Zamieszka w pałacu, będzie żoną Saida.

Potężny huk wyrwał ją z zadumy. Poczowała, jak ziemia zadrżała. To piorun uderzył w agregat prądotwórczy, doszczętnie go niszcząc. Ciało Anny zaczęło drżeć ze strachu. Wśród ryku wiatru i szumu deszczu nie słyszała, jak wichur zdarł plandekę z wiaty jadalni, porwał stoły i ławki. Jak zniszczył namiot studentów i poszkodowani uciekli do namiotu Bette i Alexa. Kolejny piorun uderzył w jeden z dżipów. Benzyna znajdująca się w baku wybuchła, a ogień przeniósł się na namiot pani doktor. Oboje z bratem uciekli do namiotu profesorów. Ulewny deszcz zagasił płomień. Namiot nie nadawał się do ponownego zamieszkania. Kolejny piorun uderzył w szczelinę wodną w oazie, poszerzając otwór i niszcząc wszystkie trzy palmy.

Ten koszmar trwał dwie godziny. Parę minut po czwartej burza zaczęła się oddalać, wiatr zelżał, a zza ciemnych chmur wyłonił się księżyc w nowiu. Nikt nie śmiał opuścić namiotów. Wszyscy czekali, aż słońce ogrzeje wilgotne powietrze. Cisza, jaka nastąpiła, zaniepokoiła Annę. Wstała z łóżka i postawiła buty na ziemi. W namiocie były ze trzy centymetry wody. Powoli rozsunęła suwak namiotu i wyszła na zewnątrz. Ziemia była mokra od deszczu, w zagłębieniach stała mętna woda. Anna zauważyła zniszczone dwa namioty, brak wiaty, stołów i ławek w jadalni. Samochód, agregat i bojler na baterie słoneczne również wyglądały bardzo źle. Z namiotu wyszedł Steve. Zauważywszy Annę, znieruchomiał.

– I kto tu jest głupi? – spytała głośno.

Wzruszył ramionami. Pozostali członkowie ekipy zaczęli wychodzić na zewnątrz.

– No to natura rozwiązała za nas problem powrotu do domu – skwitował Bateman.

– Nikt nie będzie podejrzewał nas o dezercję – zażartował Durell.

– I co teraz z nami będzie? – doktor Harmon zwrócił się do Anny.

– Said El Dżajad z pewnością się nami zaopiekuje – uśmiechnęła się.

Panowie zaczęli szacować straty wyrządzone przez gwałtowną burzę. Chłodnia z żywnością była uszkodzona, worki z kaszą i ryżem zalane wodą, beczkę z wodą pitną porwał wiatr i potoczył do ruin. Rwąca woda porwała masy piasku, zalewając ruiny błotną mazią, niszcząc całą pracę Amerykanów. Jedynym dowodem na istnienie ruin były zapisy na taśmie. To dzięki nim mieli stworzyć film dokumentalny o prowadzonych w Syrii pracach wykopaliskowych.

Anna nastawiła na palnik kuchenki gazowej czajnik pełen resztki wody pitnej, jaka im pozostała. Zrobiła wszystkim po kubku kawy, a dla Bette herbaty. Kiedy stali na dworze z kubkami wpatrzyli się w to, co zostało z obozu, od strony pałacu nadleciał helikopter.

– Leci nasz wybawca – powiedział Steve. – Pewnie cieszy się z naszego nieszczęścia.

– Pewnie tak – odparł Bateman.

– No cóż – westchnął doktor Harmon. – Klątwa zmarłych zemściła się na nas.

– I jak tu nie wierzyć w magię? – dodał Durell.

– Bzdury – zirytował się Steve. – Medium, czary... czarna magia. Co jeszcze?

– Przeznaczenie – dodała Anna.

Helikopter okrążył ich obóz, po czym odleciał w kierunku pałacu. Pół godziny później drogą od strony pałacu nadjechały dwie bryczki i dwa terenowe pojazdy. Anna powróciła do namiotu po podręczną torbę. To był jej jedyny bagaż od dnia zawrócenia z lotniska.

– Książę Said El Dżajad zaprasza państwa do swojego pałacu – zaprosił żołnierz mówiący w języku angielskim.

– A co z naszymi namiotami? – spytał Bateman.

– Zajmiemy się nimi.

– Czy możemy zaufać El Dżajadowi? – Bateman szepnął do Anny.

– Dopóki jestem z wami, będzie dobrze. Chodzi mu o mnie, nie o was.

Jako pierwsza wsiadła do bryczki. Bette i Alex przysiedli się do niej, zabierając tylko dokumenty i podręczne rzeczy. Studenci wystawili bagaże z namiotów.

– Rzeczy się nie zmieszczą – powiadomił żołnierz. – Nimi zajmiemy się później.

- Aby na pewno? – spytał Barry.
- Odwieziemy was do pałacu i wrócimy po wasze bagaże.
- No, nie wiem – kamerzysta nie ufał strażnikowi. Zabrał torbę z taśmami filmowymi, wolał mieć je przy sobie.

Kiedy już wszyscy zajęli miejsca w podstawionych pojazdach, ruszyli w stronę pałacu. Brama na dziedziniec była szeroko otwarta, a w budce nie było strażnika. Służący zaprowadził wszystkich do salonu. Studenci zaczęli rozglądać się na wszystkie strony.

– Niech mnie szlag – zaklął Garry. – Ale przepych. Te arrasy, malowidła, wazy...

– Jest cholernie bogaty – przyznał Dan. – Chciałbym mieć choć ćwiartkę jego bogactwa.

– Zamienimy się ciałem? – zażartowała Anna.

– Wiesz – uśmiechnął się z lekka. – Kocham moje ciało i kobiety.

– A ja, gdybym był kobietą... – zaczął Garry.

– Witam państwa – dobiegł ich głos gospodarza. – Miło mi państwa gościć w moim pałacu.

W drzwiach do salonu stanął El Dżajad. Oczy wszystkich skierowały się w jego stronę. Książę, ubrany w czarne spodnie i niebieską wypuszczoną koszulę z krótkim rękawem, wspierając się na lasce, powoli się do nich zbliżył.

– Szkoda, że przyszło mi państwa gościć w takich okolicznościach.

– Nam też jest szkoda – skwitował Durell.

– Tym bardziej że kazał pan nas więzić – dodał Steve.

– Zbyt mocno powiedziane – zrobił dwa kroki w stronę Anny. – Moi żołnierze chronili was przed bandytami. Zbyt wielu z nich zainteresowało się waszą pracą. Kiedy znaleźliście złoty łańcuch, chciwość niektórych ludzi mogłaby wam zaszkodzić. No i ten napad na Annę...

– Powiedzmy, że to prawda – powiedziała cicho.

– Nie wierzysz mi? – Said usłyszał jej słowa.

– Nie – uśmiechnęła się z lekka.

– To jak długo będzie pan nas więził? – zaciekawiał się Steve.

– Wszystko zależy od Anny.

– Tak więc, kochani – zaczęła Anna – wszystko zależy od tego, czy zgodzę się zostać w tym domu do końca swych dni, czy nie.

– Kiedyś władze amerykańskie zainteresują się naszym zniknięciem – oznajmił Bateman. – Co pan wtedy zrobi?

– Czas pokaże – uśmiechnął się tajemniczo. – Traktujcie moje zaproszenie jak okazję do odpoczynku po długiej, wyczerpującej pracy, szczególnie podczas upału.

– Wypoczywać będziemy w domu – powiedział Bateman. – Czy nie lepiej byłoby dla pana odesłać nas do kraju?

– Zrobię to, ale jeszcze nie teraz. Zapraszam na śniadanie.

– Czy pan też z nami zje? – spytała Anna.

– Niestety, nie. Jestem już po śniadaniu – spojrzał jej w oczy. – Przed nami wiele śniadań – szepnął.

Pojawił się służący. Gestem dłoni poprosił wszystkich do jadalni. Anna ruszyła do przodu. Jej towarzysze nadal stali w miejscu. Obejrzała się.

– Chodźcie, w końcu to książkę stawia.

– No to idziemy – Steve ruszył w ślad za nią. – Kto wie, kiedy przyjdzie nam zjeść kolejny posiłek.

Przeszli do jadalni. Na długim stole przykrytym białym obrusem stały półmiski z pieczoną baraniną. Były też ryżowe racuszki w panierce, gotowany ryż z cynamonem i bitą śmietaną, baranie pulpety w sosie cebulowym, kebaby, krostki i słodkie ciasta. W porcelanowych dzbankach kawa, herbata. To raczej wyglądało na obiad niż na śniadanie. Wzrok studentów przykuło stojące na stole sześć butelek białego wina.

– Czy tu się pije alkohol? – nie dowierzał Garry.

– W zasadzie nie – poinformował Durell.

– Siadajcie – Anna zajęła miejsce blisko drzwi. – Boicie się, że książkę was otruje? – nałożyła sobie porcję ryżu z bitą śmietaną.

– Właśnie – odparł David.

– Gdyby chciał to zrobić, nie pozwoliłby mi usiąść razem z wami.

– A ciebie to bawi – zauważył Steve.

– Tak – przyznała Anna. – Może już nigdy nie przyjdzie nam spotkać się w tym gronie.

– Anna ma rację – Garry usiadł obok niej. – Gdyby ten pan chciał nas otroczyć, nie pozwoliłby jej usiąść z nami przy jednym stole.

– A tak młodzi się już nie spotkamy – Dan usiadł przy stole obok kolegi.

Bette spoczęła obok Anny. Miejsce przy tłumaczcze zajął jej mąż, a reszta członków ekipy nieśmiało zaczęła siadać przy stole. Powoli częstowali się przygotowanymi specjalnie dla nich potrawami. Przez otwarte drzwi tarasu wbiegł pies El Dżajada, Abu. Na widok obcych ludzi zwierzę zawarczało, a sierść na jego karku zjeżyła się. Anna cmoknęła na psa. Zawołała go do siebie. Posłuchał jej.

– Cicho, Abu – mówiła po francusku. – Nie strasz moich przyjaciół – wyciągnęła przed siebie lewą dłoń z kawałkiem baraniny.

Pies obwąchał jej rękę i delikatnie wziął od niej mięsny kawałek.

– Skoro obłaskawiłaś psa, to i księcia sobie poskromisz, a może i wytresujesz – zakpił Steve.

– To niesamowite – zaczęła Mary. – Już pierwszego dnia ten pies słuchał Anny. Wziął od niej mięso, tak jak teraz. Dał się jej pogłaskać, a mnie chciał ugryźć.

– Niemożliwe – zaprzeczył doktor Harmon. – To tresowany pies. Słucha tylko swego pana.

– Ale to prawda. Sam pan widzi – Mary obstawała przy swoim. – Wtedy pies wszedł do salonu, Said wyganiał go, a pies przyczołgał się i usiadł przy krześle Anny. Tak jak dzisiaj. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, też bym nie uwierzyła. To jakiś cud.

– To przeznaczenie – wtrącił Durell.

– Pies wyczuł w Annie swoją panią – dodał Bateman.

– Chyba że pies wyczuł zapach swojego pana na jej ciele – Steve nalał sobie wina.

– Steve, przestań czepiać się Anny – Bateman stanął w jej obronie. – To nie jej wina, że jest młoda i ładna. Nie tylko tobie się podoba.

– Nam też – wtrącił Garry.

– Niech sobie pogada. Może mu ulży – Anna nalała sobie cały kielich wina. – Wasze zdrowie.

Dan i Garry poszli za jej przykładem.

– Panowie... – Garry uniósł kielich. – Nasze zdrowie.

– Bo jak się opijemy, będzie nas boleć głowa – zażartował John – i będziemy chorzy.

Anna w winie chciała utopić przykrości, jakie serwował jej Steve. Dlaczego stał się taki podły? Kiedyś był miły, czuły, a teraz ją

odpycha. Pewnie dlatego jej uczucia skierowały się w stronę Saida.

Jeden kieliszek, potem drugi, aż zaszumiało jej w głowie. Po godzinie opróżnili wszystkie butelki z winem. Pies wybiegł na dwór.

– Ale musicie przyznać, że nasz gospodarz jest szczerym facetem – zaczął Steve. – Nie kryje faktu, że wszystko zależy od Anny. Czyli chce ją mieć tylko dla siebie. Tak jak ja.

– No widzisz, Steve – zwrócił się do niego Bateman. – Was jest dwóch, a ona jedna. Tam gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta.

– Jak to? – Steve nie rozumiał jego aluzji. – Pan też ją chce?

– Nie – zaprzeczyła. – Jestem żonaty. Mnie chodzi o to, że skorzystaliśmy z tej wojny o kobietę. Tak sobie pojadłem, że teraz bym się położył i przespał.

– Ja też – ziewnęła Durell. – Którą mamy... – spojrzał na zegarek. – Już jedenasta?

– Ależ ten czas leci – nie dowierzał Barry. – Jest tu jakiś kibel?

– Tak – Anna wstała. – Pokażę ci.

– No proszę – zaśmiał się Steve. – Ona już zna wszystkie obejścia. Czy jeszcze o czymś nie wiem?

Do jadalni wszedł Said. Anna przystanąła przy krześle.

– Widzę, że dobrze się państwo bawią.

– Owszem – przyznał Bateman. – Zapraszamy pana do nas.

– Nie chcę państwu przeszkadzać.

– To chyba my panu przeszkadzamy – wtrącił Steve.

– A ty dokąd? – Said zwrócił się do Anny.

– Chcę pokazać koledze, gdzie jest ubikacja.

– Widzisz? – wskazał szarfę przy drzwiach. – Wystarczy pociągnąć – pociągnął szarfę – a zjawi się służący.

– Będę pamiętać – poczuła się niezręcznie.

– I gdzie ten kibel? – Barry niecierpliwił się. – Pęcherz mi pęka.

W drzwiach salonu pojawił się służący, Said wydał mu polecenie, by pokazał gościowi ubikację. Barry poszedł za lokajem.

– Ja też muszę – Anna zrobiła krok i zachwiała się. – O kurczę, wino weszło mi w głowę.

– Czy jest pani pijana? – spytał Said, podchodząc bliżej.

– Tak – wzięła głęboki oddech. – To dzięki panu – zniżyła głos.

– Kiedy zamieszkasz ze mną – szepnął – nie pozwolę ci pić.

- Nie zamierzam pić alkoholu – szepnęła, zbliżając ku niemu twarz. – Dzisiaj jest szczególna okazja, by się upić.
- Nie zachowujcie się jak małżeństwo! – zawołał Steve. – Jeszcze nim nie jesteście.
- Ale wkrótce będziemy – powiedział głośno Said.
- To trzeba to uczcić – Steve podniósł się z krzesła. – Ale nie mamy czym – pokazał pusty kieliszek.
- To może jeszcze jedna butelka wina? – zaproponowała Anna.
- Przykro mi, ale nie będzie kolejnej butelki.
- Trudno – rozłożyła ręce. – Muszę na stronę.
- Jaman zaprowadzi cię do twojego pokoju. Tam skorzystasz z toalety.
- To ten sam pokój, z którego uciekłam?
- Tym razem nie uciekniesz – szepnęła, uśmiechając się do niej.
- Fajnie. Dobranoc wszystkim – podniosła rękę.
- Jakie „dobranoc”? – Alex spojrzał na zegarek. – Jest dopiero jedenasta dwadzieścia.
- Ja też chciałabym się położyć – oznajmiła Bette.
- Zapraszam – Said wskazał drzwi. – Wasz pokój też jest gotowy – pociągnął za szarfę. – Gdyby jeszcze ktoś chciał udać się na spoczynek, moje pokoje są do państwa dyspozycji.
- Pojawił się Barry w towarzystwie służącego.
- Tego mi było trzeba – powiedział z entuzjazmem. – Już dawno nie byłem w tak komfortowym kibelku. Chcecie zobaczyć?
- Jasne – Garry wstał od stołu.

Studenci podnieśli się z miejsca. Anna spojrzała w stronę Saida. Jego twarz była spokojna, spojrzenie łagodne. Wydał polecenie Jamanowi, by odprowadził Annę, Bette i jej męża do przygotowanych pokoi. Dziewczyna wróciła po swoją podręczną torbę. Drugi służący zaprowadził chłopaków do łazienki. Pokój Datonów znajdował się na pierwszym piętrze, a lokum Anny – na drugim, obok wieży. Droga pod górę wydawała się taka męcząca. Anna dwa razy robiła przerwę, opierając się plecami o ścianę. Wypicie dwóch dużych pucharów wina sprawiło, że miała lekkie zawroty głowy. Kiedy weszli do przygotowanego dla niej pokoju, służący pokazał jej łazienkę, po czym wyszedł. Było to małe, pozostające w półcieniu pomieszczenie, wyłożone różowymi

kafelkami. Była tam kabina prysznicowa ustawiona nad wanną wpuszczoną do niewielkiej niszy i różowa muszla klozetowa. Nawet papier toaletowy i kosz na odpadki były różowe. Na trzech wieszakach wisiały różnej wielkości różowe ręczniki. Nad umywalką znajdowała się szafka. Jej drzwi wykonane były z dwóch luster.

Kiedy Anna sobie ulżyła, nie zdjawszy butów, rzuciła się na łóżko. Była tak zmęczona nieprzespaną nocą, że dość szybko zasnęła. Wystarczyło jej pięć godzin snu. Kiedy otworzyła oczy, nie wiedziała, gdzie jest i co tu robi. Leżała na boku twarzą do okna. Na dworze było jasno. Zauważyła, że jest przykryta kocem, a na stopach nie ma butów. W powietrzu unosił się zapach goździków. Przewróciła się na plecy. Spojrzała w górę. Biały sufit, lekko różowe ściany, jasna drewniana trzydrzwiowa szafa, stół. Jej wzrok zatrzymał się na fotelu stojącym w kącie tuż przy drzwiach. Siedział w nim Said i gapił się na nią. Na jego kolanach leżała otwarta książka. Anna usiadła na łóżku. Poczowała ostry ból głowy.

– Długo tu jesteś? – spytała, dotykając palcami lewej skroni.

– Czy to ważne? – odpowiedział łagodnym głosem.

– W zasadzie nie. Myślę, że wystarczyłby strażnik przed pokojem. Ewentualnie zamknięcie drzwi na klucz.

– Jak zauważyłaś, jestem ranny – mówił spokojnie. – Zamiast siedzieć samotnie w pokoju z książką w dłoni, wolałem przyjść tutaj czytać i czasem popatrzeć na ciebie, jak śpisz.

– Czy film w telewizji nie byłby ciekawszy?

– Piękna kobieta i dobra książka bardziej przykuwają mój wzrok niż nudny film.

– W takim razie trzeba było zostać przy książce. Nie jestem piękną kobietą.

– Jesteś zabawna – uśmiechnął się. – Zawsze mówisz wszystko szczerze, nie kryjesz swoich zamiarów. Nie puszysz się jak inne kobiety, które przyszło mi poznać.

Musiała skorzystać z łazienki. Ciężko wstawało jej się z łóżka. Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

– Trzeba było nie pić wina – uśmiechał się.

– Przecież mówiłam, że to przez ciebie.

Zamknęła za sobą drzwi.

– Możesz się wykąpać! – zawołał za nią.

– Przydałoby się – powiedziała do siebie, siadając na muszli klozetowej. – Nie mam się w co przebrać – dodała głośniej.

– To żaden kłopot – wstał z fotela. – Zaraz przyniosę ci coś na zmianę. Nie śpiesz się, twoi towarzysze niedawno poszli spać.

Umyła ręce i spojrzała w lustro. Przydałaby się jej kąpiel. Włosy w nieładzie, twarz lekko wysuszona, potrzebny był krem. Czuła, że koszulka lepi się do spoconego ciała. Postanowiła zmyć z siebie pustynny brud.

Wróciła do pokoju. Był pusty. Zdjęła żakiet. Z podręcznej torby wyjęła kosmetyczkę, szampon do włosów i żel do kąpieli. Ponownie weszła do łazienki i przytknęła drzwi. Chciała je zamknąć, lecz nie zauważyła w zamku klucza ani haczyka. Miała nadzieję, że nikt tu nie wejdzie. Odkręciła wodę. Kiedy ustawiła odpowiednią temperaturę, zdjęła z siebie ubranie i weszła do wanny, zasuwając foliową kotarę. Stała tyłem do prysznic, a bokiem do pomieszczenia. Przyjemnie ciepła woda popłynęła po jej włosach, plecach. Dawno nie czuła się tak komfortowo. Naniósł szampon na włosy, namydliła żelem całe ciało i znów puściła wodę. „To trochę dziwne” – pomyślała. „Dom na pustkowiu, rzeka z dziesięć mil stąd, a tu bieżąca woda. W dodatku ciepła. Ciekawe, czym ją grzeją? Zamontowali na pałacu baterie słoneczne? Nie. To zacofany kraj, tu nie znają się na nowoczesnej technologii. Wodę można doprowadzić rurami. To musiało dużo kosztować, ale jak się jest tak bogatym, można mieć wszystko”.

Odwróciła się twarzą do prysznic. Ciepła woda obmyła jej buzię, spłynęła na piersi i brzuch. Szum wody stłumił odgłos wchodzącego do łazienki Saida. Powoli odsunął foliową zasłonę w momencie, kiedy Anna zakręcała pokrętła przy kranie. Dłońmi ściągnęła nadmiar wody z włosów z czubka głowy.

– Masz piękne ciało – odezwał się.

Gwałtownym ruchem osłoniła nagie piersi i dół brzucha. Czuła, że jej policzki płoną. Wstydziła się swojej nagości. Uśmiechnął się.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Palcem wskazującym prawej dłoni musnął jej bok od piersi aż po udo. Przytknęła powieki. „Niech tego nie robi” – powiedziała w myślach. „Niech mnie nie dotyka. To mnie podnieca, ale nie jestem gotowa...”.

– Pozwolisz mi się wytrzeć? – wyszeptała.

Nie odpowiedział, tylko zdjął z wieszaka duży różowy ręcznik kąpielowy i podał go Annie. Odebrała go i przycisnęła do nagiego ciała. Kiedy wyszedł, owinęła się w ręcznik. Przez chwilę nasłuchiwała, czy mężczyzna nie powraca. Niepewnie wyszła z wanny. W mniejszy ręcznik zawinęła włosy. Stała przy umywalce i spojrzała w lustro. Jej policzki były nadal czerwone. Naniósła na twarz krem i nieśmiało wychyliła głowę zza drzwi łazienki. Pokój był pusty. Zauważyła leżące na łóżku jej różowe majtki, biały stanik i sukienkę w różowe różyczki. Tę samą, którą miała na przyjęciu urodzinowym pani El Dżajad. Wzrokiem poszukała jakiegoś obuwia. Pod łóżkiem ujrzała płaskie różowe pluszowe kapcie. Wsunęła je na gołe stopy. W obawie, że Said może wrócić, zabrała rzeczy do łazienki i tam się przebrała. Zmieniła ręcznik na włosach. Przydałaby się suszarka, ale czegoż można wymagać. To nie pięciogwiazdkowy hotel.

Zajrzała do szafy, mając nadzieję, że znajdzie tam swój bagaż i wypakowaną odzież. Niestety, zawiodła się. Na wieszaku wisiał różowy szlafrok, a pod nim długa różowa jedwabna koszula nocna. Na drugim wieszaku taki sam zestaw, lecz koszula i szlafrok były błękitne. Na jednej z półek trzy jedwabne apaszki: różowa, zielona i niebieska. Zdjęła ręcznik, rozczesała lekko wilgotne włosy, a następnie założyła na głowę różową apaszkę. Podeszła do drzwi balkonowych i chwyciła za klamkę. Nie udało się ich otworzyć. Pewnie były zamknięte na klucz. Said z pewnością boi się, że Anna znów spróbuje uciec.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Do środka wszedł Said, a za nim pchając nakryty wózek Lee Jang.

– Miło mi znowu panią widzieć – powiedział z uśmiechem. – Tak się cieszę, zastając panią w zdrowiu. Ta dzisiejsza burza...

– Nie gadaj tyle, tylko nakrywaj do stołu – przerwał mu Said.

– Biedny panie Lee, było zostać u nas. Lepiej cię traktowałam niż twój pan.

– Oj tak, moja pani. Oj tak.

Lee Jang rozłożył na stole białą serwetę, postawił wazę z zupą i dwie przykryte pokrywkami salaterki, paterę z pomarańczami, kiwi

i białymi winogronami. Rozłożył zestaw talerzy, głęboki i płytki, a także sztucce. Do tego dwie filiżanki i dzbanek z gorącą herbatą.

– Chciałem podać wino, ale...

– Wystarczy Lee – przerwał mu Said. – Wracaj do swoich zajęć.

– Życzę smacznego – Jang skłonił się.

– Dziękuję – Anna uśmiechnęła się. – Dobrej nocy.

Lee Jang skłonił się po raz drugi i wyszedł, pozostawiając wózek tuż za drzwiami. Zostali sami. Said Gestem dłoni zaprosił Annę do stołu. Usiadła na przygotowanym krześle.

– Za lekko go traktujesz – Said zwrócił jej uwagę. – Z nimi trzeba ostro – odłożył laskę na fotel.

– Jeszcze nie jestem twoją żoną i nie mogę traktować służby ostro.

– To prawda – podszedł do stołu. – Wkrótce nią zostaniesz i będziesz musiała się tego nauczyć.

Zdjął pokrywkę z wazy.

– Zupy? – wyciągnął rękę po talerz.

– Czy przystoi księciu obsługiwać kobietę? A gdzie służba? – odgryzła się.

– Dzisiaj chcę być tylko z tobą, żadna służba nie jest mi potrzebna – patrzył jej w twarz. – Nie chcę, by nam przeszkadzano. Talerz proszę.

– Proszę odrobinę – podała mu talerz.

– Wino ci zaszkodziło?

– Tak jakby.

Nalał na talerz jedną łyżkę wazową, a sobie dwie, i usiadł naprzeciwko Anny. Była to ta sama zupa, którą jedli na przyjęciu urodzinowym jego matki. Wszystko wskazywało na to, że ten wieczór zapadł mu głęboko w pamięć. Zaczęli jeść.

– Uważam, że dobrocią więcej zyska się przyjaciół niż złym traktowaniem ludzi – podjęła temat rozmowy.

– Jestem innego zdania. Ludzi niżej urodzonych powinno traktować się z góry i ostro. Niech wiedzą, kto jest ich panem.

– Skoro takie jest twoje ustosunkowanie do ludzi, to źle wybrałeś. Jestem nisko urodzona. Nie mam szlacheckiego pochodzenia. Mój ojciec był zwykłym urzędnikiem w banku, a matka pracowała w księgarni. Zastanów się, czy nie jesz kolacji ze służbą.

– Jestem pewien, że nie. Jesteś inteligentna, dowcipna. Umiesz się zachować. Skończyłaś studia.

– Ale nie takie jak pani doktor. Ona byłaby wspaniałą władczynią tego pałacu. Jest ostra i nie toleruje niżej urodzonych. Doskonale by nimi rządziła. Ja tak nie potrafię.

– Przy mnie się nauczysz.

– Widzisz... – odstawiła pusty talerz. – Rodzice nauczyli mnie szacunku do wszystkich ludzi. Białych, Murzynów, Metysów czy Mulatów, a w szczególności tych biedniejszych. Tych, których los nie obdarzył bogactwem – patrzyła na biały obrus – którzy własnymi rękami, ciężką pracą zarabiają na utrzymanie rodziny, ogniska domowego. Tacy ludzie mają bogate wnętrze. Mają cel w życiu. Cieszą się z drobnych sukcesów. Bogaci tak nie potrafią. Wydają pieniądze na głupstwa, rozbijają się samochodami. Zaspokajają swoje zachcianki. Gardzą biednymi. Tak nie powinno być – spojrzała w jego stronę. – Czy ja jestem twoim kolejnym kaprysem, zachcianką?

– Podziwiam twoją szczerość – odstawił na bok pusty talerz. – Nie boisz się powiedzieć tego, co myślisz – patrzył jej w oczy. – Nie obawiasz się, że wpadnę w gniew. Właśnie ta szczerość mi się w tobie podoba. Nasze małżeństwo przetrwa wiele lat.

– Jeszcze nie poprosiłeś mnie o rękę.

– Zapomniałaś? Tam na stepie powiedziałem, byś została moją żoną.

– Tak. Powiedziałeś – przyznała. – Ale nigdy nie spytałeś, czy tego chcę.

– A, o to chodzi... – zastanowił się.

Podniósł pokrywkę z jednego półmiska, a następnie z drugiego.

– Jest twoje ulubione danie: ryż z cynamonem i śmietaną. Kucharz ugotował też kaszę z baraniną. Co zjesz?

– Poproszę ryż – podała mu głęboki talerz po zjedzonej zupie.

– Ten mniejszy – jego dłoń zawisła w powietrzu.

– Co za różnica, w jakim talerzu będę jadła?

– Ten jest brudny po zupie.

– Przecież w żołądku i tak się wszystko wymiesza.

– Do zupy służy głęboki talerz, do drugiego dania płytki. Jesteś kucharzem, a mam cię uczyć?

Lubiła jeść po swojemu, ale nie miała ochoty z nim się sprzeczać. Podała mu płytki talerz, lecz straciła apetyt. Said nałożył dwie łyżki ryżu i oddał jej talerz. Sam wybrał kaszę z baraniną.

– Powiedz, o czym pisałaś, kiedy odmówiłaś przybycia na piątkowy obiad. Kto był nocą w twoim namiocie? A może to był wybieg?

– Ktoś... – myślami wróciła do tamtego koszmarnego przeżycia – chciał... mnie zgwałcić.

– Kto to był? – jego głos był pełen gniewu.

– Nie wiem. Miał zasłoniętą twarz.

– To nie był Steve?

– Nie – zaprzeczyła. – Ten ktoś śmierdział owczym łajnem.

– Nic ci nie zrobił?

– Nie. Rozbiłam mu na głowie moje radio. Uciekł.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Czy spałaś ze Steve'em? – spytał niespodziewanie.

– Nie.

– Spójrz mi w oczy i jeszcze raz odpowiedz.

– Nie spałam ze Steve'em – mówiąc to, patrzyła mu w twarz. – Ale jeśli chcesz wiedzieć, byłam już z mężczyzną.

– Mówisz prawdę – uśmiechnął się. – To dobrze, że z nim nie spałaś.

– A co, zabiłbyś go, tak jak chciałeś to zrobić w ruinach?

– W ruinach? – zastanowił się. – Nie rozumiem...

– Przeleciałeś nad wykopaliskami i runęła ściana, pod którą pracował. Nie chciałeś go zabić?

– Nie wiedziałem – jego twarz była poważna. – To był przypadek.

– Na pewno?

– Nie miałem i nie mam zamiaru nikogo skrzywdzić. Wszystko zależy od ciebie.

– To kiedy moi przyjaciele będą mogli wrócić do kraju?

– Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną – patrzył jej w twarz. – Jak będziesz zwlekać, zostaną tu wiele dni. Szkoda mi tylko Bette. Spodziewa się dziecka. Pewnie długo na nie czekała. Niepewny los, stres, jakiś wąż w pościeli. To może zaszkodzić dziecku.

– Nie zrobisz tego – spojrzała mu w twarz.

– Ja nie – spojrzał w jej stronę. Jego spojrzenie było zimne.

– Jesteś gotów to zrobić, a przed chwilą mówiłeś, że nie chcesz nikogo skrzywdzić – odstawiła pusty talerz. – Nie jesteś dobrym człowiekiem. Mimo że żyjesz w gorącym kraju, twoje serce jest zimne jak lód.

– Jedynie ty możesz stopić ten lód – nie spuszczał z niej wzroku.

– No tak. Stopię lód, a w twoich żyłach zacznie płynąć woda. I anemia gotowa.

Said roześmiał się w głos i pokręcił głową. Nalała sobie do filiżanki gorącej herbaty. Odstawiła na bok dzbanek. Zapadła cisza. Said odstawił pusty talerz i również nalał sobie herbaty do stojącej przy nim pustej filiżanki.

– Kiedy straciłaś dziewictwo?

– Czemu cię to interesuje? – była zaskoczona jego pytaniem.

– Chcę wszystko o tobie wiedzieć. Dlaczego nie zostałaś żoną człowieka, który zachował się jak mąż?

– Muti zginął w wypadku. Kochał szybką jazdę na motocyklu. Któregoś dnia nie wyrobił na zakręcie i... – przerwała. Nie mogła mówić.

– Muti? To nie jest imię Amerykanina.

– Jego ojciec pochodził z Syrii. Matka była francuską. Mieszkali we Francji, mieli tam hotel.

– Co robiłaś we Francji?

– Byłam tam na półrocznej praktyce. Muti był podobny do ciebie. Chciał w życiu zdobyć wszystko. Pieniądze, ładne kobiety, szybkie samochody, motory. Brał to, co mu się podobało – jej spojrzenie było nieobecne. – Zginął tydzień przed wypadkiem moich rodziców. Drugim był Chris. Zналиśmy się dwa lata. Raz w miesiącu przyjeżdżał z kolegami pojeździć na nartach. Któregoś dnia przyjechał z kobietą. Ironia losu. To była jego żona. Trzecim chłopakiem był Steve – spojrzała mu w oczy. – Więcej chłopaków nie było. Jesteś zadowolony z mojej spowiedzi?

– Tak – napił się herbaty. – Powiedziałaś, że Steve był twoim trzecim chłopakiem. Czy już nie jest?

– Dzięki tobie już nie jest. Zerwaliśmy.

– To dobrze – uśmiechnął się.

– Powiedz mi, dlaczego mnie porwałeś i kazałeś oznakować jak zwierzę?

- Jak zwierzę? – nie rozumiał porównania.
- Kiedyś farmerzy znakowali swoje bydło, konie swoim znakiem
- uświadamiała go. – Ty oznaczyłeś mnie tatuażem jak swoją własność.
- Nie chciałem tego robić – mówił w zamyśleniu, wpatrując się w jej twarz – ale Hady postawił tarota i wywróżył, że będziesz w wielkim niebezpieczeństwie, ty i twoi przyjaciele, a ja nie będę mógł ci pomóc. Jedyne mój znak mógł uchronić was od nieszczęścia. Musiałem... jak powiedziałaś... oznakować cię.
- A pierścionek? Dlaczego rzuciłeś na niego czar?
- Sama mnie do tego zmusiłaś. Kiedy zobaczyłem, jak Steve cię całuje, a ty mu na to pozwalasz... I to przy chłopakach... Musiałem zrobić coś, abyś nie mogła się do niego zbliżyć. I może by mi się udało, gdyby nie twoja mądrość. Nie przypuszczałem, że odgadniesz sekret i pozbędziesz się pierścionka.
- Nie lubię niespodziewanego bólu głowy.
- Bólu głowy?
- Zdziwiony? Czy nie tego chciałeś? To nie ty spowodowałeś, że gdy byłem blisko Steve'a, bolała mnie głowa i nie chciałam z nim rozmawiać?
- To nie tak miało działać – był zaskoczony.
- A jak? Oświeć mnie...
- Ilekroć spoglądałaś na pierścionek, miałaś myśleć o mnie, nie o Stevie. Miałaś tęsknić za mną, za moim pocałunkiem.
- To ci się magia nie udało. Pozbyłam się pierścionka i ból głowy ustąpił.
- A gdyby to był tatuaż?
- Pewnie nie zbliżyłabym się do Steve'a ani on do mnie. Mam nadzieję, że nie chcesz odzyskać tego pierścionka...
- Muszę. Jesteś nim zaślubiona.
- Tak? – zastanowiła się. – Jeśli go odnajdziesz, nie krzywdź staruszki, której go podarowałam. Pierścionkiem zapłaciłam jej za swoją wróżbę.
- A co ci wywróżyła?
- Ciebie – dopiła herbatę.
- A więc dostanie sowy nagrodę. Gdzie mam szukać tej staruszki?

– W dzielnicy katolików.

Said zamyslił się. Mógł się domyślać, że tylko tam mogli znaleźć jubilera, który pomoże Annie pozbyć się pierścionka.

– Czy odzyskam swój bagaż? – wyrwała go z zadumy.

– Tak, ale jeszcze nie teraz.

– Boisz się, że znów spróbuję uciec?

– Tak. Znowu to zrobisz.

– Jesteś jasnowidzem?

– Nie, ale umiem zgadywać ludzkie myśli.

– Będę musiała uważać i nie myśleć za wiele przy tobie.

Zapadła cisza. Anna naląła sobie do filiżanki herbaty.

– Czy będę mogła zobaczyć swoich przyjaciół?

– Dzisiaj już nie. Trochę sobie pozwolili i teraz śpią. Jutro spotkacie się przy śniadaniu.

– Dziękuję choć za to.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Bałam się, że zabronisz mi się z nimi spotykać.

– Tu, w pałacu, wolno ci się z nimi widywać – wstał od stołu. – Przyślę służącego, aby posprzątał ze stołu. Życzę dobrej nocy.

Zabrał z fotela laskę i utykając, wyszedł z pokoju. „Żadnego czułego pocałunku na dobranoc?” – była zaskoczona. „Dziwne, nie wykorzystał okazji, że są sami, i nie został u mnie na noc? W co on gra? A może boli go noga i nie będzie mógł mnie zadowolić?”.

Zajrzała do półmiska z kaszą z mięsem baranim. Spróbowała. Danie posmakowało jej. Nałożyła sobie na talerz dwie łyżki dania i zanim pojawił się służący, opróżniła talerz. Lokaj zebrał ze stołu brudną zastawę. Anna nie pozwoliła mu wynieść patery pełnej owoców.

Za oknem zaczęło się ściemniać. Spojrzała na zegarek. Była ósma trzydzieści. Wcale nie miała ochoty kłaść się spać. Chciała wyjść na balkon, popatrzeć na zachód słońca, na gwiazdy. Dlaczego drzwi na balkon są zamknięte na klucz? Przecież nie jest ptakiem, nie pofrunie, nie ucieknie od Saida. Tak naprawdę chciała to zrobić, odlecieć daleko, aż na koniec świata. Said zaczynał ją pouczać i trochę ją to irytowało. Nie lubiła być strofowana, chciała żyć swoim życiem, być wolna. Nie było innego wyjścia, jak położyć się do łóżka i spróbować zasnąć. Przebrała się w różową koszulę nocną,

położyła się na wznak i okryła kocem. Sen zmorzył ją około północy. Przyśniło jej się, że spaceruje pośród alejek, wśród rozkwieconych rabatek, ubrana w szeroką błękitną suknię. Lewą dłonią dotykała brzucha. Była w zaawansowanej ciąży. Przed nią biegł chłopczyk w wieku około trzech lat. Padł w ramiona Saida. Mężczyzna wziął go na ręce i zrobił obrót. Jego twarz promieniała. Podeszedł do Anny z chłopcem na ręku i pocałował ją w policzek, mówiąc: „Dziękuję ci za Husama”.

Anna obudziła się i dotknęła brzucha. Nie była w ciąży, to tylko sen. Sen, który się spełni.

Nazajutrz, tak jak obiecał Said, około dziewiątej Anna spotkała się z przyjaciółmi w jadalni. Ubrana w sukienkę w różyczki usiadła przy stole.

– Jak miło widzieć was w zdrowiu – powiedziała.

– Dobrze, że w ogóle nas widać – Dan miał niewyraźną minę. – Ze zdrowiem gorzej.

– Jak wyszłaś, doniesiono nam jeszcze pięć butelek wina – poinformował David. – Wyobrażasz sobie? Pięć.

– O pięć za dużo – Garry dotknął dłonią skroni.

– Dobrze, że poszłam spać – uśmiechnęła się.

– Sama czy z Saidem? – zaciekał się Steve.

– Tak cię to ciekawi?

– O tak – patrzył w jej stronę. – Bardzo.

– Rozczaruję cię. Sama – ugryzła kęs kukurydzianego placuszka.

– To pewnie dzisiaj Said wskoczy ci do łóżka – zaśmiał się kpiąco.

– Steve, nie bądź chamem – upomniał go Bateman. – Lepiej pomyśl, jak się stąd wydostaniemy...

– Anna zapłaci swoim ciałem za naszą wolność – Steve powiedział to głośno, by wszyscy go słyszeli. – Jak dziwka – dodał.

Anna miała wrażenie, że uderzenie pioruna rozdarło jej serce. Zaciśnęła lewą pięść, przymknęła powieki, wzięła głęboki oddech i wstała od stołu, odkładając placek na talerz.

– Toś, bracie, przegiął – skwitował Garry.

Czuła, jak oczy wszystkich zebranych przy stole osób są skierowane na nią. Ruszyła w stronę drzwi. Zatrzymała się

i odwróciła do przyjaciół.

– I pomyśleć, że ta dziwka nigdy się z tobą nie przespała – powiedziała głośno, by wszyscy słyszeli.

Pośpiesznie wyszła z jadalni. Łzy cisnęły jej się do oczu. „Jak śmiała nazwać mnie dziwką? Było tyle okazji, by spać razem. Mieliśmy do dyspozycji cały namiot. Nikt nam nie przeszkadzał. Podobał mi się, chciałam z nim być, a jednak nie zdecydowałam się na współżycie, bo nie chciałam zająć w ciążę w tym kraju”. Przyśpieszyła kroku, jak najszybciej chciała znaleźć się w swoim pokoju. Wbiegła na górę po schodach, jak burza wpadła do pokoju i z płaczem rzuciła się na łóżko. Nie chciało jej się żyć. To jedno słowo zadało jej tyle bólu, że cierpienie, jakie zafundował jej Said, poszło w niepamięć. Właściwie, dlaczego ma im pomagać? Liczy się tylko ona. Co ją obchodzi cała załoga? Niech sobie sami radzą. Tylko że to Steve ją zranił, nie reszta poszukiwaczy zaginionego miasta. Profesor Bateman jest dla niej jak ojciec, podobnie jak profesor Durell. Chłopaki zawsze rozbajali ją żartami. A Bette i Alex? Datonowie tak bardzo chcą mieć potomka...

Wstała z łóżka i przeszła do łazienki, by wytrzeć nos papierem toaletowym. Spojrzała w lustro. Powieki spuchnięte od płaczu, nos i policzki czerwone. Przemyła twarz chłodną wodą. Osuszyła ją ręcznikiem i wyszła z łazienki. W pokoju pojawił się Said. Spuściła głowę, nie śmiała spojrzeć w jego stronę. Usiadła na łóżku bokiem do pomieszczenia. Zauważył, że płakała.

– Kto zrobił ci przykrość? – spytał.

Milczała. Miała powiedzieć, że płacze przez Steve'a. Co by to zmieniło? Ból został, a kara nie ukoji jej cierpienia. Said stanął naprzeciwko niej i ujął jej podbródek, kierując głowę Anny ku sobie.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, kto sprawił ci przykrość...

– To moja sprawa, kto mi zrobił przykrość – nie spojrzała mu w twarz.

– Dobrze – odszedł krok od niej. – Ja i tak się dowiem. Służący przyniesie ci śniadanie do pokoju.

– Dziękuję. Nie jestem głodna.

– Widzę, że to duża przykrość – zastanowił się. – Jednak każę przynieść ci śniadanie do pokoju. Nie będę mógł towarzyszyć ci

dzisiejszego dnia. Chcę, abyś dotrzymała towarzystwa mojej matce. Jest taka samotna.

– Dobrze.

Przyjrzał jej się uważnie. Bez protestu przystała na jego propozycję? Ktoś musiał jej bardzo dokuczyć, skoro woli towarzystwo jego matki od przyjaciół. Podejrzewał, że to były chłopak sprawił jej przykrość, ale czy mężczyzna może tak bardzo zranić ukochaną kobietę? Said opuścił pokój. Dziesięć minut później pojawił się służący z tacą w ręku. Wyjął spod klosza półmisek z pięcioma plackami kukurydzianymi i dwoma słodkimi rogalikami, dzbanek z herbatą, filiżankę. Postawił to wszystko na stole, po czym wyszedł. Anna nie miała ochoty na jedzenie. Nie śpiesząc się, wypita filiżankę herbaty. Około wpół do jedenastej pociągnęła za szarfę przy drzwiach. Po paru minutach pojawił się służący. Poprosiła go, by zaprowadził ją do pani El Dżajad. Schodami znajdującymi się w wieży przy pokoju, w którym obecnie mieszkała, zeszli na pierwsze piętro. Służący kluczem otworzył duże dwuskrzydłowe drewniane drzwi, za którymi znajdował się korytarz prowadzący do prywatnych apartamentów El Dżajadów. Na ścianach wisiały ręcznie malowane portrety przodków. Nie tak wyobrażała sobie pałac arabskiego księcia. Wyglądało to raczej na upodobania angielskich arystokratów. Służący otworzył drewniane drzwi z dużą ornamentową szybą. Ujrzała olbrzymi salon, pośrodku którego leżał duży kolorowy dywan w odcieniach beżu, brązu i czerni. Był tam też duży drewniany stół nakryty białym koronkowym obrusem. Przy nim stała długa kanapa obita brązową skórą, a obok dwa pasujące kolorystycznie fotele. Jedną ze ścian zajmowały drewniane regały pełne książek, a drugą telewizor, wideo i regał na kasety z nagranyymi filmami. Trzy kroki dalej znajdował się piękny, stylowy kominek, nad którym wisiały złożone na krzyż dwie szable i złota tarcza. Obok kominka na wysokim kwietniku w kamiennej donicy rosła olbrzymia paproć. Anna była pod wrażeniem pomieszczenia. Nie spodziewała się, że na to pustkowie dotarła cywilizacja. Pod dużym oknem balkonowym stał mały okrągły stolik, a na leżance siedziała księżna z książką w ręku. Zobaczywszy Annę, wstała i odłożyła książkę na stolik. Jej uśmiech i serdeczny uścisk były jak miód na zranione serce. Ten gest sprawił, że Anna

miała ochotę wypłakać się na ramieniu staruszki. Postanowiła jednak, że będzie twarda, nie okaże ani odrobiny słabości. Księżna kazała podać herbatę i ciasto. Kobiety usiadły na kanapie przy stole. Pani El Dżajad opowiadała o swoim szczęśliwym życiu i o mężu. Anna dowiedziała się, że ta kobieta nie była pierwszą żoną ojca Saida, lecz drugą. Pierwsza żona Ali El Dżajada rodziła mu kalekie dzieci, które żyły przez rok, a następnie umierały. Z rozpaczy Gusam skoczyła z wieży. Zginęła na miejscu. Kiedy Anna słuchała wspomnień staruszki, doszła do wniosku, że życie tych ludzi wcale nie było takie szczęśliwe. Mimo że byli bardzo bogaci i mogli sobie pozwolić na każdy kaprys, zaspokoić każdą zachciankę, los nie zawsze był dla nich łaskawy. Ten pałac nosi w sobie wiele złych wspomnień, przykrych tajemnic, ludzkich tragedii.

Wspólny obiad, kolacja i cały wspólnie spędzony dzień szybko minął. Anna nie spotkała się z załogą, ból zbyt głęboko wniknął w jej serce. Nie miała ochoty oglądać Steve'a.

Następnego dnia Said powrócił do pałacu w towarzystwie dwóch mężczyzn. Anna towarzyszyła pani El Dżajad przy śniadaniu. Said przedstawił przybyszów jako swoich dalekich kuzynów. Nie wzbudzali zaufania. Wyglądali raczej na gangsterów niż doradców. Wysoki, barczysty, gładko ogolony czarnowłose mężczyzna z lekkim zezem uważnie przyjrzał się jasnowłosej dziewczynie. Poczła ogromny niepokój. Said nakazał lokajowi odprowadzić gości do przygotowanego dla nich pokoju, a sam usiadł przy stole obok Anny i poprosił o filiżankę kawy. Służący wykonał polecenie.

– Czy dzisiaj mi powiesz, kto sprawił ci przykrość?

– Nie – powiedziała spokojnym głosem. – Proszę, abys więcej mnie o to nie pytał. Chcę zapomnieć.

– Dobrze, nie będę pytał – napił się kawy. – Podejrzewam, że to sprawka Steve'a. Nie lubi mnie. Odebrałem mu jego kobietę.

Milczała. Skoro wie, to czemu pyta?

Pani El Dżajad z uśmiechem na twarzy patrzyła na tych dwoje. Cieszyła się, że syn wreszcie znalazł nową miłość.

– Czy dzisiaj chcesz dołączyć do swoich przyjaciół?

– Doskonale radzą sobie beze mnie, prawda?

– Czy mam rozumieć, że ich los jest ci obojętny?

– Co masz na myśli? – spojrzała mu w twarz.

- Nie chcesz wiedzieć, jak długo tu będą?
- Czas pokaże, ile czasu zamierzasz ich tu trzymać. To twój pałac, a ja nie mam wpływu na podejmowane przez ciebie decyzje.
- Nawet nie wiesz, jak wielki masz wpływ.
- Nie chcę się o tym przekonać – napiła się herbaty. – Najlepiej byś zrobił, odsyłając ich do kraju.
- Jeszcze nie mogę tego zrobić.

Dlaczego mówi zagadkami? Co knuje? Czy kuzyni Saida nie szykują jakiejś przykrej niespodzianki? Czy musi ją dręczyć? I tak będzie jego żoną, więc dlaczego robi podchody?

Znów zamieszał jej w głowie, zasiał ziarenko niepewności.

Podczas pory obiadowej Said poprosił Annę, by oboje zeszli do salonu jadalni i przysiedli się do biesiadujących amerykańskich gości. Zrobiła to niechętnie. Oboje usiedli na końcu stołu. Anna unikała spojrzeń przyjaciół.

– Chciałbym wiedzieć, czy macie państwo pretensje, że was przetrzymuję? – spytał.

– Na razie jest nam tu dobrze – powiedział Bateman. – Ale nie można nadużywać gościnności, prawda?

– Wasza obecność wcale mi nie przeszkadza. Za siedem dni będziecie mogli bezpiecznie powrócić do kraju.

– Dopiero za siedem dni? – powtórzył Durell. – Dlaczego nie jutro?

– Dobre pytanie – uśmiechnął się Said. – Chcę, by wzięli państwo udział w pewnej uroczystości, która odbędzie się za pięć dni.

– Czy Anna odleci z nami? – zaciekał się Steve.

– Nie – zaprzeczył Said.

– To ciekawe – kontynuował. – Anna jest obywatelką amerykańską i członkiem naszej ekipy. Nie może jej pan zatrzymywać wbrew jej woli.

– No właśnie – podchwycił temat doktor Harmon.

– Dlatego chciałbym, abyście państwo zostali i przekonali się, że Anna chce tu zamieszkać.

– Czy ta uroczystość to nie nasz ślub? – z powagą spojrzała mu w oczy.

– Tak – popatrzył na nią.

– Ale ja jeszcze nie powiedziałam, że się zgadzam.

– Decyzja należy do ciebie – wstał od stołu. – Los twoich przyjaciół jest w twoich rękach – odszedł od stołu. – Masz czas do jutra. A teraz wybaczcie – skinął głową.

W drzwiach jadalni pojawili się jego kuzyni. Said dołączył do nich. Anna patrzyła, jak odchodzą. Drzwi zamknęły się. Przeniósła wzrok na przyjaciół. Wszyscy spojrzeli na nią.

– Co się gapicie? – nie wytrzymała. – Czy to moja wina, że ubzdurał sobie, że jestem jego przeznaczeniem?

– Jeszcze nie zgodziłaś się wyjść za niego? – nie dowierzał Steve.

– Nie – wstała od stołu.

– Ciekawe – uśmiechnął się kpiąco. – Jeszcze się z tobą nie przespał?

– Jeszcze jedno słowo, a będą zbierać cię ze ściany – Anna pogroziła mu palcem.

– Już się boję.

– Steve, zamilcz! – nie wytrzymał Bateman.

– Jest jeszcze coś... – westchnął Alex.

– Co? – w Annie rosło napięcie.

– Bo widzisz... – Bette wahała się.

– Straciłaś dziecko? – Anna przestraszyła się.

– Nie – zaprzeczyła. – Wiesz, słyszeliśmy pewną podejrzaną rozmowę. El Dżajad rozmawiał z tymi – ruchem głowy wskazała na drzwi – podejrzanymi typkami. Ja i Alex byliśmy na tarasie i...

– Mów jaśniej – Anna niecierpliwiła się.

– On chce, byśmy byli świadkami na waszym ślubie, żeby nikt się o ciebie nie upomniał. Chodzi o to, żeby myślano, że wyszłaś za niego z własnej nieprzymuszonej woli. Jeśli się nie zgodzisz, będziemy jego zakładnikami, dopóki nie zmięknie.

– A to łajdak – była oburzona. – Jak śmie...

– Ale to nie wszystko – Bette mówiła dalej. – Jeden z nich powiedział, że można by odwieźć nas do kraju prywatnym starym samolotem i nad morzem upozorować katastrofę. Nikt nigdy nie pozna prawdy. Wszyscy zginiemy, a ty będziesz myślała, że odlecieliśmy do Stanów.

– Mój Boże – czuła, jak robi jej się słabo. – Czyli nawet jeśli zgodzę się z nim zostać, i tak będzie chciał się was pozbyć? Said pragnie waszej śmierci? To jakiś koszmar.

– On tego nie chce – sprostowała Bette. – To ci dwaj mu tak doradzają. El Dżajad wierzy w twój rozsądek i naszą mądrość. Chce, byśmy się przekonali, że z własnej woli zostaniesz jego żoną.

– Niby tyran, a ma dla nas odrobinę serca – wtrącił doktor Harmon.

– Gdybym wiedziała, że to wszystko tak się potoczy, kazałabym zaszyć sobie usta – powiedziała pani doktor. – Czuję się winna tego całego zamieszania.

Anna podeszła do okna. Musiała zebrać myśli. Jak ma przekonać Saida, by nie mścił się na jej przyjaciółach? Uciec nie może, bo i tak ją znajdzie. Tak, to jej wina. Gdyby mu nie odmawiała, odpowiadała na jego zaproszenia, nie uciekła z pałacu, nie doszłoby do takiej sytuacji. Co robić? Wrócić do pokoju, kiedy przyjdzie się zalecać? Nie. Wyczuje, że to gra. Nie uwierzy w jej dobre intencje.

– Więc jego kuzyni chcą was uśmiercić? – Anna zapytała w zadumie.

– Tak właśnie przypuszczamy – potwierdziła Bette.

– Katastrofa samolotu, nasze szczątki zatopione w morzu – mówił Bateman. – Nikt nie będzie podejrzewał zamachu na nasze życie. Żadnych świadków...

– No tak, ale zostali Tom i profesor Marchol – przypomniała Anna.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Durell.

– A czy nic ci się nie śniło? – zaciekawiał się Steve. – Jesteś przecież medium.

– Śniło, ale nie w twojej sprawie.

– Teraz żałuję, że nie powiadomiłem naszej ambasady o tym całym księciu. Niepotrzebnie cię, Anno, słuchałem – powiedział Bateman,

Co ma zrobić, by ich uratować?

Wtedy przypomniała sobie sen.

– Ja was w to wpakowałam i ja was z tego wyciągnę.

– W jaki sposób? – zaciekawiał się Garry.

– Wyprowadzę was stąd – podeszła do stołu. – Tam w górach jest most. Wystarczy zejść do wioski. Pięć mil dalej jest turecka granica. Musicie dobrze kłamać, by przepuszczono was na drugą stronę i zawieziono do naszej ambasady.

– Most? – Mary była zaskoczona. – Ale to daleko. Jak przejdziemy przez bramę niezauważeni?

– Znam skrót – Anna pochwaliła się. – Poznałam go, uciekając rankiem po nocnym porwaniu. Idźcie po paszporty. Spotkamy się za pół godziny na tarasie.

– A nasze bagaże? – upomniała się Mary. – Jak mamy je wynieść?

– Czyś ty zwariowała? – skarcił ją Durell. – Tu chodzi o nasze życie, a ona chce zabrać bagaże! Nawet torby lekarskiej nie możesz zabrać, żeby niczego nie podejrzewali.

– Może weź parę leków na serce i jakieś tabletki przeciwbólowe – zaproponował Bateman. – Tylko dyskretnie.

– Przebiorę się w spodnie i żakiet. Upchnę wszystko do kieszeni – powiedziała do siebie Mary.

– To my też się przeberzemy – zaproponował David.

– I jeszcze jedno – powstrzymała ich Anna. – Gdyby ktoś pytał, idziecie zobaczyć, jak dojrzewają pomarańcze.

– Pomarańcze? – nie rozumiał Dan.

– To wybieg – wyjaśniła Anna. – A ogród istnieje. Jest tego z pół mili albo i więcej.

– Aha, rozumiem.

– To za pół godziny na tarasie.

Anna wzięła do ręki łyżkę wazową z sosem pomidorowym i wylała sobie trochę na sukienkę. Garry rozłożył ręce, nie rozumiejąc, po co to robi.

– To kamuflaż – puściła do niego oczko.

Wyszła z salonu. Na korytarzu spotkała Saida. Przystanęła. Nie spodziewała się, że go tu zastanie. Czy słyszał, o czym rozmawiali?

– Widzę, że była burzliwa dyskusja – wskazał plamę na sukience.

– To wypadek – skłamała. – Zaraz to zapiorę i po plamie nie będzie śladu.

– I jaka jest twoja decyzja? – Said był ciekawy.

– Dobrze wiesz, że zostanę z tobą.

Przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy. Ustami delikatnie dotknął jej warg, jakby chciał sprawdzić, czy mówi prawdę. Nie bronila się, nawet położyła dłonie na jego biodrach. Chciała, by wierzył, że już jest jego i nie zamierza uciekać.

– Dobrze, że chcesz być ze mną – szepnął. – Kto cię przekonał?

– Sama zdecydowałam trzy dni temu w salonie, kiedy mnie całowałeś.

– Dlaczego uciekałaś? – patrzył jej w oczy.

– Musiałam ochłonąć – z lekkim uśmiechem na ustach odważnie patrzyła mu w oczy. – Miałam wrócić następnego dnia. Powiedziałam o tym całej ekipie. Gdyby nie burza, nie musiałbyś ściągać całej załogi do swojego pałacu. Tylko mnie miałbyś na głowie.

– No cóż, stało się – zbliżył głowę do jej twarzy. – Czemu nie powiedziałaś mi tego wczoraj?

– A czy to coś zmienia?

Nie odpowiedział, tylko znów zaczął ją całować. Odwzajemniła pocałunek. Jeśli tak bardzo jej pragnie, to niech ją całuje. Byle tylko nie przyszło mu do głowy iść z nią do pokoju. A jeśli chciałby się z nią kochać? Dlaczego nie? Tylko niech nie planuje robić tego właśnie teraz. Usłyszeli chrząknięcie. Odsunęli się od siebie. Na korytarzu stali kuzyni księcia. Wyższy coś powiedział. Said miał niezadowoloną minę.

– Czy mogę iść się przebrać? – spytała.

– Tak, możesz – powiedział w zamyśleniu.

Przez chwilę patrzył, jak jasnowłosa odchodzi, kieruje się na schody, po czym wyszedł ze swoimi kuzynami na zewnątrz. Mężczyźni usiedli na ławce pod drzewem figowym, tuż przy wyjściu na dziedziniec.

W tym czasie Anna przebrała się w czarne spodnie i kolorową bluzkę. Na gołe stopy założyła krótkie czarne kozaczki. Był mały problem. Nie bardzo orientowała się, którą częścią pałacu trzeba wyjść, by znaleźć się w ogrodzie. Nie może spytać służącego o drogę. Amerykanie nie powinni też błądzić po pałacowych korytarzach w poszukiwaniu właściwego wyjścia, bo w końcu ktoś się domyśli, co knują i ucieczka się nie uda. Może poprosić któregoś

ze sług, by zaprowadził jej przyjaciół do ogrodu, bo chcą posmakować świeżych owoców pomarańczy? Kiedy już ich tam zaprowadzi, chłopaki obezwładnią lokaja, a jeśli zajdzie taka potrzeba, zwiążą go. Ale czym? Zabrała z szafy trzy apaszki, tak na wszelki wypadek. Dwie schowała do kieszeni czarnego żakietu, trzecią założyła na szyję. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze dziesięć minut. Usiadła na łóżku. Serce biło jej mocno. Wiedziała, że dojdą do mostu, wszyscy przejdą na drugą stronę, a ona zostanie. To śmieszne. Od trzech miesięcy zna swoje przeznaczenie, lecz nie przypuszczała, że tak to wszystko się zakończy. Zdała sobie sprawę, że dziś po raz ostatni widzi się z całą ekipą. Dlaczego tak bardzo się boi? Przed chwilą Said zaufał jej, a ona musi go oszukać. Podeszła do drzwi, wzięła głęboki oddech, przeżegnała się i powoli, nie śpiesząc się, nacisnęła klamkę. Do pokoju wbiegł Abu. Przestraszyła się. Pewnie za chwilę pojawi się Said i cały plan diabli wezmą. Pies łasił się do niej, zachodził jej drogę, jakby czuł, co ta kobieta zamierza zrobić. Pogłaskała psa po łbie. Otworzyła drzwi do łazienki i kazała mu tam zostać. Pies usiadł. Zamknęła drzwi i pośpiesznie wyszła z pokoju. Powoli, nie wzbudzając podejrzeń, zeszła schodami w dół. Minęła korytarz, znalazła się w salonie. Bette czekała na nią.

– Wszyscy już są – szepnęła tłumaczka.

– Czekajcie na mnie i módlcie się, by wszystko się udało – Anna podała jej swój czarny żakiet.

Anna wyjrzała przez uchylone drzwi wychodzące na dziedziniec. Said był zajęty rozmową z kuzynami. W głowie dziewczyny zrodził się nowy plan. Przymknęła powieki i wzięła głęboki oddech. Zeszła po schodach do rozmawiających mężczyzn. Wysoki, zezowaty kuzyn zauważył ją. Mruknął coś do El Dżajada. Said wstał z ławki.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała niepewnym głosem.

– Tak? – Said patrzył jej w twarz.

– Twoja matka wspomniała, że już dojrzewają pomarańcze. Czy któryś ze służących mógłby pokazać mi ogród?

– Za godzinę będę wolny. Możemy pójść tam razem.

– Ale nie tylko ja chcę go zobaczyć. Bette ma zachcianki. To dziecko... – czarowała. – Owoce lepiej smakują z drzewa niż

kupione w sklepie.

– Jeśli tak...

Zawołał stojącego na schodach strażnika i wydał mu polecenie po arabsku. Ten skinął głową i założył na ramię pasek z przypiętym karabinem.

– Ratib pokaże wam ogród. Może ktoś będzie chciał z wami iść?

– Pewnie Alex – uśmiechnęła się. – Musi dbać o żonę.

– A może ktoś jeszcze?

– Zobaczę, kto będzie chciał iść na spacer.

Skinęła głową i ruszyła za strażnikiem. Zastanawiała się, czy Said coś podejrzewa. Nawet sam zaproponował, by zabrała na spacer jeszcze kogoś. Wyszli na taras. Strażnik nie spodziewał się, że zostanie w tym miejscu całą ekipę Amerykanów. Anna zastosowała mały wybieg.

– Idziemy z Bette zobaczyć, jak pomarańcze dojrzewają w naturalnym środowisku. Ktoś ma ochotę iść z nami? – odebrała od tłumaczki swój żakiet.

– Coś ty? Tu są drzewa pomarańczy? – Garry improwizował.

– Pani El Dżajad mówiła, że to duży ogród – ukradkiem spojrzała na strażnika. – Nie jakieś tam kilka drzew.

– To co, idziemy zobaczyć? – zawołał John.

– A jak – odparł Barry. – Skoro już tu jesteśmy, to warto zobaczyć.

– No to idziemy.

– Chwila – strażnik uniósł palec prawej ręki.

Wszyscy już wiedzieli, że żołnierz zna język angielski. Musieli uważać na to, co mówią. Strażnik zniknął w salonie, by wrócić w towarzystwie rosnącego służącego. Najwyraźniej nie ufał Amerykanom. Służący ruszył przodem, a za nim załoga poszukiwaczy. Na końcu szedł strażnik. Nie śpiesząc się, minęli pierwsze skrzydło pałacu i zeszli schodami prosto na żywopłot z kwitnących hibiskusów, za którym rosły drzewa pomarańczy. Rozproszyli się, podchodzili do drzew, podziwiali owoce, ich kształt, barwę, zapach, knując, w jaki sposób unieszkodliwić strażnika i służbę. Bette dotknęła dłonią dołu brzucha.

– Tak się boję... – szepnęła do Anny.

– Spokojnie, rozluźnij się – obejrzała się za siebie. – Uda wam się.

– Tak? – nie dowierzała.

– Pamiętasz? Tuż po przyjeździe śnił mi się most zawieszony nad przepaścią.

– Tak, mówiłaś.

– Właśnie dzisiaj nadszedł ten dzień.

– Pocieszyłaś mnie. Dziękuję.

– Daleko jeszcze? – Steve podszedł do nich.

– Jeszcze troszkę – znów się obejrzała i zerwała dojrzały owoc.

– Pomyśl, jak obezwładnić strażników, żeby nie narobili rabanu.

– To się da zrobić – powiedział John. – Było się w wojsku.

Steve szepnął coś do Johna, który następnie przekazał wiadomość Danowi, a ten Garry'emu. Kobiety zwolniły, zaczęły iść blisko siebie. Alex objął Bette. Steve dołączył do Batemana i Durella. Przystanęli przy drzewie, zerwali po dojrzałym owocu. Jedząc pomarańcze po małej części, Steve opowiadał szeptem swój plan. Anna ustawiła się przodem do pałacu, wypatrując, czy nikt za nimi nie idzie. Wzrokiem szukała choćby błysku zdradzającego, że są obserwowani przez lornetkę. Minęło pięć minut, a panowie już mieli plan obezwładnienia strażników. Dan zerwał na wpół dojrzały owoc pomarańczy i rzucił go Garry'emu, Barry zrobił dokładnie to samo, rzucając owoc do Davida. Zaczęła się owocowa gra w rugby. Każdy ich ruch był tak kierowany, by znaleźć się jak najbliżej żołnierza i służącego. Strażnicy ze spokojem przyglądali się zabawie, nie podejrzewając podstępu. W pewnym momencie David wpadł bokiem na strażnika, przewracając go na ziemię. Dan odebrał mu broń. Służący spojrzął w bok. John doskoczył do niego i ciosem kantem dłoni w kark zwałił go z nóg. Studenci zaciągnęli obezwładnionych mężczyzn pod drzewo. Anna wyjęła z kieszeni żakietu dwie apaszki, a trzecią zdjęła z szyi.

– Przydadzą się – podała je Davidowi.

– Widzę, że się przygotowałaś – zauważył Bateman.

– Wzięłam je tak na wszelki wypadek – uśmiechnęła się tajemniczo. – Dobrze, że były w szafie.

– To chyba nazywa się intuicja – skwitował doktor Harmon.

Przywiązali strażników plecami do drzewa, zatykając im usta apaszkami. Karabin zawiesili na pobliskim drzewie. Anna dała przyjaciołom znak ręką, by poszli za nią. Po pięciu minutach dotarli do wysokiego muru. Furtka była zamknięta na klucz i trzeba było wspiąć się po metalowych prętach, by przejść na drugą stronę.

– Skąd znasz to przejście? – zaciekał się Steve.

– Tędy uciekałam po nocnym porwaniu.

– Ale to nie droga do obozu?

– Jak się nie wie, gdzie się jest, to szuka się każdej drogi ucieczki, prawda?

Kiedy wszyscy znaleźli się za furtką, Anna, rozglądając się, poprowadziła ich ścieżką wśród zarośli.

– Tu byliśmy – zauważyła Mary. – Zaraz będzie ścieżka prowadząca w góry. To dlatego chciałaś zobaczyć most – zwróciła się do Anny.

– Widziała tę sytuację we śnie – zdradziła Bette.

– A uda nam się uciec? – spytał Harmon.

– Uda się – potwierdziła.

Przeszli na drugą stronę drogi i zaczęli wspinać się pod górkę.

– Gdybym wiedział, że będziemy iść pod górę, nie jadłbym tyle – sapnął Durell. – Daleko ten most?

– Jakieś dwadzieścia minut drogi stąd.

– No to pośpieszmy się – ponaglił Bateman. – Nie mamy czasu na podziwianie widoków.

Zeszli drogą w dół. W dali majaczyły zarysy linowego mostu.

– Tam jest most – Anna wyciągnęła przed siebie prawe ramię.

– Prawdziwe dzieło sztuki – przyznał Bateman.

Szli pośpiesznie, uważnie patrząc pod nogi. Kiedy mijali duży rudy głaz, ciało Anny przeszył niespodziewany dreszcz. Zawadziła obcasem o korzeń, zachwiała się i upadła na mech, uderzając lewym kolaniem o mały ostry kamień. Poczowała ostry ból w nodze.

– Said już wie, że uciekliśmy – wyszeptała.

– Skąd ta pewność? – spytał Steve, pomagając jej podnieść się z ziemi.

– Właśnie to poczułam.

– Ja też bym coś poczuł, gdybym zwałił się na kolana – nie wierzył jej.

Wszyscy przystanęli. Anna, wsparta na ramieniu Steve'a, utykając, dotarła do dużego głazu. Podwinęła nogawkę. Skóra pod kolanem była przecięta na trzy centymetry, a z rany sączyła się krew. Pani doktor obejrzała ranę.

– Paskudnie to wygląda – przyznała. – Gdybym miała torbę lekarską...

– Zostawcie mnie – powiedziała Anna. – Said wie, że uciekliśmy z pałacu. Jemu chodzi o mnie. Uciekajcie.

– Nie zostawię cię tutaj – zaprzeczył Steve. – Nawet gdybym cię musiał nieść, nie zostawię.

– Będę dla was tylko ciężarem. Z tą nogą... – pokręciła głową. – Mary wie, jak dalej iść. Poprowadzi was. Przejdziecie na drugą stronę.

– Powiedziałaś mi po imieniu – pani doktor uśmiechnęła się.

– Przepraszam, wyrwało mi się.

– Nie przepraszaj. Czy mi wybaczyłaś?

– Tak – potwierdziła Anna. – Wybaczyłam.

– Dziękuję – na twarzy pani doktor pojawił się uśmiech. – Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Nie zostawimy cię tutaj.

Podtrzymała ją pod jedną pachę, Steve pod drugą. Ból był tak ostry, że Anna nie miała chęci ruszać się z miejsca. Garry zmienił panią doktor. Nie wypadało, by kobieta się męczyła, kiedy wokół jest tylu młodych mężczyzn. Mary poszła przodem. Most był coraz bliżej, a Anna z każdą chwilą czuła zbliżającego się Saida i jego ludzi. Pani doktor jako pierwsza przeszła przez most linowy, następnie Bette z mężem, profesorowie, studenci. Szli szybko i most lekko się rozkołysał. Na samym końcu wlekli się Anna, Steve i Garry.

– No, teraz wy – Garry zrobił gest ręką.

– Nie – zaprzeczyła Anna. – Kolej na was.

– Ale... – chciał coś powiedzieć.

– Z chorym kolanem będę blokować most. Musicie pójść przodem.

Garry wahał się. Widząc uśmiech na twarzy dziewczyny, poszedł przodem. Musiał mocno trzymać się poręczy, by utrzymać równowagę.

– Teraz my – szepnął Steve.

Poszedł przodem i poprowadził Annę na most. Przeszli trzy kroki. Ból nasilał się.

– Nie dam rady – przystanęła i lewą ręką chwyciła linę. – Uciekaj.

– Bez ciebie nie pójdę – zaprotestował.

– Zrozum – spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – On może cię zabić.

– Kocham cię i nie pozwolę ci tu zostać.

– Ale ja cię nie kocham – wyznała. – Znajdź sobie inną dziwkę.

– Pośpieszcie się! – krzyknął Alex. – Zaraz przetniemy liny.

– A, o to chodzi?

– Tak – patrzyła na niego smutnym wzrokiem.

– Przepraszam – spuścił głowę. – Nie chciałem cię zranić. Ja naprawdę cię kocham.

Lewą ręką gwałtownie chwycił ją za kark i jak pijawka przywarł do jej ust. Wyczuł chłód, odstąpił od niej. Ostatnie spojrzenie. Odwrócił się do Anny plecami i pośpieszył w stronę kolegów. Stojąc w bezruchu, patrzyła, jak odchodzi. Nagle przed jej oczami rozbłysło jasnoczerwone światło, jakby ktoś wystrzelił ostrzegawczą racę. Odruchowo obiema dłońmi osłoniła twarz, krzyżując ręce. Zrobiła krok do tyłu, zapominając o kontuzji. Ostry ból sprawił, że zachwiała się. Wysunęła w bok prawą rękę, chcąc chwycić się liny, lecz trafiła w próżnię. Przechyliła się na bok. Ekipa znajdująca się po drugiej stronie mostu wstrzymała oddech. Czyjaś silna ręka złapała ją wpół i przycisnęła do siebie. Poczwała zapach goździków. Oboje stanęli prosto. Odetchnęła z ulgą.

– Oszukałaś mnie – szepnął Said, tuląc policzek do jej skroni.

Spojrzała przed siebie. Bateman i Harmon powstrzymywali Steve'a przed ponownym wejściem na most. Z uzbrojonymi żołnierzami Saida nie miał żadnych szans.

– Zostanę twoją żoną, tylko pozwól im odejść – powiedziała cicho.

Nie usłyszała żadnych słów, tylko jego przyśpieszony oddech.

– Zrób ze mną, co chcesz, ale proszę cię, jeśli naprawdę mnie kochasz, nie rób im krzywdy. Pozwól im odejść.

Steve wyrwał się i wszedł na most. Said odsunął się od niej. Nadal trzymał ją w pasie.

– Steve, nie radzę ci wracać! – ostrzegł go Said. – Dobrze wiesz, że chodzi mi tylko o Annę. Właśnie zgodziła się zostać moją żoną.

– Zmusiłeś ją! – Steve był wściekły.

– Mylisz się! – zawołał donośnym głosem. – Nie tak miało być, ale skoro właśnie w taki sposób chcecie odejść, to nie mogę was zatrzymać. Jesteście wolni.

– Nie chcemy, by nasze szczątki leżały na dnie oceanu – powiedział dobitnie Steve.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Oni słyszeli twoją rozmowę z kuzynami – powiedziała Anna.

Zapadła cisza. Poczwała leciutkie szarpnięcie – znak, by wycofać się z mostu.

– Nie będę was dłużej zatrzymać! – zawołał Said. – Pokój z wami.

Anna po raz ostatni spojrzała na drugą stronę mostu.

– Mój Boże – jęknęła Bette. – A mówiła, że nam się uda.

– Nam się udało, jej nie – sprostował Durell.

– Jak szczęśliwie wrócimy do kraju, powiadomimy władzę o całym zajściu – zdecydował Bateman. – Nie pozwolę, aby Anna marnie zginęła w tym kraju.

Patrzyli, jak Said wyprowadza Annę z mostu, wsadza na konia i siada tuż za nią. Steve był wściekły, że nie zabrali ze sobą karabinu obezwładnionego strażnika. Jeden strzał i El Dżajad leżałby martwy, a Anna poszłaby razem z nimi. Ekipa odkrywców prowadzona przez panią doktor wspinała się ścieżką na szczyt z boku góry, za którą mieściła się mała wioska, a pięć mil za nią granica syryjsko-turecka.

Said, nie spiesząc się, powracał ze swoimi ludźmi w stronę pałacu. Jechał na końcu, jedną ręką trzymając cugle, a drugą obejmując jasnowłosą w pasie, a raczej trzymając dłoń na jej brzuchu. Przytulona plecami do jego torsu, czuła przyjemne ciepło ciała księcia.

– Teraz wiem, dlaczego chciałaś zobaczyć most – jego głos był spokojny, lecz szorstki. – Wyśniłaś tę ucieczkę, mam rację?

– Tak – przyznała ze spokojem.

– Czy w twoim śnie właśnie tak miała zakończyć się ta ucieczka?

– Tak. Miałam wyprowadzić moich przyjaciół z dala od ciebie. Tak też się stało.

– Mogę jeszcze zmienić zdanie.
– Zrób to, a nigdy nie urodzę ci potomka.
– A jak w domowych warunkach będziesz chciała przerwać ciążę?

– Są sposoby, o których mężczyźni nie mają pojęcia. Chcesz tego doświadczyć? – pytała śmiało. – A może chcesz po raz trzeci zostać wdowcem?

– Dałem słowo, puściłem ich wolno.

– I za moimi plecami nie upozorujesz katastrofy lotniczej?

Nie odpowiedział. Usłyszała tylko, jak głośno wypuszcza powietrze nosem. Zastanawiał się. Nie wróżyło to niczego dobrego. Kiedy wjechali na drogę, pośpieszył konia. W milczeniu dojechali do pałacu. Brama była otwarta na oścież. Na drodze zauważyła świeże ślady opon terenowych samochodów. Said zatrzymał konia i zсадził Annę z grzbietu, lecz sam został w siodle. Znowu poczuła ostry ból kolana i zacisnęła pięść. Krzyknął na służącego. Powiedział parę słów w języku arabskim. Służący skłonił się.

– A teraz za karę posiedzisz sobie w swoim pokoju – jego spojrzenie było lodowate. – Pod kluczem! – dodał z naciskiem.

– Tak jest, kapitanie – stanęła na baczność i zsalutowała mu.

Nie udał jej się żart. Said szarpnął cugle. Koń ruszył z miejsca. Przez chwilę patrzyła, jak odjeżdża. Nie rozumiała, dlaczego wyjechał z pałacu. Przecież puścił ekipę wolno. Co jeszcze knuje? Gdyby miała sen, że są bezpieczni, czułaby się pewniej. Służący lekko trącił ją w łokieć.

– Pan kazać odprowadzić do pokoja – powiedział nieskładnie po francusku.

– To idziemy – westchnęła.

Utykając, weszła na schody. Służący szedł przed nią i nie zauważył, że kobieta ma trudności z chodzeniem. Zaciskała pięści, jakby to miało zmniejszyć ból. Kiedy przyszło jej wspinać się po schodach, trzymając się poręczy, podciągała się w górę. Służący otworzył pokój, puszczając ją przodem. Weszła do środka. Drzwi zamknęły się, usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza. Plecami oparła się o futrynę i przymknęła powieki.

– Spraw, Boże – modliła się cicho – by udało im się bezpiecznie dotrzeć do granicy, aby Said nie dostał ich w swoje ręce.

Pokuśtykała w stronę łóżka. Musiała zdjąć spodnie, czuła, że materiał przykleił się do rany. Gdy ściągała nogawkę spodni, szarpnęła nią zbyt gwałtownie i poczuła ostry ból. Materiał, odklejając się od zaschniętej rany, znów spowodował krwawienie. Zrobiło jej się słabo. Kolano było sine, spuchnięte, a nogę aż do stopy pokrywała zaschnięta krew.

Zdjęła żakiet. Pokuśtykała do szafy po szlafrok. Przeszła do łazienki, by obmyć nogę i przyłożyć zimny okład na spuchnięte kolano. Na drzwiach od strony łazienki zauważyła zadrapania. Przyjrzała się im uważnie. Na drewnie zostały rysy po pazurach psa. Już wiedziała, że to Abu ich zdradził. Mądry pies.

Zmoczyła najmniejszy ręcznik zimną wodą, usiadła na spuszczonej desce sedesowej i okręciła ręcznikiem kolano. Wcale nie było jej lepiej. Przydałaby się maść na stłuczenia. Gdyby ktoś przyniósł jej do pokoju torbę lekarską pani doktor, może znalazłaby w niej jakieś lekarstwo, środek dezynfekcyjny. W podręcznej torbie znalazła tabletki przeciwbólowe. Połknęła jedną, popijając wodą z kranu. Kiedy tabletki zaczęły działać, uprała zakrwawione spodnie i powiesiła je nad wanną. Na bluzkę założyła szlafrok i położyła się na łóżku.

Zastanawiała się, gdzie pojechał Said. Wprawdzie obiecał puścić Amerykanów wolno, ale czy można mu wierzyć? Czy dotrzyma raz danego słowa? Myślami powróciła do dzisiejszej ucieczki. Przypominała sobie każdy szczegół, porównując go do snu sprzed miesiąca. Wszystko tak samo. Uciekali pośród skał, zarośli. Most zawieszony pomiędzy dwiema górami. Nie mogła iść. Nie pamiętała, by we śnie stłukła kolano. Ogień, który wtedy widziała, okazał się wystrzeloną z pistoletu ostrzegawczą racą. Wszyscy przeszli na drugą stronę, a ona została. Czarnowłosa mężczyzna uratował ją przed upadkiem w przepaść. Nie mogła zapomnieć spojrzenia-Steve'a. Jego wyznanie, pożegnalny pocałunek. Nie chciała sprawić mu przykrości, mówiąc, że go nie kocha. Był bliski jej sercu. To właśnie z nim zamierzała spędzić resztę życia, ale przeznaczenie chciało inaczej. Spotkała na swej drodze Saida. On tak cudownie całuje. I ten jego owłosiony tors... Tak seksownie wygląda w rozpiętej koszuli. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Jak będzie dobrze się sprawować, to może przeżyć w tym pałacu szczęśliwe

chwile. „Najpierw łzy, a potem wielkie szczęście” – przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez staruszkę. Nie jest pewna, czy po tym, co dzisiaj zrobiła, Said potraktuje ją jak ukochaną osobę, czy jak niewolnicę...

Czas upływał i nikt do niej nie zajrzał. Poczwała głód. W pomieszczeniu brakowało szarfy, za którą mogłaby pociągnąć. Przecież wcześniej tu była... Nie doczekała się kolacji. Dobrze, że zostawiła sobie paterę z owocami. Zjadła dwie pomarańcze, kiwi, kiść winogron. Za oknem zapadał zmrok. Pewnie przed snem odwiedzi ją Said. Nie odwiedził jej. Próbowwała zasnąć. Było jej niewygodnie, kręciła się z boku na bok. Tabletki przestała działać i ból kolana stawał się nieznośny. Połknęła drugą. Kiedy już nie czuła bólu, zasnęła.

W środku nocy przyśniło jej się, że jej przyjaciele przed zachodem słońca bez przeszkód dotarli do granicy. W budce strażniczej stał Said. Z uśmiechem na twarzy podniósł szlaban i gestem dłoni zaprosił ich do przejścia przez granicę. Na parking czekały trzy terenowe samochody. Cała grupa wsiadła do nich. Anna ujrzała siebie stojącą na szczycie góry. Patrzyła, jak pojazdy odjeżdżają. Lotem błyskawicy przeniosła się pod amerykańską ambasadę. Samochody zatrzymały się pod bramą. Wszyscy wysiedli. Słyszała, jak profesor Bateman wypowiada słowa: „A jednak Said El Dżajad dotrzymał słowa i puścił nas wolno”.

Anna obudziła się. To wczorajsza kontuzja wyrwała ją ze snu. Co tam ból, najważniejsze, że jej przyjaciele szczęśliwie dotarli do ambasady. Said dotrzymał słowa. Chwała mu za to. Ciekawe, czy powie jej prawdę, czy też będzie ją zwodził, trzymał w niepewności? Spojrzała na zegarek. Była szósta trzydzieści. Musiała pójść do łazienki. Spróbowała wstać, lecz noga była sztywna, a obrzęk powiększył się. Czuła się dziwnie, jakby miała gorączkę. Z trudem zeszła z łóżka. Trzymając się mebli i ściany, weszła do łazienki. Ból nasilał się. Czuła, jak robi jej się słabo, a w płucach brakuje powietrza. Stała przy umywalce i obmyła twarz zimną wodą. Poczwała się lepiej. Kolejna przeszkoda – jak usiąść na muszli klozetowej? To było prawdziwe wyzwanie. Kropelki potu spływały jej po plecach. Czuła, że śmierdzi i musi wziąć prysznic. Połknęła kolejną tabletkę przeciwbólową. Gdy już nie czuła ostrego bólu,

wzięła prysznic. Uważała, by nie zmoczyć włosów. Gdy wyszła spod prysznica, dużym kąpielowym ręcznikiem owinęła mokre ciało, a małym osuszyła ramiona i nogi. Pokuśtykała na łóżko. Położyła się. Nie czuła się najlepiej. Było jej duszno, gorąco, skóra nad kontuzjowanym kolaniem zrobiła się dziwnie czerwona. Leżała chwilę. Potrzebowała świeżego powiewu powietrza. Podeszła do okna. Próbowwała je otworzyć, jednak na próżno szarpała za klamkę. Podeszła do drzwi balkonowych. Zapomniała, że były zamknięte na klucz. Zrobiła zwrot, uderzyła kolaniem o stojące z boku krzesło. Ostry ból sprawił, że pociemniało jej w oczach, a w płucach zabrakło powietrza. Czuła, że za chwilę zemdleje. Usiadła i chwilę odpoczywała. Poczwała tak silny gniew, że wstała z krzesła, ujęła oparcie w obie dłonie i cisnęła nim o drzwi balkonowe. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Anna dłońmi osłoniła twarz, broniąc się przed odłamkami. Powiew chłodnego świeżego powietrza wpadł do pokoju. Głęboko odetchnęła. Poczwała się lepiej. Pokuśtykała na łóżko i położyła się na boku twarzą do okna, przykrywając się kocem. Pozostawiła odkryte kolana. Przymknęła powieki. Tak dobrze jej się oddychało.

Usłyszała szcęk przekręcane w zamku klucza. Do pokoju wszedł służący. Podeszedł do uszkodzonego okna i pokręcił głową. Westchnął, ruszył w stronę drzwi i przystanął, ustępując miejsca swojemu panu. Said powoli podeszedł do łóżka.

- Co ma znaczyć ta szyba? – spytał, wskazując na rozbite szkło.
- Było mi duszno. Skoro nie można otworzyć okna w tradycyjny sposób, zrobiłam to trochę inaczej – powiedziała spokojnie.
- To nie protest przed zamknięciem cię w pokoju?
- Nie. Jak na razie jest mi dobrze – starała się nie patrzeć na niego.

Wodził wzrokiem po jej zakrytej postaci. Nagie ramiona, od szyi do kolan przykryta kocem. Anna odruchowo chwyciła koc, chcąc zakryć nogi. Said był szybszy. Odrzucił koc na bok.

- Co ci się stało w kolano? – spytał pośpiesznie.
- To kara za wczorajszą ucieczkę.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zraniłaś się w nogę?
- Byłaś tak wściekły, że taka drobnostka...

– To ma być drobnostka? – podniósł głos. – Sine, spuchnięte kolano drobnostką! – przykucnął. – A możesz chodzić?

– Nie – wzięła głęboki oddech.

Zimy dreszcz przeszył jej ciało. Przydałoby się zamknąć okno albo przykryć kocem. Do pokoju wszedł służący z wiadrem, szczotką i szufelką. Said wyprostował się. Kazał lokajowi zostawić wiadro i zejść po medyka. Ten wykonał polecenie swego pana.

– To stało się tutaj czy w górach?

– W górach, kiedy uciekaliśmy – nie kryła prawdy.

– Jesteś odważną kobietą – usiadł na łóżku. – Musiało cię bardzo boleć, kiedy wracałaś ze mną do pałacu, a jednak milczałaś. Jak mogłem tego nie zauważyć?

– Wolaleś odjechać. Czy naprawdę pozwoliłaś moim przyjaciółom odejść? – spojrzała na niego.

– Tak – ich spojrzenia spotkały się.

– To dokąd wczoraj pojechałaś ze swoimi ludźmi?

– Powstrzymać tych, którzy mogliby ich skrzywdzić.

– Mówisz o swoich kuzynach, którym pokrzyżowałam plany zabicia moich przyjaciół w drodze do Stanów? Ich samolot rozbiłby się nad oceanem i nikt nie dowiedziałby się prawdy...

– Skąd to wiesz? Miałaś sen?

– Nie. Bette usłyszała waszą rozmowę. Nie mogłam czekać bezczynnie i nie pomóc moim przyjaciółom uratować życia, prawda?

Do pokoju wszedł gruby, niski mężczyzna, ubrany w szary tradycyjny arabski strój. Said wstał. Medyk postawił czarną torbę lekarską na fotelu. Podeszedł do łóżka i nachylił się nad chorą kobietą. Pokręcił głową. Dotknął opuchlizny. Anna syknęła. Jej twarz zrobiła się blada. Medyk zaczął coś mówić. Said tłumaczył jego słowa.

– O co rozbiłaś kolano?

– O kamień – wyznała.

– Czy możesz zginać nogę?

– Nie. Noga jest sztywna i strasznie pali.

Said tłumaczył, a medyk coś mówił, jakby tłumaczył. Znów zaczął badać kolano, sprawdzając, czy rzepka nie jest pęknięta. Anna czuła, jak krople potu pojawiają się na jej twarzy, spływają strużkami po karku i plecach. Przymknęła powieki.

– Ostry ból czy tępy? – spytał Said.
– Normalny. A jaki ma być? Niech przestanie mnie dotykać, bo go kopnę.

– Cierpliwości – uśmiechnął się. – Musi cię dokładnie zbadać.
Mężczyzna sięgnął po torbę lekarską i wyjął z niej małą buteleczkę z brązowym płynem. Zmoczył nim wacik i zdezynfekował skórę wokół kolana.

– Pyta, czy byłaś szczepiona przeciw zakażeniu.

– Tak – próbowała sobie przypomnieć. – Jakiś rok temu.

Said przetłumaczył medykowi słowa Anny. Przez chwilę z nim dyskutował. Mężczyzna wyjął z torby igłę i strzykawkę. Z plastikowego pudełeczka wyciągnął małą ampułkę z przezroczystym płynem.

– A to co? – wskazała na przygotowywany zastrzyk.

– Masz stan zapalny kolana. To antybiotyk. Dostaniesz jeszcze dwa. Wieczorem i jutro rano.

Medyk podszedł do niej z wacikiem w jednej dłoni i strzykawką w drugiej.

– Mówi, żebyś odsłoniła pupę.

– Odwróć się, jestem bez majtek – jej twarz zaróżowiła się.

– Już widziałem cię nagą – uśmiechnął się.

– To było z zaskoczenia.

Said odwrócił się do nich tyłem. Anna uniosła ręcznik, wystawiając pośladek. Medyk wacikiem przetarł skórę. Poczowała bolesne ukłucie. Ten konował nie umiał robić zastrzyków. Kiedy skończył, obciągnęła ręcznik. Medyk coś powiedział. Said odwrócił się twarzą do łóżka.

– I po bólu – uśmiechał się.

– Chyba żartujesz – na twarzy dziewczyny widniał grymas niezadowolenia. – To zwykły konował. Nawet nie umie bezboleśnie dawać zastrzyków.

– To dobry medyk, może trochę flegmatyczny.

Medyk wyjął z torby lekarskiej słoik z brązową maścią. Rozsmarował ją na prostokątnym materiale przypominającym ceratę i przyłożył do jej kolana.

– To złagodzi ból, do wieczora opuchlizna powinna ustąpić. Masz tak leżeć przez godzinę.

– Nigdzie się nie wybieram – zakryła się kocem.

Medyk skłonił się. Said powiedział coś na odchodne. Po chwili pojawił się służący. Książę pozwolił mu pozbierać szkło z rozbitej szyby, a sam usiadł na łóżku. Wpatrując się w twarz Anny, spytał:

– Czy Bette jeszcze coś usłyszała?

– A dokładnie? – spojrzała mu w twarz.

– Coś o nas?

– To znaczy?

– Albo nie chcesz powiedzieć, albo słyszała niewiele z naszej rozmowy.

– Cieszę się, że to nie ty chciałeś upozorować katastrofę samolotu.

– A gdybym ja to wymyślił? – spuścił wzrok. Znow się z nią droczył.

– Nigdy nie mogłabym cię pokochać ani obdarzyć zaufaniem.

Zapadła cisza. Jedyne, co było słychać, to brzęk zmiotanego z podłogi szkła.

– Chcę znać prawdę. Czy na pewno moi przyjaciele są bezpieczni i nic im nie grozi ze strony twoich doradców? – odważnie patrzyła mu w twarz.

– Możesz być pewna – podniósł wzrok. – Twoi przyjaciele są bezpieczni.

– Sen powie mi, czy naprawdę tak jest – podpuszczała go.

– Przysięgam – położył dłoń na sercu – że nie cofam raz danego słowa. Obiecałem, że są wolni, i tak też się stało.

– Ale czy są bezpieczni?

– Są bezpieczni – podniósł głos. – Pewnie są już w amerykańskiej ambasadzie i skarżą się na mnie.

– To dobrze – uśmiechnęła się. – To chciałam usłyszeć.

– Ty już znasz prawdę. Miałaś proroczy sen.

– Tak.

– To czemu zadręczasz mnie pytaniami?

– Bo chciałam usłyszeć prawdę z twoich ust.

Służący opuścił pokój. Musiał wynieść wiadro pełne szkieł. Said powiedział coś do niego, a ten przytaknął skinięciem głowy. Gdy Anna i książę zostali sami, nachylił się nad nią i palcami lewej dłoni pogładził ją po policzku.

– Jesteś jak zagadka, którą niełatwo odgadnąć.

Odrzucił z niej koc i wargami musnął jej ramienia. Przesunął usta na szyję, brodę, usta. Przymknęła powieki. Jego ciepłe usta dotknęły jej chłodnych ust. Prawa dłoń Saida powędrowała pod ręcznik na brzuch, piersi Anny. Wyprężyła się. Okład, który zrobił jej medyk, działał. Poczowała leciutki tępy ból kolana, który tak bardzo jej nie dokuczał. Said rozchylił ręcznik i spojrzał na jej nagie ciało. Dzisiaj nie była gotowa kochać się z nim.

– Czy dostanę coś do jedzenia, czy ukażesz mnie za rozbicie szyby i tak jak wczoraj będę głodna?

– A było tak przyjemnie – westchnął. – Zaraz – zastanowił się. – Nie dostałaś wczoraj kolacji?

– A wydałeś polecenie, by podano mi jakikolwiek posiłek?

– Przyznaję – położył dłoń do serca. – Nie wydałem takiego polecenia. Przepraszam, moja wina – wstał.

– Nie mam się w co ubrać – przypomniała.

– Dla mnie możesz chodzić tak jak teraz. Nago.

– A inni mogą mnie taką oglądać? – przykryła się kocem.

– Musiałbym ich zabić – uśmiechnął się. – Dostaniesz swoje rzeczy, choć muszę przyznać, że są biedne. Niedługo wybierzemy się do miasta. Tam kupisz sobie coś ładnego.

– Abaję i kefę?

– W pałacu będziesz mogła nosić takie stroje, jakie ci się podobają, ale nic wyzywającego. Kiedy przyjdą goście, musisz stosownie się ubierać. W stroje, jakie noszą arabskie księżniczki.

– I właśnie tego chciałam uniknąć.

Wyjął z szafy różową koszulę nocną i szlafrok i podał je Annie.

– Na razie włóż to i pamiętaj – nie wstawaj.

Wyszedł z pokoju. Włożyła koszulę nocną. Said podłożył pod jej plecy trzy poduszki, tak aby mogła swobodnie siedzieć. Ktoś zapukał do drzwi. Przykryła się kocem. Odpowiedziała. Do pokoju weszła pani El Dżajad. Z uśmiechem na twarzy przywitała Annę.

– Medyk mi powiedział, co ci się przydarzyło – usiadła na skraju łóżka. – Dlaczego chciałaś uciec? Czy źle cię traktujemy?

– To nie chodziło o mnie, tylko moich przyjaciół.

– Oni wkrótce by wyjechali. Mój syn by tego dopilnował.

– No cóż... – zastanowiła się, czy powiedzieć jej prawdę. – Moim przyjaciółom bardzo śpieszyło się do domu – skłamała.

– Nie rozumiem. Przez dłuższy czas mieszkali w namiotach i nie mogli wytrzymać paru dni w pałacu?

– Widocznie nie.

– Chciałaś z nimi odejść?

Takie łatwe pytanie, a tak trudno na nie odpowiedzieć. Chciała z nimi odejść, ale wiedziała, że nie ma żadnych szans na ucieczkę, nawet ze zdrowym kolaniem.

– Said nie pozwoliłby mi odejść – powiedziała wymijająco.

– Ty nie kochasz mojego syna – jej twarz posmutniała.

– Nie wiem. Lubię, jak mnie dotyka, całuje.

– A już myślałam, że odpychasz go od siebie – uśmiechnęła się.

– Jeśli lubisz, jak cię całuje, to właśnie jest miłość. Jak dobrze, że za trzy dni weźmiecie ślub. Wyprowadzisz się z tego skromnego pokoju i zamieszkas w naszym bogatszym skrzydle pałacu. Tak chciałabym bawić wnuka albo wnuczkę. Jestem stara, może nie doczekam jutra.

– Co też pani mówi? Trzeba poszukać sobie dobrego mężczyzny...

– Nie chcę drugiego mężczyzny. Ojciec Saida był moją największą miłością i nikt go nie zastąpi. Syn trochę mi go przypomina. Jest taki opiekuńczy, troszczy się o mnie. O ciebie też będzie dbał – poklepała ją po dłoni. – Jest w tobie bardzo zakochany.

– A w swoich dwóch żonach nie był zakochany?

– Był, ale o tobie mówi z takim zachwytem, że chyba bardziej cię kocha niż...

Drzwi do pokoju otworzyły się. Do środka wszedł Said, a za nim dwóch służących niosących tace ze śniadaniem. Jedna z nich przykryta była kloszem, a na drugiej stały dwie puste białe filiżanki i dzbanek z herbatą. Pani El Dżajad uśmiechnęła się i wstała z łóżka.

– Nie będę wam przeszkadzać.

– Może pani z nami zostać.

– Zakochani powinni przebywać sami.

Wymieniła z synem parę słów, po czym wyszła z pokoju. Said uśmiechał się. Pewnie matka powiedziała mu, że Anna lubi, jak ją całuje i dotyka. Służący postawili tace na stole, przesunęli mebel bliżej łóżka, skłonili się i pośpiesznie opuścili pomieszczenie. Said usiadł na skraju łóżka i podniósł klosz z pierwszej tacy. Na jednym z talerzy Anna ujrzała cztery przekrojone na pół bułki, a w małych miseczkach masło, dżem, miód i twarożek.

– To czym posmarować ci bułkę? – spytał, biorąc do ręki drewniany nożyk.

– Czy to Lee Jang przygotował dla mnie śniadanie? – domyśliła się.

– Tak, on. Musiał cię bardzo polubić, bo wie, co jadasz.

– To poproszę na jednej połówce bułki twarożek, na drugiej masło, a na to dżem.

„Co za troska” – pomyślała. „Robi to specjalnie, aby mi zaimponować. A może lubi to robić? Mężczyzna jego pokroju raczej nie bawi się w podchody czy gry wstępne. Czaruje mnie, chce, żebym nabrała do niego zaufania. Przecież to nie będzie trwać wiecznie. Któregoś dnia czar pryśnie i powróci strach, cierpienie. A może się mylę...”

– O czym myślisz? – przerwał ciszę. Podał jej bułkę posmarowaną twarożkiem.

– Patrzę, jak robisz mi kanapkę.

– To widzę. Chcę wiedzieć, o czym myślisz.

– Zastanawiam się, kiedy się zorientowałeś, że uciekliśmy?

– Zamknęłaś Abu w łazience – teraz dla siebie przygotował kanapkę z miodem. – Znudził się i zaczął wyć. Mój służący powiadomił mnie o tym. Kiedy go wypuściłem, pobiegł do ogrodu. Zobaczyłem związanych strażników i wszystko stało się jasne.

– I wszystko przez psa, a mogło się udać.

– Udało ci się – nalał do filiżanek herbaty. – Tak pięknie mnie podeszłaś. Bette ma zachciankę na pomarańcze – uśmiechnął się. – Niczego się nie domyśliłem. Nawet sam zaproponowałem, żebyś namówiła na ten spacer jeszcze kogoś – napił się herbaty. – Kto podsunął ci ten pomysł?

– Nikt. Sama na to wpadłam – napiła się herbaty.

– Jesteś bardzo sprytna. Mam prośbę – jego spojrzenie było poważne. – Nie rób tego więcej.

– Masz na myśli uciezkę czy bycie sprytną?

– Jedno i drugie. Stąd nie ma uciezki.

– Wiem – dokończyła jedzenie bułki. – Jak będziesz mnie traktował tak, jak w tej chwili, to nie będę w stanie myśleć o ucieczce.

– To częściej każę przynosić ci śniadanie do łóżka.

– Nawet jak będę miała zdrową nogę?

– Nawet wtedy.

– Trzymam za słowo – znów napiła się herbaty. – Czy twoim pierwszym żonom też podawano śniadanie do łóżka?

– Tak, przynoszono.

– Czy jadałeś razem z nimi?

– Czasami.

– Czyli rzadko.

„I czar prysł” – pomyślała. „Wcale nie wymagam od niego aż takiego poświęcenia. Niech od jutra zacznie zachowywać się jak prawdziwy boss, a nie czaruś”.

– Chciałabyś, żebyśmy codziennie jadal śniadania w łóżku?

– Nie. Po pierwsze, to niehigieniczne, po drugie – spożywanie kolacji przy świecach jest bardziej romantyczne niż jedzenie śniadania w łóżku.

– I czar prysł.

Anna roześmiała się. Przed chwilą tak właśnie pomyślała.

– Co cię tak rozbawiło? – zaciekawiał się.

– Nic takiego. Myślałam, że chcesz mi zaimponować. Pokazać, że nie jesteś taki zły...

– Że jestem romantyczny.

– Właśnie.

– To jeszcze mnie nie znasz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Said odezwał się po arabsku. W pokoju pojawił się medyk. Przyszedł zdjąć okład i obejrzeć kolano Anny. Obrzęk zmniejszył się, a kiedy lekko zgięła nogę, ból był mniejszy. Śmierząca maść medyka podziałała. Powiedział, że po południu przyjdzie ponownie zrobić okład i podać zastrzyk.

Kiedy skończyli jeść śniadanie, pojawili się dwaj słudzy po balkonowe drzwi. Musieli wprawić w nie nową szybę. Said zostawił Annę samą. Włożyła szlafrok i pokuśtykała na balkon. Oparła dłonie o kamienną poręcz. Spojrzała przed siebie. W oddali majaczyły szczyty gór, samotne palmy. Spojrzała w dół. Ujrzała ogród pełen kwiatów, ten sam, który zwiedzała w towarzystwie Saida. Wróciła do pokoju po krzesło, to, którym rozbiła szybę. Postawiła je w kącie i usiadła wygodnie, wyciągając przed siebie nogi. Przymknęła powieki. Było cicho i przyjemnie, świeże powietrze, ciepłe podmuchy wiatru muskały jej twarz. Zasnęła.

Nadeszła pora obiadu. Said pojawił się w jej pokoju wraz z dwoma sługami niosącymi tace z posiłkiem. Pokój był pusty. Said pomyślał, że Anna jest w łazience. Słudzy postawili tace na stole, po czym wyszli. Said podszedł pod drzwi łazienki i zapukał. Nie słysząc żadnej reakcji, zajrzał do środka. Łazienka była pusta. „Znów uciekła” – pomyślał. „Nie zamknąłem drzwi i znów mnie oszukała”. Krew zawrzała w jego żyłach. Spojrzał w stronę okna i zauważył brak krzesła. Pośpiesznie wyszedł na balkon. Gdy ujrzał śpiącą dziewczynę, odetchnął z ulgą. Na jego twarz powrócił spokój, pojawił się lekki uśmiech. Nie śmiał jej budzić, postanowił zanieść ją na łóżko. Kiedy wziął ją na ręce i zaczął nieść, zbudziła się.

- Co się dzieje? – spytała zaspanym głosem.
- Nie mogę pozwolić, by moja księżniczka spała na krześle.
- Dlatego zanosisz ją na łóżko?
- Tak – położył ją na łóżku.
- Gorzej będzie, jak księżniczka przyzwyczai się do noszenia na rękach i zażyczy sobie, żebyś robił to częściej.
- Lubię kłaść księżniczki do łóżka – usiadł na skraju łóżka.
- A wiele ich kładłeś?
- Moje dwie żony.
- Tak mało?
- Na Allacha, co ja słyszę?
- Myślałam, że tak zaborczy mężczyzna jak ty miał więcej kobiet.
- U nas – podniósł klosz z tacy – wybiera się kobietę i się z nią żeni. Nie chodzi się na randki, tak jak w twoim kraju. Pora zjeść obiad. Jest kebab, kasza z gulaszem baranim, kukurydziane racuchy.

– Poproszę kaszę.

Patrzyła, jak Said rozkłada danie na dwa talerze. Jeden razem z łyżką trafił do jej rąk. Zaczęli jeść.

– Jutro poznasz swoje służki.

– Po co mi służki?

– Każda księżniczka ma swoje służki.

– Twoja matka ich nie ma.

– Ma, ale mężczyzn. Mówimy na nich eunuchy.

– Geje?

Said roześmiał się w głos, odstawiając talerz z drugim daniem na stół. Nie rozumiała, dlaczego to stwierdzenie tak bardzo go rozśmieszyło.

– To mężczyźni pozbawieni jąder – sprostował.

– Boże. Za jakie grzechy tak ich potraktowano?

– Za haniebne. Zamiast iść na śmierć, wybrali trochę inne życie – znów zaczął jeść.

– Bez kobiet.

– Tak, bez kobiet. Ja nie chcę, by usługiwali ci mężczyźni, dlatego jutro wybieram się do miasta po służki.

– Ty je kupujesz?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie chcę, żebyś kupował...

– To – przerwał jej – dla dobra ich rodzin. Ci ludzie są bardzo biedni. Oddają swe córki, synów, bo praca w domu bogatego człowieka to dla nich jak błogosławieństwo. Mają gdzie mieszkać, mają w co się ubrać, nie przymierają głodem.

– Praca za darmo – powiedziała cicho.

– Poszukam dla ciebie takich, które umieją mówić w twoim języku.

– A jak ich nie znajdziesz?

– Znajdę.

Zapadła cisza. Anna odstawiła pusty talerz. Przeprosiła Saida i wstała z łóżka. Utykając, poszła do łazienki. Podczas jej nieobecności pojawili się słudzy. Przynieśli drzwi balkonowe z wprawioną nową szybą. Tym razem nie zamknęli ich na klucz. Anna mogła swobodnie wychodzić na balkon. Kiedy wróciła

z łazienki, od razu zauważyła wprawione drzwi. Usiadła na skraju łóżka. Wzięła do ręki kukurydzianego racucha.

– Co zrobisz z bagażami moich przyjaciół? – spytała niespodziewanie.

– Wkrótce odeślę je do twojego kraju.

– Wkrótce? Czyli kiedy?

– Za jakieś... – zastanowił się – pięć dni.

– Taśmy filmowe też?

– Myślisz o wszystkim – uśmiechnął się. – Co do nich... nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji.

– Dla ciebie są bezwartościowe, dla nich to pieniądze. Mogą zrobić reportaż w paru odcinkach i zdobyć sławę. Należy się im to po całej tej męczącej pracy.

– Teraz nie mam czasu nad tym myśleć – wziął sobie dokładkę kaszy z gulaszem. – Ty też nie zawracaj sobie tej ślicznej główki takimi drobnostkami. Odpoczywaj.

– Dla mnie to nie drobnostka.

– Wiem – westchnął. – Ty też jesteś na tych taśmach.

– Chcesz mnie wyciąć?

– Właśnie tak zamierzasz zrobić.

– Zniszczysz taśmy, a większość jest już w Stanach.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Tom zabrał nakręcone tu pierwsze taśmy filmowe. Nawet jeśli zniszczysz pozostałe, i tak wszyscy mnie poznają.

Zapadła cisza. Said zastanawiał się. Nie spodziewał się, że część taśm filmowych od dawna jest w Ameryce. Nawet jeśli zniszczy pozostałe, widzowie i tak zobaczą w reportażu Annę. Już wie, co robi. Nakręci ich ślub, a taśmę wyśle z pozostałymi. Niech wszyscy zobaczą, że wyszła za niego z własnej nieprzymuszonej woli.

Kiedy zjedli obiad, Anna znów została sama. Po południu Said odwiedził ją w towarzystwie medyka i dwóch służących. Ku jej zaskoczeniu przyniesiono do pokoju dwudziestocalowy telewizor i małą antenę satelitarną z całym osprzętem.

– To po to, żebyś się nie nudziła – powiedział Said, wskazując telewizor.

– Ale ja nie znam arabskiego.

– To satelita szpiegowski – podał jej pilot do telewizora. – Znajdziesz tu telewizję ze swojego kraju.

– Masz takie urządzenie i zdradzasz mi tajemnicę?

– I tak nikomu nic nie powiesz – uśmiechnął się lekko.

Medyk zrobił jej zastrzyk i zabrał się do robienia okładu na jej chore kolano. Said wyjął z kieszeni spodni duży telefon komórkowy z antenką.

– Jak będziesz czegoś potrzebować z kuchni – tłumaczył – naciśnij jedynekę i poproś Lee Janga, to przygotowuje ci coś do jedzenia. Dwójka to pokój służących. Do nich musisz mówić po francusku – podał jej telefon.

– A do ciebie? Jaką cyfrę mam nacisnąć?

– Wybacz, nie będzie mnie dwa dni. Dzisiaj też nie mogę zjeść z tobą kolacji.

– Obowiązki?

– Tak – potwierdził.

– Dobrze, że będę miała co oglądać.

Medyk położył śmierzdzący okład na jej kolanie, po czym wyszedł. Słudzy ustawili antenę na balkonie, przeciągnęli przez próg drzwi balkonowych przewód, podłączyli go do telewizora, a drugi przewód do dekodera i można było ustawić odbiór. Said włączył odbiornik. Wystarczy ustawić odpowiedni kąt nachylenia anteny i Anna mogła oglądać aż dwieście różnych kanałów. Słudzy opuścili pokój.

– I co powiesz? – Said zwrócił się do niej. – Czy nasz kraj jest bardzo zacofany?

– Jestem pod wrażeniem.

– A mogłaś wcześniej zaznać tego luksusu – usiadł na skraju łóżka.

– I wrócić do kraju.

– I zamieszkać ze mną dużo... – zbliżył się do jej twarzy – dużo wcześniej.

Podtrzymał jej głowę i zaczął ją całować. Odwzajemniła pieśczętę. Trwało to dobre pięć minut.

– Szkoda, że muszę cię teraz opuścić – szepnął, patrząc jej w oczy. – Kiedy wrócę, nadrobimy stracony czas. Obiecuję.

Pocałunek na pożegnanie i znów została sama. Teraz przynajmniej nie będzie się nudziła.

Pilotem do telewizora przeskakiwała z kanału na kanał, szukając czegoś dla siebie. Trafiała na francuski kanał i film z Jasiem Fasolą. Przy tym komiku nie można było się nudzić.

*

Samotne dwa dni spędzone przed telewizorem, wychodzenie na balkon i przesiadywanie na krześle zaczęły ją trochę nudzić. Chciała wyjść, pospacerować, lecz drzwi do jej pokoju nadal były zamykane na klucz. Said wciąż jej nie ufał. Bał się, że kiedy nie będzie go w pałacu, Anna znów spróbuje uciec.

Kiedy tak siedziała znudzona, czekając na kolację, klucz w zamku przekreślił się i do środka wszedł Said, a za nim dwie drobniutkie młode dziewczyny, ubrane w długie, proste czarne suknie. Na głowach miały czarne chusty. Jedna była wyższa od drugiej. Obie miały śniadą cerę, duże brązowe oczy i przeciętną urodę. Kobiety ukłoniły się.

– Witaj, Anno. Oto twoje służki. Jasmin – wskazał na niższą. – A to Kamila – przedstawił wyższą.

– Czy ktoś im umarł?

– Nie – zaprzeczył. – Skąd to przypuszczenie?

– To czemu są tak ubrane?

– To ich tradycyjny strój.

– Mam nadzieję, że przy mnie nie będą się tak ubierać. Mam dosyć żałoby w swoim życiu.

– Jeśli pani sobie życzy, będziemy ubierać się inaczej – powiedziała wyższa, spuszcżając głowę.

– Jak widzisz, znają twój ojczysty język.

– Jesteście siostrami? – spytała Anna.

– Tak – odpowiedziała Jasmin.

– To dobrze. Nie będziecie cierpieć z tęsknoty za rodziną.

– Zaczekajcie na zewnątrz – poprosił Said.

– Tak, panie – powiedziały prawie jednocześnie.

Kobiety wyszły. Said podszedł do Anny.

– Co miało znaczyć to ostatnie zdanie?

– Nic – unikała jego wzroku. – Drażniło mnie to, że nie miałam się w co ubrać, nie mogłam opuścić pokoju i pójść na spacer.

– Tęskniłaś za mną?

– Nie.

– To niedobrze – uśmiechnął się. – Za chwilę wynagrodzę ci moją nieobecność. Zjemy razem kolację.

Znów została sama. Wspólna kolacja, a ona ma na sobie przepoconą koszulę nocną i szlafrok. Szybki prysznic, by zdążyć przed jego przyjściem. Jedyne, co może na siebie włożyć, to czarne spodnie, kolorowa bluzka i czarny żakiet. Tak też zrobiła. Kiedy czesała włosy w warkocz, do pokoju wszedł służący z okrągłym pudłem w rękach. Bez słowa położył pakunek na łóżku, po czym wyszedł. Anna powoli podniosła tekturowe wieczko. Jej oczom ukazała się prosta błękitna jedwabna suknia z długim rękawem, podszywana białą atlasową halką. Dekolt pod samą szyję, zapinana na karku na jeden guzik. Wąska błękitna szarfa. Do tego bielizna: biały biustonosz, białe jedwabne majteczki. Na samym dnie szmaciane błękitne buciki na małym obcasie. Uśmiechnęła się. Przyłożyła do siebie suknię. Materiał był miękki, miły w dotyku. Zabrała pudło z całą zawartością do łazienki i tam się przebrała. Przejrzała się w lustrze. Suknia była luźna, sięgała do kostek. Przewiązała szarfę w pasie, podkreślając swoją zgrabną sylwetkę. Rozpuściła włosy. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Jak będzie mogła nosić podobne suknie, to przetrwa w tym kraju długie lata.

Ktoś zapukał do drzwi. Wyszła z łazienki. Odpowiedziała. Do środka wszedł Said ubrany w czarną luźną koszulę i czarne spodnie. Ujrawszy ją, zatrzymał się w drzwiach. W jego oczach pojawił się zachwyty.

– Coś nie tak? – spytała.

– Jesteś taka piękna. Jak mógłbym pozwolić ci odejść? – powoli ruszył w jej stronę. Nie miał przy sobie laski. – Lubisz kolacje przy świecach, więc niech tak będzie.

Ujął lewą dłoń Anny i wyprowadził dziewczynę z łazienki. Dał znak ręką. Do pokoju zaczęli wchodzić służcy. Jeden nakrył stół jedwabnym obrusem w kolorze złota, drugi postawił dwa trzyramienne świeczniki z długimi białymi świecami, trzeci rozstawił talerze i puchary na wino, czwarty i piąty tace z przygotowanymi na tę okazję potrawami. Jasnowłosa w bezruchu przyglądała się

wykonywanym czynnościom, nie mogąc uwierzyć, że Said zorganizował to wszystko dla niej. Jeszcze nikt nigdy nie zrobił jej takiej niespodzianki. Jakby tego było mało, do pokoju wniesiono kosz pełen różnokolorowych kwiatów. Wszyscy opuścili pomieszczenie, oprócz jednego służącego ubranego na biało, który pełnił funkcję kelnera. Said odsunął krzesło i poprosił Annę, by usiadła przy stole. Sam zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Skoro nie tęskniłaś za mną – zaczął – sprawię, byś zapamiętała ten wieczór i kiedy będę wyjeżdżał na dłużej, tęskniła za mną i za tą chwilą.

Dał znak służce. Ten zapalił świece. Said wyjął z kieszeni spodni pudełeczko obszyte czerwonym aksamitem i postawił je przed Anną. Domyśliła się, że to pierścionek.

– Otwórz. To prezent dla ciebie.

Wzięła pudełeczko do ręki i powoli uniosła wieczko. W środku był ten sam pierścionek w kształcie rozkwitłej róży z dużym rubinowym czerwonym oczkiem, którego w brutalny sposób musiała się pozbyć. Czy znów ma cierpieć? Po raz kolejny narzekać na potworne bóle głowy? Spojrzała w stronę Saida. Postawiła pudełko z pierścionkiem obok talerza.

– Nie założysz go na palec? – spytał, wpatrując się w jej twarz.

– Właśnie się zastanawiam, czy to bezpieczne... Gdy ostatnio go nosiłam, nie czułam się najlepiej. Boję się czarnej magii.

– Jest przeznaczony tylko dla ciebie, na wieki.

– A staruszka, której podarowałam pierścionek, jest cała i zdrowa? – patrzyła mu w oczy.

– Tak – potwierdził, nie odrywając od niej wzroku. – Poprosiłaś, bym nie zrobił jej krzywdy. Tak też uczyniłem. Jest pod moją opieką. Od dzisiaj pracuje w hotelu w katolickiej dzielnicy. Dzięki tobie bez obawy może wróżyć turystom szukającym nietypowych atrakcji. Kiedy ta kobieta mnie zobaczyła, sama podała mi pierścionek. Powiedziała, że go pilnowała. Wiedziała, że przyjdę go odzyskać.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Kiedyś cię do niej zabiorę.

Wyjęła pierścionek z pudełka i przyjrzała mu się dokładnie. Po przecięciu ani śladu. Jubiler idealnie zlutował oba końce obrączki,

nie było widać, w którym miejscu był przecinany. Napis po wewnętrznej stronie pierścionka pozostał nienaruszony.

– Nie obawiaj się magii, już jej nie ma – powiedział ze spokojem w głosie. – Jeśli sama nie włożysz pierścionka na palec, ja to zrobię, ale wtedy to może zboleć.

– Proszę – prawą ręką wręczyła mu pierścionelek, a lewą wyciągnęła przed siebie.

– Czasem jesteś diabełkiem, innym razem aniołkiem – uśmiechnął się. Delikatnie wsunął pierścionelek na serdeczny palec jej lewej dłoni. Nachylił się i ucałował czubki palców. Powiedział coś po arabsku swojemu słudze, a ten rozlał do kieliszków białe wino.

– A teraz możemy już jeść? – spytał.

– Tak.

Said dał znak służącemu. Ten zdjął pokrywkę z wazy i rozlał zupę do talerzy. Były to zmiksowane warzywa z dodatkiem kaszy. Ciekawy smak. Zaczęli jeść.

– Cieszę się, że nie sprawiałaś kłopotu w czasie mojej nieobecności.

– Bałeś się, że mogę znów spróbować uciec?

– Myślałem o tym. Kiedy zacząłem się zastanawiać, doszedłem do wniosku, że nie masz dokąd uciec, nawet gdybyś miała zdrową nogę.

– Masz rację. Nie mam dokąd uciec. Zaczynam się czuć jak księżniczka. Nie muszę gotować, sprzątać. To wszystko zaczyna mi się podobać.

– No widzisz. A tak się przed tym broniłaś, uciekałaś, opierałaś mi się. Warto było?

– Tak – powiedziała w zamyśleniu.

– Strach przed nieznanym nie zawsze jest dobrym doradcą.

– Czy nie boisz się, że właśnie lecę na twój majątek? – chciała mu dogryźć.

– Chcesz mnie zniechęcić – uśmiechnął się. – Nie zależy Ci na moim majątku. Nie zapomniałem, co mi powiedziałaś. Kochasz piękno, łono natury takie, jakim stworzył je Bóg, a człowiek uczynił z tego doskonały rajski ogród. To pani doktor chciała mojego majątku. Jest wyniosłą, chciwą kobietą. Ty jesteś delikatnym kwiatem, który niepielęgowany umrze bez miłości.

Była pod wrażeniem jego poetyckich słów. Szkoda, że to tylko słowa. Czemu nie ukląkł z pierścionkiem w ręku i nie spytał, czy zostanie jego żoną? Taki mały gest, a jego brak boli. Gdyby zapytał, zgodziłaby się. Zawsze o tym marzyła. Wyobrażała sobie, że kiedy się zakocha, jej wybranek oświadczy się podczas romantycznej kolacji przy świecach. Uklęknie przed nią i spyta: „Czy zostaniesz moją żoną?”. A tu pytanie: „Czy nie założysz go na palec?”. Dokończyła jeść zupę.

– Może teraz toast? – wziął kieliszek do ręki. – Wypijmy za to, byś nigdy się nie zmieniała. Raz była diabełkiem, a raz aniołkiem.

– Ciekawy toast – wzięła kieliszek do ręki. – Za to mogę wypić.

Trzy łyki wina i kolejne danie do spróbowania – kabaczki nadziewane ryżem z baraniną, polane brązowym sosem. Smaczne. W Stanach nie jada się takich potraw na kolację. Są ostrygi, małże, kraby lub coś bardziej wyszukanego, a tu takie proste, pożywne dania.

– Chciałbym ci przypomnieć, że jutro w południe odbędzie się nasz ślub.

– Jutro? – zatkęła ją. – Ślub? Ale...? Nie rozmawiałeś ze mną o tym... – napiła się wina.

Said wyprosił służącego z pokoju. Obawiał się, że Anna zacznie robić mu sceny. Nie chciał, by lokaj był tego świadkiem.

– Nie masz odwrotu – powiedział stanowczym głosem. – Wszystko już przygotowane.

– Nie zgadzam się – zaczęła się bać. – To za szybko. Nie spytałeś, jaką chcę mieć suknię. Buty, welon czy toczek... – zniżyła głos. – Nie tak miało być... – zamilkła, patrząc na talerz z resztką potrawy.

– Ślubną wyprawę ujrzysz jutro – dopił wino. – Tam na moście zgodziłaś się zostać moją żoną i tak się stanie. Zapomniałaś? Chcę, abyśmy od jutra byli małżeństwem. Pragnę, by ludzie szanowali cię jako moją żonę, a nie gardzili tobą jako nałożnicą. Przypomnij sobie, co powiedziałaś: „Zrób ze mną, co chcesz”. A ja właśnie chcę się z tobą kochać i nie zamierzam czekać, aż przestaniesz się bać – wstał z krzesła. – Dobrej nocy – podszedł do niej. – Może będziesz miała proroczy sen, który przekona cię do mojej szczerzej miłości – pocałował ją w czoło.

Said wyszedł. Anna przez chwilę siedziała nieruchomo. Zdała sobie sprawę, że popsuka romantyczny wieczór. Tyle starań. Piękna suknia, kolacja przy świecach, pierścionek, kwiaty.

Nalała sobie wina i pośpiesznie opróżniła kieliszek. Podniosła się z krzesła i zdmuchnęła świece. Zajrzała pod klosz trzeciego talerza. Ujrzała mały tort w kształcie serca, oblany masą czekoladową, przyozdobiony marcepanowym kwiatem róży. Był na nim napis w języku angielskim: „Kocham cię”. Już miała pobiec za Saidem, poprosić, by został, lecz przypomniała sobie, ile cierpienia jej przysporzył. To nie ona chciała tej miłości, tylko on. Nie zamierzała się zakochać, a jednak stało się inaczej.

Pojawili się służący. Zaczęli sprzątać ze stołu. Anna pozwoliła im zabrać wszystko oprócz tortu i łyżeczki. Kiedy słudzy opuścili pokój, usłyszała szcęk klucza przekręcanego w zamku. „No tak, nadal jestem niewolnicą” – pomyślała. „Boi się, że spróbuję uciec. A nie obawia się, że wyskoczę przez balkon i skończę ze sobą? Wtedy zamiast ślubu będzie pogrzeb... Nie, nie mogłabym skoczyć, nie popełniłabym samobójstwa. Za bardzo kocham życie, by tak młodo umierać”.

Za oknem zapadał zmrok. Anna zabrała talerz z ciastem, wyszła na balkon, usiadła na krześle i zaczęła delektować się słodkim deserem. Masa śmietankowo-waniliowa, druga czekoladowa, delikatny, puszysty biszkopt. Szkoda, że pozwoliła zabrać wino. Miała ochotę upić się i zapomnieć, że zepsuka całą kolację. Nie tak wyobrażała sobie podjęcie decyzji o zamążpójściu. Nawet nie sądziła, że to nastąpi już w tym roku, w dodatku za granicą. Nie przyszłoby jej do głowy, że zostanie żoną muzułmanina. Jej życie tak się pogmatwało. Ciekawe, jaką Said przygotował dla niej suknię? Zawsze marzyła o białej, koronkowej, rozkloszowanej od pasa do kostek, a pod spodem atlasowa biała halka. Krótki rękaw, gdyby ślub był w lecie, długi, wąski, gdyby wychodziła za mąż zimą. Żadnych dekoltołów. Pod szyją stójka, na plecach suwak. Na głowie toczek z krótkim jedwabnym welonem. Buty na wysokim obcasie. Jedwabne pończochy i podwiązki. I cóż jej po marzeniach? Pewnie Said przygotował dla niej jakiś biały worek i kaptur na głowę. Będzie się bał pokazać jej twarz przybyłym na ślub gościom. Zawsze chciała zrobić paniński wieczór dwa dni przed ślubem, pochwalić

się pierścieniem zaręczynowym. Wraz z ukochanym wybrać odpowiedni kościół, lokal, zastawę stołową, potrawy, tort... Tymczasem Said zdecydował za nią i nawet nie powiedział jej, jak ma wyglądać ich ślub.

Zrobiło się jej niedobrze. Odstawiła talerz z połową zjedzonego tortu na kamienną podłogę. Wyciągnęła się i zaczęła masować brzuch. Przydałaby się mocna herbata, ale nie zadzwoni do kuchni i nie poprosi o nią.

Przymknęła powieki. Co zrobiła nie tak, że los skierował ją do tego kraju? Właściwie sama o tym zdecydowała. Nie musiała wtrącać się do rozmowy trzech mężczyzn czekających na ustąpienie śnieżycy. Po co zgodziła się zostać ich kucharzem? Marzyła o zmianie miejsca zamieszkania, przeżyciu przygody. Dostała to wszystko, więc do kogo może mieć pretensję? Chyba tylko do siebie. Dlaczego nie przyśnili jej się rodzice i nie ostrzegli jej przed niebezpieczeństwem? Dlaczego tu ma prorocze sny, a w kraju takie rzeczy się jej nie przydarzały? Miała proroczy sen tuż przed wyjazdem. Arabowie na koniach, most, jacyś ludzie po drugiej stronie, a ona nie mogła do nich podejść. Wtedy nie wierzyła w sny. Sądziła, że to na skutek usłyszonej opowieści o zaginionym mieście. Jedno ostrzeżenie. Tak, było pewne ostrzeżenie. Rozbolał ją ząb. Musiała go usunąć, bo brakowało czasu na leczenie. Steve miał po nią przyjechać. Były jakieś kłopoty z jej paszportem. Wyjechał po nią profesor Durell. Po drodze miał kraksę. Kłopoty na lotnisku. Nie miała jednego szczepienia. Gdyby wtedy przyśnili jej się rodzice i ostrzegli ją przed wyjazdem, czy zrezygnowałaby?

Wstała, oparła dłonie na poręczy balkonu i spojrzała w rozgwieżdżone niebo. Na wschodnim nieboskłonie ujrzała spadającą gwiazdę. Pora na życzenie.

– Boże, spraw – półgłosem wypowiadała słowa – by życie w tym kraju przy boku Saida było pełne szczęścia, radości, aby kochał mnie i szanował przez najbliższych pięćdziesiąt lat.

Wypowiadając życzenie, nie przypuszczała, że Said je usłyszy. Stał piętro niżej, zastanawiając się, czy jego ukochana nie planuje odebrać sobie życia. Zapomniał poprosić sługę, by zamknął drzwi balkonowe na klucz. Usłyszawszy jej modlitwę, był o nią spokojny.

Wiedział, że nie popełni samobójstwa, skacząc z balkonu. Spokojnie mógł położyć się do snu.

Poczuła chłód. Weszła do pokoju i zamknęła drzwi balkonowe. W błękitnej sukni położyła się na łóżku i wkrótce zasnęła. Przyśnili jej się rodzice i brat. Wszyscy byli uśmiechnięci i składali jej życzenia z okazji ślubu. Brat żałował, że nie może osobiście poznać swojego szwagra.

Przespała całą noc. Rankiem zbudził ją szczęk przekręcanego w zamku klucza. Służący przyniósł jej śniadanie. Postawił tace na stole, po czym wyszedł. Sądziła, że zaraz pojawi się Said, lecz usłyszała, jak drzwi zamykają się z powrotem na klucz. Spojrzała na zegarek. Ósma trzydzieści. Wstała, poszła do łazienki, wzięła prysznic, umyła włosy i zęby. Włosy zawięła w ręcznik, wytarła się do sucha, założyła na siebie bieliznę i szlafrok. Teraz mogła zjeść śniadanie. Zdjęła klosz z tacy. Zobaczyła białą porcelanową filiżankę pełną gorącej czekolady, dwa słodkie rogaliki nadziewane marmoladą i dwie przekrojone na pół pszenne bułki, jedną posmarowaną twarożkiem, a drugą truskawkowym dżemem. Zatekniła za mlekiem i płatkami kukurydzianymi. Najwyraźniej jest dla Saida za chuda, skoro z rana każe jej jeść słodkie potrawy. Ale nic. Zje bułkę z twarożkiem i rogalika. Za cztery godziny weźmie ślub. Tak bardzo się boi. Kiedy się posiliła, wyszła na balkon i w gorących promieniach słońca wysuszyła włosy. Zbliżała się dziesiąta, Said nie odwiedził jej. Może rozmyślił się i nie będzie żadnego ślubu?

Jej radość trwała krótko. O dziesiątej trzydzieści pojawiły się służki. Tym razem były ubrane nie na czarno, lecz na granatowo. Przyniosły ślubną wyprawkę: prostą białą jedwabną sukienkę podszytą atłasową halką, z długim, prostym rękawem, biały jedwabny koronkowy welon, białą jedwabną woalkę, buty na wysokim obcasie, pończochy, podwiązki i białą bieliznę. „Jest taki bogaty, a taką biedną suknię dla mnie przygotował” – pomyślała. „No tak. Przecież nie jestem księżniczką, tylko ubogą Amerykanką, więc dlaczego miałabym pięknie wyglądać, skoro nie wnoszę nic do jego majątku?”.

– Pan powiedział, że mamy pani pomóc ubrać się do ślubu.

Jasmin podbiegła do niej. Chciała zdjąć z Anny szlafrok. Amerykanka odepchnęła ją od siebie.

– Zostaw, nie potrzebuję, abyście pomagały mi się ubierać.

– Ale pan kazał – powiedziała Kamila.

– A pana też ubierają?

– Tak, jego słudzy – poinformowała Jasmin.

– To już przesada.

Tym razem natarła na nią Kamila. Anna odepchnęła ją. Chwyła poduszkę i cisnęła nią w służki.

– Wynoście się! Nie chcę, byście mi pomagały. Sama się ubiorę.

Rzuciła w nie drugą poduszkę. Służki podbiegły do drzwi. Anna chwyciła kolejną, najmniejszą poduszkę. Jasmin otworzyła drzwi. Anna rzuciła po raz ostatni. Poduszka przeleciała obok głowy Saida i wylądowała na podłodze korytarza.

– Moja księżniczka ma humory – powiedział, wchodząc do pokoju. – Wygoniła własne służki.

– Nie chcę, by mnie ubierały. Nie potrzebuję pomocy, nie jestem kaleką.

– To ich obowiązek.

– Właśnie tego chciałam uniknąć – patrzyła mu w twarz. – Od lat jestem samodzielna i nie potrzebuję niczyjej pomocy. Skorzystam z niej, dopiero gdy będę stara i niedołączna.

– Rozumiem. Za półtorej godziny jest nasz ślub. Jasmin i Kamila mają cię do niego przygotować.

– Sama potrafię założyć taki... – wskazała na suknię – worek.

– To jedwab najlepszej jakości.

– Zawsze marzyłam o rozkloszowanej koronkowej sukni – podniosła głos. – Ale cóż... – zniżyła ton. – W życiu nie można mieć wszystkiego.

Zebrała ślubną wyprawę i udała się do łazienki. Said opuścił jej pokój. Czuł, że będą z nią kłopoty.

Anna zmieniła bieliznę, na nogi wsunęła białe pończochy, podwiązki, założyła buty. Z niesmakiem wsunęła przez ramiona sukienkę, zapięła na plecach trzy małe guziki. Spojrzała w lustro. Dopiero teraz zauważyła, że suknia od szyi do pasa jest obszyta małymi perełkami. Uczesała włosy i wyszła z łazienki. Pojawił się

Said, a za nim służący z tacą, na której stały dwa kryształowe kieliszki, do połowy wypełnione białym napojem.

– Czy wiesz, że oglądanie panny młodej przed ślubem przynosi pecha? – przypomniała.

– Komu? Panu młodemu czy pannie młodej? – spytał z uśmiechem.

– Nie wiem. Jeszcze tego nie doświadczyłam.

– Zapomniałem – zdjął z tacy kieliszki. – Dziś są twoje urodziny – podał jej kieliszek.

– Urodziny? – wzięła od niego kieliszek. – Dzisiaj jest trzydziesty czerwca?

– Tak, trzydziesty czerwca według waszego kalendarza. Wypijmy twoje zdrowie.

Napiła się. Poczwała słodki, przyjemny smak, przypominający mleczko kokosowe. Opróżnili kieliszki. Said wziął od Anny naczynko i postawił je na tacy. Służący wyszedł. Said objął Annę w pasie i spojrzeli sobie w oczy. Zbliżył usta do jej ust i delikatnie ją pocałował. Poczwała dziwne lekkie zawroty głowy, a mięśnie rąk i nóg osłabły. Delikatnie odepchnęła od siebie Saida. Traciła ostrość widzenia.

– Co ty mi wsypałeś...? – zachwiała się.

Przytulił ją. Skroń Anny opierała się na jego policzku.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała cicho.

– Musiałem, bo nie wiem, jaki czai się w tej ślicznej główce podstępny plan, który zakłóci ceremonię zaślubin. A wierz mi, tego bym nie chciał.

– Przecież... – westchnęła. Nie miała siły mówić.

– Przez sześć godzin będziesz w mojej mocy – popatrzył na jej twarz. – Spójrz mi w oczy.

Posłuchała go. Jej spojrzenie było błędne. Każdy, kto popatrzyłby z bliska w jej oczy, stwierdziłby, że jest pod wpływem narkotyku.

– Zrobisz wszystko, o co cię poproszę. Będziesz słuchać tylko mojego głosu. Rozkazy zignoruj. Słuchaj tylko moich prośb. A teraz powiedz, czy mnie rozumiesz.

– Tak – jej głos był słaby.

– Rozkazuję ci pocałować mnie!

Nie uczyniła tego. Stała nieruchomo wpatrzona w jego twarz.

– Dobrze – uśmiechnął się. – Jesteś mi posłuszna.

Odprowadził ją w stronę łóżka i posadził na jego skraju.

– A teraz odpocznij. Przyślę do ciebie służki, by dokończyły ubieranie ciebie. Proszę, byś była posłuszna. Czy mnie rozumiesz?

– Tak.

– Grzeczna dziewczynka – uśmiechnął się.

Said wyszedł, by po chwili powrócić z przygotowaną wcześniej kamerą. Skierował obiektyw w kierunku Anny. Zanim włączył urządzenie, powiedział narzeczonej, jak ma się zachowywać.

– Kiedy powiem: „Zaczynamy”, uśmiechniesz się, pomachasz w moim kierunku i powiesz – instruował – „Jest trzydziesty czerwca, właśnie kończę dwadzieścia sześć lat. Dzisiaj wychodzę za mąż. Jestem taka szczęśliwa. Szkoda, że nie ma was na tej uroczystości”.

Wykonała jego polecenie. Teraz nikt nie będzie miał wątpliwości, że Anna wychodzi za mąż z własnej nieprzymuszonej woli.

Pojawiły się służki. Jasmin spięła włosy Anny na karku, tak aby nie wymknęły się spod welonu. Kamila założyła jej welon. W ruch poszła biżuteria. Na głowie znalazł się złoty diadem wysadzany diamentami, na szyi złota kolia z brylantami, na przegubach dłoni złote bransoletki wybijane diamentami. Said wszystko filmował. Jasmin zasłoniła twarz Anny przezroczystą białą woalką.

– A teraz zostawiam cię samą. Spotkamy się na dole. Twoje służki przyprowadzą cię do salonu. Czy mnie rozumiesz?

– Tak – odparła Anna.

– Pamiętaj: masz słuchać tylko mnie.

– Dobrze, książę.

Anna nie rozumiała, co się z nią dzieje. Miała wrażenie, że to sen, w którym gra główną rolę i nie może się obudzić.

Tuż przed dwunastą służki wyprowadziły ją z pokoju. Zeszły schodami w dół, a następnie powędrowały korytarzem do salonu, gdzie na Annę czekał Said ubrany w białą atłasową galabiję – męską suknię zapinaną na trzy pozłacane guziki. Dół stroju, końce rękawów i stójka obszyte były złotą nicią. Na głowie miał biały fez przyozdobiony broszą skorpiona. Tą samą, którą miał przypiętą do turbanu w dniu urodzin matki.

Z uśmiechem na twarzy podał Annie ramię i poprowadził ją do kolejnej komnaty. Jak przez mgłę widziała, że ktoś ich filmuje. Szli

powoli, krok za krokiem, jak na zwolnionej taśmie. Weszli do dużego salonu, w którym zgromadzeni byli zaproszeni goście. Widziała ich niewyraźne twarze. Uśmiechali się, podziwiali młodą parę. Podeszli do jakiegoś ołtarza, na którym stały bukiety kwiatów. Mimo że Anna była odurzona, czuła zapach goździków i lili. Jakiś kapłan udzielał im ślubu. Wszystko niewyraźne, zamazane. Said poprosił Annę, by powtarzała słowa w jego rodzimym języku. Była mu posłuszna. Zebrani goście byli zaskoczeni, że Amerykanka zna język arabski. Said wsunął na palec jej lewej dłoni szeroką złotą obrączkę. Małżeństwo zostało zawarte i nikt nie miał prawa go kwestionować. Pani El Dżajad jako pierwsza złożyła życzenia nowożeńcom. Była szczęśliwa, że wreszcie są małżeństwem. Kolejne życzenia, prezenty. Anna nie wiedziała, co tak naprawdę się dzieje. Nie miała pojęcia, czy nadal znajduje się w pałacu, czy też pojechali do meczetu i tam kapłan udzielał im ślubu.

Weszli do jadalni, gdzie na gości czekały suto zastawione stoły. Tam rozpoczęła się prawdziwa uczta. Młoda para zajęła zaszczytne miejsce przy przygotowanym dla nich stole. Anna niewiele jadła, robiła to odruchowo, pod dyktando Saida.

Mijała szósta godzina czaru. Anna poczuła, że robi jej się niedobrze. Obraz stawał się wyraźniejszy. Przy stołach siedzieli jacyś ludzie. Jedli, uśmiechali się. Usłyszała dziwną muzykę. Co ona tu robi? Na środkowym palcu lewej dłoni szeroka złota obrączka, tak szeroka, że nie zmieściłaby się obok pierścionka na serdecznym palcu. Spojrzała w bok. Said szczęśliwy, uśmiechnięty. Tak, stało się. Są małżeństwem i już nie może od niego uciec. Poczwała, że musi iść do toalety, inaczej zwymiotuje przy gościach, a tego wstydu chciałaby zaoszczędzić sobie i Saidowi. Delikatnie dotknęła jego dłoni. Spojrzał w jej stronę.

– Jest mi niedobrze – szepnęła. – Wyprowadź mnie.

– Zaczynasz być sobą – zauważył. – Wstańmy.

Ujął jej dłoń. Podnieśli się z krzesel. Said powiedział kilka słów w swoim języku. Goście roześmiali się i pokiwali głowami. Oboje opuścili salon. Zaprowadził Annę do łazienki. Do sedesu zwymiotowała zawartość żołądka. Długo płukała wodą usta, by pozbyć się nieprzyjemnego smaku. W tym czasie Said, cierpliwie czekając na korytarzu, wydał służącemu parę poleceń. Anna po

kilku minutach wyszła z łazienki. Jej twarz była blada, a na policzkach widniały niestarte krople wody.

– Już ci lepiej? – spytał z troską w głosie.

– Nie musiałeś tego robić – przecząco pokręciła głową. – Nie musiałeś podawać mi narkotyku.

– Musiałem. Byłaś wzburzona. Bałem się, że zrobisz jakieś głupstwo.

– Czy kiedy po raz kolejny będę wzburzona, znów podasz mi narkotyk?

– Nie – przyciągnął ją do siebie.

– Mam nieświeży oddech – odwróciła twarz.

– Chodźmy więc do naszej sypialni. Napijesz się ziołowej herbaty i od razu poczujesz się lepiej.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do drugiej części pałacu. Służący otworzył drzwi prowadzące do książęcych apartamentów. Znała to miejsce. Była tutaj w odwiedzinach u matki Saida.

– Od dzisiaj będziesz mieszkać tylko w tej części pałacu.

– Pod kluczem?

– Nie. Możesz poruszać się swobodnie po całym pałacu, pytanie tylko, po co?

Służący otworzył brązowe dwuskrzydłowe drzwi. W pomieszczeniu było w miarę jasno. Do zachodu słońca pozostały trzy godziny. Oboje weszli do dużej sypialni. Pośrodku stało duże łóżko z baldachimem, obszyte białymi jedwabnymi firankami. Na podłodze leżał beżowo-brązowy dywan przeplatany żółtymi motywami przypominającymi pędy fasoli. Duża komoda, lustro, stół przykryty białym obrusem, a na nim dzbanek z herbatą i dwie filiżanki. Dwa wyścielane beżową tapicerką krzesła.

Drzwi zamknęły się. Anna czuła, jak jej serce przyspiesza swój rytm. Przecież już była z mężczyzną. Tajniki wspólnego pożycia nie są jej obce. Dlaczego się boi? Miała żal do Saida, że podał jej narkotyk. Była ciekawa, jak będzie wyglądać ceremonia zaślubin. Kiedy któreś z ich dzieci spyta, jak wyglądał ich ślub, ma powiedzieć, że nie pamięta, bo ich tatuś wrzucił jej do napoju jakiś narkotyk?

Said rozlał herbatę do filiżanek. Poprosił Annę do stołu. Usiadła.

– Napij się – podał jej filiżankę. – Poczujesz się lepiej.

– Nie wiem, czy mogę ci zaufać – nie odebrała filiżanki z jego rąk.

– Co się z tobą dzieje? – nie rozumiał. – Co robię nie tak?! – podniósł głos, upił nieco herbaty. – Sprawdzona – postawił przed nią filiżankę. – Możesz pić.

Podszedł do bocznych drzwi i zniknął w nieznanym Annie pomieszczeniu na trzy, cztery minuty. Napiała się herbaty. Smakowała jak mięta z odrobiną cytryny i cynamonu. Ciekawy smak. Opróżniła filiżankę. Nieprzyjemny smak w ustach zniknął i poczuła się znacznie lepiej. Zdjęła z głowy diadem i położyła go na stole. Zsunęła buty ze stóp. Ponownie napełniła filiżankę herbatą.

Powrócił Said. Zauważyła, że nie ma na głowie fezu, a jego suknia jest rozpięta pod szyją. Na twarzy i zaroście męża zauważyła kropelki wody. Musiała bardzo go zdenerwować, skoro aż obmył twarz. Usiadł naprzeciw niej.

– Ciekawy smak – napiała się herbaty.

Milczał. Jego mina wskazywała, że jest wzburzony. W milczeniu opróżnił filiżankę. Czowała, że jeśli dalej będzie się opierać, weźmie ją siłą. Jest jego żoną, ma do tego prawo. Ale to wcale nie będzie przyjemne i może zabołec.

– Pora zdjąć welon – wstała, odchodząc od stołu.

– Czy mogę ci pomóc? – podniósł się z krzesła.

– Tak.

Stanęła tyłem do niego. Delikatnie zdjął welon z głowy i rzucił go na dywan. Zabrała włosy z szyi. Said odpiął zaczep w brylantowej kolii. Kiedy rozpinął guziki ślubnej sukni, poczuła jego gorące dłonie na swoim karku. Powoli podniosła sukienkę ku górze. Said pomógł jej pozbyć stroju. Odrzucił go na bok. Anna stała w samej bieliźnie i pończochach. Said zdjął galabiję i spodnie. Jego usta dotknęły karku dziewczyny. Zsunął ramiączka stanika z jej ramion. Jego dłonie spoczęły na nagich piersiach Anny. Przymknęła powieki, cichutko wzdychając. Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Kiedyś w jednej z gazet przeczytała, że mężczyźni pochodzący z krajów arabskich nie znają gry wstępnej i od razu dosiadają swoje kobiety. Pewnie zaraz dojdzie do zbliżenia i zamiast przyjemnego seksu pozostanie niemiłe wspomnienie poślubnej nocy. Trudno, jakoś to znieśie. Myliła się. Said nie śpieszył się. Zabrał się do zdejmowania

z nóg Anny podwiązek i pończoch, delikatnie całując jej stopy, łydki, kolana, uda, brzuch, piersi, szyję. Zapomniała o niedawnej kontuzji kolana, już nie czuła bólu. Przymknęła powieki. Jej palce zaciskały się na pościeli. Ten mężczyzna potrafił rozgrzać kobietę. Delikatnie zdjął z niej majtki. Rozchyliła uda i poczuła ciepło jego ciała na swoim brzuchu. Jego usta dotknęły jej ust. Tak bardzo go pragnęła. Uraza poszła w niepamięć, a rozkwitło pożądanie.

Tej nocy kochali się jeszcze trzy razy. Za każdym razem podobnie. Pocałunki, pieszczoty, a potem zbliżenie. Zmęczeni po miłosnych uniesieniach, zasnęli w środku nocy.

Zbudziła się przed południem. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Duże łóżce z baldachimem, biała satynowa pościel, a obok śpiący Said. Spojrzała na obrączkę. Wzięła ślub, ale nie pamięta ceremonii. „Czy to ważne?” – uśmiechnęła się. Przy jej boku spał najcudowniejszy na świecie kochanek. Gdyby wiedziała, że z niego taki ogier, tak długo by mu się nie opierała.

Musiała pójść do łazienki. Wzrokiem szukała szlafroka. Nie znalazła niczego, czym mogłaby się okryć. Nago wybrała się do pomieszczenia, które, jak przypuszczała, jest łazienką. Nie myliła się. Łazienka, w której się znalazła, była okazała. Stała w niej duża porcelanowa wanna, mogąca zmieścić z pięć osób, dalej kabina prysznicowa z niskim brodzikiem, duża umywalka, sedes. Dwudrzwiowa szafa z lustrem na drzwiach. Wszystko w białym kolorze.

Kiedy sobie ulżyła, zajrzała do szafy. Znalazła w niej białe i różowe ręczniki. W drugiej części były damskie i męskie szlafroki. Postanowiła wziąć prysznic. Odkręciła wodę i weszła do kabiny. Said przebudził się i skierował wzrok na poduszkę obok. Był sam. Rozejrzył się po pokoju. Do jego uszu dotarł szum wody. Postanowił dołączyć do żony. Wślizgnął się do kabiny.

– Możemy wykapać się razem? – szepnął.

– Zgoda, umyjesz mi plecy – podała mu mydło.

Said naniósł mydło na dłonie, po czym delikatnie zaczął masować jej plecy, pośladki, uda. Wzięła głęboki oddech. Jeszcze nigdy nie była z mężczyzną pod prysznicem. Nowe doświadczenie okazało się bardzo przyjemne. Mężczyzna przesunął lewą dłoń na jej brzuch, a prawą w stronę piersi przytulając się do jej wilgotnych

pleców. Przymknęła powieki, ocierając skroń o jego policzek. Pragnęła się z nim kochać. Zakręcił wodę i zniósł mokrą Annę na łóżko. Znów się kochali. Wydawało się, że Said nadrabiał stracone dni, kiedy chciał jej się przypodobać, a ona go ignorowała. Kiedy – przytuleni do siebie – odpoczywali po miłosnym uniesieniu, spytał:

– Czy jesteś ze mnie zadowolona?

– Spójrz mi w oczy, a się dowiesz.

– Nie muszę patrzeć ci w oczy. Twoje ciało mówi, że tak. Dawno nie miałaś mężczyzny.

– Skąd ta pewność?

– Wyczułem to, kiedy cię posiadałem. Tak było z moją drugą żoną Afrą. Kiedy wyjeżdżałem na dłużej i powracałem, była spragniona miłości, jak ty teraz.

– To źle czy dobrze?

– Dobrze – uśmiechał się, patrząc jej w oczy.

– Masz dla mnie jakieś stroje, czy mam całe dni przeleżeć nago w pościeli?

– Chciałbym, aby tak było. Wkrótce pojedziemy do miasta i kupisz sobie coś ładnego. Co tylko będziesz chciała.

– Czy to ma być ładne, czy drogie?

– Ma być ładne. Jesteś moją żoną i musisz wyglądać stosownie do swojej pozycji. O pieniądze się nie martw. Mam ich dużo.

– Czyli mam kupować ubrania, które ty wybierzesz?

– Wiem, że lubisz ładnie się ubierać. Mogę jedynie ci podpowiedzieć, w jakich strojach kobiety chodzą w moim kraju.

– A, zapomniałam, w twoim kraju kobiety ubierają się inaczej niż w Ameryce. Mniej wyzywająco.

– Właśnie – potwierdził. – Noszą suknie podobne do tej błękitnej, tylko ciemniejsze. Sięgające do kostek, zakrywające ramiona i dekolt. Do tego chusta na głowie.

– I zakonnica gotowa.

Said roześmiał się w głos. Dla niego to żart, dla niej niewola. Trudno, będzie chodzić w długich sukniach, zakrywać ramiona i włosy. Przecież i tak zamieszka w zamkniętym obiekcie i nie będzie pokazywać się ludziom. Jakoś to przeżyje.

– Zakonnice nie noszą biżuterii – powiedział.

– Ja też nie – przypomniała.

– Ale będziesz ją nosić. Klejnoty nie mogą leżeć w zamknięciu, skoro mam tak piękną żonę.

– A komu niby mam je pokazywać, siedząc cały czas w pałacu?

– Mnie będziesz je pokazywać.

– Dobrze. Dla ciebie będę je przewietrzać.

– I z kim ja się ożeniłem?

– Było wcześniej o tym pomyśleć. Moim chłopakiem był Steve. To za niego chciałam wyjść.

– On nie był tobie przeznaczony, tylko ja.

– Więc, zamiast Steve'a, teraz ty musisz znosić moje humory.

– Jakoś to przeżyję.

Ten dzień przeleżeli w łóżku. Tam też zjedli śniadanie i obiad. Said chciał nacieszyć się Anną, czuć jej bliskość. Jej nawet się to spodobało. Kompletnie lenistwo przy boku męża. Kolację zjedli przy stole, ubrani w szlafroki. Po skończonym posiłku Said poprosił Annę, by usiadła na skraju łóżka. Z sejfu schowanego pod obrazem przedstawiającym swoją matkę wyjął pozłacaną szkatułkę i postawił ją na kolanach żony. Powoli podniosła wieczko. Jej oczom ukazała się bogato zdobiona złota biżuteria: kolczyki, pierścionki, bransoletki, wisiorki, łańcuszki. Wszystko to wysadzone rubinami, brylantami. Na samym dnie leżały dwa sznury pereł.

– Ładne – powiedziała.

W jej głosie nie wyczuł entuzjazmu, a na twarzy nie ujrzał zachwytu, uśmiechu. Powiedziała to takim tonem, jakby zobaczyła coś zwyczajnego. Coś, co nie daje przyjemności. Gdyby mieszkała w swoim kraju i jej narzeczony lub mąż obdarował ją szkatułką pełną biżuterii, chwaliłaby się koleżankom, zakładała błyskotki, chodząc na imprezy. Jednak tutaj nie było nikogo, komu mogłaby pochwalić się bogactwem.

– Jesteś dla mnie ogromną zagadką – usiadł obok niej. – Gdy ujrzałaś kwiaty w moim ogrodzie, byłaś tak zachwycona ich widokiem, że zobaczyłem w twoich oczach łzy. Kiedy byliśmy na szczycie góry i spojrzałaś w dal, twoja twarz promieniała. Kiedy daję ci klejnoty, którymi powinnaś się zachwycić jak każda kobieta, gardzisz nimi. Nie rozumiem tego. Czekam na twój zachwyty.

– A co to ja biżuterii nie widziałam?

– No masz – rozłożył ręce. – Powiedz, gdzie widziałaś takie klejnoty?

– W sklepie jubilerskim. Chodziłam tam z koleżankami i gapiliśmy się na wystawę. Mówiliśmy, jaki chcemy dostać pierścionek od narzeczonego.

– Czy taki – ujął jej lewą dłoń – chciałaś dostać pierścionek?

– Wiesz, trochę inny.

– Czy nie podoba ci się?

– Jest piękny – spojrzała mu w twarz. – Chciałam, by mój pierścionek zaręczynowy był trochę tańszy.

– Zaslugujesz na każdy klejnot z tej szkatułki. Wybieraj.

– Sam powiedz – wzięła do ręki sznur pereł. – Do czego mam to założyć? Nie widzę tu żadnej sukienki. Chyba że chcesz, bym zakładała je na gołe ciało – odłożyła perły na miejsce.

– Będą i sukienki – uśmiechnął się.

– Pierścionek i obrączka wystarczą – zamknęła wieczko. – Schowaj szkatułkę w bezpiecznym miejscu.

– Nie. Moja żona ma nosić klejnoty – podniósł wieczko. – Bransoletki, wisiorki są do noszenia. Chcę, abyś każdego dnia zakładała coś innego.

– Dobrze. Skoro tego chcesz, dla ciebie będę się stroić – wzięła do ręki złotą bransoletkę wysadzaną rubinami. – Jutro mogę ją założyć. Dla ciebie. Albo nie – spojrzała mu w twarz. – Sam będziesz wybierał klejnoty, w jakich mnie będziesz chciał zobaczyć w danym dniu. Zgoda?

– Niech będzie. Nie mam zamiaru się z tobą sprzeczać.

Schował szkatułkę do sejfów. We dwoje wzięli kąpiel w wielkiej wannie. Był plyn do kąpieli, piana i miłosne igraszki.

Kiedy zbudziła się następnego dnia, łóżko było puste. Nie wiedziała, która godzina, ponieważ nie miała przy sobie zegarka. Czekala chwilę. Said nie pojawil się. Założyła szlafrok i poszła do łazienki. Kiedy z niej wróciła, pokój nadal był pusty. Podeszła do drzwi balkonowych i złapała za klamkę. O dziwo, nie były zamknięte na klucz. Wyszła na zewnątrz. Oparła dłonie o poręcz i spojrzała w dół. Jej oczom ukazały się dziedziniec i wejście do pałacu. To stąd Said obserwował ją, kiedy przyjechała tu na koniu. Był wtedy w sypialni. W jaki sposób tak szybko doszedł do salonu z chorą

nogą? Ledwo zamieniła parę słów z panią El Dżajad, a on już stał w drzwiach... Ciekawe... Spojrzała w drugą stronę. Jej wzrok zatrzymał się na postaci kuzyna Saida. Przyglądał jej się z podniesioną głową. Wycofała się do pokoju. Z nudów przyglądała się wiszącym na ścianie obrazom przedstawiającym górskie pustynne pejzaże.

Tuż za łóżkiem zauważyła niewielkie, równe pęknięcie. Podeszła bliżej i oparła dłoń na wypustce drewnianej podpory baldachimu, wpatrując się w rysę. Pęknięcie w ścianie powiększyło się ruchem posuwistym, ujawniając ukryte niewielkie pomieszczenie. Zamarta w bezruchu, lecz ciekawość była silniejsza od strachu. Powoli weszła do nieznanego pomieszczenia. W półmroku ujrzała kręcone drewniane schody prowadzące w dół. Zablokowała drzwi krzesłem i zaczęła schodzić stopień po stopniu. Zatrzymała się przed jasną taflą, obok której przeszedł służący. Tak, to weneckie lustro wiszące na ścianie korytarza. Służyło za tajne przejście. Bardzo sprytne. Teraz już wie, dlaczego tamtego dnia Said tak szybko pojawił się w salonie.

Ujrzała kuzyna El Dżajada. Tego samego, który przed chwilą obserwował ją stojącą na balkonie. Zawróciła i prawie pobiegła schodami w górę. Odsunęła krzesło, lecz tajne wejście nie chciało się zamknąć. Wyczuła wypustkę na podporze baldachimu. Nacisnęła ją. Drzwi zamknęły się. Odetchnęła z ulgą. Posiedziała chwilę na łóżku, Said nie zjawił się. Wstała i podeszła do drewnianych drzwi w kolorze jasnego mahoni, przypominających zamknięcie szafy. Otworzyła je szeroko. Zamiast odzieży ujrzała drugie duże pomieszczenie. Znajdowała się z nim szeroka kanapa obszyta naturalną skórą. Stał tam też drewniany niski stół, a przy nim cztery skórzane fotele. Z boku, pod ścianą, blisko okna na komodzie stał trzydziestodwucalowy telewizor, a obok dekodery. Po prawej stronie od wejścia ujrzała dwie duże szafy. Wszystkie meble były koloru jasnego mahoni. Anna podeszła do pierwszej szafy i zajrzała do środka. Znajdowała się tam odzież Saida. Ułożona na półkach biała bielizna. Bawełniane podkoszulki, skarpetki, bielizna osobista. Na wieszakach wisiały jego służbowe mundury, odzież noszona na co dzień oraz obuwie. Zajrzała do drugiej szafy i zobaczyła swoją odzież, walizki i podręczną torbę. Bielizna

osobista i bawełniane koszulki oraz ręczniki ułożone były na dwóch półkach. Na wieszakach wisiała pozostała odzież, poniżej obuwie. Znalazła swoje piżamy, ale wiedziała, że Said woli, by nosiła koszulę nocną. Szybciej się ją zdejmuję. Nie zastanawiając się, zrzuciła z siebie szlafrok i założyła bieliznę, a na wierzch bawełnianą błękitną sukienkę. Było jej chłodno, więc włożyła sweter. Wsunęła na stopy sandały.

Wróciła do sypialni. Said stanął w drzwiach.

– Widzę, że znalazłaś swoje rzeczy.

– No wiesz... – odparła zaskoczona. – Nie mogę ciągle chodzić w szlafroku.

– Dla mnie możesz...

– Tak, wiem – weszła mu w słowo. – Ale czy już nie napatrzyłeś się na mnie?

– Ciągle mi mało.

– A ja jestem głodna.

– Właśnie zamierzałem zbudzić cię na śniadanie. Moja matka chce, byśmy zjedli śniadanie we troje.

– Dobrze.

– Zanim pójdziemy, założysz coś ze szkatułki – podszedł pod ścianę z ukrytym sejfem. – Zdejmij ten sweter. Nie pasuje do sukni – otworzył drzwiczki. – Muszę zabrać cię na zakupy. Nie możesz chodzić tak ubrana.

– Sukienkę też mam zdjąć? – zdenerwowała się.

– Sukienka jest dobra – postawił szkatułkę z biżuterią na stole. Wyjął z pudełka dwa sznury białych pereł i założył Annie na szyję. Na przeguby dłoni wsunął po dwie bransoletki wykonane z pereł.

„A jednak jestem niewolnicą” – pomyślała. „Ciekawe, czy kiedy zechcę pójść na spacer, będzie mnie pilnował strażnik?”.

Schował szkatułkę do sejfu, po czym wyszli z sypialni na korytarz. Przeszli do pokoju pani El Dżajad, gdzie czekało na nich śniadanie: herbata, słodkie rogaliki, pszenne bułki, dżem, mód, kozi ser i pokrojona w plastry pieczona baranina. Księżna z uśmiechem przywitała Annę. Said podszedł do stołu.

– Tak się cieszę, że jesteś już moją synową. Czy Said – zbliżyła twarz do jej głowy – jest dobrym kochankiem?

Anna zawstydziała się. Nie spodziewała się usłyszeć takiego pytania z ust teściowej.

– Śmiało. Nie ma się, czego wstydzić – szepnęła staruszka.

– Jest cudowny – również szeptem odpowiedziała Anna.

– No widzisz? – uśmiechnęła się. – Niepotrzebnie się go bałaś.

„Udany seks nie zawsze oznacza wspaniałą miłość i dobre małżeństwo” – pomyślała. „Kiedy żyje się w wolnym kraju i nikt nie narzuca innym swojej woli, miłość wygląda inaczej. Tu nie mam wpływu na swoje życie. Said podejmuje za mnie decyzje”.

Zasiedli do stołu. Służący rozlał herbatę do porcelanowych białych filiżanek. Pani El Dżajad powiedziała coś do syna po arabsku. Uśmiechnął się i spojrzał w stronę Anny. Tak, matka zdradziła mu słowa jego żony, że jest cudownym kochankiem. Był z siebie bardzo dumny.

Wspólne śniadanie, wspólny obiad. Wspólny spacer po ogrodzie. Anna wreszcie mogła poczuć powiew wiatru we włosach, promienie słońca na twarzy. Said wypuścił z kojca psa. Abu ucieszył się na widok Anny. Łasił się, podskakiwał, piszczał.

– Dlaczego ten pies tak cię lubi? – nie rozumiał Said.

– Bo jest tak samo samotny jak ja.

– Już nie jesteś samotna. Masz mnie, nową matkę.

– Obojgu nam... przyjdzie żyć w klatce.

– Nie rozumiem cię – jego twarz spoważniała.

– Narzucasz mi swoją wolę i chcesz mnie wytresować jak Abu.

Zastanowił się nad jej słowami. Mówiła prawdę. Chciał ją sobie podporządkować, zapominając, że jest wolną amerykańską kobietą, a nie posłuszną mużłmanką. Musiał dać jej więcej swobody, nauczyć się jej słuchać.

Tak jak obiecał, następnego dnia helikopterem wybrali się na zakupy do Aleppo. Said ubrany był w wojskowy jasnobezowy mundur, Anna miała na sobie sukienkę w różyczki, czarny żakiet, rajstopy i białe buty na obcasie. Te same, w których brała ślub. Włosy ukryła pod szeroką czarną apaszką. Powinna była ubrać się jak mieszkanki tego kraju, lecz pamiętając wczorajsze słowa żony, Said postanowił dać jej wolną rękę.

Wylądowali na lotnisku, a stamtąd wynajętą limuzyną podjechali pod sklep dla bogatych turystów. Weszli do środka. Od razu stali się

obiektem zainteresowania. Syryjczyk w wojskowym mundurze i młoda, ładna kobieta o jasnej karnacji, ubrana inaczej niż muzulmanki. Służka i ochroniarz. Spojrzenia ekspedientek zatrzymywały się na dłoniach obojga. Nietrudno było zgadnąć, że tych dwoje jest małżeństwem. Chodzili od stoiska do stoiska. Długie suknie w jednym kolorze: granatowe, czarne, niebieskie, brązowe, szare. Proste szare, czarne płaszcze. Żadnych garsonek, kostiumów. Jeśli to ma być sklep dla bogatych turystów, to Anna chyba jest zbyt biedna, bo nic się jej nie podobała. A to, co akurat wpadło jej w oko, nie przypadło do gustu Saidowi.

– To możemy wracać do domu – powiedziała z rezygnacją.

– Nic nie kupiłaś.

– Wiesz co? Wybierz trzy czarne suknie, bo dla mnie tu nie ma nic, w czym mogłabym chodzić.

– Dobrze, pojedziemy do innego sklepu. Może w katolickiej dzielnicy coś ci się spodoba.

Pojechali w tamto miejsce. Anna przypomniała sobie, jak przyjechała tutaj, by pozbyć się pierścionka. Kiedy już mieli wejść do sklepu, nie wiadomo skąd pojawiła się staruszka, która przepowiedziała Amerykance jej przyszłość. Wyglądała trochę inaczej. Była zadbana, miała na sobie nową czarną suknię, jej włosy otulał koronkowy czarny szal. Ukłoniła się i powiedziała coś do księcia. Uśmiechnął się. Anna chciała znać jej słowa.

– Co mówi? – spytała.

– Że naszym pierwszym dzieckiem będzie syn.

– Tak, wiem – powiedziała bez entuzjazmu w głosie.

– Skąd?

– Miałam sen – odparła.

Kobieta znów zaczęła mówić. Z jej zachowania, kiwającej się głowy, można było wywnioskować, że mówi coś smutnego. To było przeznaczone dla uszu El Dżajada.

– Twoja żona jest nieszczęśliwa. Czuje się jak niewolnica.

Said spoważniał i spojrzał na Annę. Istotnie, była smutna. Nie chciał zdradzić żonie słów staruszki. Kobieta ukłoniła się i odeszła.

Może właśnie pojawienie się jej i słowa, które wypowiedziała, sprawiły, że tym razem Said nie wtrącał się do robionych przez Annę zakupów. W tym sklepie też były długie sukienki, ale znacznie

ładniejsze. Szyte z jedwabiu, aksamitu, atłasu. Rozkloszowane, proste u góry, od pasa poszerzane. W jednym kolorze, kwieciste, pasiaste. Z rękawem długim i sięgającym do łokcia. Wybrała pięć sukienek. Prostą niebieską i różową z rękawem do łokcia. Obie z jedwabiu. Bordową i granatową z aksamitu, lekko rozkloszowaną, z długim rękawem. Piąta sukienka była ciemnofioletowa, odcinana tuż pod piersiami, plisowana ku dołowi. Był to strój ciężowy. Said domyślił się celu tego zakupu. Nie podobała mu się ta sukienka, lecz czego się nie robi dla ukochanej kobiety? Anna wybrała trzy długie białe atłasowe halki i dwie czarne. Nie zauważyła stoiska z bielizną osobistą. Czy muzułmanki nie zakładają staników i majtek?

– To możemy wracać do domu – powiedziała.

– Czy na pewno wszystko kupiłaś? – z uwagą spojrzał jej w twarz.

– Tak – potwierdziła.

– Ale jak na stały pobyt tutaj... przy mnie kupiłaś za mało sukienek.

– Już kiedyś słyszałam podobne zdanie – zastanowiła się. – Wiem. Kiedy miałam przyjechać tu do Syrii z dwoma walizkami, profesor Durell spytał, czy przypadkiem nie wzięłam za mało rzeczy. Do tej pory dwie walizki ciuchów wystarczały mi. Ale jeśli uważasz, że to za mało, sam wybierz mi sukienkę. Będę ją nosić.

– Dobrze.

Wziął ze sobą służkę i poszedł w głąb sklepu. Po chwili wrócił z czerwoną jedwabną sukienką, spod której wyglądała czerwona halka.

– Tylko nie czerwona. Chcesz, żebym wyglądała jak dziwka?

– Jak...? – był zaskoczony jej wypowiedzią. – Będiesz ją zakładać, kiedy nie będziesz mogła... Jak będziesz miała kobiecą przypadłość.

– I tylko wtedy?

– Tak.

– Niech będzie. Może koszulę nocną też wybiorę w czerwonym kolorze?

– Weźmiemy dwie.

Dziwne zwyczaje. To już nie ma prawa mu powiedzieć, że ma okres i nie może się z nim kochać przez najbliższych pięć dni?

– A teraz pójdziesz z Jasmin za tamte drzwi i wybierzesz sobie bieliznę.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Mężczyźni – ściszył głos – raczej tam nie chodzą z kobietami.

– W moim kraju chodzą.

Podeszła pod jednoskrzydłowe drewniane drzwi, na których widniał napis w czterech językach: arabskim, angielskim francuskim i niemieckim – „Dział dla kobiet”. No tak. Sam napis odstrasza panów. W dużym pomieszczeniu obsługiwały dwie młode ekspedientki. Jedna z nich mówiła po angielsku. Anna wybrała dla siebie bieliznę, majtki, biustonosze, pończochy z podwiązkami. Uznała, że tu nie wiedzą, co to rajstopy. Po udanych zakupach wrócili do pałacu na obiad.

Mijały dni. Said, jak obiecał, kazał odesłać bagaże amerykańskiej ekipy odkrywców do Stanów. Do taśm filmowych dołączył tę z ich zaślubin. Powrócił do swoich obowiązków. Anna zastanawiała się, dlaczego pracuje, skoro jest bogaty. Może i dobrze, że znika na dzień czy dwa. Ma więcej swobody i nie musi wysłuchiwać jego kazań, co wolno żonie księcia, a czego nie wypada robić. Musiała podporządkować się do ustalonych tu od lat pór spożywania wspólnych obiadów i kolacji. Śniadania jadało się osobno, bo nie każdy wstawał o tej samej porze.

Z nudów samotnie zwiedzała pałac. Któregoś dnia wspięła się schodami na ostatnie piętro wieży zbudowanej od strony dziedzińca. Przez niezamknięte drzwi weszła do okrągłej sali i zobaczyła lunetę skierowaną na zachód. Podeszła bliżej i spojrzała przez okular. Zamarła. To z tego miejsca Said obserwował ich obóz. Oglądał ją, jak porusza się po obozie i jak Steve całował ją przy studentach. Wiedział też, kiedy odpoczywała w oazie. Nie miała o tym pojęcia. Patrzyła chwilę przez lunetę na puste miejsce, gdzie jeszcze niedawno rozbite były namioty Amerykanów. Skierowała okular w stronę wydm. Pośród piasku ujrzała nagie kontury murów zaginionego miasta. Amerykańska ekipa odkrywców włożyła tyle pracy w to, by odkryć przyczynę zaginięcia miasta, a wystarczyła jedna gwałtowna burza i wszystko zostało zniszczone. Ciekawe, czy udało im się zgrać taśmy, zrobić reportaż i wyemitować go w miejscowej telewizji? Ale to nie jej zmartwienie. Bardziej

niepokojące były wizyty kuzynów Saida. Czowała strach, widząc ich w pałacu. Pewnego dnia, kiedy wraz ze służącymi z nudów robiła porządki w salonie dla gości, zjawił się jeden z nich, wysoki zezowaty Baszar. Anna ustawiała zabytkową wazę na komodzie, kiedy niespodziewanie ujął jej lewą dłoń i pocałował, mówiąc coś po arabsku. Spojrzała na niego z przestraszeniem. W jego oczach zobaczyła pożądanie. Wyrwała dłoń z uścisku mężczyzny. Zawołała Jasmin.

– Spytaj, czego on chce.

Po chwili Jasmin przetłumaczyła Annie jego słowa.

– Mówi, że taka piękna kobieta nie może kłaść swoich dłoni pracą.

– Powiedz mu, że doglądam waszej pracy i mam do tego prawo. A dotykać może mnie tylko Said.

Służka przekazała mu słowa swojej pani. Uśmiechnął się. Powiedział długie zdanie, z którym Jasmin miała problemy.

– Pan mówi, że Said ma niebezpieczną pracę. Kiedy go zabraknie, ktoś musi się panią zaopiekować.

To zabrzmiało jak groźba.

– Niech go o to głowa nie boli.

Słowa mężczyzny tak bardzo utkwily jej w pamięci, że nie omieszkała opowiedzieć mężowi o dzisiejszym zdarzeniu. Kiedy tylko zjedli kolację i udali się do sypialni, zaczęła rozmowę.

– Boję się twoich kuzynów. Zagrażają bezpieczeństwu tego pałacu, a w przyszłości naszym dzieciom, tobie.

– Skąd ta pewność? Miałaś sen o tym, że nam zagrażają?

– Nie miałam proroczego snu. Przy tobie już nic mi się nie śni.

– Więc skąd wiesz, że nam zagrażają?

– Wiem to... Boję się ich bardziej niż ciebie, kiedy cię poznałam. Oni są jak bandyci, którzy napadli na nasz obóz, żądali złota i chcieli zgwałcić panią doktor.

– Co ja słyszę? – Said był zaskoczony. – Żadna z was nie wspomniała o napadzie ani próbie gwałtu na Mary. Moim żołnierzom powiedzieliście, że to byli pijani wieśniacy. Kto was uchronił od tego całego zła?

– Ja.

– Ty? – uśmiechnął się, nie dowierzając.

– Pokazałam tatuaż, który kazalesz mi zrobić. Oddali mi pokłony, przeprosili nas, po czym odjechali.

– Ciekawych rzeczy się dowiaduję – Said zastanowił się. – To o tym niebezpieczeństwie mówił Hady. Czy poznasz tych bandytów?

– Nie – zaprzeczyła. – Byli zamaskowani.

– A co moi kuzyni mają wspólnego ze złem?

– Był dzisiaj Baszar. Ucałował moją dłoń. Czy ma prawo mnie dotykać?

– Nie ma prawa! – wzburzył się. – Ktoś może to potwierdzić?

– Jasmin i jeszcze paru służących.

– Co z nimi robiłaś?

– Doglądałam ich, jak sprząтали w salonie.

Said zamyślił się. Uwierzył jej słowom. Kiedy przedstawiał Annę jako przyszłą żonę, Baszar stwierdził, że i on chciałby poślubić takiego anioła.

– Dlaczego zwróciłeś się do nich po radę? – Anna była ciekawa.

– Nie mogłeś sam zdecydować o naszym ślubie?

– Gdybyś była mi przychylna, nie doszłoby do tego.

– Przepraszam, ale kiedy człowiek boi się nieznanego, ucieka, kryje się w mysiej dziurze.

– Dlaczego się mnie bałaś? Czy naprawdę jestem taki niedobry?

– Pochodzimy z różnych światów. Nigdy tego nie zrozumiesz.

– Bo nadal się mnie boisz? – patrzył jej w oczy. – Grasz uległą?

– Boję się twoich kuzynów i tego, że mogę cię stracić.

– To jak się mam ich pozbyć?

– Nie wiem. Jestem tylko bezbronną kobietą – zastanowiła się. – Może wyślij ich na jakąś misję. Jeśli stanie się cud, nigdy już nie powrócą. Chyba że nie są jak ty – żołnierzami – to będzie problem.

– Nie znałem cię od tej strony – zamyślił się. – Rada godna przemyślenia.

Zrobił tak, jak mu doradziła. Użył swoich wpływów, znajomości i już po dwóch tygodniach od rozmowy kuzyni zostali wysłani na tajną misję. Anna, dowiedziawszy się o tym, odetchnęła z ulgą. Teraz była spokojna o swoje bezpieczeństwo.

Mijały dni, tygodnie. Anna przyzwyczała się do nowego życia. Kiedy tęskniła za krajem, włączała telewizor i wyszukiwała amerykańskie programy. Kiedy bardzo się nudziła i w pałacu nie

było Saida, wymykała się do kuchni i szykowała sobie ulubione potrawy. Przy okazji mogła porozmawiać z personelem i szlifować język arabski. Musiała się go nauczyć. Jak długo ma korzystać z pomocy tłumacza? Służba zbierała się w kuchni, niektórzy mówili w dwóch językach, arabskim i angielskim lub arabskim i francuskim. Anna rozmawiała w dwóch językach, a kiedy się pomyliła, było wiele śmiechu, żartów. Nie obrażała się, żartowała sama z siebie, zyskując sympatię służby. Nawet pomocnik kucharza, który nie lubił Amerykanów, zaczął odnosić się do niej z szacunkiem. Poznała problemy służby, nawet zaproszono ją, by zobaczyła, w jakich warunkach mieszkają. Pomieszczenia były dawno nieodnawiane, miały brudne, popękane ściany. Wystarczy trochę szpachli, farby i pokoje będą odświeżone. Pewnego dnia Said wrócił wcześniej i nakrył ją, jak przesiaduje w kuchni. Na dodatek gotowała jakąś zupę, a kucharze się przyglądali. Pośpiesznie wyszła z pomieszczenia. Zimne spojrzenie męża mówiło samo za siebie. Wiedziała, że czeka ją głośnie kazanie. Milczał przez całą drogę do sypialni. Weszli do środka. Drzwi zamknęły się. Nie wiedziała, czy ma stać, czy usiąść. Na wszelki wypadek stanęła twarzą do Saida.

- Co robiłaś w kuchni ze służbą? – mówił podniesionym głosem.
- Dlaczego to ty gotowałeś, a nie któryś z kucharzy?
- Bo miałam ochotę na zupę...
- To za mało masz kucharzy?
- Chciałam ugotować dla siebie taką zupę, jaką lubię – usiadła w fotelu.
- Mogłaś podać przepis i wyjść.
- Chyba mam prawo chodzić tam, gdzie chcę i przebywać tam, gdzie mi się podoba?
- Jesteś moją żoną i zakazuję ci chodzić do kuchni i gotować zupki – wysunął ku niej wskazujący palec prawej dłoni. – Jeśli czegoś ci potrzeba, zadzwoń i powiedz, czego chcesz.
- A jeśli złamię ten zakaz – odważnie patrzyła mu w oczy – zamkniesz mnie w pokoju, a przed drzwiami postawisz strażnika?
- Wiem, że jesteś rozsądną kobietą i nie będę musiał tego robić – podszedł do niej.
- A jednak jestem dla ciebie niewolnicą, nie żoną.

– Nie masz prawa tak mówić! Jesteś moją żoną. Tak jest i pozostanie. Służba jest służbą i ma tu swoje miejsce. Ci ludzie są niżej urodzeni i nie należy się z nimi spoufalać.

– To, że są niżej urodzeni, nie znaczy, że nie mają uczuć. Tak samo jak my czują ból, radość i nie są gorsi od nas tylko dlatego, że nie mieli szczęścia urodzić się w bogactwie, a teraz muszą na siebie pracować, by przeżyć.

– To ich wybór – nerwowo chodził po pokoju.

– A czy służba ma żyć w chlewie? Odpadający tynk, brudne ściany. Czy w takich warunkach ma mieszkać służba, kiedy my pławimy się w bogactwie?

– Byłaś w pomieszczeniach służby? – zatrzymał się przed fotelem.

– Owszem. Chciałam obejrzeć cały twój pałac.

– To także twój pałac.

– Tylko z nazwiska, nie z dziedzictwa. Ty jesteś tu panem i głową rodziny. To ty o wszystkim decydujesz.

– Dobrze to ujęłaś. Jestem tu panem i władcą i nie masz tu nic do powiedzenia. Zakazuję ci spoufalać się ze służbą!

– Tak? – wstała z fotela. – Dobrze. Skoro nie mam tu nic do powiedzenia – patrzyła w jego zagniewaną twarz – postawię sobie namiot w ogrodzie i zamieszkać pośród kwiatów, a Abu będzie moim stróżem.

Ruszyła w stronę drzwi. Said pośpiesznie zaszedł jej drogę. Spojrzał żonie w twarz.

– Zrobiłabyś to?

– Tak – odważnie patrzyła mu w oczy. – Chyba poznałeś mnie na tyle dobrze, by znać moje fantazje i pomysły. Jeśli nadal chcesz, byśmy się kochali, zacznij zauważać wszystkich ludzi w tym pałacu. Zajrzyj do pomieszczeń służby. Wystarczy kupić trochę gipsu i farby, jakieś pędzle, a remont zrobią sobie sami.

– Zaczynasz wtrącać się w nie swoje sprawy.

– Było ożenić się z panią doktor – odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę okna. – Ona nie wtrącałaby się w twoje sprawy i nie spoufalała ze służbą – zatrzymała się przed oknem.

– Wybrałem cię, bo ciebie kocham, nie panią doktor – podszedł do niej. – Dlaczego obchodzi cię los tych ludzi?

– Bo któregoś dnia szczęście może się od nas odwrócić, staniemy się biedni i wtedy służba stanie przeciwko nam. Zaskarbiając sobie ich sympatię, zyskujesz nowych przyjaciół.

– Nie masz o czym myśleć?

– Myślę o przyszłości – odwróciła się twarzą do niego. – Chcę, by dzieci zrodzone z tego związku były bezpieczne.

– Będą.

– Czy jesteś pewny, że zawsze będzie tu panował pokój? Arabowie są narodem wojowniczym. Kto wie, co zdarzy się za parę lat? Pomyśl o tym.

– Czy musisz mącić mi w głowie? – ujął jej prawą dłoń.

– Ty jesteś tu panem i władcą. Zajrzysz do pomieszczeń służby?

– Jak znajdę czas, to zajrzę.

– Tak? No to dzisiaj śpisz sam – zabrała rękę. – Nie chcę zabierać ci cennego czasu.

Odwróciła się i zrobiła dwa kroki w stronę drzwi. Pośpieszył za nią i chwycił ją za ramię, zachodząc jej drogę. Wymienili spojrzenia.

– Gdybym tak bardzo cię nie kochał, zignorowałbym twoje humory. Nie chcę spać sam. Zajrzę do pomieszczeń służby.

– Dobrze.

Chciał ją pocałować, lecz odwróciła głowę na bok.

– A, to coś nowego – był zaskoczony.

– Jak dotrzymasz słowa, pozwolę się pocałować. Jestem głodna. Zaraz będzie obiad. Czy mogę odejść?

– Możesz. Zaraz do ciebie dołączę.

Uwolnił ją z uścisku. Opuściła sypialnię. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Said był wściekły za jej nieposłuszeństwo. Dał upust swoim emocjom, tłukąc wazon. Uśmiechnęła się do siebie. Dołączyła do teściowej, która siedziała samotnie przy stole, czekając, aż podadzą obiad.

– Słyszałam, że Said już wrócił.

– Tak. Przyjechał wcześniej.

– Czemu nie przyszliście razem?

– Musiał się przebrać.

– Ja czekałam na męża i razem udawaliśmy się na posiłek.

– Said pozwolił mi iść wcześniej.

Pojawili się służący z obiadem, a Saida nadal nie było. Annie chciało się jeść, lecz musiała cierpliwie czekać, aż mąż zaszczyci obie panie swoją obecnością przy stole. Pojawił się dziesięć minut później przebrany w długą beżową galabiję, jaką noszą muzułmanie. Miał mokre włosy. Zanim przyszedł na obiad, wziął kąpiel. W milczeniu zjedli zupę, a potem drugie danie. Pani El Dżajad zauważyła, że między młodymi jest coś nie tak. Spytała syna, czy mają jakiś problem. Zaprzeczył. Nie chciał zdradzić powodu milczenia. Był zły, że kobieta dyktuje mu, co ma robić. Żona powinna go słuchać i nie prowadzić z nim żadnych dyskusji.

Tego popołudnia Anna nie udała się do ich pokoi, tylko zeszła do biblioteki. Odnalazła książkę *Duma i uprzedzenie* przełożoną na język francuski i zaczęła ją czytać. Lepiej mówiła w tym języku, niż czytała, jednak miała czas, by się go lepiej nauczyć.

Zbliżała się pora kolacji a ona wciąż czytała. Said zajrzał do biblioteki.

– Czy długo jeszcze zamierzasz tu przebywać? – spytał.

– A byłeś w pomieszczeniach służby?

– Nie będziesz mi dyktować, co mam robić! – podniósł głos. – Jesteś moją żoną i masz mnie słuchać.

– Nie słyszałam przysięgi małżeńskiej – spojrzała mu w twarz. – Nie wiem, co mogę, a czego nie. Nie ja wlałam sobie narkotyk do napoju.

Na jego twarzy malował się gniew. Spuściła wzrok. Zaczęła się bać, że znów krzyknie albo wyrwie jej książkę z rąk i siłą zaciągnie ją do sypialni. Nie zrobił tego. Usłyszała, jak głęboko odetchnął, odwrócił się i opuścił pomieszczenie. Odczekała chwilę i ukradkiem wyjrzała na korytarz. Said zniknął za zakrętem, udał się do trzeciego skrzydła pałacu. Poszła za nim. Na własne oczy chciała zobaczyć, czy odwiedzi pomieszczenia dla służby. Przemykała między niszami wyżłobionymi w ścianach korytarza, lecz Said i tak ją zauważył.

– Już możesz przestać się skradać – powiedział z uśmiechem. – Widzę cię. Nie jesteś dobrym szpiegiem.

– Bo nie ma się gdzie ukryć – odparła. – Za dużo światła.

Wspólnie z dwoma sługami obejrzelili dwa pomieszczenia.

– Jak ci się podoba? – wskazała na sufit. – Cóż za piękny motyw odpadającego tynku! A kolor tych ścian? Wczesny stary brud.

- Nie musisz komentować.
- Kiedy ostatnio tu byłeś?
- Nie pamiętam. Kiedy żył ojciec, przyprowadził mnie tutaj, a właściwie do tej części pałacu, i powiedział, że kiedy go zabraknie, to wszystko będzie należało do mnie.
- To nie przychodziłeś złożyć życzeń w Wigilię?
- W Wigilię? – nie zrozumiał.
- W grudniu. Na Boże Narodzenie.
- U nas nie ma takich świąt.
- A, zapomniałam. Inna kultura.

Ciekawe, jakie ona będzie obchodzić święta? Ależ to smutne... Żadnych prezentów od Mikołaja, świątecznych życzeń, pierwszej gwiazdki. Jakoś to przeżyje.

Przeszli do kolejnego pomieszczenia. Było równie obskurne, co poprzednie. Tutaj oprócz wykonania remontu ścian trzeba było kupić nowe meble. Drugi kucharz i jego żona spali na podłodze, ponieważ ich łóżko dawno się rozleciało.

- I co z tym zrobisz? – spytała Anna, pokazując leżące na podłodze stare koce.
- Muszę zrobić ci dziecko, żebyś zajęła się własnymi sprawami.
- Zanim urodzi się nasze dziecko, minie dziewięć miesięcy. To dużo czasu na rozmyślanie.
- A kiedy przestajesz myśleć?
- Kiedy się z tobą Kocham.
- To stwierdzenie przypadło mu do gustu. Był z siebie dumny.
- I jak będzie? Kupisz farby, gips? – była ciekawa.
- To będzie sporo kosztować.
- To sprzedaj część biżuterii – zaproponowała. – Mnie nie jest ona potrzebna.
- To rodzinne klejnoty, teraz są przeznaczone dla ciebie.
- Więc mogę nimi dysponować?
- Dopóki mam pieniądze, nie pozwolę ci sprzedać nawet pierścionka.

Po wspólnej rodzinnej kolacji udali się do sypialni. Tego wieczoru Anna przejęła inicjatywę w miłosnym uniesieniu. Pokazała, jak kobieta kocha się z mężczyzną. Kiedy leżeli obok siebie,

odpoczywając po zbliżeniu, przyznał, że warto było wbrew woli ugnać kark, a potem przyjąć tak niespodziewaną przyjemną nagrodę.

Tej nocy Anna znów miała sen. Przyśniła się jej staruszka. Powiedziała do niej po angielsku: „Przepowiednia się wypełnia. Poskromiłaś swojego męża, teraz to on będzie ci posłuszny, będzie cię słuchał, chociaż nie zawsze będzie się z tobą zgadzał”.

Said El Dżajad, tak jak obiecał – zarządził remont pomieszczeń służby. Ją samą przeniósł do pustych pomieszczeń w drugim skrzydle pałacu. Zatrudnił trzech katolickich murarzy. Odnowili ściany. Malowanie przypadło służącym. El Dżajad kazał wyrzucić stare, zniszczone meble, a na ich miejsce postawić te z pustych pomieszczeń, w których i tak nikt nie mieszka. Dwa tygodnie później służba powróciła do trzeciego skrzydła pałacu. W dowód wdzięczności kucharze przygotowali dla swego pana, jego żony i matki mały poczęstunek. Był kebab, gulasz z baranym mięsem i kaszą, słodkie racuszki, szaszłyki mięsno-warzywne. Lee Jang przygotował tort w dwóch smakach: czekoladowym i waniliowym. Poczęstunek przygotowano na dworze, tak aby wszyscy mogli zebrać się w jednym miejscu. Anna naliczyła, że służba liczy piętnaście osób plus pięciu strażników na zmianę pilnujących bramy do pałacu.

– Czy nie cieszy cię widok szczęśliwych ludzi? – spytała Anna.

– To hołd dla ciebie – szepnął jej do ucha.

– Nie dla nas obojga? – sprostowała.

– Nie. To twoja zasługa. Kiedy widzę ich spojrzenia, wiem, że to ty jesteś ich panią.

– To dobrze? – była ciekawa jego opinii.

– Tak – potwierdził. – Zaakceptowali cię. Dla niektórych Amerykanie są wrogami. Pokazałaś im, że jesteś inna. Za to cię szanują.

– A ciebie nie szanują?

– Mnie się boją. Niech tak zostanie.

*

Minęło dwa i pół miesiąca od dnia, w którym Anna została żoną Saida El Dżajada. W piątkowe przedpołudnie do pałacu przyleciał

duży wojskowy helikopter. Anna ubrana w długą bordową suknię bawiła się z psem w ogrodzie wśród drzew pomarańczy. Sądziła, że przybyli goście męża, więc nie śpieszyła się do pałacu. Pojawił się służący. Mąż zapraszał ją do gościnnego salonu. Nie śpieszyła się. Pewnie to nic ważnego. Pierwszy do salonu wbiegł Abu. Na widok obcych zawarczał. Said uspokoił go i kazał mu wyjść. Anna minęła psa, weszła do salonu i zamarła. Na kanapie siedzieli Steve, profesor Bateman, a obok nich ubrany w wojskowy granatowy mundur oficer amerykański. Na fotelach zobaczyła trzech mężczyzn w czarnych garniturach i białych koszulach. Każdy z nich miał na nosie okulary z przyciemnionymi szklami. Wyglądali jak agenci służb specjalnych. Steve podniósł się z kanapy. Trudno było im uwierzyć, że to ta sama Anna, którą tu zostawili. Była uśmiechnięta, zadbana, na twarzy brak śladów zmęczenia. Bordowa długa suknia, na przegubach obu rąk brylantowe bransoletki, na szyi złoty łańcuch ze zwisającym dużym brylantem. Włosy przewiązane jedwabną bordową apaszką. Dziewczyna z uśmiechem przywitała gości. Profesor podniósł się z kanapy. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Jak się cieszę, widząc was w zdrowiu – podeszła do kanapy. – Aż muszę was uściskać.

Nie zwracając uwagi na męża i pozostałych gości znajdujących się w salonie, wylewnie przywitała się z profesorem.

– Czy wszystko w porządku? – szepnął, kiedy się przytulili.

– Tak – szepnęła.

– Niech ci się przyjrzę – Bateman zmierzył ją wzrokiem. – Wyglądasz kwitnąco.

– Mój mąż tak o mnie dba.

Spojrzała w stronę Saida. Uśmiechał się. Podeszła do Steve'a. Jego spojrzenie zdradzało zachwyt jej widokiem. Popatrzyła na męża.

– Czy mogę?

Skinął głową. Anna uścisnęła Steve'a.

– Przyjechaliśmy po ciebie – szepnął.

– Cieszę się – szepnęła.

– Czy dobrze cię traktuje?

– Tak.

Anna odsunęła się od niego i usiadła obok męża na kanapie, tak blisko, jak tylko mogła. Biodrem dotykała jego uda.

– Przepraszam, a panowie kim są? – zrobiła gest ręką.

– To – Bateman wskazał na mężczyznę w mundurze – major Robert Orbach, a obok niego... Sam Salah, przedstawiciel naszego konsulatu. Pozostali panowie to agenci Terry Scott i Tom Logan.

– Panowie przyjechali po ciebie – wtrącił Said.

– Tak? – spojrzała w bok. Teraz dopiero zauważyła stojący na komodzie mały tranzystorowy telewizor. Na ekranie zobaczyła zatrzymany kadr. Obraz przedstawiał ją i Saida podczas wymiany obrączek.

– Widzę, że oglądaliście nasz ślub.

– Tak – potwierdził profesor Bateman. – Widzieliśmy, jak składałaś przysięgę.

Poczuła dotknięcie nogi Saida. Czyżby się bał, że zdradzi swój sekret i powie o narkotyku podanym w napoju? Spojrzała w twarz mężowi. Potem zerknęła na gości.

– Czy było inaczej? – spytał agent Scott.

– A może to nie ty stoisz przy panu El Dżajadzie – wtrącił Steve – tylko twój sobowtór?

– To ja – powiedziała w zamyśleniu.

– A może nie chce pani powiedzieć nam prawdy przy mężu? – przypuszczał agent Logan. – Może się go pani boi?

– Czy na filmie nie widać, jak składamy sobie przysięgę? – wtrącił Said.

– Widzieliśmy to doskonale – potwierdził agent Scott. – Ale kiedyś użył pan magii wobec panny Reed. Obawiamy się, że i w tym przypadku mógł pan posłużyć się tymi samymi czarami lub hipnozą.

– To wy twierdzicie, że użyłem magii – zaprzeczył Said.

– A zaczarowany pierścionek? – przypomniał Steve. – Wywoływał u Anny ból głowy...

– Czysty przypadek – Said był tajemniczy.

– Anno, czy możesz powiedzieć, jak naprawdę było z tym ślubem? – poprosił profesor Bateman. – Byłaś świadoma, wychodząc za pana El Dżajada?

Gdyby powiedziała, jak naprawdę było, jej małżeństwo zostałoby unieważniane. Ale czy ona tego chce? Od dnia, w którym zaczęła

kochać się z Saidem, nie miała miesiączki. Na pewno jest w ciąży, chociaż jeszcze tego nie odczuwa. Wróci do kraju i co dalej? Said i tak ją odnajdzie.

– Ciekawe jest to, co panowie mówią – uśmiechnęła się. – Nie byłam pod wpływem czarów ani hipnozy.

– Nie wierzę – zaprzeczył Steve. – Kłamiesz. Boisz się.

– Pan może nie wierzyć – spokojnym głosem zaczął Said. – Wiem, dlaczego. Odebrałem panu kobietę i nie może się pan z tym pogodzić. Na filmie dokładnie widać, jak Anna jest w ślubnej sukni, wkłada welon, składa przysięgę.

– Dobrze by było, gdyby pana żona porozmawiała z nami na osobności – zaproponował major Orbah.

– Dobrze – Said podniósł się z kanapy. – Będę w ogrodzie. Gdybym był potrzebny, proszę posłać po mnie służącego.

Anna wzrokiem odprowadziła męża do drzwi. Wyszedł z salonu, zabierając ze sobą psa. Agent Scott sprawdził, czy ich nie podsłuchuje, po czym zadał pytanie:

– Proszę powiedzieć, czy Said El Dżajad pani grozi, szantażuje panią?

– Nie – zaprzeczyła spokojnym głosem.

– Czy na pewno wyszła pani za niego z własnej woli? – pytał Logan.

– Właściwie... – zastanowiła się. – Tak.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – naciskał Scott.

– Anno, śmiało – zachęcał Steve. – Jego tu nie ma. Powiedz prawdę. Unieważnimy wasz związek i będziesz mogła powrócić do kraju.

– Słuchamy – Salah był ciekawy.

– Właściwie... – złożyła dłonie na brzuchu. – Cały ten ślub był dla mnie zaskoczeniem. Nie planowałam tego. Said wszystko przygotował, a ja poddałam się jego woli. Chciał mnie widzieć u swojego boku jako żonę, nie nałożnicę.

– Poddała się pani jego woli? – nie rozumiał agent Scott. – Czyli zmusił panią do tego ślubu?

– Nie zmusił – zaprzeczyła.

– Czy zna pani język arabski? – spytał agent Scott.

– Nie. Dopiero się go uczę.

– To jak wytłumaczysz słowa ślubnej przysięgi złożonej w języku arabskim? – zaciekał się Steve.

– Powtórzyłam to, co miałam powtórzyć...

– I doskonale ci poszło – przyznał Steve. – Nawet ja nie potrafiłem tego powtórzyć, a próbowałem pięć razy.

– A jak jest pani traktowana przez El Dżajada? – pytał Logan.

– Jak na razie dobrze.

– Czy kiedykolwiek panią uderzył, zmusił do uprawiania seksu? – pytał Scott.

– Nie musi mnie zmuszać...

– Więc śpicie razem – powiedział Steve.

– Jesteśmy małżeństwem.

– A gdzie pani była, kiedy przylecieliśmy tutaj helikopterem? – zaciekał się major.

– Byłam w ogrodzie, bawiłam się z Abu, psem Saida.

– Nie była pani zamknięta w pokoju? – dociekał major. – Długo pani do nas szła.

– Ogród z pomarańczami jest duży. Profesor może potwierdzić.

– To prawda – przyznał Bateman.

– Gdybym teraz zaproponował pani wyjazd do kraju, zgodziłaby się pani? – zaproponował Scott.

– W tej chwili nie – powiedziała z rozmysłem. – Jestem dobrze traktowana przez męża.

Gdyby przyjechali tu tydzień po ślubie, pewnie chciałyby wyjechać, ale teraz, kiedy przyzwyczała się do tego miejsca i tak dobrze jej z Saidem... w łóżku...

– A gdyby nie była pani dobrze traktowana przez męża, czy zgodziłaby się pani z nami jechać?

– Tak – przytaknęła. – Wtedy zgodziłabym się wracać do kraju.

– Kupił cię! – zakpił Steve. – Te brylanty i złoty wisior mówią same za siebie. Nawet masz ten sam pierścionek, którego się pozbyłaś.

– No właśnie... – Bateman spojrzał na jej dłoń. – Jak to się stało, że masz go z powrotem?

– Wrócił do mnie, bo jak powiedział Said, jest to pierścionek zaręczynowy przeznaczony tylko dla mnie... na wieki.

– Czy czar nadal działa? – zaciekał się profesor.

– Nie – uśmiechnęła się. – Kiedy przywitałam się ze Steve’em, nie rozboleła mnie głowa.

– Pierścioneł powodujący ból głowy? – agent Scott pokręcił głową.

– Czy odzyskaliście wasze bagaże? – zaciekała się Anna.

– Tak – potwierdził profesor. – Mile nas to zaskoczyło. Prawdę mówiąc, nie liczyłem na ich zwrot. Czy to twoja zasługa?

– Saida. Ja tylko mu o tym przypominałam.

– Myślę, że wyjaśniliśmy całą sprawę – konsul podniósł się z fotela.

– Ależ proszę poczekać – poprosiła Anna. – Zaraz będzie obiad – podniosła się z kanapy. – Mam tyle pytań. Proszę jeszcze zostać.

– Czy możemy przedłużyć te wizytę? – Bateman zwrócił się do agentów.

– Możemy zostać jeszcze jakąś godzinkę – potwierdził agent Scott, patrząc na zegarek.

Teraz dopiero zauważyła, że spod marynarki agenta wystaje małe okrągłe urządzenie, przypominające mikrofon. Ich rozmowa była cały czas nagrywana. Pewnie w okularach jednego z nich jest wmontowana kamera. A może obaj mają takie urządzenia w okularach?

– Proszę poczekać. Zaraz wydam dyspozycje i poproszę męża.

Podeszła do drzwi i pociągnęła szarfę. Kiedy pojawił się służący, poprosiła go, aby poszukał pana i przyprowadził go na obiad. Sama zniknęła za drzwiami i tajnym przejściem udała się do sypialni. Stamtąd zadzwoniła do kuchni i poprosiła Lee Janga, by przygotowano obiad dla dziewięciu osób. Podejrzewała, że w kabinie helikoptera czeka pilot. On też nie powinien zostać bez posiłku.

Kiedy wydawała dyspozycje, panowie siedzący w salonie mówili o niej.

– Panna Reed nie wygląda, jakby była źle traktowana w tym domu – zauważył Salah. – Sama wydaje dyspozycje.

– Wygląda kwitnąco – podsumował Bateman. – Zaskoczyła mnie. Kiedy po raz ostatni ją widzieliśmy, była przerażona, zagubiona...

– Bo kobiety są nieodgadnione – Steve wszedł mu w słowo. – Tak łatwo się pomylić. Poleciała na jego bogactwo.

– Ale coś mi się nie podoba w tych ujęciach – agent Scott uruchomił film. – Ta kobieta jest jakaś drętwa. Jakby nieobecna. Przez tę woalkę nie widać jej twarzy. Coś jest nie tak z jej oczami.

– Zakochana – przyznał Salah.

– Gdyby jeszcze raz przeanalizować film, poprosić eksperta od narkotyków...

– Myślę, że to nie będzie potrzebne – powstrzymał go agent Logan. – Mamy zeznania jej i El Dżajada. Pokrywają się. Jest zdrowa, wesółka. Pełna życia. Obawy panów Batemana i Harlanda się nie potwierdziły. Uważam sprawę za zamkniętą.

– Niepotrzebnie tu przyjechaliśmy – powiedział major.

– Też tak myślę – przytaknął Steve.

– A ja się cieszę, że tu przylecieliśmy – rzekł profesor. – Teraz, kiedy ją zobaczyłem, mogę spokojnie spać. Wiem, że jest szczęśliwa, dobrze jej tu. Do końca życia zapamiętam radość w jej oczach, kiedy nas ujrzała. Zaskoczenie, a potem radość.

– Muszę przyznać, że to była szczerza radość – potwierdził agent Scott.

Anna powróciła do salonu, po chwili zjawił się Said.

– Czy wszystko się wyjaśniło? – spytał, stając obok żony.

– Tak – uśmiechnęła się. – Zaprosiłam panów na obiad. Czy nie masz nic przeciw temu?

– Nie. To dobra decyzja.

Pojawił się służący i zaprosił wszystkich do jadalni. Zasiadli do stołu. Anna zajęła miejsce po lewej obok Saida. Naprzeciw niej usiadł profesor Bateman. Steve spoczął na końcu stołu. Sam wybrał dla siebie to miejsce. Służący przynieśli wazę z zupą z przetartych warzyw z dodatkiem gotowanego ryżu, półmiski z kaszą gryczaną z kawałkami smażonej baraniny w sosie cebulowo-śmietanowym, placki kukurydziane. Do picia podano ziołową herbatę. Jeden ze służących rozlał zupę do głębokich talerzy.

– Czy w helikopterze czeka pilot? – spytała.

– Tak – potwierdził major.

– On też powinien coś zjeść. Jamam, poproś do nas pana z helikoptera.

Służący skłonił się i zniknął w drzwiach salonu. Panowie popatrzyli po sobie.

– Coś nie tak? – spytała.

– Czyżbyś tu rządziła? – spytał Steve.

– Zaskoczony? – spytał Said.

– Trochę – przyznał Steve.

– Jedzmy – Said zrobił gest dłonią. – Smacznego.

Wszyscy zabrali się za spożywanie zupy. Pojawił się pilot. Z jego miny wywnioskowali, że jest bardzo zaskoczony nie tyle zaproszeniem do stołu, co przepychem pałacu. Usiadł. Zanim zabrał się do jedzenia, przeżegnał się i w myślach zmówił modlitwę. Nikogo to nie zaskoczyło. Anna przypomniała sobie, jak przy wspólnym obiedzie z rodzicami ojciec odprawiał modlitwę. Miłe wspomnienia. Już o tym zapomniała. Goście w milczeniu spożywali obiad. Tylko Anna pytała, Bateman odpowiadał, a Said słuchał.

– Co z Bette, jak się czuje?

– Dobrze – uspokoił ją profesor.

– A dziecko?

– Były pewne kłopoty, kiedy dotarliśmy do granicy. Za duży wysiłek jak na ciężarną. Pan El Dżajad był tak łaskawy, że podstawił dla nas pojazdy i mogliśmy bezpiecznie pojechać do naszej ambasady. Tam zaopiekowali się Bette. Na pięć dni trafiła do szpitala. My wróciliśmy do kraju, Alex został przy żonie.

– Robiła USG?

– Tak. Będzie mieć syna.

– Zgadłeś – zwróciła się do Saida.

– Splotzony na tej ziemi, więc musi być syn – potwierdził.

– Długo szliście do granicy? – była ciekawa.

– Zdażyliśmy na kolację – poinformował Steve.

– Dwa dni spędziliśmy w Ankarze – mówił profesor. – Gdybyśmy nie zabrali ze sobą paszportów, kto wie, czy wpuszczono by nas do kraju. Pan El Dżajad narobił nam kłopotów. Policja chciała nas aresztować za brak bagaży. Powiedzieli, że ukradliśmy paszporty.

– Jak to? – nie rozumiała Anna.

– Byliśmy brudni, nieogoleni i wyglądaliśmy na przestępców – sprostował Steve.

– Kto wam pomógł?

– Tom i profesor Marchol – poinformował Steve.
– Ale są i dobre strony – przyznał profesor. – Staliśmy się sławni. Zrobiono z nami wywiad i cała Atlanta o nas usłyszała.
– A o mnie też pan wspomniał? – była ciekawa.
– Nie – przyznał Bateman. – To była delikatna sprawa, która musiała pozostać w cieniu.
– Zrobił pan rozsądnie, nie mówiąc o tym publicznie – przyznał Said.
– Bałem się, że kiedy ta cała sprawa wyjdzie na jaw, skrzywdzi pan Annę.
– Myli się pan – zaprzeczył Said. – Kiedy się kogoś tak kocha, nie można go skrzywdzić.
Agenci wymienili spojrzenia.
– Czy ktoś powiadomił mojego stryja? – odezwała się Anna.
– Tak – profesor zamyślił się. – Byłem u niego ze Steve'em.
– I jak przyjął wiadomość, że nie wróciłam z wami do kraju?
– Wolałbym tego nie powtarzać – Steve spuścił wzrok.
– Chcę wiedzieć, jak bardzo się ucieszył, że nie będę mu przeszkadzać – naciskała Anna.
– Wyrzekł się ciebie – poinformował profesor.
– Co? Wyrzekł? – nie mogła uwierzyć. – Cały stryj. Nigdy mnie nie znosił. Był zły, że musi się mną opiekować. Tak jakbym chciała, by moi rodzice umarli... Wyrzekł się mnie – zdenerwowała się. – Niech mu ziemia lekką będzie.
– On jeszcze żyje – szepnął Said.
– Za to reszta pracowników chciała się za tobą wstawić – wtrącił Steve.
– Jedyni przyjaciele, jakich miałam – uśmiechnęła się. – Proszę ich ode mnie pozdrowić. Szkoda, że nie mam ślubnego zdjęcia. Podpisałabym je i poprosiła, żebyście je przekazali.
– No właśnie – przypomniał sobie agent Scott. – Przydałoby się jakieś aktualne zdjęcie pana z żoną.
– Do naszego raportu – dodał Logan.
– A nie możecie zrobić z obecnego nagrania? – zaczął Said. – Pewnie macie kamery zainstalowane w okularach, a tam – wskazał za siebie – w helikopterze wszystko się rejestruje.

Zapadła cisza. Agenci popatrzyli po sobie. Zdjęli okulary i położyli je na stole.

– Jest pan domyślny – przyznał major. – Co pan z tym zrobi?

– Nic – powiedział spokojnym głosem.

– Czy zrobiono już reportaż o pracy przy wykopaliskach? – zaciekała się Anna.

– Mamy już skończone dwie części, brakuje nam zakończenia – powiedział profesor.

– Kochanie, czy odesłałeś wszystkie taśmy filmowe? – Anna zwróciła się do Saida.

– Przyznam, że mam jeden z waszych filmów.

– Czy chciał pan do czegoś go wykorzystać? – spytał Logan.

– Właściwie nie. Jest na nim Anna – wziął głęboki oddech. – W zasadzie film nie jest mi już potrzebny.

– Dobrze, że go pan nie zniszczył – profesor był zadowolony. – Teraz będziemy mogli dokończyć nasz reportaż.

– Mam nadzieję, że to będzie tylko historia zaginionego miasta, a nie kobiety, która została żoną arabskiego księcia – odparł El Dżajad.

– Chcę pana uspokoić – zwrócił się do niego profesor. – Nie mamy zamiaru ujawniać tego, że odwiedzał pan Annę w obozie...

– Właściwie można by nakręcić film o tym, jak nachodził pan Annę – Steve wszedł mu w słowo. – Jak ją pan straszył, szantażował...

– Steve, jesteśmy gośćmi – profesor zwrócił mu uwagę. – Wszystko się wyjaśniło i nie musimy robić głupstw.

– Jak widzę, jest pan rozsądnym człowiekiem, w przeciwieństwie do kolegi. Ale wiem, dlaczego – Said wyprostował się. – Pan Harland ma do mnie żal, że odebrałem mu kobietę.

– Tak, ma pan rację – przyznał Steve. – Ale nie mam do pana żalu. Ja pana po prostu nienawidzę.

– Zaczyna robić się nieprzyjemnie – zauważył konsul.

– Ma pan do tego prawo – Said mówił spokojnym, stonowanym głosem. – Na pewno znajdzie pan kobietę swego życia.

– Znalazłem, a ty mi ją odebrałeś – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Panowie, koniec dyskusji – przerwał im major. – Pora wracać...

– Dziękujemy za gościnę – podziękował konsul. – Już dawno nie jadłem tak kosztownego posiłku.

– Cieszę się, że wam smakowało – Said podniósł się z miejsca.
– Przyniosę panom kasety z filmem.

Panowie wstali od stołu. Steve wyszedł na taras. Anna dołączyła do niego.

– Zmieniłaś się – powiedział. – Leciałem do tego kraju z myślą, że jesteś nieszczęśliwa, zagubiona, samotna... zagłodzona. A tu proszę: nowa suknia – dotknął złotego łańcucha. – Bogata... tryskająca radością.

– Skoro dane mi było zamieszkać tutaj, żyć z Saidem, dlaczego mam z tego nie korzystać?

– A może właśnie tego chciałaś, tylko ja ci przeszkadzałem?

– Może tak, może nie. Nie miałam wyboru – spojrzała mu w oczy.
– Tam na moście przyrzekłam, że zostanę jego żoną i zrobię wszystko, by puścił was wolno.

– A jednak zmusił cię do tego małżeństwa. Dlaczego kłamałaś przed agentami? Planowałem... że jak wrócimy do kraju, zamieszkamy razem, weźmiemy ślub...

– Los zdecydował inaczej – weszła mu w słowo.

– Los to on... ten... – szukał słów – arabski kundel.

– Nie nazywaj tak mojego męża – wzburzyła się.

– Kiedyś ci to nie przeszkadzało... – przypomniał.

– Zawsze mi przeszkadzało. Wiem, że masz do mnie żal i nie wybaczysz mi tego, że zostałam żoną Saida. Na razie jest mi dobrze. Jak długo tak będzie? Nie wiem.

– A może wszystko się zmieni, jak wyjedziemy? – wpatrywał się w jej twarz. – Może wiedział, że kiedyś przyjedziemy po ciebie... nasze władze upomną się o ciebie. Jest miły, dobry... a jak wyjedziemy, zmieni się w bestię.

– Może... – spojrzała w dal. – Nie wiem.

– To powiedz agentom prawdę... że cię zmusił...

– Steve – spojrzała mu w twarz. – On mnie nie zmusił. Pokochałam Saida...

– Nie wierzę – przerwał jej. – Jak można go pokochać?

– Wiesz, jestem kobietą.

– Naprawdę masz tyle swobody, ile ci potrzeba, by normalnie żyć?

– Tak – ściszyła głos. – Kiedy go nie ma, wymykam się do kuchni i gotuję to, na co mam ochotę. Służba jest za mną. Nawet gram w karty z kucharzami. Spaceruję, kiedy chcę – mówiła już normalnie.

– Oglądam telewizję, czytam książki.

– Jest tu telewizja? – był zaskoczony.

– Tak – potwierdziła. – To nowoczesny Syryjczyk.

– Cały czas spędzasz w pałacu? – spytał z ciekawości. – Nie jeździsz na zakupy?

– Nie mam takiej potrzeby – uśmiechnęła się. – Byłam raz na zakupach. Wystarczy.

– A środki higieniczne dla kobiet?

– Kosmetyki mam na miejscu.

– Mówię o... – wskazał na jej dół brzucha.

– Jakby to powiedzieć... – zastanowiła się.

– Jesteś w ciąży?

– Chyba tak – odruchowo położyła dłonie na brzuchu.

– Teraz wiem, czemu nie chcesz stąd wyjechać.

Na tarasie pojawił się Said.

– Anno, pora pożegnać gości.

– Już idę – na jej twarzy malował się uśmiech.

Said rzucił krótkie spojrzenie w stronę byłego rywala. Oczywiście Steve'a pałały gniewem. Amerykanin minął gospodarza i wszedł do salonu. Na stoliku obok taśmy filmowej Anna zauważyła trzy zdjęcia przedstawiające ją i Saida w ślubnych strojach. Nie przypuszczała, że są jakieś fotografie z tej ceremonii. Wzięła jedną z nich i przyjrzała się uważnie. Spod półprzezroczystej woalki widziała rysy swej twarzy. Przyćmiony wzrok. Uśmiechała się, choć tego nie pamięta. Odwróciła zdjęcia i zadedykowała je personelowi domu wczasowego. „Czasem w realnym świecie zdarzają się bajki”. Said stał tuż za nią. Spojrzał przez ramię i odczytał dedykację. Napisała datę. Tę akurat bardzo dobrze pamiętała. Ślub odbył się w jej urodziny. Drugie zdjęcie podpisała dla Bette i Alexa. Umieściła na nim tę samą dedykację. Trzecie zdjęcie chciał mieć profesor Bateman.

– Skoro już wszystko się wyjaśniło, może pani podpisać oświadczenie – powiedział agent Scott.

– Jakie oświadczenie? – zaciekał się Said.

– Mamy przygotowany druk oświadczenia, że pani Anna Reed z własnej nieprzymuszonej woli wyszła za pana i nie ma potrzeby zabierać jej do kraju. Jest nam to potrzebne do zamknięcia tej sprawy.

– Ostatecznie mogę podpisać takie oświadczenie – zastanawiała się. – Ale nie zrzeknę się amerykańskiego obywatelstwa. Kiedyś chciałabym pojechać z mężem do mojego kraju... odwiedzić znajomych...

– Proszę się nie martwić. To zwykła formalność. My nie możemy decydować o zniesieniu czyjegoś obywatelstwa – uspokoił agent Logan.

Anna przeczytała treść oświadczenia. Było krótkie, zwięzłe, bez punktu o zrzeczeniu się amerykańskiego obywatelstwa. Said też chciał poznać treść dokumentu.

– A macie panowie drugi egzemplarz? – spytał.

– Nie wzięliśmy – przyznał Scott.

– A szkoda – Said oddał dokument. – Zrobicie przekręt, przekręcicie fakty, a Anna nie będzie miała dowodu, że było inaczej.

– Myśli pan o wszystkim – major uśmiechnął się.

– Tak jak wy jestem żołnierzem.

– Dobrze, więc... – zastanowił się major. – Niech pani przepisze oświadczenie w dwóch egzemplarzach. Jedno weźmiemy ze sobą, a pani zachowa drugi egzemplarz dla siebie. Ja i pan konsul własnymi podpisami potwierdzimy jego autentyczność.

– Z tym mogę się zgodzić – odparł Said.

Agent Scott wyjął z czarnej walizeczki notatnik. Anna dwukrotnie przepisała treść oświadczenia i podpisała dokumenty. Major i konsul złożyli na nich podpisy. Agent Scott schował jeden egzemplarz oświadczenia do walizeczki.

– Cieszę się, że wszystko zostało wyjaśnione – powiedział konsul. – Teraz możemy spokojnie wracać do swoich domów.

– To pora się pożegnać – Bateman wyciągnął ku Annie ramiona.

– Proszę pozdrowić ode mnie całą ekipę – powiedziała. – Niech pan nie zapomni o zdjęciach.

Uścisnęli się na pożegnanie.

– Czy naprawdę nie chcesz z nami wracać? – szepnął profesor.

– Nie – wyszeptwała. – Na razie jest mi tu dobrze, chociaż trochę nudno.

Steve ustawił się w kolejce. Bateman odstąpił od Anny i zmierzył ją wzrokiem, mówiąc:

– Tak bardzo się o ciebie martwiłem, a tu proszę, kwitniesz.

– Właśnie – przyznał Steve.

– Żegnaj, Steve – Anna wyciągnęła ku niemu dłoń. – Nie miej do mnie żalu – patrzyła mu w oczy. – Takie było moje przeznaczenie.

Steve ujął jej dłoń i przytknął do ust. Nagle przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Zrobił to specjalnie, by rozłościć gospodarza. Wszyscy zamarli. Spojrzeli w stronę El Dżajada. Ten zacisnął palce w pięści. W jego oczach pojawił się gniew, lecz rozsądek podpowiadał spokój. Posłał Steve'owi wymuszony uśmiech.

– No cóż... kiedyś była jego dziewczyną – powiedział spokojnym głosem.

Anna lekko odepchnęła Steve'a. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Spojrzała w stronę męża. Choć jego oczy pałały nienawiścią, uśmiechał się.

– Żegnaj, Anno – Steve był z siebie zadowolony. – Trudno będzie o tobie zapomnieć.

Odwrócił się i pośpiesznie wyszedł z salonu. El Dżajad w towarzystwie żony odprowadził gości przed budynek pałacu. Na pożegnanie uściski dłoni. Panowie zeszli schodami, kierując się w stronę helikoptera. Said zaszedł Annę od tyłu i objął ją w pasie. Bateman po raz ostatni spojrzał na dziewczynę. Uniosła prawą dłoń. Ot, taki gest na pożegnanie.

– Gdybym mógł – szepnął jej do ucha Said – zastrzeliłbym Steve'a za ten pocałunek.

– Jesteś o mnie zazdrosny? – spytała ściszym głosem.

– Tak. Jestem bardzo zazdrosny, bo cię kocham.

Uwolniła się od jego uścisku i spojrzała mu w oczy.

– A ja myślałam, że ożeniłeś się ze mną, bym urodziła ci zdrowe dzieci.

– Tylko z prawdziwej miłości rodzą się zdrowe dzieci.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Przywarł do jej ust, jakby chciał sprawdzić, czy Steve nie zabrał mu choć cząstki jej samej. Nie broniła się. Pocałunek Steve'a niczego nie zmienił.

Usłyszeli rozgrzewający się silnik helikoptera. Spojrzeli w stronę bramy. Ujrzeni wirujące śmigło.

– A dlaczego ani razu nie włożyłaś czerwonej sukni? – wpatrywał się w jej oczy. – Czy chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie było okazji założyć czerwonej sukni – uśmiechnęła się.

– Jesteś przy nadziei, prawda?

– Jak będę pewna, to... – zastanawiała się. – Powiem ci za dwa tygodnie.

Szybkim ruchem wziął ją na rękę. W tym samym czasie helikopter wzbił się w górę i wszyscy mogli zobaczyć, jak bardzo ta para jest szczęśliwa. Państwo El Dżajad przez chwilę patrzyli za odlatującym helikopterem. Nie wypuszczając Anny z rąk, Said wszedł do salonu.

– I odlecieli – westchnęła.

– Zamierzałaś odlecieć razem z nimi?

– A pozwoliłbyś mi na to? – spytała z ciekawości.

– Nigdy. Jesteś moja i nikt mi cię nie odbierze.

Postawił ją na korytarzu przed lustrem. Otworzył sekretne przejście.

– Nie boisz się pokazywać mi swojego tajnego skrótu? – spojrzała mu w twarz.

– Przecież już je znasz – uśmiechnął się.

– Przed tobą nic się nie ukryje.

Kręconymi schodami weszli do sypialni.

– Ale przyznasz, że nie spodziewałeś się, że ktoś kiedyś się o mnie upomni?

– Spodziewałem się tego, lecz nie wiedziałem, kiedy to nastąpi.

– Tak? – usiadła w fotelu. – To dlaczego nie pokazałeś mi filmu z naszego ślubu? Boisz się, że mogłabym go zniszczyć?

– Nie zniszczyłabyś go – podszedł do niej. – Jesteś rozsądną kobietą, a dzisiaj udowodniłaś, jak bardzo mnie kochasz, chociaż nigdy nie usłyszałem tego słowa z twoich ust – ukląkł przed nią i podwinął jej suknię ku górze. Odstłonił uda Anny. – Tu rośnie nasz

syn – jego dłonie zatrzymały się na brzuchu żony. – Nasz Husam. To jest teraz najważniejsze na świecie.

Przypomniała sobie sen. Będąc w zaawansowanej ciąży, spacerowała pośród alejek pełnych kolorowych kwiatów. Przy niej biegł mały chłopiec. We śnie Said nazwał go Husam.

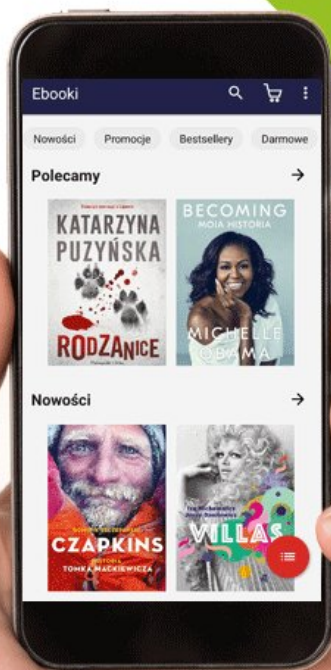
– Tak, to będzie nasz Husam – powiedziała cicho. – Jak w moim śnie.

Zatopiła się w myślach. Jak miło, że profesor Bateman nie zapomniał o niej, przyjechał w asyście Steve'a oraz agentów, by się o nią upomnieć. Teraz może spać spokojnie, wiedząc, że ekipa odkrywców bezpiecznie powróciła do kraju, a Bette nie straciła tak długo oczekiwanego dziecka.

Anna Reed przyjechała do Syrii, by na pół roku odmienić swoje życie. Nie wiedziała, że znajdzie tam miłość, przed którą na próżno się broniła, oraz nową rodzinę. Od przeznaczenia nie da się uciec.



POBIERZ NOWĄ
APLIKACJĘ
NA ANDROIDA



I CZYTAJ,
GDZIE CHCESZ

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**